
3 1761 07038026 6

JENERAŁ ZAMOYSKI

JENERAŁ ZAMOYSKI

1803—1868

TOM I

1803—1830

POZNAŃ

NAKŁADEM BIBLIOTEKI KÓRNICKIEJ

1910



Czcionkami Drukarni Dziennika Poznańskiego.

Jenerał Zamoyski nie zostawił wykończonych pamiętników. Pozostały tylko wspomnienia, dorywczo, najczęściej w podróżach, w latach 1858—1867, przez niego dyktowane lub spisywane, współczesne jego zapiski o ludziach i wypadkach, obszerna korespondencya i pisma urzędowe. Na tych materyałach, przytaczanych tu w oryginale lub w tłomaczeniu, oparta jest ta praca.

Wspomnienia ujęte są w cudzysłów «...». Zdania oznaczone w przypiskach literami (W. Z.) czerpane są z listów lub notatek jen. Zamoyskiego.

I

PIERWSZA MŁODOŚĆ (1803–1814)

Stanisław, ojciec Władysława Zamoyskiego, dwunasty ordynat na Zamościu, był synem Andrzeja, kanclerza wielkiego koronnego. W siedmnastym roku życia utraciwszy ojca, ukończył wychowanie pod kierunkiem matki, Konstancyi z Czartoryskich, i Staszica, który dwadzieścia lat w rodzinie kanclerza przepędził. O matce Stanisława wiemy, że nie szczędziła ani kosztów ani starań dla wychowania synów; o Staszicu zaś mówiono, że cokolwiek za życia jego w kraju naszym uczyniono dla podniesienia dobrobytu i szerzenia oświaty, działo się to za jego wpływem i czynnym udziałem. Wpływ Staszica, niemniej jak własnych rodziców, odbił się na całem życiu Stanisława Zamoyskiego, a pośrednio na wychowaniu jego dzieci.

Stanisław Zamoyski poślubił w 1798 r. Zofię Czartoryską, słynną z piękności i dla cnót swoich powszechnie wielbioną córkę x. Adama Kazimierza, jenerała ziem podolskich, i Izabelli z Flemingów. Będąc młodszym synem kanclerza, Stanisław dopiero w 1801 r., po śmierci starszego brata, Alexandra, odziedziczył ordynacyę, która przy trzecim rozbiorze Polski została objęta zaborem austryackim. Nowy dziedzic ordynacyi i żona jego postanowili, przed osiedleniem się w Zamościu, odbyć podróż za granicę. W czasie pobytu w Paryżu mieszkali w tak zwanym Garde-meuble, na rogu place de la Concorde i rue

Royale, naprzeciw ministeryum marynarki[1]). W domu tym w dziewiątą rocznicę powstania Kościuszkowskiego, 24 marca 1803 r., urodził się Władysław Zamoyski.

W lecie tegoż roku rodzice jego, korzystając z chwilowego pokoju między Napoleonem a Wielką Brytanią, udali się do Anglii, a syna zostawili pod opieką pani de Souza, głośnej w swoim czasie powieściopisarki.[2]) Pani de Souza taką macierzyńską opieką otaczała powierzone sobie dziecko, że Władysław Zamoyski przez długie lata nazywał ją swoją paryską matką, a ona bohaterowi jednej ze swoich powieści dała jego imię. Pierwszą piastunką Władysława była pani Bonioli, o której mówiono, że tęga kobieta; ona zaś o swoim wychowanku lubiła opowiadać, że gdy miał zaledwie szósty miesiąc, z kolebki na capstrzyk się zrywał, a gdy słyszał bębny i widział maszerujące wojsko, trudno go było na ręku utrzymać, tak się do okien rwał.[3])

Ordynat z żoną dość długo zabawił w Anglii; oboje pragnęli zapoznać się ze wszystkiem, coby w naszym kraju i naszych warunkach z pożytkiem zastosować się dało. Niemało im do tego pomagała uprzejmość x. Walii, późniejszego Jerzego IV, i wielu rodzin, z któremi jeszcze matka pani Zamoyskiej, x. jenerałowa Czartoryska, zawiązała stosunki w czasie pobytu w Anglii ze synem Ada-

---

[1]) Gmachy na place de la Concorde po obu stronach rue Royale, zbudowane (1763—1776) wedle planów architekta Ludwika XV, Gabriela, nazywano pierwotnie Colonnade des Tuileries. Na zachód od rue Royale były to domy prywatne, zwane Hôtel de Coislin, de Pastorel, de l'Estang, de Crillon; na wschód mieścił się bogaty skład mebli i kosztowności królewskich, le Garde-meuble de la Couronne. Skład ten zrabowany został w 1793 r. Obecnie mieści się tam ministeryum marynarki; niemniej nazwy Garde-meuble nie przestano stosować do wszystkich tych gmachów.

[2]) Zofia Filleul, wdowa po hr. de Flahaut, ściętym podczas rewolucyi 1793 r., żona pisarza i posła portugalskiego w Paryżu. Józefa Maryana Souza-Botelho.

[3]) List Leonarda Niedźwieckiego z dnia 31 stycznia 1842 r.

mem, który się tam uczył prawa. Burnett w książce swojej «Present state of Poland 1807» pisze: «Hr. Zamoyski za pobytu w Anglii zajmował się tem wszystkiem, co dotyczy sztuki i nauk, zwiedził główne fabryki w Londynie i innych miastach, szczególniej w Birmingham. Zabrał ze sobą do Polski kilku mechaników.» Urok zaś pani Zamoyskiej był tak wielki, że, gdy w trzydzieści lat później syn jej Władysław do Anglii przybył, spotykał starców, którzy mu z zachwytem o matce jego mówili. W Paryżu sławny malarz Gérard wykonał jej portret. Szkic do tego obrazu, przedstawiającego panią Zamoyską z synami Konstantym i Władysławem, znajduje się w pałacu wersalskim.

Wskutek zerwanego między Anglią i Francyą przymierza, państwo Zamoyscy musieli, opuszczając Anglię na neutralnym statku holenderskim, jechać na Holandyę do Paryża dla zabrania syna, poczem pod koniec 1804 r. wrócili do kraju. Zamieszkali najprzód w Zamościu, a następnie 1805 r. w Podzamczu pod Maciejowicami[1]). Pokazywano tam wówczas świeże jeszcze ślady bitwy i miejsce, gdzie złożono Kościuszkę rannego, nim go do Petersburga zabrano. W pałacu podzameckim ze czcią przechowywano kule karabinowe i armatnie, na tem polu po bitwie zebrane. Sam dwór nosił ślady kul.

Po powrocie do kraju, ordynat Zamoyski zabrał się do pracy w majątkach swoich nad podźwignieniem rolnictwa i polepszeniem doli włościan. Za przykładem ojca swego, kanclerza Andrzeja Zamoyskiego, starał się zastosowywać w znacznej części dóbr ordynackich zasady konstytucyi Trzeciego Maja, o ile to możliwe było pod ówczesnym rządem. Jednocześnie zajął się odbudowaniem dworu w Podzamczu i odnowieniem pięknego pałacu klemensowskiego w ordynacyi. Niedaleko Klemensowa

---

[1]) Maciejowice z Podzamczem nabyła w 1792 r. dla swego młodszego syna Stanisława kanclerzyna Andrzejowa Zamoyska.

w Zwierzyńcu założył pod kierunkiem Anglika Macdonalda fabrykę narzędzi rolniczych, na wzór angielskich, oraz pod zarządem innego Anglika, piwowara, fabrykę porteru, znanego odtąd pod nazwą porteru zamojskiego. Sprowadziwszy kilkadziesiąt koni z Anglii, utworzył stadninę pod Klemensowem. Wreszcie założył w Klemensowie i Podzamczu piękne ogrody, przy pomocy sprowadzonego z Wersalu biegłego ogrodnika Legros, który urządził także ogrody owocowe i warzywne, a przy nich szkółki drzew tak owocowych jak leśnych, przeznaczonych częścią na rozdawanie między włościan, częścią na sprzedaż.

Ulubioną siedzibą pani Zamoyskiej było Podzamcze. W listach jej częste są o tem wzmianki. «W Podzamczu tygodnie jak dnie mi mijają», pisze, «tak mi tam dobrze w samotności z mężem i dziećmi, tyle tam miłych mam zajęć, że żal mi stamtąd wyjeżdżać, nawet do Puław, bo chociaż i w Puławach są osoby, które kocham, chociaż miło mi przebywać z niemi, wszakże nie mogę powiedzieć, żeby życie tamtejsze przypadało do mego usposobienia.»

《[1]) Ordynat utrzymywał dom własny dostatnio, lecz nie wystawnie; natomiast w Puławach[2]), o sześć mil od Podzamcza odległych, Czartoryscy żyli trybem zupełnie jeszcze staropolskim, otoczeni licznym dworem i niemniej licznymi gośćmi. X. jenerał, łączący cnoty obywatelskie z umysłem światłym i do najpóźniejszych lat dowcipnym, stale otaczał się ludźmi, którzy w Polsce słynęli w umiejętnościach i literaturze. Jak dawniej widziano

---

[1]) Cudzysłowem 《...》 oznaczone są wspomnienia jenerała Zamoyskiego.

[2]) **Puławy w Lubelskiem, niegdyś posiadłość Tenczyńskich, później** Lubomirskich, Sieniawskich, przeszły w posiadanie Czartoryskich przez ożenienie się w 1731 r. x. Augusta Czartoryskiego († 1782) z Zofią Sieniawską († 1771), wdową po Stanisławie Denhoffie († 1728).

w Puławach Kniaźnina, Trembeckiego, Niemcewicza, Karpińskiego, tak wówczas widywano tam Piramowicza, Bandtkiego, Matuszewicza, Lindego, Siarczyńskiego. Obok tych mężów poważnych i uczonych przebywało tam wielu młodych ludzi, przysyłanych do Puław z Polski i Węgier, żeby pod okiem byłego niegdyś komendanta szkoły kadetów, x. jenerała, oprócz nauk, które im były udzielane pod ścisłym dozorem «pana marszałka», nabywali światowego wykształcenia i ogłady. Do ostatnich wychowańców puławskich należał młody, osierocony Dominik Radziwiłł. X. jenerałowa ze swej strony wychowywała pod okiem swem córki wielu rodzin polskich, dając im codzienny z siebie przykład życia pobożnego, niezmordowanej dobroczynności, oraz najgorętszej miłości ojczyzny i wszystkiego, co wzniosłe i piękne. W zabawach nawet umiała zawsze pobudzać młodzież do szlachetnych, patryotycznych uczuć.»

X. de Broglie, późniejszy za Ludwika Filipa prezydent ministrów, w 1812 r. przydzielony do poselstwa księdza de Pradt w Warszawie, obszernie opisał w swoich wspomnieniach[1]) wrażenia, jakich doznał w Puławach. Pisze, że nigdzie nie widział siedziby tak godnej pozazdroszczenia, jak wspaniałe Puławy, wszechstronnie a tak słusznie wsławione; że x. jenerał był bardzo uczony; że z jego rozmowy jasnej, głębokiej, dowcipnej, dużo skorzystał. O x. jenerałowej zaś pisze, że to była wielka pani w całem znaczeniu słowa, prosta, poważna, wytwornie uprzejma, pobłażliwa, że wzbudzała uszanowanie, nie dopuszczała poufałości.

Hrabia Senfft, minister saski[2]), we wspomnieniach swoich z roku 1806—1813, pisanych w trzeciej osobie, opowiada: «W maju 1808 r. państwo Senfft pojechali

---

[1]) Souvenirs 1785—1870 du feu duc de Broglie, I. 187—192.

[2]) Po r. 1813 w służbie Austryi, poseł w Hadze i Londynie.

w odwiedziny do Puław. Miejscowość to ulubiona przez Polaków i przez wszystkich miłośników piękna... Siedziba wszystkich cnót społecznych, światłej dobroczynności i tej wspaniałej gościnności, która za naszych czasów może już tylko tam się utrzymała w całym blasku minionych wieków.» Hr. Senfft pisze dalej, że 36 godzin spędzonych w Puławach pozostanie na zawsze drogiem dla niego wspomnieniem. Opowiada także, że: «za przybyciem króla do Warszawy (20 lutego, 1808), x. Czartoryski, który już od ośmnastu lat z powodu nieszczęsnego stanu swej ojczyzny w Warszawie nie przebywał, zjechał tam dla powitania króla. Mógł się wówczas ucieszyć serdeczną czcią rodaków i wdzięcznością wielu byłych uczni szkoły kadetów, której przez długie lata był naczelnikiem i dobroczyńcą. X. Czartoryska też zawitała do Warszawy, a towarzystwo warszawskie garnęło się do niej z hołdem czci, do której dawały jej prawo wyższość duchowa i szczególny wdzięk umysłu. Gorliwą działalnością pobudzała wkoło siebie do wszelkiego rodzaju zacnych prac i zajęć».

« Życie towarzyskie w Puławach było do najwyższego stopnia rozwinięte; trwał nieustający prawie zjazd gości, ciągłe następowały po sobie zabawy, w których młodzież znajdowała, według usposobienia każdego, to pustą rozrywkę, to grę poważniejszą. Nie ograniczano się tam jednak do samych wyłącznie zabaw; praca i nauka miały też swoje miejsce. X. jenerał tworzył cenną bibliotekę puławską i zajmował się nią z upodobaniem. X. jenerałowa gromadziła wielkim kosztem i mozołem nieoceniony zbiór pamiątek w Świątyni Sybilli, na której położyła napis: «Przeszłość przyszłości», i w Domu Gotyckim, nad którego drzwiami napisać kazała: «Sunt lacrymae rerum et mentem mortalia tangunt».

Puławy były nietylko ogniskiem literatury i nauki dziejów, były one przytułkiem nadziei. Wspomnienia

czasów minionych stawały się w Puławach bodźcem do zabezpieczenia lepszej przyszłości; gromadziło się tam wszystko, co mogło życie ubarwić i uzacnić.

X. jenerałowa w gorącem pragnieniu podźwignienia kraju, tak moralnie jak materyalnie, nie pomijała żadnej warstwy społeczeństwa, ani żadnego zachodu. Lud wiejski całem sercem kochała, a tak żywo odczuwała wszystko, co włościan dotyczy, iż mawiała o sobie, że z pewnością musiała być kiedyś wieśniaczką, lub nią po śmierci zostanie. Kumała się z włościanami, na obiady ich do siebie zapraszała, a osoby, które tym ucztom były przytomne, wiele lat później z rozrzewnieniem o nich wspominały. Sama napisała i rozdawała illustrowaną, jedną z pierwszych w tym rodzaju, książkę o ogrodnictwie, a dla zachęty dodawała do książki nasiona i krzewy.

Nie były zapewne Puławy bez grzechu; zepsucie, w XVIII wieku powszechne, odbiło się w pewnej mierze i na nich; nie brakło i tam zachęty do romansowania; wszakże panował ton rycerski, przestrzegano przyzwoitości i dobrych obyczajów, wiara się utrzymała, a do zewnętrznych form służby bożej przywiązywano tam zawsze pierwszorzędną wagę. X. jenerał w licznem otoczeniu rozpoczynał dzień każdy od słuchania mszy św., odprawianej w salonie x. jenerałowej, i karcił surowem słowem domowników, a nawet synów, w latach już i urzędach będących, gdy na to nabożeństwo nie przychodzili.

Pobożność puławska w szczególny sposób uwydatniła się na starszej córce x. jenerała, x. Wirtemberskiej, która pobożności prawdopodobnie zawdzięczała nieskazitelność swojej dobrej sławy, mimo, że przy pięknej urodzie, a większym jeszcze wdzięku i dobroci, niezliczone odbierała hołdy. Wychowanka XVIII wieku, z rodzeństwa najstarsza, pamiętała dwory Stanisława Augusta i Fryderyka II, króla pruskiego, który się głównie przyczynił do jej zamęźcia. Chciwy jej posagu dla Ludwika Wir-

temberskiego, któremu chciał dopomódz do spłacenia licznych długów, przedstawiał x. jenerałowej w świetnych barwach korzyści polityczne, jakie z tego małżeństwa wyniknąć mogły dla Polski. Wydana zamąż w piętnastym roku życia, x. Wirtemberska po ośmiu latach najnieszczęśliwszego pożycia z mężem, musiała się z nim rozstać i syna jedynaka zostawić przy ojcu, wśród najgorszych przykładów i wpływów; sama zaś, pozbawiona możności rozwinięcia w sobie uczuć i cnót małżonki i matki, żyła miłością dla rodziców i dla Polski, pozostając do końca życia córką Puław i jakby ich uosobieniem. Z pożycia małżeńskiego tak niekorzystne zachowała wspomnienie, że nie przypuszczała, aby która panna mogła iść zamąż dobrowolnie; to też każda narzeczona wydawała jej się ofiarą skazaną na męczeństwo. Ile razy jej przedstawiano jaką młodą pannę, zamąż wychodzącą, czekała sposobnej chwili, żeby jej potajemnie szepnąć na ucho: «Nie bój się, moja duszko; jeśli chcesz, to ja ci to zerwę jeszcze!» I bardzo się dziwiła protestacyom i żartom, jakie tą troskliwością wywoływała.

Przy x. Wirtemberskiej przebywały w Puławach dwie jej wychowanice, panna Marya Dzierżanowska[1]) i panna Cecylia Beydale. Panna Cecylia, którą my, dzieci, nazywaliśmy Cesią, przywieziona z Paryża siedmioletnią dziewczynką, jakkolwiek z bardzo pospolitego towarzystwa wyrwana, nabyła wykwintnego ułożenia, zachowując tylko hart duszy, właściwy zwykle uboższym, a wyjątkowy u tych, co nie zaznali niedostatku ani osierocenia. Konno jeździła tak, że niejednego kawalerzystę zawstydzić mogła, a przytem słynna była w towarzystwie warszawskiem z wdzięku i dowcipu przez pierwsze lata po trzecim rozbiorze Polski, właśnie kiedy społeczeństwo nasze, jakby szałem opętane, szukało rozrywki w zabawach i rozpuście, kiedy «pod Blachą» u x. Józefa Poniatowskiego pano-

---

[1]) Późniejsza x. Konstantowa Czartoryska.

wała pani Vauban, a wśród rodzin polskich rej wodziło wychodźtwo francuskie, wykwintne, ale lekkich obyczajów i zmateryalizowane.

Czasy te, zwane w Warszawie «pruskiemi», były dla szlachty polskiej chwilą może najgorszą. Kwitnący handel zbożowy, wyjątkowo wygórowane ceny zboża, niezmierne ułatwienia wprowadzone przez Prusaków do zaciągania hypotecznych długów na majątki, wszystko to dawało lekkomyślnym pochop do zbytku wszelkiego rodzaju, tem bardziej, że ustały natenczas ofiary publiczne, do których składania Polacy poprzednio zmuszeni byli.

Z szału tego Warszawa i całe polskie społeczeństwo ocknęły się dopiero w 1806 r., gdy x. Józef Poniatowski, porzucając rozpustne zabawy, sam za oręż chwycił i innych przykładem swoim pociągnął do tłumnego łączenia się z Napoleonem przeciwko Prusakom. Nie wszyscy jednak Polacy mogli wziąć udział w tem powstaniu rodaków z pod zaboru pruskiego. Napoleon, ze względu na pokój wówczas między Francyą a Austryą trwający, nie dopuścił do tego Polaków poddanych austryackich; że zaś ordynacya, zarówno jak Podzamcze i Puławy, należała do tej części Polski, którą Austrya ostatnim rozbiorem nabyła i nazwała Galicyą Zachodnią, ordynat nie wziął udziału w tem powstaniu. Gdy wkrótce potem Napoleon odebrał Prusakom zabór polski i w nagrodę za ochoczą dzielność Polaków utworzył z niego traktatem tylżyckim X. Warszawskie, oddane pod rządy króla saskiego, granice przeciągnięte zostały wzdłuż Pilicy i Wisły pod Modlin; tak więc ordynacya, Podzamcze i Puławy pozostały i nadal pod rządami Austryi.

W 1806 r. ordynat wyjechał z całą rodziną do Wiednia i trzy lata tam przepędził, doznając wielkiej od dworu i społeczeństwa wiedeńskiego uprzejmości. Przyjeżdżał także do Wiednia x. jenerał Czartoryski z żoną, a siostra jego, x. marszałkowa Lubomirska, miała na

wałach miasta piękny pałac. Otwarty jej salon tak był przesiąknięty czysto wersalską francuszczyzną, że zaledwie polskim nazwać go można było.

Urok i wpływ francuskiej emigracyi był w ogóle wielki. Świeciła ona nietylko salonową wytwornością i dowcipem; emigranci wszelkiego stanu, tak kobiety jak mężczyźni, z przykładnem męstwem i poddaniem się losowi podejmowali się wszelkich, jakie im chciano powierzyć, obowiązków. Mieli też wszędzie pierwszeństwo, szczególniej jako nauczyciele i nauczycielki.

Dom rodziców moich z tradycyi własnego rodu i Puław był szczerze polskim. Niemniej przebywało w nim mnóstwo emigrantów francuskich: księża Duroc, d'Esquiroux, Ottenain, panowie Malhomme, Bonin, Lanoe, Fradêne, doktor Gérard. Ten ostatni dożył późnej starości i zostawił po sobie pamięć zasłużoną; był dobrym lekarzem i zacnym człowiekiem, rodziny naszej szczerym przyjacielem, a w domu potęgą. Wszyscy go lubili i szanowali, choć ciągle łajał, karcił, folgowanie nerwom zarzucał. Do Francyi nie chciał wracać, póki do niej nie wrócili Burboni; rewolucyi nienawidził, ale i królów z popędliwością sądził i w mowie poniewierał. Guwernantką sióstr moich była panna Cléry, córka nieodstępnego sługi Ludwika XVI.

Stałem usiłowaniem ojca naszego było dzieci hartować, a mianowicie chronić od pieszczot domowych. Dla tego też przeniósł synów do osobnego domu, zwanego «Kikisches Haus», na trzecie piętro. Było nas do tego czasu czterech. Dwaj starsi [1]) zostali oddani pod dozór księdza d'Esquiroux, przy dwóch młodszych [2]) był Polak, Baliński. Kucharkę mieliśmy Francuzkę, która, o ile umiała dogodzić księdzu d'Esquiroux, o tyle chłopcom mało

---

[1]) Konstanty ur. 6 kwietnia 1799 i Andrzej ur. 2 kwietnia 1800.
[2]) Jan ur. 16 lutego 1802 i Władysław ur. 24 marca 1803.

sprawiała zadowolenia cebulową zupą i czosnkiem. Do rodziców chodziliśmy tylko w niedzielę. Ojciec lubił nas ćwiczyć w gimnastyce; sam przykład dawał, a był silny i zręczny. Na śniadanie i obiad zawsze zarobić trzeba było, jak mawiał, i nieraz dobrze się spocić.

Zdarzało się niekiedy, że dzieci dopuszczone były do udziału w zabawach osób starszych. Sławna wśród emigracyi francuskiej pani de Staël, wyrokiem Napoleona wydalona z Francyi za pisma i opinie polityczne, lubiła urządzać przedstawienia teatralne. Raz, gdy przedstawiała Agarę na pustyni, mnie przeznaczono na Izmaela.[1]) Ponieważ wcale powabną nie była, x. de Ligne ze zwykłym sobie żartobliwym dowcipem napomknął, że przedstawienie to nazwaćby można «Usprawiedliwieniem Abrahama».

Polityczne pojęcia w dzieciarni naszej były bardzo niedojrzałe, bo chociaż w tym czasie pod opieką Napoleona stanęło już X. Warszawskie, to jednak, skutkiem zapewne wpływu emigrantów francuskich, przyjęte było między nami zdanie, że jakkolwiek Niemcy są nam nienawistni, to wojska napoleońskie gorsze są jeszcze. Musztry z karabinem uczył nas podoficer piechoty austryackiej rodem z Belgii, mówiący po polsku. Dnia jednego przyszedł on na lekcyę z zieloną bukszpanową gałązką na szako, co oznaczało u Austryaków, że rozpoczęła się wojna. Było to na początku 1809 r., kiedy Napoleon, zaczepiony przez Austryę, zjawił się nagle pod Wiedniem.

Na pierwszy odgłos tej wojny i wkroczenia wojsk X. Warszawskiego do Galicyi, ojciec nasz opuścił Wiedeń i przez Kraków pospieszył do Zamościa, a stamtąd do Lublina, gdzie na wezwanie x. Józefa Poniatowskie-

---

[1]) W dzienniku paryskim z dnia 26 kwietnia 1808 r. podana była z Wiednia wiadomość, że pani de Staël napisała dwie tragedye. które były grane na teatrach amatorskich i w których sama główne role odgrywała. «Agara na pustyni» grana była w sali teatralnej hr. Zamoyskiego, «Genowefa z Brabantu» w pałacu x. Lichtensteina.

go złączył się z powstaniem. W Wiedniu wyższe towarzystwo i dwór, który nadaremnie usiłował ująć ordynata rozmaitemi honorami, powzięły szczególną niechęć do niego, a bardziej jeszcze do pani ordynatowej, za ówczesny ich wyjazd z Wiednia. Jechaliśmy wśród zimy kilku pojazdami. Ojciec brał ze sobą do powozu zamkniętego jednego z synów po kolei. Trzej inni jechali koczem z księdzem d'Esquiroux i Balińskim, sianem aż po brodę opakowani. Żonę i dzieci z nauczycielami osadziwszy w Puławach, gdzie x. Józef miał główną kwaterę, ojciec, na wezwanie obywateli i x. Józefa, już otwarty bój prowadzącego z arcyxięciem austryackim Ferdynandem, stanął jako prezes Rządu Tymczasowego Galicyi. Urząd swój sprawował, przez cały ciąg wojny, w Lublinie. W całem Lubelskiem pozostało żywe wspomnienie jego wytrwałej, energicznej, sprawiedliwej gorliwości. Jednocześnie własnym kosztem wystawił pułk, który wszedł do składu wojsk X. Warszawskiego, jako siedmnasty pułk piechoty. Nie korzystając z prawa, jakie mu przysługiwało do objęcia dowództwa pułku, wybór pułkownika i oficerów zostawił wodzowi naczelnemu. Dowódcą został pułkownik Hornowski; między szefami batalionu znajdował się Blumer, wsławiony później w 1812, a nieszczęśliwie zamordowany w Warszawie 29 listopada 1830 r. Osobnym rozkazem naczelnego wodza pułk ten otrzymał nazwę «pułku imienia Zamoyskich».[1])

---

[1]) W Kwaterze Głównej w Trześni 7 Czerwca 1809.

Do JW. Zamoyskiego, Prezesa Rządu Wojskowego Centralnego, Tymczasowego, obydwóch Galicyi, pod protekcyą Najjaśniejszego Cesarza JM. i króla Wielkiego Napoleona.

Dosyć znać dzieje Narodu Polskiego, żeby nie wątpić, iż potomek owych sławnych mężów, których Zamoyskich plemię dawało Ojczyźnie, w każdej okoliczności okaże się godnym następcą tych cnót, któremi tak znacznie ojczystej dopomagali chwale.

Postępki, któremi JWMP. Dobrodziej udowodniłeś tak sprawiedliwe oczekiwanie, są nad wszelką pochwałę.

Nas czterech zapisano do kontroli pułku: dwóch starszych jako grenadyerów, dwóch młodszych jako woltyżerów[1]). Ubrani we właściwe mundury musztrowaliśmy si wcale nieźle, zwłaszcza gdy na osobności komendę nad trzema starszymi oddawano mnie, najmłodszemu wiekiem, co zresztą często się zdarzało. Dopiero wtedy wyjaśnił się nam dzieciom stosunek Polski do Francyi i wspólna z nią sprawa. Austryaków napotykaliśmy tu już tylko jako jeńców wojennych, pod strażą polskiego żołnierza. Usłyszeliśmy o wypędzeniu ich ze Lwowa, Krakowa i całej prawie Galicyi przez same tylko polskie oddziały wojska lub powstańców.

Tymczasem Napoleon zdobywał Wiedeń, gromił Austryaków pod Wagram, a wreszcie w Schoenbrunn pokój dyktował. Byliśmy przy ojcu w Lublinie, gdy doszła wieść o zawartym pokoju. Radość była powszechna. Wieczorem całe miasto zajaśniało illuminacyą i ukazały się

Nie dosyć bowiem, że postawiłeś się na czele Rządu Galicyi, że pracujesz dla utrzymania porządku, spokoju i szczęścia obywatelskiego, lecz jeszcze pragniesz stać się uczestnikiem zasług tych, co dla obrony kraju niosą życie, przez wystawienie własnym kosztem pułku pieszego.

Nadto już dobrze widzę skutki pierwszego przeznaczenia JWImc Pana Dobrodzieja, ażebym mógł mu dozwolić insze przedsięwziąć zamiary, lecz dozwolisz mi zostawić ślad szlachetnego Jego dla Ojczyzny poświęcenia się przez postanowienie, że pułk pieszy, kosztem Jego wystawiony, nosić będzie nazwisko pułku imienia Zamoyskich.

Cieszyć się będę, jeżeli każdy Polak spostrzeże w tem rozrządzeniu dowód uczucia, które stało się do niego powodem.

Darowane przez niego krajowi, zdobyte przez przodków Jego działa na nieprzyjaciołach Ojczyzny, dadzą w potrzebie poznać z wałów Zamościa, że te znowu są bronione przez prawych synów Ojczyzny.

Chciej JWMc. Pan Dobrodziej przyjąć wyraz wysokiego poważania.

Generał Dywizyi, Naczelny Wódz Wojsk Polskich

Józef xiążę Poniatowski.

[1]) Wskutek tego Władysław Zamoyski otrzymał medal św. Heleny, dla żołnierzy dawnych wojsk napoleońskich ustanowiony przez Napoleona III 12 sierpnia 1857 r.

mnogie allegoryczne transparenty. Wśród nocy deputacye, to cywilne, to wojskowe, z pochodniami i puharami w ręku, wdzierały się do domu prezesa Tymczasowego Rządu, by wychylać zdrowia cesarza Napoleona, Poniatowskiego, Dąbrowskiego i innych.

Wkrótce jednak radość Polaków znacznie ostygła, gdy doszły wieści, że Napoleon całą prawie Galicyę wschodnią, już przez wojska nasze zdobytą, odstąpił Austryi napowrót. O mało nie odstąpił im i Zamościa; dzięki jednak osobistemu przystąpieniu ordynata do powstania, Zamość i ordynacyę przyłączono do X. Warszawskiego, tak iż granica ordynacyi zamojskiej stała się granicą między X. Warszawskiem a posiadłościami Austryi.

W 1810 r. ojciec nasz, mianowany przez króla saskiego, a xięcia warszawskiego, senatorem - wojewodą, zamieszkał w Warszawie w najętym domu przy ulicy Mazowieckiej, synów zaś osadził naprzeciwko, w domu Rożnieckiego. Ale niedługo tak trwało. Wkrótce wysłany został do Paryża w poselstwie nadzwyczajnem na ślub Napoleona z arcyxiężną Maryą Ludwiką, a wyjeżdżając, nas, czterech synów, zabrał ze sobą.»

Hr. Senfft, wspominając o poselstwie ordynata Zamoyskiego do Paryża, mówi, że ono jeszcze wzmogło zazdrość i niezadowolenie, jakie uprzejmość króla saskiego względem Polaków wzbudzała wśród Sasów. O ordynacie mówi: «Pan Zamoyski, którego wielkie posiadłości zostały przyłączone do X. Warszawskiego, przez pokój zawarty w Wiedniu (Schoenbrunn 14 października 1809), dopiero co mianowany senatorem-wojewodą za gorliwe usługi położone w sprawie polskiej podczas wojny 1809 r., miał powierzchowność i nazwisko odpowiednie do takiego poselstwa... W Paryżu mu się powiodło; cesarz dobrze go przyjął; ale zimno się względem niego zachowali Austryacy, obrażeni, że od Austryi odstąpił.»

Wyjazd w daleką podróż i na czas nieograniczony był źródłem łez obfitych, tak dla nas, jak dla naszej biednej matki. Wszakże przy tej sposobności zaszła dla dzieciarni ważna zmiana na lepsze. W miejsce znienawidzonego Balińskiego przybył w pomoc księdzu d'Esquiroux Markiewicz, krakowiak, gorący patryota, uczony, poważny, łagodny, acz w wymaganiach surowy. Jechaliśmy na Drezno. W Paryżu ojciec zamieszkał w pięknem mieszkaniu z ogrodem, w hotelu Grange-Batelière, a nas umieścił na pensyi pana Muraine, gdzie pozostaliśmy do 1813 r. Ojciec już w 1811 r. powrócił do kraju.

Pensya pana Muraine zajmowała budynek obszerny o dwóch wielkich dziedzińcach z ogrodem. Cała wysokim murem otoczona, znajdowała się przy ulicy Saint Jacques[1]), na której wznosi się wiele gmachów uświetnionych wspomnieniami historycznemi, jak starodawna Sorbona, klasztor Wizytek przez świętą Chantal założony i wiele innych. Sam dom pana Muraine, wraz z przyległym, był niegdyś klasztorem Karmelitanek, do którego pani de La Vallière, po zerwaniu z dworem Ludwika XIV, wstąpiła na resztę życia, i gdzie po trzydziestopięcioletniej pokucie świątobliwie umarła. Ogrody pensyi Muraine rozciągały się naprzeciwko Val de Grâce, dawnego klasztoru Benedyktynek, założonego przez królową Annę austryacką, wdowę po Ludwiku XIII, a matkę Ludwika XIV, który to klasztor przez Napoleona zamieniony został na szpital wojskowy.

W Paryżu księdza d'Esquiroux zastąpił ksiądz Ottenain, znający trochę Polskę i Litwę z pobytu swego przy młodych Zabiełłach i Giełgudzie. Dwaj starsi bracia mieszkali z księdzem Ottenain, my, dwaj młodsi, z Markiewiczem. Wszyscy pobieraliśmy nauki razem z uczniami pensyi, tylkośmy nie sypiali i nie jadali z nimi. Między kolegami na pensyi znajdowali się: Ludwik Sobański, który

---

[1]) Obecnie l. 282 i 284.

miał przy sobie nauczyciela księdza Fleury, bardzo przez całą dzieciarnię lubianego, i o wiele starszy Adam Matuszewicz ze swoim nauczycielem, księdzem Duroc. Tak Sobański jak Matuszewicz odznaczali się w naukach, a Matuszewicz zdobył nawet w 1811 r. na ogólnym konkursie szkół francuskich pierwszą nagrodę (prix d'honneur au concours général). Przedmiotem łacińskiej rozprawy konkursowej była wyprawa Alexandra macedońskiego na Persów. Twierdzono, że do najświetniejszego opracowania jej natchnęła Polaka przedsięwzięta w owym czasie wyprawa napoleońska na Litwę.

Dwaj starsi bracia po roku przygotowania poczęli chodzić z pensyi do liceum Louis le Grand; my, dwaj młodsi, przez cały czas pobytu w Paryżu pozostaliśmy w klasach przygotowawczych. Z początków życia szkolnego pamiętam wydarzenie, które mi dało pierwsze pojęcie o sprawiedliwości sądów ludzkich. Razu jednego z końcem roku szkolnego, profesor dyktował naszej klasie ustęp francuskiej prozy na konkurs z ortografii. My, dwaj malcy, najpierwsi wręczyliśmy profesorowi nasze zeszyty. Ale profesor, zaledwie rzucił na nie okiem, oburzony ogromem błędów ortograficznych, zeszedł z katedry, a biorąc każdego z nas za ucho i każąc nieść zeszyty w ręku, prowadził z paradą przez dziedzińce, szczęściem dla nas o tej godzinie puste, do samego starego pana Muraine, jako do najwyższej powagi. Mocno skonfundowani, gorzkośmy opłakiwali i nieudolność naszą i zbyteczny pospiech. Wszakże niedługo trwał frasunek, bo gdy porównano ćwiczenia wszystkich kilkudziesięciu uczniów klasy, rozeszła się głucha wieść, że Jan Zamoyski otrzymał pierwszą nagrodę za ortografię, a Władysław drugą; pierwszy albowiem na tej jednej półćwiartce zrobił tylko trzynaście błędów, a drugi czternaście! Jan miał wtedy dziewiąty rok życia, ja ósmy.

Mieszkała w owym czasie w Paryżu, rue Royale St. Honoré, siostra mego ojca, x. Alexandrowa Sapie-

żyna z synem Leonem i córką Anną, późniejszą x. Adamową Czartoryską. Najmilsze były dla nas chwile przepędzane u dobrej i łaskawej ciotki z bratem ciotecznym i siostrą jego. Ale ojciec ściśle ograniczył liczbę tych odwiedzin do dwóch niedziel na miesiąc i zastrzegł, aby się wieczory u ciotki kończyły o godzinie dziewiątej. Ciotka obmyślała różne na te dnie rozrywki i spraszała po kilku młodzieńców i młodych panienek. Między młodymi, którzy do tych zabaw należeli, znajdował się x. de Carignan, z czasem (król sardyński Karol Albert i siostra jego, późniejsza arcyxiężna Rajnerowa. Matka ich, córka x. saskiej z domu Krasińskiej, późniejsza x. de Montléart, w ścisłej była przyjaźni z x. Sapieżyną. Bywali u ciotki naszej znakomitsi, w Paryżu obecni, Polacy; bywał i Kościuszko. Przyjaźń z nim x. Sapieżyny sięgała czasów powstania 1794 r., kiedy matka jej, kanclerzyna Zamoyska, wdowa po Andrzeju, zasiliła powstanie ogromną na owe czasy gotówką. Kościuszko mieszkał w Fontainebleau, przeto w paryskich towarzystwach mało bywał, ale stosunki miał ciągłe z x. Sapieżyną. Bywali i Francuzi różni, mianowicie uczeni, między nimi sławny, do uczonych liczący się, zegarmistrz Bréguet.

W domu ciotki znajdowaliśmy jakby ojczyznę i odbicie jej wspomnień i nadziei, oraz zachętę do służenia jej z poświęceniem. Zachętę przynosiły nam także każdego tygodnia listy matki z Warszawy, pisane wśród odradzającego się życia politycznego Polski, w którem i ona i ojciec nasz i jej rodzice najczynniejszy brali udział. Listy te, choć krótkie, takiem tchnęły silnem uczuciem, że głębokie z nich wrażenie przypominało się nam nieraz i w późniejszych latach. Nalegała na konieczność służenia krajowi, nie przyznawała znaczenia ani urodzeniu, ani dostatkom; przypominała, że majątek po ojcu przejdzie na najstarszego brata, że młodsi gotować się winni do pracy, tak dla ojczyzny, jak i na siebie samych. Przedziwna to była matka. We wszystkich oko-

licznościach umiała utrzymywać równowagę między najwznioślejszem uczuciem a prostem, surowem, prawdziwie mądrem pojęciem obowiązku. Ta doskonała równowaga dodawała jej samej nieporównanego wdzięku.

Jeden z takich listów przywiózł nam x. Józef Poniatowski, przybyły przed rozpoczęciem wojny 1812 r. Tak krótko bawił w Paryżu, żeśmy go raz tylko odwiedzić mogli. Widzieliśmy przy nim kilku oficerów wojska polskiego i kilku młodych znajomych, ze szkół paryskich wychodzących, a ubranych już w mundury polskiego wojska. Z radością na nich patrząc, wracaliśmy do nauk ze zdwojonym zapałem.

Niebawem pozostaliśmy bez żadnych poza pensyą znajomych w Paryżu. X. Sapieżyna wróciła do Polski, zabawy przeto w święta i wakacye ograniczały się na zwiedzaniu okolic i muzeów. Nieodstępnie nam towarzyszący poczciwy Markiewicz umiał każdej okoliczności użyć na obudzenie i podniesienie ducha uczniów swoich. Bardzo od nas lubiany i poważany, wiele nam czynił dobrego, ćwiczył nas w języku polskim i historyi polskiej, zagrzewał do miłości ojczyzny. Wkrótce nowego mu do tego dostarczyło żywiołu wydanie wojny Moskwie przez Napoleona i głośne do niej przygotowania; następnie wkroczenie wojsk napoleońskich na Litwę i sławne buletyny, któremi Napoleon donosił Francyi i światu o ruchach swego wojska i spotkaniach z nieprzyjacielem. Markiewicz wypadki nam tłómaczył i w miarę nadchodzących wieści śledził z nami i znaczył na wielkiej mapie, na ścianie wiszącej, pochód każdego korpusu, tak dalece, żeśmy brali poniekąd osobisty udział w tych wielkich wypadkach i zapamiętali każdy niemal buletyn cesarza Napoleona z owej wyprawy.

Jednocześnie z wybuchem wojny między Francyą a Rosyą zawiązała się w Warszawie, w celu zjednoczenia Polaków z pod wszystkich zaborów, konfederacya, której marszałkiem został x. Czartoryski, jenerał ziem podol-

skich a po usunięciu się jego, mój ojciec. Konfederaci łudzili się nadzieją, że potrafią zjednoczyć przeciw Moskwie Polaków z pod wszystkich zaborów, ale obojętność, z jaką Napoleon przyjął w Wilnie wysłaną przez nich deputacyę, sparaliżowała działalność konfederacyi.

Niebawem, wobec przedłużającej się jakby w nieskończoność wyprawy, począł się szerzyć w Paryżu, po zachwyceniu i radości, niepokój. Po buletynach o krwawem zwycięstwie pod Możajskiem i kilku innych bitwach, o zajęciu spalonej przez Moskali Moskwy, nastąpiło długie milczenie urzędowego Monitora i innych dzienników. Cały Paryż zaczął przeczuwać, że gwiazda Napoleona ma się ku schyłkowi. Rozchodziły się głuche wieści o ogromnych stratach wojska, o śmierci mnóstwa jenerałów, wsławionych w poprzednich wojnach; że zaś pobory wojskowe, raz po raz ponawiane, oddawna już serca krwawiły, ośmielano się głośno narzekać.

Pewnego dnia, wyszedłszy z Markiewiczem na ranną, między lekcyami, przechadzkę do ogrodu Luxemburskiego, zastaliśmy bramy pałacu przymknięte, a przy nich kilka osób udzielających sobie pogłoski, że przyszła wiadomość z głębi Moskwy o śmierci cesarza. Wrażenie było tak silne, że nie zważając na godziny lekcyi, puścił się Markiewicz z nami w głąb miasta dla powzięcia dokładniejszych wiadomości. Po ulicach dawało się słyszeć, że rząd zmieniony, że minister policyi, x. Rovigo, aresztowany, a jenerał Hulin, komendant placu, zastrzelony. Ulice napełniały się tłumem, każdy pytał, co nowego, a raczej co prawdy w sprzecznych nowinach. Wreszcie, dobrze popołudniu, rozeszła się pewna już wiadomość, że jenerałowie Malet, Lahorie i inni, z więzienia stanu uciekłszy, na czele kilkudziesięciu stronników opanowali policyę, ale pochwyceni u komendanta placu, którego strzałem zranili, w więzieniu osadzeni zostali (24 października 1812). Nastąpił sąd na sprawców nieudanego zamachu stanu; codziennie przeprowadzano tam i napowrót sześćdziesięciu

oskarżonych z więzienia l' Abbaye do pałacu, gdzie sąd zasiadał. Po kilku dniach skazano na śmierć i rozstrzelano (29 października) na place de Grenelle jen. Malet i kilkunastu współwinowajców. Malet nie dał sobie zawiązać oczu, a skrzydłowego podoficera zaklął na dawne koleżeństwo, by go odrazu śmiertelnie ugodził.

Ludność zachowała się dość obojętnie wobec tych wypadków, nie wzruszając się zbytecznie ani wieścią o śmierci Napoleona, ani próbą wywrócenia jego rządów. Świadczyło to, że rząd cesarski nie zapuścił w narodzie głębokich korzeni.

Nakoniec, po długiem opóźnieniu rzucono w publiczność sławny w dziejach tej wojny dwudziesty dziewiąty buletyn wielkiej armii, wydany po przejściu Berezyny, w Smorgoniach 5 grudnia 1812 r. Nie tajono w nim dłużej odwrotu armii, połączonego z olbrzymią klęską. Wtedy oznaki zgrozy przeciwko cesarzowi zaczęły dochodzić do wściekłości. Nazajutrz po ogłoszeniu buletynu w Monitorze dowiedziano się, że cesarz przyjechał w nocy do pałacu Tuileries. Nie ustały jednak powszechne narzekania na ogrom klęski, na szalone a nieustające wyprawy, nadewszystko zaś na coraz ponawiający się pobór rekruta. Nie brakło wszakże u młodzieży zapału do zaciągania się na pomoc pobitemu wojsku. Kilku starszych uczniów z naszej pensyi zaciągnęło się dobrowolnie, a między braćmi moimi, (najstarszy liczył rok czternasty) taka budziła się niecierpliwość, że marzyli choćby o zaciągnieniu się na doboszów.

Na początku 1813 r. Markiewicz, uwolniony na własne żądanie, opuścił Paryż i odjechał do Polski, szczerze i długo przez nas żałowany. Po jego odjeździe ksiądz Ottenain, zostawszy z nami sam jeden, o mało że nie stracił głowy wobec czterech rozhukanych uczniów, zwłaszcza gdy mu się starsi odgrażali, iż uciekną i do pierwszego w marsz idącego pułku się zaciągną.

Nagle ojciec nadesłał nam rozkaz spiesznego opuszczenia Paryża. Zajęcie X. Warszawskiego przez wojska

moskiewskie zmusiło go do wydalenia się z kraju. Ustępując wraz z innymi przed wojskiem moskiewskiem, schronił się najprzód do Krakowa, a następnie do Pragi czeskiej, skąd też pisał, zapowiadając, że dalsze rozkazy otrzymamy w Moguncyi.

Radość z opuszczenia niemiłej nam pensyi i powrotu do rodziców była wielka. Wyjechaliśmy dyliżansem do Moguncyi pod opieką księdza Ottenain. W drodze na stacyach, gdzieśmy stawali na obiady i noclegi, napotykaliśmy mnóstwo niedobitków wielkiej armii, chorych i rannych, wracających do Francyi. Na jednym noclegu w Sainte Menehould siedziało przy kolacyi kilkunastu oficerów, każdy albo ciężko ranny albo schorzały, głównie w skutek odmrożenia. Rozmowa między nami toczyła się o rozmaitych świeżych wypadkach i przygodach. Widok czterech chłopców z nauczycielem zwrócił ich uwagę. Gdy się dowiedzieli, żeśmy Polacy, poczęli przyjaźnie wspominać bojowe z Polakami koleżeństwo. Jeden z nich, pułkownik dragonów, odezwał się do nas: «Byłem odcięty z resztkami mego pułku, kiedy z poblizkiego lasu wybiegł nam na odsiecz pułk piechoty polskiej, a tak ja, co już miałem zginąć, uszedłem z życiem, chociaż ciężko ranny». Zapytany, czyby nie pamiętał, jaki to był pułk, odpowiedział: «Pamiętam, był to pułk siedmnasty». My na to: «A to nasz pułk!» i opowiedzieliśmy, że sami do niego się zaliczamy.

W Moguncyi ksiądz Ottenain długo oczekiwał zapowiedzianych przez ojca naszego listów. Zrazu mieliśmy jechać na Drezno, ale już tam dochodziło wojsko moskiewskie, oraz pruskie, które jeszcze w Kurlandyi pod jenerałem Yorkiem, a następnie pod samymże królem wypowiedziało posłuszeństwo Napoleonowi i stanęło po stronie Moskali. Podobnym duchem wrzała znaczna część Niemiec. Jakże w takich okolicznościach było księdzu Ottenain puszczać się w drogę z czworgiem dzieci? Dni przymusowego oczekiwania schodziły nam na bieganiu na

plac Marsowy, gdzie codziennie zbierały się świeże kolumny wojska, spieszącego do Niemiec. W szeregach mnóstwo było nader młodego żołnierza. Śliczne bataliony składała artylerya morska, nie do takiej przeznaczona służby. Inne bataliony, ubrane w mundury białe z czarnemi wyłogami, złożone były z samych jeńców wojennych, Hiszpanów i Portugalczyków, którzy się dobrowolnie, jak mówiono, zaciągali. Jednocześnie przechodziły przez Moguncyę liczne rozbitki wielkiej armii.[1]) Ciągnęła się ta ponura kolumna nieprzerwanym łańcuchem. Obszerne szpitale mogunckie przepełnione były rannymi. Nieraz słychać było o buntowaniu się rekonwalescentów, gdy komenda placu chciała ich napowrót wcielać do przechodzących kolumn. Kiedy jednak rozeszła się pogłoska, że cesarz z Paryża w Moguncyi spodziewany, i zaczęto dla niego przygotowywać mieszkanie, w tejże chwili duch na nowo ożywił żołnierzy dawnego wojska i choć już stała przed pałacem warta z młodej gwardyi odkomenderowana, kilkudziesięciu grenadyerów starej gwardyi powychodziło naraz ze szpitali w wytartych mundurach i wychełtanych bermicach, domagając się trzymania warty przed mieszkaniem cesarza. Musiano ustąpić ich żądaniu i dać im broń, której nie mieli. Cesarz, wpadłszy na dzień jeden tylko, pospieszył dalej do Niemiec.

Nareszcie nadszedł od ojca naszego rozkaz jechania przez Würzburg i Ratysbonę do Pragi. Dyliżansów w Niemczech nie było; jechaliśmy więc furmanem, kolasą, krótkiemi etapami. Przesuwaliśmy się wzdłuż skrzydeł obu wojsk, z kraju, przez wojska napoleońskie zajętego, do kraju, w którym co chwila mogliśmy się spotkać z wojskiem nieprzyjacielskiem. Ksiądz Ottenain, który

---

[1]) Zamoyski opowiadał, że w dziesięć lat później, w 1822 r., kiedy był na uniwersytecie w Berlinie, widział jeszcze ciągnące z Moskwy przez Niemcy ofiary 1812 r. Poselstwa francuskie w Berlinie, Dreźnie i innych miastach nieustannie zajęte były ułatwianiem im powrotu do Francyi.

niegdyś lat kilka przemieszkiwał na Litwie i zaznał tam kozaków, z obawą na każdej stacyi się dopytywał, czy po okolicy kozacy się nie snują. Co z jego strony było dowodem troskliwości, w niewdzięcznych jego uczniach śmiech wywoływało. Szczęściem, zanim jeszcze Austrya za przykładem Prus przeciw Napoleonowi wystąpiła, dojechaliśmy bez wypadku do Pragi, gdzie ojciec na nas czekał.

Matka nasza z czworgiem młodszych dzieci musiała zostać w Krakowie dla niespodzianej przyczyny. Gdy podążała za mężem do Pragi i uchodząc przed przednią strażą moskiewską, dojechała już do granicy austryackiej, nagle wzbroniono jej wjazdu do Austryi na mocy rozkazu, który ją osobiście wymieniał.[1] Zmuszona więc była, nie bez obawy, wrócić do Krakowa i tam oczekiwać losu, jaki mieszkańców jego mógł spotkać od zwycięskiego a, jak wieść niosła, rozjątrzonego moskiewskiego wojska.

W mieście pełno było rannych niedobitków armii napoleońskiej. Pewnego dnia dociągnął do Krakowa i x. Konstanty Czartoryski, młodszy brat naszej matki. Poszedł on był za powszechnym przykładem i, wziąwszy dymisyę z wojska moskiewskiego jako jenerał-major, wystawił w 1809 r. swoim kosztem szesnasty pułk piechoty, którego został pułkownikiem i dowódcą.[2] Na czele tego pułku w 1812 r. wziął udział w wyprawie na Moskwę; w bitwie zaś pod Możajskiem, gdy prowadził pułk swój na oszańcowaną bateryę moskiewską, blizki wystrzał armatni, trafiwszy w samą pierś konia, jego rzucił na wznak, tak gwałtownie, że nie tylko legł on bez zmysłów, ale aż w kilka dopiero tygodni zupełną odzyskał przytomność.

---

[1]) To szczególne zagniewanie rządu austryackiego na panią Zamoyską stało się następnie przedmiotem żartów cesarza Alexandra. Przybywszy po raz pierwszy do Warszawy z kongresu wiedeńskiego w 1815 r. zdawał jej sprawę, niby jako jej plenipotent do zawarcia pokoju między nią a dworem wiedeńskim. (W. Z.)

[2]) W tym pułku późniejszy wódz naczelny Jan Skrzynecki odbył kampanię moskiewską z Napoleonem 1812 r.

Cudem prawie uratowany został. Co potem ucierpiał niedostatku i niewygody przez długą wśród zimy podróż na wozie, podczas sławnego odwrotu napoleońskiej armii, łatwo sobie wystawić. To też, znalazłszy za przybyciem do Krakowa u naszej matki gościnę i najczulszą troskliwość, unosił się co chwila to nad wygodnem krzesłem, to nad zdrowem jedzeniem, ciepłem mieszkaniem.

Do Krakowa chroniły się rodziny z całego X. Warszawskiego; przeniosły się tam także rozbitki rządu, przybył i wódz naczelny x. Józef Poniatowski z resztkami wojska polskiego, które przed rokiem liczyło 80,000 żołnierza, a teraz nie dochodziło 18,000. Niedobitki te wszakże uprowadzić zdołały całą artyleryę swoją, z wyjątkiem czterech dział w aryergardzie straconych, podczas gdy armia Napoleona wszystkie działa co do jednego, w liczbie 400, w śniegach i błotach zostawiła.[1])

Rząd Narodowy i wódz naczelny przedsięwzięli środki do spiesznego, o ile podobna, zapełnienia opróżnionych kadrów. Kraków wraz z okolicą zasilił szeregi narodowe ostatkiem młodzieży swojej i x. Józef, jak gdyby w mgnieniu oka, stanął znów na czele 30,000 żołnierza. Najtrudniej było o konie, których do 100,000 padło w wyprawie moskiewskiej, a że równy był brak ich w Niemczech i we Francyi, x. Józef dla dogodzenia żądaniom Napoleona, przedewszystkiem jazdy polskiej chciwego, rozkazał formować pułki jazdy lekkiej z ludzi małego wzrostu, na prostych chłopskich konikach. Tę jazdę nazwał krakusami. Imię krakusów, uświetnione dzielnym ich udziałem w wojnie 1813 i 1814 r., stało się szczególnie ulubionem w narodzie.

---

[1]) X. de Broglie, opisując pobyt w Krakowie w 1813 r., pisze o sztabie głównym x. Józefa, że był ze wszech miar podobny do francuskiego, z tą różnicą, że w polskim zapał patryotyczny zastępował żądzę awansu i zapał dla cesarza. O Poniatowskim mówi, że kto go znał, musiał się do niego przywiązać, że na polu bitwy, jak mu to wszyscy przyznawali, był nie tylko walecznym, ale bohaterskim. (Souvenirs 1785—1870 du feu duc de Broglie T. I. 211—212.)

Kierunek na Kraków wskazany był x. Józefowi rozkazem z głównej kwatery Napoleona, a jednocześnie odwrót armii francuskiej skierowany został na Gdańsk i Wrocław. Z wiosną zatem 1813 r. x. Józef, kiedy już znacznie zasilił swoje szeregi, znalazł się odciętym od głównej armii. Nieprzyjaciel, posuwający sią aż nad Odrę, mógł lada chwila zgnieść go przeważnemi siłami. Nie mogąc bronić się w Krakowie, musiał x. Józef szukać sposobu połączenia się z główną armią. Nie było innego, jak przejście przez posiadłości austryackie. Ale gdy Polska wysilała się dla sprawy, już nie tyle swojej, co Napoleona, całe Niemcy chwiać się poczynały w przymierzu, do którego je tenże był zmusił. Austrya, która mu poprzednio towarzyszyła w pochodzie na Moskwę, póki urok jego szczęścia i geniuszu rokował dla Moskwy przegraną, teraz, po klęsce, choć ze zwykłą swą ostrożnością nie ośmieliła się jeszcze nań uderzać, głosiła się już neutralną i wzbroniła wojsku polskiemu przejścia z bronią w ręku przez swoje posiadłości. Napoleon, ulegając konieczności, musiał zawrzeć z Austryą osobną konwencyę, która zapewniła polskiemu wojsku bezpieczne przejście przez Morawy i Czechy do Saksonii, wszakże pod warunkiem, że broń przewożona będzie na wozach pod strażą austryacką.

X. Józef przybył do Pragi w tym właśnie czasie, kiedyśmy tam z księdzem Ottenain dojechali. Ojciec nasz kilkakrotnie go odwiedzał; nam udało się raz tylko go widzieć, jadącego przez miasto w mundurze otwartą dorożką, a było to po raz ostatni.

Z Pragi ojciec pojechał na kuracyę do Karlsbadu i nas zabrał ze sobą. Zawarte wówczas w Pleswitz 5 czerwca 1813 r. zawieszenie broni między Francyą a Prusami i Rosyą trwało do 10 sierpnia. Pobyt w Karlsbadzie dosyć był szczególny z tego względu, że neutralność Austryi pozwalała ludziom, do obu stron wojujących należącym, jednocześnie tam leczyć się i przebywać. Widzie-

liśmy tam po raz pierwszy oficerów rosyjskich w mundurach. Łatwo się domyślić, z jaką skwapliwością upatrywaliśmy w nich znamiona niższej cywilizacyi.

Bawili w Karlsbadzie ministrowie X. Warszawskiego Mostowski i Matuszewicz, a także były sekretarz stanu spraw zagranicznych przy królu saskim, hr. Senfft Pilsach. Miał on indygenat polski, który na własne żądanie otrzymał od sejmu X. Warszawskiego. Niemniej przeto wówczas, czysto niemieckiem wiedziony uczuciem, odmówił dalszej służby królowi saskiemu, dotrzymującemu wierności Napoleonowi, i do Austryi się schronił. Niemajętny, do dyplomacyi znakomicie uzdolniony, wszedł później do służby austryackiej, a z protestanta stał się gorliwym i wielce pobożnym katolikiem. Życzliwość jego dla Polaków, zarówno jak przyjaźń dla naszej rodziny, do końca życia nieodmiennemi się okazały.

Nam, dzieciom, pobyt w Karlsbadzie tem szczególniej stał się przyjemnym, że ojciec, rozstawszy się z księdzem Ottenain, sam się nami do czasu zajął. Zwłaszcza w zabawach przewodniczył; pod jego kierunkiem każda służyła do wyrobienia siły, zręczności, charakteru. Miał zawsze zapasy piłek, wolantów, rakiet, ciężarów do ćwiczeń gimnastycznych. Na długich przechadzkach po górach w Karlsbadzie kazał nam skakać przez rowy i żerdzie. Kupił nam wózek i parę koni, któremi powoziliśmy kolejno. Uczył wyskakiwać w pędzie koni z wózka i wskakiwać doń napowrót. Te i tym podobne ćwiczenia hartowały nas fizycznie i moralnie, rozwijały zręczność i odwagę. Ojciec we wszystkiem nam przykład dawał, a miary pilnie przestrzegał według sił i wieku każdego.

Z końcem zawieszenia broni, gdy Austrya wraz ze sprzymierzonymi wojnę Napoleonowi wydała, odwiózł nas ojciec do Krakowa do stęsknionej matki. Matka nasza w Krakowie mieszkała przy ulicy Świętojańskiej w pałacu x. Kazimierza Czartoryskiego, którego nasz ojciec był

opiekunem[1]). Samotny pobyt w Krakowie, nieporównany urok, jaki ma dawna stolica dla każdego serca polskiego, pobożność jej mieszkańców, stały się dla matki naszej jakby źródłem nowego życia. Pierwsze jej wychowanie było wprawdzie religijnem, bo Puławy wśród XVIII wieku przechowywały tradycye i zewnętrzne znamiona wiary. X. jenerał stale miał domowego kapelana; x. jenerałowa, zwłaszcza w drugiej połowie życia, bardzo była pobożną i dobroczynną, nie brakło przeto jej córkom przykładów pobożności. Ale w owym czasie panowało dziwne osłabienie ducha wiary, a dziwniejsze jeszcze zaniedbanie nauki wiary. Więc i nasza matka, mimo wrodzonego usposobienia do pobożności, nie odrazu przyszła do poznania niewyczerpanych skarbów, jakie znajduje dusza wierząca przez wpatrywanie się w Boga i bliższe poznanie jego nauki.

W blizkości Krakowa, nad Wisłą, w małej zagrodzie była piękna bardzo lipa. Matka nasza, polubiwszy to ustronie, nabyła je, a dawnego właściciela osadziła na niem jako ogrodnika. Ośm drzewek na intencyę ośmiorga żyjących już wówczas dzieci zasadziła i kamień położyła na pamiątkę chwil tam spędzonych. Miejsce to, przerobione na ładny ogródek, dla publiczności otwarty, Kraków nazywał «Lipą pani Zamoyskiej». W lat kilka potem w blizkości lipy, na górze zwanej «górą świętej Bronisławy», obok kaplicy tej świętej, wzniosła Polska kopiec Kościuszki. Po niejakim czasie matka nasza ogródek z lipą darowała dawnemu właścicielowi, z obowiązkiem pielęgnowania drzew i dozwalania publiczności wstępu do ogrodu.»

---

[1]) X. Kazimierz Czartoryski, właściciel Kalwaryi Zebrzydowskiej, cierpiał na pomieszanie zmysłów. Był on bratem x. Józefa Czartoryskiego, stolnika w. k. i Konstancyi, kanclerzyny Andrzejowej Zamoyskiej. Dawny jego pałac nosi dziś l. 15 i należy do x. Kazimierza Lubomirskiego.

Pani Zamoyska o dumaniach swoich pod tą lipą, przed przyjazdem męża i synów, tak kiedyś pisała: «Siedząc pod ulubioną moją lipą, z zachwytem spoglądałam na przecudny widok; zdał mi się on piękniejszym, niż kiedykolwiek. Wisła płynie wspaniale pod tem wzgórzem i dalej, pod zamkiem krakowskim, budzącym tyle drogich a bolesnych wspomnień. Patrzyłam na tę starodawną siedzibę królów naszych, jak, stojąc na skale, odbija się w przejrzystych wodach Wisły. Opodal między górami mogłam rozpoznać Lanckoronę, dalej jeszcze pokryte śniegiem wierzchołki Tatr, na których odbijały się ostatnie promienie zachodzącego słońca. Bydło wracało z pola; łodzie rybackie i statki okrywały Wisłę; flisacy przygrywali na fujarkach wesołe piosnki krakowskie. Przygrywali wesoło, a jednak muzyka ta smutną, ach, jak smutną mi się zdawała. Bywają w życiu chwile, w których nic rozweselić nie zdoła, w których obrazy, najmilsze nawet, powiększają tylko smutek. O, jak żałośnie było myśleć, że ten kraj tak piękny doznaje klęsk najokropniejszych, że nieprzyjaciele go opanowują, że wojsko nasze opuścić go musiało, by iść przelewać drogą krew na cudzej ziemi, za cudzą sprawę, bo dla naszej, niestety, nadziei już nie było. Walczyli nasi jeszcze, ale dla sławy, dla honoru tylko, idąc za przykładem drogiego każdemu Polakowi wodza. Siedziby nasze spustoszone; sprawiedliwości ani schronienia nigdzie dla Polaka niema. Żyjemy w nieustannych mękach, lękając się o życie braci, krewnych, przyjaciół. I mnie nie wolno być z mężem, ani losu jego dzielić, ani pocieszenia szukać przy ukochanych rodzicach. Tak dumając o ojczyźnie, o rodakach, o nieszczęściach naszych i groźnej przyszłości, spędziłam wieczór cały.»

«Matka nasza miała szczególną cześć dla podeszłego wieku i korzystała z każdej sposobności, aby w nas ją wpajać. Trudno opisać, z jakim wdziękiem sama pielę-

gnowała starców obojej płci i wszelkiego stanu, jak im niosła ulgę i pociechę, zwłaszcza gdy w nich widziała cnotę i zasługę.

W Krakowie przemieszkiwał stary jenerał Mokronowski, ciężko chory. Za powstania Kościuszki miał on sobie powierzoną komendę załogi Krakowa. Widząc z ruchów nieprzyjaciela, że atak na miasto niebawem nastąpi, a sam ubezwładniony ciężkim napadem podagry, zapytał lekarza, czy nie zna środka, za pomocą którego mógłby choć na dzień jeden na czele wojska wystąpić. Doktor odrzekł, że przeciąć podagrę na czas krótki można, ale nie inaczej jak z narażeniem życia. Mokronowski zażądał tego lekarstwa, przez dzień następny bronił miasta, odparł nieprzyjaciela, ale potem na resztę życia zapadł na wielką chorobę. Częste i straszne miewał jej napady. Mimo to gości przyjmował, bardzo był uprzejmy, lubił u siebie widywać młodzież, nawet dzieci, powszechne poważanie wzbudzał i zajmował każdego rozmową o sprawach krajowych. Rodzice nasi prowadzili nas często do niego, a taką mu cześć okazywali, żeśmy widzieli w nim jakoby wzór doskonałej cnoty obywatelskiej i rycerskiego poświęcenia dla ojczyzny.

Radość matki z naszego powrotu nieraz była, niestety, troską zasępiona. Trzyletni pobyt na pensyi rozwinął w nas przy pewnym harcie szorstkość dziką niemal. W mowie naszej pełno było zdań i wyrażeń pospolitych; od kłótni raz po raz przychodziło do bitew; kułaki padały tak liczne, że zostawały po nich niezatarte ślady. Te kłótnie i bójki nasze były dla matki istotną boleścią. Trwożyła ją i niepokoiła nasza zaciętość, wciąż wybuchająca mimo najczulszych upomnień, mimo ćwiczeń religijnych, pilnie odbywanych pod przewodnictwem księdza, który nam dawał lekcye religii. Dwaj starsi bracia moi już w Paryżu odbyli, razem z innymi uczniami pensyi pana Muraine, pierwszą komunię św. z całą zwykłą we Francyi uroczystością. My dwaj młodsi, Jan i ja, przystąpiliśmy

do pierwszej spowiedzi i komunii św. w końcu 1813 r., pod okiem matki, w kościele Panny Maryi w Krakowie.

Ojciec stałym swym zwyczajem najął dla nas osobno mieszkanie, gdzie wszystko jak w szkole urządzone było. W dni powszednie na krótkie tylko chwile wolno nam było wstępować do matki, jedynie w święta na cały dzień chodziliśmy do niej. Nauczycieli mieliśmy tymczasowych. Jednym z nich był kochany od nas Markiewicz. Postanowił on osiąść na stałe już w Krakowie, ale tymczasem zajmował się nami, oprowadzał po zamku, katedrze, pokazywał starożytne zabytki miasta. Przybył młody lekarz, dr Polak, rodem Czech, bystry, uczony, surowy, ale więcej własnem wykształceniem zajęty, niż uczniami. Jednakże nauki szły regularnie; w łacinie postąpiliśmy tyle, że straszny wylew Wisły, będący przedmiotem powszechnego zajęcia, stał się dla nas zadaniem do wypracowań łacińskich, które następnie tłomaczyliśmy po polsku dla matki, sadząc się na jak najlepsze onych tłomaczenie.

W maju 1813 r. Moskale zajęli Kraków. Większa część rodzin chwilowo tam zamieszkałych miasto opuściła. Ojciec zmuszony był udać się do ordynacyi. Matka, pozostawszy z nami w Krakowie, żyła w zupełnej samotności i wielkim niepokoju o przyszłość ojczyzny. Smutek jej doszedł do najwyższego kresu, gdy nadeszła wieść o bitwie pod Lipskiem i bohaterskim zgonie x. Józefa Poniatowskiego. Dla matki naszej śmierć x. Józefa była smutkiem nie tylko narodowym, ale i osobistym, bo był on dla niej i krewnym i przyjacielem.

Im kto lepiej znał x. Józefa, tem lepiej mógł ocenić doniosłość jego zgonu i wiekopomną sławę, jaką przez ofiarę życia zdobył dla siebie, dla wojska, którego był wodzem, dla ojczyzny. Ofiara ta znalazła nagrodę w powszechnem uznaniu, a jej świetność była pewną pociechą, chociaż budziła tem większą żałość i tem silniejsze przekonanie, żeśmy ponieśli stratę niepowetowaną. Było to wszakże mylne mniemanie. Taka ofiara, taka śmierć,

jest największą, jaką człowiek może krajowi przynieść, usługą. Dla niego zaś cóż w dłuższem życiu mogłoby dorównać sławie przez taką śmierć zdobytej? Zrozumiałą jednak była żałoba Polski. Ze zgonem x. Józefa kończyło się niejako, do czasu przynajmniej, istnienie polskiego wojska. Ale czyż zacność tej śmierci nie zapowiadała zmartwychwstania i przyszłości nowej?

W istocie, jeżeli rozbitki wojska polskiego zachowaną do końca wojny wiernością dla Napoleona zdobyły sobie szacunek sprzymierzonych, to pamięć na bohatera, który je sławą okrył, najwięcej może przyczyniła się do szczególnych względów, jakie szczątkom tego wojska cesarz Alexander okazał w Paryżu. Zwycięzca szukał zwyciężonych, podziwiał ich dzielność i wytrwałość, ujmował ich serdeczną uprzejmością, a nareszcie, kilkutysięczny hufiec polski z bronią i chorągwiami napowrót do Warszawy wprowadził.

Lecz, zanim to nastąpiło, kraj cały okrył się żałobą, opłakując najdroższe nadzieje zawiedzione, najlepszych synów ojczyzny poległych lub rozproszonych. O resztkach polskiego wojska słychać było, że po bitwie pod Lipskiem, po utracie ulubionego wodza, pod następcą jego, x. Sułkowskim, prawym, ale niedoświadczonym, zrazu żądały uwolnienia od dalszej służby, która nie mogła już, jak się zdawało, mieć ojczyzny na celu. Ale Napoleon stanął wśród polskich szeregów, a skoro przemówił, choć smutni, znużeni, choć za krajem tęskni, choć w dalszych ofiarach nie widzieli już dla ojczyzny pożytku, poszli Polacy za rycerskiem natchnieniem. Za przykładem ginącego dla honoru Polski wodza ślubowali zagrożonemu Napoleonowi wierne służby do końca.

Wkrótce i końca tego wybiła godzina. Napoleon przyjął wygnanie na wyspie Elbie, a z pomiędzy tylu i tak gorąco ubóstwiających go towarzyszów broni tylko trzechset Polaków pod dowództwem Jerzmanowskiego pociągnęło za nim na wygnanie. Czyn ten, jak mnóstwo

poprzednich, dodał uroku rozbitkom naszego wojska i zapewne przyspieszył pochlebne dla nich ze strony zwycięskiego w Paryżu cara Alexandra zaproszenie do powrotu w rodzinne zagrody.

Zabłysnął tedy w całej w Polsce nowy promień nadziei. Alexander, zająwszy wojskiem swojem Polskę już od początku 1813 r. i zaprowadziwszy w Warszawie rząd tymczasowy, ogłosił, wśród toczącej się jeszcze wojny, amnestyę dla poddanych Rosyi, którzy stanęli przeciw niemu po stronie Napoleona. Każdy Polak, czy to jeniec wojenny, czy, jak x. Sułkowski,[1]) dobrowolnie opuszczający szeregi Napoleona, znajdował pełne łaskawości przyjęcie od Alexandra. Alexandrowi, od chwili, gdy wkroczył do Niemiec, towarzyszył x. Adam Czartoryski. »

[1]) X. Sułkowski, mianowany po śmierci x. Józefa wodzem naczelnym polskiego wojska, postanowił towarzyszyć Napoleonowi nie dalej, jak do granicy Francyi. Gdy po przemówieniu Napoleona całe wojsko krzyknęło, że go nie opuści, x. Sułkowski wziął dymisyę i powrócił do kraju. (W. Z.)

II

X. ADAM CZARTORYSKI I KONGRES WIEDEŃSKI

«Ojcu x. Adama Czartoryskiego, x. Adamowi Kazimierzowi, jenerałowi ziem podolskich, za okazaną Kościuszce w czasie powstania przychylność i nieprzystąpienie do sejmu grodzieńskiego, skonfiskowano wszystkie dobra w zaborze moskiewskim. Kiedy zaś Austrya upomniała się o ten gwałt zadany jej poddanemu[1]), Katarzyna, skłaniając się niejako do żądania Austryi, obiecała przywrócić majątek Czartoryskim, wszakże pod warunkiem, że młodzi ich synowie, Adam i Konstanty, przeniosą się pod panowanie Moskwy i do Petersburga przybędą.

Ciężkie było położenie Czartoryskich. Trzeba im było wybierać między rozstaniem się z synami a konfiskatą majątku; jedno zaś jak drugie o wiele większą miało doniosłość, niżby zdawać się mogło. Konfiskata dóbr na Litwie i Wołyniu nie ograniczała się dla x. jenerała na utracie posiadłości, które ostatecznie tylko część jego majątku stanowiły. W owym czasie sąsiednia szlachta powierzała magnatom swe oszczędności. Kapitały, od których x. jenerał opłacał procenta obywatelstwu, liczyły

[1]) X. jenerał ziem podolskich, wskutek przejścia znacznej części dóbr pod panowanie Austryi, został poddanym austryackim. Miał sobie nawet nadany w 1808 r. przez Austryę, jakoby odpowiadający godności piastowanej w ojczyźnie, tytuł feldmarszałka i był właścicielem jednego pułku piechoty.

się na miliony; przejście licznych jego włości w ręce wroga byłoby spowodowało doszczętną ruinę mnóstwa obywateli. Wobec takiej ostateczności x. jenerał postanowił wysłać synów do Petersburga.

Skazani tedy zostali młodzi Czartoryscy na przebywanie u nienawistnego dworu Katarzyny, wśród zwycięzców, wrogów, prześladowców własnej ojczyzny, jako zakładnicy, jako jeńcy prawie, a żyli tam pod tak ścisłym dozorem, że nawet ich rodzinna korespondencya ulegała kontroli. Jednakowoż, mimo ich wyjazdu do Petersburga, mimo pewnych grzeczności świadczonych im jako krewnym żyjącego jeszcze wówczas króla Stanisława Augusta, konfiskata na razie nie została zniesioną. Katarzyna, zapytana o powód, oświadczyła, że czeka, aż się młodzi Czartoryscy do służby zaciągną. Z boleścią serca ulegli i tej konieczności. Wtedy dopiero zwrócono dobra x. jenerałowi.

X. Adam, który już w 1792 r. służył jako major pod jenerałem Zabiełłą, został przydzielony do boku starszego wnuka carowej, a przyszłego następcy tronu, w. x. Alexandra; młodszy zaś brat jego, Konstanty, do boku w. x. Konstantego. Godność, powaga, pewien smutek spokojny, przy niezaprzeczonej wyższości umysłowej i znajomości świata europejskiego, wnet ujęły Alexandra dla przydzielonego mu do boku, starszego o lat kilka, x. Adama.

Śmierć Katarzyny 1796 roku zastała już między Alexandrem a x. Adamem taką przyjaźń i poufałość, że, wkrótce po wstąpieniu na tron, car Paweł, dla przerwania tego stosunku, zamianował x. Adama posłem przy dworze turyńskim. Wyjechał x. Adam, ale przed wyjazdem otrzymał od carewicza obietnicę, że tenże, skoro obejmie carskie berło, uwolni go od przymusowej służby moskiewskiej, a Polakom postara się wynagrodzić, o ile podobna, utratę niepodległości. Poselstwo przy dworze sardyńskim x. Adam sprawował nie w Turynie, ale w ró-

żnych miejscowościach Włoch, gdzie wypędzona przez Francuzów królewska rodzina tułać się musiała. Wkrótce, w 1801 r., goniec petersburski przywiózł x. Adamowi, wraz z wiadomością o zbrodni na Pawle dokonanej, paszport własnoręcznie przez cara podpisany i wezwanie, aby natychmiast do Petersburga przybywał. X. Adam pospieszył z powrotem, a Alexander oświadczył mu, że otoczony mordercami ojca w nim jednym spodziewa się znaleźć potrzebną pomoc i radę do piastowania zakrwawionego berła. Nadaremnie przypominał x. Adam daną mu poprzednio uroczystą obietnicę, że Alexander, gdy carem zostanie, uwolni go przedewszystkiem w dowód przyjaźni od nienawistnej mu służby. Stanęło na tem, że x. Adam zgodził się pozostać przy Alexandrze tymczasowo bez żadnego urzędu. Alexander zwolnił go od służby wojskowej, którą x. Adam opuścił ze stopniem jenerał-lejtnanta, uzyskanym prostem starszeństwem, wskutek zdegradowania przez cesarza Pawła niezliczonej ilości starszych jenerałów. Jednocześnie x. Konstanty Czartoryski został uwolniony w stopniu jenerał-majora. Chcąc utrzymać swoją niezależność, x. Adam uchylił się od wszystkich osobistych łask cara. I tak, nie przyjął nominacyi na rzeczywistego radcę stanu, ani pałacu Michajłowskiego, przedstawiającego kilkumilionową wartość, którym Alexander chciał go obdarzyć.[1])

Wkrótce potem dobrał sobie Alexander kilku młodych panów moskiewskich, za granicą wykształconych, a w oczach jego nie skalanych zabójstwem ojca, w którem miała udział cała niemal starszyzna petersburska i wszyscy wyżsi urzędnicy.

Należeli do tego młodego grona dwaj hrabiowie Strogonowowie, Nowosilcow, hr. Koczubej, mniej młody,

---

[1]) Niebieską wstęgę orderu Orła białego przyjął x. Adam później, już po utworzeniu Królestwa Polskiego i to niechętnie, pod naciskiem cara.

ale odznaczający się szlachetnością, i inni. Z nich utworzył sobie Alexander tajną przyboczną radę. A jakie w tem gronie panowały wyobrażenia i zamiary, miarkować można z tego, że niektórzy członkowie nazywali się między sobą komitetem publicznego bezpieczeństwa *(Comité de salut public)*. Nauki francuskich filozofów, zachęcanych przez Katarzynę i samegoż Pawła, zostawiły na dworze petersburskim taką po sobie pamięć, takie zapatrywania, że wszystkie zbrodnie rewolucyi francuskiej nie zdołały zachwiać współczucia dla niby nowej, wywołanej przez nią ery wolności. Podobne współczucie żywiono w Petersburgu dla republikanów amerykańskich. Zapewne, że imiona Washingtona, jenerała Lafayette, nawet Kościuszki i Pułaskiego usprawiedliwiały te uczucia, ale z drugiej strony wierzyć można, że działał tu i «nastajaszczy» instynkt Moskwy, sprawiając, że owi liberalni Moskale patrzyli ze skrytą radością na oderwanie się od Anglii Stanów Zjednoczonych, jako też na rewolucyę francuską, w nadziei, że ani Anglia, ani Francya nie wrócą potem do pierwotnej potęgi.

Jednem z pierwszych dzieł Alexandra było utworzenie na wzór rządów europejskich, nie istniejących dotąd w Petersburgu ministerstw, a że nie śmiał zrazu pominąć dawnych urzędników, przeto ustanowił przy ministrach jakoby pomocników pod nazwą adjunktów i takimi mianował członków swojej młodej a poufnej rady.

Adjunktem spraw zagranicznych został x. Adam, podczas gdy ministrem tego departamentu był hr. Woroncow, który, poznawszy wolę cara, życzliwie przyjął dodanego mu adjunkta. Od 1803 r. x. Adam sam już pełnił obowiązki ministra, wszakże nie inaczej dał się nakłonić do przyjęcia zarządu spraw zagranicznych Moskwy, jak po otrzymaniu wprzód od Alexandra kierunku nad wychowaniem publicznem we wszystkich krajach polskich pod zaborem moskiewskim.

Ministeryum oświaty podzieliło państwo rosyjskie na kilka kuratoryi i uniwersytetów. Jedną z kuratoryi

stanowił uniwersytet wileński ze wszystkiemi szkołami cywilnemi i duchownemi w ośmiu ówczesnych guberniach polskich. Tę to kuratoryę uniwersytetu wileńskiego objął w 1802 r. x. Adam. Uniwersytet wileński, niegdyś przez Stefana Batorego utworzony, a przez zabór zniesiony, odżył wtedy na nowo. W całej kuratoryi język polski wyłącznie był używany; rosyjskiego uczono, jak innych obcych języków. Minister oświaty, Zawadowski, rodem z Ukrainy, jakby natchniony duchem, który ożywiał samego cara, w okólnikach swoich lub przemowach, gdy objeżdżał polskie szkoły, pisał i mówił z zapałem o «szlachetnej narodowości polskiej».

Zajęcia w ministeryum spraw zagranicznych nie przeszkadzały x. Adamowi objeżdżać szkół i osobiście przewodniczyć egzaminom, na których występował jako stróż polskości, zdumiewając wszystkich podniosłością poglądów na wychowanie narodowe. Dzielnym, niezrównanym współdziałaczem x. Adama w tym kierunku był Tadeusz Czacki, twórca w szczególności liceum krzemienieckiego i innych szkół na południu kuratoryi.

W Wilnie Jan i Andrzej Śniadeccy, Jundziłł, Groddeck, Frank, Gołuchowski, Lelewel itd., w Krzemieńcu Czacki, Feliński, ksiądz Osiński, Korzeniowski, kolejno zajaśnieli jako uczniowie lub profesorowie, a obywatelstwo polskie z zapałem składało ofiary potrzebne do rozwoju zakładów naukowych. Odżył w nich istotnie duch polski; między uczniami, jak i między licznemi szkołami, obudziło się zbawienne współzawodnictwo.

Szkoły były wówczas naszą ostatnią twierdzą narodową. Nie było dla nas innego przytułku, żadna skądinąd nie jaśniała nadzieja. Mógł więc x. Adam słusznie przypuszczać, że w tych szkołach czysto polskich tkwi główna podstawa narodowości i dla tego, jako Polak, na tem polu przedewszystkiem oczekiwał największych korzyści dla ojczyzny.

Wprawdzie przed kilku laty, jeszcze za bytności x. Adama na dworze sardyńskim, walczył przy wojsku

Rzeczypospolitej francuskiej legion polski, na którego czele odznaczał się Dąbrowski. Legion ten, po porażce Francuzów pod Trebią, zasłaniał ich odwrót przeciwko naciskającej pod Suworowem sile moskiewskiej. Ale rządy Francyi tak republikańskiej jak i napoleońskiej okazywały się, jeśli nie przeciwnemi, to przynajmniej obojętnemi na losy ojczyzny walczących za nią Polaków. Póki wojna trwała, werbowano ich, formowano polskie legiony we Włoszech, nad Renem, nad Dunajem, ale kiedy chodziło o zawarcie pokoju czy z Austryą, czy z Moskwą, rozwiązywano te legiony, albo je oddawano pod rządy nowotworzonych państw we Włoszech, lub wreszcie wysyłano aż do San Domingo na pastwę zabójczego klimatu. Co więcej, sam Bonaparte wdzięczył się do cara, któremu, winszując wstąpienia na tron, odesłał wszystkich jeńców w nowych, sprawionych im kosztem Francyi mundurach.

Przestali też Polacy garnąć się do wojska francuskiego; pozostało w niem zaledwie kilku oficerów polskich. Nawet Kniaziewicz, dzielny dowódca legionu nadreńskiego, okryty chwałą w 1800 r., opuścił służbę francuską.[1]) Natomiast w wojsku moskiewskiem, bądź z własnej chęci, bądź z przymusu, służyło w owym czasie wielu Polaków.

X. Adam upatrywał w wojnie między Francyą a mocarstwami, które podzieliły Polskę, najsilniejszą dla Alexandra pobudkę do jednania sobie przychylności Polaków. Z tych względów z radością niemal przystąpił, jako minister spraw zagranicznych Moskwy, do koalicyi, którą Anglia przygotowywała pod rządami Pitta przeciwko Napoleonowi.

X. Adam, obeznany ze stosunkami angielskiemi przez wychowanie i pobyt w Anglii, był w oczach rządu angielskiego najlepszym pośrednikiem do zawiązania przymierza z Moskwą. Stanęło ono w 1805 r. między Anglią,

---

[1]) Cesarz Alexander czynił Kniaziewiczowi świetne propozycye, ale ten, nie chcąc walczyć przeciw Francyi, odrzucił je.

Austryą i Moskwą, a Anglia, jak zwykle, zobowiązała się milionami zasilać sprzymierzeńców. Gdy wskutek tego przymierza Alexander na czele wojska moskiewskiego wyruszył na odsiecz Wiednia, x. Adam towarzyszył mu w tej wyprawie.

Alexander, prawdopodobnie chcąc ująć sobie ministra i przyjaciela a, jak go nazywał, swego «mentora», zatrzymał się w pochodzie do Wiednia na parę tygodni w Puławach, najgłośniejszych może naówczas w Polsce z gorącej miłości ojczyzny, najżywiej przypominających jej przeszłość, oraz obowiązek służenia jej i pracowania nad jej odrodzeniem. Zatrzymanie się Alexandra w Puławach wynikało także po części z wątpliwego względem koalicyi usposobienia Prus. Prusy ze zwykłą sobie chytrością, chociaż dla Francyi zawsze niechętne, to oglądały się z bojaźnią na oręż Napoleona, to łakomiły się na ofiarowany im przez niego Hanower, wraz z innemi państewkami niemieckiemi, z których Napoleon radził utworzyć cesarstwo północne.

X. Adam namawiał Alexandra, by Polaków z pod pruskiego zaboru, a mianowicie x. Józefa Poniatowskiego, mieszkającego w Warszawie, powołał do powstania przeciwko Prusom. Alexander, zniecierpliwiony wahaniem się Prusaków, chętnie przyjął tę radę. Jakoż w istocie x. Adam z Puław wyprawił potajemnie p. Orłowskiego do Warszawy do x. Józefa z propozycyą i zawiadomieniem, że Austrya na to powstanie daje swe przyzwolenie, a Anglia przeznacza całe subsydyum, jakie ofiarowała się wypłacić Prusom w razie czynnego ich przystąpienia do przymierza. Alexander zaś obiecywał, jeśliby Warszawa z zaborem pruskim powstała, przyłączyć takowy do swoich polskich posiadłości i odrazu ogłosić się królem polskim.

X. Józef nie przyjął wprawdzie ofiarowanych mu na rozpoczęcie powstania funduszów, a przynajmniej użycie ich do późniejszej decyzyi odłożył, ale gotowość naj-

zupełniejszą oświadczył. Nie stąd jednak odrodzenie Polski miało wziąć swój początek.

Moskale, otaczający Alexandra, zazdrośni o wpływ x. Adama, a bardziej jeszcze nienawiścią przejęci dla szlachetnego usposobienia cara względem Polski, pospieszyli ostrzedz króla pruskiego o grożącem mu niebezpieczeństwie. Wnet zmieniło się usposobienie i zachowanie Prus, skutkiem czego Alexander z Puław pojechał do Berlina i ostatecznie skłonił Prusaków do podpisania zaczepnego, acz tajemnego jeszcze przymierza przeciwko Francyi, poczem pospieszył wziąć osobistą komendę nad wojskiem swem, znajdującem się już w Morawii.

Tak więc miesięczny pobyt Alexandra w Puławach i wszystkie usiłowania ku połączeniu sprawy polskiej z jego sprawą spełzły na niczem. Pozostała tylko w Puławach pamięć posuniętych do najwyższego stopnia oznak poważania, jakich młody car nie szczędził sędziwym rodzicom swego ministra i przyjaciela, upierając się np. całować w ręce nie samą tylko xiężnę, ale i x. jenerała, mieniąc się «szczęśliwym, że był przypuszczony do rodziny przyjaciela, którego mu zesłała Opatrzność». Ze swojej strony Czartoryscy starali się ujmować go wszystkiem, co do podniesienia, zagrzania i umocnienia szlachetnych jego, acz zbyt wątłych i romantycznych, uczuć służyć mogło.

Mimo zawiedzionych nadziei x. Adam nie opuścił cara w chwili rozpoczynającej się wojny, a kiedy połączone wojska Austryi i Moskwy, na głowę pod Austerlitz pobite, poszły w rozsypkę, Alexander, od całego sztabu i służby opuszczony, przez dwa dni po błotach i lasach się błąkając, jednego tylko miał przy sobie nieodstępnego towarzysza, x. Adama.

Austrya przyjęła w Wiedniu narzucone jej przez Napoleona warunki pokoju. Alexander z wojskiem ustąpił w granice własnego państwa. Tymczasem król pruski, Fryderyk Wilhelm, korzystając z tego, że pospiech dwóch

sprzymierzonych wojsk, nie dał mu czasu do połączenia się z niemi, wyprawił posła do Napoleona z powinszowaniem mu zwycięstwa. Napoleon, odbierając z rąk p. Haugwitza list króla pruskiego, rzekł: «Rozumiem, jest to list, któregoście adres zmienili». Nie minął i rok, gdy w 1806 Napoleon nagromadzone przeciw Austryi wojska rzucił na Prusy, rozbił je pod Jeną, zajął Berlin i przeniósł kwaterę główną do Poznania.

Jednocześnie przednia straż francuska, złożona z dwóch korpusów, pod Muratem i x. Montebello, docierała do Warszawy. Montebello, syt sławy i dostojeństw, z niechęcią patrzał na zapuszczającego się w tak dalekie strony wodza. Najbardziej był przeciwny podniecaniu Polaków do powstania, wszystko w Polsce czarno mu się przedstawiało: pola niezmierzone, na których nieliczna jazda francuska nie podoła pruskiej i moskiewskiej, kraj ubogi, miasteczka drewniane, otwarte, a co najgorsza, znany, niepoprawny brak jedności między Polakami. Przeciwnie Murat w raportach do Napoleona przedstawiał powszechny zapał mieszkańców, gotowść do ofiar, żyzność kraju, zawołaną dzielność naszej jazdy; widocznie marzył dla siebie o koronie polskiej.

Napoleon w Poznaniu wahał się. Wątpił, by naród, który tak marnie utracił niepodległość, mógł naraz odżyć; nie wiedział, jak w obec zagniewanej Moskwy odbudować państwo polskie. Deputacyi przybyłej z Warszawy i Wielkopolski, proszącej o opiekę nad Polską i wskrzeszenie jej, nie dał żadnej stanowczej odpowiedzi, tylko, rzuciwszy okiem na ubranie posłów z francuska dworskie, na trzewiki i jedwabne pończochy, rzekł: «Chcecie być narodem, panowie, wciągnijcie buty, wsiądźcie na koń, pokażcie się!»

Tymczasem Murat, dowiedziawszy się w Warszawie o propozycyach czynionych roku zeszłego Poniatowskiemu przez Alexandra, doniósł o nich Napoleonowi. Własnoręczny list Murata, dotyczący tej sprawy, znajduje się w archi-

wach ministeryum wojny w Paryżu. Opowiada on rzecz całą szczegółowo, mylnie tylko twierdzi, że Alexander zapowiadając odbudowanie Polski, x. Adama na króla jej przeznaczał. Wątpić nie można, że wiadomość ta wpłynęła na postanowienie Napoleona. Uznał, że skoro Polska mogłaby się stać narzędziem cara, to trzeba mu ją wydrzeć i wpływem Francyi odbudować. Wezwał więc x. Józefa do siebie i opatrzył go środkami do formowania pułków polskich. Sprawdziło się oczekiwanie x. Adama: z wojny między Moskwą a Francyą[1]) zajaśniała nadzieja dla Polski, gdyż jak jedna tak druga dla własnego bezpieczeństwa o powołaniu Polski do życia pomyślała.

Szybko stanęły dwie polskie dywizye pod x. Józefem Poniatowskim i Dąbrowskim, i wnet szczęśliwie walczyły pod Pułtuskiem (26 grudnia 1806). Wkrótce potem Alexander, pobity w krwawych bitwach pod Eylau i pod Friedlandem, zażądał pokoju. X. Adam, przekonawszy się, że Alexander ulega wpływom swych doradców moskiewskich, nakłaniających go do zgody z Napoleonem, a nie chcąc podzielać odpowiedzialności za nowy kierunek polityki cara, usunął się jeszcze przed zawarciem traktatu tylżyckiego ze stanowiska ministra spraw zagranicznych.

Usunięcie się Polaka z radością powitane było przez Moskali, otaczających cara; x. Adam zaś mógł odtąd całą uwagę zwrócić na uniwersytet wileński i szkoły od tegoż uniwersytetu zależące. To stanowisko, tak ważne dla zabranych prowincyi pod względem narodowym, nie pozwoliło mu wziąć udziału w sprawach utworzonego traktatem tylżyckim X. Warszawskiego. Usunął się jednak x. Adam w tym czasie od wszelkiej służby politycznej i wojskowej w Rosyi, przebywał po większej

---

[1]) Moskwa i Anglia, jak w 1805 r. Austryi, tak w 1806 i 1807 r. Prusom przychodziły w pomoc.

części w Puławach, a pozostał tylko kuratorem akademii wileńskiej i szkół polskich pod zaborem rosyjskim. Polacy, pod Napoleonem walczący, za złe mu to mieli, że nie przystąpił do X. Warszawskiego, a wszakże przeszłość jego dawała rękojmię, że w postępowaniu swem nie własne, ale ojczyste korzyści zawsze miał na względzie. Niestety, brakło Polakom owego czasu właściwego zrozumienia rzeczy. Wszyscy gotowi byli bić się i umierać za ojczyznę, ale zdawałoby się, że nikt dla niej myśleć nie umiał. To też, jak z jednej strony nie chcieli zrozumieć pobudek x. Adamem kierujących, tak z drugiej strony nie potrafili ocenić znaczenia, jakie mógł mieć x. Józef Poniatowski dla sprawy polskiej, o ile takowa od Napoleona zależała.

X. Józef łączył w swojej osobie wszystkie warunki, potrzebne do wytworzenia polskiej jedności politycznej. Nie był on doskonałym, ale jego cnoty żołnierskie i obywatelskie aż nadto wystarczyć mogły; równego zaś sobie nie miał. Szlachetność i miłość ojczyzny były w nim posunięte aż do bohaterstwa; śmiercią dowiódł tego. Ale za życia nie oddawano mu sprawiedliwości; pierwsi w narodzie odmawiali mu często poparcia, przy którem mógłby był stawiać warunki w imieniu Polski samemuż Napoleonowi.

Gdyby Polacy byli zrozumieli, jak potężne narzędzie dla dobra ojczyzny posiadają w osobie x. Józefa, byliby mogli nierównie większą wagę nadać jego stanowisku. Kto wie, czy Napoleon, widząc całą siłę, całą dzielność Polski, której dla siebie potrzebował, skojarzoną wkoło jednego człowieka, mogącego jednem słowem swojem poruszać lub powstrzymywać miliony polskiej ludności, nie byłby się widział zmuszonym inaczej o losach Polski stanowić. Przy takiem jednozgodnem zaufaniu i poparciu danem przez naród człowiekowi, mającemu takie serce, takie poczucie godności narodowej, jakiego x. Józef życiem i zgonem świadectwo złożył, znaczenie polskiego narodu

w oczach samego Napoleona byłoby się stokrotnie powiększyło.

Nie umieliśmy nigdy między sobą znaleźć naczelnika, a gdy już do wyboru zmusiły nas okoliczności, szukaliśmy go u obcych. Wynieść Piasta nie dozwalały zawiść jednych, nierozum drugich. W tem tkwi przyczyna upadku konstytucyi Trzeciego Maja; z tej przyczyny Napoleon, idąc za objawem woli narodowej, X. Warszawskie oddał rodzinie saskiej. Ten błąd polityczny prawodawców Trzeciego Maja, o który nie ich samych, ale usposobienie całego narodu obwiniać trzeba, dał się nam dotkliwie uczuć długo, bo jeszcze na kongresie wiedeńskim, kiedy tyle panujących rodzin, jak burbońska, sabaudzka, neapolitańska i kilka niemieckich, wróciły do tronu, my jedni, nie mając dynastyi narodowej, nie mieliśmy nikogo, coby w imię zwycięstwa legitymizmu mógł się o Polskę upomnieć. Z dynastyą własną moglibyśmy byli choć część X. Warszawskiego utrzymać.

Kiedy w chwilach stanowczych znajdzie się wśród narodu mąż, urokiem zdolności, zasług, położenia, niezaprzeczenie wszystkich przewyższający, naród mądry, dojrzały, męża takiego wszelkiemi siłami popiera. Kiedy zaś męża takiego wśród siebie posiadając, naród poznać się na nim nie umie, a co gorsza siły swe rozprasza, naród taki mądrym nie jest, ani dojrzałym do niepodległości.

Jeżeli co mogło służyć wtedy za podstawę do odbudowania polskiego państwa, to przysposobienie wojska, które karnością i porządkiem stanowićby mogło wzór i zawiązek przyszłej służby kraju. X. Józef został naczelnym wodzem. Ale Napoleon, zazdroszcząc mu widocznie uroku między Polakami, strzegł pilnie, aby on, bratanek ostatniego króla polskiego, stojący na czele narodowego wojska, nie zamarzył o polskiej koronie. Ile razy przeto nadarzała się do tego sposobność, odbierał z pod jego komendy pułki, a nawet dywizye całe, rozsyłał je na wszystkie strony opanowanych przez siebie

rozległych krajów, wzdychających do niepodległości Polaków zmuszał do zwalczania niepodległości innych narodów, a nadto ściągał do gwardyi francuskiej wybór polskiej młodzieży i upajał ją ponętami paryskiego życia. W niektórych zaś dowódcach polskich znalazł nieszczęśliwą gotowość do wyłamania się z pod komendy rodaka.

W 1812 r. wojsko polskie pod x. Józefem tworzyło piąty korpus wielkiej armii, ale trzecia część tegoż wojska pod Dąbrowskim odrębnie i niezależnie od x. Józefa działała. Z żalem wyznać przychodzi, że w tem, co Napoleon czynił na szkodę Polski i przez obojętność dla niej, znajdował ułatwienie w psotnej zawiści politycznej, w nieprzezorności i lekkomyślności Polaków. A jednak, gdyby Dąbrowski, którego imię w Polsce ma tak świetny i zasłużony urok, okazywał był Napoleonowi w każdej okoliczności, że nie chce osobistego znaczenia z uszczerbkiem dla naczelnej narodowej władzy; gdyby Wincenty Krasiński, młody a szczęśliwy dowódca gwardyi Napoleona, był własną próżność pokonał i poddał się naczelnej władzy polskiej, byliby niemniejsze zapewne względy i znaczenie zdobyli u Napoleona dla samych siebie, a o ileż większe dla wojska polskiego i dla całego narodu!

Napoleon w pochodzie na Moskwę przez obszerne ziemie polskie nie byłby się narażał na obrażanie polskiego uczucia w obec ośmdziesięciu tysięcy polskiego wojska, gdyby Polacy, służąc mu z nieograniczonem poświęceniem, umieli upominać się o to, co ich siłę narodową utrwalić i zabezpieczyć mogło.

X. Józef lepiej, niż ktokolwiek, mógł ocenić, z jakiem lekceważeniem Napoleon szafował krwią Polaków. Od dawna też stracił ufność do niego. Kiedy wychodził z Warszawy na wyprawę przeciw Moskwie i na czele wojska polskiego miał wstępować w zabrane przez Moskwę ziemie nasze, a ojciec nasz winszował mu świetnej otwierającej się przed nim przyszłości, x. Józef odpowiedział

tylko zwątpieniem; mówił o Napoleonie: «Ten człowiek nic dla nas nie zrobi, ani myśli o tem, by co dla nas zrobić, jemu krwi naszej tylko potrzeba. Niepodległości nikomu nie zgotuje».[1])

Po ustąpieniu Francuzów z Moskwy inne dla Polski otworzyły się widoki. W grudniu 1812 r. Alexander, dotarłszy osobiście do Kowna, napisał do x. Adama, chroniącego się podówczas w dobrach swoich sieniawskich w Galicyi. Uznawał względy, którym x. Adam ulegał, póki się Napoleonowi szczęściło, a Polska od niego odrodzenia spodziewać się mogła; ale przy zmienionych okolicznościach zapraszał car x. Adama napowrót do siebie i wzywał go do pomocy w wykonaniu wiadomych mu zamiarów dla Polski. Zapewniał, że trwa niezmiennie w swym ulubionym zamiarze *(projet favori)*.

Wkrótce potem x. Józef z resztkami wojska polskiego dotarł do Krakowa. X. Adam uwiadomił go o liście cara Alexandra. Zawiadamiał tylko, nie radził, co ma czynić. Równocześnie, zamiary Alexandra, obijając się o Berlin, sprowadziły do Krakowa spokrewnionego z domem pruskim x. Antoniego Radziwiłła, który w imie-

---

[1]) Dnia 20 października 1809 na rozkaz Napoleona I, jego minister spraw zagranicznych, de Champagny, pisał do kanclerza Rumiancowa w nocie urzędowej z Wiednia: «Cesarz (Napoleon) nie tylko nie chce budzić myśli, tak od niego dalekiej, o odbudowaniu Polski, ale gotów jest współdziałać z cesarzem Alexandrem w tem wszystkiem, coby się przyczynić mogło do zatarcia na zawsze pamięci Polski w sercu jej dawnych mieszkańców; godzi się na to, by słowa Polska i Polacy zniknęły nie tylko z aktów politycznych, ale z historyi».

Dnia 4 stycznia 1810 Napoleon poleca posłowi swemu w Moskwie, jen. Caulaincourt, by podpisał tajny układ stanowiący, że:

1. Królestwo Polskie nie będzie nigdy odbudowane,

2. Oba rządy czuwać nad tem będą, by nazwy Polska i Polacy nigdy stosowane nie były do dawnych części tego Królestwa i raz na zawsze znikły z wszelkich aktów urzędowych lub publicznych.

Crétineau-Joly w Historyi Ludwika Filipa, przytaczając te depesze, pisze, że, zagrzebane w archiwach, te układy warto wydobyć z ukrycia i historyi przekazać.

niu rządu pruskiego błagał x. Józefa o odstąpienie Napoleona i zawarcie z bronią w ręku osobnych układów o Polskę z Prusami i Moskwą, skłonnemi do względów dla niej.

Bolesnem było położenie x. Józefa, bo jeżeli obowiązek żołnierski względem króla saskiego, któremu jako xięciu warszawskiemu na wierność przysiągł, i względem sprzymierzonego z nim Napoleona nie dozwalał mu na własną rękę z nieprzyjacielem traktować, to wzgląd ten nie przeszkadzał mu widzieć, że przyszłe losy Polski już nie od Napoleona, a mniej jeszcze od króla saskiego zależeć będą.

Wiadomo, że obowiązek żołnierski w sumieniu jego przeważył, że mimo stawianych przez Austryę przeszkód wojsko polskie na pomoc Napoleonowi do Saksonii poszło, że x. Józef śmiercią bohaterską tam poległ; wojsko zaś nasze, skoro Napoleon został pokonany i pokój stanął w Paryżu, w 1814 r., opuściło służbę francuską i, przyjęte do służby Alexandra, stało się zawiązkiem nowego wojska narodowego pod dowództwem w. x. Konstantego.

Ale zrazu w Paryżu nikt jeszcze nie wiedział, jaki los sprzymierzeni monarchowie po odniesionem zwycięstwie dla Polski zgotują. Rozstrzygnięcie sprawy polskiej nastąpić miało na kongresie w Wiedniu.

Chociaż moskiewskie wojska zajęły X. Warszawskie już na początku 1813 r., car zobowiązał się traktatem w Reichenbach nie rościć sobie prawa do stałego posiadania krajów wojną zdobytych.[1]) Wojenne zdobycze

---

[1]) Alexander ustanowił wówczas w Warszawie rząd tymczasowy pod prezydencyą hr. Łanskoja. Wybór członków zdawał się dobre rokować nadzieje. W skład rządu weszli: Wawrzecki, były naczelnik rządu narodowego po wzięciu Kościuszki do niewoli w 1794 r., dalej prezes senatu X. Warszawskiego Ostrowski, Matuszewicz, Gołaszewski, Ossoliński Józef, Staszic, Koźmian, Niemcewicz, a z prowincyi zabranych x. Lubecki. Z Moskali oprócz Łanskoja zasiadał Nowosilcow. (W. Z.)

dopiero po skończonej wojnie, za wspólną umową przejść miały w stałe posiadanie państw, którym zostaną przyznane.

Alexander pragnął jednak, by wśród Polaków wcześnie się objawiła gotowość przyjęcia rządów jego nad X. Warszawskiem i przyłączenia onego do innych części Polski przez Rosyę posiadanych. W tym celu nie szczędził Polakom oznak życzliwości, głośno objawiał chęć odbudowania Polski odrębnej pod wspólnem z Rosyą berłem.

Uwierzył x. Adam tym szlachetnym zamiarom. Ujęty stałym ich wśród najrozmaitszych kolei objawem, połączył się z Alexandrem i na kongres do Wiednia mu towarzyszył.

Chodziło carowi o jednanie Polaków dla swojej polityki. Pomiędzy tymi, których ująć trzeba mu było, w pierwszym rzędzie stał Kościuszko. Ujęcie go tem ważniejszem było, że Kościuszko przez całą epokę X. Warszawskiego stale Napoleonowi, jako Polak, odmawiał poparcia, widząc w nim tylko samoluba i despotę; i chociaż cała Polska ceniła to sobie, że mogły pod Napoleonem tworzyć się polskie szyki i że on je na ziemię polską doprowadził, Kościuszko nie mógł mu przebaczyć tego, że on Polaków lekceważył. Wstręt Kościuszki do Napoleona znajdował niemało usprawiedliwienia w cichem, ale istotnem powątpiewaniu, z jakiem na czyny tego mocarza patrzył x. Adam Czartoryski, który, jak on, nie był nigdy Napoleonowi zawierzył. Daremnie też Napoleon ubiegał się o jakąkolwiek oznakę współdziałania Kościuszki. Kościuszko pozostał nieczynnym, nie podzielał ani wysileń, ani świetnego blasku oręża polskiego. Dopiero gdy Napoleon upadł, gdy Alexander począł w Paryżu zapowiadać odbudowanie Polski pod wspólnem z Rosyą berłem, Kościuszko, widząc x. Adama przy Alexandrze, wszedł w stosunek z xięciem i dał się do Alexandra zaprowadzić.

Mógł zaprawdę Alexander, mając za sobą Kościuszkę i x. Adama, liczyć na ufność i przychylność Polski. Ale

Kościuszko, jakkolwiek ujęty łaskawością Alexandra, a może i wspomnieniem na doznaną od ojca jego łaskę, jakkolwiek z zajęciem przysłuchiwał się temu, co mu x. Adam o dobrych chęciach Alexandra opowiadał, przecież, wiele w życiu przeżywszy zawodów, żądał rękojmi; żądał zapewnień, bez których nie chciał własnego narodu jakoby w błąd wprowadzać. Kościuszko czuł zapewne i słuszne miał do tego prawo, że imię jego dla Polski było siłą; nie chciał zatem i nie powinien był dawać na ślepo poparcia zamiarom nieokreślonym, a nawet dla niego wątpliwym. Im bardziej czuł się odpowiedzialnym, tem bardziej ważył następstwa głośnego po stronie Alexandra wystąpienia.

Alexander, nie mogąc w Paryżu zaręczyć, co na korzyść Polski potrafi przeprowadzić na zapowiedzianym już kongresie wiedeńskim, wezwał Kościuszkę, by sam przybył do Wiednia. Skoro jednak Kościuszko poznał w Wiedniu, że Alexander myślał o utworzeniu Królestwa Polskiego z samego tylko Xięstwa Warszawskiego, że i w tym nawet zamiarze napotykał zaciętych przeciwników, tak we własnych doradcach, jak i w obcych mocarstwach, stanowczo oświadczył, że na takie warunki zgodzić się nie może. W listach do x. Adama, dla wiadomości cara pisanych, zapowiedział wyraźnie, że na to, aby mógł wrócić do Polski i poddać się pod panowanie Alexandra, żąda, by Alexander, biorąc polską koronę, przyłączył do niej wszystkie ziemie przedrozbiorowej Polski, w posiadaniu Moskwy zostające, i nadał im konstytucyjną ustawę, na mocy której związek Polski z Moskwą stałby się podobnym do tego, jaki istniał między Węgrami a Austryą. Okazało się niebawem, że Kościuszko słusznie zamiarom Alexandra nie dowierzał.

Zrazu konferencye na kongresie toczyły się bez końca i bez konkluzyi. Każde państwo domagało się rozszerzenia własnych granic, bez względu na zaborcze widoki sąsiadów. Moskwa żądała dla siebie Xięstwa Warszaw-

skiego, ale i Prusy, za usługi oddane sprzymierzonym, żądały wynagrodzenia z posiadłości króla saskiego, twierdząc, że za okazaną Napoleonowi wierność należy mu się przykładna kara. Anglia, Austrya, Szwecya stawały w jawnem przeciwieństwie z Moskwą i Prusami. Porozumienie zdawało się niemożebnem.

Co do Polski, trzy na pozór, a właściwie dwa wnoszone były projekty. W jednym z nich przyznawano, dla formy jedynie, że Polsce należałoby zwrócić dawny jej byt i granice. W istocie zaś zdania dzieliły się między tych, co się domagali zupełnej zagłady imienia polskiego, a tych, co choć w części i pod rozmaitemi rządami chcieli istnienie polskiej narodowości zabezpieczyć.

Nie miała Polska na kongresie urzędowego przedstawiciela ani pełnomocnika, bo już i śladu własnego rządu nie posiadała. Pomimo to, jej prawa i krzywdy zadziwiający jeszcze odgłos znajdowały w sumieniu publicznem, a losy jej z rąk Francyi wytrącone znalazły w Alexandrze potężnego i w pewnej mierze szczerego opiekuna. Oznajmiał on, że z Xięstwa Warszawskiego utworzy Królestwo Polskie i takowe do swej cesarskiej korony przyłączy, że chociaż część onego z Poznaniem, Gdańskiem i Toruniem gotów jest odstąpić Prusom, to natomiast wcieli do Królestwa resztę swoich polskich posiadłości, a Królestwu nada ustawę konstytucyjną na wzór tej, jaką Francya od Ludwika XVIII otrzymała.

Ale wzrost potęgi moskiewskiej zaczynał niepokoić państwa europejskie; pokonawszy Francyę, nie chciały dopuścić, aby Moskwa po niej przewagę odziedziczyła. Uważały, że rozszerzenie posiadłości cara niemal po Odrę zagrażałoby niepodległości Niemiec, że potęga Moskwy o tyle groźniejszą stačby się mogła, o ile Alexander potrafiłby Polaków ująć sobie i z nowym losem pogodzić To też lord Castlereagh i x. Metternich silny opór zamiarom Alexandra stawiali; wreszcie Anglia zawarła (3 stycznia 1815) z Austryą i Francyą tajemne przy-

mierze w celu przeszkodzenia, choćby wojną, ich urzeczywistnieniu. Anglia przekładała sprzymierzonym, że woli ostateczne rozszarpanie Polski, niż wskrzeszenie jej na korzyść Moskwy. A wszakże członkom świętego przymierza, głoszącym się przed światem rycerzami sprawiedliwości, niełatwo było dla własnych tylko widoków pomijać bez ogródki zbrodnię na Polsce dokonaną i prawa jej niemniej od innych święte. Urzędowe przeto noty Anglii, Austryi, nawet Prus, przyznawały wszystkie, że niema świętszej sprawy nad sprawę polską, że przywrócenie państwu temu całości i niepodległości najlepiejby odpowiedziało uczuciom i zasadom świętego przymierza. Piękne to były słowa, ale jakże dalekiem od uczuć i zdań, przez nie wyrażonych, pozostało postępowanie dyplomatów na kongresie, na przykład plenipotenta Anglii. Hołd był oddany zasadom, ale wyznawano zarazem, że te zasady do praktyki wprowadzić się nie dają, że roztropność nakazuje stłumić te uczucia, że jakkolwiek pożądanem byłoby przywrócenie narodowi polskiemu wydartej mu niepodległości, dzieło to przechodzi możność wykonania.

Pod pozorem, że odbudowanie Polski w granicach przedrozbiorowych jest niepodobieństwem, pełnomocnik angielski i inni podobnież przeciwili się zacięcie nawet cząstkowemu wymierzeniu Polsce sprawiedliwości, do jakiego Alexander namawiał Europę. Głosili, że skoro Polakom wrócić niepodległości niepodobna, lepiej nawet dla nich samych zerwać zupełnie z przeszłością, niżeli według założenia Alexandra przywracać im prawa narodowe bez narodowego istnienia. I tak, dochodziły sprzymierzone państwa do wniosku, że, jeżeli nie najsprawiedliwiej, to w każdym razie najdogodniej będzie wrócić do rozbioru Polski z 1795 r.

Krzywda Polski, wzgląd na należną jej sprawiedliwość, na uczucia polskiego narodu, na złożone świeżo dowody jego ducha i bitności, wreszcie na niebezpieczeństwo wyniknąć mogące z odmówienia mu wszelkiej słu-

szności, to wszystko w oczach zgromadzonych przedstawicieli Europy nic nie ważyło w porównaniu z przyzwoleniem na rozszerzenie granic Moskwy ku Europie, na stałe przez nią owładnięcie Xięstwa Warszawskiego. Nie zmniejszała wstrętu tego zapowiedź Alexandra, że Polska pod jego berłem będzie odrębnem państwem, że moskiewski carat jej nie pochłonie; owszem zamiary te Alexandra o tyle więcej budziły obawy, że je Polacy witali radośnie, o czem świadczyła obecność x. Adama i jawnie przez niego Alexandrowi okazywana przychylność. Domyślano się, że przyznanem sobie berłem polskiem Alexander już nie tylko nabędzie byłe Xięstwo Warszawskie, ale owładnie całą Polskę dawną, i, jeżeli nie zaraz, to w danym czasie przyciągnie do siebie, do swej polskiej korony, cokolwiek Austrya i Prusy przez rozbiór Polski nabyły. Do tyla sprawiedliwości nie poczuwała się dyplomacya Europy, chociaż na zasadach świętego przymierza i podobnych zapowiadała, że odtąd wszystkiemi rządami ma władać sprawiedliwość.

X. Adam Czartoryski, widząc, że sentymentalne oświadczenia pełnomocników Anglii, Austryi i Prus, którym w lepszej może wierze, ale bezsilnie, potakiwał pełnomocnik Francyi, x. de Talleyrand, prowadzą tylko do bezwarunkowego nowego rozbioru, tem silniej przywiązywał się do zamiarów Alexandra i wierzył w ich rzetelność, im więcej przekonywał się, że Alexander trwa w nich, mimo iż jego moskiewscy doradcy czynią jednozgodne usiłowania, by go skłonić do polityki przeciwnej. Jednym z tych, co najsilniej przekładali Alexandrowi zgubne następstwa jakichkolwiek względów dla Polski, był Pozzo di Borgo, Korsykanin, który przyjęcie swe do dyplomacyi rosyjskiej zawdzięczał w części x. Adamowi.

Obecność x. Adama przy boku Alexandra nie była na rękę Moskalom i Niemcom. X. Adam był dla nich jakby widmem zamordowanej Polski, a jednak, skoro był powołany przez samegoż Alexandra, musieli mu okazy-

wać szacunek i względy. Pełnomocnicy Anglii, a mianowicie x. Wellington, nie taili się z niechęcią ku niemu. Zaciętość ich doszła do tego stopnia, że w x. Adamie nie chcieli widzieć Polaka, broniącego sprawy ojczystej, ale go uważali to za dworaka, ślepo oddanego widokom Alexandra, to za zdrajcę prawie.

Cierpliwie znosił x. Adam lodowate zachowanie się sprzymierzonych, a niekiedy i zmienny humor Alexandra; nie opuszczał wszakże żadnej sposobności, żeby wpływem swoim los współrodaków łagodzić. Razu jednego, gdy rozmawiał z lordem Stewart, bratem lorda Castlereagh, ten mu powiedział: «A więc, po prostu mówiąc, skrytym zamiarem waszym przygotować zupełne wyzwolenie się od Moskwy.» X. Adam, nie uznając, żeby takim był ostateczny zamiar jego, odrzekł: «Pragnę wyrobić dla Polski jak największą samodzielność, acz pod jednem z Moskwą berłem; pragnę tego nie tylko na korzyść własnej ojczyzny, ale także na korzyść cesarza rosyjskiego i jego państwa».

Podobne pytania zadawała x. Adamowi siostra cara, xiężna Katarzyna Oldenburska, późniejsza królowa Wirtemberska, osoba obdarzona wysokim rozumem i niepospolitym charakterem. Raz zagadnęła: «Ale z czasem co z tego będzie? Czy ma to was doprowadzić do niepodległości?» Pytaniu temu towarzyszyło spojrzenie pełne przenikliwej ciekawości oraz współczucia, mogącego wzbudzić zaufanie. X. Adam odrzekł, że wspaniałomyślność cara tak do niego przywiąże zapewne serca polskie, że tem samem panowanie jego nad niemi ustali. Ale przyznawał, że stanowisko, jakiego dla Polski pragnie pod berłem Alexandra, powinno być takiem, ażeby na przypadek, że rząd rosyjski innym systemem względem Polski pocznie się kierować, to jest gwałtem i bezprawiem, Polacy mieli sposób bronienia i utrzymania nadanych im przywilejów i że w takim razie oderwanie się istotnie byłoby możliwe.

Gdy nakoniec sprzymierzone państwa przekonały się ostatecznie, że podziału Polski w dawnem rozgraniczeniu bezwarunkowo przeprowadzić nie zdołają, gdy skądinąd odbudowanie całej i niepodległej Polski nie miało żadnego poparcia, a nawet, ze strony dwóch przynajmniej rządów, na stanowczy natrafiało opór, pełnomocnicy angielscy i sam x. Metternich chwycili się wreszcie zamiarów Alexandra.

Przestali się sprzeciwiać rozbudzeniu na nowo narodowego ducha w Polsce, jak to czynili na początku kongresu; przestali twierdzić, że ono skazywałoby Polaków na daremne tylko męczarnie. Ale bądź co bądź uważając, że przez zjednoczenie się Polaków z Moskwą potęga cara stałaby się groźną dla Europy, postanowili z narodu polskiego zrobić zaporę przeciw Moskwie. Już więc nie poprzestając na obietnicach Alexandra, że narodowość polską uszanuje i konstytucyą ubezpieczy, zapowiadali w notach, które stały się nierozdzielnym komentarzem zawartego następnie traktatu, że ta narodowość na całej przestrzeni dawnej Polski rzetelnie i trwale będzie ubezpieczoną, że naród polski ani z moskiewskim, ani z żadnym sąsiednim nie zleje się w jedno. I tak, najzaciętsi wrogowie Polski, jak również ci, co dla niej obojętnymi się okazywali, nagle wystąpili jako najdbalsi o jej przyszłość.

Pocieszający to dowód wpływu, jaki na złych nawet lub niechętnych wywrzeć mogą zacne usiłowania jednego człowieka. Zrazu zebrane w kongres rządy zgadzały się wszystkie, prócz jednego, na umorzenie samejże pamięci zbrodni podziału Polski; chciały bezprawie uczynić prawomocnem, mimo że głośno przyznawały, iż podział Polski jest zbrodnią, a panowanie nad nią obcych — bezprawiem. Sam tylko car, ujęty cnotą jednego Polaka, zapragnął choć w części zrzucić z siebie ciężar przekazanego mu przez przodków bezprawia. Zamiary te omal że nie spowodowały wydania mu wojny. Ale do wojny nie przy-

szło i skończyło się na tem, że przeciwnicy zamienili się w sprzymierzeńców, w zazdrosnych nawet stróżów przyszłości, jaką szlachetna polityka Alexandra Polsce wytknęła. Wiadomo, że do zgody między członkami kongresu przyczyniło się wylądowanie Napoleona na brzegach Francyi, a następnie tryumfalny jego pochód do Paryża. Grożące stąd niebezpieczeństwo pojednało znowu dawnych sprzymierzonych; ustały jednych przeciw drugim tajne knowania, jedno wszystkich owładnęło pragnienie: powtórnego, a już ostatecznego zwalczenia Napoleona. Jak zaś poprzednio głównym przedmiotem sporu była Polska i Saksonia, tak teraz przyszło do zgody przedewszystkiem co do Polski i Saksonii.

Stanął jakoby czwarty podział Polski, na pięć odrębnych części ją dzielący. Trzy części trzem zaborczym państwom pozostawiono; dwie zaś, to jest Królestwo Polskie i Kraków, otrzymały rządy własne, istotnie polskie. Nowoutworzone Królestwo, złożone z byłego Xięstwa Warszawskiego, z wyjątkiem Krakowa, Poznania, Gdańska i Torunia, przeszło pod berło cara, ale to połączenie, według brzmienia traktatu, przychodziło do skutku przez konstytucyę Królestwa. Kraków podobnie miał sobie nadaną ustawę konstytucyjną, jako wolne miasto, pod opieką trzech potężnych sąsiadów; ustawa ta dosłownie wciągniętą została do ogólnego traktatu wiedeńskiego.

W traktacie tym, podpisanym przez ośm głównych państw Europy, pierwsza część, licząca niemniej jak czternaście artykułów, wyłącznie stanowi o Polsce. Oprócz tego trzy osobne traktaty między rządami posiadającemi Polskę stanowią również wyłącznie o przyszłych jej losach, a traktat ogólny artykułem 118 wciąga je jakoby dosłownie do brzmienia swego. Umowy te dotyczyły wszystkich części przedrozbiorowej Polski, mianowicie wewnętrznego zarządu każdej z nich, a nadewszystko zabezpieczały Polakom, pod jakiemikolwiek rządami zostającym: narodowość i ustawy reprezentacyjne, zupełną

wzajemną wolność handlu i wodnych komunikacyi, aby wszystkie części dawnej Polski łączyły się materyalnie w jedno ciało, jak, wedle słów traktatu, narodowość łączyła je duchowo.

Gdyby w 1815 r. Rosya przed połączoną Europą ustąpić musiała, przyjętoby niewątpliwie za zasadę nowego układu podział z 1795 r. Że Alexander temu się sprzeciwił, chociażby we własnym interesie, że go w tym oporze x. Czartoryski utrzymał, za to im obu winniśmy wdzięczność niemałą. Bez nich nawet imię Polski nie zostałoby na karcie Europy. W istocie obojętność Europy względem Polski tak dalece była posunięta, że cokolwiek na jej korzyść wcisnęło się do traktatu, to, z boleścią wyznać trzeba, nie przez Europę Moskwie było narzucone, ale Europie wydarte niemal przez moskiewskiego cara za staraniem jego polskiego doradcy. A jak z początku mocarstwa sprzymierzone, z obawy przed wzrostem Rosyi, granice jej co najdalej do Narwi i Wisły posunąć dozwalały, tak później, z obawy przed Napoleonem, zbyt łatwemi się okazały w sprawie polskiej, zbyt prędko oddały Alexandrowi Xięstwo Warszawskie, mało dbając o to, czy zeń osobne Królestwo, czy też prowincyę cesarstwa utworzy. I znowu x. Czartoryskiemu naród jest winien jedynie, że Alexander, czy to upomniony pismami i mowami publicystów angielskich, przez xięcia wywołanemi, czy, ulegając przedstawieniom samegoż xięcia, dał się skłonić do zapisania w traktat wiedeński szlachetnych i wielce dla nas korzystnych przyrzeczeń, pod któremi Xięstwa Warszawskiego stał się panem. Dziwiła się Europa, kiedy te warunki Alexander dobrowolnie sobie nakładał, bo w istocie nie częsty jest w historyi traktatów przykład, aby zwycięzca zobowiązywał się uroczyście do tego, w jaki sposób ma dzierżyć zdobyte przez siebie prowincye.

Imię Polski, przywiązane wprawdzie do małego tylko Królestwa, ale od zagłady uratowane; odrębne istnienie

Polaków we wszystkich częściach przedrozbiorowej Polski zagwarantowane; wojsko i administracya Królestwa Polskiego wyłącznie polskie; Litwie i Rusi zapewnione wychowanie polskie i tam nawet zachowana odrębność wojska, zapowiadająca w blizkiej przyszłości połączenie pod jedno berło z Królestwem: takie były owoce zachodów x. Adama, zdobyte na kongresie wiedeńskim. Nie miała Europa interesu sprzeciwiać się temu, przystała więc, podzielając jakoby rojenia Alexandra, a może licząc na to, że on sam sobie na tej drodze gotuje nieuniknione trudności.

Układ tak skomplikowany, wynikający z zasad i dążności z sobą niezgodnych, znalazł jednak wielu przeciwników. Zarzucano mu, że nie miał w sobie warunków stałości, że ostatecznie kwestyę polską zostawiał nierozstrzygniętą, lecz zarzut ten można zastosować do wszystkich dzieł owej epoki. Żadnych prawie trudności wówczas nie rozwiązano, załatwianie ich odkładając na później. Błąd niemniej ważny był w tem, że kongres, podniósłszy kwestyę polską w całości, a rozwiązawszy ją tylko warunkowo, nie uwzględnił, że wykonanie tego dzieła potrzebuje rękojmi. Ponieważ Europa wzięła pod swoją opiekę Polaków, którzy traktatu nie podpisywali, sama powinna była zastrzedz sobie prawo interwencyi w sprawie Polski i wykonywać je.

Nim jeszcze w Wiedniu stanęła ugoda, nim nowe Królestwo Polskie policzone było do krajów przez Europę uznanych, Alexander, wywiązując się z danych w Paryżu przyrzeczeń, organizował już, ze szczątków wojsk Xięstwa Warszawskiego, nowe wojsko polskie dla przyszłego Królestwa. W. x. Konstanty, odesłany z Wiednia, gdzie w rozmowach z x. Metternichem o sprawie Polski jakichś gwałtowności się dopuścił,[1]) przybywszy do Warszawy

---

[1]) Jak niosła pogłoska, policzkiem go zaszczycił. Sławny podówczas w Warszawie z dowcipu Żółkowski oznajmił przybycie Kon-

wydał odezwę do Polaków (grudzień 1814), ażeby pod broń spieszyli dla ubezpieczenia ważących się w Wiedniu losów Polski. Do komitetu organizacyjnego powołano jenerałów Xięstwa Warszawskiego: Zajączka, Dąbrowskiego, Wielhorskiego, Wojczyńskiego, Kniaziewicza, x. Sułkowskiego, a także x. Giedroycia i Sierakowskiego z Litwy. To polskie narodowe wojsko Królestwa miało być rękojmią życia i przyszłości Polski.»

---

stantego, mówiąc: «Przybył do Warszawy skulptor, który doskonale Metternicha trafił».

III

DOM RODZINNY (1814—1816)

«Na początku 1814 r. zawiózł ojciec nas, czterech synów, do Warszawy, gdzie, otrzymawszy w posagu żony pałac Błękitny w opłakanym stanie, niezwłocznie przedsięwziął przebudowę jego, zaczynając od piwnic, których wcale nie było. Na odbudowanym pałacu położył napis: «Roku odbudowania Królestwa». Matka nasza pozostała czas jakiś w Krakowie, ale niebawem i ona do Warszawy za nami podążyła i zajęła w pałacu Błękitnym wschodnie skrzydło, naprędce dla niej przygotowane.

Na lato ojciec osadził nas w Wilanowie, gdzie nam państwo Potoccy [1]) mieszkanie w oficynie pałacu ofiarowali. Zostaliśmy tam do późnej jesieni. Służbę przy nas i dwóch nauczycielach pełnił stary Kościuszkowski żołnierz, Krakowiak, Szymon, nie tylko poczciwy z kościami, ale na wiek swój żwawy, pracowity i wesoły, pełen opowiadań z żołnierskiego życia, dziwnie roztropny i porządny, a nie dający sobą poniewierać. Wstawał przededniem, nas budził na oznaczoną godzinę, śniadanie, obiad i kolacyę z poblizkiej austeryi przynosił, sam wszystko czyścił, a gdy popołudniu na godzinkę kładł

---

[1]) Stanisław, podstoli w. k., prezes ministrów za X. Warszawskiego, późniejszy minister oświecenia i prezes senatu Królestwa Polskiego (1752—1821), i Alexandra z Lubomirskich, marszałkówna w. k., córka x. Stanisława i Izabelli z Czartoryskich.

się spać, samiśmy spoczynku jego pilnowali. Gospodarstwo nasze było porządnie, ale ze ścisłą oszczędnością prowadzone. Ojciec nasz szczególniej przestrzegał tego, abyśmy się do żadnych zbytków nie zaprawiali. Było o to nieraz narzekanie i matka wstawiała się za nami, ale ojciec był niewzruszony.[1]) Do zabaw naszych w Wilanowie przyłączał się często wnuk państwa Potockich, August. Sama pani Stanisławowa Potocka, siostrzenica x. jenerała Czartoryskiego, była bardzo na całe nasze młode grono łaskawą, jak również synowa jej Anna, z domu Tyszkiewiczówna, żona Alexandra Potockiego, matka Augusta, Maurycego i Natalii, późniejszej x. Romanowej Sanguszkowej.

Na zimę przenieśliśmy się znów do Warszawy. Ojciec, trzymając się stałej swej zasady, osadził nas daleko od pałacu, w starym, ponurym domu przy ulicy Freta, naprzeciwko Dominikanów, gdzie, jak zwykle, ścisły porządek szkolny zaprowadził.

Obok nauk, śledziliśmy z zajęciem wielkie współczesne wypadki europejskie, wygnanie Napoleona na wyspę Elbę, początek kongresu wiedeńskiego. Wieści, dochodzące z Wiednia, zaczęły krzewić nowe nadzieje w kraju. Zapewniano, że Alexander chce przybrać tytuł króla polskiego, a nie przypuszczano, aby nie miał zostać królem całej Polski. Wieści te dochodziły nas jakby z pierwszej ręki, bo przez matkę naszą, z listów x. Adama, o którym matka mówiła nam zawsze z uwielbieniem, gdyż prócz miłości miała dla niego cześć największą.

Ojciec o polityce mało mówił z nami i nigdy nie rozprawiał o niej, ale widocznie miał na myśli budzenie

---

[1]) Przechował się z owych czasów list, w którym Władysław Zamoyski pisze do siostry: «Szatkowski (kucharz) czasami grozi, że obiadu wcale nie ugotuje, a jak ugotuje, to dość zły zazwyczaj. Często od stołu wstajemy głodni, bo jak co jest dobre to tego za mało, a jak złe, to nikt jeść nie może».

w nas wszystkiego, coby do życia obywatelskiego sposobić nas mogło. Świadomy stosunku, istniejącego między x. Adamem a carem Alexandrem, skłonny był do zawierzenia dobrej woli raczej cara, niż Napoleona, względem Polaków.

Nagle wiadomość o ucieczce Napoleona z wyspy Elby, o wylądowaniu jego we Francyi na czele trzystu ułanów polskich, wzruszyła znów całą Polskę, a nie najmniej nas, mieszkańców Fretowskiej ulicy. Kto nie widział, kto nie zapamiętał uroku, jaki Napoleon wkoło siebie wywierał, może dziwić się współczuciu, jakie wzbudzał powszechnie wśród Polaków. Wprawdzie ludzie doświadczeńsi, roztropniejsi, zarzucali mu, że mimo powodzenia i potęgi nic dla Polski czynić nie chciał, a przynajmniej wiele zaniedbał uczynić, ale ogół go tak surowo nie sądził. Pamiętano tylko, że pod jego gwiazdą Polacy okryli się sławą, a rozumiano, że sława, dobre imię, głośne przed światem świadectwo niepokonanej wierności dla ojczyzny, chociaż niepodległości nie stanowią, są jednak życiem, a przynajmniej lepszą życia połową. Niechże się nikt nie dziwi, jeśli po dziś dzień serca w Polsce drgają na wspomnienie Francyi, w szczególności Francyi napoleońskiej. Kto Polaków oskarża za to o lekkomyślność, sam grzeszy nierozumem.

Żal jednak po Napoleonie zwolna ustępować zaczął przed nadzieją, którą budziły wieści z Wiednia nadchodzące. Królestwo Polskie pod berłem cara wkrótce ogłoszone zostało, a jednocześnie król saski, jako x. Warszawski, oświadczył swym polskim ministrom, że przy zmienionych okolicznościach mają obowiązek chwycić się innego sposobu ratowania swej narodowości i szczątków ojczyzny i że w obec tego nie pozostaje mu, jak zwolnić ich od przysięgi wierności względem siebie. Tem łatwiej mu to przyszło, że zawsze uważał się raczej za narzędzie tego, który wówczas trony rozdawał i odbierał dowoli, niż za istotnie panującego w Polsce.

Bądź co bądź, wskrzeszenie Królestwa Polskiego, w jakichkolwiek warunkach, stanowiło, zdaniem naszego ojca, początek odrodzenia kraju, było podstawą i polem do obywatelskiej pracy. Że zaś ojciec chciał nas wcześnie przysposobić do niej, z woli jego byliśmy obecni na uroczystej sesyi senatu w sali tronowej królewskiego zamku, kiedy Ignacy Sobolewski, przywiózłszy z Wiednia wiadomość o zatwierdzeniu przez Europę Królestwa, czytał publicznie Zasady ustawy konstytucyjnej, przez Alexandra nadać się mającej. Ojciec poczytał chwilę tę za uroczystość narodową, jakoby położenie kamienia węgielnego do nowej budowy polskiego państwa.

To, co się podówczas działo, było w istocie odrodzeniem Polski. Wszystkie następne zawody, gwałty, klęski, powstanie ogniem i mieczem pokonane, strata narodowych skarbów, konfiskaty prywatnych majątków, zniszczenie polskich zakładów wychowawczych, zatarcie wszelkiego nieomal śladu narodowych ustaw, zagrożenie wiary, wydarcie z łona kościoła milionów dusz, deportacye, wszystko to nie zdoła zatrzeć tego, co na korzyść Polski w 1815 r. w Wiedniu stanęło.

Prawda, że podział Polski przez ten traktat po raz pierwszy został przez wszystkie państwa Europy uznany, tak, że co dotychczas było gwałtem, stało się poniekąd prawomocnem i boleść naszą rozjątrzało na nowo; prawda, że przyznanie Polakom jakichkolwiek praw nakładało na nich nawzajem pewne, każdemu Polakowi uciążliwe obowiązki względem władz, które przedtem opierały się jedynie na przemocy; prawda, że nowe polskie królestwo wiele mniejszy miało obszar od X. Warszawskiego, którego niepodległości berło króla saskiego nie zagrażało, podczas gdy car moskiewski każdej chwili mógł zdeptać obowiązki konstytucyjnego króla polskiego; prawda, że przez króla saskiego utrzymywał się dla Polski związek z Francyą, z Zachodem, z cywilizacyą, gdy przeciwnie od Moskwy Polska tego tylko wyglądać mogła, co z barbarzyństwa pochodzi.

Słuszne to są zarzuty przeciwko dziełu, przez Alexandra i x. Adama dokonanemu. Ale, czyż Polacy po zwycięstwach Moskwy mogli dobrodziejstw od niej oczekiwać raczej, niż obawiać się zemsty? Jeżeli więc Alexander z zawojowanego X. Warszawskiego utworzył Królestwo Polskie, jeżeli nadał mu ustawę konstytucyjną, reprezentacyę narodową, własne wojsko, uniwersytet, liczne szkoły, jeżeli w pierwszej mowie tronowej, przemawiając jako król polski do polskiego sejmu, nazwał Królestwo niepodległem i gwarancyą państw Europy zabezpieczonem, czyż nie było to z jego strony istotnem, dobrowolnie wyświadczonem dobrodziejstwem?[1])

Ale nie takie zdania przeważały naówczas w kraju. Nagan nie brakło.[2]) Odzywały się głosy boleści, upokorzenia, niemal rozpaczy. Z ludzi, którzy dotąd w pierwszym rzędzie szczerze i wiernie służyli ojczyźnie, jeden może nasz ojciec z lepszej strony rzeczy brał, a nadewszystko tak nam je przedstawiał. W każdym szczególe wychowania starając się kierować synów na pożytecznych obywateli kraju, uczył, by obowiązek obywatelski zasadzali na tem, żeby w każdej chwili życia dobru pu-

---

[1]) W mowie tronowej przy otwarciu sejmu 1818 r. cesarz Alexander powiedział: «Votre restauration est définie par des traités solennels, elle est sanctionnée par la charte constitutionnelle. L'inviolabilité de ces engagements extérieurs et de cette loi fondamentale assure désormais à la Pologne un rang honorable parmi les nations de l'Europe. Bien précieux qu'elle a longtemps cherché en vain au milieu des épreuves les plus cruelles». (Odbudowanie Waszej Ojczyzny określone zostało uroczystemi traktatami i potwierdzone ustawą konstytucyjną. Nienaruszalność tych zobowiązań zewnętrznych, jako też podstawowego prawa zapewnia Polsce na przyszłość poczesne stanowisko pośród państw Europy. Dobro cenne, któregoście napróżno szukali wśród najsroższych utrapień.) Słowa te wypisane zostały w sali posiedzeń senatu ponad zawieszonym tam po śmierci Alexandra mundurem jenerała polskiego, który Alexander zwykł był nosić w Warszawie.

[2]) Żółkowski zaśpiewał podobno w teatrze: «Bez Poznania i Wieliczki nie warta Polska jednej świeczki», za co w. x. Konstanty, wezwawszy go do siebie, miał mu zagrozić chłostą. Gdy Żółkowski

blicznemu służyć, w żadnych zaś zewnętrznych okolicznościach, zwłaszcza politycznych, nie upatrywać usprawiedliwienia dla bezczynności. Pragnął każdego do pracy zachęcić, do ofiar przygotować, do mężnego znoszenia okoliczności zahartować; ale narażało go to na zarzut między rodakami, że się chce władzy zalecać, że przed każdą czołem bije, że nie podziela tego, co naród najgoręcej czuje i zaprzecza rzeczywistości dla wszystkich rażącej. A wszakże on jednej tylko rzeczy pragnął: pola do służenia krajowi. W jego rozumieniu obywatel kraju, jak żołnierz na służbie, nie miał nigdy prawa broni składać ani z posterunku ustępować.

Sam był niezaprzeczenie obywatelem wzorowym, trzeźwo, praktycznie, choć może zimno zapatrującym się na okoliczności. Ale popularnym nie był i nie mógł być, choć mu nikt szacunku nie odmawiał. Ogólną cechą jego usposobienia było zamiłowanie miary we wszystkiem, stąd skłonnym był do potępiania zdań zbyt gorąco wyrażanych i, jak mniemał, bezwzględnych. Czynił to krótkiem, wprost przeczącem słowem, mało się tłomacząc. Wielu tem oburzał, budził podejrzenie, że mówi nie z przekonania, a tylko dla osobistych widoków. Jednakowoż każdy mu przyznać musiał, że u władzy żadnych osobistych korzyści nigdy nie szukał, że poselstwa za granicą i różne w kraju urzędy zawsze własnym kosztem sprawował, że, ile razy do tego nadarzyła się sposobność, hojnie na potrzebę kraju łożył.

---

wychodził z audyencyi, a zebrani w poczekalni pytali go, co mu w. xiążę powiedział: «A cóż», odrzekł, «poczciwe panisko obiecał za Poznań dać Kijów».

Po dwumiesięcznym pobycie w. x. Konstantego w Warszawie stosowano do niego słowa, które hr. d'Artois, późniejszy Karol X, powiedział w Paryżu o królu Ludwiku XVIII, wracającym z wygnania: «Nic się nie zmieniło, jest tylko jeden Francuz więcej», i mówiono, że się nic nie zmieniło w Warszawie, że jest tylko jeden Moskal więcej.

Co do obłudy, ta mu obmierzłą była. Mawiał, że gdyby się nie kierował prawością z zasady, czyniłby to z przyzwyczajenia, przez dumę, wreszcie z wyrachowania, nie mówiąc już o sumieniu, z którem, jeżeli się je ma, człowiek rachować się musi. Narodowi swemu politycznej dojrzałości nie przyznawał i to było może głównym powodem, dla czego łatwiej, niż inni, godził się na podrzędne stanowisko nowego Królestwa Polskiego, utrzymując, że, chociaż nie daje ono krajowi samoistności, ale ubezpiecza za to stopniowe dojrzewanie narodu.

To też, kiedy Alexander ogłosił się królem polskim, a władze krajowe postanowiły wysłać deputacyę do Paryża dla złożenia hołdu nowemu królowi, nasz ojciec wziął udział w tem poselstwie, mimo że do owego czasu nie miał żadnych stosunków z rządem moskiewskim. Po powrocie do kraju zajął znów miejsce w senacie i jako senator pełnił z chlubą urząd najwyższego sędziego w sprawach cywilnych, podlegających sądowi senatu. Przez pewien czas stał na czele głównej rady wydziału edukacyjnego, a usunął się z tego stanowiska dla tego tylko, że nie mógł się pogodzić ze zgubnym wpływem, jaki w tym wydziale wywierać zaczął komisarz carski Nowosilcow. To jednak nie przeszkodziło mu zajmować się sprawami wychowania narodowego. Natychmiast po skończonej wojnie zajął się przeniesieniem do Szczebrzeszyna, zniszczonej przez dwukrotne oblężenie i bombardowanie miasta, akademii zamojskiej.[1]) Założył praktyczne szkoły rolnicze na wzór zakładów w Hofwyl, pod kierunkiem młodych profesorów, którzy się kosztem jego kształcili w szko-

[1]) Akademia zamojska, założona w 1595 r., zwinięta została po pierwszym rozbiorze Polski przez cesarza Józefa II w 1784 r. Na jej miejsce powstało liceum, później zamienione na szkołę wojewódzką i ostatecznie przeniesione do Szczebrzeszyna w 1819 r.

łach Fellenberga[1]) i Thaera.[2]) Zakładał szkoły wieczorne, urządzał gimnastykę i rozmaite gry dla parobków, zarówno w celu wyrobienia w nich zręczności, jak dla ustrzeżenia młodzieży wiejskiej od zabaw karczemnych. Aby liczną służbę strzedz od próżniactwa, kazał wszystkim sługom uczyć się rzemiosł, któremi w wolnych chwilach mogli przyczynić sobie zarobku. Założył kasę oszczędności i nikogo nie przyjmował na służbę inaczej, jak pod warunkiem, że część zarobku na oszczędności odkładać będzie. Chcąc społeczeństwo nasze uchronić od demoralizujących wpływów żydowskich lichwiarzy, usiłował zwrócić żydów do pracy około roli i zakładał wsie wyłącznie żydowskie, co się powiodło. Założył czasopismo rolnicze w Zamościu i wydawnictwo to, dwa razy przez wojnę przerywane, ponowił w Warszawie w 1817 r.

Za każdą podróżą za granicę upatrywał narzędzia i machiny, któreby z pożytkiem mógł do kraju wprowadzić; gdy kupował wytworne meble i sprzęty do ozdoby mieszkania, pragnął zarazem, by one za wzór służyły miejscowym rzemieślnikom. Wogóle hojnie znacznemi dochodami rozporządzał, obracając je na utrzymanie odziedziczonego po przodkach stanowiska. Widział, jaki pożytek przynieść mogą krajowi obywatele zamożni, jeżeli, opierając się ponętom lekkomyślnej i nikczemnej rozpusty, mają na pamięci, że większe zasoby, lepsze wychowanie, rozleglejsze stosunki, szczęśliwsze warunki życia, są to dary i talenta, z których Bogu i ojczyźnie liczbę zdać trzeba, że nie wolno ich ani zakopywać, ani samolubnie używać, że wszelka osobista korzyść i siła winny być narzędziem do służby publicznej. Czuł, że takie dary nakładają odpowiednie obowiązki i że kto

[1]) Emmanuel Fellenberg założył sławne instytucye rolnicze naukowe w Hofwyl pod Bernem w Szwajcaryi (1771—1835).

[2]) Wojciech Thaer, lekarz i sławny gospodarz, założył w 1804 r. pruską akademię rolniczą w Möglin (1752—1828).

obowiązków tych nie wypełnia, straszne kary ściąga, jeżeli nie natychmiast, to w bliższej lub dalszej przyszłości, jeżeli nie na siebie samego, to na następne pokolenia, na kraj cały, mający takich wyrodnych synów. Straszne zaprawdę i nieobliczone szkody wyrządza krajowi obywatelstwo, nie wypełniające zadania swego.

Naród wtedy tylko stać się może niepodległym i potężnym, kiedy w każdej warstwie społeczeństwa liczy obywateli prawych, światłych, pracowitych, dla sprawy publicznej wylanych i na każdym szczeblu społecznym pełniących obowiązki każdemu właściwe. Przez takich to ludzi narody zdobywają sobie odpowiednie stanowisko wśród innych narodów. W braku takich ludzi naród ze stanowiska swego schodzi, wpada w niemoc, rozstrój, bezrząd, upodlenie i w końcu obce jarzmo na siebie ściąga.

Ojciec nasz niepospolity miał dar zaprowadzania wszędzie porządku i wymagał, by go wszyscy wkoło niego ściśle przestrzegali. Nie dopuszczał rozrzutności, nie wydawał częstych uczt ani zabaw, choć przestrzegał gościnności odpowiedniej wysokim urzędom, jakie sprawował. Nad każdą czynnością wcześnie się zastanawiał, do każdej spisywał jakby program, dzielący się na przedmioty, osoby i godziny. Wola jego rozważna, jasno zawczasu wypowiadana, o tyle łatwiejszą była do wykonania. W istocie ta rozwaga, ten wczesny układ porządku, w jakim każda czynność ma się wypełniać, wreszcie kierunek do jej wykonania potrzebny, są niezbędnemi warunkami do roztropnego sprawowania władzy. Rozkaz pozbawiony tych warunków nie może wywołać chętnego posłuszeństwa. Rozkazy takie bywają pomijane, albo też są wykonywane bez przekonania, z musu jedynie.

Mój ojciec posiadał jeszcze i tę cechę umiejętnego rozkazywania, że z niezachwianym spokojem nad sobą panował. Nie pamiętam, bym go kiedykolwiek widział

zagniewanym. W rzeczy samej, kto tak z rozwagą rozkazuje, ten, jeżeli napotka nieprzewidzianą trudność, nie niecierpliwi się, podwładnych nie oskarża, rzadko widzi potrzebę surowej nagany, całą odpowiedzialność na siebie przyjmuje, a niepowodzenie sobie tylko i dopuszczeniu bożemu przypisując, spokojnie szuka sposobu zapobieżenia złemu.

To też choć w kraju mawiano, że w domu i rodzinie ordynata surowa karność panuje, w domu i rodzinie narzekania nie było, bo ojciec rządził nie postrachem, ale roztropną czujnością. Był też przez bliższe otoczenie powszechnie szanowany i kochany. Jeżeli zaś się zdarzyło, że czasami kogo w miłości własnej zadrasnął, matka nasza zawsze potrafiła urażonego rozbroić; dziwny miała dar do tego.

Sąd o sprawach krajowych zostawiała mężowi i braciom, ale jakiekolwiek były ich zapatrywania, usiłowała wzajemne porozumienie między nimi utrzymywać. Gdy chodziło o jaką ofiarę z ich strony, nie stawiała oporu, każdej cichem, rzewnem spojrzeniem przyzwolenie dawała. Sama do wszelkiej ofiary dla kraju gotowa, zagrzewała do niej stałym przykładem własnego poświęcenia bez granic. Synów nieustannie upominała, że obowiązkiem każdego krajowi służyć i służbie tej ślubować życie całe. Ostrzegała nas, że dziś pracą tylko, ofiarą, zasługą, wpływ się między ludźmi zdobywa.

Miłość ojczyzny i ofiarność dla niej, główne znamię Puław, w matce naszej w szczególny sposób się uwydatniły, ale ta miłość ojczyzny, jakkolwiek gorąca, głęboka, cichą była, do zewnętrznych, namiętnych oznak nieskorą. Jedynem szerszem polem do pracy społecznej stało się dla niej Towarzystwo Dobroczynności, założone w Warszawie przez nią, na którego czele wiele lat jaśniała swą rzadką dobrocią i nieporównanym wdziękiem.[1]) Towa-

[1]) Zakładając warszawskie Towarzystwo Dobroczynności, pani Zamoyska wzorowała się na istniejących już we Francyi towarzystwach

rzystwo to było prawdziwem dobrodziejstwem dla kraju wśród klęsk, jakie wojna i świeże porażki wojsk naszych i francuskich na ludność polską sprowadziły. Hojne zasiłki, jakiemi nasz ojciec kasę Towarzystwa zasilał, nosiły, jak wszystko w domu naszym, cechę obywatelskiej powinności.

W listopadzie 1815 r. cesarz Alexander pierwszy raz zawitał do Warszawy, jako konstytucyjny król polski. Zjechali się tam podobnież niemal wszyscy ci, co się w sprawie krajowej, tak po stronie Francyi, jak po stronie Rosyi, odznaczyli. Alexander zdawał się nie robić żadnej między nimi różnicy, wszystkich starał się ująć. Posiadał do tego dar wyjątkowy; w Paryżu nazywano go «le grand enjôleur». W domach prywatnych bywał bez etykiety i bez asystencyi. Szczególną zaś okazywał uprzejmość naszej matce, jako siostrze x. Adama Czartoryskiego. Jednego razu, podczas odwiedzin cesarza, ojciec nasz przedstawił mu wszystkie swoje dzieci. Było nas wtedy ośmioro. Postawiwszy szeregiem czterech starszych synów, rzekł do cesarza: «Muszę ostrzedz Waszą Cesarską Mość, że oni byli gorącymi stronnikami Napoleona». Na to cesarz: «A któż nim nie był? Ja sam do tej liczby należałem».

---

dobroczynnych. W celu zasięgnięcia wskazówek, pisze do córki, bawiącej w Paryżu: «Proś Siostry Magdaleny na rue de la Ville l'Evêque, aby mi przysłała dokładne wiadomości o obowiązkach pań Towarzystwa Dobroczynności. Nie mogę przebaczyć sobie, że za bytnością w Paryżu nie pomyślałam o tem. Zajmowałam się szpitalami, przytuliskami i innemi zakładami miłosiernemi, a zapomniałam się wypytać o statuta Towarzystwa Dobroczynności. Niech Ci Siostra podyktuje, jak tam wszystko jest urządzone. Czy Towarzystwo dzieli się na parafie czy na obwody? Czy władza świecka do niego się wtrąca? Ile jest pań odwiedzających ubogich w jednej parafii np. św. Magdaleny? Kto je wybiera? Jakie mają obowiązki i jakie zadanie? Kto przewodniczy? Skąd pochodzą fundusze? Na jakich zasadach wsparcia są udzielane? W jaki sposób, pod jakiemi warunkami? Im więcej szczegółów uzbierasz, tem lepiej».

Tę zimę spędziliśmy w Warszawie, jak i dwie poprzednie. Nauki szły zwykłym trybem. Nauczyciele zmieniali się dosyć często. Byli między innymi, oprócz pana Polaka, rodem Czecha, z wyglądu Niemca, doktor Panchaud, lekarz Szwajcar, pan Brüder, nauczyciel rysunku, Saksończyk, wielki oryginał, wreszcie pan Revel, Francuz, młody, żwawy, umiejący w uczniach obudzać ochotę zarówno do pracy, jak do zabawy. Był on protestantem, pochodził z głośnej z prześladowania religijnego sekty Waldensów[1]) w południowej Francyi. Ojciec nasz, zawiedziony na kilku emigrantach francuskich, których po części zalecał ich charakter księży katolickich, uległ mniemaniu, że między protestantami znajdzie nauczyciela bardziej zdolnego i odpowiedniego. Mieliśmy przytem zawsze księdza do nauki religii. Tego roku wykładał ją nam Dominikanin, uczony, roztropny, bardzo przez nas szanowany. Mieliśmy jeszcze przy sobie chwilowo kapitana artyleryi polskiej, który krótko przy nas pozostał, a mnie tę tylko pamięć po sobie zostawił, że ciągle mnie w sposób przykry upominał o miękkość i lenistwo. Zdaje się, że przyczyną mojej opieszałości było nie lenistwo, ale osłabienie, spowodowane nadzwyczaj szybkiem rośnięciem. Zdrowie moje, nadwerężone wskutek zbyt wybujałego wzrostu, przyszło do stanowczej siły i równowagi zaledwie w dwudziestym siódmym roku mego życia, przed samą wojną 1831 r.

W czasie bytności cesarza Alexandra w Warszawie babka nasza, która zimowała w stolicy, w najętem mieszkaniu przy ulicy Długiej, naprzeciw domu Raczyńskich, dała bal dziecinny. Na balu tym poznaliśmy piętnastoletnią, rzadkiej piękności, pannę Różę Potocką, córkę

[1]) Piotr Valdo, bogaty kupiec z Lyonu w XII wieku, rozdzieliwszy majątek swój między ubogich, próbował zaprowadzić reformy religijne, później przez papieży potępione. Sekta jego, mimo srogich prześladowań, utrzymała się do dzisiejszych czasów, przeważnie w Piemoncie.

Antoniego i Róży z Potockich. W dziewięć lat potem panna Róża została żoną mego brata Andrzeja.

Na lato wyjechaliśmy do Podzamcza, gdzie oprócz nauk, dawanych nam przez dwóch nauczycieli, mieliśmy zabawy niemało. W wolnych godzinach polowaliśmy z gończemi na sarny, uganialiśmy za ptastwem na przyległych polach, jeździliśmy konno pod kierunkiem koniuszego Podlipskiego na wybornych anglikach lub pół angielskich własnego chowu koniach. Przypadków nie brakowało. Raz, przejeżdżając przez głęboki bród, chciałem dla popisu klęknąć na siodle. Koń załechtany po grzbiecie tak wierzgnął, że zrzucił mnie w dość głęboką wodę, za co długo potem żartowano ze mnie. Mieszkaliśmy, jak zwykle, osobno, w folwarcznym domu. Sala w nim była obszerna. Na imieniny rodziców zamienialiśmy ją na teatr i sami stroili w drzewka z lasu przywiezione. I tu ciosanie siekierami nie obywało się bez przypadków, po których blizny zostawały.

Pod koniec grudnia 1816 r. powiózł nas ojciec na dalsze nauki do Genewy. Wyjazd z Warszawy był ciężką chwilą dla nas, a bardziej jeszcze dla naszej matki. Ojciec jechał zamkniętym powozem, zabierając do siebie, jak zwykle, po kolei jednego z synów, podczas gdy trzej inni, z guwernerem, świeżo z Szwajcaryi przybyłym, panem Lambert, jechali krytą kolasą. Towarzyszył nam młody Adam Łęski, przybrany syn kasztelana Linowskiego, dyrektora poczt Królestwa Polskiego, dawnego Kościuszkowskiego żołnierza, wykonawcy testamentu x. Józefa Poniatowskiego. Adam Łęski był w szkołach warszawskich celującym uczniem. Wiekiem równał się z najstarszym bratem naszym, Konstantym. Jechaliśmy na Drezno i Ratysbonę. W Dreznie odwiedziliśmy państwo Senfft-Pilsach, z rodziną naszą zaprzyjaźnionych. Do Genewy dojechaliśmy w styczniu 1817 r.»

IV

POBYT W GENEWIE (1817—1820)

«Genewa, jak wszystkie dawne rzeczypospolite miejskie, dzieliła się na dwie odrębne części miasta, odgraniczone nie prawem, ale ściśle zachowywanym obyczajem. Wyższa część «la ville haute» zamieszkana była przez arystokracyę; w dolnej «les rues basses» mieszkali kupcy, ludność robotnicza i ubodzy. Jednak i mieszkańcy wyższego miasta, z wyjątkiem ludzi, oddających się nauce, brali czynny udział w handlu. Wielu puszczało się w świat szeroki, szukając zajęcia; niektórzy mieli domy bankierskie nie tylko w miastach szwajcarskich, ale i w obcych stolicach; wszyscy zaś pod koniec życia zwykle na stały pobyt do rodzinnego powracali miasta. Stąd też poglądy na sprawy świata o wiele były między nimi szersze, niżby się tego spodziewać można po mieszkańcach miasta, zaledwie 25.000 dusz liczącego.

Za czasów Napoleona kanton genewski wcielony był do cesarstwa francuskiego. Niejeden przeto z obywateli genewskich wspominał jeszcze, jak pod rządem francuskim pełnił niedawno wyższe urzędy administracyjne, albo w Radzie Stanu zasiadał. Były też rodziny, które zwykle dostarczały ochotników do pułków szwajcarskich, tworzących w służbie francuskiej gwardyę królewską, zwaną za Burbonów «les Cent Suisses», a w której każdy miał stopień oficera, podczas gdy kapitanami i dowód-

cami tej gwardyi byli marszałkowie francuscy.[1]) Takie ciągłe z Paryżem i dworem wersalskim stosunki nadały genewskiemu towarzystwu niezwykłą ogładę, co przy wysokiem wykształceniu, dostarczanem przez miejscowe szkoły, sprawiało, że Genewa była szczególnie stosownem miejscem pobytu dla uczącej się i dorastającej młodzieży.

W tem małem mieście obyczaje każdego niemal mieszkańca były jakby pod kontrolą wszystkich. Każdy tam znajdował zalet swych uznanie, ale w danym razie i sądu surowego nikt uniknąć nie mógł, gdyż żadne przewinienie ukryć się nie dawało. Przytem prawa Rzeczypospolitej zakazywały zbytkowności, stąd skromne i niewystawne życie.

Jeden tylko zarzut przeciw wychowywaniu młodzieży polskiej w Genewie zrobić można było, że zakłady naukowe zdawały się tam mieć głównie na celu kształcenie pastorów protestanckich. Wybór przeto szkół takich dla dzieci katolickich co najmniej dziwnym zdawaćby się powinien. Że jednak w innych zakładach naukowych, gdzie lekceważono religię, powszechna panowała rozpusta, ojciec nasz spodziewał się więcej dla nas korzyści z obyczajów Genewy, niż przypuszczał, by nam szkodzić mogło nabywanie nauk pod wyłącznym protestanckim wpływem. Maluje to po części ówczesne w Europie pojęcia. Pragnienie rodziców, by dzieci od rozpusty zasłonić, prowadziło ich do pomijania środków, jakie religia do tego podaje. A tak, przez długie lata od kraju i rodziny odłączeni, mając za nauczycieli dwóch duchownych kalwińskich, łasce tylko miłosierdzia bożego przypisać winniśmy, żeśmy dla Kościoła naszego jakąkolwiek wierność zachowali.

---

[1]) Gwardya ta, zaprowadzona przez Karola VIII w 1496 r., zachowując nazwę «Stu Szwajcarów», z czasem o wiele liczniejszą się stała. W 1792 r. 10 sierpnia i 3 września padło w obronie Ludwika XVI blizko 1200 Szwajcarów.

Według zwyczaju genewskiego osadził nas ojciec na stół i mieszkanie w prywatnych domach, Jana i mnie z panem Lambert u państwa Touron, zacnych i wykształconych ludzi, którzy dobry wpływ na nas wywierali, dwóch zaś starszych braci wraz z Adamem Łęskim u pani Achard, pod opieką nowego nauczyciela pana Décoppet; był to dzielny, uczony, pełen życia Szwajcar. Starsi bracia przez panią Achard mieli stosunki z wyższem towarzystwem genewskiem; my, młodsi, takich stosunków nie potrzebowaliśmy jeszcze i przez państwo Touron, którzy do tego towarzystwa nie należeli, mieć ich nie mogliśmy.[1]) Starsi bracia słuchali kursu literatury na akademii. Jan i ja przez rok pierwszy chodziliśmy jeszcze do szkoły średniej.

Zaledwieśmy się zaprzęgli do nauki, ojciec nasz wyjechał do Solury dla odwiedzenia Kościuszki, który z Fontainebleau tam się przeniósł na resztę życia do rodziny Zeltnerów.[2]) W Solurze ojciec, ciężko na zdrowiu zapadłszy, kazał sobie przywieźć nas dwóch młodszych i miesiąc przy sobie zatrzymał. Przerwa ta dla nauk była może niepomyślna, ale dziwnie w skutkach okazała się szczęśliwą i na całe życie pamiętną została.

Od chwili przybycia naszego do Szwajcaryi marzyliśmy o oglądaniu Kościuszki. To też nawet wieść o chorobie ojca nie przemogła radości ze spodziewanej pielgrzymki do Solury. Niełatwo zresztą dzieciom wierzyć w niebezpieczeństwo z choroby pochodzące. Szczęściem

---

[1]) Gdy państwo Touron opuścili Genewę, Jan i Władysław zamieszkali u państwa Pasteur. Porównanie wywołało wdzięczne Władysława dla pierwszych wspomnienie: «Co za różnica wpływu wywieranego na nas w tych dwóch domach. W pierwszym zdrowy rozsądek, męstwo, moralność, w drugim nic wprawdzie niemoralnego, ale duch czysto światowy».

[2]) Piotr Józef Zeltner, poseł z Solury, przyjaciel Kościuszki, mieszkał pierwotnie w zamku Berville pod Fontainebleau, a od 1815 r. w Solurze.

zastaliśmy ojca w lepszym stanie zdrowia, choć z łóżka długo jeszcze nie wstawał, Kościuszkę zaś widywaliśmy codzień, gdyż po całych dniach i wieczorach u ojca przesiadywał.

Kościuszko znał ojca naszego dzieckiem przy matce, kanclerzynie Andrzejowej Zamoyskiej, u której wielkie miał względy. Rozmowy między nimi toczyły się nieustannie o przeszłości; ojciec umyślnie zwracał je na przedmioty najbardziej nas pouczyć mogące. Kościuszko chętnie rozpowiadał o głównych życia swego wypadkach, o ludziach, z którymi w ważnych sprawach miał styczność. Najmniej mówił o swojem powstaniu, czy to dla ważności późniejszych, a więc bliższych wypadków, czy to z powodu zwykłej sobie skromności.

Słyszeliśmy, jak z wdzięcznością wspominał cesarza Pawła, którego pierwszym prawie czynem po wstąpieniu na tron było odwiedzenie go w więzieniu petersburskiem, gdzie go Katarzyna rannego osadziła. Opowiadał, jak, mając sobie ofiarowaną przez cara do wyboru jedną łaskę, zażądał uwolnienia współtowarzyszów broni, podobnemu jak on, uległych losowi. Nad jednym Niemcewiczem wtedy car się zawahał, na osobistą jednak porękę Kościuszki i temu wolność przywrócił.

Opowiadał dalej Kościuszko, jak z Petersburga przez Anglię udał się wraz z Niemcewiczem do Stanów Zjednoczonych, gdzie poprzednio przy Waszyngtonie już się był odznaczył. Wkrótce jednak, czy to zawiedziony w nadziei poparcia, jakie mógł mieć z Ameryki, czy nęcony wypadkami przez Napoleona wywołanemi, opuścił Amerykę i przybył do Francyi, zaledwie przed samym wyjazdem opowiedziawszy się Niemcewiczowi, który jeszcze lat kilka pozostał w Ameryce i tam się ożenił.

Kościuszko, przybywając do Francyi, nie Napoleona w niej szukał. Nie ufał mu, jak mu nie ufali Francuzi, z którymi wspólnie walczył za niepodległość Stanów Zjednoczonych, a którzy, jak Lafayette, byli republikanami. Wiadomo też, że napróżno ubiegał się Napoleon o jaką-

kolwiek oznakę współdziałania Kościuszki; również naprózno starał się o to później cesarz Alexander podczas kongresu wiedeńskiego.

W 1817 r., w chwili rozmów naszego ojca z Kościuszką, stan Królestwa Polskiego nie tylko skąpo wymierzonemi granicami, ale i nadużyciami tak rządu jak i carewicza, usprawiedliwiał ówczesną przezorność Kościuszki. Nadużycia stawały się głośne i każdemu widoczne, najmniej przecież skorym do przyznania ich był mój ojciec, który, jak już wspomniałem, zwykł był, zwłaszcza przed synami, wyrzekania uśmierzać, niedostatki tłomaczyć, całe położenie z lepszej strony przedstawiać, rad przekonać wszystkich, a przedewszystkiem synów, że najważniejszą rzeczą przywrócenie narodowi politycznego życia, i że gdy to Polacy choć w szczupłym zakresie otrzymali, każdy winien pracować nad dobrem ogólnem, nie poprzestając na wytykaniu niedostatków położenia.

Spostrzegaliśmy z radością, że Kościuszko najczęściej podzielał zdanie naszego ojca, a gdy w dalszych latach widzieliśmy, z jaką śmiałością ojciec opierał się prądom, w które się naród namiętnie rzucał, wspomnienie, że tak wypróbowany miłośnik ojczyzny, jakim był Kościuszko, dzielił jego zapatrywania, utwierdzało nas w przekonaniu, że ojciec postępuje zacnie i roztropnie.

Kościuszko otoczony był w Solurze czcią powszechną. Odznaczał się dobrocią dla dzieci i miłosierdziem dla ubogich. Widywaliśmy go codziennie, jak się przejeżdżał po mieście na skromnym swym wierzchowcu, zatrzymując się przed ubogimi dla dania im wsparcia. Kościuszko miał piękną i czerstwą starość. Rysy jego były bardzo wydatne, zmarszczki liczne i głębokie, oko małe, bystre, głowa łysa z długim, siwym włosem po bokach. Przez całe życie wymawiał się od tego, żeby go portretowano; samą wzmiankę o tem z niecierpliwością odpierał. Ile przeto wizerunków twarzy jego istnieje, wszystkie były dziełem dorywczem lub z pamięci wykonanem.

Ojciec nasz miał ze sobą kamerdynera, Kucharskiego, umiejącego rysować. Otóż Kucharski, siedząc po całych dniach w pokoju naszego ojca, podczas toczących się rozmów jego z Kościuszką, usiłował, niby coś przepisując, profil Kościuszki piórem odrysować. Kilkadziesiąt takich mniej więcej podobnych profilów, zawiózł potem do kraju; zabytek tem cenniejszy, że nie tylko fotografie, ale i litografie nie były wówczas znane.

Ojciec po wyzdrowieniu wyjechał do Warszawy, nas zaś do Genewy odesłał. Kościuszko, żegnając się z nami, obiecał następnego lata nas tam odwiedzić.

Za powrotem do Genewy rozpoczęliśmy nauki dawnym trybem. W naszem kollegium głównym przedmiotem była łacina. Poza szkolnemi godzinami pracowaliśmy nad nią u dyrektora kollegium, pana Ansbacha. Staruszek ten, rozmiłowany w literaturze starożytnej, umiał zapał swój uczniom udzielać. Ojciec chciał, abyśmy dobrze znali język niemiecki, uczyliśmy się go więc z osobnym nauczycielem. Matematykę wykładał nam zrazu stary profesor Luther, niegdyś w Puławach nauczyciel Adama i Konstantego Czartoryskich, człowiek uczony, ale wielki oryginał, noszący ubiór i włosy wedle mody XVIII wieku. Później lekcye matematyki wyższej dawał nam były kapitan inżynieryi francuskiej Dufour, który następnie został naczelnikiem szkoły wojskowej Związku Szwajcarskiego, był nauczycielem i przyjacielem x. Ludwika Bonaparte, a wreszcie stał się w 1847 r. wodzem naczelnym szwajcarskim. On też umiał uczniów do pracy zagrzewać i do siebie przywiązywać.

Do ćwiczenia się w historyi i literaturze polskiej przybył nam nieoceniony pomocnik, p. Karol Sienkiewicz, jeden z celniejszych uczniów liceum krzemienieckiego. Sienkiewicz uczył nas historyi, wprawiał do poprawnego pisania, przywodził nam na pamięć wspomnienia ojczyste, słowem był dla nas jakby Wajdelotą, a chociaż dziwaczny, nieokrzesany, pełen drażliwości, był niemniej od uczniów wysoko ceniony.

Dwaj nasi guwernerowie Szwajcarzy, panowie Lambert i Décoppet, usiłowali nas ująć dla swego kraju i mieli potrzebne do tego przymioty. Przez lato i wakacye odbywaliśmy z nimi krótkie po górach wycieczki, w czasie których byliśmy uprzejmie przyjmowani w kilku tamtejszych domach, między innemi u pana Bautte, bogacza, właściciela słynnej największej fabryki zegarków. Nic jednak nie przemogło tęsknoty naszej za krajem, która nas nieraz zaślepiała nie tylko co do ojczystych niedostatków, ale i na wszystko, co w obcych krajach najlepszego być mogło.

Wobec tej tęsknoty łatwo sobie wystawić, jakiem było dla nas szczęściem, gdy pod jesień zjawił się w Genewie, jak to był przyrzekł, Kościuszko, dla odwiedzenia całej tam zebranej polskiej młodzieży. Dni kilka między nami przebył; sam widocznie był rozczulony zapałem i rozrzewnieniem, jakie w nas obudzał.[1]) Każde słowo jego było spisywane, a myśl wszystkich zwrócona ku temu, czemby go zabawić i ująć. Każdy chciał po nim jakiejś pamiątki, jakiejś rzeczy, której on używał, albo której chociaż się dotknął. Jeden wyszukał laskę podobną do tej, jaka Kościuszce służyła, i uprosił sobie jej zamianę; inny otrzymał zamianę tabakierki; inny, nie pytając, zamienił mu chustkę do nosa; jeszcze inny ofiarował mu sakiewkę w zamian za jego własną. Skoro Kościuszko gdzie usiadł, stołek, który mu służył, otrzymywał na wieczną pamiątkę napis: «Tu Kościuszko siedział». Komu wcześnie w życiu nie zdarzyło się podobne spotkanie, kto za młodu nie zetknął się z bohaterem

[1]) Przypisek Andrzeja Zamoyskiego: «W Genewie Kościuszko prosił Andrzeja, by mu pokazał fortyfikacye, egzaminował go. Andrzej rad bardzo zaprowadził Kościuszkę potem do budującego się mostu na Arwie i tu egzamin składał. Kościuszko wtedy poklepał go po ramieniu i rzekł: ‹Dobrze, chłopcze, pracuj; zda się to może kiedy biednemu krajowi›. Andrzejowi się zdawało, że Kościuszko pasował go na rycerza i dobrą mu to było zachętą w życiu.»

własnej ojczyzny, temuby daremnie tłomaczyć, jakie wrażenie z takiego zetknięcia pozostaje na całe życie.

Co do nas, patrząc na Kościuszkę i słów jego słuchając, wielkiego osobiście doznawaliśmy szczęścia. Mąż ten, którego czyny i cnoty budziły w nas tak wielkie zachwycenie, przyznawał najwyższe obywatelskie przymioty i zasługi zarówno naszemu ojcu, dziadowi, jako też całej rodzinie mojej matki i bratu jej, x. Adamowi Czartoryskiemu. Wielka zaprawdę była to dla nas rozkosz i otucha, a zarazem pobudka do naśladowania takich cnót. Śmiało rzec można, że te wrażenia nie zatarły się w żadnym z nas przez cały ciąg życia, chociaż niejednakowo u każdego się objawiły.

Była to ostatnia zapewne Kościuszki dla kraju posługa, bo po powrocie z Genewy do Solury, odwiedzając, według swego zwyczaju, ubogich i chorych, zapadł na zaraźliwą panującą tam gorączkę i dnia 15 października 1817 r. życie zakończył, licząc lat przeszło siedmdziesiąt.

Zaledwie odjechał Kościuszko, kiedy nowa spotkała nas radość. Przybyła niespodzianie do Genewy ciotka nasza, Marya z Czartoryskich xiężna Wirtemberska, powracająca z Rzymu. Możemy Bogu dziękować, że mimo klęsk, jakich kraj nasz doznawał, wychowaniu naszemu towarzyszyło niemało szczęśliwych okoliczności. Do takich należy sześciomiesięczny pobyt w Genewie tej ukochanej ciotki naszej, pełnej przymiotów, tak gorąco kochającej rodzinę, Polskę, a nadewszystko Boga. »

Miłość ku Bogu xiężna Wirtemberska okazywała nie tylko cnotą, modlitwą, miłosiernemi uczynkami, ale też i niezmierną hojnością względem świątyń Pańskich. Do ostatnich prawie dni życia pracowała dla kościołów i niezmordowanie haftowała przybory kościelne. W późnej starości, niedowidząc już do tego stopnia, że igły nawlec nie mogła, miała pod ręką zapas igieł, które odwiedzającym ją krewnym nawlekać kazała. W kościele lore-

tańskim we Włoszech, obok mnóstwa innych polskich pamiątek, obok figury Dzieciątka Jezus ze szczerego złota, wiszącej przed obrazem Matki Boskiej, a ofiarowanej przez Zygmunta Augusta, obok wielkiego krzyża i świeczników bursztynowych, oprawnych w srebrne okucia z herbami Jelita i Ogończyk, daru siostry Jana Zamoyskiego, Łukaszowej Działyńskiej, pokazują w skarbcu kościelnym perłowy naszyjnik, darowany przez xiężnę Maryę z Czartoryskich Wirtemberską, prawdopodobnie podczas tej właśnie podróży z Rzymu do Genewy, o której tu mowa.

« Ciotka nasza liczyła już wówczas lat pięćdziesiąt. Częstem opowiadaniem puławskich wspomnień zajmowała nas niewypowiedzianie, a z drugiej strony zagrzewała do wiary i ścisłego przestrzegania przepisów Kościoła. Za jej staraniem nastąpiła bliższa znajomość między nami a miejscowym proboszczem księdzem Vuarin. Był to kapłan niezmiernie czynny, choć nie wymowny. Wielki wpływ w parafii swojej wywierał: sprowadzał znakomitych kaznodziei, założył szkoły elementarne dla dzieci katolickich, sprowadził Siostry Miłosierdzia, objeżdżał okoliczne parafie, jeździł w sprawach Kościoła do Rzymu i Paryża; słynny był w całym zachodnim świecie katolickim. Protestanci nazywali go fanatykiem dla cierpkiego stawiania się władzy miejscowej, jako niekatolickiej, i dla gorliwości, jaką okazywał, kiedy szło o dobro Kościoła katolickiego. Za młodu służył wojskowo, a i następnie w nieustannych z rządem i duchowieństwem krajowem sporach pozostał istotnym bojownikiem.

Kilka pobożnych Polek przyczyniło się do jego miłosiernych przedsięwzięć, co go usposobiło życzliwie dla Polaków; to też skorośmy przybyli, wziął nas pod swoją szczególną opiekę. Dopiero jednak od pobytu ciotki zaczęliśmy bywać u niego co niedziela wieczór.

Ja księdza Vuarin nie lubiłem; uważałem, że nadto gwałtowny, nadto nienawidzi przeciwników, że nadto miesza politykę do religii; mimo to przyznać muszę, że

będąc naszym spowiednikiem, umiał tyle wiary i taką odrazę do grzechu w nas wzbudzić, że przez cały czas pobytu w Genewie na dobrej drodze nas utrzymał i stał się prawdziwem narzędziem miłosierdzia bożego dla nas.

Brat mój Jan silniej odemnie uległ wpływom księdza Vuarin, tak pod względem pojęć religijnych jak i politycznych. Zaczytał się w dziełach chrześcijańskich filozofów, w szczególności Pascala, wyrzekł się bywania w teatrze, dużo w samotności przebywał. Dość, że gonił za jakimś rodzajem doskonałości moralnej, do której ja zastosować się nie mogłem i nie chciałem. Jednak wpływ Jana zbawiennie na mnie działał; szacunek, jaki miałem dla niego, zmuszał mnie do zastanawiania się nad sobą i nieraz był mi hamulcem.»

W czasie pobytu ciotki Jan postanowił sobie za namową jej towarzyszki, panny Cecylii Beydale, poświęcić codzień kwadrans na czytanie ewangelii. W jednym z listów pisał do niej potem: «Z początku czytałem tę księgę tylko na Twoje słowo, dla tego żeś mi ją czytać radziła, ale teraz czytam ją z przekonania i dla jej powabu; zdarza się jeszcze, że czasem to zaniedbuję, ale coraz rzadziej, a spodziewam się, iż przyjdzie do tego, że nie zaniedbam nigdy.»

«O czas, nawet o kwadrans, niełatwo nam było. Wstawszy o wpół do szóstej, pracowaliśmy do szóstej wieczór, z małą przerwą na śniadanie i obiad. O szóstej wieczór codziennie prawie chodziliśmy się kąpać po pracy. Potem, trzy razy na tydzień o ósmej mieliśmy lekcye śpiewu, a co drugi dzień tylko spędzaliśmy wieczory u ciotki. Ojciec nasz chciał, żebyśmy sobie ucho nauką śpiewu kształcili, ale nie pozwalał nam uczyć się gruntownie gry na żadnym instrumencie. Konstanty wszakże, mając niepospolitą łatwość do muzyki, brzdąkał z dobrą ciotką na rozmaitych instrumentach, urządzał kwartety,

grał to na flecie, to na altówce, na basetli lub wiolonczeli, albo też, akompaniując sobie na klawikordzie, śpiewał kompozycye włoskie i inne, nawet własne. Nauczyciela śpiewu mieliśmy znakomitego. Był nim Włoch, Buonarotti, wygnaniec, równie namiętny polityk jak muzyk. Gdy w kilkanaście lat potem, po nowych klęskach ojczyzny, ja sam znalazłem się na wygnaniu, nieraz mi się przypomniał Buonarotti, ów pierwszy ze znanych mi wygnańców, stary, smutkiem przetrawiony, ale pełen ognia. [1])

Pod koniec pobytu ciotki zabroniono mi dla zdrowia zbyt długiej bez przerwy pracy. Stało się to powodem do częstych moich z ciotką przechadzek, te zaś przechadzki przyczyniły się zapewne do szczególnej łaskawości, jaką ciotka do końca życia dla mnie zachowała. Wyjazd jej z Genewy przyspieszony został wiadomością o śmierci jej męża, x. Ludwika Wirtemberskiego, który, po ośmiu latach małżeństwa rozwiódłszy się z nią, pojął był drugą żonę, xiężniczkę Nassauską. Z małżeństwa z naszą ciotką pozostał po nim tylko jeden syn, x. Adam, liczący podówczas lat dwadzieścia kilka. Ten po śmierci ojca znalazł się w dość kłopotliwem położeniu. Ojciec w dziedzictwie nic mu nie zostawił, a on sam w znaczne już był popadł długi. Matka, chociaż go nie widziała od dziecka, postanowiła odwiedzić go w Stuttgardzie i na spłacenie jego długów część majątku swego poświęcić. Chciała przywiązać do siebie jedynego, osieroconego syna, marzyła o pozyskaniu go dla Polski.

Gorzko się zawiodła, bo chociaż na jej prośbę przeniesiony został przez cesarza Alexandra do wojska polskiego w stopniu jenerała brygady, chociaż na czele 2 i 4

---

[1]) Buonarotti Michał (1761—1837), potomek Michała Anioła, słynny zwolennik i krzewiciel zasad rewolucyjnych. Podczas rewolucyi francuskiej, żywy brał udział w pracach jakobinów. Po obaleniu Robespierra więziony i prześladowany opuścił Francyę i tułał się po rozmaitych krajach Europy. Był twórcą licznych stowarzyszeń tajnych, rozgałęzionych po Włoszech i całej Europie.

pułku ułanów polskich stanął kwaterą w blizkim Puław Krasnymstawie, matka doczekała się od niego tylko ceremonialnych odwiedzin i nieustannego domagania się pieniędzy. Jakkolwiek w wojsku polskiem służył lat kilkanaście, bo do 1830 r., zawsze pozostał Niemcem. Jako młodzieniec odznaczył się podobno w 1814 r. w wojnie przeciwko Francuzom, w polskiem jednak wojsku nie okazał żadnej wyższości. W. x. Konstanty nie lubił go, mimo że był jego bratem ciotecznym. Ograniczał się na nazywaniu go aż do przesady «kuzynem», a matkę jego nazywał nie inaczej, jak ciotką. Często mu dokuczał, dopytując się go, jak dawno odwiedził matkę i Puławy.

Po wyjeździe ciotki użyliśmy wakacyi 1818 r. na pieszą podróż po Szwajcaryi i Lombardyi. Szli z nami pp. Décoppet i Lambert, Adam Łęski, Sienkiewicz, oraz dwóch służących Szwajcarów. Każdy z nas niósł w tornistrze na plecach odzienie do zmiany, w ręku długi okuty kij. Dojechawszy powozem do Vevey, szliśmy przez góry prosto na Oberland, stamtąd przez Lucernę, Zurich, górę Righi i św. Gotarda do Medyolanu[1]), dokąd od Lago di Como jechaliśmy wózkami. Z Medyolanu napowrót przez Simplon i Valais wróciliśmy do jeziora Genewskiego.

Podróż udała się wybornie, co było niemałą zasługą naszych guwernerów. Obyło się bez przypadku, pomimo niebezpieczeństw tej drogi i wielkiej niesforności uczniów, którzy ciągle to naprzód, to w bok wybiegali. Krajobrazy zachwycały nas wszystkich; gdy jednak po dwóch miesiącach ujrzeliśmy znowu jezioro Genewskie, po stronie szwajcarskiej Vevey i piętrzącą się nad niem zieloność, a po stronie sabaudzkiej prostopadłą, stromą skałę, głośny był okrzyk między nami, że ze wszystkiego, cośmy w tej podróży widzieli, ten widok był najwspanialszy.

---

[1]) Listy młodych podróżnych z Medyolanu pisane świadczą, że, jeżeli katedra sprawiła na nich wielkie wrażenie, to i lody włoskie wyjątkową swą doskonałością, i to w czasie upałów, zyskały nadzwyczajne ich uznanie, zwłaszcza że były «tak tanie».

W czasie krótkiego pobytu we Włoszech poduczyliśmy się trochę po włosku, ale, gdyśmy donieśli ojcu o postępach w tym języku, odpisał nam, że chociaż język włoski jest piękny, a nauka jego może być łatwą i miłą rozrywką, to jednak najpotrzebniejszym dla nas jest język niemiecki, potem angielski.

Zaledwie minął miesiąc po powrocie naszym z wycieczki wakacyjnej, kiedy nas nowe, niewypowiedziane spotkało szczęście. Matka nasza, którąśmy ubóstwiali, zjechała do Genewy na całą zimę i przywiozła ze sobą siostry nasze, Celinę i Jadwigę, oraz braciszka, Zdzisława. Podróże nie były wówczas tem, czem się stały w późniejszych czasach. Matka z Warszawy do Genewy jechała całe trzy tygodnie.»

Spotkanie z matką Władysław opisał w kilka dni po jej przyjeździe w liście do ciotki swej, xiężnej Wirtemberskiej:

«9 września 1818 r.

...Wyjechaliśmy naprzeciwko Mamy do Moudon i dojeżdżaliśmy prawie do tego miasta, kiedyśmy Mamę stamtąd wyjeżdżającą spotkali. Zdaleka poznałem, że to Mama, po ludziach w naszej liberyi, którzy na koźle siedzieli. Bracia nie chcieli wierzyć; ja wyskoczyłem z karety; bracia dopiero wtenczas wysiedli, kiedy widzieli żem portyerę otworzył. Co to był za moment szczęśliwy, jakem Mamę mógł uściskać i siostrzyczki i Zdzisia kochanego!

Pojechaliśmy potem do Lozanny, podzieliwszy się tak: nasza cała rodzina wsiadła do karety Mamy, gdzie trochę ciasno, ale przednio było, a cała Szwajcarya do naszej karety. Nocowaliśmy w Lozannie, a nazajutrz stanęliśmy w Genewie 1 września.»

«Zaledwie kilka dni wypocząwszy, matka nasza puściła się w nową podróż, na daleką z nami wycieczkę,

której dla zbliżającej się jesieni odkładać nie można było. W podróży tej oprócz córek, synów, guwernerów, otoczyło ją liczne grono przyjaciół. Do Chamounix jechaliśmy wózkami krajowemi o jednym koniu. Tu przenocowawszy, całe towarzystwo ruszyło częścią na mułach, częścią pieszo, na Montanvert. Jest to jakby pierwszy etap do Montblanc. Widzi się stamtąd cały obszar tak zwanego «morza lodów». Lód bywa tam gruby na kilkadziesiąt łokci, a w ciągu lata pęka od wierzchu do dna, tworząc głębokie rozpadliny. Zdarza się, że podróżny w taką szczelinę wpadnie i dopiero linami dobywają go stamtąd, mniej więcej potłuczonego. Z każdego takiego lodowca, dnem doliny w dół spuszczającego się, wypływa potok, a czasem odrazu rzeka. Arwa, łącząca się pod Genewą z Rodanem, właśnie z tego morza lodów wychodzi. Lodowiec, topniejąc przez lato od spodu, tworzy ogromny, na dwóch granitowych bokach doliny oparty łuk, który pod koniec lata naraz, z hukiem jakby armatnich strzałów, pęka i zapada się. Cudzoziemcy, zwłaszcza Anglicy, po całych dniach i nocach obozują, czekając na to zjawisko.

Z Montanvert śmiali podróżni zwykle idą dalej po morzu lodów do miejsca «Ogrodami» zwanego, dla kilku trawek, które tam na wystającym z lodu wierzchołku skały czasem, w latach bardzo gorących, zazielenieją. Jest to etap drugi. Trzecim etapem sam szczyt Montblanc. Dziś cała ta podróż, jak inne, ułatwiona, ale w owych czasach rzecz to była kosztowna, z niemałem niebezpieczeństwem połączona. Tabor, potrzebny dla dwóch lub trzech osób, puszczających się na tę wyprawę, zwykł był liczyć do dwudziestu ludzi, niosących namioty, pościel, drwa, żywność, narzędzia. Jednym z pierwszych, co się na szczyt Montblanc dostali, był w 1820 r. Malczewski, autor «Maryi». Nasze towarzystwo poprzestało na krótkiej wycieczce po morzu lodów.

Z Chamounix, po kilku dniach podróży, przybyliśmy na górę św. Bernarda, do słynnego klasztoru, wystawio-

nego dla opieki nad podróżnymi, przechodzącymi Alpy między Włochami a Szwajcaryą, kiedy przejść takich zaledwie kilka było w użyciu. Sławne są na tej górze psy potężnego wzrostu, które podzielają z zakonnikami starania o zagrożonych śmiercią podróżnych. Prócz tego droga do Włoch przez górę św. Bernarda świeżo wówczas wsławiona została przez pochód wojsk jenerała Bonaparte w 1800 r. i następne uderzenie jego znienacka i z tyłu na austryackiego jenerała. Melasa, zakończone zwycięstwem pod Marengo. Wspomnienia te niedawnych napoleońskich czasów dodawały uroku podróży. Przewodnicy co chwila opowiadali szczegóły, dotyczące osoby lub wojska Bonapartego. W samymże klasztorze byli jeszcze zakonnicy pamiętający ową sławną przeprawę.

Gościnności i uprzejmości doznaliśmy w klasztorze tem większej, że tu, jak wszędzie, widok naszej matki ujmował wszystkich. Uderzała pustelników jej pobożność, zastanawiało liczne przy niej grono dorodnych synów i córek. Przez całą podróż otaczaliśmy matkę naszą najczulszem staraniem; każdy coś wymyślał, czemby jej podróż uprzyjemnić, czem nieuniknionego oszczędzić znużenia. Lubiła kwiaty; wciąż przeto zbiegaliśmy ze stromej ścieżki, by zerwać dla niej błyszczący z daleka na skale kwiatek; lubiła śpiewy, śpiewaliśmy więc, idąc przy mule, na którym siedziała, ulubione jej lub przez nią ułożone pieśni. Żeby jej nie męczył twardy ruch muła, wdzierającego się pod górę, szliśmy z kolei przy niej, podtrzymując ją ręką wspartą na siodle, podczas gdy druga ręka, opatrzona w kij długi, okuty, dopomagała w chodzie tak, aby mułowi dotrzymać kroku. Z góry św. Bernarda wracaliśmy do Genewy drogą na St. Maurice i Vevey.

Przez zimę z roku 1818 na 1819, którą matka z nami spędziła, dwaj starsi bracia moi chodzili na kurs wyższy akademii, zwany kursem filozofii, ja zaś wraz z bratem Janem słuchałem kursu literatury. Poza akademią chodziliśmy na publiczny kurs fizyki eksperymentalnej, wy-

bornie dawany przez profesora Pictet. P. Pictet należał do znakomitości Genewy; słynął z nauki i pięknego onej wykładu, oraz z wydawnictwa miesięcznika «Revue britannique», wielką mającego wziętość, nie obce mu były i publiczne sprawy, z któremi zapoznał się, sprawując urząd w administracyi za czasów Napoleona, kiedy Genewa była stolicą departamentu francuskiego. Miał także wysokie wykształcenie towarzyskie, jako należący do pierwszego rzędu arystokracyi miejscowej; słowem, pierwsze niejako miejsce w społeczeństwie genewskiem zajmował. Dla licznie przybywających cudzoziemców był jakby gospodarzem miasta i chętną radą służył rodzinom, przywożącym do Genewy synów na wychowanie. Prócz niego odznaczali się wówczas w Genewie uczeni: de Candolle, wsławiony botanik; de Larive, chemik; Dumont, wydawca dzieł Benthama, i inni.

Za przykładem naszych rodziców kilka rodzin polskich wysłało synów do Genewy. Przybył Konstanty Gutakowski z siedmdziesięcioletnim mentorem swoim, Gorzkowskim.[1]) Staruszek ten, ogromnego wzrostu, pełen anegdot z powagą rozpowiadanych, człowiek najzacniejszych zasad, lubił nas odwiedzać, bośmy go z pewną czcią dla jego poważnej postaci przyjmowali i chętnie słuchali opowiadań jego z przeszłego wieku. Przybył także Pociej, o kilka lat od nas starszy; trzecim był Jerzy Lubomirski z Rozwadowa, młodzieniec stateczny i zacny, który się później w Galicyi, zwłaszcza w 1831 r., obywatelskiemi usługami odznaczył. Był jeszcze Edward Niemojowski, na oko najpokaźniejszy, przystojny, pojętny, dobrze ułożony, ale zanadto może wesoły. Choć blizki krewny dwóch świetnych posłów kaliskich, z których jeden skończył jako męczennik w więzieniu moskiewskiem,

[1]) Syn Gorzkowskiego, urodzony pod zaborem austryackim, służył w austryackiem wojsku, dosłużył się najwyższych stopni, został nawet wielkim faworytem arcyxięcia Karola i gubernatorem Mantui.

a drugi, ostatni prezes Rządu narodowego, zmarł na emigracyi, Edward Niemojowski nie stawił się w powstaniu 1831 r., a za to przyjął wkrótce, pod Paszkiewiczem, urząd marszałka. Byli i inni, którzy, dla braku dostatecznego zajęcia, kierunku, zasad, dary boże marnotrawili. Iluż to takich wydaje nasza Polska, ileż to skarbów na ziemi naszej marnieje.

Matka nasza pilnie czuwała nad zaszczepieniem w nas wiary i cnót z wiary płynących, oraz przekonania, że te cnoty Polsce służyć winny. Jej przestrogi i wszystkie wychowaniu naszemu towarzyszące okoliczności utwierdzały nas w tem przekonaniu, wzmagającem się z latami.

Każdy z nas wiedział, że obowiązkiem jego jak najwierniej krajowi służyć i szukał, w jaki sposób, odpowiednio do swoich zdolności, najlepiejby się mógł przysposobić do tego. Żadnej dla nas nie ulegało wątpliwości, że życie, w tym czy innym zawodzie, od służby publicznej zacząć nam należy, mimo że kraj zostaje pod obcemi rządami. Ojciec nieustannie wskazywał nam tę powinność, zapewniając, że stan rzeczy w Królestwie otwiera niezaprzeczone pole do pożytecznej służby krajowi. Nie brakło wprawdzie patryotów dowodzących, że w tych warunkach niema co dla kraju robić, a o godność imienia polskiego tak dbałych, że nieradzi byli widzieć Polaka, wchodzącego dobrowolnie w jakikolwiek stosunek z wrogiem, nad Polską panującym. Woleli przyjmować biernie rządy obce i wszelkie znosić poniżenia, byle w nieczynności żywić nienawiść i nadzieję zemsty.

Ta pokusa nas się nie chwyciła. Konstanty i Jan gotowali się do służby cywilnej nauką prawa i ekonomii politycznej; Andrzej i ja, mając pociąg do służby wojskowej, sposobiliśmy się do niej przez naukę matematyki, a zarazem nabywaliśmy, stosownie do woli ojca, potrzebnej znajomości spraw politycznych. Skłonność do wojskowości miałem od lat dziecinnych i zawczasu starałem się nauki moje ku temu kierować. Nie będąc zrazu pe-

wnym, czy to nie prosta dziecinna zachcianka, chciałem się przekonać, czy wytrzymam próbę czasu i dojrzalszych zapatrywań. Myśli te krążyły mi po głowie od czternastego roku życia. Z czasem przekonałem się, że zamiłowanie moje do służby wojskowej jest poważnem, wolnem od wszystkich pobocznych względów, munduru itp., że wojskowość obieram nie dla prowadzenia leniwego życia, ale dla tego, że pragnę stać się pożytecznym krajowi i w wojsku się odznaczyć, ile mnie stać na to.

W czasie pobytu naszej matki w Genewie ożywił się istniejący już stosunek między nami a proboszczem Vuarin. Nasze niedzielne wieczorne z nim czytania do matki się przeniosły, bo sama chciała z nich korzystać. Czytaliśmy ustępy z Bossueta, Fenelona, Bourdaloue, św. Franciszka Salezego, albo też artykuły z bieżącej polemiki, prowadzodzonej współcześnie we Francyi w obronie Kościoła przez pp. de Bonald, Chateaubriand, księdza Lamennais i innych. Ksiądz Vuarin chciał nas uzbroić przeciwko wyłącznym wpływom protestantów, przekonanych nie tylko o wyższości swojej wiary, ale i o tem, że jedynie protestantyzm kształci ludy do swobód politycznych, chciał nas przygotować do walk, których niebawem mieliśmy się stać świadkami czy uczestnikami, walk staczanych przez przeciwników takich, jak Voltaire i Rousseau, przeciw ich zwolennikom i następcom, na których czele słynął naówczas Benjamin Constant i dziennik «Constitutionnel».

Te nauki i usiłowania księdza Vuarin rozmaicie na nas wpływały. Widziałem, że na jednym z moich braci sprawiały skutek wręcz zamierzonemu przeciwny. W milczeniu je przyjmował, wiary ku nim nagiąć nie zdołał. Silny pociąg zachował ku starożytnym klasykom, a w protestanckiej Anglii znajdował najwyższe upodobanie. Przeciwnie, na innym bracie mniej literaturze a więcej matematyce oddanym, nauka wiary przyjęła się silnie i w dalszem życiu już się nie zachwiała. Inny znowu, w filozofii zamiłowany, pełen wyobraźni, mający wielki do sceptycy-

zmu pociąg, chwycił się wiary dla bezpieczeństwa, jako tarczy, której czuł potrzebę. Chwycił się jej i w politycznem zastosowaniu z całą przesadą, jaką tchnęli wówczas pisarze «szkoły katolickiej». Ale to niedługo trwało, bo chociaż w bezwzględnych twierdzeniach się kochał, to jednak w zastosowaniu przesady niecierpiał. To też po wysileniu, które mu gwałt zadawało, gdy opuścił Genewę, zrażony wnioskami, jakie pisarze francuscy na politycznem polu z zasad wiary wyprowadzali, chwycił się szkoły przeciwnej. Przemogła u niego miłość ludzkości, ale oparta nie na wierze w dogmata, tylko na miłości dla prawdy, cnoty i piękna.

Co do mnie wreszcie, czy to z usposobienia do wiary, czy z przywiązania do pobożnej matki, chętnie słuchałem nauki religii, przystawałem na nią, ale się w niej nie zagłębiałem, bo rwałem się do życia czynnego, bom szukał widocznych, prędkich owoców z wyznawanych zasad. Nie znałem jeszcze walki z namiętnościami, nie wiedziałem, ile wiara będzie mi potrzebną przeciwko nim obroną, widziałem w niej tylko siłę, którą chciałem sobie przyswoić.

Ksiądz Vuarin dowiedział się od mojej matki, że, gdym się urodził w Paryżu, zostałem ochrzczony w domu z wody tylko; taki jeszcze wówczas we Francyi po wielkiej rewolucyi panował stan obojętności pod względem religijnym. Ale i następnie chrztu uroczystego w kościele nie otrzymałem, mimo pobożnej matki i ojca, stale okazującego uszanowanie dla wiary i Kościoła, mimo religijnego w ogóle wychowania, mimo pierwszej komunii, odbytej w Krakowie w 1815 r. i następnych w późniejszych latach. Obrządku tego dokonał ksiądz Vuarin w Genewie 5 lutego 1819 r. Liczyłem wówczas już rok szesnasty. Niedopełnienie takiego obowiązku przez tyle lat, w takiej rodzinie, daje miarę odrętwienia religijnego, jakie wiek XVIII po sobie wśród katolików zostawił.

Z wiosną 1819 r. matka nasza opuściła Genewę; odprowadziliśmy ją do Szaffuzy. Przed wyjazdem kazała

zrobić portrety nas czterech, które zawsze potem miała na swoim stole do pisania w pałacu Błękitnym. Malował je olejno Massot. Malarz ten miał rzadki dar trafiania podobieństw. Na naszą prośbę pozwoliła matka, by także jej portret zrobił. Ze wszystkich jej portretów ten był najpodobniejszy, chociaż najpierwsi owego czasu malarze portrety jej robili.

Pobyt naszej matki w Genewie przyczynił się do tem większej dla nas gościnności Genewczyków i cudzoziemców w Genewie przebywających. Zawarte przez nią stosunki stały się powodem, zwłaszcza po jej wyjeździe, do licznych zaprosin dla synów. Starsi już i poprzednio większą mieli swobodę i w towarzystwach bywali. Jan i ja dopiero wówczas zaczęliśmy bywać na balach i wieczorach, szczególniej w angielskich domach, gdzie się wszystko odbywało z większą wykwintnością i większym zbytkiem, niż w domach szwajcarskich, w których naprzykład kolacye na balach były rzeczą nieznaną. Ja w tych zaprosinach niemałą przyjemność znajdowałem. Wielkie, jak to mówią, miałem powodzenie. Na domiar poznałem wówczas jakiegoś barona R. Kurlandczyka. Bardzo światowy, istny bywalec, miał lat trzydzieści, służył w wojsku rosyjskiem, był ciężko ranny w pojedynku. Wnet się z nim zaprzyjaźniłem, a on, prawdopodobnie dla tego, że widział, iż się ludziom podobam, wziął mnie pod szczególną swoją opiekę, nic oczywiście innego nie mając na myśli, jak żeby pchnąć mnie na drogi, któremi sam chodził, i na nich mi przewodniczyć. Sposobności do tego nie brakowało, a on się nadziwić nie mógł, że z nich nie korzystam. Wymawiałem się, jak mogłem, nie chcąc się przyznać, w obawie, ażeby mnie nie wydrwiono, że to religia stoi mi na przeszkodzie. Ale mimo wszystkich ponęt, ułatwień, namów, pobudek do złego, ksiądz Vuarin był górą i, jeżeli mnie nie ustrzegł od zapamiętałej ochoty do ruchu i zabaw, to nas wszystkich ustrzegł od grzechu zepsucia przez cały czas pobytu naszego w Szwajcaryi.

Pochop do złego, tak jak wszelkiego rodzaju zbytki, pochodziły nie od miejscowych, ale od mnóstwa cudzoziemców w Szwajcaryi przebywających. W towarzystwie miejscowem, jak już nadmieniłem, wielka panowała obyczajność. Tańce ustawać musiały o północy. To też młodzież, przepędziwszy dzień na nauce, mogła bez szkody, owszem z pożytkiem, nabywać w salonach potrzebnej ogłady. Do właściwości Genewy należało i to, że w całem mieście nie było ani jednej kawiarni, ani publicznego miejsca, gdzieby młody człowiek, dbały o dobre przyjęcie w prywatnych domach, mógł się pokazać. Kawiarnie były i ludzi w nich nie brakło, ale nie bywał tam żaden z nas, ani z naszych bliższych znajomych. Zabawy szukaliśmy w dobrem towarzystwie, szukaliśmy jej czasem do zbytku, ale za to nabywaliśmy przynajmniej wprawy w obcowaniu ze starszymi.»

Zjechało się też dużo Polaków do Genewy, przeszło dwudziestu. Był i jenerał Czaplica. «Niewiadomo», pisze we współczesnym liście szesnastoletni Władysław, «czy go policzyć za całego Polaka, bo jego połowica jest Moskiewką. Bywa jednak w towarzystwie polskiem, w którem bawimy się doskonale. U xiężny Czetwertyńskiej tańcowaliśmy mazura, nawet Sienkiewicz się rozweselił, zapewne dla tego, że zjechało się kilku Krzemieńczan, dawnych jego znajomych: Czetwertyńscy, dwóch Platerów, Malczewski. Gdy ten ostatni wygramolił się na Montblanc, Czaplica powiedział, że rad jest, iż ojczyzna na Montblanc się dostała. Ta ojczyzna wprawdzie nie przeszkadza, że zdarza mu się powiedzieć «my», mówiąc o Moskalach.»

Pani Zamoyska w listach przestrzegała synów przeciw zbytniemu zamiłowaniu świata. «Biedny K. chory,» pisze. «I on i młody L. nadto byli rozmiłowani w zabawie, nadto gonili za światowemi rozkoszami, źle się prowadzili, a teraz w dwudziestu paru latach umierają.

Ileż się nad tem zastanowić trzeba. I wy, moi drodzy, zastanówcie się. Szkoda i wstyd życie tak marnie tracić, nic pożytecznego nie uczyniwszy.

« Chociaż gościnność genewska rozmaite nam przynosiła rozrywki, chociaż do nauk przykładaliśmy się szczerze, choć odbywaliśmy częste wycieczki po pięknej okolicy, żeglugi po wspaniałem jeziorze, przecież ciężył na nas ciągły smutek. Nic poza krajem i rodziną głębiej nas zająć ani rozweselić nie mogło.

Pamiętam, jak po trzyletnim pobycie w Genewie, razu jednego zapatrzywszy się na pyszną panoramę Alp, w chwili, gdy zachodzące słońce wspaniałą różową barwą okryło śnieżne szczyty Montblanc, widząc, jak wkrótce potem góry te zamieniały swą białość dzienną na śniadą, martwą barwę wieczoru, jakby z życia przechodząc w śmierć, sam zdumiony wyznałem przed sobą, że po raz pierwszy spostrzegam, jak pięknym jest ten kraj, którego piękności nie postrzegałem, bom tylko tęsknił za własnym.

Nieraz w listach błagaliśmy ojca, by nam pozwolił pojechać na wakacye do kraju, przynajmniej na parę tygodni, a choćby na kilka dni, jeżeli nie do Warszawy, to do Podzamcza, « bo już dłużej prawie wytrzymać nie można. » Zapewnialiśmy, że to dodałoby nam zdrowia, sił, większej ochoty do nauk. Ale ojciec ubłagać się nie dał.

Skończyło się na tem, że i tego roku (1819) odbyliśmy w czasie wakacyi podróż po Szwajcaryi, tylko nie pieszo, jak poprzednio, ale konno. Przejechaliśmy wzdłuż pasmo gór Jurajskich, zacząwszy od miasteczka Gex pod Genewą, skąd do jeziora Joux, które znika między skałami, a o pół mili za górą wytryska znowu pysznem źródłem rzeki Orbe i tworzy piękną kaskadę. Przez kanton Neuchâtel dotarliśmy do Porentruy i Bazylei, stamtąd zaś z powrotem do Genewy. Z końcem roku szkolnego 1819 dwaj starsi bracia moi, po ukończeniu kursów w aka-

demii genewskiej, za rozkazem ojca pojechali z p. Décoppet do Edynburga, gdzie dwa lata na naukach przepędzili,[1]) ja z bratem Janem i p. Lambert pozostaliśmy rok jeszcze w Genewie.

To rozstanie nie mało nas martwiło, a co więcej, nas, młodszych, upokarzało. O Anglii i Szkocyi mieliśmy

---

[1]) Współcześnie pobierał nauki w uniwersytecie edynburskim Adam Czartoryski, syn x. Konstantego. Towarzyszący mu p. Lach Szyrma w pamiętniku swym pisze: «Jeszcze w Calais zjechali się byli z nami dwaj bracia Zamoyscy, Konstanty i Andrzej. Byli oni w drodze do Szkocyi, dokąd i myśmy zmierzali, i w tym samym, co i oni, naukowym celu. Stolica jej, Edynburg, tak słynęła wtedy swym uniwersytetem na całą Europę, iż nie tylko uważano ją za główne siedlisko nauk, ale również z powodu licznego zbioru światłych profesorów i wychowańców ich, za najsposobniejsze miejsce wychowania również dla angielskiej jak dla cudzoziemskiej nawet młodzieży. W ciągu 1821 r. nadciągnęło i więcej ziomków: Karol Sienkiewicz, dr Herberski z Wilna, Sobański i Wiśniewski, Wołynianie; tak żeśmy sporą kolonię polską w Edynburgu składali. Każdy z nas, idąc za popędem własnego ducha, pilnował tych nauk, jakie mu się najwięcej podobały i do których nabycia uniwersytet podawał sposobność. W czem zaś zachodził brak, staraliśmy się zapełnić go w inny sposób. Nie było np. katedry ekonomii politycznej w uniwersytecie; uproszony był zatem od nas Mac Culloch, jeden z wydawców dziennika «Scotchman», do dawania nam, za wynagrodzeniem, prywatnych lekcyi o tym ważnym przedmiocie. Prócz tego Zamoyscy z x. Adamem należeli do towarzystwa zwanego «Speculative Society», w którem się młodzież wprawiała do roztrząsania przedmiotów treści moralnej i politycznej... Lecz były również przedmioty, któreśmy z osobna, jak kto chciał, dla siebie obierali. Konstanty Zamoyski miał szczególne upodobanie w wyszukiwaniu i nabywaniu zabytków literatury polskiej i część tego zbioru, do którego dołączył wiele pism przywiezionych z kraju, oddał darem bibliotece Notaryuszów «Writers to the signet», gdzie oddzielny pokój był dlań wyznaczony jako dla księgozbioru polskiego. Karol Sienkiewicz, będąc bibliotekarzem puławskim, poświęcał się w szczególności bibliograficznym badaniom, rozpatrując się oraz w uporządkowaniach zagranicznych bibliotek, w celu urządzenia w jak najlepszy sposób biblioteki puławskiej... Andrzej Zamoyski pilnował najwięcej techniki rolniczego gospodarstwa.» (Pamiętnik mego życia przez Krystyna Lacha Szyrmę. Wyjazd z Anglii, str. 2—6.)

wygórowane pojęcia, a na Szwajcaryę, mimo długiego w niej pobytu i doznanych tam korzyści, patrzyliśmy z pewnem lekceważeniem.

Z czasem jednak i w Genewie poczęliśmy sobie podobać. Niemało się do tego przyczyniło pozwolenie, udzielone nam w tym czasie przez ojca, trzymania koni wierzchowych, do czegośmy się palili. Jednocześnie przyszło pozwolenie na psa, który się stał ulubionym towarzyszem naszych wycieczek i podróży. Nazywał się Trym.»

O Trymie i jego wielkich zaletach częste są wzmianki w listach Zamoyskiego. Raz dziękuje siostrze w imieniu Tryma, że się o zdrowie jego dopytuje. To znów pisze: «Trym dla słabych piersi chciał jechać do Włoch lub południowej Francyi, ale musiał nieborak poprzestać na psim szpitalu u weterynarza, a odkąd wrócił, ma nienasycony apetyt i aby dowieść, że się jeszcze z tem życiem nie rozstaje, skacze na wszystkich i daje do poznania, że w danym razie i ugryźć potrafi.»

«Koniom ruchu nie brakowało. Wyznać muszę, że, choć jeszcze bardzo młody, życie salonowe niezmiernie lubiłem. Było zawsze naraz kilka pań i panien, którym gorące hołdy składałem. Najbardziej na tem cierpiały konie, na wszystkie krańce kantonu genewskiego i poza jego granice, w kraj sabaudzki, francuski lub kantonu de Vaud, pędzone. Nietylko za własnem upodobaniem goniłem, pocieszałem i po starszych braciach stęsknione serca, nie pogardzając łaskawością, która nie do mnie, ale do nich się odnosiła. Stąd częste żarty o mojej «miłości braterskiej».

Życie światowe naraziło mnie na wydatki, przekraczające miesięczną pensyę, którą ojciec z umysłu zawsze nam szczupłą wyznaczał, podczas gdy na wychowanie nasze tak hojnie łożył. Pensya miała wystarczać na

ubranie, a przy światowem życiu mnie nie wystarczała. P. Lambert musiał zaraportować ojcu, że się u krawca, rękawicznika itp. zadłużyłem na półtora tysiąca franków, gdy jednocześnie brat mój, Jan, żadnego długu nie miał. Ojciec odpisał surowo, o żadnym długu nie chciał słyszeć; po jakimś jednak czasie obdarzył każdego z nas podarunkiem półtora tysiąca franków. W ten sposób mnie wyprowadził z kłopotu, a Jana przywiódł do niespodziewanego dostatku. Jan użył go częścią na kupno książek, a częścią na obdarowywanie mnie, z tej zaś hojności rościł sobie prawo do tem częstszego łajania mnie i upominania, abym się ustatkował, twierdząc, że salony mnie zgubią i ze wszelkiej wartości wyzują.

Osobliwy był między nami stosunek. Kochaliśmy się serdecznie, wzajemnieśmy się zagrzewali do wszystkiego, co zacne, zwłaszcza do obowiązków względem ojczyzny, ale usposobienia nasze wręcz przeciwne były. Jan miał pojęcie cnoty wzniosłe, surowe, poetyczne, do ludzi był nieśmiały, sam w sobie zamknięty, miłość własną miał drażliwą. Ja byłem z natury otwarty, lekkomyślny, powierzchowny; obowiązek przedstawiał mi się jakby «malum necessarium», chociaż nie lekceważyłem go sobie, a nadewszystko rwałem się do czynu, ufając, że na tem polu okażę się należycie. Uwag, nawet nagan, chętnie słuchałem, bo czułem, że mi z nich siła do czynu przybywa. Bez urazy też przyjmowałem upominania, których mi brat nie szczędził, i szczerze go poważałem.»

Władysław Zamoyski w liście do siostry tak tłomaczy powód, skłaniający go do częstego bywania w towarzystwie: «Wciąż mnie zapraszają; odmowę wziętoby za pogardliwość, a że ja ludzi pysznych nie cierpię, nie chciałbym, żeby mówiono o mnie, żem pyszny.»

«Ufność moja do świata była bez granic, a pochodziła nie z zarozumiałości, ale z życzliwości dla świata

i ludzi, i tem prawdopodobnie ujmowałem ich sobie. Gdy brat niekiedy w wizytach moich mi towarzysząc, dziwił się, jak mogłem tak długo u znajomych przesiadywać, skoro widocznie już, jak mniemał, wizyta nasza domowym zbyt długą się zdawała, ja upatrując wszędzie chętną i życzliwą gościnność, niemało byłem zdziwiony takim jego domysłem. Odpowiadał mi na to: «Bo też, abyś uwierzył, że ci ktoś nieżyczliwy, musiałby chyba wypchnąć cię za drzwi». Bądź co bądź, w towarzystwie genewskiem doszedłem do wziętości, która niepomyślnie na nauki mogłaby wpłynąć, gdybym nie miał wciąż na pamięci ojczyzny i gorącej od lat najmłodszych chęci ślubowania jej życia, wszystkich sił, wszystkich zdolności.

Przy takiem usposobieniu, jeżeli niewiele cierpiały nauki, to natomiast ucierpiało zdrowie. Popołudniowe godziny spędzając między ludźmi, musiałem późno w noc pracować, a gdy mnie sen morzył, kładłem się nie do łóżka, ale na dywanie przy łóżku, albo spałem na stołku, aby się wcześnie obudzić i wypracowania matematyczne na ósmą godzinę wykończyć.

Tej zimy (z roku 1819 na 1820) obaj z bratem uczęszczaliśmy na kurs filozofii. Jan zagłębiał się w dziełach filozoficznych, ja więcej przykładałem się do fizyki i matematyki. Z panem Lambert czytywaliśmy historyę nowożytną Robertsona, Ancillona, Lecretelle'a. Ale obok nauk coraz bardziej porywały mnie już nie tylko salony, ale i buduary, tak że gdy po skończonym kursie, wśród lata, nadszedł od ojca rozkaz wyjazdu z Genewy, pobyt w niej tyle sobie upodobałem, że wyjazd ten stał mi się zmartwieniem i to tem dotkliwszem, że nie do Anglii nie do starszych braci, ale do wstrętnego Berlina kazał nam ojciec przenieść się na dokończenie nauk. Niedość było tego. Ojciec kazał nam tę podróż odbywać nie pocztą, ale najętym furmanem wzdłuż Renu przez Kolonię. Taki nie elegancki sposób podróżowania ciężkiem był umartwieniem dla człowieka tak światowego, jakim

ja wówczas byłem.[1]) Ten szczegół do reszty ducha mi zepsuł i sprawił, że ta podróż wydała mi się nieszczęściem. Jan, przeciwnie, był raczej zadowolony z wyjazdu, co mój zły humor jeszcze powiększyło. On Genewy nie żałował, mniej miał odrazy do Berlina, cieszył się na myśl powolnej jazdy przez Niemcy, marząc, że większą jej część piechotą odbędzie; ze mnie więc i z moich smutków szydził niemiłosiernie.

Poddałem się wreszcie konieczności i, pożegnawszy się najczulej ze wszystkimi, postanowiłem użyć podróży, jakby rekolekcyi, na czytanie historyi polskiej. Zmuszeni podróżować bardzo wolno, najęliśmy dużą zamkniętą karetę o czterech miejscach; że zaś nas było tylko trzech, czwarte miejsce służyło za skład dla sporej ilości książek, szachownicy, szachów i t. d. Obszerna landara od czasu do czasu zamieniała się w czytelnię. Ta podróż, która wydała mi się z początku ciężkiem umartwieniem, była bardzo zbawienną dla mnie; dała mi czas i sposobność do wielu pożytecznych myśli.

Ale miało nas wszystkich jeszcze spotkać nowe, niespodziewane zmartwienie. W Frankfurcie zastajemy listy od ojca i naraz dowiadujemy się, że nasz guwerner ma

---

[1]) Wymagając od dorastających już synów ślepego posłuszeństwa, ordynat chciał karnością wyrobić im charakter; że jednak niemniej pragnął przyspieszać ich rozwój umysłowy, zmuszać ich do zastanowienia, jednocześnie, od najmłodszych lat, obchodził się z nimi pod niektóremi względami w sposób przechodzący ich wiek. Listy jego do uczących się synów świadczą, że pisywał do nich nie o tem, co dzieci zwykle bawi, ale o tem, na co chciał zwracać ich uwagę ze względu na przyszłą służbę kraju, na to, czemby z czasem krajowi pożytek przynieść mogli. Władysław nie miał jeszcze czternastu lat, kiedy ojciec, nie szczędząc czasu i trudu, donosi jemu jak i starszym synom o ulepszeniach, jakie w swych posiadłościach zaprowadza, opowiada o szkole politechnicznej, którą zwiedził w Pradze, o jej dyrektorze p. Gerstner, namawia syna, by korzystał z każdej sposobności przypatrzenia się fabrykom, cegielniom, browarom, szkołom, zakładom, «bo to wszystko może się przydać».

znowu objąć nad nami wszelkie prawa i ścisły dozór, jak przed laty, gdy tymczasem pod koniec pobytu w Genewie używaliśmy już zupełnej swobody. Wydało mi się, że grom ugodził we mnie. Poczciwy Lambert sam się zmartwił surowemi przepisami, jakie mu nasz ojciec nakładał na przyszłość. Ojciec usprawiedliwiał swoje rozkazy mówiąc, że co innego Genewa, a co innego Berlin. Przewidywał zapewne, że w siedmnastym i dziewiętnastym roku życia, w mieście sławnem z zepsucia, potrzeba nam będzie większego dozoru. Bał się też zapewne dla nas stosunków ze studentami, politycznie wówczas podejrzanymi. Była to chwila, w której Sand dopiero co został na śmierć skazany i stracony za morderstwo Kotzebuego.[1])

Dzisiaj rozumiem te powody, ale wówczas w miłości własnej okrutnie cierpiałem i na myśl, że w Berlinie nie wolno mi będzie kroku postawić na ulicy, inaczej jak w towarzystwie guwernera, uważałem się za najnieszczęśliwszego człowieka.

Pod takiem wrażeniem odbywając podróż z Moguncyi do Kolonii wzdłuż Renu, znajdowałem, że wybrzeża nadreńskie, mimo wsławionej piękności, są mniej piękne, niż się tego spodziewałem. Zresztą Szwajcarya jest niewątpliwie piękniejszą, a przytem taki tam byłem szczęśliwy. Tam użyłem pierwszej mej wolności, której teraz miałem być pozbawiony. Może to był pierwszy krok ku memu spoważnieniu, ku pohamowaniu nadmiernej mej wesołości i lekkomyślności.

Stosownie do powziętego postanowienia używałem czasu niemiłej podróży na czytanie historyi polskiej. Przeczytałem świeżo wydane Niemcewicza «Dzieje panowania Zygmunta III», a także «O ustanowieniu i upadku konstytucyi 3 maja». Dzieło to, jak również «Historya upadku

[1]) Karol Ludwik Sand, student teologii z Jeny, który zamordował 23 marca 1819 r. w Mannheimie poetę Kotzebuego, znanego z dążeń reakcyjnych i podejrzanego o zdradzieckie stosunki z rządem rosyjskim, ścięty został 20 maja 1820 r.

Polski» Rulhière'a, silne na mnie wywarły wrażenie. Na noclegach spisywałem notatki z tego, com przez dzień przeczytał. Były to pierwsze poważniejsze dzieła, jakie poznałem, o nowoczesnych dziejach Polski. Utwierdziły mnie one mocniej jeszcze w miłości kraju, która dotychczas, choć żywa, była jakaś nieokreślona dla braku dokładnej znajomości dziejów polskich, tak, że nie wiedziałem, jak tą miłością kierować, jak ją stosować. Uczucia, wówczas zbudzone, rozwinęły się do najwyższego stopnia w czasie pobytu mego w Berlinie.»



V

POBYT W BERLINIE (1820—1822)

«Gdyśmy się do Berlina zbliżali, Jan począł mnie gorąco upominać, żebym w Berlinie nie utkwił znowu w salonach, żebym przynajmniej przez pierwszą zimę nie zawierał żadnych stosunków, ale oddał się wyłącznie naukom. Dałem mu słowo i nie jedną zimę, ale całe dwa lata na tej drodze wytrwałem.

Nie obeszło się jednak bez pewnych oficyalnych znajomości. Z wyraźnego rozkazu ojca stawiliśmy się z p. Lambert u posła moskiewskiego, hr. Alopeusa. Bliższy stosunek zawarliśmy z domem xięcia Antoniego Radziwiłła, gdzie było dwóch starszych synów i córka prawie równego z nami wieku, a prócz tego dwóch synów i córka[1]) wieku młodszego; byliśmy tam przyjmowani jak krewni niemal.

Trzeci dom, w którym bywaliśmy, mniej świetny poważniejszy i surowszy, był to dom ministra sardyńskiego hrabiego de Sales, pochodzącego z tegoż rodu, co św. Franciszek Salezy. Znaliśmy go już w Genewie, gdzie, jako człowiek wielce pobożny, odwiedzał proboszcza księdza Vuarin.

---

[1]) Wanda, późniejsza Adamowa Czartoryska, synowa xięcia Konstantego.

Później poznaliśmy jeszcze parę osób, a także posła angielskiego, p. Rose, francuskiego, p. de Chateaubriand, oraz kilku profesorów i uczonych, jak Savigny, Ancillon, Molière. U Radziwiłłów przedstawieni byliśmy królowi pruskiemu i rodzinie królewskiej; z młodszymi synami króla spotykaliśmy się poufale; byliśmy na kilku balach dworskich; ale te wszystkie stosunki, raczej etykietalne, niż zabawne, mało nam zabierały czasu, a mnie nie porywały i nie rozrywały, jak się to działo w Genewie, zwłaszcza pod koniec naszego tam pobytu.»

Wkrótce po przyjeździe do Berlina Zamoyski pisze do siostry:

«15 sierpnia 1820 r.

...Najęliśmy niezłe mieszkanie na bardzo przyjemnej ulicy, bo najszerszej w Berlinie, wysadzonej czterema rzędami drzew. Ale tę ma nieprzyjemną stronę, że od czwartej z rana do północy karety, wojsko i niewiem już tam co, srodze hałasuje; ale mnie to mało szkodzi, a ta przytem korzyść, że długo spać nie można, bo codzień o piątej rano przechodzi kawalerya i dosyć wiele piechoty z muzyką i bębnami na musztry; trudno, żeby to nie obudziło.

Bardzo mało tu mamy rozrywki, prawie jedyną, trzy razy w tydzień, przetrząść się w rajtszuli, na koniu, bez strzemion. Zresztą, mało wychodzę, bo jak wiesz, nie mam gustu do pieszych przechadzek i bez celu. Do tego kraj strasznie tutaj niepiękny, daleko mu do tego, któryśmy opuścili; same piaski, równina jak na stole. Jest wprawdzie pod samem miastem lasek, Thiergarten, ale zawsze tam pełno ludzi. Jest tu i teatr niezły, ale ile razy na nim byłem, zawszem się nudził. Może dla tego, że nudno być między samemi nieznajomemi figurami, kiedy się przywykło, jak w Genewie, że nie było ani jednej osoby, którejbym choć trochę nie znał. To nasze życie z pewnością nie-

zabawne, ale każda rzecz ma swoją dobrą stronę: dużo w domu siedzę i pracuję.»

«Naukom w Berlinie poświęciliśmy całe dwa lata. Słuchaliśmy na uniwersytecie kursów prawa, historyi nowożytnej, administracyi, nauk przyrodniczych, ale stosownie do woli ojca i ze względu na drażliwość w. xięcia Konstantego, nie zapisaliśmy się na regularnych uczniów uniwersytetu. Już wtenczas bowiem w. xiążę zwracał całą podejrzliwość przeciwko uczącej się młodzieży. Ojciec nie przestawał listownie nas ostrzegać, że niewątpliwie otaczają nas szpiegi, że śledzą nasze kroki i rozmowy i o nich donoszą, że mamy więc wszystkiego unikać, coby nas stawiało w rzędzie uczącej się młodzieży, i postawić się, jak gdyby głównym celem pobytu naszego w Berlinie było ćwiczenie się w języku niemieckim, uniwersyteckie zaś kursa rzeczą dla nas podrzędną.

Stało się to dla nas pierwszą zapowiedzią tego, co pod względem politycznych stosunków w kraju nas czekało, a zarazem postawiło na wstępie w drażliwem położeniu względem uczniów uniwersyteckich, Polaków. Było ich pięćdziesięciu, nie tylko zapisanych jako studentów, ale tworzących między sobą polski «Landsmannschaft» czyli związek narodowy. Cała młodzież niemiecka wrzała jeszcze wspomnieniami wojny francuskiej i spisków, które tę wojnę przygotowały. Polacy za jej przykładem marzyli także o spiskach i tajemnych stowarzyszeniach; za złe nam tedy brali, żeśmy w tem nie chcieli uczestniczyć. Z tego powodu wielu od nas stroniło, a nie brakło zapewne i takich, co nam przypisywali arystokratyczną dumę i brak patryotyzmu.

Krótki jednakże przeciąg czasu wystarczył nam, by się w lepszem postawić świetle. Mimo żeśmy nie szukali stosunków, poznali się z nami niektórzy rodacy; że zaś wieczorami małośmy wychodzili, a odwiedzających nas chętnie przyjmowali i częstowali herbatą, niebawem ko-

ledzy przekonać się mogli, iż nie szukamy ich znajomości dla tego tylko, że ściśle trzymając się drogi rozkazem ojca wytkniętej, oddajemy się wyłącznie naukom w celu sposobienia się do służby krajowej. Z niektórymi zawarliśmy z czasem przyjazne stosunki, ale i od tych nawet, którzy nie poznawszy nas osobiście, mniej życzliwie na nas patrzyli, nie doznaliśmy żadnej nieprzyjemności.

Obok nauk, pojedynki były głównem zajęciem ówczesnych studentów niemieckich. Rozmowy toczyły się o najlepszych rębaczach i zachowanych tradycyą sławnych spotkaniach; rozprawiano o tak zwanych prawidłach i obowiązkach honoru; pojedynkowano się na zabój. Student wstydził się wracać do domu bez blizny; niektórzy miewali po kilka pojedynków.

Istniała księga wpisowa na kandydatów do pojedynku. Co chwila sprawy mniej lub więcej publiczne rozbudzały wyobraźnię młodzieży i na dwa obozy ją dzieliły. Te dwa zdania wpisywano do przeznaczonej na to księgi, poczem zapisani «pro i contra» uczniowie, rąbali się na pałasze między sobą, jak na którego los wypadł.

Dzielili się w ten sposób i pojedynkowali przez lat kilka na wszystkich uniwersytetach niemieckich studenci o to, jaki związek miał ich łączyć. Jedni chcieli, aby tworzyły się związki, zwane «Landsmannschaft», według państw, a nawet prowincyi, np. związek bawarski, wirtemberski, westfalski, saski. Drudzy chcieli mieć jeden wielki związek dla wszystkich, mający cel bardziej polityczny, ogarniający studentów wszystkich uniwersytetów niemieckich, nazwany «Burschenschaft» albo «Germania». Z pomiędzy tysiąc pięciuset uczniów berlińskich bywało zapisanych za jednem i drugiem zdaniem po kilkudziesięciu; następowało więc po sobie co najmniej kilkanaście pojedynków, w których spotykali się nieraz tacy, co po raz pierwszy na placu się widzieli. Dopiero gdy się zdarzyło, że pojedynek śmiercią się zakończył, przerażenie

stąd wynikające powodowało zamknięcie księgi i dalsze pojedynki odkładano do następnego półrocza.

O ile pałasz był używany tylko do cięcia, wypadki śmierci bywały rzadkie; przeciwnie, gdy przyjęte było nietylko cięcie, ale i pchnięcie pałaszem, często śmiertelne zdarzały się rany. Pistolet był rzadko w użyciu. W Berlinie był zwyczaj używać pałasza do cięcia tylko, a ktoby nim pchnął, choćby mimowoli, ulegał wyrokowi kondemnaty, jakby klątwy, którą ciężko odpokutować musiał. Przytem niebezpieczeństwo było o tyle jeszcze złagodzone, że ci, co do pojedynku stawali, mieli szyję obwiniętą grubą jedwabną chustką, na głowie kapelusz z szerokim brzegiem, rękę zaś od dłoni do łokcia dobrze obwiniętą. Tak więc niemal wyłącznie narażone były twarz i piersi. Prócz tego sekundant z dobytym pałaszem stał po lewej stronie swego klienta, o pół kroku za metą, tak iż mógł własnym pałaszem odwrócić cięcie w brzuch wymierzone.

Pomimo tych ostrożności zdarzały się jednak i w Berlinie rany ciężkie, nawet śmiertelne. Pałasze bywały bardzo ostre. Było ich do każdego pojedynku kilka par, gotowych na zmianę, bo cięcia ostre uważano za mniej niebezpieczne od ran zadanych tępym lub wyszczerbionym pałaszem.

Gdzie liczna młodzież w ciągłem i koniecznem żyje koleżeństwie, zakończanie sporów pojedynkiem miałoby może swoją dobrą stronę, pod warunkiem, by prawa pojedynkami rządzące były tak obostrzone, żeby wykluczały narażenie życia. Byle się w należytych granicach odbywały, pojedynki mogłyby przynieść więcej pożytku, niż szkody, wyrabiając tęgość charakteru, zmuszając do obyczajności tych, którzy się jej w domu nie nauczyli.[1])

[1]) Adam Łęski, który z Genewy udał się na dalsze nauki do Heidelberga, tak opisuje tamtejsze studenckie obyczaje w liście do Władysława Zamoyskiego z 29 października 1818 roku. »... Studenci tutejsi są tego roku bardzo liczni. Ubiory ich wystawiasz sobie łatwo;

Memu bratu i mnie udało się przebyć dwa lata w pojedynkowej studenckiej atmosferze bez żadnego zajścia tego rodzaju. Wyniknęło to może z przypadku, może ze zwyczaju obcowania z ludźmi dobrze wychowanymi, a najprawdopodobniej w skutek ściśle zakreślonych granic, w jakich nas ojciec wśród uniwersyteckiego życia postawił. Co nie przeszkadza, żeśmy się z wielkiem upodobaniem ćwiczyli, jak inni studenci, w fechtunku na tępe pałasze i szpady, oraz w strzelaniu z pistoletu.

Odbywało się to zwykle w niedzielę u Radziwiłłów w ich ogrodzie. Zbierało się tam niemieckich paniczów niemało. Rąbaliśmy się na pałasze jak szaleni w ogromnych kapeluszach i rękawicach do łokcia. Odbywała się przytem gimnastyka na drewnianym koniu.

---

tutejszy jednak, per excellentiam, ubiór jest katanka biała bajowa, z kolorowym kołnierzem podług landsmanszaftu: i tak Szwajcarzy noszą kołnierze ponsowe; albo też jasno-zielona katanka także z bai; takowe najwięcej noszą Kurlandczycy i Inflantczycy, którzy się tu Kuronami i Niemcy z Holsztynu i Meklenburga, którzy się tu Wandalami zowią. Wszyscy noszą ogromne szarawary manszestrowe czarne; niektórzy buty rajtarskie z półłokciowemi ostrogami, na głowie różnokształtne czapki, czapeczki, furażerki i jarmułki, czerwone, białe itd. Wielu nie nosi chustek na szyi, a niektórzy mają zapuszczoną brodę. Dodaj do tego porąbane twarze, poprzecinane wargi i nosy. ... Dziwaczniej jeszcze wyglądają przybylcy z Jeny i Halli, bo noszą ogromne włosy spadające na barki i krój sukni, jak w XVI wieku. Pan Schlosser powiadał mi, że tego lata był jeden z Jeny, który miał włosy do połowy pleców spadające i długą brodę i który bez czapki z Jeny do Heidelberga przywędrował. Ogromna fajka z wielkiemi kutasami jest nieodstępnym towarzyszem, nawet w słuchalni, nim profesor zacznie mówić; takowych kutasów żaden filister nie waży się nosić. Ale dosyć już i nadto o tych dziecińiństwach, oprócz których nicbym Ci już o studentach nie umiał powiedzieć, chyba to, co i tak wiesz, że pojedynki są prawie codziennem zjawiskiem. Przed mojem przybyciem smutny się zdarzył w tej mierze wypadek. Hr. Moltke z Holsztynu śmiertelnie ciętym został w piersi; jeżeli nie umrze, to przynajmniej nigdy nie ozdrowieje zupełnie. Przeciwnika swego przed pojedynkiem nie znał, ale losem na niego wypadło bić się o honor landsmanszaftu czy o coś podobnego.»

Obok kursów uniwersyteckich ćwiczyłem się od przyjazdu do Berlina w naukach wojskowych i nawet główną na nie zwróciłem uwagę. Do nauk tych miałem kilku nauczycieli. Z jednym przechodziłem kurs wyższej matematyki, mechaniki i architektury. Drugi, kapitan inżynierów Kühne, wykładał mi topografię, a co większa, przypuszczał mnie do udziału w ćwiczeniach szkoły inżynierów w polu. Zdejmowaliśmy plany okolic Berlina. W późniejszem życiu, w wojnach, nieraz z wdzięcznością przypominałem sobie nabytą od zacnego i uprzejmego nauczyciela gruntowną znajomość topografii i oceniania rozmaitych miejscowości pod względem wojennym.

Kurs fortyfikacyi dawał mi prywatnie kapitan Blesson, także inżynier i profesor wyższej szkoły wojskowej, tak zamiłowany w swoim przedmiocie, że wystarczyło mu widzieć we mnie pilność i ochotę, by mi poświęcać trzy razy na tydzień po dwie godziny przez całe dwa lata; że zaś będąc majętnym, nie przyjmował za to żadnej zapłaty, łatwo zrozumieć, jak mię ta uczynność zobowiązywała do tem pilniejszej pracy. Blesson należał do kolonii francuskich kalwinów, wydalonych z Francyi za Ludwika XIV, a których ówczesny elektor brandenburski skwapliwie w gościnę przyjął i kraj swój za ich pomocą cywilizował. W świeżo odbytych w 1814 i 1815 r. wojnach z Francyą, kapitan Blesson był adjutantem pruskiego jenerała Raucha, który oblegał, a raczej blokował w 1814 r. kilka fortec francuskich.

Kurs taktyki w drugim roku odbywałem z majorem piechoty Cyriacy, także profesorem wyższej szkoły wojskowej i wytrawnym pisarzem o rzeczach wojennych. Przeczytałem z nim litografowany kurs taktyki sławnego profesora Scharnhorsta, pisany dla uczniów szkoły wojskowej. Dzieła tego nadzwyczaj praktycznego uczyłem się z wielkiem upodobaniem prawie na pamięć.

Równocześnie z Warszawy dochodziły nas wieści o braku wszelkiej nauki dla młodzieży sposobiącej się do

służby wojskowej, o długiem dosługiwaniu się oficerskiego stopnia, o nieznośnem, jakby zwierzęcem tylko życiu, które młodzież wszelkiego stanu prowadzić musiała na stanowisku żołnierzy i podoficerów, wreszcie o brutalnej srogości w. xięcia, która kilku oficerów polskiego wojska doprowadziła do samobójstwa. To wszystko, przy licznych stosunkach, zawartych z pruskimi oficerami, naprowadziło mnie na myśl rozpoczęcia służby wojskowej w wojsku pruskiem.

Zamiarem moim było dosłużyć się w Prusiech stopnia oficerskiego, przebyć dwa lata w wyższej szkole wojskowej i wówczas dopiero żądać przyjęcia do polskiego wojska. Prosiłem posła Alopeusa, aby mi na to od cesarza uzyskał pozwolenie. Ale on nie chciał się podjąć tej sprawy, owszem, w żywych przedstawił mi barwach, jak źle krok taki byłby przyjęty w Petersburgu, a bardziej jeszcze w Warszawie, przez w. xięcia.

Szczęściem to dla mnie było, że nie mogłem wykonać zamiaru, który mi się wtedy przedstawiał jako bardzo korzystny. Wyznać muszę, że mi nieraz i w późniejszem życiu podobne szczęście służyło, kiedy to, o czem dla siebie marzyłem, nie przychodziło do skutku, kiedy Opatrzność skazywała mnie na stanowisko i obowiązki, życzeniom moim i uczuciom wprost w danej chwili przeciwne.»

Za nadejściem lata (1821) młodzi Zamoyscy ponowili usilne prośby do rodziców o pozwolenie spędzenia wakacyi w kraju. «Matka daje nam jakąś nadzieję, że może się z nami tego lata zjedzie u jakich wód,» pisze Władysław do siostry. «Widzieć ją to wielka radość, ale Polskę kiedyż zobaczymy?» W innym liście dziwi się, że xiężna Czetwertyńska mogła po drodze z Berlina do Warszawy dziesięć dni w Kutnie się zatrzymać, «bo ja,» mówi,« wolałbym z Kutna do Warszawy dostać się, skacząc na jednej nodze, niż tak długo po drodze się zatrzymywać; nawet i z Berlina zgodziłbym się na to, byle do

matki i do Warszawy się dostać, a choćby tylko na wieś, byle do Polski! Kiedyż Bóg pozwoli, aby zniknęły przeszkody, które nas tak długo trzymają w oddaleniu od jedynego celu wszystkich naszych życzeń?» pyta i dodaje: może to moje życzenie jest o tyle silniejsze, że jest i jedyne.»

«Na wakacye latem pojechaliśmy do Podzamcza. Pięć lat mijało, odkądeśmy do Genewy byli wyjechali. Radość nasza była tem większa, że jednocześnie przybyli ze Szkocyi dwaj starsi bracia, Konstanty i Andrzej, ukończywszy tam nauki. Wesołość nasza przez dwa miesiące wspólnego na wsi pobytu dochodziła czasami do szału, który zaledwie miarkować się dawał powagą ojca i więcej, co prawda, pozorną, niż istotną jego surowością.

Zastaliśmy w domu ważną zmianę. Rodzinne gniazdo nasze przeszło w obce ręce. Ojciec nasz, choć z wielkim żalem, odstąpił rządowi Królestwa Zamość, który miał być zmieniony na pierwszorzędną twierdzę. Przeniósłszy dawną akademię zamojską do Szczebrzeszyna, wystawił tam piękne kollegium na czterystu bezpłatnych uczniów i własnym kosztem utrzymywał piętnastu profesorów. W 1821 r. powołany został na prezesa senatu po śmierci Stanisława Potockiego. Widząc, że usposobienie cara względem Polski się zmieniło, że Alexander zdawał się żałować udzielonych Polakom swobód, ojciec nasz wymawiał się od tego urzędu, obawiając się, aby mu nie przyszło brać udziału w krokach dla kraju szkodliwych, a którym zapobiedz nie byłby w stanie; dopiero na wyraźne oświadczenie cara, że trwa w poprzednich zamiarach względem Polski, przyjął prezesostwo senatu.

Za bytności w Podzamczu poznaliśmy, rzecby można, na nowo dwie dorastające siostry nasze, Celinę i Jadwigę, oraz młodszych braci, Zdzisława i Augusta, także na wakacye z Mitawy przybyłych; po raz zaś pierwszy ujrzeliśmy najmłodszą naszą siostrę, podówczas czteroletnią

Elizę i dwuletniego braciszka Stasia. Przy starszych siostrach zastaliśmy nauczycielkę, niedawno z Francyi przybyłą, pannę d' Arnaud, osobę niepospolitych przymiotów, która odtąd nie przestała się zaliczać do najstalszych i najmilszych przyjaciół całej naszej rodziny, mimo że po kilku latach do Paryża wróciła.

Dwaj starsi bracia przybyli z Anglii pełni najkorzystniejszych wrażeń o narodzie angielskim, jego prawach i zwyczajach. Podobne zapatrywania już poprzednio były nam wszystkim przez ojca i x. Adama wszczepiane, a że w Polsce mało je podzielano, a nawet mało rozumiano, nadały nam one pewną odrębną cechę między rodakami. Nie była to u nas «anglomania», polegająca na naśladowaniu strojów i ułożenia Anglików, nie było to rozmiłowanie się w psach i koniach angielskich, ani nawet ślepe zakochanie się w parlamentarnych swobodach, jakiemi się Anglia szczyci. Dwuletni pobyt na edynburskim uniwersytecie pozwolił braciom moim przypatrzeć się z blizka wielu innym swobodom, jakich Anglicy używają, i zwyczajom, jakie te swobody wyrobiły we wszystkich warstwach społeczeństwa. Podziwiali oni nadewszystko rozwagę i cierpliwą wytrwałość, z jaką wszyscy tam wywiązują się z obywatelskich powinności.

Ówczesny nasz pobyt w kraju, na wsi, nie w Warszawie, bośmy tylko przejazdem do stolicy wstępowali, utwierdził nas w postanowieniu wejścia do służby publicznej. Groza nad krajem wisząca, powszechnie wzrastające niezadowolenie, do oburzenia już dochodzące, przeciwko w. xięciu, przeciw jego bezprawiom, jego tajnej policyi, nie zmieniły w nas tego postanowienia.»

Zrozumieli wówczas młodzi Zamoyscy, dla czego ojciec przez tyle lat nie pozwalał im do kraju wracać. Zrozumieli, że chciał w ten sposób zasłonić ich przez młode lata, zanim dojdą do pewnej dojrzałości sądu, od tego wszystkiego, coby ich mogło czy to na duchu złamać,

czy to pobudzać do niewczesnych spisków, których się chwytał ogół młodzieży polskiej, rozjątrzonej gwałtami w. xięcia; zrozumieli, że ojciec pragnął ich utrzymać jakby w złudzeniu, co do sposobu, w jaki rząd rosyjski przestrzega zobowiązań względem Polski traktatem przyjętych, a to dopókąd sami nie nabędą przekonania, że bądź co bądź można i trzeba gotować się do służby publicznej w Królestwie, gdyż kraj ten, acz nie według życzeń narodu rządzony, posiada jednak pewne prawa.

« Nie daliśmy się zrazić twierdzeniem wielu, którzy, uwodząc się źle pojętem uczuciem godności osobistej i narodowej, radzili każdemu bierność zachować zupełną i do żadnych urzędów ani do wojska, jakkolwiek polskiem było, nie wstępować. W Krakowie jenerał Paszkowski, jako przyjaciel Kościuszki wielką mający powagę, głośno potępiał udział w służbie publicznej; za nim szła opinia. Jenerał Paszkowski zdanie swoje zasadzał prawdopodobnie na postępowaniu samegoż Kościuszki. Ale innem było stanowisko Kościuszki, a innem stanowisko polskiej młodzieży. Kościuszko, gdy się usuwał od udziału w rządach kraju, czy to za Xięstwa Warszawskiego, czy za Królestwa Polskiego, już się był krajowi odsłużył, a nie chciał pokrywać własną odpowiedzialnością rządowych dążności. Młodzież zaś, usuwając się od służby publicznej, nie tylko kraj pozbawiłaby swych uczciwych usług, ale byłaby samą siebie skazywała na bezczynność i pozbawiłaby się potrzebnego wykształcenia na dalsze i może lepsze czasy. »

Najstarszy brat mój Konstanty, chcąc siebie i nas uchronić od takich wpływów, spisał powody, nakazujące młodzieży polskiej brać udział we wszelkiej służbie krajowej; pismo to zatytułował « Epistola ad fratres ». Chcąc czynem potwierdzić to, co w zasadzie głosił, zaczął od przyjęcia pod x. Adamem Czartoryskim w kuratoryi uniwersytetu wileńskiego urzędu wizytatora szkół krzemie-

nieckich i wileńskich. Następnie wszedł do kancelaryi ministra sekretarza stanu Królestwa Polskiego, który przy boku cesarza nieodstępnie w Petersburgu mieszkał. Drugi brat Andrzej wstąpił do biura ministra spraw wewnętrznych.

Przedłużywszy pobyt w kraju do ostatniej godziny naszych wakacyi, Jan i ja z panem Lambert, jechaliśmy dniem i nocą przez Poznań do Berlina. Stanęliśmy czwartego dnia (15 października 1821), na otwarcie szkół, ale biedny, poczciwy, dla uczniów wylany p. Lambert, przypłacił życiem ten pospiech w jesienną porę. Trzy dni chorował na piersi i skonał na naszem ręku, zostawiając nam po sobie żal głęboki i wyrzuty sumienia, że przez opóźniony dla własnej przyjemności wyjazd i spieszną następnie podróż staliśmy się powodem jego śmierci.

Pierwszy raz w życiu widzieliśmy tak zblizka śmierć, śmierć łagodną. Zadziwienie nasze było wielkie, gdy wezwani do konającego, jego znajomi protestanccy ministrowie, żadnego przy nim nie odprawili obrządku, nawet się z nim ani za niego nie pomodlili; żałosnem go tylko żegnali spojrzeniem, mówiąc: «On nic nie potrzebuje, dusza jego była czystą i gotową».

Na miejsce pana Lambert przysłał nam ojciec pana Tylmana, Wołyniaka, ucznia gimnazyum krzemienieckiego, po ukończeniu szkół ozdobionego złotym medalem. Pan Tylman był nauczycielem naszych młodszych braci, ale na ten rok jeden, który mieliśmy jeszcze w Berlinie pozostać, ojciec wyprawił go do nas, mniej ważąc uszczerbek młodszym synom przez to sprawiony, niż korzyść, jakiej się stąd spodziewał dla synów kończących nauki. Liczył też może, że i dla młodego Krzemieńczanina ten pobyt za granicą pożyteczny będzie i o tyle więcej uzdolni go do kierowania opuszczonymi chwilowo młodszymi uczniami. Dla nas przybycie jego było istotną korzyścią; przyspieszyło niejako zetknięcie się nasze z krajem i z polską młodzieżą, której on był dobrym i zacnym wyobrazicie-

lem. Korzystaliśmy z bytności uczonego, choć jeszcze młodego literata polskiego, żeby się z ojczystą literaturą bliżej obznajmiać i ćwiczyć w języku polskim, którym on pięknie władał.»

Jak wielką wagę przywiązywał Zamoyski od najmłodszych lat do obowiązku doskonalenia się w języku ojczystym, dowodzą listy jego do sióstr, w których je nawołuje do uczenia się i pisania po polsku. Mając lat czternaście, z Genewy jeszcze pisze do siostry: «Mówisz, że nie macie lekcyi języka polskiego, a czemuż nie prosisz o nie? powiesz może, że braknie Wam czasu, że macie dużo innych nauk, ale czyż nie lepiej innym naukom dać pokój, a własnego języka porządnie się nauczyć? Lecz prosząc rodziców o nauczyciela do polskiego języka, nie mów, iż ja Wam to radzę, bo rodzice wiele więcej uwagi zwrócą na to, jeżeli Wy same tego pragnąć będziecie.» Następnie, z Weimaru w drodze do Berlina, wymawia siostrom, że piszą listy po francusku: «W każdym moim liście do Was, do jednej i do drugiej, powtarzam i proszę, abyście do mnie po polsku pisały, a Ty nigdyś mi na to nie odpowiedziała i nigdy też po polsku nie piszesz. Jeżeli nie masz na to innego powodu, jak tylko ten, że Ci trudniej pisać po polsku, niż po francusku, to ten powód właśnie powinien Ci być pobudką, żebyś się w pisaniu po polsku ćwiczyła. Wiem z doświadczenia, że listy są najlepszym do tego środkiem. Z żalem to czuję, że mi dotychczas trudniej pisać po polsku, niż po francusku; odkąd jednak zacząłem się przymuszać do pisania po polsku, wielkie zrobiłem postępy. Radzę Wam i proszę Was, abyście sobie ten trud zadały, który nie tylko Wam, ale i Polsce pożytecznym stać się może. Przekonacie się, że kilka kobiet, a choćby tylko jedna, czasem więcej wpływu wywiera, niż tysiąc książek i rady najzacniejszych mężczyzn[1]).

[1]) Odpis siostry daje pewne pojęcie o ówczesnym programie nauk dla panien w kraju naszym: «Mam codziennie trzy godziny muzyki,

Korespondencya między rodzeństwem była dość częsta i ożywiona, szczególnie od czasu przeniesienia się młodych Zamoyskich do Berlina. «Cieszę się, że Wam kazano co tydzień do nas pisywać; spodziewam się, że się będziecie tego trzymały,» pisze Władysław i wyraża radość, że listy z Warszawy do Berlina będą szły cztery do pięciu tylko dni, nie zaś dwadzieścia, jak dawniej do Genewy. Nie wszystkie jednak listy dochodziły swego przeznaczenia. «Może je na poczcie konfiskują,» skarży się. «Od niejakiegoś czasu strasznie na studentów uważają, niektórym nawet papiery pozabierali, może i naszą korespondencyą się trudzą.

Listy Władysława Zamoyskiego do sióstr z czasów pobytu jego w Genewie i Berlinie wykazują wogóle, obok wielkiej wzajemnej serdeczności, chęć wywierania moralnego wpływu ze strony brata na nieco młodsze od niego siostry. «Nie przepraszaj mnie za popędliwość, pisze do jednej z nich; ja Wam przebaczę to i wiele więcej, byleście Wy mnie znosiły takim, jakim jestem. Bardzo to dobra rzecz wady swoje widzieć i uznawać, ale to nie wystarcza; trzeba pracować nad poprawieniem się z nich. Chociaż młody wiek stanowi pewną wymówkę, wymówka ta nie na długo służyć może. Utrzymanie się na dobrej drodze zależy od łaski bożej, ale też i od własnego wysiłku; Pan Bóg zaś nie odmawia swej łaski tym, co mają dobrą wolę. Odpowiedzialność nasza wobec Boga wzmaga się w stosunku do łask otrzymanych, jeżeli z nich, jak należy, nie korzystamy. Żalisz się, że nie masz komu się zwierzać ze swego zmartwienia. Ale czy zapominasz, że masz siostrę? Wiem, że czasem trudniej zwierzać się tym, z którymi się ciągle obcuje, niż tym, których widuje się rzadziej; sam tego doznałem w stosunku do braci.

godzinę angielskiego, godzinę polskiego, trzy godziny czytania historyi i literatury, godzinę rysunków, godzinę przechadzki; trzy razy na tydzień mamy lekcye tańca. Metra rysunków mamy bardzo dobrego; rysujemy głowy, całe figury i istotne robimy postępy.»

Ale, bądź co bądź, żadna przyjaciółka nie wyrówna siostrze, która Cię już kocha, a kochałaby Cię jeszcze więcej, gdybyś jej zaufanie okazała. Mówisz, żeś taka smutna w części dla tego, że nie możemy być razem. Nie smuć się; nasze oddalenie od Was, od rodziców, ma nasze własne dobro na celu. Lepiej teraz się nie widywać, a później módz pożytecznie służyć krajowi, niż teraz będąc razem, pozbawić się uzdolnienia, bez którego później nikt nie mógłby nas do niczego użyć. Chciałbym tak pchnąć nauki, żeby z niemi skończyć, wrócić do kraju i choć na chwilę spocząć na moich wawrzynach, czy cierniach, według tego, na co sobie zasłużę...»

W innym liście dziękuje siostrze za zamiar spisywania dla niego myśli i wrażeń, ale mówi, że na to, aby wytrwała w tym zamiarze, nie powinna odczytywać tego, co pisze, «bo do druku pisząc, trzeba odczytywać i poprawiać to, co napisane, ale pisząc, ażeby komuś dać poznać siebie i myśli swoje, odczytywać nie trzeba, bo często nie miałoby się odwagi pokazać tego, co się napisało.»

W jednym z listów, pisanych wkrótce po przybyciu do Berlina (1820), Władysław Zamoyski uspakaja siostry co do wzrostu swego, o którym chodziły wieści, że jest nadmiernie wysoki. «Sanguszko[1]) nastraszył was podobno moim nadzwyczajnym wzrostem; powiedział, że ja mam wiele więcej, niż pięć stóp i dziesięć cali, a ja jednak więcej nie mam. Ale on siebie uważał za wysokiego, a jak zobaczył, że jestem o wiele wyższy, postanowił mówić, że on jest przyzwoicie wysoki, a ja o wiele zanadto. I bądź co bądź ma słuszność. Natomiast on jest dużo za gruby i za tłusty, co nie przeszkadza, że nam bardzo przykro po jego wyjeździe i, mimo że tu jest dużo Polaków, żaden nam go nie zastąpi.»

O wzroście swoim Zamoyski pisze przy innej sposobności: «Już w Genewie, kiedy miałem lat siedmnaście, do-

---

1) Władysław Sanguszko.

chodziłem do pięciu stóp i dziesięciu cali. Nie wiem, do jakiej miary następnie dorosłem, ale mi ten wzrost przy nader szczupłej budowie był nieznośny i dla niewygody i dla braku sił, głównie jednak dla tego, że był nieustannym przedmiotem uwag i rozmów. Nieraz o czem lepszem i ważniejszem radbym był usłyszeć, niż wiecznie o tem jednem, żem tak niezmiernie rosły, a tak szczupły, zwłaszcza, gdy mi się zdarzała rozmowa z jaką osobą większego znaczenia, z konieczności krótka. Tak mi zbrzydło to ustawiczne wspominanie o moim wzroście, tak czułem się tem upokorzony, że za pobytu w Berlinie, mając lat dziewiętnaście poszedłem umyślnie do pokazującego się za pieniądze olbrzyma, aby się przekonać, czy mnie Bóg w istocie umartwił potwornym wzrostem. Odszedłem uspokojony nieco, bo gdy olbrzym wyprężył rękę poziomo, mogłem stać pod jego łokciem. Nie byłem więc potworem, ale zdrowie moje z powodu zbyt szczupłej budowy rozmaitym ulegało dolegliwościom; szczególniej do upornych kaszlów skłonny byłem.»

Za powrotem z wakacyi do Berlina życie Zamoyskich mało się różniło od tego, czem było poprzednio. Jan oddawał się nauce prawa i administracyi, oraz filozofii przez Hegla wykładanej, Władysław coraz bardziej naukom wojskowym. Donosząc ojcu o profesorach, Władysław cieszy się, że zastał pana Blesson «chwała Bogu ożenionego». «Może już będzie nie tak zajęty żoną,» pisze, «a więcej mną, niż przedtem, kiedy się o nią starał.»

« W przeciągu tego roku przyjeżdżał dwa razy do Berlina brat cesarza Alexandra, w. x. Mikołaj[1]), ożeniony z najstarszą córką króla pruskiego Fryderyka Wilhelma III. W Berlinie sadził się on na uprzejmość dla wszystkich tak, że go Prusacy mieli za liberała. Nas wielkiemu xięciu przedstawił na balu poseł rosyjski, hr. Alopeus: następnie spotykaliśmy go często u Radziwiłłów.

[1]) Późniejszy car Mikołaj.

Razu jednego zdarzyło mi się przy kolacyi siedzieć naprzeciwko w. xięcia Mikołaja przy długim a wązkim stole, przez samych mężczyzn zajętym. Wszczęła się rozmowa o powstaniu Greków, któremu, zgodnie z powszechną w Europie opinią, przyklaskiwały Moskwa i Prusy. Tego właśnie dnia rozeszła się wiadomość o wybuchnięciu na Multanach i Wołoszczyznie podobnego powstania pod przewodnictwem xięcia Alexandra Ypsilantego i o ogłoszeniu przez tegoż odezwy, okazującej ufność w życzliwość cesarza Alexandra, którego Ypsilanti był adjutantem. Wielki xiążę wzniósł kielich i, zwracając się ku mnie, rzekł po francusku: «Zamoyski, pijmy zdrowie Ypsilantego!» Mając w pamięci przestrogi ojca, żeby unikać manifestacyi politycznych, i wiedząc, że zapatrywania się w. x. Konstantego na tę sprawę były zupełnie przeciwne, skłoniłem się i odrzekłem: «Oczywiście nie mogę lepiej zrobić, jak pójść za przykładem W. C. W.[1]»

Nazajutrz gazety ogłosiły, że cesarz Alexander wypiera się wszelkiej styczności z nierozważnym czynem Ypsilantego. Nie mówił też więcej w. x. Mikołaj o Grekach i Wołochach, mimo że wszędzie w Berlinie wyrażano się o nich z życzliwością i zapałem. Myśmy ten zapał podzielali, choć sami nie mogliśmy służyć Grekom w dobijaniu się o niepodległość.

Wkrótce potem graliśmy dnia jednego w «barres» u Radziwiłłów z licznie zebraną młodzieżą. Do gry należał i w. x. Mikołaj. Goniłem za nim, a gdym go dopędzał, przyszła mi pusta myśl: udałem, żem się potknął i zamiast tylko się dotknąć jego pleców, jak tego gra wymagała, całym ciężarem pięści uderzyłem go w ramię, mówiąc sobie w duchu: «Masz za Ypsilantego!» Zdziwił się carewicz, ale, jak wszystko w Berlinie, tak i to z dobrym humorem przyjął.

[1]) «Zamoyski, buvons à la santé d'Ypsilanti. — «Certainement, Monseigneur, je ne puis mieux faire que de suivre votre exemple.»

Wobec pogłosek o wojnie między Moskwą a Turcyą Blesson i kilku pruskich oficerów radzili mi, żebym wstąpił do wojska rosyjskiego na czas wojny, w charakterze «oficera-wolontaryusza», dla przypatrzenia się wojnie i dla nauki, bo tylko z tego względu wojna zajmować mnie mogła. W. x. Mikołaj, już wtenczas w Rosyi inspektor korpusu inżynierów, zaprosił pruskiego jenerała inżynierów Raucha do objechania z nim kilku fortec moskiewskich. Rauch przybrał sobie za adjutanta kapitana Blesson. Gdy Blesson wrócił z tej podróży, nie zastał mnie już w Berlinie, ale żeśmy do siebie pisywali, doniósł mi, że mówił w. xięciu o mnie i że w. xiążę zapewnił go, iż o przyszłym ochotniku nie zapomni. »

Zamoyski napisał do ojca, prosząc o pozwolenie i dowodząc, że obawa przed niebezpieczeństwem wojennem nie powinnaby być dla rodziców powodem do odmówienia mu swego zezwolenia, bo «niebezpieczeństwa są wszędzie, a te, które spotyka się w świecie, są o tyle gorsze, że narażają duszę, gdy wojna jest niebezpieczną tylko dla ciała». Uczestniczenia w tej wojnie nie uważał sobie wcale za przyjemność, ale myślał, że tą chwilową ofiarą zdobędzie sobie wiele pożytku i doświadczenia. Ojciec przysłał mu zezwolenie, wszakże pod warunkiem, że w razie zaciągnienia się do wojska, uda się wprost na plac boju. Wiedząc, do jakiego stopnia syn jest za krajem stęskniony, przypuszczał prawdopodobnie, że wobec tego warunku odstąpi od swego zamiaru. Władysław odpisał, że, jakkolwiek przykrym mu jest ten warunek, zgodzi się jednak na tę ofiarę, w nadziei, że stanie się tym sposobem kiedyś pożyteczniejszym ojczyźnie.

Tego lata (1822) pani Zamoyska z najstarszą córką, jadąc na kuracyę do Akwizgranu, po drodze zatrzymała się w Berlinie. Władysław miał już wówczas zezwolenie ojca, ale z matką nie śmiał mówić o swoich zamiarach w obawie, że myśl o wojnie mogłaby jej zakłócić spokój,

którego do kuracyi potrzebowała. Przykrem mu było to milczenie względem matki, z którą tak chętnie myślami się dzielił. Do wojny jednak moskiewsko-tureckiej w tym czasie nie przyszło, zamiary te przeto Władysława spełzły na niczem.

《 Po skończonym dwuletnim pobycie w uniwersytecie berlińskim, brat mój Jan i ja, za rozkazem ojca, różnemi puściliśmy się drogami. Janowi ojciec rozkazał zwiedzić Drezno i Wiedeń, przepisując mu bywanie tam w towarzystwie, do czego dotąd nie można go było skłonić. Jakoż przezimował Jan w Wiedniu z 1822 na 1823. Dla mnie uważał ojciec, że ćwiczenie takie było już zbyteczne, że od salonowych zabaw raczej odwodzić mnie wypadało, chociaż za usilną radą Jana dwa lata w Berlinie bez nich wytrzymałem, a dodam, że przez cały ten czas nie zajęło wyobraźni mojej żadne piękne lico; że zaś już lat dziewiętnaście liczyłem, spieszno mi było do wojska wstąpić, służbę rozpocząć.

Jechałem z Tylmanem naszą kolaską, pocztą, przez Śląsk i Kraków. Wstąpiliśmy do Radziwiłłów w Ruhbergu pod Schmiedebergiem. Zwiedzaliśmy kopalnie i żelazne huty, różne szkoły, wzorowe gospodarstwa panów Blocha i Bronikowskiego, wreszcie pola sławnych bitew pod Zorndorf, Kunersdorf, Lignicą, Leuten, Katzbach, których opisy znane mi były tak z siedmioletniej, jak i z napoleońskich wojen.

Kraków, jak przedtem i potem za każdą bytnością, sprawił mi rzewne i głębokie wzruszenie, zarówno wspomnieniami dawnej przeszłości i moich własnych lat młodych, jak tem, co wówczas tam zastałem: zwłoki Kościuszki, świeżo złożone w grobowcach katedry przy trumnach Sobieskiego i x. Józefa Poniatowskiego, oraz mogiła usypana na cześć bohatera na górze św. Bronisławy. Mogiłę wznosiły ofiary z całej Polski, za upoważnieniem samego cesarza Alexandra. Do zamierzonej wysokości sześciuset

stóp brakowało już tylko stóp kilkanaście. Ścieżka, ślimakiem do szczytu prowadząca, była wązka i stroma. Gdy więc na dowód czci mojej dla Kościuszki uparłem się zatoczyć taczkę pełną ziemi do samego wierzchołka, nie tylko dobrzem się zadyszał, ale z trudnością pokonałem zawrót głowy.

Z Krakowa ruszyłem przez Galicyę do Sieniawy, by odwiedzić dziada mego i babkę, Czartoryskich. Xiążę jenerał ziem podolskich liczył już lat dziewięćdziesiąt; babka, o lat dziesięć tylko młodsza, pełna była życia, wdzięku, a dla mnie i łaskawości. Po kilku dniach, ucałowawszy po raz ostatni rękę dziada, który krótko potem życie zakończył, pospieszyłem na wezwanie ojca do Podzamcza.»

VI

POCZĄTEK SŁUŻBY WOJSKOWEJ (1822—1824)

« W Królestwie po tymczasowych rządach moskiewskich nastąpiła od 1815 r. administracya czysto polska. Rząd, począwszy od namiestnika, jenerała Zajączka, i ministrów, aż do najniższych urzędników dostał się wyłącznie w ręce polskie. W. xięciu Konstantemu dane było tylko naczelne dowództwo nad wojskiem. Prawda, że stanowisko w. xięcia jako brata cesarskiego i naczelnego wodza, przewyższało znaczenie wszystkich urzędów, którym z prawa on winienby był ulegać, ale skądinąd to jego osobiste stanowisko dodawało rządowi warszawskiemu powagi wśród swoich i broniło spraw polskich od wkraczania w nie rządu petersburskiego.

W. xiążę miał zalety, które dla Polaków nie były bez korzyści. Jakkolwiek był on popędliwy, jakkolwiek bywał bardzo niesprawiedliwy i sprawiedliwości nie rozumiał, ale lubił porządek i, gdyby miał jasne pojęcie o tem, czem porządek być powinien, jakie do niego potrzebne są warunki, byłby niewątpliwie w jego zaprowadzeniu i utrzymaniu okazał dzielność. Niestety, w braku tego pojęcia okazał tylko dzikość i barbarzyństwo. Popędliwość jego, wybuchająca względem ludzi wszelkiego stanu i stopnia, przytem lubowanie się w tajnej policyi, której kierunek był mu oddany, częstokroć zamiast utrzymywać porządek, burzyły go i prawu istniejącemu ubliżały.

Dla w. xięcia porządek głównie polegał na tem, ażeby w służbie, czy to wojskowej, czy cywilnej, przestrzegano form, jakie się każdemu stopniowi, po rosyjsku mówiąc «czynowi», należą. Chciał nadewszystko, aby młodsi oddawali starszym w hierarchii służbowej ceremonialne pokłony i sam dawał tego przykład, ile razy ze starszym w randze jenerałem lub urzędnikiem się spotykał.

Namiestnik Królestwa, xiążę Zajączek [1]), mianowany przez cesarza Alexandra jenerałem piechoty, starszym był w stopniu od w. xięcia; nie szczędził mu przeto w. xiążę przy każdem spotkaniu zewnętrznych oznak uszanowania, a chociaż zdarzało się, że i jego częstował wybuchami gniewu, żadnej prawie przyzwoitości nie zachowując, publicznie jednak przyznawał mu pierwszeństwo, a to pierwszeństwo, przyznawane namiestnikowi przez carewicza, zmuszało wszystkich do szanowania jego władzy, na co w braku takiego przykładu nie zdobyłby się może niejeden współrodak i dawny towarzysz broni jen. Zajączka. Szanowanie zaś najwyższej w kraju władzy uczyło posłuszeństwa dla władzy wogóle.

Kilkakrotne zmiany rządów, powstania, wojny, wprowadziły w naszym kraju pod pozorem sprężystości wiele dowolności i nieładu do służby publicznej. W. xiążę przyczynił się do zaprowadzenia pewnej ścisłości w administracyi; on sam dopuszczał się gwałtów i dowolności, ale ich nie dozwalał podwładnym, zwłaszcza, kiedy ci mieli osobiste zyski na celu. W tem różnił się wielce od powszechnego ducha moskiewskiego, że nie cierpiał kradzieży. Jeżeli jej kiedy pobłażał, to tylko z naturalnego Moskalowi przekonania, że każdy urzędnik mniej lub więcej kradnie i kraść musi. Opowiadano, że gdy raz zalecał

---

[1]) Wyniesienie jen. Zajączka z tytułem xiążęcym na urząd namiestnika ogólne sprawiało oburzenie. Dużo przeszłości jego zarzucano: jakobińskiego ducha, nieuczciwe zbogacenie się na wojskowych dostawach, nienawiść do możniejszych od siebie, otaczanie się ludźmi wątpliwego charakteru, służalstwo względem w. xięcia. (W. Z.)

jakiegoś urzędnika jego przełożonemu, a ten zarzucił, że on kradnie, w. xiążę zawołał: «Co chcesz przez to powiedzieć? Nie rozumiem, żeby można rządzić, nie kradnąc i podwładnym kraść nie pozwalając![1])»

Powtarzam jednak, że kradzieży nie lubił. To też strach przed jego tajną policyą, przed wybuchami jego srogości, niejednego urzędnika w karbach utrzymywał. Wyjątek stanowili ci, co się czuli pod osłoną jego szczególnej łaski.

Ale nadewszystko zawdzięczaliśmy w. xięciu szybkie zorganizowanie wojska, jakiego Polska przedtem nigdy nie miała, bo choć wszystkie wojska nasze okazywały dzielność, to jednak żadne nie doszło do takiego porządku i takiej ścisłości w służbie. A że z czasów Stanisława Augusta i napoleońskich mieliśmy dużo oficerów uczonych i doświadczonych, wojsko to okazało w 1831 r. dzielność i wytrzymałość ponad wszystkie poprzednie. Służba wojskowa pod w. xięciem była uciążliwa i do najwyższego stopnia drobiazgowa, ale każdy zaciągający się do wojska czuł, że jakkolwiek twardą przebywać musi szkołę, to szkoła ta kształci go do służby kraju i do walki z ciemiężycielami narodu. Ten to wzgląd przyciągał do służby wojskowej, mimo wszelkich dokuczliwości, wyborową część młodzieży polskiej, wśród której utrzymało się najczystsze uczucie narodowe.

W. xiążę porządku i ścisłości żądał we wszystkiem, czego się tknął. Żądał ze srogością i dla tego stał się nienawistnym, ale wyznać trzeba, że był i pożytecznym. Porządek i ścisłość nie są Polakom wrodzone. Naród nasz niełatwo wchodzi w karby, a mniej jeszcze tworzyć je sobie umie. Polak, choć niezliczonemi klęskami to opłacał, pragnął od wieków w życiu społecznem przedewszystkiem równości, ale nie równości przed prawem,

---

[1]) «Qu'appelez vous voler? Je ne comprends pas qu'on gouverne sans voler et sans laisser voler.»

która jest prostą sprawiedliwością, tylko równości, według której nie ma się obowiązku nikomu ustępować i nikogo słuchać. Liberum veto pochodziło u nas nie tyle z obałamucenia rozumu, ze źle pojętego prawa, jak z wrodzonego usposobienia i instynktu, do tego stopnia wybujałego, że tam nawet, gdzie wszyscy na jedno się zgodzili, zdawało się, że człowiek pojedyńczy ma prawo nie tylko innym posłuszeństwa odmówić, ale wszystkich innych własną wolą skrępować.

Że Polska upadła, że po dziś dzień mimo bohaterskich wysileń dźwignąć się nie zdołała, że żadne państwo, żaden rząd w Europie jej podźwignieniu nie sprzyja, przypisać to trzeba nie tylko nieprzyjaznym okolicznościom, ale i powszechnemu przekonaniu, żeśmy się od dawnych przywar, od toczącego nas zawsze nierządu nie otrzęśli, że nie umiemy ani troszczyć się o ład wewnętrzny, ani stworzyć kierunku dla czynności zbiorowych i obywatelskich, a co więcej, że Polak ponad wszystko nie cierpi ulegać współrodakowi, podczas gdy z dziwną powolnością umie znosić władzę przez cudzoziemców sprawowaną.

W. xiążę Polaków lubił, co dla nas było niemałą korzyścią. Między Polakami długo przebywał w pierwotnie zabranych prowincyach, w niejednej Polce się kochał, tak jak i brat jego Alexander, Moskali zaś i Petersburga nienawidził. Zamordowanie ojca i innych poprzednich carów niezatarte na jego umyśle zostawiło wrażenie. Choć Alexander był bezdzietnym, Konstanty, mało od niego młodszy wiekiem, nigdy nie marzył dla siebie o tronie, który spadał na niego dziedzictwem. Miał on nieprzełamany wstręt do panowania nad Moskalami, których nazywał narodem morderczym *(nation assassine)*, a że uczuć swoich nie ukrywał, że od bojarów stronił, cesarz rad go był trzymać daleko od stolicy.

W Warszawie Konstanty znalazł wszystko, czego pragnął: i stolicę, i stanowisko, jeżeli nie urzędem, to urokiem najpierwsze, i władzę, i godność prawie królew-

ską, bez dworskiej etykiety, którą się brzydził, i naczelnictwo wojska, w którem się kochał, i naród wreszcie, którego szlachetność cenił, a który, pokonany, nie mógł stawiać oporu jego samowoli.

Miał w. xiążę w Warszawie i to, co mu było najmilszem zajęciem, kierunek własnej tajnej policyi. Lubił śledzić czynności nie tylko tych, którzy mu się podejrzanymi wydawali, ale śledził najpowszedniejsze czynności osób najmniej podejrzanych i chełpił się z tego, że wiedział, co się w salonach i rodzinnych kołach mówiło i działo. Szło za tem nieraz prześladowanie niewinnych, srogie karanie czynów, które wskutek tego naród uwielbiał, choć niezawsze były to czyny roztropne, a czasem istniejącym prawom przeciwne.

W. xiążę śledził i w wojsku, za pomocą tajnej policyi, wykonanie rozkazów swoich w najdrobniejszych szczegółach. Za małe uchybienie bez miary karał dowódców, niższe stopnie zwykle pomijając. Kilku oficerów wskutek obelżywej jego gwałtowności życie sobie odebrało, zostawiając po sobie pisma tłomaczące, że skoro otrzymanie honorowej satysfakcyi jest wykluczone, nie chcąc kalać imienia polskiego zabójstwem w. xięcia, własną krwią zmywają zadaną im obelgę.

Kraj cały żył w nieustannej trwodze, a w. xiążę w tej trwodze widział dowód swej potęgi. «Nie żądam», mawiał, «by mnie kochano, byle każdy przedemną drżał». Tem śmielej zaś Polskę w takiej trwodze utrzymywać lubił, że ufał charakterowi Polaków i czuł się pewnym, wiedząc, iż nie są skorzy jak Moskale do zemsty i zabójstwa. Takie rządy były bolesną dla Warszawy nowością. Cechą Warszawy była wesołość i swoboda; nie zmieniła tego nawet utrata niepodległości. Wszak tak zwane czasy pruskie zostawiły po sobie pamięć rozpustnych zabaw. Za czasów francuskich, przy nadziei odrodzenia kraju, wszystko się miłem zdawało: król saski był szanowany i lubiony, a nad wojskiem, które było jakby rdzeniem

narodu, stał x. Józef od wszystkich kochany, po części i dla tego, że był czasami nad miarę pobłażającym. W Polsce zwykle popularnym bywa ten, co pobłaża, co porządku i prawa niezbyt ściśle przestrzega; a ten, co na urzędzie czując się niewolnikiem powinności, przeprowadza, co prawo nakazuje dla utrzymania porządku, niepopularnym się staje. Słaba to jest, bardzo słaba polityczna strona naszego narodu. Dzieje innych i szczęśliwszych od nas narodów świadczą, że przez surowość, nawet przez srogość, dorabiały się one wzrostu i potęgi, a że prostoduszna pobłażliwość zwykle poprzedzała i powodowała ich upadek.

Bądź co bądź, w. xiążę, zaprowadzając karność wojskową, przysłużył się Polsce. Wyrobił tak silne u wszystkich, nawet nie wojskowych, przekonanie, że karność jest niezbędnym warunkiem bytu, iż każdy jej ulegał, a dowódcy wojskowi, nie umiejący jej utrzymać, pogardę na siebie ściągali. Kiedy Polacy zrozumieją, że karność jest niezbędną do życia narodowego, kiedy tak uwierzą w potrzebę władzy, że od ustanowienia jej każdą obywatelską czynność rozpoczynać będą, kiedy zrozumieją, że, jak mówił Mochnacki, patryotyzm powinien się wyrażać posłuszeństwem względem wszelkiej władzy narodowej, że choć władza przez ludzi sprawowana doskonałą być nie może, to jednak poparciem ludzi zacnych może się udoskonalić i umocnić, kiedy te pojęcia tak nas przenikną, że czynności nasze z nich brać będą kierunek, wtenczas nie będziemy potrzebowali pocieszać się powtarzaniem, że «jeszcze Polska nie zginęła», bo Polska istotnie wówczas będzie do niepodległości dojrzałą, wtenczas zaświta jej zorza zmartwychwstania, wtenczas lada okoliczności, skądinąd mało ważne, zużytkować będziemy mogli w sposób stanowczy dla naszego odrodzenia.

« Gdy po ukończeniu nauk za granicą wróciłem do domu (w październiku 1822), mój ojciec wybierał się właśnie objeżdżać ordynacyę. Wziął mnie ze sobą i od tej chwili przez kilka miesięcy nieodstępnie przy sobie trzymał. Zrazu z ciekawością podzielałem zajęcia ojca, mianowicie gospodarskie. Trochę mnie zadziwiała przesadzona, jak mi się zdawało, drobiazgowość jego w dawanych mi poleceniach, ale posłuszeństwo łatwem mi było, bom ojcu ślepo ufał, a zadraśniętą czasem miłość własną starałem się pokonać pomijaniem chwilowej przykrości. Gdy jednak na zimę przybyliśmy do Warszawy, a ojciec, obchodząc się ze mną jak z dzieckiem, osadził mnie w izdebce przyległej do własnego pokoju i drzwi na zewnątrz zamknął na klucz tak, żem tylko przez salon ojca mógł wychodzić, gdy ponawiały się codziennie drobiazgowe wymagania, często dziwaczne, niekiedy nawet same ze sobą sprzeczne, nie umiałem już wcale wytłomaczyć sobie myśli i zamiaru ojca. Że zaś z przyciskiem nalegał na to, że jestem jeszcze małoletni, pisałem do Wiednia do Jana, radząc mu, aby nie wracał, aż się w oddaleniu doczeka blizkiej już dla siebie pełnoletności. Przeczuwałem, że Jan nie zdobyłby się może na potrzebną cierpliwość. Co do mnie, szczęściem mojem było, że choć cierpiałem, nie oburzałem się jednak.

Gdy nadmieniałem ojcu o chęci zaciągnięcia się do wojska, nie mogłem doprosić się odpowiedzi. Zbywał mnie milczeniem, a natomiast dawał mi zwykle jakie zlecenie czy to do którego z wyższych urzędników cywilnych, czy do tego lub owego ze starszych jenerałów, w celu zapewne, abym się im dał poznać. Te ostatnie zlecenia ze szczególną spełniałem ochotą, niejeden zaś z naszych zasłużonych wojowników z upodobaniem witał młodzieńca, gotującego się do służby wojskowej, a niemało już z warunkami jej i szczegółami obznajmionego. Marzeniem mojem wówczas było znaleźć sposobność do zastosowania nabytej wiedzy w dziedzinie fortyfikacyi,

zwłaszcza przy obronie oblężonego miasta, gdzie trzeba ponieść dużo trudu, gdzie można rozwinąć hart duszy i woli, czego dla siebie zawsze pragnąłem. — Jenerał Hauke, ówczesny minister wojny, zaszczytnie się z takiego zadania wywiązał, broniąc Zamościa w zimie z 1812 na 1813 r. Uderzył go mój zapał; chwalił też w rozmowie z moim ojcem wiadomości moje i dobre zrozumienie przedmiotu.»

Gdy po kilku miesiącach ojciec, uważając zapewne, że dostatecznie już wypróbował cierpliwość syna, pozwolił mu nareszcie podać się do służby wojskowej: «Widzę,» rzekł, «że i pod w. xięciem Konstantym wytrzymasz.» Być może, że i zjawienie się na dni kilka cesarza Alexandra w Warszawie, przyspieszyło udzielenie tego długo daremnie oczekiwanego pozwolenia.

«Dziewiętnastego stycznia 1823 r. po raz ostatni ubrałem się w mundur obywatelski, krótkie spodnie i pończochy, i w Brühlowskim pałacu na pokojach w. x. Konstantego przedstawiony zostałem cesarzowi, który łaskawie rozkazał mię odrazu przyjąć na podchorążego.

Na zapytanie w. xięcia, w jakiej broni chcę służyć, odpowiedziałem, że pragnąłbym służyć z kolei we wszystkich, a skończyć na sztabie. Ofuknął się w. xiążę, któremu już i łaska cesarza nie była po myśli i rzekł: «Ależ się nie zmienia broni jak koszulę! Wybierz, którą wolisz», a zwracając się do mego ojca, dodał: «Byłby z niego, dalibóg, wspaniały grenadyer».

Do piechoty jednak nie dałem się namówić. Sztywność i nieruchomość w szeregu były posunięte w piechocie do najwyższej przesady tak, że sam nawet w. xiążę od tego później odstąpił. Samo przypuszczenie, żebym mógł być na takową sztywność skazany, ckliwość we mnie wzbudzało. W jeździe takich wymagań nie było, gdyż koni do nieruchomości zmusić nie podobna, do jazdy

zatem się podałem, chcąc zacząć od służby frontowej, nie od uczonej broni. Przeznaczył mię w. xiążę do strzelców konnych gwardyi, pod rozkazy sławnego wówczas z przesady służbowej i z dworskiej postawy, ale zacnego jenerała Kurnatowskiego.

W. xiążę nie mógł mi odmówić stopnia podchorążego, udzielonego mi przez cesarza, ale rozkazał, żebym przy oznakach tego stopnia pełnił przez trzy miesiące służbę prostego żołnierza. Szczególną przywiązywał on wagę do tego, żeby młodzież poczynająca zawód wojskowy podzielała bez wyjątku nie tylko służbę, ale cały tryb życia prostych żołnierzy i podoficerów. Wszyscy zarówno zmuszeni byli nosić mundury z najgrubszego skarbowego sukna. Co jednak było dotkliwszem i mniej usprawiedliwić się dawało, to ogólny przepis, zabraniający niższym stopniom, do których i podchorążowie się zaliczali, uczęszczania gdziekolwiek bywali oficerowie, a więc przystępu do wyższego towarzystwa. W. xiążę w służbie nie dopuszczał wyjątków, najmniej też na nie pozwalał tym, których nazywał arystokratami. Przesiąkły despotyzmem, nie znosił żadnej niezależności, ani tego, coby osobistą wartość przyznawało jednostkom. Ale względem mnie postąpił inaczej. Czy wymógł to na nim cesarz Alexander, czy też z własnego popędu to uczynił, dość, że mnie upoważnił do bywania w towarzystwie, a pozwolenie to przepisem ogólnym rozciągnął do wszystkich niższych stopni, tak w wojsku polskiem, jako też w pułkach moskiewskich, należących do załogi warszawskiej. Nowość ta z mego powodu wprowadzona, stopień dany mi na wstępie przez cesarza, wykształcenie, jakie już posiadałem, wraz ze stanowiskiem naszej rodziny w Warszawie, wszystko to, mimo woli w. xięcia i żelaznych przepisów, złożyło się na wytworzenie mi od razu wyjątkowego położenia.

Zaciągając się do służby, sądziłem, że składam pierwszą w życiu dla ojczyzny ofiarę. Bez względu na przy-

krości, jakieby mnie spotkać mogły, choć mniemałem, że mogą mnie spotkać wielkie, chciałem w przewidywaniu przyszłych wypadków, zdobyć sobie zawczasu w polskiem wojsku doświadczenie i dobre imię. Czyniło to mnie o tyle więcej dbałym na wszystko, coby mnie w służbie zalecić starszym mogło; wkrótce też pozyskałem sobie ich życzliwość, o czem dowiedział się i w. xiążę, szczegółowo dopytujący się o wszystko.

Jenerał Kurnatowski pilne a życzliwe miał na mnie baczenie. Oddawszy mnie do pierwszego szwadronu, naznaczył mi na instruktorów dwóch oficerów, którzy mi prywatne dawali lekcye. Porucznik Popławski uczył mnie musztry pieszej i robienia pałaszem, porucznik Tomkiewicz przechodził ze mną regulamin czyli tak zwaną teoryę. Musztry karabinowej uczył wszystkich młodych podoficerów i podchorążych pułku porucznik Kruszewski, adjutant jenerała, później sam dzielny jenerał lekkiej jazdy.

Szwadronami w gwardyi dowodzili pułkownicy lub podpułkownicy. Dowódcą pierwszego szwadronu był pułkownik Jagmin, stary mantyka, gdera, ale zacny i szanowany. Starszym kapitanem był Seweryn Krzyżanowski, oficer dzielny, od podwładnych kochany, dla mnie przyjacielski; po wstąpieniu na tron Mikołaja za wspólnictwo ze spiskiem moskiewskim na sześć lat więzienia przez sąd wojenny skazany, potem bezprawnie na Sybir wysłany i tam zamęczony. Drugim kapitanem był Mycielski Michał, później adjutant przy w. xięciu, następnie w 1830 r. świetnej odwagi dowódca drugiego pułku ułanów, wreszcie jenerał brygady. Plutonem pierwszym, do którego byłem przydzielony, dowodził porucznik Skarszewski, przystojny, zalotny, w służbie, o ile to wówczas być mogło, niebardzo pilny, ze mną przyjacielski. Ten w 1831 r. na czele szwadronu w szarży na piechotę poległ z chwałą.

W kilka dni umundurowany, pierwszych zasad postawy żołnierskiej przez porucznika Popławskiego nau-

czony, przedstawiony byłem przez jenerała Kurnatowskiego w. xięciu. Doskonałe dopasowanie munduru było za w. xięcia rzeczą największej wagi. Porucznik Józefowicz, ubiorczy pułkowy, stary, sztywny wąsal, miał sobie polecone przez jen. Kurnatowskiego dopilnowanie, abym był doskonale umundurowany. Sam przyszedł do mnie, do Błękitnego pałacu, z pułkowym krawcem brać miarę. Operacya ta rozpoczęła się od spięcia mnie pasem rzemiennym; krawiec, oparłszy mi kolano na brzuchu, ściągał go na sprzączkę całą siłą, bo choć później w. xiążę na częste zażalenia doktorów zaniechał tego wymagania, wówczas jeszcze kochał się w jak najszczuplejszej talii u żołnierzy. Jakkolwiek na wszystko przygotowany i bynajmniej niesklonny do buntu, nie mogłem jednak powstrzymać się od oburzenia i tak się nadąłem, że ściągany i naciągany rzemień pękł w ręku krawca. Gdy zaś ubiorczy odszedł, nakłoniłem poufnie krawca, by zaspokoił gust w. xięcia nie obcisłym mundurem, ale wywatowaniem rajtuzów na biodrach. Fortel nieświetnie się udał. Kurnatowski ciągle na mój mundur narzekał i w. xiążę, gdym przed nim na pokojach Brühlowskiego pałacu stawał jako ordynans, zarzucał mi, że ten nieszczęśliwy mundur niedobrze leży. Po kilku tygodniach byłem odkomenderowany jako szeregowy do warty, która zajmowała odwach koszar naszych Mirowskich. W. xiążę, drobiazgami zawsze do zadziwienia zajęty, kazał się zawiadomić, o której godzinie będę stał na szyldwachu, i znienacka zajechał przed koszary z xiężną Łowicką otwartemi, mimo pruszącego śniegu, sankami, zapewne chcąc przekonać się, jak się sprawię w oddaniu honorów naczelnemu wodzowi. Przed odwachem zatrzymał sanki, pilnie mi się przypatrywał, do xiężny Łowickiej się uśmiechał, chrząkał, ręce zacierał, był widocznie kontent z nabytego do szeregu panicza.

Było zwyczajem, że ochotnik czyli, jak go zwano, kadet, wstępujący do jazdy, wprowadzał do pułku własne-

go konia. Był to, właściwie mówiąc, podarunek dla dowódcy, obowiązanego z funduszów dostarczanych mu przez skarb łożyć tak na konie, jak na wszystkie potrzeby pułku. Gdym wszedł do strzelców konnych gwardyi, każdy z czterech szwadronów miał konie odrębnej maści. Pierwszy miał konie gniade; dostawiłem więc stosownego do mego wzrostu pięknego meklemburskiego ogiera.

W kilka zaledwo tygodni potem w. xiążę, namiętnie się kochający w jednostajności, wydał rozporządzenie, nakazujące wymianę koni między pułkami tak, aby każdy pułk miał konie tej samej maści. Na gwardyę przypadła maść kasztanowata; gniade konie z mego szwadronu przeszły do ułanów gwardyi cesarskiej, konnopolcami zwanych; poszedł więc z niemi i mój meklemburski ogier. Jen. Kurnatowski przymówił się o powtórne dostawienie konia. Miał właśnie mój ojciec pięknego kasztanowatego ogiera z własnego stada i nie pożałował mi go. Ale Kurnatowski nie lubił ogierów. Sam nietęgi jeździec folgował w. xięciu w jego zamiłowaniu nieruchomości i cichości w szeregach i dla tego wszystkie ogiery bez litości kazał pokładać. Weterynarz, Niemiec, umyślnie do tego sprowadzony, o śmierć przyprawił kilkadziesiąt najpiękniejszych koni, a między niemi i mego ogiera. Jen. Kurnatowski po raz trzeci przymówił się o dostawienie konia. Odpowiedziałem, że mój ojciec więcej o tem słyszeć nie chce. Dano mi więc ze szwadronu konia, wprawdzie przystojnego, ale z tak zniszczonemi przedniemi nogami, że co chwila się potykał. Szczęściem dla mnie byłem już wprawnym, a nawet uczonym jeźdźcem po dwuletnich ćwiczeniach w Berlinie na królewskiej ujeżdżalni. Poznawszy tedy, że przy słabych nogach nie brakło koniowi ducha, potrafiłem szczęśliwie odbyć na nim całą służbę podoficerską przez dwadzieścia miesięcy bez przypadku, chociaż mi dano we froncie numer podoficera wytycznego, który w manewrach całym pędem konia wybiega naprzód dla wytykania linii frontu. Ale ile razy byłem odkomendero-

wany lub na urlopie, a na mojem miejscu na tymże koniu inny podoficer pełnił obowiązki wytycznego, na głębokich mokotowskiego pola zagonach, za każdym razem z koniem się położył.

To się przyczyniło do wyrobienia mi w pułku sławy doskonałego jeźdźca. Jeden tylko jen. Kurnatowski ganił moją postawę; nie była taką, jaką sobie upodobał w. xiążę, sztywną, prostopadłą od głowy do ostrogi, zastosowaną nie do potrzeby jeźdźca, ale do upragnionych przez w. xięcia linii i kątów prostych. Przy takiem siedzeniu na koniu prawdziwą było sztuką za każdym nieprzewidzianym ruchem lub zatrzymaniem się konia nie stracić równowagi. W. xiążę, który sam tak chciał na koniu siedzieć, o tyle tylko czuł się bezpiecznym, o ile poprzednio koniuszy kilkogodzinną jazdą, przy ciągłem używaniu ostrogi, konia doskonale zmęczył. Konie miewał w. xiążę angielskie rasowe; głodzono je i rózgami ćwiczono, żeby je do potrzeby jego ułagodzić. Kurnatowski, często mnie na «rajtszuli» upominając, zwykł był jednego z oficerów pułku za wzór mi wskazywać, wszakże dodawał: «W stępie śliczna jego postawa; niestety, traci ją w kłusie i galopie.»

Zaledwo upływał trzeci miesiąc mojej służby, kiedy umarł dziad mój x. Adam Czartoryski, jenerał ziem podolskich. Nieboszczykowi, którego znała i szanowała cała Polska, oddał niespodziewane i niepożądane honory w. x. Konstanty. Dowiedziawszy się o zamiarze rodziny przeniesienia zwłok do Warszawy, do grobu rodzinnego w kościele św. Krzyża, umyślił przy tej sposobności nadać rozgłos narzuconej niegdyś xięciu jenerałowi przez cesarza Józefa II, przy zaborze Galicyi, godności feldmarszałka i z przyciskiem oznajmił rodzinie, że winien oddać zmarłemu honory wojskowe do stopnia tego przywiązane. Tak więc od granicy Galicyi eskorty wojskowe, odkomenderowane z przyległych garnizonów, towarzyszyły zwłokom do Warszawy; u rogatek stolicy przyjmował je w. xiążę

i następnie szedł pieszo za trumną aż do św. Krzyża. W tym pochodzie miejsce obok siebie w pierwszym rzędzie naznaczył mnie i xięciu Adamowi Wirtemberskiemu, jenerałowi brygady, jako wnukom zmarłego. X. Wirtemberski przybył na pogrzeb nie własnem wiedziony uczuciem. Osobiście żadnego nie okazał uszanowania dla zwłok dziada swego, acz znajdował się na garnizonie w Krasnymstawie na samym trakcie, którym szedł konwoj pod eskortą z jego własnej brygady. Dopiero gdy wieść o tem doszła do w. xięcia, ten sztafetą wezwał go do Warszawy, a wyłajawszy, kazał mu iść za trumną obok siebie i mnie. Za nami dopiero szli członkowie rodziny niewojskowi.

W czasie służby mojej w Warszawie mieszkałem nie w koszarach, ale u rodziców, mając na to wyraźne pozwolenie w. xięcia, mogłem przeto w godzinach wolnych, służbą i nauką służby nie zajętych, korzystać i z drugiego danego mi pozwolenia, bywania w świecie. Do niejednej wizyty sam ojciec mnie pobudzał. Uważając wykształcenie teoretyczne za niedostateczne, starał się dla synów o stosunki z ludźmi, którzy zajmowali w kraju wyższe stanowiska i urzędy. Chciał, żebyśmy się zawczasu obznajamiali ze sprawami narodowemi, żebyśmy nabierali praktyki życia publicznego. Sądził, że z rozmów takich dużo się nauczyć możemy. Dla mnie, o ile był surowym i drobiazgowo wymagającym, póki mnie «próbował», o tyle stawał się coraz bardziej łatwym i ufnym, w miarę jak widział, że w służbie znaleźć się umiem. Umyślnie wyszukiwał interesa, za któremi mnie, mimo mojej służby i nizkiego w niej stopnia, posyłał do różnych władz, począwszy od mecenasów, sędziów, do radców stanu, ministrów i samego namiestnika.

W tych spotkaniach zadziwiała mnie ogólna wszystkich uprzejmość i przychylność dla mnie. Czując, żem nie mógł zasłużyć sobie na nią, przekonywałem się, jak wielki urok w kraju miała wówczas rodzina moja, czego

anim się domyślał świeżo z zagranicy przybywszy. Szczęściem, nie tylko żem się tem nie upajał, ale prawie za złe miałem ludziom wieku i zasługi, że mi okazywali tyle niczem jeszcze nie zapracowanej przezemnie życzliwości. Miło mi jednak było przypisywać ją cnocie i zasługom rodziców.

Namiestnik xiążę Zajączek, jenerał piechoty, starzec bez nogi, niegdyś nienawidzący szlachty jakobin, przyjmował mnie, młodego podchorążego w grubym mundurze ze szczególną dobrocią; uważnie słuchał przedstawianych mu z polecenia ojca interesów; na obiady zapraszał. Xiężna Zajączkowa, staruszka pełna życia i dowcipu, równie uprzejma była dla mnie.

Stary minister Badeni, przyjaciel mego ojca, jeden z najzacniejszych przedstawicieli przeszłego pokolenia, wierny kontuszowi do śmierci, słynny ze znakomitego a czysto staropolskiego dowcipu, często zapraszał mnie na sławne wówczas u niego obiady piątkowe. Podobnież przyjacielem rodziny naszej był minister spraw wewnętrznych, Mostowski. Przez długi pobyt we Francyi gruntownie obznajmiony z zachodnią cywilizacyą i zasadami ekonomii politycznej, świeżo do rzędu umiejętności zaliczonej, dobry agronom, z doświadczenia nabytego na własnej majętności we Francyi, niepospolitą zdobył zasługę wytwornem wydaniem zbioru najlepszych płodów literatury naszej, ale, niestety, sceptyk XVIII wieku, zwątpił o ojczyźnie, chociaż rozumem usiłował jej służyć. Ojciec nasz wysoko cenił pana Mostowskiego, stąd wielka zażyłość panowała między obu domami, a przyjaźń między dziećmi.

Pilnie z upodobaniem i ciekawością utrzymywałem stosunki, które mogły się stać dla mnie źródłem nauki o stanie politycznym kraju. Do służby wojskowej miałem pociąg niezaprzeczony; o najtrudniejszych zadaniach wojennego życia i pokonywaniu ich marzyłem jak o rzeczy najmilszej; ale nie było nigdy zamiarem moim poświęcić się wyłącznie zawodowi wojskowemu. Przez służbę w na-

rodowem wojsku spodziewałem się dojść w danym razie do politycznej w kraju działalności. Wiedziałem zresztą, że zdrowy sąd o polityce jest koniecznym warunkiem, bez którego i wyższe uzdolnienie wojskowe nabyć się nie daje. Niespodziewana okoliczność ułatwiła mi zapoznanie się z ówczesnym stanem spraw politycznych w kraju. Józef Tymowski, sekretarz Rady Administracyjnej czyli rady ministrów, powziął szczególniejsze do mnie upodobanie. Po raz pierwszy widział mnie dzieckiem w Paryżu przy nauczycielu Markiewiczu, którego wielce poważał; potem, przyjechawszy do Berlina w misyi rządowej, zastał mnie tam na uniwersytecie; wreszcie w Warszawie, zapragnąwszy bliższej ze mną znajomości, użył ku temu niechybnego środka, budząc ciekawość moją opowiadaniem o bieżących sprawach krajowych, a więc o przedmiocie, który najżywiej mnie zajmował.

Królestwo Polskie miało, jak wiadomo, zabezpieczone sobie w konstytucyi 1815 r. sejmy, wolność druku, także wiele innych swobód, i w pierwszych latach swego istnienia swobód tych w istocie używało. Odbyły się dwa sejmy, a co do wolności druku, dość powiedzieć, że cenzorem z początku był Niemcewicz. Ale w 1820 r. wiele się zmieniło. Drugi sejm śmiałem odrzuceniem kilku rządowych propozycyi zraził Alexandra i zakończył się oziębłem przez tegoż pożegnaniem reprezentacyi narodowej.

Nastąpił okres kilkoletni rewolucyjnych wybuchów w Hiszpanii, Neapolu, Grecyi, z czego x. Metternich skorzystał, by przekonać Alexandra, że jedynie podejrzliwość i srogość są prawdziwem bezpieczeństwem tronów. Stąd nieograniczone nadal odraczanie sejmów i zniesienie wolności druku.

Pod rządami konstytucyjnemi polityczne zdania ścierają się w izbach prawodawczych i pismach publicznych. Gdy Królestwu tego pola zabrakło, życie polityczne w Warszawie zamknęło się wyłącznie w najwyższych sferach rządowych, a Rada Administracyjna, która, jako

władza wykonawcza miała w myśl konstytucyi stanowić jedność nierozdzielną, stała się odtąd miejscem rozpraw politycznych, gdzie się przeciwne ścierały zdania. Rozprawy w Radzie toczyły się ważne, nieustanne, ale tajemne; członkowie Rady mało komu i tylko poufnie się z nich zwierzali. Ufność, jaką powziął do mnie sekretarz Rady, Tymowski, doszła do tego stopnia, że mi o tych naradach obszernie rozpowiadał. Posiedzenia Rady odbywały się co wtorek, poczem członkowie i sekretarz jadali obiad u namiestnika; otóż, dnia następnego, co środa, miałem zamówiony obiad z Tymowskim, w jego mieszkaniu w hotelu Wileńskim, z wzajemnem zastrzeżeniem, że żaden z nas nie sprowadzi trzeciego gościa, bo celem obiadu było, abym poufnie wysłuchał obszernego opowiadania o tem, co poprzedniego dnia na Radzie się działo. Rzecz to była dla mnie w najwyższym stopniu zajmująca: stała mi się istotnym wstępem do życia politycznego, dała sposobność do zapoznania się ze sprawami publicznemi, którym wszystkie siły poświęcić zamierzałem.

W przedmiotach, dotyczących ogólnego zarządu zasobów i bogactw krajowych, rzecznikami dwu przeciwnych systematów ekonomii politycznej w Radzie Administracyjnej byli: Mostowski, minister spraw wewnętrznych i Lubecki, minister skarbu; Mostowski głosujący za wolnością handlu, Lubecki za monopolami i opieką nad przemysłem.

X. Lubecki, za młodu oficer w służbie rosyjskiej, (odbywał we Włoszech kampanię pod Suworowem), wstąpiwszy w 1821 r. do służby Królestwa, jako minister skarbu, rozpoczął urzędowanie od odezwy do obywateli, aby, czyniąc zadość żądaniom króla i brata jego, nieśli hojne ofiary na zasilenie skarbu Królestwa i utrzymanie trzydziestotysiącznego wojska polskiego. Żądał tylko pokrycia deficytu, dalsze potrzeby wojska obowiązywał się pokryć bez nowych podatków; ale ostrzegał, że niedopełnienie żądanego warunku może zagrażać samemu nawet ist-

nieniu Królestwa. Gdy dobrowolne ofiary deficyt pokryły, podniósł dochody skarbowe wprowadzonemi, za przykładem Moskwy, monopolami na wódkę, tytoń itp.

Prowadząc kraj i rząd krajowy na nowe drogi, x. Lubecki, jak za pierwszym krokiem tak i nadal, szukał poparcia w opinii publicznej. Niezmordowany był w tłomaczeniu zdań i postanowień swoich. Lubił obszernie mówić, zwłaszcza przed młodymi, okazującymi zdolność ludźmi, którymi się otaczał. Co wieczór u siebie, stojąc o bilard oparty, godzinami rozprawiał, nauczał, ujmował. Rano nawet, pomimo licznych spraw i zajęć, nie odmawiał przyjęcia nikomu; uważnie każdego słuchał i sam się rozpytywał. Pierwsze zetknięcie moje z x. Lubeckim sięgało pobytu mojego w Berlinie, gdy tam przybył dla upomnienia rządu pruskiego z powodu ceł nałożonych żegludze na Wiśle i Niemnie. Domagał się on zupełnej wolności dla tej żeglugi na mocy traktatu wiedeńskiego, a widząc upór Prusaków, nie wahał się ich ostrzedz, że, gwałcąc warunek traktatu, zabezpieczający wszystkim mieszkańcom dawnej Polski wolną komunikacyę i wolny handel, na całej przestrzeni tego kraju, a mianowicie na rzekach, od ich źródeł do ujścia, sami niszczą swój tytuł do posiadania tej części Polski, która im pod ścisłemi warunkami na własność przyznaną była. Rząd pruski mocno odczuł takie ostrzeżenie i zaniósł skargę na Lubeckiego do Petersburga. Jaka była z Petersburga odpowiedź, nie wiem. Wiem tylko, że x. Lubecki niejednokrotnie przy mnie nadmieniał o danem w tych słowach rządowi pruskiemu ostrzeżeniu. Dla mnie było to pierwszą wiadomością o warunkowym charakterze układów wiedeńskich co do Polski.

Lubecki, wiekiem od Mostowskiego młodszy, klęsk ojczyzny osobiście nieświadom, owszem, przez całe życie w służbie samowładnego cara do samych niemal powodzeń nawykły, i na Radzie warszawskiej wszystkie swoje finansowe plany, wbrew Mostowskiemu, zwycięsko prze-

prowadzał. Mostowski, światły, uczony, dowcipny, wymowny, ale wiekiem, a bardziej jeszcze przebytemi klęskami złamany, nie mógł sprostać Lubeckiemu, gdy ten z porywającą wymową zdania swego na sesyach Rady bronił. Mostowski jednak, choć Lubeckiemu oprzeć się nie zdołał, nieraz umiejętnym rozbiorem zdań przeciwnika drogę mu oświecał i od przepaści go chronił.

Ale Rada Administracyjna dzieliła się na przeciwne obozy nie na jednem tylko polu spraw finansowych. Drugiem wśród niej źródłem sprzeczności zdań i usposobień był pan Nowosilcow, który, mimo że do prawnego składu Rady nie należał, stale w niej zasiadał, jako tak zwany komisarz cesarski, narzucony wolą cara. Przyznać trzeba na pochwałę Alexandra, że Nowosilcow był jedynym Rosyaninem wmieszanym do administracyi Królestwa Polskiego, bo w. xiążę, jako brat cara i króla polskiego, łączył w sobie, rzecby można, charakter Polaka i Rosyanina. Nowosilcow, przeciwnie, był wyobrazicielem wyłącznie ducha Moskwy, wiekowego wroga Polski: to też choć był jedynym urzędnikiem moskiewskim w Królestwie, sam starczył za wielu. Był on niby światły, niby cywilizowany, niby przyjaciel x. Adama, a na początku rządów Alexandra należał do owych rzekomych liberałów, którymi Alexander wówczas się otaczał. Ale niedługo przekonali się Polacy, że nie był on wcale przychylnym temu, coby lepsze losy Polsce przysposobić mogło. Już w 1813 r., gdy został członkiem tymczasowego rządu w Warszawie, powszechnie dostrzegano w nim ukrytego wroga Polski. Nie brakło wprawdzie i takich, co nie przestawali wtedy jeszcze wierzyć szczerym chęciom człowieka, który się przyjacielem x. Adama mienił. Do tych należała moja matka. Razu jednego zapytała go w oczy, jak go bronić od powszechnie czynionych mu zarzutów. Nowosilcow zająknął się, zmieszał i dwuznaczną odpowiedzią ustalił o sobie zdanie z powszechnym sądem zgodne, a którego już potem nic nie zmieniło.

Zręczny, obłudny, zacięty, w zabiegach niezmordowany, zachodniej cywilizacyi świadomy, światła jej używał tylko do tem doskonalszego ustalenia despotyzmu. Nadewszystko, jako Moskal, zazdrościł nadanych Królestwu swobód. Wprawdzie, powolny rozkazom cesarza, pomagał w redagowaniu konstytucyi Królestwa, ale korzystał z tej sposobności, aby wprowadzić niejedno, co później na szkodę Polski wyzyskać zamierzał. W Radzie Administracyjnej usiłował odgrywać rolę dawnych posłów carskich przy dworze polskim. Namiestnika podbił sobie zupełnie; w razie zaś oporu tegoż, mógł zawsze liczyć na wpływ w. xięcia, acz także w Radzie nie zasiadającego. Za pierwszych czasów Królestwa był w Radzie samowładnym. Dopiero x. Lubecki otwarcie stawił mu czoło.

Nie mógł Nowosilcow pokonywać Lubeckiego, jak pokonywał innych członków Rady, zarzucając im, że lgną jeszcze do bezpowrotnie minionych czasów francuskich. Przeszłość x. Lubeckiego była zupełnie moskiewską. To też walczył on przeciwko Nowosilcowowi nadaną przez cara konstytucyą. Żadne go nie uwodziły marzenia, ani o przeszłej, ani o przyszłej Polsce; bronił istniejących praw. Było to wielką siłą przeciwko podkopującemu ich istnienie wrogowi. W tej walce, która się co sesya na Radzie ponawiała, Mostowski stale, poważnie, dowcipnie Lubeckiego popierał. Popierał go podobnie Badeni, chociaż od początku powiadał: «Na stole konstytucya, pod stołem knut», później zaś mawiał: «Teraz knut na stole a konstytucya pod stołem».

Za Nowosilcowem głosował najczęściej, oprócz namiestnika, Hauke, minister wojny, który, tak jak Zajączek, przez ślepą dla w. xięcia uległość, tracił dobre imię służbą wojenną nabyte, oraz Stanisław, czyli jak go nazywano, «Staś» Grabowski, minister oświecenia, całe życie płochy, na pozór uczony, niby i religijny, ale nadewszystko dworak. Tak więc Nowosilcow osobiście głosu

w Radzie nie mający, zawsze miał trzy głosy za sobą i tyleż przeciw sobie.

Na siódmego członka Rady powołany został jenerał Rautenstrauch. Ten, za czasów ministerstwa xięcia Józefa Poniatowskiego, będąc członkiem komisyi wojskowej, był tam jego prawą ręką. Bystry, pracowity, doskonały administrator, byłby w niepodległym kraju urzędnikiem znakomitym, ale choć w Polsce urodzony i po polsku mówiący, w duszy Polakiem nie był, władzy, jakakolwiek była, hołdował, w Radzie więc stał się jakby zastępcą i ajentem w. xięcia.

O przeciwnych sobie usposobieniach i zapatrywaniach ministrów, jeżeli nie w szczegółach, to wogóle, wiedzieli wszyscy Wiadomo było, którzy członkowie Rady bronili sprawy krajowej, a którzy pełzali przed w. xięciem i Nowosilcowem. Pierwsi częstymi bywali gośćmi u moich rodziców i nas do siebie zapraszali. Mój ojciec stale im życzliwość okazywał, ale mimo to ciągle nas strzegł od zbyt namiętnych zapatrywań i sądów. Nikogo, najgorszych nawet, bezwzględnie potępiać nie pozwalał i nieustannie nakłaniał nas do umiarkowania, sprawiedliwości i wyrozumiałości.

Wolne godziny dnia poświęciwszy rodzinie i niezliczonym wizytom, wieczory spędzałem w salonach, aż do nadwerężenia zdrowia, bo choć do późnej nocy nieraz się bawiłem, o czwartej zrana musiałem już być w koszarach. Korzystałem z okazywanej mi powszechnie życzliwej zachęty, z owego «szczęścia do ludzi», jakie we mnie dobra ciotka od najmłodszych lat moich upatrywała, a które, jeżeli i zależy w części od pewnej w młodzieńcu prostoty ducha, to jednak przedewszystkiem jest darem Opatrzności. Możem i nadużywał tego daru, może zbyt wiele czasu poświęcałem stosunkom światowym; śmiało jednak powiedzieć mogę, żem przytem w służbie przynajmniej był pilny i akuratny.

Nie brakło wówczas domów, prowadzących otwarte salony w Warszawie. Do pierwszych liczył się dom pani

Stanisławowej Potockiej. Zmarły w 1821 r. mąż jej, Stanisław Potocki, był za Xięstwa Warszawskiego i następnie za Królestwa Polskiego ministrem oświecenia i spraw duchownych; później został prezesem senatu. Światły, uczony, krzewił oświatę, zakładał szkoły ludowe. Odziedziczywszy z majątkiem żony pałac wilanowski, ozdobił go cenną galeryą obrazów i biblioteką. Ale serce miał oschłe, a dążności, choć liberalne, zasadami wieku XVIII przesiąkłe. W sprawach duchownych rządził się filozoficzną niewiarą, jak cała niemal ówczesna Europa. Pani Stanisławowa Potocka była córką xięcia marszałka Lubomirskiego i xiężniczki Czartoryskiej, siostry xięcia jenerała, dziada mego. Była to osoba dobra, gościnna, ale w rzeczach wiary obojętna, wpływami francuskiej emigracyi przesiąkła, a choć wielka pani, pełna przesady, zwłaszcza w mowie. Dom miała co wieczór otwarty, częste dawała obiady i spraszała młodzież na rozmaite zabawy, wyścigi itp. w obszernym ogrodzie, który się ciągnął od Krakowskiego Przedmieścia do ulicy Wierzbowej.

Wyrocznią w domu pani Stanisławowej Potockiej był Julian Ursyn Niemcewicz, który w oficynie jej pałacu mieszkał. Nie tylko zresztą w tym domu, ale w całej Warszawie, we wszystkich stanach był on kochany, lubiony, szanowany i zapraszany przez wszystkich nieustannie. Ci nawet, których dowcip jego nielitościwie, czasem niesprawiedliwie smagał, nie czuli urazy pod urokiem jego zacności, dobroduszności, a nadewszystko tej żywotnej, niczem niepokonanej polskości, której ani kilkakrotne wygnanie, ani długi pobyt i ożenienie się w Ameryce, ani zamiłowanie angielskich ustaw i obyczajów, ani światło z Zachodu czerpane, nie osłabiły, nie zwichnęły, owszem umocniły i do wysokiéj obywatelskiej cnoty wyniosły, tak iż się stał ulubieńcem narodu, ulubieńcem, jakiemu równego nieprędko się doczekać.

Był drugi dom Potockich, także na Krakowskiem Przedmieściu, pana Alexandra Potockiego, wielkiego ko-

niuszego koronnego, syna pana Stanisława. P. Alexander znał się podobno na koniach; przynajmniej, mówiąc o nich, popisywał się anglomanią. Żona jego Anna z domu Tyszkiewiczówna, jako córka siostry stryjecznej x. Józefa Poniatowskiego[1]), przy lada okoliczności występowała z gorącym patryotyzmem. Ten patryotyzm nie okazał się jednak w jej synach żadnym czynem, któryby świadczył o ich miłości dla kraju, czynem odpowiednim ich stanowisku i majątkowi. Pani Alexandrowa słynęła w towarzystwie warszawskiem z uszczypliwego dowcipu, a także powabu, choć była ułomną. Idąc trybem zeszłego wieku, rozwiodła się z mężem i zaślubiła pułkownika Wąsowicza, który w roku 1812, po strasznym pogromie Francuzów, odbył z Napoleonem, na jednych sankach, historyczną podróż z pod Berezyny aż do Warszawy. Córka jej, Natalia, podówczas ośmnastoletnia, pięknej, szlachetnej urody, podbijała sobie młodzież, ale każdy wnet się rozczarował przed jej lodowatą, przynajmniej na pozór, obojętnością. Przeszedłem i ja przez tę kolej; kilka miesięcy hołdy przed nią składałem, do Mokotowa w odwiedziny jeździłem, aż jednego wieczora tak mnie zraziła, że dotknięty czy w uczuciu, czy w próżności, mimo wyrzutów, które mnie potem dochodziły, nie powróciłem więcej. W lat kilka potem poszła za xięcia Romana Sanguszkę.

Pani Janowa Potocka, Konstancya, wdowa po uczonym a dziwacznym Janie Potockim, który sobie życie odebrał, była jedną z ośmiu córek Szczęsnego Potockiego. W lat kilka po śmierci pierwszego męża poszła za Edwarda Raczyńskiego. Syn jej z pierwszego małżeństwa, Bernard, ożenił się z Klaudyną Działyńską. Salon ówczesnej pani Janowej był jednym z najpowabniejszych; za przykładem gospodyni tchnął dowcipem, nie złośliwością. Pani Ja-

[1]) Konstancyi Ludwikowej Tyszkiewiczowej, córki xięcia Kazimierza, najstarszego brata króla Stanisława Augusta i Andrzeja, ojca xięcia Józefa.

nowa mieszkała skromnie, na drugiem piętrze, na Nowym Świecie. Na pierwszem piętrze tegoż domu mieszkali xiążę Maxymilian Jabłonowski i żona jego Teresa z Lubomirskich, tak ładna, urocza, wesoła, na pozór pusta, a w istocie wykształcona i rozważna, że mąż jej, acz senator-wojewoda, zdawał się tyle tylko mieć znaczenia, ile przez nią nabywał. Nazywano go też «xięciem Teresą», co tem zabawniej wypadało, że siostrę jego Teresę, kanoniczkę, dla męskości charakteru, którą się brat jej nie odznaczał, podobnież nazwano «xięciem Teresą».

Czwarty dom Potockich był «Stasia» Potockiego, który już w powstaniu 1794 r. był adjutantem Kościuszki i ulubieńcem Warszawy, za Xięstwa Warszawskiego dowódcą pierwszego pułku liniowego. W 1824 r. dowodził pierwszą dywizyą piechoty; od wszystkich, a zarazem i od w. xięcia, lubiony. Pierwsza żona jego, porzuciwszy go poszła za Tyszkiewicza, jenerała w powstaniu litewskiem 1831 r. Staś Potocki, ze swojej strony, pojął drugą żonę, pannę Górską.

Dom Gutakowskich, mieszkających na Grzybowskim placu, otoczony był powszechnym szacunkiem. Pani Gutakowska staruszka, z domu Sobolewska, dwa razy owdowiała, raz po Zabielle, drugi raz po Gutakowskim, marszałku sejmowym za Xięstwa Warszawskiego, nie tylko, że nie uległa ogólnemu zepsuciu XVIII wieku, ale przechowała cały wdzięk i zacność domów polskich z dawnych czasów. Córkę z drugiego małżeństwa, Gutakowską, wydała za swego pasierba, Henryka Zabiełłę. Oboje, mieszkając przy matce, słynęli z światłej pobożności i dobroczynności.

Syn jej starszy, Gutakowski, niegdyś adjutant xięcia Józefa, pod Lipskiem ciężko ranny, naówczas był adjutantem cesarza Alexandra. W kilka lat potem pojął za żonę pannę Józefę Grudzińską, siostrę xiężnej Łowickiej. Salon na Grzybowie, co wieczór otwarty, był jednym z filarów opinii publicznej warszawskiego społeczeństwa.

Młode małżeństwa ubiegały się o dobre w nim przyjęcie. Górowało tam uczucie religijne i pewien rygor obyczajów. Tylko pod względem narodowym, dom ten, choć istotnie polski, pozostawiał do życzenia. Były tam pewne tradycye dworu Stanisława Augusta i wyrozumiałość na stosunki z Moskwą.

Nie mniejszą powagę wśród towarzystwa warszawskiego miała kasztelanowa Połaniecka, staruszka od wszystkich wysoko szanowana; najpoważniejsze osoby starały się o jej względy. Moja matka szczególną miała dla niej cześć. Dom jej był czysto polski. Ale ze wszystkich wielkich pań warszawskich, które już w wieku przeszłym miały większe znaczenie, najświetniejszą i najgłośniejszą była xiężna wojewodzina Radziwiłłowa, z domu Przeździecka. Głośną była za młodu z piękności, wdzięku, dowcipu. Paryż ją znał jeszcze za Ludwika XV, znał ją Fryderyk II w Berlinie, znała Katarzyna w Petersburgu, gdzie często przebywała z mężem, xięciem Michałem, który skalał swe obywatelskie imię przyjęciem marszałkostwa konfederacyi litewskiej na sejmie podziałowym w 1773 r. Xiężna Michałowa miała ton dziwnie rubaszny, śmiałość do ludzi rzadką, w szczególności też do cesarza Alexandra i w. xięcia Konstantego, którzy przyzwyczajeni za młodu do jej obcesowości, z dobrym humorem znosili ją i na starość. To też wszystko ośmielała się im mówić, a choć bez ładu i szyku, polskie nieraz przez nią przemawiało uczucie. Włos miała bieluteńki, ale zawsze przystrojony w najświeższe i najjaskrawsze kwiaty. Wchodząc do salonu, osobliwszy miała zwyczaj witania znajomych donioslym i przeciągłym okrzykiem: «Patrzcie na te róże w śniegu». Założyła piękny ogród przy nieborowskim pałacu, któremu dała imię Arkadya, i zdobyła sobie ten zaszczyt, że poeta Delille w poemacie o ogrodach, obok Puław, wspomniał o Arkadyi. Podeszły wiek, przy świetnem imieniu, miał wówczas wielki urok; uderzającym tego dowodem było ogólne zachowanie się towarzystwa

warszawskiego względem xiężnej Radziwiłłowej, pomimo jej młodości burzliwej i płochości, którą zachowała do końca.

Xiężna Zajączkowa miała także swój salon w małych apartamentach namiestnikowskiego pałacu, gdzie przyjmowała niezależnie od męża i oficyalnych jego obowiązków. Nader skromnego pochodzenia, niespodziewanie wyniesiona przez urząd męża na najwyższe w kraju stanowisko, umiała z wielkim znaleźć się taktem. Mimo wieku podeszłego, zachowywała czerstwość niepospolitą, zamiłowanie do strojów i dowcip w rozmowie, zawsze prawie prowadzonej po francusku; była przytem niezwykle uczynną.

Dom państwa Mokronowskich na Krakowskiem Przedmieściu otoczony był poważaniem i powszechnym szacunkiem, na jakie zasługiwał schorzały, ale pięknej jeszcze postawy jenerał Mokronowski, świetny obrońca Krakowa za Kościuszki. Przy każdej okoliczności i rocznicy ojciec nas prowadził do jenerała Mokronowskiego dla oddania czci zasłudze i rycerskiej cnocie, o której lubił nam opowiadać. Nie brakło domowi temu i wesołości, bo pani Mokronowska, z domu Sanguszkówna, choć ułomna i wieku już dojrzałego, zawsze jednak chciwa była zabawy.

Do najpoważniejszych wreszcie domów w Warszawie należał dom ciotki naszej, xiężnej Alexandrowej Sapieżyny, ukochanej córki kanclerza Andrzeja Zamoyskiego. Najzacniejsza i najprzykładniejsza pani, matka, obywatelka, gorąca, ale zawsze roztropna patryotka, dwom głównym celom poświęciła życie: spłaceniu z własnego posagu, za pomocą wielkiej rządności, ogromnych długów męża i wychowaniu swych dwojga dzieci, córki i syna. W małżeństwie nie znalazłszy szczęścia, wcześnie, za wspólnem porozumieniem, rozstała się z mężem, który umarł niedługo potem, w 1812 r.[1])

---

[1]) X. Alexander Sapieha, urodzony w Strasburgu w 1775 r., po podziale Polski przeniósł się za granicę, gdzie się oddawał naukom;

Xiężna Sapieżyna kochała młodzież i przy własnych dzieciach gromadzić ją lubiła; głównie zaś łaskawą była na liczne dzieci swego brata. Syn jej Leon, ukończywszy nauki najprzód w liceum warszawskiem, następnie w Paryżu, gdzie słuchał prawa, wyszedł na obywatela rzadkich i gruntownych przymiotów, przytem cnoty cichej i, jeżeli to być może, aż do przesady skromnej. Przez kilka lat pracował w biurze skarbu pod xięciem Lubeckim i tam, od ministra swego szczególniej lubiony i do spraw poufnych używany, nabył wiadomości i doświadczenia, któremi w ciągu życia ważne krajowi oddawał usługi. Kiedy w 1831 r., zerwawszy z Moskwą, osiadł w Galicyi, znalazł się w tej prowincyi jedynym prawie Polakiem, świadomym innych warunków i pojęć o administracyi krajowej, niż te, jakiemi się rządziła biurokracya austryacka. Za jego staraniem Stany galicyjskie żądały i otrzymały od rządu pozwolenie utworzenia Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego na wzór istniejącego w Królestwie Polskiem i temu podobnych stowarzyszeń w Prusiech i w Poznańskiem. Oprócz tego potrafił założyć Towarzystwo rolnicze i szkołę agronomiczną w Dublanach, a niezmordowanem staraniem i cierpliwością prawdziwie chrześcijańską pokonywając zazdrość austryackich urzędników, przyspieszył zawiązanie towarzystwa do przeprowadzenia kolei żelaznej wskroś przez całą Galicyę. O tym okresie życia x. Leona dla tego nadmieniam tu przed czasem, że jest on osobistością, która przy wielu innych podobnych daje miarę wykształcenia zdolności obywatelskich, do jakiego dochodziło się w Polsce w pierwszych trzydziestu latach XIX stulecia, w peryodzie obejmującym z jednej strony istnienie i samorząd Xięstwa Warszaw-

---

następnie został szambelanem Napoleona. Kiedy Napoleon po zawarciu pokoju tylżyckiego wybierał się na zjazd erfurcki i chciał otoczyć się ludźmi o głośnych nazwiskach, «bo takich do reprezentacyi potrzeba», xiążę de Talleyrand zwrócił jego uwagę, że ma już takich dwóch przy sobie: hr de Montesquiou i x. Sapiehę. «Pas mal», odparł Napoleon.

skiego i Królestwa Polskiego, a z drugiej wychowanie publiczne, oddane w prowincyach za Niemnem i Bugiem pod zarząd x. Adama Czartoryskiego. Z tych to dwu źródeł wyszło, cokolwiek przez następnych lat trzydzieści miała Polska zdolności, światła i wspomnień narodowych. Jedyna córka xiężnej Alexandrowej Sapieżyny Anna wyszła (1817) za x. Adama Czartoryskiego, syn Leon zaś ożenił się (1826) z Jadwigą Zamoyską, moją siostrą. X. Adam Czartoryski z żoną wyjechał po ślubie do Paryża i lat kilka przeważnie między Florencyą a południową Francyą przepędził. Powróciwszy z zagranicy do kraju na sąd sejmowy (1827), zamieszkał w Warszawie z żoną u jej matki. Od tego czasu dom xiężnej Sapieżyny przybrał cechę zupełnie polityczną i utrzymał ją do końca powstania 1831 r. Xiężna Sapieżyna zachowała do późnej starości zupełną czerstwość umysłową; miała mimo to od najmłodszych lat dziwną skłonność do zdrzemywania się nawet wśród ożywionych zajęć i rozmów. Opowiadała, że w przeddzień swego ślubu zdrzemnęła się podczas czytania kontraktu ślubnego. Zdarzyło się, że notaryusz popełnił jakąś pomyłkę w swych obliczaniach; naraz wojewodzianka się przebudza i z właściwą sobie bystrością do «interesów», jak mawiała, pomyłkę notaryusza prostuje, a jej przyszła teściowa, zwracając się do notaryusza, rzekła: «Moja przyszła synowa ma więcej przytomności we śnie, niż Waćpan na jawie».

Do wybitnych osobistości w Warszawie należał też jenerał Wincenty Krasiński. Rodowe jego imię i tak już piękne, nabyło jeszcze większego poważania przez konfederacyę barską; on zaś sam najprzód świetnie się odznaczył w wojsku polskiem za Napoleona, pozyskał następnie względy Alexandra, a w końcu i w. xięcia Konstantego. Kiedy Napoleon, pobiwszy Prusaków pod Jeną w 1806 r., zawitał po raz pierwszy do Poznania, z pomiędzy najcelniejszych obywateli, którzy się przed nim stawili, by oświadczyć gotowość formowania polskich sze-

regów pod jego chorągwią, młody Krasiński od razu wpadł mu w oko. Uderzył go urodą i gorącą odezwą tchnącą najwyższem uwielbieniem dla jego osoby. Przytem może imię Krasińskich samo się Napoleonowi zalecało z czytanego zapewne świeżo manuskryptu Rhullière'a; dość, że z pomiędzy wszystkich wybrał Napoleon Wincentego Krasińskiego, by go postawić na czele pierwszego zawiązku ułanów polskich gwardyi cesarskiej.

Wyznać trzeba, że w wojsku polskiem panowała pewna niechęć do polskich ułanów gwardyi napoleońskiej [1]). Uważano, że pułk ten, konsystujący w Paryżu albo towarzyszący cesarzowi w jego różnych wyprawach, przedstawiał przedewszystkiem rękojmię awansu i osobistych korzyści dla młodej i zamożniejszej szlachty polskiej, podczas gdy dla wojska polskiego ważył tylko wzgląd na godność narodową, na obowiązek służenia pod narodową chorągwią. Xiążę Józef często ubolewał nad Krasińskim, że świetnych czynów swego pułku używa nie na podniesienie znaczenia i uroku ojczyzny, ale na wyłączanie się od wojska polskiego. Razu jednego zniecierpliwiony rzekł o nim: «Widzicie, jak się zaprzedał Napoleonowi; niech, broń Boże, przyjdą Moskale, Moskalom się zaprzeda.»

Po śmierci Poniatowskiego, po upadku Napoleona, obok wojska polskiego, liczącego już zaledwie kilka tysięcy ludzi, Krasiński na czele świetnego między świetnemi pułku ex-gwardyi Napoleona, zwrócił na siebie uwagę Alexandra. Jemu Alexander powierzył odprowadzenie do Warszawy szczątków pułku tego i wojska polskiego, które traktat paryski oddał tymczasowo w ręce Moskwy, zajmującej prawem wojny Xięstwo Warszawskie. Krasiński, maszerując do Warszawy na Lipsk, zabrał z tymczasowego na przedmieściu grobowca zwłoki bohatera naszego, xięcia Józefa Poniatowskiego i pod strażą resztek wojska, na którego czele xiążę zginął, zwłoki jego

[1]) Pułk ten wchodził bezpośrednio w skład armii francuskiej.

odprowadził do Warszawy, poczem przewieziono je do Krakowa i złożono w katedrze obok trumny Sobieskiego.

Przy nowej formacyi wojska polskiego pod w. x. Konstantym, spotkały znowu Krasińskiego najszczególniejsze względy. Mianowany jenerałem dywizyi, dowódcą gwardyi królewskiej, senatorem-wojewodą, nieco później otrzymał jeszcze stopień jenerała kawaleryi.

Pierwszą dla mnie w wojsku czynnością, mającą jakieś podobieństwo do służby wojennej, był marsz do Brześcia Litewskiego, pod koniec lata 1823 r., na wielką rewię, na którą pomaszerowało całe wojsko polskie i gwardye moskiewskie, na którą przybył także i korpus litewski. Ogółem zebrało się wojska ośmdziesiąt tysięcy. Rewia odbywała się przez dni kilka przed cesarzem Alexandrem.

Stosownie do przepisu, miałem jako podchorąży do osobistej usługi człowieka, w domu naszym wychowanego, Stanisława Niewczasińskiego, który pozostał przy mnie do końca wojny 1831 r.; człowiek to był rzadkiej poczciwości, a do tego dobry kucharz. Niewiele przecież w ciągu tego marszu dla mnie gotował; wszędzie bowiem, gdzie stawaliśmy na nocleg, obywatele miejscowi, zapraszając dowódcę mego szwadronu, albo i dowódcę pułku, jen. Kurnatowskiego, kiedy pierwszy szwadron przy nim służbę pełnił, mnie też na obiad prosili.

Widziałem już przedtem kilka rewii wojska polskiego i za staraniem moich nauczycieli, oficerów, mogłem wówczas bliżej śledzić ruchy wojska, naśladujące wojnę. Przeciwnie w Brześciu, dla nizkiego stopnia, nie mogłem się dopytać o plany manewrów i sztabowe rozkazy. Gdy się pytałem bliższych siebie oficerów, z zadziwieniem spostrzegłem, że się żaden o to nie troszczył. Każdy dbał tylko o postawę pojedynczych żołnierzy lub o wyrównanie szeregu, jakby na ćwiczeniu pułkowem. Ci nawet, co pamiętali wojnę, nie zdawali się przypuszczać, by te manewry miały jakiekolwiek z wojną podobieństwo. Przez jeden dzień odkomenderowany byłem na ordynans przy cesarzu.

Przybył na tę porę do Brześcia x. Adam Czartoryski z bratem swoim, Konstantym. Już od kongresu wiedeńskiego zmienił się stosunek między x. Adamem a carem; nie był już takim, jakim, pomimo trudnych niekiedy chwil, utrzymywał się poprzednio przez lat prawie dwadzieścia. Dobroczynny wpływ x. Adama na cara dosięgnął na kongresie wiedeńskim zarazem szczytu i końca. Sama wielkość dokonanego dla Polski na kongresie dzieła posłużyła jej przeciwnikom do obudzenia w Alexandrze podejrzeń i obawy, że nieroztropnie postąpił, że broń przeciwko sobie utworzył, że Polska nie poprzestanie na zapewnionych sobie korzyściach, że się dobijać będzie o niepodległość, że się stanie narzędziem europejskich rewolucyi, albo też i koalicyi państw europejskich. Te i tym podobne przypuszczenia, nieustannie przedstawiane Alexandrowi, stanowczo zmieniły jego usposobienie. Można powiedzieć, że ledwie Alexander dokonał dzieła, zaledwo swój podpis położył na traktacie, sam począł przeciwko niemu działać, sam je podkopywał, prowadząc na drogę zagłady.

X. Adam trzy lata jeszcze po kongresie poświęcił zachodom około zaprowadzenia nowego w Królestwie porządku. Jako członek Rady Administracyjnej i senator-wojewoda, brał udział w sprawach publicznych Królestwa, ale z końcem sejmu 1818 r. usunął się od nich i za granicę wyjechał. Po kilku latach pobytu za granicą, w 1823 r. zawitał do uniwersytetu wileńskiego, zwiedzał szkoły litewskie, ale to już po raz ostatni. Po raz ostatni także spotkał się w Brześciu z Alexandrem. Na prywatnej audyencyi przyjęty był niby po dawnemu, z pewną poufałością, ale na pokojach, przed ludźmi, okazał mu cesarz największą oziębłość.[1]) X. Adam był tem zasmucony, bo

---

[1]) Przypisek Andrzeja Zamoyskiego: «Po tej rewii, na której cesarz xięcia Adama niby nie poznał, pojechał xiążę do Międzyborza. Byłem tam i ja, gdy w nocy cesarz zajechał i z xięciem długo rozmawiał, — jakby się krył przed swymi».

nie tylko że miał osobistą dla Alexandra przyjaźń, ale i najgorszą dla Polski przyszłość przewidywał w rosnącej przewadze Nowosilcowa, który wkrótce potem (1824) mianowany kuratorem wileńskiego uniwersytetu, obejmując kuratoryę, utyskiwał nad tem, że jego poprzednik o sto lat opóźnił wynarodowienie Polski. Straciwszy wszelką co do tego nadzieję, by Alexander do dawnych uczuć względem Polski i niego powrócił, xiążę Adam ponownie odjechał za granicę, gdzie znowu kilka lat bawiąc, napisał i wydał piękne dzieło «Essai sur la diplomatie».

Po rewii pod Brześciem szkoła podchorążych jazdy, składająca się z małej liczby podoficerów ośmiu pułków liniowych polskich, została rozszerzoną i objęła zarówno cztery pułki ułanów korpusu litewskiego, oraz cztery pułki gwardyi, z tych jeden polski strzelców konnych, a trzy moskiewskie, które stanowiły dywizyę jazdy, ciągle konsystującą w Warszawie i odbywającą co tydzień musztry przed w. xięciem. Do tej szkoły zostałem odkomenderowany wraz z kilkunastu innymi z pułku strzelców konnych gwardyi. Uczniów ogółem było przeszło stu pięćdziesięciu. Tworzyli oni piękny, różnobarwny szwadron, bo podoficerowie zachowywali mundury swych pułków. Była to wyłącznie szkoła musztry. Dowódcą jej był major Czarnomski, którego każdy, co służył pod nim, całe życie zapamiętał. Był to człowiek w gruncie dobry, a na wojnie, tak za Xięstwa Warszawskiego, jak w 1831 r., oficer dzielny, ale tak przejęty kapralskim duchem w. xięcia, że tonął w drobiazgach, których wykonania przestrzegał z niezmordowaną cierpliwością i pozorami surowości.

Codzień o czwartej z rana, w zimie przy lampach, cała szkoła występowała w ogromnej ujeżdżalni przy ulicy Królewskiej. A że wszyscy naraz jeździć nie mogli, uczniowie dzielili się na sześć czy ośm oddziałów, kolejno co pół godziny się zmieniających.

Podczas gdy jedne odbywały konną musztrę, drugie czekały na swoją kolej przy koniach. Zmiany zachodziły

według wprawy do jazdy. Zaczynało się od najsłabszych: ci, po półgodzinnem ćwiczeniu konie odprowadziwszy do stajni, albo się kładli spać, albo mieli czas wolny. Najlepsi uczniowie, do których byłem zaliczony, dziwną logiką skazani byli na mitrężne kilkogodzinne czekanie. Surowość nie wystarcza, żeby niedorzecznym rozkazom ścisłe posłuszeństwo zapewnić. Choć ze służbą nie lubiłem żartować, nieraz się spóźniałem, spuszczając się na żołnierza, że przyprowadzi mi konia do ujeżdżalni, sam zaś pod zasłoną nocy wsuwałem się jak najpóźniej niepostrzeżenie do szeregu. Po śniadaniu następowała musztra piesza, po mustrze teorya, a pod wieczór jeszcze jakieś ćwiczenie.

Szkoła podchorążych jazdy zajmowała pałac Łubieńskich, przy Królewskiej ulicy; że zaś nasz pałac Błękitny miał z ogrodu furtkę na ogród Saski, w pięć minut przebiegałem odległość z domu do szkoły. Mogłem więc po kilka razy na dzień wpadać do domu i jadać u rodziców. W szkole był to wyjątek rzadki.

Major Czarnomski, nastrojony na wzór w. xięcia, niechętnie patrzał na te wyjątkowe złagodzenia i o tyle pilniejsze i surowsze miał na mnie oko. Nie było końca udoskonaleniom w umundurowaniu, rynsztunku, a co najtrudniejsza, w doskonałem dopasowaniu czapraka. Nie szczędziłem wydatku na kilkakrotne przerabianie go, dla zaspokojenia majora. Daremne usiłowania: czaprak był zawsze niezgrabny, a przy wymówkach, jakie mi się dostawały, nie brakło przycinków «o pieszczotach domowych i eleganckich salonach,» jakoby one stały na zawadzie do doskonałego pełnienia służby. Sam z krawcem i ordynansem w stajni między musztrami odbywałem o nieszczęśliwym czapraku narady bez końca, kazałem go pruć, poprawiać, przymierzać, tak że sam major raz i drugi zastawszy mnie przy tej robocie, mięknąć począł na tyle cnoty. Aż jednego dnia pod wpływem ducha czasu i miejsca, może zresztą z samego próżniactwa i nu-

dów, zacząłem wymyślać na jedynego mego podkomendnego, ordynansa i wymawiać mu, że mój koń nie dość gładki, że mu więcej zgrzebła i szczotki potrzeba, że grzywa odstaje, że ją spleść należy i t. d. Nareszcie w zapale sam pochwyciwszy za zgrzebło i szczotkę, wystawiłem sobie, że żołnierzowi, znającemu rzecz o wiele lepiej odemnie, potrafię pokazać, jak czyścić konia należy. Na szczęście moje w tę właśnie chwilę zajrzał do stajni major Czarnomski. Nic nie powiedział, ale od tej pory mój czaprak stał się wzorem wszystkich czapraków, a ja sam już potem kolegom wskazywany bywałem za przykład pilności, znajomości służby, nadewszystko nie wymawiania się od żadnej.

Nie każda jednak służba do smaku mi przypadała; na przykład dwudziestoczterogodzinna służba przy kuchni, przy dostawie żywności, pomywaniu i czyszczeniu sprzętów, albo ze wszystkich w zimie najgorsza służba w stajni. Dla uchronienia koni od zimna i najeżenia włosu tak szczelnie zamykano stajnie, że zaduch był zabójczy, dla samych nawet koni niezdrowy. W pułku podchorąży mógł się od tej służby uwalniać, wyręczając się kolegą podoficerem, który brał za to kilka złotych wynagrodzenia. Nie było to ani dozwolone, ani możebne w szkole, gdzie wszyscy byli kandydatami do oficerskiego stopnia.

Podoficerowie polskich pułków, gwardyi rosyjskiej i korpusu litewskiego mało mieli między sobą w szkole osobistych stosunków. Chociaż pod jednym trzymani dachem, do jednego stając szeregu, niemniej Polacy i Moskale obcymi sobie zostawali. Zachowywaliśmy wzajemną względem siebie przyzwoitość, aleśmy się za współtowarzyszów nie mieli. Mundur dzielił nas bez względu na to, że w mundurach rosyjskich wielu było Polaków; że zaś w moskiewskich pułkach awans był nierównie prędszy, ci, co w polskiem wojsku długo na stopień oficerski czekać musieli, tem bardziej za złe brali współrodakom, że dla awansu wyrzekają się narodowości i dobrowolnie w woj-

sku rosyjskiem służą. Rozdział ten trwał przez całe lat piętnaście między dwoma wojskami, które albo w Warszawie jeden stanowiły garnizon, albo co rok przez trzy miesiące razem obozowały. W. xiążę pochlebiał sobie, że udaje mu się «amalgam» Polaków z Rosyanami, ale się łudził. Oficerowie wyższych stopni spotykali się co dnia w służbie na pokojach u w. xięcia, na proszonych ucztach, czasem i przy kartach, ale to były wyjątki, a w obozie z polskiego pułku do moskiewskiego i odwrotnie odwiedzin nie bywało. Zdawało się, że ani żołnierze, ani oficerowie wcale się nie znają. Miało to tę korzyść, że nie słychać było o żadnych między dwoma wojskami drażliwościach ani pojedynkach. Wiedzieli Polacy, żeby im w. xiążę nie pobłażał; o tyle bardziej strzegli się wszelkiego zetknięcia.

W szkole jazdy przedział między rosyjską gwardyą a litewską dywizyą był jeszcze zupełniejszy, bo podoficerowie gwardyi, żyjąc w Warszawie, w pewnej mierze przyjmowali zwyczaje polskiego garnizonu. Na litewskich zaś podoficerach, choć po polsku mówili, przebijały się zwyczaje czysto moskiewskiej służby. Będący na ich czele oficer, rodowity Moskal, grubiańsko, twardo wydawał im rozkazy. Zdarzało się, że zamknąwszy salę, kazał im własnego chłostać kolegę. Jednego razu niespodzianie dla świeżo obitego nadszedł z Petersburga awans na oficera. Za odebraniem tego rozkazu, dowodzący oficer wziął swoje własne wytarte szlify i z powinszowaniem ofiarował je obitemu, który, pomimo chłosty, z rozczuleniem je przyjął. Rzecz ta sprawiła niemało wzruszenia w szkole, bo choć się te egzekucye odbywały w ukryciu, o tej właśnie rozpowiedzieli koledzy, tak że polscy podoficerowie, winszując nowo awansowanemu, wyrażali nadzieję, że on przynajmniej, pamiętając wyrządzoną sobie obelgę, nie będzie w taki sposób władzy swej używał. Na co ten odpowiedział: «Cóż mam robić? — jak mnie bito, tak i ja bić będę».

Przez pierwsze lata dowództwa swego w. xiążę podobnież żądał, by polskich żołnierzy bito. Dowódca pułku, któryby się tą karą brzydził, choćby ją zastępował jak największą czujnością, nie miał u niego łaski. Dość było, by tajna policya doniosła, że w którym pułku do tej kary rzadko się uciekano lub nie uciekano się wcale, żeby w. xiążę przy każdej sposobności, o byle jaki drobiazg, dowódcę prześladował, licząc na dbałość pułkowników o zatrzymanie dowództwa, z którego umyślnie znaczne im pieniężne zostawiał zyski. Zwłaszcza od piechoty wymagał takiej doskonałości w musztrze, maszerowaniu i robieniu bronią, a za najmniejszą niedokładność, często nawet za własny zły humor, tak srogo, przedewszystkiem pułkowników, karał, że wielu pod tym naciskiem wzięło dymisyę. Na ich miejsce jednak w. xiążę dobierał sobie takich, co, stłumiwszy i wstyd i wstręt, wmówili w siebie, że żądaniom carewicza, kiedy można, należy uczynić zadość i że w tym celu godziwą jest i największa srogość.

Doszło do tego, że w niektórych pułkach wojska naszego, mającego tak świeże jeszcze tradycye karności francuskiej i rycerskiego honoru, dowolne używanie kary cielesnej, przez niższych nawet oficerów, stało się codziennem. Straszliwy był widok wychodzącego na musztrę oddziału, za którym szło kilku żołnierzy, niosących pęki pałek, któremi w czasie musztry za niezręczność lub nieuwagę bito za frontem niemiłosiernie.

Ta srogość sprawiła w polskich pułkach dwa skutki zarówno zadziwienia godne: najprzód, nieporównaną doskonałość musztry; powtóre, jakby cichą zmowę wszystkich, że do tej doskonałości dojść można bez ściągania na siebie gwałtów. Choć była to szkoła prawdziwie moskiewska, żaden moskiewski pułk w doskonałości polskim nie dorównywał; żaden nawet z tych, które w. xiążę w Warszawie pod własnem miał okiem, tem bardziej żaden z petersburskiej gwardyi. Sam w. xiążę to przyznawał.

Polacy w istocie złożyli wówczas świadectwo tego, co otrzymać od nich może władza jakkolwiek sroga, nawet niedorzeczna, byle nie chwiejna. Przy zupełnej uległości, okazali nieporównaną giętkość i sprężystość. Nie było to, jak u Moskala, ślepe, martwe, ponure, zwierzęce posłuszeństwo; było doskonałe pojęcie woli rozkazującego i do wielkich wysileń gotowe posłuszeństwo. Żeby to naród polski nie pod strachem, nie dla władzy obcej, ale dla swojej, dla takiej, którejby sam był niejako twórcą, takie miał chętne, rozumne, sprężyste posłuszeństwo! Przekonanie, że bez cielesnej kary można otrzymać pożądaną doskonałość, tak się z czasem w wojsku rozpowszechniło, że oficerowie tak niższych jak i najwyższych stopni sadzili się jedni przed drugimi, by, nie ściągając nagany w. xięcia, do kary cielesnej się nie uciekać.

Patrzał na to w. xiążę przez lat kilka z podejrzeniem, potem z pobłażaniem, na końcu już i życzliwie; skończył na tem, że sam podpisał rozkaz dzielący żołnierzy na trzy klasy, z których trzecia tylko mogła być cieleśnie karaną. Do drugiej klasy należeli rekruci i niewyrobieni, do pierwszej wzorowi. Za uchybienie lub niezręczność w służbie żołnierz z pierwszej klasy spadał napowrót do drugiej. Za przewinienie, przez sąd kompanii sprawdzone, przeciw honorowi, uczciwości lub karności następowała degradacya do klasy trzeciej.

W. xiążę jak ze wszystkiego, co czynił, tak i z tego rozporządzenia przechwalał się, przypisując własnemu jakoby wpływowi to, co na nim, wbrew jego rodzinnym nawyknieniom, parcie opinii podkomendnych wymogło.

Zaprowadzenie klas nie przeszło do moskiewskich pułków; maluje to jak dalekiemi od siebie, mimo wspólnego dowództwa, pozostawały załoga polska i moskiewska w Warszawie. Piętnastoletnia zażyłość z wojskiem polskiem nie wpłynęła na moskiewskie zwyczaje; kary cielesnej z nich nie wykorzeniła; jak dalece zaś ograniczyła

jej użycie, trudno nam było wiedzieć, bo się jej Moskale przynajmniej wstydzić przed nami poczęli.

W ciągu 1824 r. obie szkoły podchorążych tak jazdy jak i piechoty gotowały się do tak zwanego przed w. xięciem egzaminu, po którym następowały awanse na oficerów. Dziwny to był egzamin: nikogo na nim z osobna nie badano, był to tylko popis szkoły z nabytej przez uczniów znajomości teoryi ewolucyi liniowych. Awans pojedynczego podchorążego nie zależał od biegłości. O awansie stanowił dowódca szkoły w porozumieniu z dowódcami pułków, z samym nawet w. xięciem; w jeździe jenerał Rożniecki, inspektor jazdy, przeważnie wpływał na awans i znaczne z tego ciągnął zyski. Nie wstydził się przez żyda faktora traktować z podchorążymi o zapłatę, za protekcyę do awansu. Opłacali się wszakże tylko majętniejsi, zwłaszcza tacy, co nie celowali w służbie.

Egzamin szkoły jazdy był musztrą, jakby dywizyjną na pieszo, do której pułk strzelców konnych gwardyi dostarczał ludzi. Uczniowie szkoły zastępowali oficerów, od dowódcy dywizyi do dowódców plutonów i podoficerów. W. xiążę sam dawał rozkazy do ruchów, które podchorąży jako dowódca dywizyi powtarzał; poczem każdy stopień i oddział część własną ruchu wykonywał. Z tego wnosić można było, że wszyscy mniej więcej znali teoryę, ale ten popis żadnej nie dawał rękojmi, że uczniowie są obeznani z ogólnemi obowiązkami oficerskiemi, których też w tej szkole nie uczono. Popis nie dowodził nawet, by każdy z osobna znał wszystkie szczegóły teoryi i tak miejsce dowódcy dywizyi dawane było jednemu z celujących i najstarszych uczniów, a cały jego egzamin polegał na dosłownem powtarzaniu komendy, danej przez w. xięcia. Że zaś ten «egzamin» poprzedzony był długiem ćwiczeniem, podczas którego każdy z uczniów zajmował stopień przeznaczony mu w popisie, popis nie był dowodem znajomości ogólnych obowiązków i komendy na inne stopnie przypadającej. Co więcej, ilość awansów na

stopnie oficerskie, jeżeli nie według uzdolnienia uczniów, to według ilości wakansów powinna była się obliczać. Inaczej wszakże się działo. Po skończonej musztrze w. xiążę mianował oficerem najprzód podchorążego, który zastępował dowódcę dywizyi, następnie tych, co zastępowali dwóch dowódców brygad, czterech dowódców pułków, ośmiu dowódców dywizyonów, szesnastu dowódców szwadronów i czterech adjunktów pułkowych. Na tej liczbie trzydziestu pięciu zwykle się ograniczał. Ale gdy wakansów było więcej lub w. xiążę w lepszym był humorze, nie pojedynczo mianował dla zapełnienia wakansów, nie odznaczenie i zdolności nagradzał, ale jakby zmuszony arytmetyczną regułą, skoro się decydował przestąpić powyższą liczbę trzydziestu pięciu, już nie jednego, nie kilku w dodatku mianował, ale trzydziestu dwu naraz, to jest wszystkich zastępujących w tej musztrze stopień dowódców półszwadronowych.

Łatwo sobie wystawić, co się działo w duszy tych trzedziestu dwu, kiedy szli na ten «egzamin». Choć od półtora roku służyłem w stopniu podchorążego, należałem jednak do tych, co najmniej służby liczyli. Byli tacy, co służyli po trzy, po pięć i po dziesięć lat, nie dostąpiwszy awansu. Choć teoryę musztry znałem doskonale i od starszych dobrze byłem widziany, nie mogłem być postawiony inaczej, jak w liczbie owych trzydziestu dwu dowódców półszwadronowych, ani tem samem spodziewać się awansu. Nie skarżyłem się, ani nie byłem do tego skłonny. Wchodząc do wojska, na wszystko byłem przygotowany, coby mnie spotkać mogło. Sami jednak dowódcy myśleli, że mi w. xiążę awansu opóźniać nie będzie, i w tej już nadziei szedłem na plac, gdzie się musztra odbyć miała, kiedy się zbliżył do mnie jenerał Kurnatowski i z wyrazem żalu rzekł mi do ucha: «Uzbrój się w odwagę, bo twój awans bardzo wątpliwy.» Słowa te wskroś mnie przeszyły. W tej chwili zdało mi się, że nie wytrzymam drugiego roku tego zwierzęcego życia.

Usta żółcią mi się napełniły, nogi zachwiały się podemną. Szczęściem, wszystko odbyło się gładko; dzień był pogodny, a w. xiążę w tak doskonałym humorze, że i półszwadronowi zostali powołani na oficerów, co dotąd ani razu jeszcze się nie zdarzyło. Radość była wielka; niektórzy twierdzili, że wzgląd na mnie był w. xięciu w znacznej części do tego pobudką.

Ta łaska miała jednak dla mnie bardzo przykrą stronę. Oficerem zostałem nie w gwardyi, nie w pułku stale w Warszawie konsystującym; przeniesiono mię na podporucznika do trzeciego pułku ułanów. Było to dla mnie tem dotkliwsze, że od dwóch lat byłem przerwał wszelką pracę umysłową. Prawda, że obok służby, zajmującej dzień cały, noce spędzałem po salonach, szczerze jednak łaknąłem zajęć, które poprzednie życie moje wypełniały. Marzyłem o naukach, którym się chciałem poświęcić, jak tylko w stopniu oficerskim znajdę potrzebną do tego swobodę. Cieszyłem się na kursa szkoły wojskowej aplikacyjnej i na stosunki z światem umysłowym Warszawy; liczyłem i na to, że w stolicy koleżeńskie z oficerami stosunki łatwo ograniczyć się dadzą, bez ubliżenia nikomu. Natomiast skazany zostałem jakby na wygnanie do nędznych miasteczek, w których jedyne towarzystwo czterech lub pięciu oficerów, ogólnie mówiąc, bardzo miernego wykształcenia, nie wiele obiecywało korzyści. Tak więc awans na oficera, o którym mówią, że ze wszystkich awansów największą sprawia radość, dla mnie stał się zawodem. Zrazu przeznaczony do trzeciego pułku ułanów, wyrobiłem sobie u jenerała Rożnieckiego, inspektora jazdy, przeniesienie do pułku ułanów, zajmującego kwatery w Lubartowie i Łęcznej lub Białej w Podlaskiem, co mi się o wiele znośniejszem wydało i z powodu zacnego dowódcy pułkownika Tomickiego, i dla dobrego składu oficerów i dla okolicy, którą pułk ten zwykł zajmować niedaleko Puław, i dla samych narodowych barw munduru.»

Przed udaniem się do garnizonu w Lubartowie Zamoyski pojechał do Podzamcza odwiedzić matkę. Pani Zamoyska pisze o tych odwiedzinach do męża:

«6 czerwca 1824 r.

...List Twój przywiózł mi nasz poczciwy W. Wielka to była dla mnie radość widzieć go, a i on Podzamcze powitał z radością. Mundur jego bardzo nam się podobał: ładnie mu w nim, czego, rozumie się, nie powiedziałam mu. Próbował swego konia i kontent z niego bardzo. Mimo że czas szkaradny, wyjeżdżamy często. W. towarzyszy nam na Junonie, z rozkoszą się na niej przejeżdża; nie może się nią nacieszyć. Kiedy deszcz nadto leje, siedzimy w domu, on nam czyta, a my roboty robimy; wieczór gramy w bostona; Żyliński ma mu przywieźć, co mu jeszcze brakuje do oporządzenia się. Trzymam się Twoich rozkazów; nic mu nie daję. On też mówi, że ma wszystko, czego mu potrzeba na teraz... Wyjeżdża pojutrze ze dniem do Puław, gdzie wieczór przepędzi, a nazajutrz o świcie pojedzie stamtąd do Lubartowa, żeby tam stanąć na ósmą rano siedmnastego. Chciałam go odwieźć do Puław, ale pora taka okropna, że i psa za drzwi wypędzić trudno.»

VII

SŁUŻBA OFICERSKA.

(LUBARTÓW. — ŁĘCZNA. — WARSZAWA)

« W czerwcu 1824 r. opatrzywszy się w cały rynsztunek i polowe gospodarstwo, potrzebne oficerowi na prowincyi konsystującemu przy częstych zmianach garnizonu, ubrawszy się w mundur ułański, obszedłszy wszystkich znajomych z pożegnaniem, udałem się do pułku do Lubartowa. Ale i tu zaszła okoliczność, która dotkliwie odczuć mi dała ten stanowczy krok życia mego.

Jako podchorąży mieszkałem w domu rodziców, wszystkie tam miałem wygody, a na osobiste wydatki od ojca rocznie otrzymywałem siedm tysięcy złp. Skoro zostałem oficerem, przyszedł do mnie kasyer ojca Dowiakowski, niosąc w ręku «dyspozycyę» ordynata, przeznaczającą mi nie siedm, ale sześć tysięcy złp. A że jużem był odebrał to, co mi ojciec przeznaczył na wyekwipowanie, nie mogłem sobie wytłomaczyć, na jaki termin ta suma była mi wyznaczona. Nie przypuszczałem, bym na rok cały przy powiększonych wydatkach miał mieć na utrzymanie o tysiąc złotych mniej, niż pobierałem jako podchorąży. Zapytany Dowiakowski nie umiał mi dać wyjaśnień, poszedłem więc po nie do ojca i niemało się zdziwiłem, kiedy mi ojciec powiedział, że z żołdu podporucznikowskiego będę przecież miał nieco więcej, niż te potrącone

tysiąc złotych. Daremnie przedstawiałem rozliczne a niemałe wydatki, jakie w nowem położeniu ponosić będę. Ojciec miał gotową odpowiedź na wszystko. Gdym nadmienił o dwóch koniach wierzchowych, odrzekł: «Poprzestań zrazu na jednym, a tego kupować nie potrzebujesz, bo ci go daję,» i dał mi w istocie ze stada klacz doskonałą. Gdym powiedział o bryczce i parze koni do niej, rzekł ojciec: «Lepiej najmij furmana, gdy ci będzie potrzebny.» Gdym nareszcie przedstawiał, że się koledzy po mnie spodziewać będą pewnego dostatku, czasem ugoszczenia, czasem pożyczki pieniężnej albo większego udziału w składkach na zbiorowe między kolegami wydatki, rzekł znowu: «Od tego właśnie ustrzedz cię pragnę; wiesz, żem nie szczędził wydatku na wasze wychowanie i dziś nie o tysiąc złotych mi idzie, nie o kilka tysięcy, idzie mi o to, by koledzy na wstępie nie widzieli w tobie panicza. Zawierz mi, ogranicz przez rok pierwszy wydatki do sumy, jaką ci przeznaczyłem; jeżeli ci nie wystarczy, nie zadłużaj się, udaj się do mnie, ale mnie zobowiążesz, jeżeli bez dodatku się obędziesz». Cóż miałem na to odpowiedzieć? Zapewniłem ojca, że niewątpliwie dam sobie radę, ale dodałem: «Jedno sobie zastrzegam: powiem kolegom, że ojca mam do wielu niepodobnego, a jeszcze tak troskliwego o mnie, że dalej wychowanie moje prowadzi i dla tego tak małym zaopatruje mnie dochodem. Wydatki więc według woli ojca ograniczam, a długów nie robię.» — «Zgoda na to», rzekł ojciec. Choć po tej rozmowie zrozumiałem powody ojca, nie przybyło mi jednak wesołości przy obliczaniu warunków i następstw nowego położenia.

Skoro przybyłem do Lubartowa, otoczyli mię koledzy, właśnie jak mój ojciec przewidywał, witając nie tylko jako dobrze opatrzonego, ale i niedoświadczonego panicza. Przymawiali się do «wkupnej uczty», mającej mnie w nowym pułku zalecić. Nie dałem się długo prosić i rozpatrzywszy się w przyjętych w pułku zwyczajach,

wyprawiłem ucztę czyli tak zwany bal, choć na nim nie było dam. Byli sami tylko oficerowie pułku, począwszy od pułkownika dowódcy, a nadewszystko był ogrom butelek węgrzyna. Bal ten przy innych podobnych w pierwszym tygodniu wydatkach zadowolnił ichmość oficerów; poczęli mię chwalić, że robię rzeczy po pańsku, ale po kilku dniach zwierzyłem się kolegom, że w tym jednym tygodniu wydałem połowę tego, co mi ojciec na cały rok przeznaczał. Nie brakło, jak się domyślić łatwo, usłużnych przyjaciół, gotowych wskazać mi żyda, nawet «poczciwego», co nie odmówi pożyczki. Ale z góry oświadczyłem, że pożyczki nie zaciągnę, że o trzech tysiącach złotych i o żołdzie resztę roku przeżyję, bo mi przedewszystkiem idzie o zastosowanie się do woli ojca, i tak też się stało.

Gospodarstwo moje ograniczyłem do najściślejszej potrzeby, nikogo więcej przez rok cały nie zaprosiłem, ale skromnym obiadem zawsze gotów byłem się podzielić. Wino stołowe miałem, bo mi ojciec przysyłał, fajki nie paliłem, w karty nie grałem. Gdy mnie współtowarzysze do wista namawiali, z powodu garnizonowych nudów w zimowe wieczory, zapewniałem, że mnie ich towarzystwo nie nudzi, a gdyby miało być inaczej, wolałbym wrócić do książek, których miałem zapas spory i które czytając, miałbym potem z nimi o czem mówić, czem ich zająć. Dodawałem, że oni, opowiadając mi o rzeczach znanych im z własnego doświadczenia, sprawią mi ze swej strony przyjemność i przyniosą korzyść. Tak zastosowałem nieocenioną radę daną mi przez pannę d'Arnaud[1]), która widząc rozstrój, w jaki mnie wprawiało wygnanie z Warszawy, upamiętywała mnie i mówiła: «Zapewne, że mniej tam znajdziesz zabawy, ale za to będziesz miał

---

[1]) Henriette d'Arnaud, bardzo przez całą rodzinę poważana nauczycielka dorastających sióstr Władysława Zamoyskiego.

więcej czasu do nauki, którą przerwałeś, a do której powinieneś się wrócić.» Gdy zaś narzekałem, że po godzinach pracy i czytania nie będzie z kim pomówić o tem, co się nabyło, odpowiadała: «Trzeba, żebyś rozmawiał z kolegami o wszystkiem, co cię zajmuje; trzeba przełamywać ich obojętność i nieuwagę. Wprawiaj się do mówienia w sposób tak zajmujący, żeby i najobojętniejsi słuchać cię musieli; staraj się, choćby dla własnego pożytku, aby każdy chętnie mowy twojej słuchał.»

Ta rada przypominała mi się nieraz i w późniejszem życiu. Zastosowywałem ją zawsze z korzyścią dla siebie, a niekiedy, nadspodziewanie, z pożytkiem dla drugich. Stało mi się to z czasem nawyknieniem, bo też odpowiadało gorącej chęci przelewania w drugich bądź własnych przekonań, bądź cudzych a mądrych zdań. Zdarzało się wprawdzie, że, zapędziwszy się w rozmowę, spostrzegałem nagle, że przekładam rzecz dla mnie zajmującą osobie, która słucha obojętnie lub nie rozumie. Przypominał mi się w takich razach mój stary, doskonały wyżeł Pardon, darowany mi przez Dwernickiego, podówczas dowódcę drugiego pułku ułanów. Pardon, po czynnem przez jesień życiu, skazany w zimie na długą nieczynność, brał czasem muchę za zwierzynę i wyprężał się naraz na środku pokoju, jakby na polowaniu stawał do zwierzyny. I między ludźmi nie zawsze z pierwszego wejrzenia rozpoznać można, kto muchą, a kto zwierzyną myśliwego godną. Ileż to razy rozmowa z zawołanym mędrcem sprawia gorzki zawód, kiedy przeciwnie, rozmawiając z człowiekiem, po którym mało się można spodziewać, otrzymuje się owoc nadspodziewany.

A jednak, bez względu czy ziarno padnie na żyzną niwę czy na opokę, orać i siać trzeba: z sercem gorącem, w krwawym pocie czoła, a nadewszystko z miłością, pokorą, bez zarozumiałości. Tylko Bóg plon dać może, a choć go nie zawsze daje, zawsze poczciwą pracę wynagradza. Pięknie to wyraził Addison, kładąc w usta

Katona te słowa: Nie danem jest człowiekowi nakazywać zwycięstwa. Uczyńmy więcej, — zasłużmy na nie![1])»

Jeżeli ulegając wrodzonemu usposobieniu, jak i życzliwym radom panny d'Arnaud, Władysław Zamoyski starał się przez zajmujące rozmowy korzystnie wpływać na kolegów, to pierwszem postanowieniem jego po przybyciu do pułku było, jak świadczą przytoczone poniżej współczesne zapiski, mniej mówić samemu, jak raczej wywoływać pouczające rozmowy:

«Mało jest ludzi, od którychby się czegoś nie można nauczyć. Sztuka polega na tem, żeby każdego naprowadzić na przedmiot, o którym z pożytkiem mówić może. A gdyby nawet niektórzy nic nie umieli i nic pożytecznego udzielić nie mogli, to jeszcze siebie samych dając poznać, odsłaniają pewną stronę ludzkiej natury, obznajmiają z warstwą społeczeństwa, do której należą, a tem samem z krajem, jego życiem, jego sądami. Wojskowych, jeżeli mało mają wykształcenia, można przynajmniej wyciągać na opowiadanie o wojnach, w których mieli udział. Takiem opowiadaniem niejedną rzecz mogą wyświetlić. Cywilnych zaś, jeżeli są w służbie, trzeba wyciągać na rozmowę o tem, co w jej zakres wchodzi, wypytywać o okolicę, w której mieszkają, o pożądane i możliwe tam ulepszenia, wywiadywać się o okolicznych obywatelach i ludności, o właścicielach, o duchu, jaki tam panuje.

Wogóle powinienem drugich wyciągać na mówienie, a samemu mówić jak najmniej. Prawda, że nie mam nałogu rozpowiadania dykteryjek, ale mam zły zwyczaj nadto opowiadać o tem, co mnie zajmuje, co myślę, czego się uczę. Bardzo mi trudno w rozmowie być oględnym, skoro przypuszczam, że jestem wśród ludzi uczci-

[1]) It is not mortal's, Sempronius, to command success.
But we'll do more — we'll deserve it.

wych. Ale czyż można mieć tę pewność? Cóż to za korzyść dawać siebie poznać na wylot?»

«Wraz z przybyciem mojem i kilku innych podchorążych nowo awansowanych, przybył także do pułku, za szczególnym w. xięcia rozkazem, kapitan Ż., z pułku czwartego ułanów przeniesiony. W pułku tym był płatnikiem. Pułkownik Kozietulski, wsławiony jako dowódca jazdy polskiej szarżą pod Somo-Sierra, niepospolitą odwagą i mnogiemi ranami odniesionemi w pułku ułanów gwardyi Napoleona I, ale niezdolny administrator, zaplątał się w rachunkach; pozbawiony dowództwa, zapadł na zdrowiu i życie zakończył. Ogólny głos winę, nawet kradzież, przypisywał płatnikowi i sąd wojenny winnym go uznał. Ale w. xiążę o tyle szanował wyroki sądu, o ile się z jego zapatrywaniami zgadzały. Skasował więc wyrok, a płatnika rehabilitował. Tylko z czwartego pułku ułanów przeniósł go do pierwszego. W każdem innem wojsku, gdyby się władza takiego czynu dopuściła, oficerowie co najmniej wymówiliby się od służby z takim kolegą. W Moskwie to wypadek powszedni, a wojsko polskie miało podówczas moskiewskiego wodza. Ulegli też oficerowie pierwszego pułku konieczności i winić ich trudno, pomnąc, jak w. xiążę się mścił, ilekroć ktokolwiek śmiał mu opór stawić. Ale jeżeli oficerowie musieli znosić narzuconego im pod przymusem towarzysza i mieć z nim stosunki we wszystkiem, co miało styczność ze służbą, to mogli poza nią wszelkich z nim unikać stosunków i tem doprowadzić go do opuszczenia służby.

Niestety, nie tak się stało. Na cynizm naczelnego wodza koledzy moi odpowiedzieli podobnym cynizmem. Złotem podszytego towarzysza przyjęli nie z lodowatą sztywnością, ale niegodną zabawę sobie z niego zrobili. Postanowili przymówić się, aby kosztowną wyprawił im ucztę. Tak więc w tym pierwszym tygodniu znalazłem się po raz drugi wmieszany do hałaśliwej pijatyki z tą

różnicą, że na pierwszej innych częstowałem, sam do picia od nikogo nie będąc naglony. Na drugiej koledzy nie tylko, że postanowili mnie spoić, zmiarkowawszy, że pić nie lubię, ale zmówili się, żeby kapitana wyciągnąć na gruby za wino wydatek. Ciągle powtarzali: «Pij, nie żałuj kieszeni ex-płatnika». Widząc, że koledzy ze mnie żart sobie zrobić postanowili, lichego chwyciłem się odwetu i począłem udawać pijanego; potaczając się niby, łatwiej mi było wino z kieliszka rozlewać. Ale, że ciągle słyszałem podejrzywających, iż udaję, popełniałem coraz nowe niedorzeczności, aby ich przekonać, że tak niebezpiecznie wino działa na mnie i oduczyć ich raz na zawsze od zmuszania mnie do picia. Wymyślając ciągle nowe szaleństwa, pełne wina butelki wyrzucałem za okno, tłukłem wszystko w winiarni, aż wreszcie roztropniejsi koledzy, lękając się, czym na dobre nie zwaryował, odprowadzili mnie do kwatery i na klucz zamknęli.

Zabawna okoliczność towarzyszyła temu zajściu. Na parę dni przedtem odbywał się jarmark na konie w Łęcznie, o trzy mile od Lubartowa. U jednego z warszawskich kupców pokazywano i przejeżdżano gniadego angielskiego konia, pięknych kształtów i dzielnych ruchów. Koń ten wszystkim się podobał, ale nizka cena, jaką zań żądano, nasuwała podejrzenie, że musi mieć jakąś ukrytą wadę. Przejeżdżał go Niemiec ujeżdżacz kłusem, stępa, galopem, ale można było dostrzedz, że mu się w niczem nie sprzeciwiał, ruchów żadnych nie narzucał, tylko przystawał na te, które koń sam wykonywał. Mówiono, że to koń z niesforności sławny, z Anglii sprowadzony przez Petersburg, że w Warszawie chcącemu go ujeździć nogę złamał i tp. Żądano za niego sto dwadzieścia dukatów, sumę dla mnie nieprzystępną; ale pokusa była wielka, szczególniej dla złej sławy konia i ochoty spróbowania, czybym go nie potrafił ujeździć. Wyjechałem z Łęczny, marząc o angliku. Otóż, podczas dzikiej pijatyki za pieniądze płatnika, w chwili właśnie gdym butelkę węgrzyna na karb

mego pijaństwa przez okno wyrzucał, omal że o własnej nie zwątpiłem przytomności, widząc na lubartowskim rynku tegoż anglika pod tym samym Niemcem. A więc, pomyślałem, na jarmarku konia nie sprzedali, a sprzedać chcą gwałtem. Widząc na sali podporucznika Piotrowskiego, dobrego jeźdźca, szepnąłem mu do ucha: «Spróbuj go, dokucz mu, a jeśli nie waryuje, kup go dla mnie, przecież taniej tu, niż w Łęcznie, go puszczą». Piotrowski wnet na angliku przemknął się pod oknem i za miasto wyjechał. W parę godzin wrócił się na angliku mocno spienionym i powiedział: że koń dzielny, że nie waryuje wcale i że on go kupił za sześćdziesiąt dukatów. Jakoż z pozostałych trzech tysięcy złp., które mi na rok cały utrzymania starczyć miały, z radością odliczyłem tysiąc dwieście złp. Myślałem sobie: Opatrzność czuwa nad waryatami, a matki ratują skłopotanych synów. I tak się też stało. Za pierwszem z matką spotkaniem takie w niej obudziłem współczucie do konia, że nie tylko wydatek zapłaciła, ale koń ten stał się jej faworytem; nazwała go «Kosiem», a gdy po dniach listopadowych 1830 r. zapadł na siłach i odmówił służby, gdym potem wyszedł na wygnanie, «Koś» miał do śmierci chleb łaskawy od mojej matki.

Był to w istocie ulubiony towarzysz młodości mojej. Zdobył mi najprzód w dywizyi, a gdym został adjutantem w. xięcia, w całem wojsku sławę doskonałego jeźdźca. Miłość moja własna zyskała i na tem, żem tanio tak dzielnego nabył konia i ośmielił się go nabyć, kiedy inni nie śmieli. Zawiedli się też niektórzy, spodziewając się, że gdy mnie koń raz i drugi zrzuci, to jeszcze taniej im go puszczę. Koń nie zrzucił mnie ani razu, ale dopiero po dwóch latach tylem go ujeździł, żem mógł na nim występować przed w. xięciem na tak zwany ordynans, który był szkopułem wielu koni i jeźdźców. Gdym się nareszcie na to ośmielił, wszyscy ciekawie tej próby wyglądali, a sam w. xiążę, uderzony niepospolitą rzutkością konia przy zupełnem posłuszeństwie, przysunął się i rzekł

do mnie: «Bardzo dobrze, ale wolę ciebie na nim widzieć, niż siebie».

Na ugłaskanie okrzyczanego dla dzikości konia codziennie go na wolności ujeżdżałem. Gdziekolwiek stałem na kwaterze, starałem się dla niego o zagrodę, w której go wolno puszczałem i do chleba i cukru wabiłem. Ułani tak się z nim pieścili i tak go ugłaskali, że jak z psem igrać z nim można było. Razu jednego w zimie, przejeżdżając go po łące, niebacznie wprowadziłem na trzęsawisko, pokryte cienką przemarzłą skorupą. Nagle koń czterema nogami zapadł po brzuch. Odskoczyłem, a koń, raz i drugi zerwawszy się nadaremnie, ciężko jęknął i, wyciągnąwszy szyję, głowę na zmarzłej położył trawie. Więcej się nie rzucał ani ruszał, zaufał nadbiegłym do ratowania go ułanom. Ci zaś z pod zmarzłej skorupy po jednej nodze konia wydobyli. Potem, zdjąwszy siodło, na wznak obrócili i jakby nieżywego za szyję i za nogi aż na suche miejsce wyciągnęli. Jużem był zwątpił o możności uratowania go, ale skoro go odstąpiono i usłyszał zachętę, powstał i, puszczając się z miejsca tęgim kłusem, niewymowną radość mi sprawił. Wnet znowu puścił się w koło a na klaskanie rąk przybiegł i dał się okulbaczyć.

Innego razu, nie mogąc dostać dla niego osobnej zagrody, wprowadziłem go do sieni własnego mieszkania. Było to w karczmie narożnej w Łęcznie, gdzie kwatera moja składała się z dwóch izb, między któremi były dwuskrzydłowe drzwi, choć nic zresztą w tem mieszkaniu zbytkowi takiemu nie odpowiadało. Przyjmowany zwykle do pierwszej izby w czasie śniadania «Koś», obchodząc stół, raz zapragnął przejść do drugiej izby, ale połowa drzwi była zaryglowana, a przez drugą połowę głowa tylko i pierś konia przejść mogły. Brzuch utkwił, a koń ściśnięty za boki, chcąc się przez drzwi przepchnąć, wyrwał i drzwi i nawpół spruchniałą futrynę, wszystko jakby jeźdźca na grzbiecie unosząc. «Koś» nie miał nawet wędzidła, dał się jednak ugłaskać i spokojnie od niezwykłe-

go uwolnić się ciężaru. Takiemi to sztukami i rzadkiemi zasługami coraz bardziej się zalecał i zapewnił sobie zaszczytny przytułek aż do śmierci.

W kilka dni po przybyciu mojem do Lubartowa przyszedł do mnie pan rządca dziedziczki lubartowskiego majątku, pani Władysławowej Ostrowskiej z domu Sanguszkównej, siostry xięcia Karola Sanguszki zasławskiego, i oświadczył, że pani jego, dowiedziawszy się, iż mam przybyć do pułku pierwszego ułanów, nadesłała mu rozkaz z zagranicy, aby, ilekroć w Lubartowie stanę, dane mi było w jej pałacu mieszkanie. Panią Ostrowską znałem w Berlinie w czasie pobytu mego na uniwersytecie. Była wtedy świeżo z mężem poróżniona; trzydziestoletnia już, wcale nie urodna, ani ujmująca, opryskliwa, ale dowcipna, a dla mnie, i wogóle dla młodzieży, nadzwyczaj uprzejma. W kilka lat potem, otrzymawszy rozwód, wyszła za młodego Małachowskiego. Ciągle za granicą bawiła, pałac był pusty; skorzystałem więc z łaskawie mi ofiarowanej gościnności. Był to gmach obszerny z ogromnym dziedzińcem, z trzech stron zabudowany, z czwartej mający nad bramą wieżę z wysoką strzałą, na której w miejscu wiatrowskazu był koń blaszany z jeźdźcem, niby Pogoń, herb Sanguszków.

Zaledwom w pałacu lubartowskim był zamieszkał, kiedy niespodzianie odwiedził mnie mój brat Jan, który naówczas w ordynacyi przebywał. Za pierwszem wejrzeniem spostrzegłem na twarzy brata jakieś zachmurzenie. Zapytałem, dokąd jedzie, czy mu Lubartów po drodze. «Przybyłem na odgłos dzwonów», rzekł brat, a na twarzy jego, choć niby żartował, smutek się odbijał, nie wesołość. «Jakich dzwonów?» zapytałem. «Tych, w które sam biłeś», rzekł Jan, «a których odgłos na całe Lubelskie się rozszedł. Przyjechałem się przekonać, czyś na dobre zwaryował i przepadł...!» I tak dalej ze zgrozą mówił, upamiętywał, nie czekając odpowiedzi, z którą się też nie spieszyłem. Po chwili dopiero, zrozumiawszy

moje lubartowskie zajście, Jan się uspokoił, począł szczegółowo badać o wszystko, przenocował i nazajutrz rano z powrotem do ordynacyi się udał. Przez miasto jechał otwartą bryczką, płaszczem okryty.

Nazajutrz, przybywszy na służbę, meldowałem się pułkownikowi. Pułkownik Tomicki przyjął mnie ze zwykłą dobrocią, ale kazał czekać, aż sam ze mną pozostanie. Wtenczas z wyrazem żalu, wymówki i upomnienia, rzekł do mnie: «A bój się Boga, cóż ty wyrabiasz?» — «Co takiego, pułkowniku?» — «No, nie udawaj, przecież sam cię widziałem.» — «Kiedy, gdzie, panie pułkowniku?» — «A no, wczoraj rano na rynku, na bryczce i to otwartej, kiedyś się po cywilnemu wymykał.» Dopiero zrozumiałem, że pułkownik wziął brata mego za mnie, co nam się nieraz w młodości zdarzało. — W owym czasie przebranie się wojskowego po cywilnemu było ciężkiem wykroczeniem, a w. xiążę tembardziej na nie był drażliwy, że za czasów francuskich oficerowie wojska polskiego zwykli byli poza służbą nosić się po cywilnemu.

Tomicki w prowadzeniu podkomendnych miał szczególny dar pilnością i sprawiedliwością pobudzać ich dobrą wolę. Służba też szła regularnie a bez sztywności. Pod w. xięciem nie łatwem to było zadaniem, zwłaszcza, że w. xiążę, chcąc o najmniejszych wiedzieć szczegółach, obrzydłem szpiegostwem się posługiwał. Ale Tomicki szpiegów znał i dla spokoju opłacał wszystkich, tylko podkomendnych usilnie zarazem upominał, niemal błagał, żeby się mieli na baczności i nie opuszczali się w służbie. Łatwo mi było przekonać i uspokoić dowódcę, nie tyle oburzonego na moją mniemaną nieroztropność, co zatrwożonego następstwami, jakieby na mnie ściągnąć mogła.

Zaledwie przebyłem kilka tygodni w pułku, kiedym sobie wyrobił miesięczny urlop z powodu ślubu brata mego Andrzeja z panną Różą, córką jenerała Antoniego Potockiego i matki także Potockiej, córki Szczęsnego, roz-

wiedzionej, jak to, niestety, wówczas często bywało, a powtórnie zaślubionej Władysławowi Branickiemu. Pierwszy jej mąż Antoni Potocki, jak i brat jego Stanisław, był jenerałem wojska polskiego; drugi, Branicki, jedyny syn hetmana, w Petersburgu wychowany, był jenerałem moskiewskim.

Andrzej za młodu sposobił się do wojska. Za pobytu w Genewie ćwiczył się w naukach wojskowych pod kierunkiem Dufoura, ale następnie dwuletni pobyt w Anglii i Szkocyi mniej mu dał sposobności do kształcenia się w tych naukach. Zajęły go wtedy obok inżynieryi cywilnej, mechanika, fabryki, ekonomia polityczna, uczone rolnictwo i instytucye angielskie. Gdy wrócił do Polski, ojciec wielce go sobie upodobał i zapragnął użyć do pomocy w zarządzie majątku; zrazu zajmował go interesami swojemi jakby z dnia na dzień tylko, ale żądanego przyzwolenia na rozpoczęcie zawodu wojskowego mu odmawiał, na później je odkładając. Wkrótce sam Andrzej przestał o nie się dopraszać i o tyle chętniej przykładał się do interesów majątkowych, że zmienił pierwotne zamiary. Oczy jego i serce zajęły wdzięki panny Róży Potockiej; mocno w niej się zakochał i po krótkim czasie wyznał ojcu chęć poślubienia jej. Tu jednak znowu spotkała go odmowa. Ojciec zbył go, mówiąc, że za młody, a widocznie dał mu przytem do poznania, że i inne jeszcze powody ma na względzie, bo Andrzej przypuścił, że mimo wielkiego przywiązania, musi się zrzec wymarzonego szczęścia na zawsze.

Byłem jeszcze w Berlinie podówczas wraz z bratem Janem. Gdy doszła do nas wieść o smutku Andrzeja, rozmaicie pocieszaliśmy go, a głównie na względzie mieliśmy nie to, czy brat nasz znalazłby szczęście w upragnionym związku, ale czy tak wczesnem ożenieniem usposobiłby się najlepiej do służby kraju. Pamiętam, pisałem do niego, że kiedy taka spotkała go dola, niechże mu to posłuży do tem zupełniejszego ślubowania życia

ojczyźnie; przypominałem mu, że i Kościuszkę zawiedziona miłość zapędziła do Stanów Zjednoczonych, skąd już chwałą okryty wrócił, by we własnym kraju najwyższą zdobyć zasługę.

Upłynęło dwa lat prawie. Byłem już w Warszawie w wojsku podchorążym. Andrzej, zmartwiony, przebywał najwięcej w ordynacyi, do Warszawy na krótko tylko zjeżdżał; zdawało się, że myśli wojskowego zawodu całkowicie zaniechał. Nagle, jednego wieczora, powiedział mi, że chce nazajutrz pójść do mego dowódcy pułku, jenerała Kurnatowskiego, ażeby się zaciągnąć do jego pułku. Począłem go upamiętywać, że zapóźno już dla niego, w dwudziestu trzech latach, rozpoczynać karyerę wojskową, że ojca tem zasmuci; wtedy wyznał mi ze łzami, że zaciągnięciem się do wojska chce właśnie zamknąć sobie, stosownie do woli ojca, możność blizkiego ożenienia się a zarazem dać poznać pannie, że nie ma już więcej myśleć o nim. Z trudnością uprosiłem go, aby nie szedł nazajutrz rano do jenerała, który w tych godzinach służbą był zajęty. Długo jeszcze w noc przesiedzieliśmy razem; biedny Andrzej nadaremnie starał się ukryć łzy i wzruszenie.

Nazajutrz z rana poszedłem do ojca, a wyjawiwszy mu zamiar Andrzeja, błagałem go, aby z tego poznał naraz i synowską uległość jego i siłę uczucia, które go do takiej ostateczności pchnąć może. Zadziwiła mnie niemało odpowiedź ojca: «Ależ ja nie wiedziałem», rzekł, «że on taki zakochany. Zarzuciłem mu dawniej, że zbyt młody, ale kiedy trwa w tej myśli, to niech się żeni.» Pobiegłem do Andrzeja, aby mu powiedzieć, że ojciec go woła do siebie; o mojem wmieszaniu się nie wspominałem mu, ani wtedy, ani potem. Przyzwolenie ojca nietylko Andrzeja uszczęśliwiło; dla matki naszej i dla całej rodziny stało się także powodem radości tem większej, że niespodziewanej; wszyscy bowiem mniemali, że skoro ojciec raz się sprzeciwił, to już woli swej nie zmieni.

Ślub nastąpił w jesieni 1824 r. w Lubomli za Bugiem u państwa Branickich.[1]) Niedługo przedtem ojciec wyprawił był Andrzeja do Petersburga dla odwiezienia i wręczenia cesarzowi, według przyjętego zwyczaju, orderu św. Andrzeja po zmarłym dziadku naszym, xięciu Czartoryskim, jenerale ziem podolskich. Doznawszy w Petersburgu niespodziewanej zwłoki, Andrzej przybył do Lubomli na sam prawie dzień ślubu swego, po trzech dniach i nocach podróży na owych zawołanych dla szybkości i niewygody wózkach pocztowych, «perekładnemi» zwanych. Wiadomo, że podróżny, lecąc pędem koni, przez cały czas silnie poręczy trzymać się musi, żeby od stuknięcia nie być z wózka wyrzuconym. Andrzej podróż tę zniósł i przybył zdrów, ale służący jego ciężko taką jazdę odchorował, a towarzyszący im w drodze wyżeł, nie dojechawszy, ducha wyzionął.

Zjazd w Lubomli był liczny; gospodarz bardzo uprzejmy. Największą jednak radością dla obecnych był widok szczęścia nowożeńców. Andrzej nie tylko był zakochany i kochany, ale przynosił żonie nieskalane serce, w czem rzadkim był między młodzieżą wyjątkiem. Młodzi, niestety, zwykle od wczesnej zaczynają rozpusty i to nie tylko pociągani namiętnością, ale najczęściej przez naśladownictwo.

Trudnem jest zaprawdę w tej porze życia położenie młodzieńca, który do zupełnego rozwoju swojego dochodzi

---

[1]) Na jakiś czas przed ślubem Andrzej Zamoyski odwiedził x. Eustachego Sanguszkę w Sławucie. X. Sanguszko pisze o nim do x. Czartoryskiego: «Zamoyski bawi u nas od dni kilku. Znając mego xięcia od lat najmłodszych, nie mogę nie uważać silnego podobieństwa w nim z szanownym charakterem Wuja. Tak dobry wzór droższym nam go jeszcze czyni. Prawdziwie, że to jest subjektum rzadkie ze swojej cnoty, przy nauce, rozsądku i szczęśliwej prostocie. Wykazałem mu, ile możności, szczegóły gospodarskie. które objął trafnie, i ręczę, że gdzie tylko zamierzy, to wszędzie zda się, bo prosto widzi. Patrząc się na tak zdolną młodzież, serce kraje się ...» (Bibl. Czartoryskich.)

z dojrzałem i niezachwianem zrozumieniem chrześcijańskich powinności. W najszczęśliwszych nawet okolicznościach, choćby był najlepiej usposobiony, walkę toczyć musi podwójną, nie tylko z własnem sumieniem, ale i ze światem; musi stawiać czoło rozmaitym sądom, żartom i domysłom. W sumieniu jego staje po jednej stronie wszystko, co najświętsze i nawet co, po ludzku mówiąc, zacne i wzniosłe; po drugiej stronie jakieś nieokreślone pragnienie rzeczy nieznanych, marzenie o czemś, co mu się przedziwnem być zdaje, przy byle jakiej zaś sposobności, ślepa ponęta, wreszcie ciekawość niezmierna. Ale zanim nawet istotna przemówi namiętność, już go doświadcza przykład otaczających, wyszydzanie jego obaw zerwania z zasadami w dziecinnych latach wpojonemi, jego nieśmiałości do rozpoczęcia życia nowego, niezależnego, niby pełniejszego. A wśród starszych, ilu jest takich, co sprawę jeszcze utrudniają, bo choć każdy przyzna, że wczesne zdarcie szaty wstydliwości i niewinności jest społeczną plagą, iluż jest takich, co, patrząc na młodzieńca pełnoletniego a niewinnego, nie tylko że się nie radują z tego, ale rokują mu nędzną przyszłość. Podług ich mniemania, ta niewinność to brak żywotności, brak fizycznej i moralnej siły, nie zaś wiara, ani wierność zasadom; nie przyznają cnoty, posądzają o miękkość i brak męskości. Prawda, że tak czasami bywa, ale to rzecz rzadka. Zwykle, przeciwnie, z miękkości, z braku hartu i męstwa wyradza się nieuleczalna rozpusta. Temu nawet, kto cnotę kocha, kogo szczególna broni gwiazda, jakże trudno mimo to, bój staczać ze światem, który wieńczy rozpustę, a dla cnoty gotowe ma szyderstwo i pogardę, kiedy wszystko, co otacza, słowem i przykładem nęci, do dogadzania zmysłom nagli, kiedy powściągliwość, pochodząca z najczystszych pobudek, śmiech dokoła budzi.

O ileż łatwiejsze byłoby zwycięstwo, gdyby młodzi sami z sobą tylko i z własną tylko pokusą mieli do wal-

czenia. To też niepodobna myśleć bez trwogi o tej walce, która każdego młodzieńca czeka. Ileż od tego zależy, jak każdy tę próbę przebędzie! Ileż tu przeróżnych sposobów zatracenia duszy i tego wszystkiego, co i na doczesnem życiu zaważy stanowczo! Tylko silna wiara, niepospolita wola i gorące zamiłowanie obowiązku zdolne są pokonać dręczącą pokusę, jak również one tylko zdolne są wyratować z chwilowego oszołomienia i upadku...

Bawiono się w Lubomli dni kilkanaście. Z różnych zabaw najwięcej znajdowałem upodobania w ślicznych polowaniach; krótkie a wybornie bywały urządzane, codziennie między śniadaniem a obiadem. Zwierzyny było pod dostatkiem. Stosownie do pory roku polowano tam najczęściej z wyżłami, albo też na wilki z gończemi w kniei, lub z chartami na polu.

Z Lubomli wróciwszy do pułku, zastałem już szwadrony rozprowadzone na zimowe leże. Pierwszy szwadron stał w Łęcznie; drugi w nim pluton oddano mnie pod komendę. Ludzi liczył około czterdziestu, między którymi wachmistrz i dwóch podoficerów. Pierwsze to w życiu mojem było sprawowanie władzy i pierwsza odpowiedzialność. Uczułem to głęboko. Znałem regulamin musztry, z wojskowością byłem oswojony, najmniej wiedziałem, jak postępować z podwładnymi. Czułem tylko, że na tej sztuce polega prawdziwa wyższość wojskowa. Pilną przeto zwróciłem uwagę na ten nowy obowiązek. Postanowiłem o najdrobniejszych wiedzieć szczegółach, chociażby nie od razu o każdym stanowić. Mając doświadczonego wachmistrza, na jego zdaniu polegałem, żądałem tylko, by mnie o każdym szczególe objaśniał; jedno wszakże oświadczyłem wachmistrzowi odrazu stanowczo, że kara cielesna w drugim plutonie ma być zupełnie zaniechaną.

Podział żołnierzy na klasy, o którym wyżej powiedziałem, wprowadzony był tylko do piechoty, bo tam ściślejsze służbowe wymagania do częstszych kar były powodem. W jeździe karność była łagodniejszą; można-

by powiedzieć, że była więcej polską. W pierwszym zwłaszcza pułku dowódca, pułkownik Tomicki, obchodził się z podkomendnymi jak ojciec i tymże duchem przejął oficerów. Tak samo było i w drugim pułku pod Dwernickim i w czwartym pod Rutiem; trzeci pod Korytowskim miał cechę odmienną: większa była surowość, mniejsza między stopniami serdeczność. Kara cielesna jednak i w jeździe, choć mało używana, mogła być wymierzoną przez każdego nawet podoficera i to na razie, bez sądu i bez raportu, a choć rzadko do niej się uciekano, starsi codziennie groźby kija używali. Nie mogłem tego zmienić; rozumiałem, że nie przystało mi nawet jako młodszemu robić o tem uwag między kolegami; podkomendnym też moim żołnierzom nie dałem wiedzieć o wydanym przezemnie wachmistrzowi zakazie bicia żołnierzy mego plutonu. Umniejszoną surowość zastąpiłem podwójną czujnością. Każdy szczegół mnie zajmował, każdego żołnierza z osobna doglądałem. Chciałem wiedzieć o każdym, jakie ma wady i przymioty. W musztrze i w ujeżdżalni żądałem doskonałości.

W szwadronach zwykle do pierwszego i czwartego plutonu dają ludzi wyborowych, trzeci jako flankierski ma następny wybór, do drugiego dostaje się reszta, ludzie najmniej pokaźni i najmniej zręczni. Wszystkie też moje usiłowania zaledwie doprowadziły do tego, że dowódca szwadronu parę razy pochwalił ogólne postępowanie, tak zwaną konduitę żołnierzy drugiego plutonu, za co koledzy mi przycinali, chwaląc mój pluton za moralność.

Dowódca pierwszego szwadronu, kapitan Kosko, jak wszyscy niemal jeszcze wówczas kapitanowie, oficer z czasów X. Warszawskiego, małego wzrostu, czarnowłosy, ospowaty, krępy, niby poważny, był myśliwym znakomitym. Miał doskonałego wyżła, psy gończe i wyborne charty. Strzał jego był prawie zawsze celny. W całej okolicy znał wszystkie knieje i krzaki, gdzie

kuropatwy, gdzie i kiedy cietrzewie, gdzie słomki, kszyki, sarny, lisy, wilki i t. d. Służbą najmniej się zajmował. Dowódcy plutonów, każdy w swoim plutonie, rządzili nieomal samowolnie. Kto zasłyszał o stanie wojska polskiego pod dowództwem w. xięcia Konstantego zaledwieby uwierzył, jaka w tym szwadronie panowała swoboda, a że służba na niej nie cierpiała, przeto i sam dowódca pułku w nic nie wglądał i jakoby o niczem nie wiedział.

W innych pułkach i szwadronach oficer, chcący się na dni kilka oddalić, potrzebował urlopu od samego dowódcy pułku. W pierwszym szwadronie dość było, by jeden oficer uprosił drugiego o zastąpienie go w służbie, ażeby się mógł oddalić na tydzień za prostem opowiedzeniem się dowódcy szwadronowemu, który zwykle przyzwalał. Mnie, tak kapitan jak i pułkownik, jeszcze większą może, niż innym, swobodę zostawiali, wiedząc, żem jeździł w pobliże, do Puław lub Maciejowic.

Stał także w Łęcznie, przy pierwszym szwadronie najstarszy w pułku po dowódcy, podpułkownik Konopka, który niegdyś odznaczył się w Hiszpanii, w zawołanym siódmym pułku ułanów, także Konopki. Teraz w pułku dowodził pierwszym dywizyonem czyli pierwszym i drugim szwadronem. W ogólności łagodny, ale przed frontem służbista; przed frontem też tylko, albo przy rannym meldunku, brał udział w służbie. Poza tem do szwadronów wcale się nie mieszał.

Łęczna, tylko z jarmarków końskich sławna, przez rok cały nie przedstawiała żadnej ponęty. Nie było tam nikogo, z kimby oficerowie szukali stosunku. Ludności było do trzech tysięcy, przeważnie żydów i trochę mieszczan ubogich. Oficerowie nie obcowali ani z burmistrzem, ani z proboszczem, co im za złe poczytać można; wojskowi powinni poczuwać się do obywatelskich obowiązków, powinni w parafii znać proboszcza, w dyecezyi biskupa, należny im hołd oddawać, dać się im poznać, powinni też z cywilnymi urzędnikami się zaznajamiać, myśli wy-

mieniać i starać się o pewien godziwy wpływ na ich sąd i postępowanie; tym sposobem siebie i drugich podnosić, o sprawach bieżących wiedzieć, sąd kształcić i objawiać. Do tego poczuwać się powinien, ktokolwiek rozumie obowiązki obywatelskie. Kto tego nie czyni, kto się ogranicza na ciasno pojętych powinnościach własnego tylko stanu, ten sobie samochcąc ścieśnia i zaciemnia pole widzenia, a skądinąd przyczynia się do dzielenia kraju na różne obce sobie stany, warstwy. I tak wytwarza się między stanami zawiść i nienawiść, a kraj się pozbawia zdrowej, światłej opinii publicznej.

Jedyną w Łęcznie, jak zazwyczaj w takich garnizonach, rozrywkę poza służbą oficerowie znajdowali, jeśli nie w polowaniu, to w nielicznem, jednostajnem własnem kole, na próżnych gawędach, stokroć powtarzanych opowiadaniach, a wieczorem na nieuniknionym wiście. Ale do wista, jak i wszyscy bracia moi, nie miałem nigdy ani zdolności, ani gustu. Napróżno mnie koledzy namawiali; wolałem u siebie siedzieć i czytać, głównie książki wojskowe albo dotyczące administracyi krajowej i ekonomii politycznej. Do czytania ostatnich namawiał mnie brat mój Konstanty, za co mu nieraz w życiu dziękowałem. Trzymałem także «Gazetę warszawską», co zapewne nie tylko w pułku, ale i w dywizyi było jedynem między podporucznikami zjawiskiem. Nawet w wyższych stopniach mało kto trzymał gazetę. Czytałem ją jednak stale i z uwagą. Koledzy brali ją wprawdzie czasami odemnie, ale rzuciwszy na nią okiem, choć się na wielu punktach świata ważne odgrywały sprawy, zwracali mi ją, mówiąc: «Nic niema w gazecie», co się znaczyło, że nic nie było o Polsce.

Z czasem zmiarkowali koledzy, żem wiele godzin z wieczora i w nocy spędzał na czytaniu i pisaniu. Nie podobało się im, gdym dwa okna narożnej na rynku izby mojej zasłonił białemi firankami. Podejrzywano, że się chcę odosabniać. Wchodząc do mnie, pytali z pewną przesadą, czy nie przeszkadzają. Zapytywany, com w sa-

motności robił, zdawałem sprawę z tego, czem byłem zajęty, com był dopiero przeczytał, zwracałem uwagę na świeżą, a ciekawą w gazecie wiadomość, usiłowałem otrzymać przebaczenie, starałem się, ażeby mnie nie posądzono o próżność, chęć popisu i pedanteryę. W lat kilka potem opowiadali mi koledzy, jak im się zrazu nie podobały moje firanki, i jak później, gdy się przekonali, że mi służą do rzetelnej pracy i nauki, zwłaszcza zaś gdy poznali, że celem mojej pracy był kraj i służba ojczyzny, już mi za złe tego nie brali i unikali przerywania mi.

Młodzież okoliczna przeważnie zabawiać się lubiła na lubelskich kasynowych balach. Z Łęczny do Lublina trzy mile jazdy. Mnie prócz tych balów ciągnęła do Lublina obecność jenerała brygady, Franciszka Morawskiego, przyjaciela moich rodziców i Puław, skąd miał żonę, pannę Zwierzchowską, wychowanicę x. jenerałowej Czartoryskiej. Jenerał Morawski o wiele był młodszy umysłem, niż wiekiem, poeta, entuzyasta, Polak gorący. Za X. Warszawskiego służył najpierw w sztabie Dąbrowskiego, potem x. Józefa; był on żywym przedstawicielem czasów napoleońskich w Polsce, czasu wielkich nadziei i gorzkich zawodów, pełnego wspomnień, wobec których położenie obecne było bez uroku, bo nadzieje chwilowe, jakie Alexander obudził, zmieniły się w przeczucie najtrudniejszych zapasów z Moskwą. Jenerał Morawski kazał mi zawsze do siebie zajeżdżać. Przybywałem do Lublina zwykle w sobotę, w którym to dniu odbywały się owe kasynowe bale, a następnie niedzielę spędzałem u jenerała. Rozmowa jego była dla mnie nauczającą; obznajmiła mnie z niejednym szczegółem nowożytnych wypadków, mianowicie z początkami reorganizacyi naszego wojska pod w. xięciem; dała mi zarazem poznać wiele szczegółów o wszystkich prawie wyższych oficerach naszych.

Burmistrzem Lublina był ex-major Pepłowski, mianowany na ten urząd za zasługi wojenne. Służył on niegdyś w najpierwszych we Włoszech legionach Dąbrow-

skiego; niezmiernie wygadany, był obrazem sejmikowego szlachcica; niby gorący patryota, wynalazł sobie zabawny fortel do bezpiecznego popisywania się patryotyzmem: nieustannie wygadywał na Niemców, natomiast o Moskalach nigdy nie nadmieniał.

Prezesem Komisyi wojewódzkiej w Lublinie był pan Lubowicki, w bitwie pod Mirem 1812 r. kilkanaście razy ranny; z łaski namiestnika Zajączka nagrodzony został, jak i Pepłowski, za zasługi wojenne tym wysokim urzędem cywilnym, chociaż nie posiadał potrzebnego do tego uzdolnienia. Pan Lubowicki był bardzo gościnny i dla mnie uprzejmy. Widząc, żem z czytania obznajmiony z Anglią, tak niepodobną do innych krajów wewnętrznym ustrojem, zapytał mnie razu jednego, jaki w Anglii urzędnik pełni obowiązki podobne do tych, które on sprawuje. Niemało się zadziwił, gdym mu powiedział, że w Anglii urzędu takiego niema. Samorząd angielski, przez samychże obywateli najczęściej bezpłatnie w każdem mieście lub okręgu sprawowany, był dla niego niezrozumiałym. Pojęcie rządu doskonale zcentralizowanego tak przystawało do jego myśli, że razu jednego przy otwarciu szkoły wojewódzkiej rozpoczął przemowę od słów: «Ludzie są albo narzędziem władzy albo przedmiotem, którym ona kieruje». A zagrzewając młodzież szkolną do kształcenia się na takie narzędzia, zalecał przedewszystkiem ducha doskonałej karności, dodając: «Niewielkich do tego potrzeba nauk. Mnie w szkołach zaskoczyła wojna narodowa. Krótki więc czas na nauce spędziłem, a jednak widzicie mnie dziś prezesem Komisyi wojewódzkiej».

Ileż to razy potem w ciągu życia napotykałem wśród rodaków takie pojęcie obowiązków obywatelskich, ileż to razy ubolewałem nad tą istną panującą między nami chorobą centralizacyi! Polak, podobnie jak Francuz, chce widzieć w społeczeństwie przedewszystkiem władzę i to nietylko najwyższą, która jest niejako kluczem sklepienia całej budowy społecznej; on szuka na każdym szczeblu

społecznego porządku urzędnika od władzy wyższej zależnego i, nie czując żadnej potrzeby zasilania tej władzy własnem światłem, własną czujnością nad dobrem publicznem, godzi się na ślepe dla niej posłuszeństwo, chwali jej sprężystość, aż do chwili kiedy z oburzeniem zrzuca ją z siebie, by znowu podobną ustanowić lub przyjąć. Zarówno Polak jak Francuz nie zastanawiają się nad tem, że ślepe posłuszeństwo, brak czynnego udziału w zarządzie społeczeństwa prowadzi do nieuniknionych wywrotów i rewolucyi; rewolucye zaś przy takiej nieoględności, przy braku samorządu, tylko despotyzm wytworzyć mogą.[1]»

Przez dwa lata stał Zamoyski z pierwszym pułkiem ułanów przeważnie po małych miasteczkach w Lubelskiem i Podlaskiem. Przymusowy ten pobyt na prowincyi, w miarę jak się przedłużał, stawał mu się coraz przykrzejszym. «Życie po nędznych garnizonach bez żadnego na przyszłość widoku, bez jakiegobądź pożytku, w coraz przykrzejszy sposób mi się przedstawia,» skarży się w swych listach. «Służba tyle czasu zabiera, że go prawie na nic innego nie zostaje... Pocieszam się, wmawiając w siebie, że to jedyna dla mnie tymczasem droga, prowadząca do tego, że się stanę pożytecznym... Zima w Łęcznie to rzecz niewesoła, ale teraz zmienićby się mogła dla mnie tylko na zimę w Lubartowie. Tam nowe przyjemności czekają. W Łęcznie, choć głucho, ale spokojnie, w Lubartowie zaś równie głucho, ale wcale niespokojnie. Wyobraźcie sobie, że mam co tydzień wartę odbywać. A potem damy pułkowe. To dopiero pańszczyzna, i to w kar-

[1]) Kiedy w Paryżu, w 1852 roku, Ludwik Napoleon zamachem stanu położył koniec Rzeczypospolitej, jeden z członków Zgromadzenia narodowego (X. de Broglie?), po dwudziestu czterech godzinach więzienia na wolność puszczony, rzekł do przyjaciela, opłakującego katastrofę: «Stało się, co zawsze bywa i następować musi; z anarchii urodził się despotyzm, a dodać można, że i matka i dziecko dobrze się mają.»

nawale. Te bale i te warty, to śmierć. Chyba się podam za chorego... Może kiedyś odzyskam moje światowe uzdolnienie, ale teraz zupełnie je straciłem...»

Po skończonej dwuletniej służbie pisze do ojca z Białej Podlaskiej:

«8 sierpnia 1826 r.

...Dotychczas utrzymywałem, że awans na oficera do pułku liniowego nie sprawia mi przykrości. Zrazu zdawało mi się, że oddalenie od stolicy ma swoje korzyści, że pobyt w garnizonach będzie tylko rzeczą chwilową, że mnie doprowadzi do korzystnej zmiany. Ale teraz, w miarę jak czas upływa, tracę tę nadzieję, coraz bardziej o przyszłość się troszczę. Wyznaję, że trudnoby mi było długo wytrzymać w życiu, jakie tu od przeszło dwóch lat prowadzę, nie z powodu przykrości, jakich tu doznaję, bo ich prawie nie mam; trapi mnie to jedynie, że żadnej w niem korzyści nie znajduję. To też, zdaje mi się, że mam prawo zmiany pragnąć.»

Nieprędko jeszcze ziścić się miało to życzenie. Zmiana nastąpiła dopiero po dwóch latach, i to nie taka, jakiej mógł pragnąć. Tymczasem, jedyną dla niego sposobnością zetknięcia się ze światem «żyjącym», jak się wyraża, było dojeżdżanie do Puław, gdzie babka jego, xiężna Izabella Czartoryska, i ciotka, xiężna Wirtemberska, ze szczególną zawsze witały go radością. Poza tem do największych przyjemności należało utrzymywanie stałych listowych stosunków z rodzicami, z rodzeństwem, w szczególności z siostrami i dawną ich nauczycielką, panną d'Arnaud.

Te listy, pisane zwykle czy to przez posłańców, czy przez «okazyę», ze wzmianką, że jest «bezpieczna», są czasami powodem do rozmaitych uwag i przestróg, które dają pojęcie o trudnościach przywiązanych wówczas do korespondencyi, jako też załatwiania interesów. I tak naprzykład, w jednym z listów Władysław pisze do Warszawy: «Jeżeli moja strzelba skończona, niech ją Franci-

szek starannie opakuje i odda dla mnie żydowi, który się ma podjąć przesyłki. Do zlecenia proszę dodać odpowiednie wskazówki, obietnice i groźby.»

Listy z Puław zwykle zaczynają się lub kończą wzmianką, że w Puławach tak trudno o wolną chwilę. Raz w liście do siostry w czasie świąt Bożego Narodzenia pisze: «Tyle tu szopek, kolęd i t. p., że niema czasu nawet pióra zatemperować. Piszę to w nocy, w przedpokoju babki. Życie tu jest trochę męczące, nie z powodu czuwania po nocach, bo nieraz się i prześpię, ale dla tego, że przez cały dzień przy babce siedząc, trzeba obmyślać, czemby ją rozerwać i zabawić.»

Niektóre ustępy z ówczesnych listów do matki dają poznać lepiej, niż wspomnienia później pisane, stopniowy rozwój człowieka i jednolitość zapatrywań jego od najmłodszych do najpóźniejszych lat życia. Często odnoszą się one do wychowania młodszych braci. Coraz to Władysław nalega na wpływ, jaki matka wywierać może na wyrobienie charakteru synów i tego wszystkiego, co wytwarza istotną wartość człowieka. Zdaniem jego lekcye nie wystarczają: rozmowy są silnym czynnikiem w wychowaniu; prosi, by to Tylmanowi przypominać, prosi by i matka ten trud podejmowała. Z własnych dziecinnych lat nic mu tak drogiego wspomnienia nie zostawiło, jak rady, rozmowy, listy matki. Nie mógłby odżałować, gdyby młodszym brakło dobrodziejstwa, z którego starsi korzystali. Pojmuje zmęczenie matki, pojmuje pewne zniechęcenie, rozmaitemi okolicznościami powodowane. Ale wpływ, jaki matka na młodszych braci wywierać może, jest zbyt wielki i ważny, aby jej nie błagać o podwojenie wysileń, jeżeli potrzeba, byle się nie wyrzekać tak zbawiennego działania. Działanie matki na rozwój duchowy synów więcej znaczy, niż wpływ ojca na ich rozwój umysłowy. Nie wie, do czego byłby doszedł samemi naukami, gdyby nie tchnienie matki. Daleko mu wprawdzie do doskonałości, swoje i braci przywary

widzi, ale dodaje, że ogólnym, wybitnym owocem ich wychowania jest gorące pragnienie służenia krajowi szczerze i skutecznie; do tego celu skierowane są wszystkie ich myśli. Matka to ich nauczyła bezinteresowności, ona natchnęła miłość ojczyzny i chęć poświęcenia sił wszystkich jej służbie. Co zaś do nauk, dowodzi, że na to, aby zapał do nich obudzić, trzeba wykazać dzieciom, do czego te nauki mają służyć, z czem się w życiu wiążą, do jakiego celu prowadzić winny. Uznaje, że starsi synowie powinni matce pomagać w wychowaniu młodszych, udzielając im coś z tego, co sami otrzymali, i dzieląc się z nimi odrobiną doświadczenia już nabytego. Radby to uczynić, i, o ile potrafi, przyrzeka się o to starać, ale nie wierzy, żeby mężczyzna mógł tak trafić do serca, do duszy, jak to uczynić może serce kobiece, serce matczyne. Iluż to ludzi znakomitych wartość swą zawdzięcza macierzyńskiemu wpływowi... Nie trzeba się zniechęcać, jeżeli owoc z pracy nie od razu daje się osiągnąć. Nie trzeba się zrażać; z jednej rozmowy wyniknąć może światło na całe życie; nie trzeba tego dobrodziejstwa opóźniać. Gorące słowo w porę rzucone, ostrzeżenie, rada, zaufanie okazane w codziennych stosunkach podnoszą młodych w ich własnych oczach, budzą w nich chęć odpowiedzenia zaufaniu. Trzeba, żeby matka sama siebie dała poznać synom, żeby im okazała, co myśli i czuje. Niech widzą i poznają duszę jej piękną i gorącą, a to się stanie dla nich przykładem i zachętą. Trzeba rozmawiać z nimi o naszych dziejach z ostatnich czasów, opowiadać o naszych wielkich ludziach. Jest to potężny sposób wpływania na młodych. Byłoby okrucieństwem, gdyby wiek, w którym się wszystko najsilniej odczuwa, przeminął dla dzieci bez obudzenia w nich myśli, uczuć, dążeń wzniosłych i szlachetnych. Tego już im nic w późniejszem życiu nie zastąpi. Oburza się na tych, którzy twierdzą, że nie trzeba wzniecać wzniosłych uczuć w sercach młodzieży, bo się one nie nadają do dzisiejszych czasów, bo tylko

smutek i cierpienia na nas ściągają. A jakże pyta «moglibyśmy bez tego dążyć do poprawienia losu ojczyzny? Same okoliczności dowodzą, że owa zasada, iż trzeba wiele poświęcać dla spokoju i bezpieczeństwa, jest zawodna i nieuzasadniona nawet w naszem położeniu».

Zamoyski z pierwszym szwadronem swego pułku spędził w Białej na Podlasiu wiosnę i początek lata 1826 r.

« Obok zwykłych zatrudnień służbowych, obok książek, któremi zapełniałem czas wolny od służby, zwłaszcza, gdy jak na wiosnę nie było polowania, miałem rozrywkę w blizkim Konstantynowie państwa Alexandrowiczów, których już dwa lata wprzódy, podczas marszu na rewię pod Brześciem, odwiedzałem. Był to dom po staropolsku serdecznie gościnny. Pan domu, kasztelan, nosił się po polsku, choć wiekiem nie należał do kontuszowych czasów, ale mu w kontuszu było do twarzy. Żona jego, z domu Ledóchowska, była siostrą jenerała Ledóchowskiego, córka, panna już dorosła, w kilka lat potem poszła za Tomasza Potockiego.

W pobliżu Białej mieszkał także stary kawaler, dawny puławski bywalec, Kłokocki, oryginał, oczytany w literaturze francuskiej, niecierpiący niemieckiej, posiadający dużo wiadomości z dziedziny ekonomii politycznej, dowcipny, mówiący chętnie i w sposób pouczający. Ale słynął on z dziwacznej lękliwości, by się komukolwiek, a zwłaszcza władzy, nie narazić, a bardziej jeszcze, aby się kto do jego sporych dochodów nie przymówił. Gościa jednak, szczególniej mnie jako dziecko Puław, witał u siebie najuprzejmiej. Do szlacheckiego drewnianego dworku przystawił sobie galeryę, w której najporządniej uklasyfikował liczny i dobrany zbiór książek. Dużo w niej było światła i powietrza; nazywał ją swoją izbą podagryczną, bo w niepogodę po niej się przechadzał. Tam pi-

sał, czytał, a że się różnym oddawał pracom, do każdej w różnych częściach galeryi miał osobne stoły z rozłożonemi na nich materyałami. Przy niektórych pracował siedzący, przy innych stojący. Była to idealna dla dostatniego literata pracownia.

O półtorej mili od Białej, w Janowie, zwiedzałem kilkakroć główną w Królestwie stadninę cesarską, raz w towarzystwie p. Alexandra Potockiego, wielkiego koniuszego, który znał się na koniach i własne miał niepoślednie stado. Szczegółowy z nim przegląd stadniny był nauką, która mi się w życiu przydała. Nad każdym ogierem i nad każdą klaczą robił uwagi, wytykając wszystkie lepsze i słabsze strony szlachetnego zwierza.

Pod koniec mego pobytu w Białej zaszedł wypadek, który stał się dla mnie wielką nauką, a naraził mnie na różne niebezpieczeństwa; wprawdzie nadspodziewanie szczęśliwie z niego wyszedłem, ale z upokorzeniem tylko nadmienić o nim mogę. Ten sam kapitan, płatnik, który wraz z mojem wstąpieniem do pierwszego pułku ułanów, do tegoż pułku i do tegoż, co ja, pierwszego szwadronu przeniesiony został, zdawał się być przeznaczonym do stawiania mnie wciąż w trudnych i drażliwych położeniach. Od początku w przymusowych z nim stosunkach ubolewałem nad tem, że wraz z kolegami, którzy nie umieli się opierać jego gościnności, musiałem podzielać niemiłe jego koleżeństwo. Ale kapitan należał do tych, którym ludzie dużo przebaczają; każdemu się zalecał pewną prostotą, i, jeżeli w czwartym pułku ułanów zbogacił się, ciągnąc nieprawne zyski, to w pierwszym pułku szukał już tylko wziętości nabytemi dostatkami i gościnnością. Do służby jako drugi w szwadronie kapitan zwykle się nie mieszał.

Z początku nie śmiałem go jawnie unikać, ale po dwóch latach jużem się od wszelkich jego zaprosin wymawiał. Jednego razu, czy chciał mi dokuczyć, czy też to przypadek zdarzył, dość, że za jakieś drobne uchybie-

nie kazał aresztować kadeta z mego plutonu. Niespodziane to wmieszanie się do służby pana kapitana, jakkolwiek oficera starszego odemnie, tak mnie gniewem uniosło, że mu wprost wymówiłem, że się niepotrzebnie miesza do mojej komendy. Gdyby mnie natychmiast aresztem ukarał, byłbym uznał niezawodnie, że powinności dopełnił, i byłbym się upamiętał, ale tego kapitan nie odważył się uczynić. Skutek był dla mnie fatalny: wzmogło to moją pogardę dla niego i zaślepienie tak, że już granic zachować nie umiałem. W kilka dni potem odbywało się na rynku jakieś zgromadzenie szwadronu; że zaś na rynku mieszkałem, więc po odbytej służbie prosiłem dowódcę, kapitana Koskę i wszystkich oficerów, z wyjątkiem płatnika, aby wstąpili do mnie na przekąskę. Już wszyscy byli zebrani, kiedy się nagle zjawił nieproszony płatnik. Nie będąc panem oburzenia, rzekłem do niego: «Kto pana tu prosił? Wynoś się albo cię każę wyrzucić!»

Skandal był wielki. Koledzy wyprowadzili płatnika, ale też wszyscy odeszli. Sam sobie zostawiony, uczułem ciężkie przewinienie i wyczekiwałem zasłużonej kary. Ale rzecz dziwna; nie wymierzył jej ani płatnik, ani obecny zajściu komendant szwadronu, co w ten tylko sposób daje się tłomaczyć, że nikt w pułku nie uważał płatnika za istotnego oficera, ani też za godnego stopnia oficera. On sam usprawiedliwiał te uczucia, pomijając tak ciężką publiczną obelgę.

W kilka dni potem ruszyliśmy w marsz pod Łęczną. Niebawem cała dywizya zaczęła mówić o zaszłym wypadku.

Oficerowie pierwszego pułku nie śmieli zrazu objawiać wstrętu do kolegi narzuconego im wolą w. xięcia. Ale gdy tenże dał się sponiewierać i cierpliwie to znosił, poczęli mówić, że musi albo służbę opuścić albo się pojedynkować. Słuchałem tego w milczeniu, ale myślałem sobie, że na pojedynek, po sześciu tygodniach namysłu,

nieco późno, a co więcej, uważałem, że szkoda narażać dobrego oficera dla zrehabilitowania nędznego. Wmieszali się do rzeczy starsi. Były narady u dowódcy dywizyi, jenerała Weyssenhofa. Jenerał, po ojcowsku zganiwszy moją popędliwość, przekładał, że, gdyby rzecz dostała się do w. xięcia, mógłbym się doczekać srogiej kary. Za wiele mniejsze uchybienia skazywał w. xiążę bez sądu na sześć miesięcy i więcej fortecy. To jeszcze byłoby mniejsza, ale kiedy w. xiążę obwinionego sprowadził do siebie, nie było granic grubiaństwom, jakich się dopuszczał. Lżył, pięściami groził, pieniąc się, pluł w oczy, groził kijami, a niejednego nawet i bić kazał. Żądał więc odemnie jen. Weyssenhoff, bym dał t. zw. »satysfakcyę» płatnikowi, jakoś go przepraszając. Odpowiedziałem, że w przewidywaniu następstw nieszczęsnego wypadku zamówiłem już sobie na honorowego doradcę pułkownika Szydłowskiego, byłego adjutanta x. Józefa Poniatowskiego, że więc wszystko uczynię, co mi ten przyjaciel na swoją odpowiedzialność poradzi.

Szydłowski mieszkał na Podlasiu. Ranny pod Lipskiem obok ginącego bohaterską śmiercią Poniatowskiego, słynął z przechowanej najczystszej jakoby tradycyi rycerskich pojęć o honorze i o pojedynkach. Miałem więc dobrego doradcę, o ile o pojedynkową sprawę chodziło. Dla młodego człowieka w podobnej okoliczności taki doradca był wielce szacownym, bo nie tylko dostarczał wytrawnej rady, ale sam niejako przyjmował całą odpowiedzialność za swego klienta. Wezwany przezemnie Szydłowski stawił się niezwłocznie. Najprzód powiedział mi, że skoro chodzi nie o pojedynek, ale o przeproszenie, i kiedy idzie o słowa tylko, trzeba je napisać, ażeby uniknąć ich przekręcenia. Po naradzie tedy ze stroną przeciwną, ułożyłem pismo odpowiednie i odczytałem je przy świadkach kapitanowi.

Rzecz zdawała się zakończona, kiedy się rozżarzyła na nowo. W istocie, poczciwy Szydłowski nadużył prze-

wagi, jaką w przygotowawczych naradach dawały mu dawne zasługi, rany, wyższy stopień, imponująca pańska postawa. Z łatwością nakłonił mię do podpisania pisma, wyrażającego, «żem uchybił stopniowi i mundurowi kapitana», bez żadnej wzmianki o uchybieniu jego osobie. Szydłowski nie przewidział, że takie pismo więcej jeszcze płatnika w obec dywizyi poniży, a więc rzeczy nie złagodzi, tylko ją zaostrzy. Po kilku dniach znowu były narady u dowódcy, na których stanęło, że kapitan ma mnie wyzwać. Zjechał powtórnie pułkownik Szydłowski. Płatnik zrazu żadnego z oficerów pierwszego pułku nie mógł sobie na sekundanta uprosić; ostatecznie zlitował się nad nim nowo z dywizyi strzelców konnych do pierwszego pułku przeniesiony kapitan Kotkowski. Ten oświadczył, że mu nie odmawia sekundowania, ale ponieważ płatnik posądzony jest o brak odwagi, ostrzega go, iż, wręczywszy mu pistolet do pojedynku, sam będzie trzymał drugi, którym mu w łeb strzeli, jeżeli się on tchórzem okaże. Stanęło między sekundantami, że pojedynek odbędzie się w sposób nazywany «à la barrière», to jest, że po naznaczeniu mety długości siedmiu kroków, przeciwnicy stają każdy w odległości znowu kroków siedmiu od baryery, tak iż są od siebie oddaleni o kroków dwadzieścia jeden. Każdy miał prawo albo z miejsca strzelić albo postąpić naprzód do swojej baryery, a nadewszystko mógł wystrzelić, kiedy chciał. Kto pragnął przetrzymać przeciwnika oczywiście narażał się na pierwszy strzał, ale za to mógł strzał własny wymierzyć w zupełnym już o siebie spokoju, przyczem składał świadectwo zimnej krwi i odwagi.

Szydłowski wraz z sekundantem strony przeciwnej spisał warunki pojedynku z całą przezornością. Przewidział w umowie, że się jedna i druga strona może uprzeć w postanowieniu nie dania strzału pierwszego. W takim razie, po chwili zawieszenia, oba strzały miały być dane razem, na komendę. Wnet zmiarkowałem, że kapitan

postanowił nie dać pierwszego strzału, a zarazem widziałem, że mnie doskonale trzyma na celu. Nie chcąc dłuższem wyczekiwaniem przyjść do strzału na komendę, o tyle mniej pewnego, przystąpiłem do mojej baryery, a gdy kapitan doszedł do swojej, dałem ognia. Oddawna byłem wprawny do strzelania z pistoletu. Czułem się prawie pewnym, że przeciwnika trafię, gdzie zechcę; że zaś pojedynek miał być do «pierwszėj krwi», zależało mi koniecznie na tem, abym przeciwnika ranił, ale lekko, tak przez wzgląd na własne sumienie, jak i na srogie w służbie następstwa zabicia starszego od siebie. Udało się szczęśliwie. Trafiłem przeciwnika niżej biodra, w miejsce miękkie, a nieszkodliwe tak właśnie, jakem był kolegom zapowiedział na wyszydzenie nieszczęśliwego, ale kapitan, w chwili kiedy go kula trafiła, miał mnie tak dobrze na oku, że, wystrzeliwszy mimowoli, gdy został z boku kulą uszczypnięty, o włos mnie nie trafił w samą głowę. Kula świsnęła mi koło lewego ucha. O mało że nie byłem ciężko ukarany. Nadspodziewanie zatem szczęśliwy był koniec tej długiej i niemiłej awantury, która wyszła, o ile to być mogło, na największą korzyść kapitana, bo takie jest następstwo pojedynkowego przesądu między ludźmi, taki urok osobistej odwagi, że człowiekowi splamionemu, byle tylko nie okazał się tchórzem, największą oddaje się usługę, dostarczając mu sposobności do pojedynku. Dla mnie cała ta przeprawa tyle miała pożytku, że mi dała sposobność do zastanowienia się nad sobą.»

W listach ówczesnych Władysława Zamoyskiego odbija się stan jego duszy wobec niebezpieczeństwa, na jakie naraził swe życie, a co najmniej całą przyszłość. W liście do siostry najserdeczniej dziękuje za serce, okazane mu w całej tej sprawie; przeprasza za niepokój, jakiego był dla niej powodem. Pilno mu do Puław, ażeby otrzymać przebaczenie matki za zmartwienie, jakie jej

sprawił. Na prośbę siostry, żeby się podobne rzeczy nie powtarzały, odpowiada, iż to pewna, że chociaż się wszystko szczęśliwie skończyło, jednak chętnie dałby wiele, żeby módz to wszystko cofnąć. Wspomnienie nieprzyjemności, gadanin, plotek, sporów, których był powodem przez sześć tygodni, jest mu nieznośne. Ale już o tem myśleć nie chce, chyba o tyle, żeby na inny raz takich zajść unikać. Co do siebie osobiście, o życie tyle tylko dba, o ileby ono mogło stać się pożytecznem, i to na wielką skalę, i o tyle, o ile ma nadzieję zasłużenia sobie na dobrą sławę. Gdyby mu kto dowiódł, że do tego nie dojdzie, życie stałoby mu się nieznośnem. Jeżeli mu Bóg przeznacza coś pożytecznego uczynić, to go przy życiu zachowa; w przeciwnym razie bez żalu z niem się rozstanie.

Na list siostry, która pisze, że chciałaby zawsze taką być, jak powinna, odpowiada: «Myśl i czyń tak zawsze, to chociażby Cię rozmaite zmartwienia spotkały, zabezpieczysz sobie spokój wewnętrzny.» Ale ledwo to napisał, wyrzuca sobie, że znowu moralizuje, sam takiego trzpiotostwa się dopuściwszy. W listach do innych osób donosząc, że wszystko się skończyło lepiej, niż na to zasługiwał, mówi, że doświadczenie to nie będzie dla niego stracone, wyznaje, że mu ta sprawa spokój bardzo zakłóciła, bo nie mógł ani na chwilę zapomnieć o zmartwieniu, jakie rodzicom sprawi, ale skądinąd takie ma namiętne upodobanie do próbowania swoich sił fizycznych i moralnych, że rad był ze sposobności wypróbowania samego siebie. Przypominał sobie, jak niektórzy, dzielni nawet ludzie, wobec niebezpieczeństwa w gorączkę wpadają i junakieryą chcą sobie męstwa dodać. Obawiał się, czy i on w to nie wpadnie, a toby mu strasznie dokuczyło. To też gdy w ostatniej chwili uczuł się spokojnym, niezmiernej ulgi doznał i to mu było jedyną pociechą.

« Przez cały ciąg sprawy pojedynkowej nieustanna była w dywizyi obawa, żeby się w. xiążę o niej nie do-

wiedział i po swojemu do niej nie wmieszał. Że się to nie stało, dziwił się każdy interesowany; interesowanymi zaś byli wszyscy, mający w dywizyi jakąkolwiek władzę i odpowiedzialność. Obawiano się, że w. xiążę na młodszym oficerze poszukiwać będzie, że starszego ranił, a na starszych, że zezwolili na pojedynek.

W. xiążę sam zwykle zjeżdżał na manewra i rewie. Każdej jesieni przejeżdżał się tak po dywizyach jazdy wojska polskiego i korpusu litewskiego. Spodziewano się wkrótce przybycia jego do Łęczny, gdzie stała nasza dywizya. Pod wrażeniem obawy, żeby świeży pojedynek nie stał się w. xięciu za przybyciem okazyą do gniewu, wykomenderowano mnie na tak zwany ordynans, który był rodzajem próbki przedstawianej wodzowi naczelnemu z każdego pułku, a złożony z jednego oficera, jednego podoficera i jednego żołnierza, celujących urodą i musztrą.

Kiedy w wilię spodziewanego przyjazdu w. xięcia wykomenderowani z czterech pułków dywizyi na ordynans przybyli do Łęczny, większa część jego sztabu już się tam znajdowała. Upał nęcił wszystkich do kąpieli w rzece Wieprzu pod Łęczną, w całem zaś wojsku od lat kilku zaprowadzone były ćwiczenia w pływaniu. Wielu oficerów i ja między nimi pod wieczór poszliśmy się kąpać. Jużem był z wody wyszedł i na wpół byłem ubrany, kiedy między oficerami moskiewskimi sztabu w. xięcia powstał krzyk: «Kuczkowski tonie!» W rzeczy samej, gdzie pęd rzeki był silniejszy, widać było porwanego, bez władzy i przytomności, przybocznego doktora w. xięcia. W mgnieniu oka w ubraniu skoczyłem do rzeki i udało mi się doktora wyciągnąć na mieliznę. Ta okoliczność wielkie między obecnymi wywołała oklaski, nierównie większe, niż mi się należało.

Kuczkowski był rodowitym Moskalem. Doktor był z niego nie wiem jaki, ale doskonały dworak, jak zwykle Moskale, przytem zawsze wesół. Miał też znaczne u w. xięcia względy. Nazajutrz w. xiążę, dowiedziawszy się za

przybyciem o wypadku Kuczkowskiego, kazał mnie natychmiast zawołać. Czy o pojedynku wiedział, czy nie wiedział, nie wiem, dość, że nic nikomu o nim nie nadmienił, mnie tylko za uratowanie doktora dziękował i tysiącznemi żartami starał się wynagrodzić. Kilkakrotnie powtarzał, jakby dogodnie było mieć przy sobie na przypadek tak sprawnego pływaka.

Po manewrach pułk nasz z kolei odkomenderowany został do Warszawy na roczną służbę, którą odbywały po kolei pułki dywizyi. Łatwo się domyślić, jak mi z różnych względów miłe było to przeznaczenie. W Warszawie nie tylko miałem rodzinę, ale i możność zetknięcia się z życiem politycznem kraju; mogłem znowu co dnia i z blizka słyszeć i wiedzieć o sprawach krajowych.»

W listach do panny d'Arnaud o ówczesnym pobycie w Warszawie Zamoyski pisze:

«...Okoliczności prywatne i publiczne takie są tu przykre i przygnębiające, że się to odbiło tej zimy (1826 na 1827) na życiu towarzyskiem stolicy. Taniec zupełnie wykluczony. Nie dbałbym o to, gdyby można zapomnieć, co było tego powodem. Natomiast trochę więcej rozmawiano w towarzystwie. Ale w Warszawie po salonach jedynie o literaturze mówić można, to jest o powieściach i poezyi, a co najwyżej dotknąć się mimochodem filozofii. To też przez tę zimę więcej poezyi przeczytałem we wszystkich językach, niż przez całe poprzednie życie. Przeczytałem też kilka powieści, ale co do tych zawsze jestem wybredny... Zresztą ta gorączka poezyi, która nas wszystkich opanowała, chociaż chwilowo bardzo przyjemna, przestałaby mi się podobać, gdyby miała trwać długo...

Zabieram się do notatek, które mi doradzasz prowadzić przy czytaniu. Na razie nie przyspieszy to roboty, nie powiększy spisu książek przeczytanych, ale nie o to chodzi. Mnóstwo ludzi woli czytać, niż myśleć; nie radbym zaliczać się do takich.»

Panna d'Arnaud po zamęźciu dwóch córek ordynata odjechała do Francyi. X. Adam, pragnąc, żeby się podjęła wychowania jego bratanki Maryi Czartoryskiej, namawiał ją, by powróciła do Polski. Władysław nastaje, by przyjęła ofiarowaną posadę; z radością myśli, że panna d'Arnaud znowu się stanie dla jego sióstr tą przyjaciółką światłą, szczerą, czasami nawet surową, że i on będzie mógł czerpać w jej wzniosłej duszy światło, radę, siły, słyszeć jej sąd życzliwy, a nie oszczędzający go.

Zawsze rad jest uwagom, pochodzącym od osób, które szanuje, tak jak sam skory jest do czynienia uwag tym, którzy mu są drodzy. Tej skłonności dowodzą listy jego do zamężnej siostry. Prosi ją, żeby doniosła, czem się zajmuje poza gospodarstwem; nalega na potrzebę kształcenia umysłu i w innych kierunkach, bez czego obowiązki sprzykrzyć się jej mogą; uważa, że ona pod względem gospodarskich zajęć wpada w przesadę, a przesada, nawet w cnocie, staje się szkodliwą. Słysząc, że siostra z mężem jedzie na Wołyń, prosi, żeby była ostrożną, bo tam panuje jakaś kozacka atmosfera, którą nie trzeba się zarazić. Nie przestaje się też troszczyć o wychowanie młodszego rodzeństwa. Rozpisawszy się do matki o trudnościach wychowywania oddzielnie najmłodszego brata, Stanisława, dodaje: «Gdyby to dla Stasia dało się urządzić coś wspólnego z Witoldem Czartoryskim i Tadziem Morawskim, byłaby z nich doskonała trójka. Tyle korzyści spodziewałbym się z połączonego wpływu ojca i wuja, że nie mógłbym odżałować, gdyby się to nie ułożyło.»

Listy Zamoyskiego do babki nie przechowały się, przepadły prawdopodobnie w czasie rabunku Puław w 1831 r. Ale z przytoczonych poniżej listów x. jenerałowej z 1828 r. widać, jak serdeczny stosunek z wnukiem utrzymywała.

«Mój kochany, serdecznie kochany Władysiu! Twój list bardzo mnie ucieszył. Ale kiedyż ja Ciebie zobaczę?

Ja Cię tak serdecznie kocham, a rada jestem powiedzieć, że Cię całe Puławy kochają, i wszyscy moi ludzie pytają mnie: «Co to jest, że pana Władysława tak długo nie widać?» Ileż to rzeczy chciałabym Ci opowiedzieć, niektóre bardzo śmieszne, a inne, co mnie zadziwiły, a nawet zgorszyły. Wystaw sobie, że jenerał Rożniecki przyjeżdżał tu przed tygodniem. Mieliśmy i innych gości. Pani Potocka[1]) z Natalią pięć dni tu przepędziły. X. Sanguszko[2]) też spadł znienacka onegdaj; bardzo mu się ucieszyłam, grzeczny, trochę z polska rubaszny, dobry Polak. Zielone święta będą huczne w Puławach. Wszystkie stancye zamówione: cały Lublin, cały Radom, Siedlce i Łuków się tu wybierają. Ja tem wszystkiem kłopotać się nie potrzebuję, będę tylko używała widoku i powodzenia Kępy, więc się cieszę nadzieją tej rozrywki... Więcej już pisać nie mogę, bo oczy nie bardzo dobre. Kochany Władysiu, kocham Cię całem sercem i całą duszą...»

W innym liście xiężna pisze:

«Mój drogi Władysiu! Mam słuszność, że Cię tak kocham, tak lubię, boś Ty taki dobry, taki przedziwny, tak miły. List Twój otrzymałam z niezmierną przyjemnością, najprzód dla tego, że był od Ciebie, a potem dla tego, że w osamotnieniu, w jakiem teraz od paru tygodni żyjemy, prawdziwe to dobrodziejstwo otrzymać trochę wiadomości. Twojej matki tu niema, mój syn nie ma czasu pisywać, Anna słabuje, x. Sapieżyna drzemie, moja córka na różę cierpi. Z daleka widzę gości zwiedzających Sybillę i Dom Gotycki, potem idę oglądać Kępę, która jest radością dla mnie. Oczy moje teraz silniejsze, więc spisuję wspomnienia puławskie według wskazówek danych mi przez Twego ojca. Kończę też trzecią część «Pielgrzyma w Dobromilu». To mi kilka godzin co-

---

[1]) Anna z Tyszkiewiczów.

[2]) Eustachy.

dziennie zajmuje. Potem rozmawiam z moją córką. Przy stole mamy tylko wielebnego białego księdza, który nic nie mówi, i Bernata, który za wiele je, ażeby miał czas rozmawiać... Uściskaj odemnie braci, siostry, bratowe, a sobie powiedz, że Cię kocham bardzo i że wiem dla czego...

Pojmuję, że radbyś przez Dunaj się przeprawić i z blizka przypatrzeć się temu, co się tam dzieje. Ale nam, Polakom, nigdy się nie zdarza to, czego pragniemy...»

Nagle pod koniec 1827 r. sprawy wschodnie wzięły taki obrót, że czynne wmieszanie się Rosyi w wojnę grecko-turecką stawało się nieuniknionem. Zamoyski, który tę zimę spędzał w Łęcznie, z gorączkowem natężeniem śledził wypadki polityczne, o ile odległość od stolicy pozwalała mu na to. W liście do matki, z Puław pisanym 21 grudnia, ubolewał nad gnuśnością Turcyi, nie wiedząc jeszcze, że na trzy dni przedtem, 18 grudnia, sułtan powołał świat muzułmański do wojny świętej przeciwko niewiernym, a przybrał ton szczególniej wyzywający względem Moskwy, zarzucając jej podżeganie Greków do buntu. Moskwa odpowiedziała na to urzędowem wypowiedzeniem wojny dopiero 26 kwietnia 1828 r., ale odezwa sułtana wystarczała, aby wojna już w grudniu poprzedniego roku zdawała się niewątpliwą. Wiadomość ta doszła do Puław w sam dzień Bożego Narodzenia, właśnie gdy tam Władysław święta przepędzał za urlopem. Nadzieja wojny sprawiła mu radość niewymowną. Świadczą o tem słowa, dnia tego pisane, a których podobno nigdy już potem nie powtórzył: «Jakże ja jestem szczęśliwy!» Szczęśliwym się czuł, bo wojna, której od sześciu lat niecierpliwie wyglądał, która była celem jego życzeń, bez której myślał, że młodość i nauki spełzną mu na niczem, nareszcie się rozpocząć miała. W owym czasie nikt nie pojmował wyzwolenia ojczyzny inaczej, jak

przez wojnę; do wojny potrzeba wojskowych, ale do wykształcenia wojskowych potrzeba wojny. Wojny tedy pragnął Zamoyski ponad wszystko. To pragnienie przemogło wstręt do służby pod carewiczem; przemogło nudy garnizonowego życia, przemogło wiele innych różnorodnych względów; w nadziei zaspokojenia tego pragnienia wszystko inne chętnie poświęcał, na wszystko chętnie się godził. To też w on dzień Bożego Narodzenia radość jego była tak wielka, że sam się jej dziwił i sam siebie pytał, co ją powoduje.

Jak niegdyś w szesnastym roku życia mówił, że nie dla munduru i dla brząkania pałaszem chce być żołnierzem, tak wobec tej wojny przyznawał, iż sumiennie powiedzieć sobie może, że to nie upodobanie do nadzwyczajnych przygód go nęci, że nie kieruje nim ani lekkomyślna chęć własnego zadowolenia, ani chęć gonienia za niebezpieczeństwem, w którem nie widziałby pożytku dla kraju; nie oto mu chodzi, żeby się spotkać ze śmiercią mniej więcej chwalebną, ale o to żeby nabyć potrzebną wiedzę i za powrotem własnemu krajowi służyć i w razie potrzeby życie zań z radością położyć.

Ufa, że Opatrzność ześle jeszcze okoliczności potrzebne do podźwignienia ojczyzny i na tę chwilę chce się przysposabiać. Na wojnę pójdzie jakby do szkoły; przekona się, ile wart i co potrafi. Chodzi mu oto, aby być przy jakim zdatnym naczelnym wodzu. Chciałby nabyć pojęcia o ogólnych ruchach wojsk, o obowiązkach dowódców. Gdyby nie był Polakiem, nie byłby obrał zawodu wojskowego; obrał go dla tego, że oswobodzenie ojczyzny zależeć musi od wojska, a wojsko od dowódców. Wojskowi tedy powinni się starać o uzdolnienie, od którego w danej chwili zależeć może zwycięstwo. Rozumie on dobrze, że na naczelnego wodza potrzeba człowieka o wyższych zdolnościach i zaletach a takiego nie widzi. Nie pojmuje, ktoby u nas mógł i chciał być wodzem.

Z ogólnych uwag przechodzi do osobistych, oblicza się z własnem sumieniem. Sam siebie pyta, jakby on się wywiązał z takiego zadania, jakieby miał uzdolnienie do pokierowania ludźmi i sprawą. Zestawia jakby bilans swoich sił. Wydaje sam na siebie sąd, że nie posiada geniuszu ani wyższych zdolności, a nareszcie, że mu brak nauki, ale temu mógłby zaradzić: będzie się uczył, ćwiczył, pracował. Skądinąd przyznaje sobie niektóre zalety dowódcom niezbędne. Wie, że jest bezinteresowny, że jest wolny od względów osobistych, że chce poświęcić ojczyźnie wszystkie władze, siły i wszystko co tylko posiada. Nie jest zazdrosny ani zawistny.

Ludzie mu przyznają zdrowy sąd, umiarkowanie, równowagę. A jeżeli tak bada i waży własną wartość to nie dla tego, ażeby był chciwy wywyższenia i troskał się o warunki do niego potrzebne, bo o stopnie mu nie chodzi, z radością swoje siły poświęci każdemu, ktoby posiadł zdolności do komendy potrzebne, jemu chodzi jedynie o rzecz, wszystko mu jedno, kto ją wykona.

W liście do matki, w sam dzień Nowego Roku 1828, błaga ją, żeby się wywiadywała, co o Turcyi słychać. Jeżeliby tylko część polskiego wojska miała się na wojnę udać, niechaj on nie będzie zaliczony do tych, co pozostaną. Poleca się ojcu, żeby w tej sprawie o nim pamiętał i prosił o przeniesienie go w razie potrzeby do innego pułku. A jeżeli żadna część naszego wojska nie ma wziąć udziału w tej wojnie, to niech mu ojciec zręcznie wyrobi rozkaz dostania się przynajmniej osobiście na pole walki. Jako argument, mogący wpłynąć na w. xięcia, podaje i ten, że powinien go oddalić z Warszawy, aby sobie głowy nie zaprzątał sprawą sądu sejmowego, którą ojciec i wuj są tak żywo zajęci. Nie taił przed sobą wszakże, że osobiste przyłączenie go do wojska i sztabu naczelnego miałoby wiele ujemnych stron: «Jakaż to różnica iść samemu, zamiast gromadnie, wśród swoich, od których się jest znanym, przed którymi miło

się odznaczyć i na zaufanie ich zasłużyć.» Przykroby mu było, gdyby to, co uczyni jedynie przez miłość dla kraju, miało pozór gonienia za osobistą korzyścią i to pod sztandarem, pod którym dla takich powodów służyć się nie godzi. Nie chciałby, żeby inni w innym duchu poszli za jego przykładem.

Wyrzuca sobie, że od pewnego czasu zaniedbał nauki wojskowe, które nikogo z bliższych mu osób nie zajmowały. Uległ był pokusie zabrania się do innej nauki, zaczytał się, pod kierunkiem brata Konstantego i wuja, w dziełach o wewnętrznej administracyi różnych państw, szczególniej Anglii; za wiele czasu temu poświęcał. Na uspokojenie sumienia wmawiał w siebie, że może kiedyś i to mu się przydać w służbie kraju. Na wieść o wojnie zabiera się na nowo do dzieł wojskowych; o przedmowie do «Wojny hiszpańskiej» jenerała Foy mówi, że w gorączkę go wprawiła. Gotów płakać z żalu, że ten człowiek umarł, a on go nie znał i nie było mu danem być na nauce pod takim wodzem. Już poprzednio, wspominając o bitwie morskiej pod Navarino[1]) i o zwycięstwie Greków pisał: «Niech żyją Grecy! niech żyją dwaj admirałowie[2])! dzielni ludzie. Szkoda, że mnie tam nie było, lepiejby rzeczy poszły, przynajmniej dla mnie.»

Po powrocie do Łęczny (22 stycznia 1828) skarży się Zamoyski, że odkąd z Puław wyjechał, nie ma żadnych wiadomości prócz tych, które «Gazeta warszawska» przynosi, a można sobie wyobrazić, jak był powiadomiony, wobec ówczesnej cenzury. Nie przewidywał, że wkrótce zarówno nadzieje jak i obawy jego co do udziału w wojnie płonnemi się okażą. Czekała go zmiana stanowiska, ale wcale nie taka, jakiej pragnął. Zamiast czynnej służby

---

[1]) 20 października 1827 r.

[2]) Andrzej Miaulis (1772—1835) i Konstanty Kanaris (1792—1860).

w wojnie tureckiej, a nawet zanim jeszcze Rosya wypowiedziała wojnę Turcyi, spadła na Zamoyskiego 6 marca 1828 r. nominacya na adjutanta w. xięcia Konstantego. Z małomiasteczkowego garnizonu musiał zatem pójść nie na pole bitwy, ale do pałacu Belwederskiego.



VIII

SĄD SEJMOWY (1825—1828)

W ciągu kilkoletniej garnizonowej służby Władysława Zamoyskiego zaszły w kraju doniosłe polityczne wypadki, które go żywiej jeszcze, niż rodzinne i osobiste sprawy, zajmowały.

« W maju i czerwcu 1825 roku, kiedy całe wojsko Królestwa zebrało się do Warszawy w czasie sejmu, na który przybył cesarz Alexander, byłem z moim pułkiem w Warszawie i ostatni raz wtedy widziałem Alexandra.

Sejm z 1825 r. zebrał się po pięcioletniej przerwie. Nasz ojciec po raz pierwszy zajmował na nim krzesło prezesa senatu, na który to urząd powołany został po śmierci Stanisława Potockiego. Dzięki temu stanowisku stawszy się niejako pośrednikiem między monarchą a narodem, przyczynił się do chwilowej zgody sejmu z rządem Królestwa. Zdawało się, że Alexander otrząsł się z obawy rewolucyi powszechnej, obawy, której ulegał w 1820 r. i następnych latach, i że czując się bezpieczniejszym, wrócił Polakom dawną życzliwość, że znowu im ufał, a uczuciom ich i nadziejom pragnął pochlebiać. Jednakowoż, widocznie mając wciąż jeszcze na pamięci opór stawiony mu na poprzednim sejmie, kazał zapisać do konstytucyi artykuł dodatkowy, zabraniający izbom pu-

blicznych posiedzeń i podawania przebiegu obrad do dzienników. Dość było tego, ażeby narodowi dać do zrozumienia, czego się spodziewać można od panującego, który konstytucyę dał, ale do szanowania jej nie czuł się obowiązanym, bo na nią nie przysiągł i jednym zamachem pióra mógł wszystko odebrać.

To też i senat i izba poselska zrozumiały, że więcej się dla kraju zyska i lepiej przyszłości usłuży trwaniem i choćby znoszeniem niejednego pogwałcenia praw, niż niecierpliwem drażnieniem władzy, mającej poza krajem przeważną siłę, a zawsze gotowej do bezwzględnego użycia tej siły przeciwko Polsce. Najroztropniejsi godzili się na to, że lepiej zamilczeć najcięższe krzywdy, byle tylko sejm spokojnie przeszedł, byle cesarza nie zrażać, byle chwiejnym ustawom naszym dać czas potrzebny do ustalenia się. Ojciec mój, zaszczycony natenczas wielkiem zaufaniem naraz senatu i króla, tak szczęśliwie pokierował obradami, że Alexander wzruszony, ujęty, same już tylko pochwały miał dla polskiego narodu, wznawiał swe dawne przyrzeczenia, począł znów mówić o swoim ulubionym zamiarze przyłączenia zabranych prowincyi do Królestwa; mówił o spodziewanych stąd dla Rosyi korzyściach, o postawieniu w Polsce wzoru ustaw, według którego los Rosyi następnie dałby się ulepszyć. Z zamiaru tego zwierzał się niejednemu, jak gdyby rzucał tę myśl o tyle śmielej, że w przeczuciu blizkiego końca za wykonanie jej nie czuł się już odpowiedzialnym[1]).

[1]) Przypisek Andrzeja Zamoyskiego: «Przed wyjazdem cesarz przybył na pożegnanie do naszych rodziców, sam, swoją dorożką o jednym koniu, bez służącego; prosił, aby nas młodych zwołano. Właśnie byłem powrócił z sesyi w komisyi spraw wewnętrznych. Zaraz poszedłem na salę, gdzie cesarz dziękował memu ojcu, że sejm, o którym dłużej już był mówił, tak poważnie się skończył, że prawo o kredycie ziemskim uchwalił. Dodał: «Bo musicie mi dopomódz wobec moich Rosyan. Znacie mój projekt najdroższy wprowadzenia waszych instytucyi do waszych dawnych prowincyi. Ale czy mi czasu starczy? Jestem zmę-

W rzeczy samej, ostrzegany dziwnem śmierci przeczuciem, zapowiadał melancholicznie, zwłaszcza damom naszym, blizki koniec swego panowania. O Moskwie i Moskalach przemawiał z oczywistym smutkiem, z odrazą niemal, jakby się po nich zawsze zamachu na życie swoje spodziewał. Jakoż 1825 rok nie upłynął, kiedy Alexander zakończył życie, czy naturalną śmiercią, czy przyspieszoną, co zawsze w Moskwie przypuszczać można, — niewiadomo. Umarł z początkiem grudnia 1825 r. w Taganrogu, dokąd wyjechał, by szukać jakoby łagodniejszego na zimę klimatu, a może raczej by się ze stolicy wydalić przed grożącym już wybuchem, który w różnych punktach państwa niebawem nastąpił.

Kto wie, coby zaszło, gdyby pożył kilka lat dłużej? Niewiele wprawdzie można było liczyć na jego chwiejną i nieśmiałą wolę; nie więcej może na jego rzetelność, ale nikt zapewne nie zaprzeczy temu, że te pięć lat, jakie upłynęły od chwili, gdy to mówił, do lipcowej rewolucyi 1830 r., były ostatnią sposobną porą, w której car przez połączenie wszystkich części dawnej Polski pod jego berłem zostających, mógł przynajmniej na czas naród polski zaspokoić i z losem pogodzić. To pewna, że w 1830 r., kiedy przykład Francyi wstrząsnął całą Europę, w Polsce wybuchło powstanie listopadowe nie dla bronienia konstytucyi; głównym, jakkolwiek nierozważnym powodem było głośne twierdzenie cara Mikołaja, że Alexander nie powinien był obiecywać Polakom połączenia ich pod swojem berłem w osobne państwo, że na to on, Mikołaj, nigdy się nie zgodzi.

Mógł zaprawdę Alexander, na pięć lat jeszcze przed powszechnem europejskiem wzburzeniem, zdobyć sobie wdzięczność Polski, gdyby był najgorętsze jej życzenia

---

czony, cały ten kram petersburskiego dworu mnie zamęcza. Proszę Boga by mi dał umrzeć gdzieś daleko w objęciu kilku przyjaciół.» Serdecznie ręce rodziców uścisnął, kiwnął głową, pożegnał ich i odjechał.»

i najistotniejszą potrzebę zaspokoił. Potrzebą jej była całość, nie zaś większa lub mniejsza konstytucyjna swoboda, a połączenie Litwy i Rusi z Królestwem pod wspólnem z Moskwą berłem nigdy, jak wówczas, łatwiejszem nie było. Rzecz ta samymże traktatem wiedeńskim była przygotowana, kiedy Alexander w pierwszym artykule zastrzegł sobie dowolne rozszerzenie granic Królestwa Polskiego. Przyznać trzeba, że pewne kroki w tej mierze od razu zostały poczynione. Zabrane prowincye zaraz otrzymały osobną administracyę. Rekruci z tych prowincyi utworzyli osobny korpus litewski. Korpus ten i odrębna administracya ośmiu (dziś dziewięciu) gubernii zostawały nie pod rządem petersburskim, ale pod bezpośrednim zarządem w. x. Konstantego, tak iż w. xiążę, który w Warszawie urzędownie był tylko wodzem naczelnym wojska Królestwa Polskiego, niemniej w istocie dowodził zarazem trzema dywizyami korpusu litewskiego, a miał przytem kancelaryę przyboczną do naczelnego zarządu Litwy, Podola, Wołynia i Ukrainy. Edukacya, jak wiadomo, dzięki Czackiemu i xięciu Czartoryskiemu, dzięki szlachetności Alexandra, była równie polską w tych prowincyach jak w Królestwie, wtedy nawet kiedy x. Adama, jako kuratora uniwersytetu wileńskiego, zastąpił pan Nowosilcow.

Tak więc Warszawa istotnie była stolicą całej Polski, zostającej pod rządem moskiewskim, chociaż dwa w niej odrębne zasiadały rządy: jeden dla prowincyi zabranych pod naczelnictwem w. xięcia, drugi dla Królestwa pod namiestnikiem i konstytucyą. Cóż łatwiejszego było dla Alexandra, jak wyrzec, że albo zarząd prowincyi polskich przechodzi pod namiestnika Królestwa albo że w. xiążę ma namiestnika zastąpić i objąć zarząd administracyi Królestwa w dodatku do komendy nad wojskiem? Dość było jednego słowa, jednego postanowienia, by tę zmianę przeprowadzić, by prowincye dawnej Polski do Królestwa przyłączyć i konstytucyę 1815 r. uczynić w nich, zarówno

jak w dotychczasowem Królestwie, obowiązującą; by ośmiu guberniom nadać nazwę województw, a gubernatorom tytuł prezesów komisyi wojewódzkich, korpus litewski wcielić do wojska polskiego, kodeks cywilny Królestwa rozciągnąć na cały kraj rządzony dotąd statutem litewskim i t. p. Administracya Królestwa mogła dostarczyć urzędników na całą dawną Polskę tem łatwiej, że gubernie polskie miały w swej administracyi wielu jeszcze Polaków. Nie waham się dodać, że namiestnikiem tak rozszerzonego Królestwa nie mógł i nie powinien był zostać kto inny, jak w. xiążę Konstanty.

Jenerał Zajączek był malowanym tylko namiestnikiem, któremu poufnie rozkazanem było od w. xięcia brać natchnienia. Namiestnictwo oddane w. xięciu mogło do pewnego stopnia rozbroić zazdrość i podejrzliwość Moskali. A choć nie można było po w. xięciu obiecywać sobie istotnego dla konstytucyi uszanowania, przecież gdyby się stał osobiście za wszystko odpowiedzialnym, gdyby się już nie mógł ukrywać pod zasłoną powierzonej niby innemu władzy, byłby o tyle więcej zmuszony oglądać się na prawa krajowe.

Alexander miał w ręku wszystkie środki i warunki dla dokonania tego dzieła. Mógł o rzeczy stanowić własną, nieprzymuszoną wolą, mógł z łatwością niszczyć przeciwne temu dziełu namiętności Moskwy, mógł zmazać, o ile to Moskwy dotyczy, zbrodnię rozbioru Polski. Na świecie europejskim była cisza, cisza między burzami 1812 i 1830 roku. Nie skorzystał z odpowiedniej chwili Alexander, nie dokonał dzieła, które jemu wiekową sławę dać mogło; nie doprowadził do połączenia Polski z Moskwą, z których każda, gdyby się uczuła zabezpieczoną w swojem prawie, mogła tchnąć szczerem, braterskiem uczuciem dla drugiej i tak utworzyć istotną, sprzymierzoną siłę i wspólne ubezpieczenie. Nie takie widać Opatrzność przeznaczała losy tej części świata. Inny obrót wzięły wypadki, a wątpić można, by prędko podobna trafiła się sposobność.

To też mimo niezwykle szlachetnych chęci i dobrej woli Alexandra, dają się przedewszystkiem słyszeć surowe sądy o niedostatkach, wadach i przywarach jego. Ale tak bywa zawsze i bywa słusznie, że gdy dobre chęci i obudzone niemi nadzieje zawiodą, świat surowiej je sądzi, niż srogość bezlitosną nawet, ale nie szukającą wziętości w obłudzie i na wiatr rzucanych obietnicach. Zbyt wiele jednak i mniej prawdziwych sądów zapisano o charakterze Alexandra. Że sobie nie życzył odbudowania Polski przez Napoleona, to pewna; że temu przeszkadzał, tego jemu, jako cesarzowi rosyjskiemu, historya brać za złe nie może. Ale czy dla tego godzi mu się odmówić szlachetnych zamiarów, wspaniałomyślnych uczuć, choćby te u niego nie skądinąd, jak z dobrze zrozumianej polityki wypływały? Dość porównać, co wówczas rząd austryacki czy pruski dla Polaków robił, dość przypomnieć politykę jego następcy, aby się przekonać, iż nazwa *Wskrzesiciela Polski*, którą go naród obdarzył, nie była próżnem słowem, lecz szczerym wyrazem wdzięczności. Cięży na nim wprawdzie wina, że tolerował dzikość i barbarzyństwo w. x. Konstantego, że cierpiał bezecną swawolę urzędników rosyjskich, jak Nowosilcowa i jemu podobnych, ale iżby to miało wynikać z jego systematu politycznego, temu zaprzecza fakt, że również cierpiał dwóch prawdziwych odnowicieli narodu, x. Czartoryskiego w Wilnie i Czackiego w Krzemieńcu. Bądź co bądź, śmierć jego była klęską dla Polski i wywołała szczerą żałobę.

Gdy wiadomość o śmierci Alexandra doszła do Petersburga, gdy w senacie odpieczętowano i przeczytano wraz z aktem zrzeczenia się tronu przez prawego następcę, w. x. Konstantego, ukaz Alexandra mianujący następcą tronu drugiego z kolei brata, Mikołaja, ten nie chciał zrazu przyjąć włożonej na niego godności. Czy sekret o następstwie tronu istotnie do dnia tego pozostał mu nieznany, czy naprawdę Mikołaj nie wiedział o zrze-

czeniu się brata starszego, czy też chodziło mu wprost o odegranie dramatycznej roli, jak to potem bywało przez cały ciąg jego panowania, dość, że nie tylko odmówił korony, ale sam w senacie przysiągł na wierność carowi Konstantemu, senat i wszystkie władze petersburskie skłonił do podobnej przysięgi, a do Konstantego wyprawił deputacyę, mającą go nakłonić do przyjęcia korony. Konstanty żadnych namów słuchać nie chciał, powtarzając w głos: «Nie chcę panować nad tym morderczym narodem[1].» Wówczas proszono go, aby podpisał abdykacyę. Daremne były i te namowy. Trwał przy piśmie, pod pieczęcią w senacie złożonem, którem w chwili zaślubienia panny Grudzińskiej oświadczał z dziwną prostotą, że się tronu zrzeka, bo nie czuje w sobie ani siły, ani ducha, ani zdolności potrzebnych do panowania.

Musiał więc Mikołaj ustąpić i pomimo złożonej bratu przysięgi poddaństwa ogłosić manifestem, że obejmuje cesarskie berło. Ale w Moskwie takie niepewności, takie zmiany nie uchodzą bezkarnie. Znaleźli się tacy, zwłaszcza w wojsku, którym przysięga, poprzednio przez Mikołaja złożona, posłużyła za pozorny powód do zaprzeczenia prawowitości jego panowania.

Kilkoletnia, po powtórnem zrzuceniu Napoleona, okupacya Francyi przez armię moskiewską wywarła na umysły wielu rosyjskich oficerów wpływ, który ich wprowadził na drogę spisków i rewolucyjnych knowań. Rzecz dziwna, ten duch nowości najbardziej się rozkrzewił nad Donem między kozakami. Wszędzie po miastach i pułkach potworzyły się czytelnie i biblioteki, zwykłym zaś trybem tak nagłe rozbudzenie się pojęć i zwrócenie się ku potrzebom krajowym pchnęło umysły w najśmielsze i najbardziej rozbujałe marzenia. Ideałem wielu była jakaś powszechna rzeczpospolita słowiańska. Gdy więc targi o tron między braćmi zmarłego cesarza dostarczyły

---

[1]) «Je ne veux pas régner sur cette nation assassine.»

niespodziewanej okazyi do wybuchu, powstały naraz w kilku miejscach bunty polityczno-wojskowe, zaprzeczające Mikołajowi prawa do korony, pod pozorem że ją starszemu bratu wydziera. W Petersburgu, jak wiadomo, bunt wojskowy[1]) doszedł do wielkich rozmiarów. Pokonał go Mikołaj niezaprzeczoną śmiałością. W otoczeniu jego odznaczył się przytomnością umysłu jenerał polski, Stefan Grabowski, rycerskiej natury, już podeszłego wieku, podówczas minister sekretarz stanu Królestwa Polskiego przy boku cara.

Manifest wśród tych okoliczności wydany przez Mikołaja, ogłaszający objęcie tronu, zawierał przy końcu ustęp o Królestwie Polskiem i przysięgę cara na konstytucyę. Przebywałem pod tę porę właśnie na sześciotygodniowym urlopie w Warszawie. Byłem więc świadkiem powszechnej po Alexandrze żałoby, przedłużającej się niepewności co do następstwa tronu, wieści o buntach wojskowych jakoby w całem cesarstwie wybuchłych i ogłoszenia carem Mikołaja, wreszcie składania mu z obojętnością przez władze i wojsko nasze przysięgi na wierność. Niebawem zjechały do Warszawy złowrogie moskiewskie figury; rozeszła się wieść, że do spisków moskiewskich należeli Polacy, chociaż w istocie spisku między Polakami nie było; były tylko zawarte przez ciekawość na kontraktach kijowskich stosunki ze spiskowcami moskiewskimi. Liczne nastąpiły aresztowania. Porwano i wywieziono do Petersburga x. Antoniego Jabłonowskiego i byłego mego dowódcę, komendanta pierwszego szwadronu strzelców konnych gwardyi, Krzyżanowskiego. Pierwszy stawiony przed carem, czy się uląkł, czy się dał ująć, dość że się splamił, wyjawiając znane mu tajemnice. Drugi, jeżeli zawinił nierozważnym, a nic dla Polski dobrego nie rokującym krokiem, charakter zachował nieskazitelny, a w nagrodę otrzymał śmierć męczeńską na Sybirze.

---

[1]) Znany pod nazwą spisku Dekabrystów.

Odkrycie wspólnictwa Polaków w spiskach moskiewskich doprowadziło do śledztwa nie sądowego, ale administracyjnego, i do utworzenia na wzór Petersburga komisyi śledczej w Warszawie. Do składu jej powołani zostali: minister sprawiedliwości Woźnicki, minister oświecenia «Staś» Grabowski, z ministeryum wojny jenerał Rautenstrauch i kilku innych wysokich urzędników. Wszyscy prawie byli to ludzie czystego charakteru, wszyscy Polacy, z wyjątkiem komisarza cesarskiego przy rządzie Królestwa, p. Nowosilcowa, którego obecność w komisyi, jak w Radzie, sama przez się była pogwałceniem konstytucyi. Na prezesa mianowany został mój ojciec, a w. xiążę ostrzegł go, że gdyby prezesostwa komisyi nie przyjął, w. xiążę Nowosilcowowi je odda.

Mój ojciec nie od razu dał się skłonić do przyjęcia obowiązku, wyraźnie sprzeciwiającego się urzędowi prezesa senatu. Senat Królestwa, jak wiadomo, nie był tylko ciałem politycznem, izbą wyższą reprezentacyi narodowej, sprawował on oprócz tego urząd najwyższego sądu. Urząd ten miał o tyle więcej wagi, że nie był sądem kasacyjnym, nie odsyłał spraw pod nowe rozpoznanie sądów wyższych, ale sam wydawał ostateczny wyrok bez apelacyi. Skoro tedy sąd o przestępstwach stanu należał, według konstytucyi, do senatu, ustanowienie komisyi, prowadzącej śledztwo administracyjne, nie sądowe, było pominięciem prerogatywy, jaką konstytucya nadawała senatowi, było zgwałceniem konstytucyi przez rząd. Udział w tej komisyi śledczej pozbawiał nadto senatora możności zasiadania w sądzie sejmowym, zmuszał go do zrzeczenia się swego przywileju. Cóż więc mogło skłonić i kilku senatorów i samego prezesa senatu do przyzwolenia na takie bezprawie, do wzięcia w niem nawet dobrowolnego udziału?

Pytanie, zaprawdę, na które nie znalazłby odpowiedzi, kto z blizka nie patrzał na ówczesny stan Warszawy, kto nie widział, czego myśmy byli świadkami,

ile od lat kilku było w Polsce tropienia spisków lub stowarzyszeń tajemnych, ile sądów wojennych na nie, za prostym rozkazem w. xięcia, z oczywistem pominięciem konstytucyi. Kto tego nie widział, temu pojąć trudno, że, w 1826 roku, ktoby w sprawie zamachu stanu powoływał się na konstytucyę i odmawiał posłuszeństwa dowolnym rozkazom rządu i w. xięcia, byłby się wydał dziecinnym.

Zewsząd dawały się słyszeć głosy, że nie godzi się by ordynat odmawiał przyjęcia prezydencyi w komisyi śledczej; że, zasłaniając się czy to konstytucyą, która stała się martwem słowem, czy senatorskim obowiązkiem, którego wykonać władza mu nie pozwoli, uchyliłby się od spełnienia powinności obywatelskiej, a zarazem ułatwiłby przystęp do komisyi ludziom bez czci, bez serca; że chodzi o ratowanie licznych ziomków, o ich rodziny, słowem o wszystko, czego jeszcze bronić można, póki, w braku ustaw i należnego ich zastosowania, kraj posiada ludzi prawych, nieskazitelnych. Krewni, przyjaciele obwinionych, przychodzili nas błagać, by się nasz ojciec nie wymawiał, by skrupułem konstytucyjnym nie dał się powstrzymać od ofiary, która mu pozwoli, na stanowisku prezesa komisyi śledczej, stać się jedyną obroną i zasłoną obwinionych, przeciwko zawziętości w. xięcia i nastawionych przez niego niektórych członków komisyi.

Ojciec nasz uległ naleganiom, a przeważnym do tego względem było, że pod śledztwo warszawskie podciągnięto nie tylko Polaków poddanych Królestwa, ale i tych wszystkich, co, należąc do prowincyi za Bugiem, liczyli się do cesarstwa. Jeżeli przeto komisya śledcza warszawska gwałciła konstytucyę, pomijając sąd właściwy na obwinionych, to skądinąd ta sama komisya rozszerzała odrębność Polski od Moskwy poza granice kraju objętego konstytucyą. Dla względu tego zniósł nasz ojciec przykrość, jakiej musiał doznać, gdy się spostrzegł, że prócz Nowosilcowa inni Moskale (urzędnicy przysłani

z Petersburga) zasiadać mają w komisyi śledczej. Pod tym jednak tylko warunkiem oskarżeni z zabranych prowincyi mieli być podciągnięci pod to samo śledztwo, a może i pod ten sam sąd, co poddani Królestwa.

Trudno wyrazić jaki popłoch, jaka boleść, jaka zgroza, panowały w kraju przez cały ciąg trwania śledztwa. Aresztowania były niezliczone. Obwinionych wieziono do Petersburga przed tameczną komisyę dla konfrontacyi z moskiewskimi obwinionymi.

Wiosnę i początek lata 1826 r. przepędziłem z pierwszym szwadronem na Podlasiu w Białej, na samym trakcie, po którym przesuwały się na wózkach pocztowych, pod strażą, ofiary moskiewskiej podejrzliwości, wiezione albo z prowincyi zabranych do Warszawy, albo z Warszawy do Petersburga, albo z powrotem z Petersburga do Warszawy.

W Petersburgu śledztwo krótko trwało, podobno tylko sześć niedziel. Mikołajowi pilno było udać się na koronacyę; wzgląd ten przytaczany był w komisyi jawnie i na seryo. Po wyroku nastąpiło niezwłoczne onego wykonanie. Kilku przewódców skazano na szubienicę; stu kilkudziesięciu zesłano na Sybir; niektórzy należeli do najpierwszych rodzin Moskwy. Z wojskowych, najstarszy w stopniu, pułkownik Pestel, został powieszony.

Po tak szybkiem sprawieniu się komisyi petersburskiej, urzędnicy, przybyli z Petersburga dla śledztwa do Warszawy, dziwili się członkom komisyi warszawskiej, że ci tak wolno działają wobec tak wielkiej zbrodni, tak wielkiego zamachu na bezpieczeństwo państwa. Uważali, że spieszna kara była potrzebną dla przykładu, że nie należało się troszczyć, czy kto mniej lub więcej zawinił, skoro choćby najmniejszy w takiej zbrodni miał udział. Skład komisyi warszawskiej nie dopuścił jednak takiego pospiechu. Nie krępowały jej wprawdzie formy prawnej procedury, ale prawość charakteru większości członków zasłaniała obwinionych. Daremne były usiłowania Nowo-

silcowa, daremne gniewy w. xięcia; komisya o niczem przesądzać nie chciała, na wszystko żądała dowodów. Stąd przedłużenie śledztwa, które trwało prawie rok cały.

Moskale koniecznie coś wykryć chcieli, ażeby przewinieniem Polaków usprawiedliwić zamierzone zniesienie odrębnego rządu i ustaw Królestwa. Tylko najtragiczniejsze zresztą rozwiązanie sprawy mogło upozorować w oczach opinii gwałty i bezprawia, jakich w. xiążę i Nowosilcow się dopuszczali; tylko takie rozwiązanie mogło zapewnić urzędnikom rosyjskim przewagę nad ministrami polskimi. Mikołaj dał bratu blankiet na głowy i wolność Polaków. Pod wpływem licznych aresztowań zapanował w Warszawie teroryzm policyjny, przeciw któremu mieszkańcy nie śmieli podnieść głowy.

Gdy tak komisya śledcza stała się pastwą samowoli w. xięcia, czynność przyjęta przez naszego ojca była dla nas powodem wielkiej przykrości. Nie tajno było nam, synom, że różne sądy o naszym ojcu zaczęły krążyć w Warszawie. Z braci moich najstarszy liczył lat dwadzieścia siedm, ja, z rzędu czwarty, kończyłem lat dwadzieścia trzy, wszyscy jużeśmy się byli zetknęli ze służbą publiczną; dla ojca, prócz przywiązania, mieliśmy szczere poważanie, tak za jego postępowanie we własnej rodzinie, jak za ciągłą pracę dla dobra kraju. Młodzi, mało doświadczeni, o dobrą sławę ojca drażliwi, słuchaliśmy pilnie, jakie o nim wyrażano sądy. Było to dla nas źródłem niepokoju i smutku, było powodem do czujnego śledzenia za każdym politycznym krokiem ojca.

Pod koniec roku (1826) komisya śledcza warszawska, za przykładem petersburskiej, ogłosiła drukiem swoje sprawozdanie. Były w niem liczne szczegóły, nie było i być nie mogło konkluzyi, wniosku. Zgodnie ze swem zadaniem komisya ograniczyła się na przedstawieniu w swoim raporcie poszlak, jakie zebrała. Członkowie pilnie przestrzegali, by czynność im powierzona pozostała, czem była, śledztwem administracyjnem, a nie przybrała

cechy sądowej. Sam prezes, gdy badanych zapraszał do podpisania protokółu czyli słownego wywodu badań, ostrzegał każdego z osobna, że badania te nie przesądzają i zastąpić nie mogą tych, które sąd przeprowadzić będzie musiał, nim wyrzecze wyrok. Takie zachowanie się komisyi i długie trwanie jej czynności przygotowało wszystkich, tak publiczność jak rząd, do konieczności stawienia obwinionych przed regularnym, nie doraźnym sądem. Poczęto przychodzić do wniosku, że jedynym sądem właściwym i najwięcej rękojmi dającym, nawet dla rządu, był senat Królestwa, przez konstytucyę pod nazwą sądu sejmowego powołany do rozpoznawania zbrodni stanu i wyrokowania o nich. Senat niezaprzeczenie posiadał potrzebne do tego warunki, a skład jego był taki, że rząd samego cara musiał w nim widzieć wszelkie rękojmie nie tylko sumienności, ale i politycznej rozwagi.

Senatorowie byli sędziami wytrawnymi. Każdy z kolei zasiadał w najwyższym sądzie Królestwa. Rosyanie ten jeden tylko zarzut czynić im mogli, że byli Polakami, że w ich oczach przeto największe przestępstwa znajdą uniewinnienie, skoroby ich źródłem i celem była miłość ojczyzny. Lubecki jednak przewagą swą tyle dokazał w Petersburgu, że w miejsce sądu wojennego, którego się domagał Nowosilcow, i wbrew zdaniu w. xięcia, Mikołaj, którego zarówno błędy jak przymioty pochodziły z wygórowanej pychy i wiary w samego siebie, dał się nakłonić przedstawieniom Rady Administracyjnej i sąd sejmowy zwołał.

Na dni kilka przed rozpoczęciem sądu zjechali się wszyscy senatorowie. Powszechną między nimi można było widzieć obawę, że zadanie nad ich siły. Z jednej strony w imieniu cara, osobiście dotkniętego, nastawał brat jego, Konstanty, wiecznie ścigany, jakby zmorą, wspomnieniem rewolucyi francuskiej, jakobinizmu, tajnych stowarzyszeń, klubów karbonarskich itp., które go w gorączkę wpra-

wiały; z drugiej strony powszechna opinia kraju, długiem śledztwem i postrachem na ludność całą rzuconym, do najwyższego stopnia obudzona, drażliwa i podejrzliwa. Zadanie było w istocie trudne. Postanowienia sądu sejmowego wyrokować miały nie tylko o obwinionych, ale o najżywotniejszych podstawach politycznego istnienia Polski.

W tak zawiłem położeniu jak znaleźć rozwiązanie, któreby odpowiadało słusznym wymaganiom rządu i prawa, a jednak miało wzgląd należny na to, że obwinieni byli Polakami i że w żadnej części dawnej Polski nie można było mieszkańcom poczytać za zbrodnię, cokolwiek miało na celu zabezpieczenie odrębnej narodowości polskiej? Aby wypłynąć z tych trudności, trzeba było wielkiego patryotyzmu i hartu dla oparcia się teroryzmowi w. xięcia, trzeba było stanowiska, którémby zasłonić się można przeciw bratu cesarskiemu, trzeba było wreszcie niepospolitej mądrości, aby utrzymać wzgląd na godność narodu i na instytucye Królestwa.

Niepokój naraz zamienił się w zaufanie i radość, kiedy się dowiedziano, że x. Adam Czartoryski, którego Warszawa od lat kilku nie widziała, zjechał z zagranicy na termin. X. Adam, chociaż już od kilku lat usunął się od udziału w sprawach Królestwa, był jednak zawsze nie tylko senatorem-wojewodą, ale i członkiem Rady Administracyjnej. Wezwanie na sąd sejmowy doszło go we Florencyi tak późno, czy z umysłu, nie wiem, że tylko największy pospiech pozwolił mu zjechać na czas. W dziewięć dni już był w Warszawie. Kilka godzin opóźnienia, a nie mógłby już w sądzie zasiadać.

Kto żył wówczas w stolicy Polski, ten sobie przypomina, z jaką radością, z jaką otuchą dowiedziano się o przyjeździe xięcia. Każdy z patryotów czuł, że mu pomoc ogromna przybywa, że nikt lepiej nie rozwiąże zadania, jak ten, którego mądrość i wpływ przeważny potrafiły na kongresie wiedeńskim wpisać prawa Polski

w zbiór praw publicznych Europy. W x. Czartoryskim znalazła się też i potężna broń przeciw w. xięciu, bo mimo całego uszanowania, jakie dla opinii tegoż musiano okazywać, z drugiej strony opierano się na zdaniu x. Czartoryskiego, którego zasługi i wysokie stanowisko przez nikogo nie mogły być zaprzeczone.

Skądinąd, czuli to wszyscy, że nikt z Polaków nie dał tyle, co x. Adam, dowodów gotowości pogodzenia losów Polski z Moskwą, że nikt nie znał dokładniej i nie mógł ściślej określić wzajemnych obowiązków i praw, na których ta zgoda była zaprowadzoną, że skoro prawo publiczne, przysługujące narodowi polskiemu, a od carów zaprzysiężone, w znacznej części ustanowione było pod natchnieniem x. Adama, jemu przeto są znane granice tego prawa, słowem, że x. Adama nie można było posądzać o chęć pomijania tego, co się od Polaków należało «królowi polskiemu».

Z zaufaniem też poddał się senat kierownictwu x. Adama, a Polska ujrzała z radością, iż ma na swem czele mężów stanu, którzy umieją ocenić najzdolniejszego z pomiędzy siebie i jemu być posłuszni. Ten krok polityczny senatu nie tylko tę przyniósł korzyść, że ocalił godność narodu i instytucye Królestwa, ale i tę, że przed oczy całego kraju postawił człowieka, którego dotąd brakowało to jest naczelnika sprawy narodowej. Od pierwszych lat życia mego słyszałem w rodzinie o zbawiennym wpływie, jaki x. Adam Czartoryski na losy kraju wywierał, najprzód w Petersburgu, potem w Wiedniu, w czasie kongresu. Słyszałem, jak z toni napoleońskiej uratował i traktatami obwarował narodowość naszą. Czułem, że mu nikt wówczas w Polsce nie dorównywał ani zasługą, ani znaczeniem, ale dopiero sąd sejmowy dał mi sposobność ocenienia, czem xiążę był wówczas dla Polski. Uczułem, jak to uczuli wszyscy niemal senatorowie, że on jeden tę sprawę z całą należytą oględnością i powagą przeprowadzić zdołał. Pomyślałem

sobie zarazem, że naród nasz ma złożyć przy tej sposobności jakby świadectwo swej dojrzałości politycznej, która w zgromadzeniach objawia się trafnym wyborem przewódców i dzielnem ich poparciem, zwłaszcza tam, gdzie wątpliwości zachodzą, gdzie położenie takie zawiłe, iż sumienia nawet zawahać się mogą.

Pamiętam doskonale, że, skoro się w pierwszych zaraz krokach senatu okazała jednomyślność i roztropność, mówiłem sobie, że, jeżeli senat nasz iść tak będzie do końca, jeżeli się w tej trudnej i delikatnej sprawie pokaże nie trybunałem tylko, ale ciałem mądrem i prawdziwie politycznem, to ‹jeszcze Polska nie zginęła›, to ją wszelkie okoliczności znajdą gotową, bo zdolną do samorządu, więc niepodległości godną.

Śmiało też rzec można, że sąd sejmowy we wszystkich kolejnych czynnościach swoich, aż do uwolnienia oskarżonych od zarzutu zbrodni stanu, poszedł drogą od x. Adama wskazaną. Prezesem sądu został najstarszy z senatorów wojewoda Bieliński, człowiek światły, nieskazitelny, który zupełnie na zdaniu x. Adama polegał i, na tem zdaniu się opierając, rzecz całą z powagą prowadził, żadnym namowom, ani groźbom nie dając posłuchania.

Mój ojciec oświadczył, że w sądzie sejmowym zasiadać nie może, skoro się dał namówić do przewodniczenia śledztwu przedsądowemu, a tak usunął się od prezesostwa senatu właśnie w chwili, kiedy to ciało miało się wywiązać z trudnych swych zadań bardzo szczęśliwie i z wielką godnością. Nie poprzestał na tem, przedstawił potrzebę usunięcia od tego trybunału wszystkich członków senatu, którzy wzięli udział w śledztwie administracyjnem. Chodziło mu o to, aby sądowi zabezpieczyć jak największą swobodę ocenienia nieuzasadnionych poszlak zebranych przez komisyę.

X. Adam, za przybyciem do Warszawy, nie od razu wyrobił sobie jasne pojęcie o tem, jak senat ma się postawić i jaką miarę przyjąć w rozbieraniu sprawy od-

danej pod sąd sejmowy. Pamiętam, jak się zamyślał, jak się niepokoił, aż razu jednego wyrzekł przedemną: «Zdaje mi się, iż można będzie oskarżonych uratować.» Było to w Puławach, dokąd xiążę na krótkie chwile z Warszawy przyjeżdżał do swojej matki. Ja zaś dojeżdżałem tam z pułku, który w okolicy Puław znowu się znajdował. Xiężna matka sama dbała o to, żebym był w Puławach, ilekroć x. Adam tam przybywał. Sądziła, że mu mogę być rozrywką, nalegała, bym go na polowania wyprowadzał; zawsze mnie przeto na czas zawiadamiała. Dla mnie te spotkania były nieocenione, były wstępem do politycznej służby kraju.

Wówczas dopiero obeznałem się dokładniej z treścią traktatu wiedeńskiego, a rzecz dziwna prawdziwie, jak powszechną była w kraju niewiadomość o tem, co ten traktat w sprawach naszych postanowił. Z jednej strony między Polakami ogólny był wstręt do aktu, którym rozbiór Polski po raz pierwszy przez państwa europejskie był uznany, a nowy porządek rzeczy ustanowiony; z drugiej strony wszystko, co miało ubezpieczać narodowość polską, wydawało się marnem słowem, którego tłomaczenie i wykonanie od woli nieprzyjaciół zależnem było. W istocie, ówczesny stan Królestwa świadczył niezaprzeczenie o moskiewskiej dowolności: wszakże gdyby nie artykuły traktatu wiedeńskiego, jaką podstawę znalazłby senat, żeby stanąć w obronie ludzi, którzy jedynie narodowość polską mieli na celu? Pamiętam, jak x. Adam, któremu artykuły traktatu wiedeńskiego tak dobrze były znane, brał je zwolna, nieśmiało na wagę; pamiętam, jak przybywszy znów razu jednego do Puław z widocznem wzruszeniem mi opowiadał, że widział mecenasów, którzy obwinionych bronić mieli, że im wytknął drogę, na której sądził, że mogą zwycięsko bronić swych klientów.

Uroczysta to była chwila w sądzie sejmowym, kiedy postanowiono, że nowe śledztwo przez delegacyę ma być

dokonane, bo sąd sejmowy innego śledztwa za podstawę do rozbioru sprawy brać nie może. Łatwo pojąć, jak przyjął to postanowienie w. xiążę. Tyle parcia wywierał na komisyę śledczą, ta komisya przeciągnęła swe prace przez rok prawie cały i wszystko spełzło na niczem. Nie ulegało wątpliwości, że delegacya senatu, stojąc na gruncie czysto prawnym, będzie musiała jeszcze oględniej prowadzić ponowne śledztwo, a więc końca tej sprawy przewidzieć się nie dawało.

Wtenczas to wśród najpoważniejszej jednomyślności senatu, jenerał Wincenty Krasiński sam jeden stanął w sprzeczności z ogółem, opierał się wszystkim wnioskom przez innych stawianym, sam stawiał takie, które stale i jednomyślnie odrzucane były, z każdego zaś posiedzenia spieszył do Belwederu, jak mniemano, z raportem. Posiedzenia sądu były wprawdzie publiczne, ale tajemnicę narad między sędziami zabezpieczać miała przysięga członków. To też oburzenie przeciwko Krasińskiemu było wielkie i powszechne. »

Następujące notatki spisane zostały przez Władysława Zamoyskiego pod wrażeniem wypadków:

«W. xiążę odgraża się sędziom i członkom delegacyi za okazanie zbyt wielkiej niepodległości. Szczególniej grozi Tyszkiewiczowi i Rembielińskiemu, głośno się z tem odzywa, że pożałują swego postępowania. Radzi im pamiętać, że mają dobra na Wołyniu pod rządem rosyjskim. Czuje więc, że tam tylko zemstę będzie mógł wywierać, nie zaś w Królestwie. O tem nawet w gniewie nie zapomina.

Względem x. Adama dotychczas zachowuje się uprzejmie; oświadczał mu swoje zadowolenie, ale i jemu dawał do zrozumienia, iż w dalszem postępowaniu sędziowie do woli jego, w. xięcia, stosować się powinni. Powiedział także: «Czy macie zamiar przeciągać bez końca?» Na co x. Adam odpowiedział, że dziwi się, iż w. xiążę

nie rozkazał obwinionych oddać pod sąd wojenny, kiedy mu tak o pospiech chodzi... Gdy w. xiążę coraz dalej posuwał odgrażanie się, x. Adam powiedział: «A więc widzę, że nie wypada mi tu więcej powracać.» Na co w. xiążę się porwał, mówiąc, że i owszem żąda, żeby x. Adam na dzień oznaczony powrócił. Mówił, że to senat powinien tę sprawę sądzić.

Jednocześnie Nowosilcow oskarżał przed w. xięciem Niemcewicza, jako pobudzającego senatorów do nieuległości, do buntowniczego postępowania. W. xiążę złajał go za to, mówiąc o Niemcewiczu, że to człowiek uczciwy: «otwarcie nienawiść ku nam okazuje, ale do podstępu niezdolny.»

Nowosilcow odkrywa nowy spisek czyli towarzystwo w Wilnie, którego członkowie poznają się jakoby przez mruganie lewem okiem. W. xiążę zniecierpliwiony w żart to obraca i namawia rozmaitych, aby w przytomności Nowosilcowa lewem okiem mrugali. Jednak Nowosilcow jedzie do Wilna...

O logice postępowania i zapatrywań w. xięcia łatwo sądzić, zestawiając rozmaite jego powiedzenia. Razu jednego mówił: «Ci Burboni są bez rozumu, ciągle im się zdaje, że żyją w czasach Ludwika XV; nie chcą rozumieć postępów czasu, zapominają o rewolucyi. A ja sam, czy mógłbym być na mojem obecnem stanowisku, gdyby nie to, że miałem nauczyciela liberała, La Harpe'a? Czy mógłbym zrozumieć, czem jest rząd konstytucyjny?»

Nowosilcow nacierał na arcybiskupa warszawskiego Woronicza, ażeby nakłaniał biskupów, wchodzących w skład sądu sejmowego, do wydania surowych wyroków, twierdząc, że może go zapewnić, iż cesarz skłonny jest do ułaskawienia obwinionych, byle go poprzednio senat zadowolnił surowym na nich wyrokiem. Woronicz mu odpowiedział, że jako sędzia musi się rządzić prawem a jako kapłan i naczelnik duchowieństwa musi oczywiście przemawiać za pobłażliwością.»

W notatce, noszącej datę 9 lutego 1828 r., przytoczone są względy, które wpływać miały na obronę obwinionych, prawdopodobnie spisane po rozmowie z x. Adamem:

«Mowy cesarza Alexandra na sejmach, gdzie używa wyrazów «wolność», «niepodległość»[1]); traktat wiedeński, obietnice Alexandra przyłączenia prowincyi do Królestwa i t. d.

Oprócz tego trzeba położyć nacisk na to, że:

1. Krzyżanowski sam się wydał, i to przed delegacyą, inaczej nie byłoby dowodów, iż miał stosunki z Rosyanami i wiedział o ich zamysłach; zresztą tyle tylko, że wiedział. Wyznanie bez innych dowodów nie wystarcza;

2. postępowanie komisyi śledczej w badaniu obwinionych, podchwytywanie ich za słowa, mordowanie nieskończenie długiem badaniem było wbrew przeciwne wszystkim prawom;

3. skarga prokuratora Wyczechowskiego, oparta jedynie na śledztwie administracyjnem, śledztwo bowiem sądowe nie uznało takowych okoliczności za dostatecznie dowiedzione, zwalona być może z łatwością przez mecenasów, co zmusi prokuratora do repliki na zasadach prawnych.

NB. Prokurator sam sobie gwałtownie uchybił przez napisanie takiej skargi. Jako prawnik musiał wiedzieć,

---

[1]) W mowie przy zamknięciu sejmu 1818 r.: «Pamiętajcie, że taż sama Ojczyzna, wyniesiona do godności wolnego i niepodległego państwa, ma na was zwrócone baczne oko...»

W mowie przy otwarciu sejmu 1820 r.: «Pokażcie waszej Ojczyźnie, że, ukrzepieni w waszych uczuciach, w waszych zasadach i doświadczeniu, umiecie zachować pod opieką praw spokojną niepodległość, wolność nieskażoną...» Opierając się na tych słowach, sąd sejmowy orzekł, że: «Życzenie wolności i niepodległości narodowej, według tego jak nas upewniają wyrażenia dostojnego założyciela Królestwa Polskiego, jednoczą się w oczach sądu z uczuciami poświęcenia się monarsze.»

co robi. Nie wymogła tego na nim przemoc; nie można pojąć, co go skłoniło. Mówią, że dał się przekupić.»

Następna notatka zdaje się być ułożoną dla użytku wuja pod wpływem rozmów z ojcem:

« Czyby nie trzeba wystosować do cesarza pisma, dającego jakieś ogólne pojęcie o obowiązkach sędziów, wykazującego, że sędziowie muszą własne uczucia tłumić, wszelkie względy osobiste pomijać, że przysięgą są zobowiązani do przestrzegania prawnych przepisów co do joty. — Wykazać, jakie są wymagania co do prawnych dowodów potrzebnych dla stwierdzenia wszelkiej zbrodni, a w szczególności zbrodni stanu. — Przypomnieć, że prawo nie ma na celu karania wszystkich winowajców bez wyjątku; że ścisłe wymagania legalnych dowodów mają oczywiście na celu przedewszystkiem bezpieczeństwo niewinnych, że jednak prawodawcy zapewne i to mieli na względzie, iż choćby czasami winowajca jaki uszedł zasłużonej kary, nie zagraża to wszakże społeczeństwu, byle kara niektórych służyła za przykład innym.

Prawo, uczyniwszy zadość sprawiedliwości przez ukaranie kilku winowajców, zdaje się z umysłu mniej ściśle dochodzić przewinień ogółu.

Warto zwrócić uwagę, że prawodawstwo angielskie wymaga większych dowodów co do zbrodni stanu, niż co do innych przestępstw. Podczas gdy dla stwierdzenia dowodu zwykłej zbrodni wystarcza jeden świadek, wobec zbrodni stanu potrzeba dwóch. Zdawałoby się, że prawodawcy chcieli zrównoważyć niezmierną srogość kar za zbrodnię stanu, utrudniając dowodzenie onych.

Gdyby to wszystko można było jasno wyłożyć cesarzowi, gdyby zrozumiał prawne przepisy, jakiemi się sędziowie kierują, możeby to zasłoniło cały kraj od zemsty, do jakiej go niektórzy pobudzają, dając za powód zachowanie się sędziów.

Możnaby to wszystko wyłożyć w motywach wyroku. Sędziowie, wyrok wydając, nie mogą poprzestać na za-

spokojeniu własnego sumienia. Muszą wykazać wobec cesarza i całego narodu, na jakich zasadach się oparli [1]).»

« Sąd sejmowy ciągnął się przeszło rok. Po indagacyach przyszły świetne obrony obwinionych, narady sędziów, a nareszcie wyrok. Pierwszym punktem wyroku było uniewinnienie wszystkich oskarżonych od zarzutu zbrodni stanu. Winę uznano tylko w tem, że niektórzy, wiedząc o spisku moskiewskim, nie donieśli o nim właściwym władzom. Wyrok, jak wszystkie poprzednie postanowienia sądu, zapadł jednomyślnie, z wyjątkiem głosu Krasińskiego. Powody, na jakich wyrok się oparł, wyliczone są w znakomitym raporcie, jaki o całej rzeczy uczynił dla cesarza i króla prezes sądu Bieliński. O ile wiem, raport ten pisał dla prezesa sam x. Adam.

Odrzucenie zarzutu zbrodni stanu było szczęśliwem dobiciem do mety; nie przestawał jednak ciężyć na oskarżonych zarzut niedoniesienia władzy o knowanym zamachu, zarzut czyniony głównie pułkownikowi Krzyżanowskiemu. Gdy przyszło naznaczyć mu karę, większość członków zgodziła się na więzienie, ale co do określenia liczby lat tego więzienia, już nie było jednomyślności. Każdy mniemał, że o tem własne może mieć zdanie. Stało się, jak bywa na okrętach, że w czasie burzy i niebezpieczeństwa załoga słucha doświadczonego sternika, a gdy niebezpieczeństwo minie, słuchać go już nie chce.

X. Adam radził naznaczyć Krzyżanowskiemu sześć lat więzienia. Naznaczenie sześciu lat, wliczając w to trzyletnie przedsądowe więzienie, zostawiało rządowi trzy lata do namysłu, nimby się ośmielił przedłużyć wymierzoną sądownie karę. X. Adam mniemał, że gdzie chodzi

---

[1]) Dekret. zwołujący sąd sejmowy, został wydany przez cesarza 7/19 kwietnia 1827 r. Pierwsza sesya sądu odbyła się 15 czerwca 1827 r.

Wyrok sądu sejmowego nosi datę 10 czerwca 1828 r. Raport do cesarza 30 czerwca 1828 r.

o przestępstwo, za które prawo krajowe wymierza karę, nie należy jej tak ograniczać, ażeby wypadła stąd obelga dla cara i dla w. xięcia; obelgą zaś byłoby wypuszczenie na wolność człowieka, którego rząd uważał za wielkiego przestępcę.

W istocie, nie szło tu już o żaden wzgląd ważniejszy. Skoro obwinionych ocalono, należało się obejrzeć na rząd ich obwiniający, głęboko dotknięty i obrażony. Wobec kary śmierci lub ciężkich robót więzienie było stosunkowo lekką karą. Jeżeli więc można było, nie sprzeciwiając się prawu, przedłużeniem więzienia choć trochę zmniejszyć rozjątrzenie rządu, to przy dowolności, sędziom przysługującej, roztropność nakazywała nie odmawiać rządowi satysfakcyi i nie narażać samychże obwinionych na bezwzględną, rzec można, wszechwładną zemstę jego. Wielkiem i niespodziewanem dla sprawy narodowej było już zwycięstwem, że rząd petersburski dał się skłonić do uszanowania ustawy konstytucyjnej, zwołując sąd sejmowy i oddając mu do rozpatrzenia zarzut o zbrodnię stanu. Powinnością było sędziów, zwłaszcza że sądem był senat Królestwa, mieć to na uwadze i nie przeciągać struny, o ile obowiązek pozwalał na to. Tem właśnie senatorowie Królestwa mieli dowieść, że są ciałem politycznem, i że w politycznym procesie mają na baczeniu wzgląd na polityczny interes kraju. Inaczej się stało.

Dotychczasowa jednomyślność sędziów rozbiła się na zdań kilka. Najwięcej było głosów za ograniczeniem kary do lat trzech i krócej jeszcze. Inni chcieli zupełnego uniewinnienia. Wszyscy, prócz tych, co z x. Adamem trzymali, chcieli wyroku, który, czy to uniewinniał, czy winę przyznawał, w każdym razie pociągał za sobą niezwłoczne uwolnienie wszystkich obwinionych, a w tej liczbie i Krzyżanowskiego, skoro wszyscy już przed zapadnięciem wyroku od trzech lat byli w więzieniu. Zamiast stanąć w zwartym szeregu przy x. Adamie i od niego kierunek przyjąć do końca, większość

członków sądu nie usłuchała na ten raz jego rady. Wydano na pułkownika Krzyżanowskiego wyrok, skazujący go na trzy lata więzienia z wyraźnem zastrzeżeniem, że więzienie przedsądowe ma mu być policzone. Inni obwinieni, w liczbie siedmiu, za należenie do tajnego stowarzyszenia politycznego zostali albo na krótsze jeszcze więzienie skazani, co pociągało za sobą niezwłoczne ich uwolnienie, albo uznani za niewinnych.

Łatwo się domyślić, do jakiego stopnia w. xiążę uczuł się osobiście dotkniętym, tem bardziej, że i sama Rada Administracyjna, złożona z własnych ministrów cara, gdy jej przyszło rozbierać pytanie: «jak ma rząd Królestwa względem wyroku sądu sejmowego postąpić[1])?» uznała większością głosów, że wydany wyrok należy ogłosić i ściśle wykonać. Dyskusya wprawdzie o to między członkami Rady Administracyjnej była uparta i długo się przeciągała. Tak zacięcie upierali się oni przy sprzecznych zdaniach swoich, że rozprawy ich, choć tajne, przedostawały się na zewnątrz i wielkie w Warszawie budziły zajęcie. Wiedziano, że wnioski Nowosilcowa popierane są, jak zwykle, przez ministra wojny Haukego, ministra oświecenia «Stasia» Grabowskiego, wreszcie przez jenerała Rautenstraucha, członka Rady, nie ministra, wiedziano, że przeciwko nim staje, w pierwszym rzędzie, z uporem, talentem i śmiałością, minister skarbu Lubecki, a za Lubeckim poważnie i z niewzruszoną stałością głosują ministrowie spraw wewnętrznych i sprawiedliwości. Mostowski i Woźnicki. Gdy zaś tak członkowie Rady dzielili się na dwie ilością głosów równe sobie strony, a Nowosilcow, choć przemawiał i zdanie swoje przedkładał, głosować nie mógł, jako do składu Rady nie należący, przy każdem przeto głosowaniu rozstrzygał głos

[1]) Skład Rady Administracyjnej zmienił się po części od 1822 r. Prezesem Rady na miejsce namiestnika, Zajączka, zmarłego w 1826 r. został Walenty Sobolewski, ministrem sprawiedliwości zaś po śmierci Marcina Badeniego w 1824 r. Woźnicki.

prezesa Rady, Walentego Sobolewskiego wojewody, a rozstrzygał zgodnie ze zdaniem trzech członków stojących przy prawie i konstytucyi. Godnem jest uznania i wdzięczności narodu takie zacne obstawanie przy powinności, bez względu na wyraźne żądanie cara i króla, bez względu na groźną porywczość brata carowego, opatrzonego do tej właśnie sprawy nie konstytucyjną, ale nieograniczoną mocą, opartą na poufnym do Rady Administracyjnej rozkazie.

W. xiążę oburzony zawiesił ogłoszenie wyroku przez Radę Administracyjną; wszystkim czterdziestu członkom sądu sejmowego zabronił, i to na czas nieograniczony, oddalać się ze stolicy, pod pozorem oczekiwania na tak zwane potwierdzenie wyroku, właściwie decyzyę cesarza[1]), więźniów zaś, nawet uniewinnionych, rozkazał dalej w więzieniu trzymać. Pułkownik Krzyżanowski i kapitan pierwszego pułku ułanów Franciszek Majewski zostali natychmiast wywiezieni[2]).

W Warszawie zawrzało jak w wulkanie. Oburzenie było wielkie, większe nawet od smutku. A smutno było zaprawdę patrzeć na takie bezprawia, na lekceważenie ustaw krajowych, na gwałt zadany sprawiedliwości, na los współrodaków więzionych i wywożonych, na stroskane rodziny, na trwogę powszechną.

---

[1]) Reskrypt cesarski potwierdzający wyrok przyszedł dopiero w marcu 1829 r. po śmierci prezesa sądu Bielińskiego.

[2]) Zdaje się rzeczą niepodobną, żeby człowiek przetrzymał męki, przez jakie przeszedł Krzyżanowski. Kiedy zdawało się, że już mu tylko kilka miesięcy pozostaje do przebycia w więzieniu, w. x. Konstanty odesłał go do Petersburga, gdzie go osadzono w więzieniu fortecznem, w tym właśnie czasie kiedy wybuchło powstanie listopadowe. Stamtąd przeniesiono go do Berezowa w pobliżu morza Lodowatego, — pobyt okrutny. Silne jego zdrowie nie wytrzymało klimatu, po roku popadł w zupełne kalectwo, wówczas pozwolono mu przenieść się do Tobolska. Ale że podejrzliwość rządu nie pozwalała Polakom przebywać gromadnie w Tobolsku, przetransportowano Krzyżanowskiego do Ischim, o 300 wiorst dalej... (W. Z.)

Niektórzy sędziowie z żalem wtedy spostrzegli, że część odpowiedzialności za te gwałty na nichże samych spada, dla tego że się nie obliczyli z trudnościami położenia, że sami po części, brakiem właściwej miary, wywołali tę klęskę, że mając w gronie swojem doświadczonego przewódcę, nie poszli za jego radą, nie otoczyli go swojem poparciem, słowem, nie złożyli upragnionego dowodu, że w danych okolicznościach stoją na wysokości narodowej potrzeby.

X. Czartoryski był dla Polaków tem, czem był Jan Braganza dla Portugalii, czem Wilhelm Milczący dla Holandyi. Na nieszczęście zabrakło Polakom rozumu, który ocalił Portugalczyków i Holendrów w walce z Hiszpanią.»

IX

SŁUŻBA ADJUTANCKA

(BELWEDER)

« W. xiążę Konstanty co rok około Wielkanocy jeździł do Petersburga na krótkie do brata odwiedziny. Przy tej okazyi cesarz zwykle się domagał od w. xięcia przedstawienia mu na adjutantów oficerów z wojska polskiego. W. xiążę zbywał to żądanie; w jego oczach, podkomendny jego przeniesiony do Petersburga, był jakby stracony. Najbardziej też nie lubił widzieć adjutantem przy cesarzu oficera o rozleglejszych w kraju stosunkach. Naglony przez cara Mikołaja przedstawił mu podpułkownika Hauke, wprawdzie brata ministra wojny, ale nie mającego zresztą żadnych stosunków w towarzystwie warszawskiem.

Tej zimy z 1827 na 1828 r. rozeszła się pogłoska, że cesarz znowu się przymówił o adjutantów z wojska polskiego i podobno o mnie nadmienił, bo mnie osobiście znał jeszcze z Berlina. Zdaje się, iż to właśnie stało się powodem, że w. xiążę zaraz po powrocie z Petersburga do Warszawy swoim adjutantem mnie mianował.

Wiadomość o tem była dla mnie najmniej spodziewaną i najmniej pożądaną. Obrawszy sobie wojskowy zawód z mocnem postanowieniem wytrwania w nim jak najdłużej, o awans na stopień wyższy nie troszczyłem się

wcale. W trzydziestotysięcznem wojsku naszem, póki było nieczynnem, małe było podobieństwo awansu; na stopień kapitana lat piętnaście lub dwadzieścia czekać trzeba było; być zaś kapitanem czy podporucznikiem, żadnej w tem dla siebie nie widziałem różnicy. Nie wyższego stopnia, ale wyższego wykształcenia wojskowego byłem chciwy. Jednego pragnąłem: nabyć i z czasem okazać zdolność do stopnia wyższego, którego pragnąłem o tyle tylko, o ileby mnie powołano do niego w potrzebie, dla przypuszczanej we mnie zdolności. Nieraz też zastanawiałem się jakby wyprowadzić dla siebie z wojskowego zawodu sposobność do wykształcenia się a zarazem rozszerzenia pola zajęć i obowiązków moich.

Pod w. xięciem niełatwa była do tego sposobność. Stąd rojenie moje, że zostanę adjutantem cesarza, prędzej czy później, a pilno mi wcale nie było. Wiedziałem, że przy boku cesarza wolny będę miał wybór zatrudnienia, czy wojskowego, czy nawet cywilnego, czy w kraju, czy za granicą. Cesarz znał mnie osobiście i przez oficerów sztabu głównego i inżynierów pruskich, którzy byli moimi nauczycielami, a jednocześnie z nim, przed jego wstąpieniem na tron, mieli służbowe stosunki. Zwłaszcza kapitan inżynierów Blesson mówił mu o mnie z pochwałą. Marzyłem więc o dostaniu się do sztabu cesarskiego i możności czy to poznania Moskwy w służbowych podróżach, czy też w późniejszym czasie, gdyby długo wojny nie było, wzięcia udziału w pracach dyplomatycznych Moskwy, bliższego zapoznania się z polityką państw europejskich, przebywania w różnych z kolei stolicach. Zdawało mi się, że z pewnością dany mi będzie wybór zajęć i sposób przechodzenia z jednych do drugich.

W miejsce tego rozległego pola widziałem się skazanym na zamknięcie w mikroskopijnych granicach Belwederu i Saskiego placu. Co więcej, otoczenie w. xięcia nie używało wziętości w kraju. Byli w niem

i ludzie wyższej niezaprzeczenie wartości, ale taka była powszechna odraza do w. xięcia, taka bojaźń jego porywczej, nawpół dzikiej natury, takie obrzydzenie do szpiegostwa, którem się otaczał i posługiwał, że każdy niemal, co się o w. xięcia ocierał, stawał się podejrzanym. Było nawet mniemanie, że w. xiążę do przybocznego otoczenia swego dobiera sobie ludzi, którzy do jego potrzeb przydać się i zastosować mogą. Powołanie mnie do ich liczby wydało mi się zrazu ubliżeniem. Pierwszą moją myślą było zapytać samego siebie, czem zasłużyłem sobie na tak niepochlebny wybór. Wymówić się przecież było rzeczą niepodobną, chybaby wojsko opuścić. Poddałem się więc konieczności, ale ze smutkiem i uczuciem prawie upokorzenia.

Osobliwszą dla mnie koleją losu od czasu, kiedy w ośmnastym roku życia z Genewy ojciec rozkazał mi jechać na dalsze nauki nie do Anglii, gdzie już byli moi bracia i dokąd jechać pragnąłem, ale do Berlina, każdy następny krok w życiu, jakkolwiek życzeniom moim odpowiadał, stawał się dla mnie zmartwieniem, a przynajmniej zmuszał do surowego zastanowienia się nad życiem. Tak na przykład, niewesołe myśli obudziło we mnie, przy awansie na oficera, przeniesienie mnie z gwardyi do linii, ze stolicy na liche garnizony. O wiele dotkliwszym jeszcze stał się powrót, skądinąd pożądany, do stolicy, skazujący mnie na najbliższy służbowy stosunek z w. xięciem.

Rzecz dziwna, sam w. xiążę w pewnej mierze zdawał sobie sprawę z tego, że służba przy nim mogła uchodzić za ubliżającą. Oznajmiając ojcu moją nominacyę, powiedział: ‹ Przepraszam pana, żem mu syna zabrał, ale myślałem, że w tych rewolucyjnych czasach trzeba mieć jednak w swojem otoczeniu kilku uczciwych ludzi. › »

We współczesnej notatce Zamoyski zestawia ujemne i dodatnie strony nowego położenia:

«Dowiedziałem się wczoraj,» pisze 6 marca 1828 r., «o mojej nominacyi na adjutanta w. xięcia. Nie spodziewałem się tego bynajmniej... Czemu serce tak mi się ścisnęło na tę wiadomość? Czemu mi tak smutno? Czyż sam nie pragnąłem zmiany? Przecież tutaj miałem czasu dosyć, aby się uczyć, byłem do pewnego stopnia niezależnym, choć w ciasnym obrębie: przykrości nie doznawałem żadnych, służbę miałem łatwą, życie spokojne, czegoż mi brakło?

Przykro mi było żyć poza wszelkim ruchem umysłowym, przepędzać młodość w warunkach odpowiednich raczej dla starego, potrzebującego wypoczynku, niż dla młodego, który się chce kształcić!... Pragnąłem dostać się na stanowisko, na którem mógłbym pracować, zdolności rozwijać, być czynnym, iść naprzód, słowem żyć... Ale zostać adjutantem w. xięcia, to żadnemu mojemu życzeniu nie odpowiada! Dla tego zapewne tak mi ciężko. Mnie chodziło o wojnę. Adjutantem chciałem być tylko w braku wojny, i to adjutantem nie w. xięcia, ale cesarza, bo jedynie to stanowisko w naszem wojsku otworzyłoby mi szersze pole do działania, dałoby ogólniejsze i nie tak drobiazgowe zajęcia i poglądy. A skoro to i tamto niemożebne, to wolałbym już zostać w pułku, byle z urlopami do podróżowania za granicą.

Stało się tedy wbrew moim życzeniom. Ale się stało. Jakież są złe, a jakie dobre tego strony?

Do złych zaliczam:

1. Pobyt u dworu. Równie się go obawiam, jak go nienawidzę. Będę usilnie się bronił od jego wpływu, ale bodajbym nie uległ mu z czasem. Atmosfera dworska zatruwa duszę. To samo niebezpieczeństwo groziłoby mi, oczywiście, przy cesarzu; wszak dwór cesarski jest o wiele większy, niż w. xięcia. Ale to, czego się obawiam, nie zależy od wielkości dworu. Na najmniejszych dworach ten sam duch panuje; tem samem powietrzem na nich się oddycha. Byle jaki oficer niższego stopnia, dostając

się do sztabu swojej dywizyi w czasie pokoju, narażony jest na dworowanie zupełnie tak samo, jak na królewskim dworze.

2. Przymusowe stosunki z dworakami. Z początku wydają się uciążliwe, przykre; z czasem przywyka się do nich. Jakże łatwo wówczas dać się pociągnąć przykładem. Nie mam tu na myśli gry, bo zdaje mi się, że pod tym względem niema dla mnie niebezpieczeństwa.

3. Ciągły pobyt w Warszawie: sposobność do próżnego wałęsania się, straty czasu; tysiączne pokusy.

4. Straszna zależność, niepodobieństwo oddalania się na dłużej, niż dwanaście godzin, niezmiernie przykra rzecz dla mnie.

5. Bezpośrednie stykanie się ze smutną rzeczywistością. W bolesnym stanie naszego kraju, kiedy ratunku na razie przynieść niepodobna, lepiej się trzymać na uboczu. Nieustanny widok tego, co się dzieje, rodzi gorycz i zniechęcenie, albo doprowadza do zobojętnienia. Ta bezdenna podłość, ta otchłań nikczemności, sprawiają taki niesmak do ludzi, że, aby nie upaść na duchu i nie zwątpić, lepiej z daleka patrzeć się na to, czemu nie można zaradzić.

6. Niemiły pozór niewdzięczności. W. xiążę uważa tę nominacyę za łaskę, a ja mu wdzięcznym za nią być nie mogę. Uważam ją za rozkaz stawienia się na dany posterunek i idę nie z wdzięcznością, ale jedynie przez posłuszeństwo żołnierskie.

7. Brak najważniejszej dla mnie i głównej korzyści, dla której pragnąłem zmiany dotychczasowego mego położenia. Nowe stanowisko tak samo nie daje mi żadnego kształcącego zajęcia, nie daje pola do czynnej, obowiązkowej pracy. Nic mi tam nie przeszkodzi być próżniakiem, jakbym mógł nim być i tutaj.

8. Wreszcie, małaż to rzecz być narażonym na osobisty stosunek z w. xięciem? na wybuchy jego gwałtowności, do znoszenia których nie jestem zaprawiony?..

A nuż mnie spotka jaka obelga z jego strony? Co wtedy począć? Rzucić służbę? Ależ ja chcę służyć! Dotąd zadawalniałem go z daleka; nabrał nawet przesadzonego pojęcia o mojej służbistości. Jak mi się z blizka przypatrzy, dozna zawodu. A także nierad pewno będzie, jak spostrzeże jaki objaw niezależności mego charakteru, przywiązania do ojczyzny, a może i obojętności dla jego osoby.

Korzyści natomiast są:

1. Wyzwolenie się z życia garnizonowego, przeniesienie się do Warszawy. Więcej stąd wprawdzie rozrywek, niż pożytku, ale trzeba się będzie o pożytek starać i czasu nie marnować!

2. Stosunki z ludźmi; korzyść to niewątpliwa. Sposobność do poznania ludzi, jakimi są, nie zaś wytwarzanie sobie na samotności urojonych pojęć o nich.

3. Zmiana stosunków służbowych i koleżeńskich. Dotychczas byłem ciągle wobec przełożonych, którzy rozmaite względy mieli dla mnie, nim nawet zasłużyłem na nie. Co do kolegów, chociaż zrobiłem, co tylko możebne było, żeby dojść z nimi do przyjaznych stosunków i w istocie do nich doszedłem, zostaliśmy jakby obcymi dla siebie pod wielu względami, prawdopodobnie wskutek różnicy nauk, jakieśmy odbywali, i odmiennych stosunków towarzyskich. Ci, wśród których teraz się będę znajdował, tak koledzy jak przełożeni, mniej będą mieli względów; więcej będzie starcia myśli, więcej trudności z nimi, ale dla mnie może to lepiej.

Ostatecznie, ja przedewszystkiem wojny pragnę. Gdybym mógł na wojnę się dostać, wszystko byłoby dobrze; bez niej wszystko mi obojętne. Nie śmiem jednak liczyć na nią; trzeba więc, bym z góry wytknął sobie zasady w nowych warunkach życia. Zważyć dodatnie i ujemne strony, ocenić trudności i niebezpieczeństwa danego położenia, nie jestże to tem samem postanowić sobie, że się korzyści wyzyska, a od szkody bronić będzie?

Postanawiam tedy: wyrobić w sobie odporność przeciw dworskim wpływom; nie dać się zachwiać w cnocie i szlachetności; zawsze być szczerym: w ostatecznym razie ratować się milczeniem, ale nie fałszem; wobec w. xięcia zachowywać się sztywnie, przestrzegając ściśle względów należnych jego stanowisku; unikać pozoru sentymentów dla jego osoby; postawić się tak, by nie myślał, że mnie pieszczotami przekupi, albo ich brakiem nastraszy. Co do jego konfidencyonalnych misyi, ufam, że sam zrozumie, iż się do nich nie nadaję.

Wreszcie postanawiam sobie starać się o dokładniejszą znajomość tak ogólnego stanu wojska naszego, całej jego organizacyi, jako też zasobów wojennych, materyału wojennego, broni poszczególnych; zdać sobie sprawę ze zdolności dowódców, ze stopnia szacunku i zaufania, jakie w podwładnych swoich i kolegach wzbudzają, poznać ducha wojska. Takim będzie główny cel usiłowań moich.»

Podczas gdy Władysław Zamoyski walczył ze wstrętem, jaki przyszłe stanowisko w nim wzbudzało, stanowisko to w innem świetle przedstawiało się tym, których losy jego bliżej obchodziły. Pani Zamoyska pisze do syna:

«... Już pewnie wiesz o swojej nominacyi. W. xiążę najuprzejmiej nam oznajmił, że Cię swoim adjutantem mianował. Wszyscy nam winszują, cieszą się, że Cię tu widzieć będą. Wiesz, dziecko moje drogie, czem jesteś dla mnie, ile przyszłość Twoja serce i myśli mi zajmuje, więc możesz odgadnąć, czego doznaję, co czuję i myślę. Oczekuję Cię z niecierpliwością, sercem, które Cię kocha, które Ci błogosławi, które na Tobie spoczywa, które Ciebie potrzebuje. Więc do widzenia, moje drogie dziecko, mój przyjacielu kochany! Niech Bóg dobry raczy wszystko zrządzać na dobro Twoje.»

Xiężna jenerałowa Czartoryska, smucąc się, że nowe obowiązki oddalą wnuka od Puław, pisze do niego:

«Władysiu mój kochany, nie mam już nadziei widzieć, jak się drzwi mego pokoju otwierają i jak Ty wchodzisz, kiedy najmniej się Ciebie spodziewam, ani Cię będę mogła uściskać, ni dni kilka z Tobą przepędzić. Ty nie wiesz, jak ja jestem do Ciebie przywiązana, jak ja znam i oceniam Twoje wielkie przymioty. Często o tem z moją córką rozmawiamy. Poczciwe hułany, lubię ich, że się poznali na moim Władysiu. Ściskam Cię, jak Cię kocham. A wiesz? póki piszę, że Cię kocham, łzy mi się do ócz cisną.»

Jenerał Morawski pisze:

«...Może ja pierwszy Ci donoszę, że jesteś przeniesiony do gwardyi i mianowany adjutantem w. xięcia. Ma to swoją dobrą stronę, ale ma i złą, tak jak każda rzecz ludzka. Jedni mówią o pokoju, drudzy o wojnie, ja jestem za wojną, bobym się chciał przyczynić do oswobodzenia Greków, bobym ujrzał pola Maratonu, bobym lepiej poznał mowę i obyczaje Turków, bobym może tym sposobem doszedł do zrozumienia sonetów Mickiewicza, bo tu w Polsce niema nadziei zrozumienia ich. Jestem obecnie na kilka dni w Lublinie u Titzowej, czekam Cię z sercem przyjaciela.»

Panna d'Arnaud pisała podobnież:

«...Dowiedziałam się o Twojej nominacyi od brata Twego, Jana. Jestem z tej wiadomości zadowolona. Nie obawiam się dla Ciebie ujemnych stron tego stanowiska. Mam przekonanie, że potrafisz je wyzyskać dla dobra ogółu. Nie wątpię, że będziesz wiernym i uległym w wypełnianiu obowiązków do tego stanowiska przywiązanych, ale zachowasz zarazem niezależność ducha, bez której przestaje się być człowiekiem. Gdyby w istocie przyszło do wojny i gdybyś tam miał pomaszerować, każ mi dać znać. Chociaż uczciwy człowiek nie może na wojnie nie narażać swego życia, pamiętaj jednak, że odwaga nie wyklucza roztropności, i tej się po Tobie spodziewam. Oddalać się od armii, rozbijać się samemu po drogach

i dać się niepotrzebnie zamordować, w tem nicby nie było chlubnego; to też nie goń za niebezpieczeństwem, fałszywej chwały nie szukaj, miej o sobie i o swojem zdrowiu staranie. Mówię Ci to jako siostra żołnierza. Myślę, że czytasz dzieła wojskowe i o ludziach, co się na wojnie odznaczyli. Notuj starannie wszystko, co Cię uderza. Przyda Ci się to do ukształcenia umysłu i charakteru.

Twój brat Jan mówił mi o Tobie z wielkiem przywiązaniem, kocha Cię niezmiernie, mówi, żeś dobry i łatwy w pożyciu. Wiesz, jak mam serce przepełnione przyjaźnią dla Ciebie i jak zawsze się cieszę wszystkiem dobrem, jakie w życiu czynisz.»

«Usposobienie, w jakiem się znajdowałem co do mojej nominacyi, pozwalało mi z zupełną szczerością wyrażać żal, że się z pułkiem rozstaję. Pożegnanie było prawdziwie serdeczne. Gdy mnie przed czterema laty do pułku przenoszono, szedłem ze wstrętem. A teraz nie pilno mi było na nowe stanowisko. Opóźniałem się więcej prawie, niż przyzwoitość pozwalała. Czy mnie koledzy żałowali, nie wiem, ale samo odznaczenie, które mnie spotkało, było dla wszystkich okazyą do najczulszych oświadczeń. Uczt pożegnalnych było bez końca. Węgrzyna wyszło dużo, ale mnie już nie naglono do picia. Każdy się przede mną chwalił, że mi wstręt do pijatyki wybacza i wszyscy raczyli przyznawać, że widzą, iż mam przedewszystkiem na myśli kształcenie się do służby kraju. Takie oświadczenia były mi czynione z podwójnym naciskiem w chwili, kiedy miałem zająć stanowisko stosunkowo wyższe. Wszyscy oświadczali mi swą radość i każdy, począwszy od pułkownika i podpułkownika, wyraźnie dawali mi do zrozumienia, że na tem wyższem stanowisku mam o nich pamiętać, licząc na ich niezmienną wierność polskim uczuciom. Było w tem coś wyłącznie naszemu politycznemu położeniu właściwego.

Przez kilka lat służby mojej nie zdarzyło mi się ani razu słyszeć o żadnym spisku wśród wojska naszego i sądzę, że istotnie nie było w owym czasie żadnego. A przecież, przy postępowaniu rządu, jakie było od lat wielu, przy dojrzewających w całej Europie żywiołach rewolucyjnych, Polska i wojsko polskie były w takim nastroju, jakiego nie zdołałoby wywołać żadne tajemne stowarzyszenie, i ktoby mógł wiedzieć, co się w sercach działo, poznałby od razu, że wystarczy przypadkowej iskry, żeby się z niej pożar na cały kraj rozszerzył. Stary, na przykład, pułkownik Tomicki, nie polityką, ale pułkiem swoim zdawałoby się wyłącznie zajęty, który, nie wiem czy kiedy gazetę czytał, a o żadnym spisku, przypuszczam, nie myślał, on, mój dowódca, przy rozstaniu ze mną, swym podkomendnym, prostym podporucznikiem, zwierzał się z gorących polskich uczuć, i to w czasach, kiedy zaledwie brat do brata śmiał otwarcie mówić o sprawach krajowych, kiedy «mury miały uszy», a szpiegostwo otaczało dokoła. Nie widział w mojem nowem przeznaczeniu przeszkody do takich zwierzeń. «Pamiętaj», mówił, «tam przy wielkim ołtarzu... gdy co zajdzie... rachuj zawsze na mnie, zawsze mnie znajdziesz między dobrymi, gotowego do wszelkich poświęceń.»

Podobnie odzywali się po cichu każdy niemal z oficerów przy pożegnaniu. Działo się to jeszcze na trzy lata przed wybuchem listopadowym, kiedy nic jeszcze nie zapowiadało ani powstania, ani rewolucyjnego wstrząśnienia Europy, kiedy Polska w zwykłym swoim stanie, wyglądając sprawiedliwości bożej i na nią licząc, nie spiskowała, ale do wszystkiego bez namysłu była gotowa, tem samem, niestety, jakby skazana na to, by służyć za narzędzie to niedowarzonym półgłówkom, to piekielnym rachubom wroga, usiłującego albo resztę życia w nas zagasić, albo wywołać rozpaczliwe porwanie się do broni w porę dla nas najmniej sposobną. Straszna, a jakby nieunikniona konieczność; nieunikniona, zaprawdę, tak

długo, jak długo w nas samych za bożem natchnieniem nie dojrzeje, przy gotowości do ofiar, mądrość polityczna.

Gdym nareszcie (16 marca) przybył do Warszawy, kazałem spiesznie zrobić mundur adjutancki, ażeby się w nim przedstawić w. xięciu. Ale nielada mundur mu się podobał; nie był też z mojego zadowolony, oznajmił, że mi swego krawca przyśle. Nim jednak mnie obejrzał, przywitał mnie słowami: «Nie bardzoś się z przybyciem pospieszył,» co było prawdą istotną, bo nie tylko żem się nie spieszył, alem się w Puławach zatrzymał, wiedząc, że z Warszawy już rzadko tylko będę mógł wyjeżdżać. Złożyłem opóźnienie na uprzejmość kolegów, na uczty i libacye. Pochwycił to w. xiążę i w żart obrócił, wnosząc, żem nieskory do szklanki i że zapewne kolegom ciężki z niej podatek musiałem opłacić.

Wogóle w. xiążę nietyle był drażliwym, jakby się to zdawać mogło. Przyjmując kogo, przychodził usposobiony już zawczasu do gniewu albo do łaskawości. Wprawdzie byle jaki drobiazg: guzik, rzemyk, stawały mu się okazyą do wybuchu, ale dowodziło to tylko, że do gniewu względem danej osoby był przedtem już nastrojony. Mnie, widocznie, chciał najłaskawiej przywitać. »

Zamoyski służbę adjutancką rozpoczął 25 marca. Tego dnia zapisuje: «Pierwszy dzień służby... Zarozumiałość obojga nie do pojęcia, i jego i jej — dowód gł..... Wrażenie!!...» a poniżej, widocznie później, dodaje: «potwierdzone w następnych dniach służby.»

« Pierwszym moim obowiązkiem było każdego z nowych kolegów adjutantów odwiedzić. Z polskich adjutantów, pułkownik Turno, przeszło czterdziestoletni, przyjął mnie ze szczególną dobrocią. Na wstępie zaraz usiłował dać mi niejako klucz do położenia mego; uczył mnie, jak się mam względem w. xięcia zachowywać;

ostrzegał, abym się nie dał wykierować na faworyta, czego w. xiążę miał zwyczaj próbować, gdy zaś mu się to z kim udało, pozwalał sobie na poufałość, jakiej człowiek dbały o swoją godność znieść nie może. «Radzę ci,» mówił Turno, «być w służbie pilnym i dokładnym, ale względem osoby w. xięcia zachowywać się z chłodnem uszanowaniem.» A przecież sam Turno był rodzajem faworyta. W. xiążę lubił jego dowcip oryginalny i do pewnego stopnia niepodległy; w podróżach brał go za towarzysza do kolaski. Niemniej prawość charakteru Turny została w opinii wszystkich nieskalaną[1].

Od początku organizacyi wojska w. xiążę miał dwóch adjutantów polskich w stopniu pułkowników, z jazdy Karola Turnę, z piechoty Stanisława Trembickiego. Jeden i drugi przeważny wpływ mieć mogli na sądy w. xięcia o zdolnościach i wartości wszystkich wojskowych, a zwłaszcza dowódców pułków, gdyż obaj z poruczenia naczelnego wodza jeździli po pułkach na inspekcye. Otóż, po latach kilku w piechocie żaden dowódca pułku się nie utrzymał; szczęśliwy, kogo spotkał po starszeństwie awans na jenerała brygady. Inni poszli na odstawkę, albo woleli wystąpić z wojska, niż dłużej znosić nieprzyjemności. Przeciwnie, w kawaleryi żaden z pułkowników przed uciskiem służbowym nie był zmuszony ustąpić. Po trzynastu latach naczelnego dowództwa w. xięcia dowódcami pułków jazdy byli prawie wszyscy ci, co już za X. Warszawskiego pułkami dowodzili. To też w jeździe, dla braku awansów, Turno stał nizko na liście pułkowników jazdy, natomiast, w piechocie, Trembicki wy-

---

[1]) Jenerał Weyssenhoff, opisując w jaskrawych barwach nikczemność charakterów otoczenia w. xięcia, mówi, że w. xiążę wielką robił różnicę w zachowaniu się z tymi, których uważał za potrzebnych, a tymi, których szlachetne zasady i honorowe postępowanie widział, i dodaje: «Byli i porządni ludzie do jego sztabu przywiązani: Turno, Zamoyski, Mycielski.»

szedł po starszeństwie na jenerała. Przestał wówczas być adjutantem, ale został przydzielony do sztabu w. xięcia.

Drugim adjutantem polskim za moich czasów był kapitan Kazimierz Trembicki, brat jenerała, nielubiany, a wskutek tego zapewne niesprawiedliwie aż o szpiegostwo posądzony. Nie znałem nikogo ani w wojsku, ani między cywilnymi, ktoby miał z nim stosunek poufny; sam też nigdy nie byłem u niego; spotykaliśmy się tylko w służbie. Tyle mu jednak przyznać winienem, żem nigdy nie dostrzegł, by mi chciał szkodzić.

Trzecim polskim adjutantem był kapitan Mycielski, ale niestety, właśnie wtenczas wziął dymisyę. Była to dla mnie strata wielka. Znałem go już w Berlinie. Gdym wszedł do strzelców konnych gwardyi, Mycielski był drugim kapitanem w pierwszym szwadronie, do którego byłem przydzielony jako podchorąży. Z dowódcą szwadronu kapitanem Krzyżanowskim był w ścisłej przyjaźni. Służbę rozpoczął za X. Warszawskiego, mając lat siedmnaście, a rozpoczął w sztabie Dąbrowskiego od srogiej kampanii 1812 roku. Pociągany za rządów w. xięcia do śledztwa o stowarzyszenia tajemne, znalazł się przytomnie i dowcipnie; że zaś w. xiążę dowcip lubił, a bardziej jeszcze go się lękał, i dla tego ludziom dowcipnym pobłażał, Mycielskiego tak upodobał sobie, że go do swej osoby przywiązał. Mocno nadwerężone zdrowie zmusiło jednak Mycielskiego do opuszczenia służby w stopniu podpułkownika. Istotnie więc trzecim polskim adjutantem byłem ja, bo więcej ich nie było.

Do moskiewskiego sztabu w. xięcia należał najpierw jenerał dywizyi Kuruta, rodem Grek, najlichsza z pozoru istota. Cesarzowa Katarzyna przydała go do boku w. xięcia, kiedy był jeszcze dzieckiem. Przeznaczając wnuka swego Konstantego na cesarza greckiego w Konstantynopolu, chciała używać Kuruty do podżegania Greków przeciwko rządom tureckim. Jest to zwyczajem w carskiej rodzinie przydzielać do wielkich xiążąt od

lat najmłodszych takich adjutantów, którzy już ich nigdy nie odstępują, odgrywając przy nich rolę owych nianiek, które w starożytnej Grecyi utrzymywano z wyjątkowem dla nich poważaniem. Kuruta nazywał się pierwszym adjutantem w. xięcia, a zarazem szefem sztabu jego. Jako jenerał dywizyi był po w. xięciu najstarszym z oficerów rosyjskich, w niebytności przeto w. xięcia był jego *alter ego* dla moskiewskiej załogi w Królestwie. Adjutanci polscy od niego nie zależeli. Był to zresztą człowiek cichy, nie narzucający się.

Drugi w sztabie rosyjskim odznaczał się jenerał Gendre. Jakiego był pochodzenia, nie wiem; po francusku mówił z akcentem moskiewskim. Był to gracz, obyczajów rozpustnych, niegdyś z wojska rosyjskiego sądem za kradzież wypędzony, ale przez w. xięcia zrehabilitowany i postawiony na czele stajni jego, pogardzany od wszystkich, szczególnie od Moskali, ale wszystkim się przymilający.

Jako trzeciego z kolei wymieniam jenerała Nesselrode. Był to w całem znaczeniu słowa, złem i dobrem, hrabia niemiecki, pyszny z rodu swego, pochodzącego z nad Renu, popędów szlachetnych, wielce oczytany, w polityce konserwatysta. Był on jednym z tych Niemców, co uciekając przed Napoleonem, jako despotą i najeźdcą, szukali w Petersburgu swobody i pod Alexandrem o liberaliźmie marzyli. W szeregach moskiewskich wojował przeciwko Francyi, z niemi wszedł do Paryża; Francyę liberalną rozumiał niby, ale sądził ją jak francuski rojalista. Wszedłszy do służby moskiewskiej, zapomniał, zdawało się, o własnej ojczyźnie, rodzinę carską niby kochał, choć jako człowiek cywilizowany wyrażał się o niej jak o Tatarach.

Zostając jenerałem, przestał być adjutantem w. xięcia, ale, podobnie jak jenerał Trembicki, pozostał przy jego sztabie. W. xiążę go lubił, bo mimo że w zasadzie nie cierpiał jakoby wielkich panów, pochlebiało mu to zapewne, że tak wielką figurę ma przy swym boku.

Rozprawiał z nim o polityce, to jest o wiadomościach z gazet, kazał mu czytać sobie głośno francuskie dzienniki, które w Warszawie on jeden tylko, w. xiążę, odbierał regularnie i w całości, podczas gdy innym abonentom cenzura części tylko onych wydzielała. Dla mnie jen. Nesselrode był bardzo uprzejmy i dawał mi, tak jak Turno, równie pożyteczne ostrzeżenia o tem, jak się przy w. xięciu zachowywać i czego unikać.

Wogóle adjutantów rosyjskich było sześciu. Podpułkownik Kiehl, Kurlandczyk, dobrze wychowany, w polskiem towarzystwie wyjątkowe znajdował przyjęcie, a wyjątek ten dla munduru rosyjskiego był bardzo rzadki. Był on więcej artystą, niż wojskowym. Rysował, nawet malował zręcznie i z pewnym dowcipem. Wszystkie postawy i miny w. xięcia w kilku rysach kreślił. Portrety te uderzające były podobieństwem, a często i śmieszne. Sam w. xiążę śmiać się z nich lubił, chociaż Kiehl nie bez strachu tych żartów sobie pozwalał. Kiehl nic w swej powierzchowności nie miał wojskowego. Cery delikatnej, w okularach, otyły, zawsze w liche konie opatrzony, byłby malarzem nie bez zalety, gdyby go w. xiążę nie był skazywał na wieczne rysowanie i malowanie mundurów i żołnierzy w sztywnej postawie, którą uważał za główne znamię żołnierskiego ducha.

Z adjutantów moskiewskich odznaczał się urodą i pewnym choć bardzo moskiewskim wdziękiem Bezobrazow, naówczas kapitan gwardyi, od dziecka pod okiem w. xięcia w Warszawie chowany. Dobry kolega, doskonały jeździec, co między Moskalami rzadkie; zalotny, podobać się, uwieść, głośno skompromitować kobietę, to było całem jego życiem i głównem zajęciem; przytem gwałtownie namiętny, porywczy, posuwał się aż do bicia, gdy się nadarzyła sposobność. Bywały też z jego powodu rozmaite dramatyczne zajścia. A że był wychowankiem w. xięcia, tenże czuł się za niego odpowiedzialnym i obowiązanym do interwencyi w jego prywatnych sprawach.

Nieraz karał go aresztem, nie u niego w mieszkaniu, ale we własnym pałacu, albo też w placu miejskim, gdzie raz na rekolekcyi dwa miesiące przesiedział za podniesienie ręki na panią Butiagin, Moskiewkę, ładną, delikatną, a uroczym śpiewem, jak słowik, zachwycającą.

Z czasem, po śmierci w. x. Konstantego, Bezobrazow został adjutantem cesarza Mikołaja. Mikołaj, który, jak wiadomo, rozpustne prowadził życie na dworze swoim, uwiódłszy jedną z panien honorowych cesarzowej, wydał ją za niego. Bezobrazow, poznawszy, acz późno, krzywdę sobie wyrządzoną przez cara, nie tylko że wypędził żonę z domu, ale ją poprzednio bezlitośnie obił. Aresztowany i stawiony przed ministra wojny Czerniszewa, nie dał się do zgody z żoną nakłonić. Daremnie go upamiętywał Czerniszew, daremnie wielkie łaski carskie za powolność obiecywał. Gdy wreszcie, nie wiedząc, co z nim począć, powiedział: «Ależ, mój kochany, kobiety się nie bije», odrzekł mu Bezobrazow: «Przepraszam cię, jenerale, a na dowód, że je bić można, od twojej zacząłem.» W rzeczy samej prawdę mówił; miał z nią, wówczas już nieżyjącą, przed laty, nim jeszcze została żoną Czerniszewa, słynny romans w Warszawie.

Nie mogąc już odtąd być użytym jako adjutant przy carskim dworze, Bezobrazow wysłany został na Kaukaz. Tam przymioty jego zaszczytnie się uwydatniły. Okazał się dzielnym w boju, a zostawszy jenerałem dywizyi, był opiekunem wszystkich do niej przyłączonych za polityczne winy Polaków, których uczucia wskroś mu były znane, bo od dzieciństwa żył w Polsce i między Polakami, a przy niezatartej dzikości plemienia swego, miał popędy szlachetne, był odważny, czego w oczach moich świetne dał dowody w nocy 29 listopada.

Był jeszcze między adjutantami Kutuzow, «nastajaszczy» Moskal, wnuk feldmarszałka, młody, zimny, Polaków i Polski nie rozumiejący. O innych nic nie mam do nadmienienia. Stosunek mój z nimi był zgodny,

łatwy, ale zupełnie obojętny, jak to było zresztą w ogólności między oficerami wojska polskiego i moskiewskiej załogi, tak iż nawet Polacy z Litwy i Rusi, do tej załogi należący, wykluczeni byli ze stosunków z towarzystwem polskiem, zarówno wojskowem jak cywilnem, prócz bardzo rzadkich wyjątków.

Ale najważniejszą osobą z otoczenia w. xięcia była żona jego, niegdyś panna Joanna Grudzińska, zaślubiona mu z tytułem xiężny Łowickiej[1]). W panieńskich swoich czasach doznawszy w salonach warszawskich, w których jej matka bywać nie mogła, uprzejmości, a nawet opieki od mojej matki, x. Łowicka stale jej za to wdzięczność swą okazywała. Temu zapewne winienem, że przyjęła mnie z macierzyńską dobrocią.

Adjutanci pełnili przy w. xięciu z kolei służbę przez godzin dwadzieścia cztery. Luzowali się rano na pokojach, lub przy paradzie na placu Saskim. Po paradzie w. xiążę wracał do Belwederu kolaską otwartą o czterech koniach w porącz zaprzężonych, z brodatym kacapem na koźle. Czasem w. xiążę brał służbowego adjutanta z sobą do kolaski. Zaszczyt ten najczęściej spotykał którego z jenerałów jego sztabu. Za moich czasów miał najczęściej pierwszeństwo jen. Gendre. Upodobanie w. xięcia do niego zadziwiało wszystkich, bo Gendre był i podły

---

[1]) W. xiążę Konstanty ożenił się z nią (1820) jeszcze za życia swej pierwszej żony, xiężniczki sasko-koburskiej. Prawa kościelne rosyjskie nie dopuszczają, i to pod żadnym warunkiem, rozwodów. Car Alexander był tedy przeciwny zamiarom małżeńskim w. xięcia Konstantego, ale nie czując się na sile oparcia się bratu, a chcąc uniknąć zgorszenia, jakieby sprawił, upoważniając związek prawom kościelnym przeciwny, oddał sprawę pod sąd synodu; ten zaś rozumiejąc, że jego jedynem zadaniem uprawnić bezprawie, wywiązał się z zadania ku ogólnemu zadowoleniu, gdyż wyrok na usprawiedliwienie ślubu oparł na pismach św. Bazylego, czego się nikt nie spodziewał, a najmniej prawdopodobnie św. Bazyli. (Patrz Theinera «Persécutions et souffrances de l'Eglise catholique en Russie, par un ancien conseiller d'Etat de Russie» 1842).

i nędzny ze wszech miar, i wszelkiego nawet dowcipu pozbawiony. Dnia jednego, gdy za w. xięciem wsiadał do kolaski, Turno, który sobie nieraz na podobne żarty pozwalał, odezwał się, cytując św. Pawła: «Kochajcie się, bracia, bo któżby was kochał.»

W drugiej kolasce, tak zwanej *służbowej,* pędził za w. xięciem do Belwederu służbowy adjutant. W. xiążę, odprawiwszy towarzysza, wstępował do x. Łowickiej na krótkie śniadanie, potem przez parę godzin słuchał raportów; najprzód z policyi, a policyi miał kilka, wzajemnie od siebie niezależnych; potem od szefów sztabu armii polskiej i moskiewskiej, wreszcie od dyrektorów kancelaryi tak wojennej jak cywilnej do spraw Litwy i Rusi. Ze wszystkiem tem uprzątał się bardzo szybko.

Po pierwszej w południe zajeżdżała znowu przed pałac znana w całej Warszawie z armatniego turkotu, ciężka, wysoka kolasa o czterech koniach. Siadał do niej w. xiążę po lewej stronie, po prawej służbowy adjutant. Taka była etykieta carskiego dworu, od czasu gdy cesarz Alexander I, na lewe ucho głuchy, ukazem postanowił, że honorowe miejsce w całem państwie będzie odtąd po lewej stronie. Kolasa w. xięcia zawsze była odkryta, czy zimno było, czy pochmurno i dżdżysto. Płaszczem się okrywał, a przejażdżki nie zaniechał. W podróży tylko, gdy pędził dniem i nocą, jeździł przymkniętą kolaską; karetą nigdy, chyba wieczorem na bal z x. Łowicką.

Ta przejażdżka sam na sam z w. xięciem była dla adjutanta interesującą częścią służby. W. xiążę chcąc nie chcąc wyjawiał, co czuł, co myślał; sama przyzwoitość nakazywała adjutantowi zostawiać w. xięciu wybór przedmiotu i wszelką inicyatywę w tej rozmowie. Ja tę bierność posuwałem do ostateczności; nie tylko że nie ważyłem się wprowadzać żadnego przedmiotu rozmowy, ale wystrzegałem się nawet potakiwania. Prawda, że miałem do w. xięcia wstręt niewymowny, stąd bierność moja na wszystko, co nie było bezpośrednim rozkazem. Zda-

rzało się, ale rzadko, żem się ośmielał jednem słowem okazać, że zdania przez w. xięcia wyrażonego nie podzielam. W służbie, na paradzie, na pokojach wziąłem sobie za niezmienną regułę nie patrzeć mu nigdy w oczy, nie zgadywać przeto jego myśli, ani też dozwalać mu domysłu, że potakuję milczeniem. Ucho tylko przy spuszczonych oczach miałem natężone, żeby do wydanego mi rozkazu spiesznie się zastosować. Przedmiotem rozmowy w. xięcia były zawsze bieżące wypadki, a zdawało się, że najdrobniejszym poświęcał najwięcej uwagi. Dalekim był od tego, aby ze mną rozmawiać o sprawach ważniejszych.

Przejażdżka kolaską trwała godzinę. W. xiążę wracał na kwadrans przed trzecią. O trzeciej obiad. Do obiadu zasiadali prócz w. xięcia i x. Łowickiej, syn jego, zwany Paweł Alexandrow, liczący naówczas już lat przeszło dwadzieścia, mianowany oficerem kirasyerów podolskich gwardyi moskiewskiej w Warszawie, ale zawsze trzymany pod ścisłym rygorem przez ojca i dodanego mu Moskala Fawickiego, profesora dość oczytanego, ale w przesądach moskiewskich do śmieszności zakutego. Oprócz nich, adjutanta służbowego i czasem jakiego proszonego gościa, nikt więcej do stołu nie zasiadał. Rozmowa ograniczała się więc najczęściej na *monologu* w. xięcia i po obiedzie przedłużającym się w tem samem kole, zwłaszcza zimową porą, kiedy w. xiążę, stojąc przed kominem, cygaro palił po kawie.

W. xiążę był dowcipny i kiedy chciał, umiał być przyjemnym w towarzystwie. Znać było na nim wychowanie na dworze Katarzyny, gdzie, obok rozwiązłych obyczajów i moskiewskiego barbarzyństwa, panowała w pewnej mierze wykwintna uprzejmość literatów XVIII wieku, przebywających w Petersburgu, a którą bardziej jeszcze odznaczał się Alexander. Obok śladów tej wykwintnej uprzejmości, w. x. Konstanty zachował żołdacką gburowatość, rozwiniętą życiem po koszarach i rozpustą, której się oddawał przez trzy czwarte życia.

Posiadał on wykształcenie wojskowe, był wyjątkowo obeznany ze wszystkiemi szczegółami służby w każdej broni, nawet w marynarce; każdy drobiazg umiał właściwie nazwać. Zazdrosnym będąc o wszelką wyższość, niechętnie spoglądał na tych, którzy się do nauk przykładali. Wymagał ślepego posłuszeństwa i rozmyślnie strach wkoło siebie rozsiewał, byle posłuszeństwo utrzymać. Charakter miał dziwaczny, porywczy, niejednostajny, pozornie niekonsekwentny, chociaż w istocie konsekwencyę na niektórych punktach posuwał ponad wszelkie pojęcie. Z usposobienia przekorny, upartym był do najwyższego stopnia. Przez przekorę za panowania Alexandra występował przeciwko nam, a wobec Mikołaja stawał w obronie praw nam nadanych.

Siebie samego dość surowo i otwarcie sądził. Opowiadano mi, że kiedyś czytając listę emerytów pensyonowanych przez cara Alexandra i znalazłszy na niej nazwisko guwernera, który ich obu wychowywał, a bardzo wysoką emeryturę pobierał, w. xiążę rzekł do brata: «Odbierz mu W. Cesarska Mość połowę tej pensyi; za moje wychowanie nie wart żadnej nagrody.» Inny raz powiedział Alexandrowi, że ten, sądząc ludzi po sobie, myśli zawsze, że na trzydziestu jest co najmniej piętnastu uczciwych, ale że on, w. xiążę, także ich po sobie sądząc, doszedł do przekonania, że na trzydziestu musi być trzydziestu pięciu niegodziwych...»

Rozumiał, na czem polegają cnoty, których mu brakło, i umiał je udawać. Polityka i ożenienie się odwróciły go od wielu brudnych upodobań i przywyknień. W ostatnich zwłaszcza latach jego rządów w Warszawie zaszła wielka zmiana w jego postępowaniu. Zapragnął być kochanym, chciał mieć tę sławę wobec Europy. Niezmiernie był drażliwy na artykuły o nim pisane w zagranicznych dziennikach.

Razu jednego po obiedzie, krótko po przybyciu mojem do sztabu w. xięcia, zdarzyło się, że x. Łowicka

zadała mi kilka pytań o pobycie moim w Szwajcaryi, a mianowicie o spotkaniu naszem z Kościuszką. O tem spotkaniu wyraziłem się widocznie z pewnym zapałem, bo w istocie było mi ono i jest po dziś dzień bardzo drogiem wspomnieniem. Na to w. xiążę począł swoje przytaczać przypomnienia, mianowicie z r. 1814, kiedy Kościuszkę zwycięskie wojska sprzymierzonych zastały w Fontainebleau, a cesarz Alexander w. xięcia do niego wysyłał i różne mu czynił propozycye, by znęcić do powrotu do Polski i przyjęcia na siebie, jakby poręki za zamiary Alexandra względem Polski. Opowiadaniem tem usiłował w. xiążę wyszydzać naszego bohatera, nareszcie nazwał go starym durniem «un vieil imbécile». Co się na mojej twarzy odmalowało, kiedy tė słowa wyrzekł, nie jestem w stanie powiedzieć, ale wzruszenie moje i zgroza musiały być widoczne, bo choć ust nie otworzyłem, w. xiążę, pomiarkowawszy, że przebrał miarę, począł się pytać z przerażeniem, co mi jest, czym nie chory, kazał usiąść, ale że sam stał, broniłem się; nareszcie kilkakrotnie powtórzył z przyciskiem: «siadajże!» Musiałem usłuchać. Salonik był mały, siedziałem przy x. Łowickiej, stali obok Alexandrow i Fawicki. W. xiążę dalej prowadził opowiadanie, ale już w zupełnie zmienionym tonie, a x. Łowicka winszowała mi, żem Kościuszkę przed śmiercią jego oglądał. ≫

W ówczesnych zapiskach z kwietnia 1828 r. znajduje się wzmianka o tem wydarzeniu: «U w. xięcia... mowa o Kościuszce... między innemi w. xiążę opowiada o rozmowie, jaką w obecności x. Adama i Mohrenheima miał z nim w Paryżu... okropne dla mnie wrażenie... wściekłość... rozpaczliwe zniechęcenie. Wuj mi ducha pokrzepia... kilkakrotne z nim przechadzki.»

≪ Około godziny szóstej wieczorem w. xiążę kładł się do łóżka i spał do dziewiątej, potem przychodził na

herbatę do x. Łowickiej, która o tej godzinie miewała po dwie lub trzy osoby z nielicznego grona tych, którym ten zaszczyt był dozwolony. Najczęściej były to damy z tak zwanego «Grzybowa», z rodziny Gutakowskich i Zabiełłów. Bywała, ale rzadko, i moja matka. Bywała także pani Rozalia z Lubomirskich Rzewuska, pełna dowcipu i żółci przeciwko wszelkim wspomnieniom rewolucyi francuskiej, której ofiarą w Paryżu padła jej własna matka. Dziwne bywały między nią, a w. xięciem rozprawy o polityce, bo choć i on na wspomnienie rewolucyi unosił się, przez nienawiść jednak do szlachty zasługiwał sowicie na zarzut pani Rozalii, że jest jakobinem. A sam przezywał ją nawzajem arystokratką. Na tych wieczorach nie bywali adjutanci służbowi, chyba wyjątkowo. Ja nie byłem nigdy.

O północy w. xiążę kładł się. Zimową porą wstawał przededniem, latem o godzinie czwartej, by o piątej już być na manewrach, lub rozmaitych objażdżkach. W lecie zdarzało się, że sypiał aż po cztery razy w dwudziestu czterech godzinach, raz po powrocie z musztry i śniadaniu od dziewiątej do jedenastej, drugi raz, czasem dwadzieścia minut tylko, przed obiadem, trzeci raz po obiedzie, czwarty w nocy, a za każdym razem rozbierał się i ubierał na nowo, w czem mu czterech kamerdynerów pomagało, tak iż ubranie nie trwało nad parę minut.

Lato i większą część roku przepędzał w Belwederze, część zimy w pałacu Brühlowskim. Na pokojach przed paradą przedstawiały mu się osoby wyższego znaczenia, czy to będące w przejeździe przez Warszawę, czyto na stały pobyt do niej przybywające, czy też na odjezdnem ze stolicy. Cudzoziemców przejeżdżających zapraszali do tego niektórzy adjutanci w. xięcia, do tej funkcyi wybrani. W. xiążę nie wymagał tego od krajowców, ale mu ta oznaka uszanowania przyjemną była. Mój ojciec żądał od synów, by w mundurze obywatelskim stawiali

się na tę oficyalną prezentacyę po każdej dłuższej niebytności w Warszawie.

Latem o ósmej, zimą o dziesiątej bywała parada na placu Saskim. Przed paradą w. xiążę przyjmował jeszcze u siebie adjutantów z raportami, oraz posyłki i ordynanse na pieszo ze wszystkich pułków i oddziałów, stojących w Warszawie. Na paradę występował codzień batalion piechoty lub saperów, zajmujący dnia tego warty na całej Warszawie. Batalion występował w największej, jak mówiono, paradzie, w najwykwintniejszej piękności i ścisłości umundurowania. W. xiążę przechodził najpierw przed frontem, potem między szeregami, oglądając każdego niemal z osobna żołnierza, bystrem okiem śledząc, czy nie dopatrzy jakiegoś choćby najmniejszego uchybienia w ubraniu, broni lub postawie. Umysł miał natężony ku wymyślaniu najdrobniejszych, jak mniemał, ulepszeń, czy to w kroju, czy to w sposobie nadania blasku stali lub skórze. Nowości nienawidził, namiętnie się kochał w formach, do których przywykł. Zrazu zgodził się w części na mundur polski, którego narodowe kolory konstytucya zawarowała, ale do piechoty wprowadził zamiast rajtuzów francuskich spodnie białe, obcisłe, i czarne sukienne kamasze opięte na nich ponad kolano, jakich przed rewolucyą francuską używała cała Europa, ale które wówczas istniały już tylko w wojsku moskiewskiem i austryackiem. Oficerowie na wielką paradę występowali także w białych obcisłych spodniach i w butach do półkolan.

Wielkiem było dla w. xięcia zmartwieniem, kiedy cesarz Mikołaj, wstępując na tron wśród krwawych wybuchów i strasznych egzekucyi, jedną na całe państwo zaprowadził reformę, mianowicie zastąpił opięte krótkie białe spodnie i kamasze piechoty pantalonami, jak mundur, zielonemi. Gdy ten rozkaz doszedł do Warszawy, w. xiążę zrazu mu wierzyć nie mógł, a potem wykonać go nie chciał. W jego oczach była to koncesya zrobiona

rewolucyi; opierał się, błagał, przekładał nieuniknione fatalne następstwa takiego zluźnienia w służbie, a całą negocyacyę w tajemnicy prowadził. Ale Mikołaj nie dał się ubłagać, zasłaniał się zdaniem lekarzy, uciążliwością obcisłego ubrania w marszu, wreszcie, nieodwołalnym ukazem. Musiał w. xiążę uledz, ale gdy się tak konieczności poddawał, z narzekaniem mawiał: «To ciężko. Ustąpiłem mu tronu, mógłby mi ustąpić co do spodni.» Na próbę kazał jedną kompanię piechoty ubrać w pantalony. Wieść o tem w całej piechocie obudziła radość. W. xiążę, przybywszy na paradę w dzień, kiedy ta kompania po raz pierwszy w nowym mundurze występowała, był pogrążony w smutku, a wśród niemocy czuł żal głęboki do otaczających, w których twarzach czytał, że się ośmielają rozkaz carski pochwalać. Rozdrażniony do najwyższego stopnia, po obejrzeniu kompanii, której pantalony dopasowane były przez najbieglejszych krawców i oficerów ubiorczych, obrócił się do otaczających go licznych oficerów i rzekł z uniesieniem: «Otóż i są te sławne spodnie; wy znajdujecie, że to bardzo wygodne; być może, bez nich «sans culottes» byłoby jeszcze wygodniej. Co do mnie, mówię, że wojsko zatrzymujące kamasze nad spodniami nigdy głupstw się nie dopuszcza; dowodem wojsko austryackie[1].» W istocie, tak jak jedno tylko wojsko austryackie trwało przy długich nad kolanem zapiętych kamaszach, tak też jedno oniemal ze wszystkich wojsk europejskich nie było jeszcze wówczas objawiło oznak rewolucyjnego ducha. Owszem we Włoszech przeciwko niemu występowało. W oczach w. xięcia rewolucya przedstawiała się zawsze pod postacią francuskiego żołnierza w pantalonach i stosowanym kapeluszu,

---

[1]) «Là voilà donc, messieurs, cette fameuse culotte. Vous la trouvez commode, c'est possible, — sans culottes, on serait mieux encore. Quant à moi, je ne dis qu'une chose, c'est qu'une armée qui garde la guêtre par-dessus la culotte ne fait jamais de sottises: preuve, l'armée autrichienne.»

z jakim się po raz pierwszy spotkał we Włoszech, gdy tam był przy Suworowie. Nie byłem jeszcze adjutantem, kiedy w. xiążę doznał tego zmartwienia. Zastałem już całą piechotę w pantalonach. Szczegóły o tej walce opowiadali mi koledzy, gdym przybył do sztabu, a zdanie o wojsku austryackiem przytaczano jako przykład logiki w. xięcia.

Po odbytym na paradzie najściślejszym przeglądzie, następowały obroty batalionowej musztry. Był to popis doskonałego wyrobienia oficerów i żołnierzy. Cudzoziemcy w przejeździe, Moskale nawet, przywykli w Petersburgu do podobnych popisów, patrzyli z podziwieniem na szybkość, akuratność ruchów i taką w szeregach cichość, że każda komenda pojedyńczego dowódcy kompanii lub sekcyi, słyszaną była jakby z osobna. Ruchy odbywały się to zwolna, to biegiem, według rozkazu. Ogólnie przyznawano, że piechota polska w musztrze przewyższała wszystkie inne. Było to coś na kształt baletu w tysiąc ludzi wykonanego. Podobieństwo do baletu miało szczególniej defilowanie batalionu przed w. xięciem, co się odbywało czasem po razy kilka, według humoru, to krokiem tak zwanym zwyczajnym, to podwójnym albo biegiem przy muzyce pułkowej, której w. xiążę, bijąc ręką o udo, naznaczał takt, przyspieszając lub zwalniając takowy. Prawdziwie śmiesznie, acz niezabawnie, było widzieć, jak te tysiąc ludzi rozrzuconych na obszernym placu, stosowało bez omyłki krok do muzyki, raz z kroku zwyczajnego w bieg przechodząc, potem znowu z biegu, według zwolnionej muzyki, przechodząc w krok najwolniejszy, bez stracenia taktu. Mnie, wyznam, ta doskonałość mechaniczna, do boju niepotrzebna, upokarzała. Czułem, że się ją zdobywa kosztem umysłowej wartości człowieka, wydawała mi się spodleniem żołnierskiego zawodu.

Polacy, poddając się tym niedorzecznym wymaganiom, dwa o sobie składali świadectwa: jedno zaszczytne,

drugie okazujące giętkość przesadną naszego charakteru. Zaszczytnem było zaprawdę, że oddani na pastwę niedorzecznemu, nawpół obłąkanemu carewiczowi, pod warunkiem, że nam wróci wojsko polskie i narodowe znamiona, umieli Polacy wytężyć się na fizyczne niemal cuda, by uniknąć wybuchów gniewu i namiętności, z któremiby się honor nie mógł zgodzić. Czuł też każdy, zwłaszcza od wstąpienia na tron Mikołaja, że osoba w. xięcia Konstantego ubezpieczała istnienie polskiego wojska przeciwko moskiewskiej zazdrości cara i otaczającej go zgrai dworaków. Każdy czuł, że w. xięcia można było zaspokoić i ująć dla Polski tą doskonałą musztrą i wykwintnością w ubraniu, tak iżby dalej w serca nie zaglądał. Czuł niejeden i to, że ta ścisłość i karność w służbie mogła poprawić w naszym narodzie skłonność do niedbalstwa, do lekceważenia starszych, do nieszanowania siebie samych. To też o ile w. xiążę wojskiem tylko się zajmował, niejedni go usprawiedliwiali i upatrywali korzyść w nim dla kraju naszego, chociaż tę korzyść trzeba było okupywać ciężkiem, ckliwem nieraz uleganiem dziecinnym wymaganiom jego. Ujemna strona naszego charakteru ukazywała się w tem, że, nie umiejąc ulegać władzy rodzimej, okazywaliśmy dla władzy sprawowanej przez obcego powolność do przesady posuniętą.

Po obrotach batalionowych stawały przed w. xięciem w szerokich na dziesięć kroków odstępach, ordynansi konni z trzech pułków gwardyi moskiewskich, z pułku strzelców konnych gwardyi moskiewskich, z pułku strzelców konnych gwardyi polskiej i z jednego polskiego pułku dywizyi ułanów, na rocznej służbie przebywającego w Warszawie. Z każdego z tych pięciu pułków występowało po jednym oficerze, jednym podoficerze i jednym żołnierzu, co stanowiło piętnastu jeźdźców. Jeden od drugiego stali w takich odstępach, że tworzyli jakby szachownicę. W. xiążę sam w środku onej stojąc, komenderował i wszystkie ruchy uczonej rajtszulowej jazdy

wykonywać kazał. Był to znowu prawdziwy balet konny. Dla jeźdźców niedoskonałych źródło nieobliczonych umartwień, które i na dowódców pułków spadały; bo czy to oficer, czy podoficer, czy żołnierz, każdy świadczył o wyćwiczeniu i doskonałości całego pułku.

Ta próba ordynansu była dla niektórych oficerów istnem utrapieniem. Leon Radziwiłł, podporucznik w huzarach gwardyi moskiewskiej, ilekroć wystąpił, tyle razy szedł do kozy na odwach placu Saskiego z rozkazu w. xięcia. W końcu widząc, że mnie nigdy podobny nie spotkał przypadek, prosił mię o radę. Radaby mu się na nic nie przydała, bo był nędznym jeźdźcem, kochał się tylko w lichej rozpuście, która go stopniowo doprowadziła do wielkiego upodlenia; ale wówczas był jeszcze młody, jakaś mu z oczu patrzała niewinność. Pożyczyłem mu do ordynansu własnego konia, nie «Kosia», rozumie się, ale nabytego z międzyrzeckiego stada x. Konstantego Czartoryskiego ogiera pięknej urody, który tak się dał ujeździć, że wszystkie ruchy na nim odbywałem, trzymając cugle od munsztuka w zębach. Niemałą było dla Radziwiłła radością, kiedy go koń, jakby mimo jego wiedzy szczęśliwie przez ordynans przeprowadził. Ale w. xiążę zdziwiony wpatrzył się w konia i zapytał Radziwiłła skąd go wziął. Na co tenże rad nie rad odrzekł: «Kupiłem od Zamoyskiego.» Zmuszony też byłem zaraz po paradzie odstąpić konia za te same sto pięćdziesiąt dukatów, którem był dał za niego.

Po skończonej paradzie, po danym parolu, po rozejściu się wszystkich oddziałów do właściwych wart, i w. xiążę w swojej kolasce odjeżdżał. Jeżeli się wszystko odbyło bez kary, bez sceny żadnej, wtenczas dopiero obecni jenerałowie, pułkownicy, adjutanci pułkowi i inni spoglądali na siebie z odetchnieniem. Bo też każdy z nich za jakąś część parady osobiście był odpowiedzialnym. Mógł przeto za najmniejsze w tej części uchybienie ściągnąć na siebie najdotkliwsze słowa, albo areszt, którego

w. xiążę samymże jenerałom nie szczędził. Co gorsza, przyprawienie go o zły humor mogło burzę na wszystkich ściągnąć. Gdy się rozchodzili każdy w swoją stronę, ktokolwiek ich spotykał, zapytywał: «Jaki dziś humor w. xięcia, jak się odbyła parada?»

Bo też nad Warszawą ciężyła nieustanna obawa, że jak piorun z czarnej chmury, tak lada chwila od w. xięcia, czy to na jednego, czy na wszystkich, jakiś cios dotkliwy, znowu jakaś klęska spadnie. Nikt o w. xięciu nie myślał bez pewnej trwogi. Turkot jego kolaski, po wszystkich częściach miasta niespodzianie przejeżdżającej, sprawiał popłoch dokoła. Na ten odgłos wojskowi macali się po guzikach i haftkach, by się zapewnić, że wszystkie według przepisów zapięte. Cywilni także lękali się, że ich ubranie się nie spodoba, czy to że mają włosy lub wąsy za długie, czy kapelusz o zbyt szerokich brzegach i t. p. Każdy jakby mimowoli skłonny był w. xięciu przypisywać przyczynę wszystkich nieszczęść. Byłem raz świadkiem, jak żona jakiegoś obywatela z okolicy Puław, pozostawszy w Puławach w gościnie u xiężny Czartoryskiej na czas nieobecności męża, który do Warszawy za interesem pojechał, niepokoiła się jego opóźniającym się powrotem, a gdy przyszła wiadomość, że doznał przypadku, że skaleczony, zawołała z wyrazem rozpaczy, nie zadając żadnego pytania: «To ten w. xiążę go okaleczył», choć, jak się okazało, o tym przypadku ani wiedział.

W. xiążę lubował się w przeglądaniu co rano nieboraków schwytanych przez nocne patrole, a zdarzali się między nimi ludzie najniewinniejsi. Co do włóczęgów, znał ich doskonale i szczycił się z tego; skoro ich widział, opowiadał ich rozmaite łotrostwa i kary, jakie im był wymierzył. Pamięć miał niesłychaną, ale szczególniej co do łotrów. «Ja», mawiał sam o sobie, «raczej o uczciwych ludziach zapominam.» Zbiegów wojskowych po kilkunastu latach poznawał. Z jego rozkazu aresztowano kobiety wałęsające się około obozu, odzienie z nich zdzie-

rano, rózgami je smagano, przepędzano przez ulice. Kuruta, w sam dzień swojej nominacyi na jenerała piechoty, musiał przewodniczyć takiej egzekucyi, rozpoczętej pod okiem samego w. xięcia. Zdarzało się, że i uczciwe kobiety aresztowano w pobliżu obozu. Mijało czasami kilka tygodni, zanim się kto ośmielił wstawić za niemi do w. xięcia i dowieść, że są niewinne. Zamykano je w ratuszowem więzieniu, gdzie było rzeczą przyjętą, że żywność więźniom podawano dopiero na trzeci dzień po ich uwięzieniu.

W. xiążę wogóle był akuratny, godzin pilnował, ale w piękną pogodę spóźniał się często na paradę o godzinę i więcej. Nikt przecie nie ośmielał się liczyć na to opóźnienie, a on opóźnienia nikomu nie przebaczał. Mnie się raz opóźnić zdarzyło; ukarał mnie aresztem w mieszkaniu.

Na paradę przychodziły niektóre osoby nie należące do wojska; między innymi przychodził codziennie jen. Chłopicki, nie będący wówczas w czynnej służbie. Dało mi to sposobność do częstych z nim rozmów i do bliższego poznania. Przychodził podobnież na parady pan Schmidt, konsul pruski, rodem żyd, o przyzwoitym wyglądzie, u w. xięcia używający coraz większej wziętości.

W miesiąc po objęciu służby mojej adjutanckiej, wezwał mnie do siebie jen. Kuruta i zagadnął mnie w te słowa: «W. xiążę polecił mi, zapytać się, czemu się na niego dąsasz, i powiedzieć, że jeżeli ci się podoba, możesz wrócić do swego pułku[1]).» Łatwo pojąć moje zadziwienie i wrażenie, że jakieś niebezpieczeństwo mi grozi. Odpowiedziałem, że nie umiem sobie wytłomaczyć, jaki dałem powód do takiego przypuszczenia. Prosiłem jenerała, ażeby w. xięcia zapewnił, że stanowisko swoje

[1]) «Monseigneur m'a sarzé do vous demander, pourquoi vous le boudez, et de vous dire que si vous n'êtes pas content, vous pouvez vous en retourner à votre réziment.» (Taka była tego jenerała wymowa.)

przy jego boku uważam za zaszczyt. Skończyło się na tem.

W. xiążę nie dał mi poznać, żeby trwał w podejrzywaniu mego usposobienia ku sobie. Owszem, był dla mnie zawsze szczególnie uprzejmy. Uważałem to głównie w wyborze poleceń, jakie mi dawał i w unikaniu tych, któreby surowością tchnęły. Zdarzało się nieomal codziennie, że kogoś z wojska, z miasta lub z prowincyi kazał do siebie sprowadzać, najczęściej pod wrażeniem gniewu i dla osobistego pastwienia się nad nim. Sceny te bywały straszne, ale ja ani jednej świadkiem nie byłem, chociaż się i w dniach mojej służby zdarzały. Nieraz w dzień służby w. xiążę posyłał mię z jakim obojętnym rozkazem lub poleceniem w jaką odległą stronę. Kolaska służbowa do takich posyłek stała ciągle w pogotowiu zaprzężona. Wracając do Belwederu, naturalnie pytałem służby, co robi w. xiążę, a często w odpowiedzi widziałem zmieszanie, zgrozę, litość; półsłowem dawano mi do zrozumienia, że jakaś znowu była nieszczęsna przeprawa. Nie pytałem o szczegóły, ale wdzięczny byłem w. xięciu, że mi widocznie chciał oszczędzić bolesnego widoku. Po takich zajściach podczas obiadu podziwiałem swobodę umysłu, wesołość, żartobliwość jego taką, jak gdyby przed chwilą nie był się unosił i nie był się dopuścił obrzydliwych gwałtów.

Wiele zaprawdę miałem powodów do głębokiej ku niemu odrazy. Największem było uczucie niezmiernej, nieobliczonej szkody, jaką krajowi naszemu zadawał. Ale jeżeli co silniej jeszcze oburzać mnie mogło, to właśnie ta zdolność męczenia bezlitośnie ludzi, najczęściej niewinnych, a w następnej chwili prowadzenia tak wesołych pogadanek, że ani śladu w nich dostrzedz nie można było namiętnego zaślepienia, któremby można nieco tłomaczyć jego winę, przypisując gwałty porywczości, nie zaś rozmyślnemu okrucieństwu przy zupełnem nad sobą panowaniu. Cóż dopiero powiedzieć o tej drapieżnej prawdzi-

wie dzikości, kiedy przepędziwszy godzin kilka w rodzinnem kole, przy zupełnej swobodzie umysłu, wracał do swego pokoju, sprowadzał na nowo tę samą nieszczęśliwą ofiarę, znowu się nad nią pastwił i nie ustawał, aż się znużył.

Strzegłem się przecież, by nie okazywać odrazy, jaką byłem przejęty, a wyznać muszę, że mi to sam w. xiążę ułatwiał niezmienną względem mnie delikatnością. Ułatwiała także wielka, choć nieraz uciążliwa, uprzejmość x. Łowickiej. Ale xiężnie nie wystarczało chwytać się każdej sposobności, by ująć i do męża przywiązać młodego adjutanta. Pragnęła w dodatku rzeczy trudniejszej. Wyciągała na rozmowę o bieżących wypadkach, chciała słyszeć, co o w. xięciu ludzie mówią, co myślą najbliżsi jego osoby, nareszcie co sam myślę. Chęci jej były szczere, pragnęła przekonać, postępowanie męża usprawiedliwić, ale jak się kto dał skłonić do wyznania, że nie wszystko pochwala, źle na tem wychodził. Nie żeby szkodzić chciała, ale że opowiadała rozmowy mężowi, z czego wynikały nieraz prawdziwe przykrości.

Czem zasłużyłem na łaskawość w. xięcia, nie wiem. Domyślam się tylko, że chyba akuratnością w służbie[1]). Do służby wojskowej miałem takie zamiłowanie, że mi w niej znośnemi były nawet daremne i niedorzeczne uciążliwości, jakiemi ta służba pod w. xięciem była przepełnioną. Upodobał sobie może w. xiążę i to, żem się kochał w dzielnych koniach, które mi pozwalały, jako adjutantowi, sprawiać się niepoślednio. W istocie, chociaż na konie nie łożyłem wielkich pieniędzy, których nie miałem, jakieś mi przez całe życie szczęście do koni służyło. Wielką do tego miałem pomoc na wstępie w poczciwym Podlipskim, nadzorcy stajni mego ojca, który z prostego chłopaka wiejskiego, wziętego do stajni, wy-

[1]) W. xiążę w istocie szanował w Zamoyskim i patryotyzm. X. Łowicka rozmawiając w obecności męża z Zamoyskim, używała zwrotu: «Mówię do pana, jako do Polaka», czemu w. xiążę zdawał się potakiwać.

szedł w swoim zawodzie na wielkiego dygnitarza. Znajomości na koniach i całej stajennej służbie nabył on od koniuszych angielskich, których mój ojciec przez dłuższy czas u siebie trzymał. Podlipski celował uczciwością, był dbały o dobro pańskie i z rzadką wiernością nam służył. Posłany do Hamburga, dokąd Anglicy zwykli przysyłać konie dla Niemiec i całej wschodniej Europy, kupił dla mnie tanim stosunkowo kosztem trzy doskonałe wierzchowce. Na manewrach, gdy mi je masztalerz przyprowadzał, koledzy nazywali je «flotą Zamoyskiego», bo dla wzrostu i angielskiej sztywności do liniowych okrętów je porównywali. Ale z koni moich najokazalszy, najwięcej zwracający uwagi był siwy, ze wszystkich najlichszy, najmniej szybki, którego też po jednorocznej służbie odprzedałem, ale póki go miałem, żołnierze poznawali mnie po tym koniu i mawiali o mnie: «To ten adjutant, co na siwym koniu jeździ.»

Jak zwykle zdarza się ludziom, będącym na wysokich stanowiskach, i dla tego właśnie potrzebującym poparcia podwładnych, w. xiążę skwapliwie wyglądał dowodów osobistego dla siebie poświęcenia, wierzył, że w bliżej go otaczających obudzić je zdoła, i po swojemu starał się o nie. To też bliższe swe otoczenie niespodziewaną darzył pobłażliwością w miejsce srogości, która opodal taką rozsiewała trwogę. Ktoby go znał tylko z domowego pożycia, a mógł nie wiedzieć o okrucieństwach popełnianych za domem, albo i w domu na osobach z zewnątrz sprowadzonych, ktoby go tylko widział u żony i między domowymi, ktoby widział, jak pozwala na przykład okradać się kasyerowi i żarty z tego sobie stroi, tenby mógł myśleć, że to człowiek w gruncie dobry, choć nie zawsze do rzeczy, a przy oryginalnym dowcipie i wesołości często nawet ujmujący szczerem jakoby poszanowaniem niektórych zdrowych pojęć i zasad.

Musiało się na mojem postępowaniu coś odbić i z tego zapatrywania się na jego osobę, bo pod koniec

służby mojej przy nim spotkał mnie dowód, że albo liczy na moje przywiązanie, albo też udaniem, że w nie wierzy, chce je sobie pozyskać. Było to na musztrze dywizyi konnej. Szwadron ułanów po szarży wracał rozsypką całym pędem napowrót, by się za drugą linią znowu formować. W. xiążę z nielicznym sztabem znalazł się właśnie na drodze jeźdźców powracających tłumnie i wywijających lancami, jakby się opędzali goniącemu za nimi nieprzyjacielowi; niejednego koń unosił. Widząc kilku z nich skierowanych prosto na w. xięcia, ośmieliłem się bez rozkazu zapobiedz niebezpieczeństwu grożącemu tak w. xięciu jak i ułanom. Zwolna minąwszy stojącego na miejscu w. xięcia, poskoczyłem więc szybko ku pędzącym jeźdźcom i ostrzegłem ich. Jakież było moje zdziwienie, kiedy po musztrze w. xiążę niemal z rozrzewnieniem dziękował mi za okazaną troskliwość o jego bezpieczeństwo.

Prawda, żem go nie lubił, że mi ciężył na sercu, a raczej, jak poufnie mawiałem, gdy mnie zapytywano o zdrowie, że mi osiadł na wątrobie; prawda, że widziałem w nim źródło uciemiężenia i poniżenia ojczyzny, a przecież pomimo żalu i nienawiści, widziałem w nim naczelnika, nie dopuszczałem do serca buntu przeciwko niemu, nie zapominałem, żem się dobrowolnie do służby zaciągnął, że dwakroć do przysięgi powołany, dwa razy przysiągłem władzę szanować. Przeczuwałem, że kiedyś, w niedającym się określić czasie, stosunek ten się zerwie. Bez tej nadziei nie byłbym się zaciągnął. Chciałem, aby to zerwanie znalazło mnie wyrobionym żołnierzem. Wyglądałem tej chwili jak odrodzenia, jakbym w niej miał dopiero rozpocząć życie, a przecież w sumieniu przysięgę szanowałem. Z niewymowną trwogą przewidywałem, jak trudną, jak straszną dla sumienia i honoru będzie godzina, w której dla ojczyzny przyjdzie zerwać ten związek. Niemniej jednak czułem, że w tem zerwaniu spełni się najdroższe, najszczytniejsze serca mego

pragnienie. Żadnych jednak nie dozwalałem sobie projektów ani postanowień przedwczesnych. Oczywiście, nie przypuszczałem ani na chwilę, bym miał zostać w służbie wroga, skoro mnie zawoła ojczyzna, ale jak w tym razie postąpię, zwłaszcza odkąd przy w. xięciu osobisty mnie krępował obowiązek, tego ani przesądzać, ani pod wczesną rachubę poddawać nie chciałem. Ilekroć mi ta okoliczność stawała w myśli, poprzestawałem na westchnieniu do Boga, aby mnie w tej ostateczności raczył poratować tak, abym przed nim został bez grzechu, a przed ludźmi wyszedł bez plamy.»

Wkrótce po objęciu adjutanckiej służby, Zamoyski zwichnął sobie nogę i prawie cały miesiąc przeleżeć musiał. Powrót do służby i inne bieżące wypadki zapisuje w dorywczo prowadzonym dzienniczku.

«3 lipca 1828 r. Pierwszy raz po moim przypadku stawiam się na paradę; w czwartek obejmuję służbę przy w. xięciu. Xiężna rozczula się nad moim przypadkiem. Moje zadziwienie! Wieczorem moja matka przyjeżdża z wizytą do Belwederu. Donosi mi, że x. Adamowa powiła syna, że dadzą mu moje imię — Władysław. Dla czego? Boć chyba nie z mego powodu.

X. Łowicka w istocie bardzo dobra, ale też okropnie ograniczona. Mówię jej, że się obawiam, iż nie będę stosownym do służby w. xięcia, a ona sobie wystawia, że to nieśmiałość, prostoduszność, gdy ja mam wcale co innego na myśli.

10 lipca. Znowu służba w Belwederze. W. xiążę wyraźnie ze mną kokietuje. To mnie dziwi i jest mi niespodzianką. Niepokoi mnie to, pytam się sam siebie, co takiego mogłem popełnić, żeby mu się podobać. Może owo zajście na paradzie 13 czerwca.

13 lipca. Chrzciny małego Władysława Czartoryskiego, którego jestem ojcem chrzestnym. Biedni rodzice zasmuceni wspomnieniem zmarłego syna.

Konstantemu pierwszy syn się rodzi! Doprawdy, ja nadto czułym się staję!»

Tymczasem wojna między Rosyą a Turcyą na dobre się rozpoczęła. Łatwo zrozumieć, jak bolał Zamoyski nad stanowczo już teraz utraconą dla niego sposobnością wzięcia udziału w wyprawie tureckiej, wobec tego, że w. xiążę na nią się nie wybierał.

X. Leonowa Sapieżyna pisze w tym mniej więcej czasie do panny d'Arnaud: «Władysław traci wszelką nadzieję dostania się na Wschód, bo ktoś ognia się boi i nie znosi, aby ktokolwiek z jego otoczenia nań się narażał. Biedny mój brat z każdym dniem posępnieje.»

Zamoyski sam zapisuje w ówczesnych notatkach: «Wojna, której tyle pragnąłem i której z taką niecierpliwością wyglądałem, toczy się, a ja tu siedzieć muszę! Temu sześć lat, kiedy się do wojska zaciągałem, nadzieja tej wojny była mi głównym do tego powodem. Na nią liczyłem dla wykształcenia się, to mi dodawało cierpliwości dla wielu trudnej do zrozumienia. Ani wątpiłem, że się na nią dostanę... A teraz... Jakże to ciężko wybierać między dwiema takiemi ostatecznościami: albo porzucić ulubiony zawód, w którym miałem nadzieję stać się pożytecznym, i to poświęciwszy mu już kilka lat bez wielkiej korzyści, albo być wojskowym tylko z imienia, i to zamknąwszy sobie pole do innej pracy.»

Pani Zamoyska, zmartwiona smutkiem syna, usiłuje dodać mu otuchy. Wyjechawszy na kilka tygodni do Kórnika, do zamężnej swej córki, pani Działyńskiej, pisze stamtąd do niego 20 czerwca 1828 r.

«... List Twój miłym był dla mnie i drogim, jak wszystkie od Ciebie, ale mnie zasmucił. Mój Boże, czemu to ode mnie nie zależy dać Ci tyle szczęścia, ile go dla Ciebie pragnę? Czemu go zdobyć nie mogę jaką ciężką

ofiarą, którąbym tak chętnie w tej myśli poniosła. Tak dobrze rozumiem, moje drogie dziecko, wszystkie Twoje boleści i ponure myśli. Nie wiem nawet, jak Cię pocieszać, tak mi się Twoje zmartwienie słusznem wydaje, a jednak, mój biedaku, nie daj się przygnębić. To pewna, że mało jest na świecie szczęścia i że choć czasem zabłyśnie, zawsze jednak przyćmione jakąś boleścią, która przypomina nieustannie, że nie na tej ziemi ma nam być dobrze. Tylokrotnie tego doznałam; smutki nie są już dla mnie niespodzianką, można się zaprawić do znoszenia zmartwień osobistych. Ale jakże to trudno, kiedy zmartwienie dotyczy osób ukochanych... Tyś mi tak drogi, tak miły, Tyś tak dobry, tak wart wszystkiego dobrego! Ja się za Ciebie modlę z głębi duszy z taką ufnością. Zawsze mi się zdaje, że będę wysłuchaną i to mi otuchy dodaje. Ufam, że coś takiego wypadnie, o czem nie myślimy, czego nie przewidujemy, a co nada szczęśliwy obrót rzeczom dla Ciebie.»

Do panny d'Arnaud Zamoyski pisze:

«23 czerwca 1828 r.

...Wiesz, jakbym chętnie korzystał z rad żołnierskiej siostry, domyślasz się, ile cierpię, będąc zmuszonym do poprzestania na czytaniu gazet... Zdawało mi się, niemożebnem, żeby wojna toczyła się na naszych granicach i żebym ja tam nie był pierwszym, zdawało mi się że mnie nic nie wstrzyma tutaj, kiedy tam armaty zagrzmią. Osądź, jaki zawód. Jestem w rozpaczy. Nie zarzucaj mi upadku ducha, bo zdaje mi się, że jestem mężniejszym dzisiaj, niż wczoraj byłem. Wczoraj miałem nadzieję żyć, miałem nadzieję karyery, która mi się uśmiechała, któraby mnie była uszczęśliwiła. Nie miałem zasługi w pracy, ani w żadnych wysiłkach, nagroda tak mi się piękną i dostateczną zdawała; po waryacku wystawiłem sobie, że mnie ominąć nie może. Teraz w istocie już nie mam nadziei. To słowo jest straszne... Niemniej silnie postanawiam pracować i zgodzić się na życie,

na obowiązki i wysilenia, których skutek będzie bardzo mały i bez żadnej nagrody.

Powiesz mi, że ta wojna może potrwać, może się rozszerzyć, a wtedy... Tego nie myślę. Nasi mocarze więcej się boją nieprzyjaciół, którzy ich w kraju otaczają, niż tych, coby im z zewnątrz grozić mogli. To też do długich wojen nie będą skorzy. Powiesz mi na to: czekaj... Zapewne, ale jest wiek, poza którym już się nie jest w stanie cokolwiek rozpoczynać, a zawód wojskowy więcej od każdego innego trzeba rozpocząć za młodu z zapałem dwudziestoletnim. Później człowiek ocięższeje, ostygnie, a ja więcej, niż kto inny może, powinienem się tego dla siebie obawiać. Kiedy miałem lat dwadzieścia, oskarżano mnie o zbyt wielkie umiarkowanie we wszystkiem, obawiam się, że choć innym wiek przynosi równowagę, we mnie gotów ją obalić. Będę się od tego bronił, to Ci przyrzekam. Ale jakiż teraz będzie cel moich wysiłków, moich nauk? Jeżeli się mam wyrzec wojskowości, do czegoż innego się przydam? Jednakowoż służby wojskowej na razie nie opuszczę. Wiem, że mam obowiązek czekać długo... i bez nadziei, bo w istocie jakążbym mógł mieć? Od wejścia do służby ta wojna była mojem jedynem gorącem pragnieniem, w niej tylko widziałem możność wykształcenia się w obranym zawodzie. Czegóż teraz spodziewać się mogę?

List Twój taki przyjacielski, taki dla mnie pochlebny, zwiększa moje zmartwienie. Uznanie przyjaciół, którzy skądinąd nie zwykli mi prawdy szczędzić, wydaje mi się jakby zaciągniętym przeze mnie długiem, którego nie mam sposobności spłacić. Ale dosyć tych utyskiwań. Mówisz mi, co do mojego obecnego stanowiska, że nie obawiasz się dla mnie jego stron ujemnych, a liczysz, że wyzyskam korzystne. O to mi właśnie chodzi, ale jakież są te korzyści? Podczas pokoju mogłyby mi tylko służyć do wykształcenia się w wojskowym zawodzie, ale w wojsku cesarskiem, liczącem 800.000 żołnierza, stanowisko

moje zabezpiecza mi niewątpliwie w ogniu ostatnie miejsce. To też mógłbym się go od razu bezpiecznie wyrzec. Ale nie mam na to odwagi.

Będę czekał trzydziestego roku życia, zanim coś o sobie postanowię. Ale te przewidywania smutek śmiertelny mi sprawiają. To jednak nie wyklucza potrzeby kształcenia się na wszelki przypadek w innych naukach: nauka prawa, oraz nauka o instytucyach i ludziach, a zatem historya, najwięcej mnie pociągają.»

«29 stycznia 1829 r.

Niestety musiałem się wojny wyrzec, ulegając niepodobieństwu. Czy była źle czy dobrze prowadzona, byłbym jednak nabył w niej jakiegoś doświadczenia i zdolności swoje rozwinął. Ośmnastu naszych oficerów sztabowych i inżynierów było tam wysłanych i świetnie się odznaczyli, nie tylko odwagą, bo to nic, ale i zdolnościami.

Tyle mi pytań stawiasz, że trzebaby istotnej spowiedzi, aby na nie odpowiedzieć, co, prawdę powiedziawszy, o tyle jest łatwiejszem, że jesteś o czterysta mil od nas. Inaczejbym się na to nie zdobył. Powiedziałem Ci, że rok 1827 był w życiu mojem bardzo znaczący, żem szalał, jak młodzi szaleją. Powiem Ci tylko, że moje szaleństwo zupełny kłam zadaje niewielkiej liczbie romansów, jakie czytałem. Zdaje mi się, że niema gwałtu, któryby przez duszę moją nie był przeszedł, ani szaleństwa, któreby mnie nie opętało, że niema smutku, ani radości, którychbym nie był doznał.

Na początku 1828 roku, gdy zostałem adjutantem, z tych wszystkich złudzeń wpadłem w smutną rzeczywistość i chociaż do Warszawy wróciłem, już nie odnalazłem dawnej wesołości, ani nawet swobody ducha, którą miałem poprzednio. A ta wojna, na którą z daleka się patrzałem, do reszty mnie dobiła. Życie, które teraz prowadzę jest dosyć twarde. Czuję, że codzień poważniejszym się staję i coraz bardziej dalekim od dawnej

wesołości. Wyznam nawet, że się z trudnością bronię przed smutkiem, tak nad mojem obecnem położeniem, jak nad niedolą naszego nieszczęśliwego kraju.

Pod tym jednak względem rzeczy zdają się lepiej przedstawiać. Zjawił się u nas człowiek, który ogromne już oddał nam usługi, a sądząc po jego charakterze i zdolnościach, odda zapewne większe jeszcze. Jest to xiążę Lubecki, zostający obecnie w wielkich łaskach u cesarza. Korzysta z tego z rzadką dzielnością dla przeprowadzenia najpożyteczniejszych reform. Jego działalność do najwyższego stopnia mnie zajmuje. Zresztą dużo teraz pracuję, prawie nigdzie nie bywam, z radością korzystam z obecności wuja. Nie będę wiele tej zimy salonował. Xiężna M. Radziwiłłowa wyjeżdża na zimę do Krzemieńca, a poza jej salonem nie widzę innego, do któregoby mi się uczęszczać chciało.»

W sierpniu 1828 r. wyjechał Władysław Zamoyski z w. xięciem Konstantym do Kowna.

Pod świeżem wrażeniem tej wycieczki pisał:

«Po raz drugi zdarza mi się przekroczyć moskiewską granicę do zabranych prowincyi. Jakież to bolesne sprawia wrażenie! Ta ziemia, ojczyzna nasza, którą nam każą uważać za oderwaną od nas na zawsze; ci rodacy, ci bracia, których losem nie wolno nam się zajmować; ta granica, te obce barwy, ileż to boleści budzi, szczególniej odkąd nam odejmują nadzieję połączenia się z nimi, nadzieję, którą nas tak długo łudzono. Jakże się boleśniej jeszcze odczuwa nieszczęśliwe nasze położenie, kiedy się tu przyjeżdża. Nam w Królestwie ciężko, chociaż nam zostały: imię i pozory ojczyzny. Tutaj rozpacz ogarnia. Tam przy nieustannym wysiłku cośkolwiek jednak dokonać można, tam, mimo goryczy do wszelkiej pracy przywiązanej, można jednak dobru publicznemu się poświęcać, można jakieś drobne korzyści krajowi przynosić i mimo jarzma, które nas tłumi, można stwierdzać jakieś drobne wolne postępy.

Tutaj cisza grobowa i kraj cały, jakby pod śmiertelnym całunem. Na każdym kroku się to odczuwa. Nawet pod względem cywilizacyi i dobrobytu znaczna z Królestwem różnica. Temuby się wnet zaradziło, gdyby te prowincye wróciły pod rząd wspólny z nami. Gdyby je wydrzeć można z pod tej znikczemniającej, gnębiącej władzy, której despotyzm jest najmniejszą przywarą.

Takie były moje wrażenia w Brześciu na widok spodlenia, na jakie ten nieszczęsny kraj zdaje się być skazanym. Tu w Kownie do tych wrażeń inne się przymieszało. Kowno jest ziemią świetnych, klasycznych wspomnień. Kraj piękny, pięknością swoją ducha podnosi, boleść łagodzi, wywołuje wrażenia szlachetne, mniej smutne, które jeżeli nie budzą nadziei, to przynajmniej bronią od rozpaczy.

Kowno niegdyś kwitnęło rozległym handlem; Niemen spławny dla statków nie mniejszych, jak te, co Odrą i Renem płyną. Miasto zbudowane przez Jagiellonów, posiada jeszcze kilka kościołów z ich czasów. Fara, wystawiona przez królowę Bonę, dobrze zachowana, dwie starożytne świątynie Perkuna; widać jeszcze zwaliska dwóch zamków obronnych, jeden nad Niemnem, drugi nad Wilią w bardzo pięknem położeniu, przy spływie tych rzek. Obie płyną głębokiem korytem wśród dolin pięknie zalesionych. Tutaj w 1812 r. przeprawiał się Napoleon z wielką armią. Tędy, po straszliwych klęskach przeprawiał się w odwrocie marszałek Ney i tutaj do szczytu posunął odwagę, wytrwałość, genialność, z jakiemi swym bohaterskim odwrotem pokierował.

Mnie jako Polakowi inne jeszcze przychodzą wspomnienia. Ileż to nadziei wiązało się z losami wielkiej armii, ileż to wojsko nasze ofiarności okazało, a z tego wszystkiego jedno się tylko zostało: szacunek, jaki wojsko nasze dla całego narodu zdobyło w oczach nawet samych wrogów. Czy należy opłakiwać straty naówczas ponie-

sione? Czy można przypuszczać, że zwycięstwa Napoleona byłyby nam istotnie ojczyznę powróciły? Może roztropność nakazuje wierzyć, że obecne położenie lepiej nas doprowadzi do upragnionego celu, niż byt, którybyśmy zawdzięczali Napoleonowi i rządom przez niego nadanym. Rządy takie więcejby pochlebiały naszej miłości własnej, bo byśmy je pozornie w części sami sobie zawdzięczali. Próżne badania. Rozum nakazuje szukać korzyści w tem, co jest, a nie tracić czasu na opłakiwanie tego, co przeszło. A wszakże od tych myśli, tych uczuć bolesnych trudno się uchronić, kiedy się przypomina przeszłe nadzieje, świetne marzenia, któremiśmy się wówczas łudzili, i w końcu okrutne rozczarowanie.

Zwiedziłem na prawym brzegu Niemna okopy francuskie i inne dawniejsze na wzgórzu, których krótka, ale rycerska obrona pod marszałkiem Ney była ostatnią walką w tym strasznym odwrocie. Widziałem to wzgórze całe przykryte szczątkami ludzkiemi, które tam spoczywały od lat szesnastu. Ulewne deszcze świeżo kości odkryły. Kilka odłamków zabrałem ze sobą dla Puław.

Z tego wzgórza widok wspaniały wzdłuż Niemna i Wilii. Widać stamtąd zakręt Niemna, i miejsce, gdzie Napoleon się przeprawiał. Poszedłem wzdłuż Niemna na samo to miejsce oznaczone jakby z umysłu jednym odosobnionym pagórkiem. Wojsko obozowało i defilowało właśnie około tego pagórka. Wzgórze to robi wrażenie jakby pomnika, umyślnie tam postawionego, dla uwiecznienia pamięci jednej z największych klęsk w dziejach ludzkości zapisanych. To wzgórze z prawego brzegu Wilii, po drodze do Wilna, dziwnie przypomina kształtem swoim skałę, na której postawiono pomnik Piotra Wielkiego w Petersburgu.

Wracając z Kowna, zwiedziłem jar wsławiony przez Mickiewicza, przecinający poprzecznie dolinę Niemna, ślicznie zalesiony, zamknięty stawem i młynem. Widok ten wprowadził mnie na mniej posępne myśli. Kocham

nasz kraj, mam dla niego uczucie żywe i silne, ale jednocześnie takie czułe i miłosne. Kocham go, jakim jest, powiedziałbym prawie, że go o tyle więcej kocham, że jest nieszczęśliwy, że jego nieszczęścia budzą we mnie pragnienie poświęcenia mu się. Rzadko mi się zdarza ubolewać nad tem, czego przyroda krajowi naszemu nie dała i nad tem wszystkiem, czego jemu braknie. Myśli mam raczej zwrócone na to, coby dla niego uczynić można. A jednak dziwnej doznaję rozkoszy, ile razy w kraju naszym piękną napotykam okolicę.

Gdyby osoba przeze mnie ukochana piękność straciła, nie przestałbym jej kochać, ale jakżeżbym się ucieszył, gdyby piękność swą odzyskała. Takie wrażenie sprawia mi w Polsce wszystko, co piękne. Tego uczucia w tych dniach kilka razy doznałem w Augustowskiem, a teraz w okolicach Kowna. Ale czyż ten kraj, który mi się tak podoba, już nie jest ojczyzną, czyż się go wyrzec trzeba na zawsze? — Bynajmniej, trzeba ufać. Co więcej, widok tej okolicy jest mniej przygnębiający, niż widok Brześcia. Zdawałoby się, że skutki ucisku mniejsze tu, niż tam. Czyżby przyczyną tego było sąsiedztwo Prus?... Mniejsza o przyczyny. To tylko pewna, że póki Polacy jakimkolwiek rządom podlegli, zachowają wspólność myśli, uczuć i dążeń, dopóty ucisk wrogów nie dokaże tego, byśmy przestali być narodem.»

X

MIKOŁAJ W WARSZAWIE. — KORONACYA

Powrót Władysława Zamoyskiego do Warszawy, dla objęcia adjutanckiej służby przy w. xięciu, przypadł w chwili zakończenia sądu sejmowego, którego rozprawy, zarówno z powodu własnej ich doniosłości, jak i ze względu na stanowisko, jakie wśród sędziów sejmowych zajął x. Adam Czartoryski, tak żywo go obchodziły.

Te rozprawy, jak wyżej wspomniano, zakończyły się w czerwcu 1828 r. wydaniem wyroku, który uwalniał oskarżonych od zarzutu zbrodni stanu, a którego w. xiążę nie pozwolił Radzie Administracyjnej ani ogłosić, ani przesłać carowi. Wyprawił go sam do Petersburga przez sekretarza swego, barona Mohrenheima, czynownika moskiewskiego. Już sam ten wybór osoby, nie należącej do składu Rady Administracyjnej, świadczył o posiadanej przez w. xięcia nieograniczonej władzy. Z niepokojem oczekiwano w kraju wiadomości, jak wobec wyroku zachowa się cesarz i czy uszanuje władzę najwyższego trybunału, czy też odrzuci wydany przezeń wyrok, a na sędziach mścić się będzie.

« Wyrok senatu, zawieszenie wyroku, zatrzymanie w Warszawie senatorów, były przedmiotem powszechnego zajęcia i krytyki. Postępowanie w tej sprawie w. xięcia

wywołało jednozgodną prawie naganę. X. Łowicka cierpiała na tem. Jednego dnia wyciągnęła na rozmowę pułkownika Turnę, mówiąc: «Zdaje się, że wszyscy potępiacie w. xięcia.» Tenże otwarcie wyznał: «Nie mamy sposobności poznania sprawy tak, iżbyśmy mieli własne zdanie», ale dodał, że w rzeczy sądowej i politycznej uważa x. Adama za najwyższą powagę, i mniema przeto, iż w. xiążę mylnej chwycił się drogi, stając w sprzeczności z x. Adamem. Skutek tej rozmowy był taki, że w. xiążę zaczął robić dotkliwe przycinki Turnie i oziębłość mu okazywać; przestał mianowicie brać go ze sobą do kolaski, jak to poprzednio czynił; jen. Gendre odziedziczył ten zaszczyt.

Gdy x. Łowicka wzięła mnie z kolei na podobne badania, byłem już dostatecznie przestrzeżony. To też choć różnych próbowała sposobów, zamknąłem się w oświadczeniu, że jako żołnierz nie mam prawa zajmować się temi rzeczami. Gdy spostrzegła, że się na słowa wyciągnąć nie daję, rzekła zniecierpliwiona: «Trzeba przyznać, że to bardzo roztropnie», i przerwała rozmowę.

Sąd sejmowy, jak już wspomniałem, obudził w Polsce, a przynajmniej w tych, co bliżej na rzecz patrzeć mogli, pilniejsze zastanowienie się nad traktatem wiedeńskim. Prostem i naturalnem następstwem tego było, że poczęliśmy silniej czuć i pojmować, czem były prawa, przyznane tym traktatem narodowi naszemu, jakim był ich stosunek do prawa publicznego, na którem stał porządek europejski. Przedtem mało kto z Polaków wiedział lub pamiętał o tem. Żal po upadku X. Warszawskiego, a właściwiej mówiąc, po upadku Napoleona, na którym ślepo kraj nasz wszystkie opierał nadzieje, nie dał nam zrazu ocenić znaczenia wyjątkowych w międzynarodowem prawie umów, któremi w 1815 r. trzy mocarstwa zaciągnęły względem reszty Europy ścisłe i szczegółowe zobowiązania co do sposobu, w jaki miały rządzić swemi

polskiemi posiadłościami, a nadewszystko, że traktat wiedeński zapewnił wszystkim częściom dawnej Polski zachowanie własnych odrębnych ustaw i odrębnej, a wszystkim wspólnej narodowości. Na mocy istniejących traktatów Europa miała prawo wiedzieć, jakie były wewnętrzne nad Polską rządy, miała nadto obowiązek przestrzegania, aby nie poszły w zapomnienie ubezpieczenia, mające narodowi polskiemu wynagrodzić wydartą mu niepodległość, a państwom europejskim zaspokoić sumienie, w chwili kiedy po raz pierwszy przyzwalały na zbrodnię rozbioru Polski. Kiedy więc u nas i na szkodę naszą gwałcono nowe prawo publiczne Europy, powinnością było Polaków zawiadamiać o tem Europę.

Czynienie zadość tej powinności, i to pod okiem x. Adama, stało się odtąd dla mnie przeważnem zajęciem. Starałem się umieszczać w dziennikach zagranicznych korespondencye z kraju, malujące stan bezprawia, jakiemu kraj nasz podlegał.

Wychowanie moje wśród ciągłych wojen i przewrotów europejskich nie rozwinęło we mnie biegłości pisarskiej. Jedynem ćwiczeniem mojem pod tym względem było pisanie listów, do czego miałem upodobanie, a przy licznej rodzinie częstą sposobność. Gdy więc stanęła mi na myśli potrzeba pisania do dzienników, z niezmierną nieśmiałością do tego przystąpiłem, i wielkie było moje zdziwienie, gdy x. Adam pierwszą moją pracę pochwalił. Zadaniem było napisać właśnie o wyroku wydanym przez senat i o barbarzyńskiem onego zawieszeniu z rozkazu w. xięcia.

W kilku wzięliśmy się wspólnie do tej pracy. Celowali piórem Tytus Działyński i Stanisław Rzewuski. Rzewuski, co dopiero ze szkoły aplikacyjnej na oficera awansowany, odznaczał się nauką i niezmiernie wytrawnym sądem. Tajemnicy przestrzegaliśmy ściśle, niemniej jednak kilka naszych pań pomagało w przepisywaniu tych

«wypracowań», zmieniając ile możności pismo, ażeby artykuły gdyby wpadły w ręce policyi moskiewskiej, nas nie zdradziły. Przesyłanie takich korespondencyi połączone było zawsze z niemałemi trudnościami, gdyż trzeba było czekać na wyjazd osoby pewnej, którąby list doręczyła sama, lub na pocztę oddała poza granicami kraju. Pisywaliśmy do gazet francuskich, a największą, niestety, mieliśmy trudność w odbieraniu tych właśnie numerów, które zawierały wzmiankę o srogościach i niedorzecznościach władzy moskiewskiej i samego w. xięcia. Praca tego rodzaju była dla mnie przygotowaniem i jakby wstępem do długoletnich następnie czynności emigracyjnych.

Nieraz dziękowałem Bogu, że dziwną łaską jego uszedłem uwagi policyi i w. xięcia mimo popełnianych nieostrożności. Najczęściej używałem do tej pracy samotnych godzin, jakich mi raz w tydzień dostarczały dni służby w Belwederze. Prócz rannej parady lub musztry, przejażdżki i obiadu z w. xięciem, byłem w te dni zupełnie od świata odosobniony. Nikt ze znajomych nie byłby mnie odwiedził w dzień służby, niktby się nie był naraził na przekroczenie podwojów, za któremi mieszkał w. xiążę. Był on jakby straszydłem dla wszystkich; każdy unikał zbliżenia się do niego. Była w tem nawet przesada, bo można było bezpiecznie służbowego adjutanta odwiedzić, ale ja z tego korzystałem, żeby mieć wolne do pracy godziny.

Tekę z artykułami przeznaczonemi do dzienników zagranicznych miałem zawsze przy sobie, gdym jeździł kolaską służbową do Belwederu. Zgroza mnie teraz przejmuje na myśl, coby się stać mogło, gdyby się teka dostała do rąk w. xięcia. — W. xiążę posuwał podejrzliwość aż do próżnej ciekawości, bawił się śledzeniem przez szpiegów tego, co się w prywatnych domach działo lub mówiło, lubił się przechwalać taką wszechwiedzą. Dla czego nie zapragnął przejrzeć wskroś mojej teki,

i to mimo że postrzegał niekiedy we mnie niepochlebne dla siebie sądy? Chyba tylko Opatrzność, czuwająca nad nierozważnymi, ustrzegła mnie od tego nieszczęścia. Pomijając prześladowanie, na jakie byłbym się osobiście naraził, strach pomyśleć o wszystkich innych następstwach, jakie stąd mogły wyniknąć.

Zdarzało się, że będąc na służbie, byłem świadkiem, kiedy w. xiążę otwierał dzienniki, do których pisywaliśmy, i napotykał w nich wzmianki o sobie. Widziałem, jak pot kroplami występował mu wtedy na ręce; słyszałem, jak nazywał takie artykuły listami anonimowemi i powtarzał kilkakrotnie, że podłością jest pisać podobne rzeczy bez podpisu. Można stąd było miarkować, jakby się mścił, gdyby wiedział na kim.»

Z kilku korespondencyi, których ślad pozostał, okazuje się, że do pisania, mimo trudności i niebezpieczeństw, na jakie się piszący narażali, skłaniała ich nadzieja, że się w ten sposób przed oczy cara dostaną wyrażone w nich skargi, żale, życzenia narodu. Wiedząc, że Mikołaj nie krępował się prawem i sprawiedliwością, że jeden tylko wzgląd na opinię publiczną, wytwarzaną przez dzienniki na Zachodzie, niekiedy na niego wpływał, sądzili, że schlebiając jego miłości własnej lub raniąc ją, wmówią w niego, co powinien czynić lub sprawią, że zaniecha tego, co go na śmieszność i pogardę Europy naraża.

«Do zwłoki w ostatecznem rozwiązaniu sprawy sądu sejmowego przyczyniła się wojna wydana przez Moskwę Turcyi na wiosnę 1828 r. Mikołaj nie miał, jak wiadomo, szczęścia w Turcyi. Wojny, którą wówczas rozpoczął, nie usprawiedliwiał jeszcze pozorem domagania się większej swobody dla chrześcijan zostających pod rządem tureckim. Błahy pozór wystarczył do napaści, ale istotnym jej powodem było przekonanie, że przyszedł

czas, by skorzystać z osłabienia Turcyi po długotrwałem powstaniu Greków, a bardziej jeszcze po zniszczeniu floty tureckiej przez połączone siły francuskie, angielskie i moskiewskie pod Navarino (20 października 1827). Zniszczenie tej floty było bezprzykładnym gwałtem, dokonanym nie tylko bez wydania wojny Turcyi przez którekolwiek z trzech mocarstw, ale wśród rokowań przez też trzy dwory prowadzonych z Turcyą w sprawie greckiej. Anglia dała poznać jednem tylko słowem, że w tej wygranej niby bitwie nie samą korzyść dla siebie widzi. Król angielski w mowie do parlamentu nazwał ją «an untoward event», niewczesnym wypadkiem. Przymiotnik «untoward» zrazu niezrozumiały, wszedł od owej pory w użycie, ilekroć była mowa o rzeczy niespodzianej a niepożądanej.

Bitwa pod Navarino nie przerwała rokowań, które z czasem (3 lutego 1830 r.) doprowadziły do uznania królestwa greckiego. Dziwne było zaślepienie dwóch państw zachodnich w sprawie greckiej, zwłaszcza Anglii. Pomimo obojętności dla Greków i zaprzeczenia słuszności ich powstaniu, stała się ona narzędziem Rosyi ku podkopaniu państwa tureckiego. Jedna podówczas Austrya przeniknęła moskiewskie plany. Że nie była słuchaną, to może było karą za nieszlachetność, jaką zwykle polityce Austryi zarzucić można. Bądź co bądź, kiedy cesarz Mikołaj wydał wojnę Turcyi, x. Metternich odezwał się: «Młody car chce szczęścia próbować; to dobrze. Gdy palce sobie na tej wojnie poparzy, będzie potem spokojniejszy.»

Tak się po części stało. Car rozpoczął wojnę z wielką nieprzezornością. Sam chciał dowodzić, ale na pierwszym zaraz kroku doznał zawodu. Ledwie granicę przekroczył, przerzucając awangardę za Dunaj, kiedy spostrzegł, że pułki jego nie mają liczby żołnierzy podanych na etacie sytuacyjnym. Zwykła w Moskwie chciwość, przy nędznej administracyi, pozwalała dowódcom puł-

ków, oddanych im w dzierzawę, ściągać ze skarbu żołdy i racye dla ludzi, których w pułkach wcale nie było. Sześć niedziel zeszło, nim ściągnięto nowe wojska i nowych rekrutów. Tymczasem w niezdrowej Dobrudży wielka w armii wybuchła śmiertelność. Nareszcie, gdy się wojsko posunęło pod Warnę, oblężenie tej fortecy, naraz od morza i lądu, trwało do jesieni. Car przypatrywał się oblężeniu z jednego z swoich okrętów, a nie mając innych środków pokonania mężnej tureckiej załogi, trafił złotem do jej dowódcy, który kapitulacyę podpisał. Na tem zeszła pierwsza kampania.

Przewidywanie x. Metternicha o tyle się sprawdziło, że car po doświadczeniu nabytem w pierwszej kampanii, choć zmuszony dla honoru dalej wojnę prowadzić, już nie brał w niej osobistego udziału. Zwrócił o tyle pilniejszą uwagę na sprawy wewnętrzne. Niespodziewany opór Turków skłonił go do upamiętania. I tak, przyszła naraz do Warszawy wiadomość, że wyrok sądu sejmowego po rocznej prawie zwłoce został zatwierdzony przez cesarza i króla, że sędziom, to jest senatowi Królestwa powrócona wolność, że senatorowie mogą się ze stolicy oddalić. Tryumf to był prawa niemały, wielkie upokorzenie dla w. x. Konstantego, wielka radość w całym kraju. Z ośmiu oskarżonych kilku, których sąd skazał na krótkie więzienie, wyszli na wolność, bo wymierzoną karę dawno byli odsiedzieli.

Zaledwo kilka dni upłynęło od zatwierdzenia wyroku, kiedy prezes sądu sejmowego, Bieliński, życie zakończył. Starzec to był szanowany i zasłużony, ale zasługi jego byłyby przeszły bez wielkiego rozgłosu, gdyby nie udział, jaki mu przypadł w sądzie sejmowym ze starszeństwa między członkami senatu, skoro prezes nie mógł w sądzie tym przewodniczyć. Dwuletnie przewodniczenie wśród tak trudnych i niepewnych okoliczności, a w końcu szczęśliwe doprowadzenie sprawy do kresu stało się dla Bielińskiego źródłem niespodziewanej chwały

i zasługi. Jak w ciągu całej sprawy x. Adam Czartoryski był mu głównym doradcą i pomocnikiem, tak na xięcia przypadł obowiązek oddania mu hołdu po śmierci. Jakoż w Towarzystwie Przyjaciół Nauk, którego i zmarły i mowca byli członkami, x. Adam odczytał na publicznem zgromadzeniu mowę pochwalną, która wielkie na publiczności zrobiła wrażenie.

Mowa ta była sama przez się znaczącym wypadkiem w dziejach narodu. Byłem obecny, gdy xiążę ją czytał, sam ją pierwszy z manuskryptu jego przepisałem, i udawszy się do ministra oświecenia Stasia Grabowskiego, otrzymałem pozwolenie wydania jej drukiem. Nie zastanowiłem się, że tym sposobem narazić się mogę w. xięciu, gdyby się o tem dowiedział. Ale było to właśnie jednem ze znamion czasu, że przy wielkim despotyzmie takie nam rzeczy uchodziły.

Pogrzeb Bielińskiego, który poprzedził sesyę Towarzystwa Przyjaciół Nauk, był także dla publiczności warszawskiej sposobnością, w której duch podniesiony całej już ludności okazał się znakomicie. Tłum zebrał się wielki przed kościołem św. Krzyża i w przyległych ulicach; wszystkie korporacye i cechy wystąpiły. Obecna była w znacznej liczbie młodzież szkół i uniwersytetu.

Obchód żałobny odbył się przed samem południem, mogłem więc i ja prosto z parady udać się do św. Krzyża. O ile pamiętam, najmniej było wojskowych, a prócz mnie nie było żadnego z polskich adjutantów w. xięcia.

Przy wyprowadzeniu zwłok jeden ze starszych policyantów, znany z dokuczliwości, naraziwszy się młodzieży uniwersyteckiej, został wywrócony, pobity i podeptany. Poza tem żaden inny nie zaszedł nieporządek. Opowiadano, że kiedy komendant placu i naczelnik cywilnej policyi porozumiewali się podług zwyczaju, aby zgodny raport zdać w. xięciu o całym pogrzebie, komendant wmawiał w naczelnika, że wszystko odbyło się «porządnie». Zapytywał przecież, co to zaszło między jednym

z policyantów a młodzieżą. Odpowiedź naczelnika także z przyciskiem zapewniała, że wszystko odbyło się «najporządniej». Wszyscy już zaczynali miarkować, że nie czas w. xięcia jątrzyć, że lepiej nawet niejedno przed nim zamilczeć.

Pod tę porę przybył do Warszawy z Petersburga hrabia Strogonow, jenerał ze sztabu cesarskiego. Jeszcze młody, bardzo przystojny, i tak w obejściu układny, że się każdemu podobał; prezentował się we wszystkich domach polskich, co nie było zwyczajem wojskowych rosyjskich. Wiedzieli oni, że w towarzystwie polskiem Moskale niechętnie są widziani, to też mało który z wyższej szlachty rosyjskiej dawał się przenieść na służbę do Warszawy a żaden dobrowolnie nie chciał do niej wstępować. Przeciwnie, Strogonow wszędzie się umiał zalecić. Uczuciom Polaków pochlebiał, o carze zapewniał, że jest dla Polski najżyczliwszy, dodawał, że car nie może, jakby tego chciał, poskramiać starszego brata, ale że o wszystkiem wie, najgorzej zaś trzyma o panu Nowosilcowie.

Zaufanie okazywane Strogonowowi w stolicy niezmiernie gniewało w. xięcia. Ja sam, mimo różnicy stopnia, miewałem z nim dziwnie poufne rozmowy i nie szczędziłem mu zwierzeń o stanie umysłów w Warszawie. On zaś mówił mi: «Wy jesteście wzorowym narodem, dostaniecie się prosto do nieba. My, Rosyanie, nie bylibyśmy przez sześć miesięcy znieśli w. xięcia Konstantego, a wy go znosicie od czternastu lat. Zaprawdę, to jest podziwienia godne.»

Strogonow miał na celu przygotowanie umysłów do koronacyi cesarza Mikołaja w Warszawie. Mikołaj, jak się zdaje, nie myślał o niej zrazu. W Moskwie koronował się w 1826 r. zaraz po przeprowadzeniu sądu i wykonaniu wyroku na buntownikach, którzy go powitali spiskiem przy wstąpieniu na tron. Odtąd trzeci rok mijał, a nie było mowy o koronacyi w Warszawie, chociaż takowa wyraźnie konstytucyą zastrzeżona była. W pierw-

szym tylko manifeście wydanym przez cara przy objęciu rządów, zamieszczony był ustęp z wyraźną przysięgą, jaką konstytucya Królestwa przepisywała królowi polskiemu. Uczynił to Mikołaj wśród petersburskiego zgiełku za staraniem Stefana Grabowskiego, naszego ministra sekretarza stanu, o którym wówczas opowiadano, że w tej trudnej chwili był jednym z nielicznych, co przytomnością umysłu, zimną krwią i radą cara wspierali.

Przez te trzy lata Mikołaj żadnym czynem nie starał się zjednać sobie poddanych Królestwa. Ale zmieniły się czasy. Poznał car, że choć Polskę posiada siłą materyalną, nie zawadzi mu umocnić swego stanowiska przez koronacyę w Warszawie odbytą. Zmianę w usposobieniu cara przypisać można nietylko oporowi Turków. Przyczyniło się do niej zapewne i niebezpieczeństwo ze strony Austryi, która w 400.000 wojska mogła uderzyć na prawe skrzydło armii rosyjskiej, posuwającej się pod Bałkan, a która jednocześnie w Galicyi, w samej nawet Warszawie, przez swego konsula pochlebiała łatwym zawsze do rozbudzenia nadziejom Polski.

Wobec groźnej postawy Austryi, przy wątpliwem i nadal powodzeniu w Turcyi, przy rosnącej zawiści Europy, car uznał. że nie należy w Polsce rzeczy posuwać do ostateczności. Widocznie zapragnął zupełnego pogodzenia się ze swojem polskiem królestwem, bo się też całemu, rzec można, Królestwu był naraził. Jakoż zaczęto robić przygotowania do koronacyi, która się miała odbyć w maju (1829 r.).»

O przygotowaniach do koronacyi i rozbudzonych nią nadziejach dają niejakie pojęcie ustępy ze współczesnego listu Zamoyskiego do x. Czartoryskiego do Puław:

«Poniedziałek 11 maja 1829 r.

Kochany Wuju! Przyjazd cesarza i uroczysty wjazd ostatecznie naznaczono na 17 maja. Niema więc chwili

do stracenia, ażeby dojechać na czas. Wszyscy tu Wuja wzywają, najpóźniej na dzień wjazdu, a wcześniejby nie zaszkodziło. Tem bardziej, że mój biedny ojciec jak cierpiał, tak cierpi, i że w najlepszem przypuszczeniu ledwo w dzień koronacyi na czele senatu stanąć zdoła, a i to wątpliwe.

Programy wjazdu i koronacyi już tu doszły od kilku dni, ale w. xiążę uważa, że roztropniej zachować je dla siebie, z obawy, żeby się nie porozumiano zawczasu co do tego, jakby lepiej okazać Europie uczucia tu panujące, a które naprawdę przyjemne robią wrażenie. Z powodu choroby mego ojca mało wychodzę, mało kogo widuję i nie wiem co, ale wiem, że coś tam przygotowują. Wyznaję, że bardzo będę żałował, jeżeli mój ojciec będzie w domu zatrzymany, bo lubię go widzieć na stanowisku prezesa senatu. Jedyną pociechą, że Wuj go zastąpi, bo myślę, że niepodobna, by temu przeszkodzili, jakkolwiek ktoś miałby na to ochotę. Program koronacyi bardzo piękny. Cesarz w kościele klęcząc, głośno odmówi modlitwę, w której prosić będzie Boga, ażeby mu dopomógł panować według ustaw, przez jego poprzednika narodowi udzielonych, a które on sam zaprzysiągł. Prymas te same słowa ma w swojej modlitwie powtórzyć...

O najjaśniejszym panu dobre dochodzą wieści. Zdaje się, iż pod nim warto będzie wziąć się do pracy w służbie kraju. Ma silną wolę, umie sprawy prędko i dobrze załatwiać. Zdaje się, że w dobrej wierze szanuje nasze ustawy i uważa je nie jako żarty, ale jako prawa i fakty, które powinny na szali ważyć... »

Rzeczywistość kłam zadała tym przypuszczeniom.

《 Cesarz zjechał do Warszawy wraz z cesarzową i cesarzewiczem, liczącym podówczas lat dwanaście. Był to pierwszy przyjazd Mikołaja do naszej stolicy od wstąpienia na tron. Koronacya odbyła się w katedrze św. Jana dnia 24 maja 1829 r. Całą uroczystość opisały ówczesne dzienniki.

Przypomnę jedną z niej okoliczność. Konstytucya nakazywała królowi złożyć przysięgę, że ustaw konstytucyjnych przestrzegać będzie; Mikołaj, raz już przysiągłszy pierwszym swym manifestem, nie chciał przy koronacyi powtórnie, jak mówił, przysięgać. Drugą pamiętną okolicznością było, że cesarz głośno, acz w rozmowach tylko, odzywał się, że Polacy nie mają oczekiwać od niego niczego więcej poza tem, co już jest i co zastrzegła konstytucya, że nadewszystko wyrzec się mają nadziei wcielenia do Królestwa prowincyi za Bugiem i Niemnem. Słyszano go nieraz mówiącego, że poprzednik jego, Alexander, dając tę nadzieję Polakom, przekraczał granicę tego, co carowi wolno, ze względu na interes państwa moskiewskiego. Nie wiedział zapewne Mikołaj, że Polacy z tych słów jego taki wyprowadzą wniosek, że i samo utworzenie Królestwa w jego oczach było przeciwne obowiązkom cara. W Polsce bowiem czuł każdy, że Królestwo w pierwotnem swem ograniczeniu, przy czterech milionach ludności, utrzymać się nie może, i że albo się rozszerzy na całe posiadłości dawnej Polski, pod berłem cara zostające, aby w ten sposób nabyć potrzebnej samoistności i wyzwolić się z pod ciągłej groźby nadużyć petersburskiej władzy, albo że w danej chwili rozpadnie się pod przemocą Moskwy, skoro popadłszy prędzej czy później w niełaskę cara, nie będzie miało się czem obronić od jego dowolności.

Upojony dumą i potęgą młody car mniemał, że jest szlachetnym, gdy wręcz zapowiada, że nie ulegając względom sprawiedliwości, jakiemi się uwodził jego poprzednik, strzedz będzie nadewszystko carskiego obowiązku i mienia. Nie widział, że zadaje tem cios stanowczy wszelkiej, jeżeli istniała, możności dobrowolnego kiedykolwiek zbratania pod jednem berłem Polski z Moskwą, że z takiego głoszenia jego zasad i zamiarów naród polski poznał, że przychodzi mu nie tylko wyrzec się nadziei polepszenia losu, lecz że, co więcej, nie może się łudzić, by przy

takiem pojmowaniu obowiązków cara, mogło się stać zadość najciaśniej nawet określonym obowiązkom króla polskiego.

Przeczucie to ogarnęło wszystkich w Warszawie i pokryło smutkiem bale i uroczystości urządzane na cześć królewskiej pary. Już od trzech lat nie było żadnych głośnych zabaw w Warszawie. Od czasu śledztwa i następnie sądu sejmowego, Warszawa zachowywała żałobę, jeśli nie w ubraniu, to w sercu. Dla młodzieży jedynie, i to w ukryciu prawie, pozwalano sobie w niektórych domach gromadzić nielicznych gości do tańca. Ja, liczący już wtedy lat dwadzieścia sześć nie należałem do takich zabaw. Byłem do tego za stary.

Bytność cesarzowej, namiętnie w tańcu zamiłowanej, obok uznania, jakie znajdowała koronacya, zmusiła młodzież do udziału w balach dla cesarstwa dawanych. Cesarzowa nie mogła się odchwalić Polaków jako tancerzy, mawiała, że w Petersburgu zaledwie kilku z młodzieży umie dobrze tańczyć. Ale dowiedziała się, że w Warszawie wszyscy do tańca byli niechętni, i że tylko ze względu na nią, jako królowę, przezwyciężają wstręt do zabawy. Zdarzyło się, że w dzień balu, danego dla cesarstwa u moich rodziców, byłem adjutantem służbowym przy w. xięciu; nie miałem przeto tańczyć ani odpasać pałasza. Cesarzowa, widząc mnie w służbowym mundurze, to jest przy ostrogach, a nie w krótkich spodniach i trzewikach, przysunęła się do mnie, zarzucając, że pewno umyślnie postarałem się o służbę na ten dzień, aby nie brać udziału w tańcu. Odpowiedziałem, że jeżeli cesarzowa służyć sobie do tańca rozkaże, w. xiążę zapewne nie odmówi mi pozwolenia; tak się też stało. W przerwach tańca znowu narzekała cesarzowa, że taką na twarzach naszych widzi niechęć i nieufność, mimo że chęci cesarza tak są dla kraju życzliwe.

Mój ojciec był właśnie po ciężkiej chorobie, nie wychodził z domu. Cesarz, po dwakroć przyjeżdżał do

niego. Widział w nim jedynego męża stanu w Warszawie, któremu w sprawie obwinionych o spiski i zbrodnię stanu nie miał nic do zarzucenia.

W rzeczy samej, prócz mego ojca, który w sądzie sejmowym nie zasiadał, cały niemal senat, a następnie i Rada Administracyjna, z własnychże ministrów cara złożona, wręcz przeciw natchnieniom Moskwy w tej sprawie postąpiły, ci zaś czy to w senacie, czy w Radzie Administracyjnej, co wyjątkowo po myśli w. xięcia działali, nawet u rządu nie mieli zaufania. Tak więc cesarz, ku jednym czując mimowolną niechęć, ku innym nieufność, u jednego ojca mego szukał potrzebnych objaśnień.

Nie szczędził mu prawdy mój ojciec. Umiał mu ją podawać oględnie i z należnem uszanowaniem. Gwałtowność w. xięcia, jego podejrzliwość i tajną policyę, nieprawne pana Nowosilcowa mieszanie się do spraw wewnętrznych Królestwa, przedstawiał cesarzowi jako główne źródło powszechnego wzburzenia umysłów, a ręczył, że byle rząd Królestwa przestrzegał sprawiedliwości, naród zachowa się spokojnie, nawet wiernie, a chociaż nie przestanie wspominać przeszłości, ani marzyć o lepszej przyszłości, wszelako cierpliwie onej oczekiwać będzie, z ufnością we własną wytrwałość i w przekonaniu, że zaspokojenie słusznych żądań Polski nie tylko że z interesem państwa rosyjskiego da się pogodzić, ale także dla samej Rosyi najlepsze przyniesie skutki. — Car słuchał cierpliwie, aż do zadziwienia. — Rozmowy były długie i wielu dotykały przedmiotów. »

Pozostały z owego czasu notatki Zamoyskiego, które prawdopodobnie służyć miały za materyał do rozmów ordynata z carem:

« Trzeba dać poznać cesarzowi, że na nim pokładamy wszelkie nadzieje, ale że się obawiamy wpływu w. x. Konstantego. My lepiej znamy w. xięcia, niż sam cesarz, znamy go z krzywd, jakie nam zadaje.

Dla cesarza nie może być rzeczą obojętną, żeby serca poddanych mu odbierano. Poddani panującym przypisują swoją dolę i niedolę.

W Królestwie i we wszystkich prowincyach, do których władza w. xięcia się rozciąga, rozpacz posunięta do najwyższego stopnia. Wszystkie oczy zwrócone na cesarza, wszyscy od niego oczekują zbawienia, niech się nie ociąga!

O rewolucyi niema tu mowy; nie masz narodu, któryby mniej był do niej skłonnym.

Czy dla cesarza może być obojętnym widok tych udręczeń, zadawanych wbrew jego woli i dobrotliwym zamiarom? Radość, okazana z powodu jego przyjazdu, tłomaczy się nadzieją w nim pokładaną.

Trzeba położyć nacisk na to, że cesarzowi wiadome są niesprawiedliwości przez brata wyrządzane. On sam go uważa za waryata, i to złośliwego. A zatem nie tyle nacisku kłaść na poszczególne krzywdy, ile mu wskazywać raczej środki zaradcze. Łatwość zaradzenia złemu przekona go prędzej, niżby go rozczuliło wystawienie krzywd naszych.

Pokazać, że tu idzie o jego własny interes, że środkiem zaradczym jest energiczne postawienie się względem brata. Przekonać obłąkanego niepodobna, trzeba go zniewolić. Niechaj cesarz rozkaże, a w. xiążę ulegnie, bo ma wygórowane i namiętne pojęcie o posłuszeństwie.

Nie trzeba wytykać cesarzowi wydarzeń, o których nic nie wie, bo nie uwierzy i sprawdzać będzie przez takich, co mu rzeczy fałszywie przedstawią. Trzeba mu mówić o nadużyciach, które mu już są wiadome, ale je wykazać w nowem świetle. Zapytać na przykład, czy jest prawdą, że wszyscy skazani wojskowi są wykluczeni z amnestyi, i że ona obejmuje tylko przestępców cywilnych, nieznanych w. xięciu? Dowiadujemy się, iż w. xiążę nie otrzymał władzy nieograniczonej «pouvoir discrétionnaire», którą sobie przypisuje. Czyżby nadużywał imienia cara, nieprawnie sobie takową przypisując?

Prądzyński, mimo że był ułaskawiony przez cesarza Alexandra, od trzech lat bez indagacyi w więzieniu trzymany.

Załuski, uniewinniony przez komisyę śledczą, zarówno od trzech lat jest więziony.

Łukasiński, tyle tylko zawiniwszy, co inni przez sąd sejmowy sądzeni, od pięciu lat w okowach i na pięć lat jeszcze skazany.

Co się stanie z Plichtą i Grzymałą? Oni powinni już być na wolności. Mnóstwo osób po więzieniach jęczy, nikt nawet ich liczby nie zna.

Wpływ Nowosilcowa na szkoły najnieszczęśliwszy. Bezrozumna nauka religii tylko znudzenie wywołuje i budzi wstręt do wiary. Zła nauka historyi sąd paczy.»

Podobneż notatki znajdują się spisane ręką Władysława Zamoyskiego dla matki, aby i ona, korzystając z poważania, jakie jej cesarz Mikołaj okazywał, starała się uwagę jego zwrócić na to, co dla dobra kraju uczynić należało:

«Trzeba powiedzieć o obawach, jakie wzbudza zamiar mianowania Haukego namiestnikiem. Obawy te są tak wielkie, że lepiejby już zostać przy obecnym stanie rzeczy. Ten człowiek jest bez litości, bez serca; wszystko gotów poświęcić, byle zadowolnić w. xięcia; nigdy mu się nie oprze, ani się postara o złagodzenie jego postanowień. Zazdrosny względem rodzin i ludzi mających w kraju większe znaczenie, klęską się dla nich stanie[1]).

Trzeba powiedzieć o trudnościach stanowiska namiestnika, nawet dla uczciwego człowieka. Jedyną rękojmią dla takiego byłby stosunek wprost z cesarzem. Rozkazy w. xięcia powinny być dawane na piśmie.

---

[1]) Hauke namiestnikiem nie został, ale jako dowód łaski cesarskiej otrzymał w 1829 r. tytuł hrabiego, godność wojewody, 100,000 złotych i donacyę.

Ten, co przyjmie to stanowisko, na razie wyrzec się musi wszelkiego spokoju i poważania. Jeżeli przytem nie da mu się możności uczynienia czegokolwiek dobrego, cóż mu zostanie?

Jako kobieta i w obronie religii może matka silnie się żalić na Stanisława Grabowskiego i całą tę zgraję, oraz powiedzieć, że Nowosilcow ich popycha jedynie w zamiarze zatrucia nauk i młodzieży, ale że sam nie zdaje sobie sprawy z tego, do czego zmierzają ci obłudnicy, raz przez niego zachęceni. Oni nie myślą poprzestać na Królestwie, sięgają zamiarami swemi do samego cesarstwa.

Zajścia z studentami dowodzą, że fałszywego systemu względem nich się trzymają. Profesorowie stracili wszelki wpływ. Chcąc młodzież ustrzedz od politykowania, jedynie za pomocą poważnych nauk możnaby tego dokonać, a tego właśnie im nie dają. Przymusowe praktyki religijne tego sprawić nie mogą, budzą tylko nienawiść do religii.»

« Mój ojciec zwierzał się przed synami ze swych rozmów z cesarzem. Był z nich widocznie zadowolony, pragnął, byśmy to zadowolenie podzielali. Wiedząc najwięcej przez nas, jakie było rozjątrzenie powszechne, chciał je w nas najprzód uśmierzać! Z przyciskiem więc opowiadał nam, co cesarz pozwolił sobie powiedzieć, jak badał o wszystko, jak cierpliwie słuchał, jak dziękował za otwartość, jak ubolewał, że do panujących tak rzadko dochodzi prawda. Nie widząc w nas odpowiedniego zachwytu, pytał nas ojciec: « Czegóż chcecie? Nie jestże to wiele, że cesarz takie rzeczy sobie powiedzieć dozwolił?» Ja na to: « Dobrze, że wysłuchał, ale co odpowiedział? Czy dał jaką nadzieję naprawy złego?» Nie mógł nas ojciec w tej mierze niczem zaspokoić. Ale gdy opowiedział o tych rozmowach p. Mostowskiemu i x. Lubeckiemu, jako bliżej znajomym, a ja następnie zapyty-

wałem obu, co o nich myślą, obydwaj bardzo je chwalili, a Lubecki mówił, że nie można było powiedzieć cesarzowi «ani więcej, ani lepiej».

Ale publiczność warszawska w tych zwierzeniach żadnego udziału nie miała. Widziała zaś, że wszystko idzie po dawnemu. Częstsze były nawet niż zazwyczaj wybuchy dzikiej porywczości w. xięcia, w którym obecność cesarza wywoływała dwa sprzeczne uczucia: rozdrażnienie, że tam, gdzie zwykł być pierwszym, cesarzowi hołdować musi, a obok tego do największego stopnia posuniętą drażliwość co do czci należnej panującemu, którą był wskroś przenikniony i z którą popisywać się lubił.

Przed opuszczeniem Warszawy car porobił niektóre nominacye na senatorów wręcz przeciwne warunkom przez konstytucyę przepisanym. To zgwałcenie prawa krajowego o tyle bardziej gorszącem było, że nie dawało się tłomaczyć żadną naglącą potrzebą. Świadczyło przeto, że się car nie czuł bynajmniej związanym ustawą konstytucyjną, że owszem dowolnie ją pomijał. Po cóż tedy, przy takiem usposobieniu, przyjeżdżał do swojej polskiej stolicy? Po co królem polskim się koronował? Na co zapowiadał przez Strogonowa o chęci zjednania sobie przychylności Polaków? Chęć ta może istniała, ale dobrą wolą oczywiście zwać się nie mogła.

Pragnął zapewne uspokojenia wzburzonych umysłów, o ile w takowych upatrywał dla siebie niebezpieczeństwo; ale zaspokojenia słusznych żalów narodu nie chciał, sprawiedliwością się nie rządził. Liczył, jak liczą zwykle niesprawiedliwi, że zaćmi wielkością swoją, że zdoła użyć i nadużyć przemocy.

Skutek okazał się wbrew przeciwny. Gdy wkrótce po koronacyi car odjechał, pozostało po nim wrażenie najniepomyślniejsze. Już nikt nie spodziewał się po nim naprawy złego, a każdy uczuł, że odebrana jest nam nadzieja rozszerzenia granic Królestwa, że co więcej, w blizkiej przyszłości wszelkie usiłowania władzy zwrócone

będą ku zniszczeniu i tego nawet szczupłego Królestwa, którego główną wartość upatrywaliśmy w tem, że mogło być pierwszym szczeblem do wskrzeszenia całej Polski.

Takie były nasze uczucia i przeczucia po wyjeździe cara, a wrażenia, które się na mojej twarzy odbiły, obok od dawna trwającego kaszlu, posłużyły mi do otrzymania od w. xięcia urlopu za granicę na kuracyę do Ems.»



XI

POBYT ZA GRANICĄ (1829—1830)

≪W Ems wśród tłumu osób pijących wody poznałem x. Leopolda sasko-koburskiego, późniejszego króla belgijskiego, wówczas świeżo owdowiałego po angielskiej xiężniczce Karolinie, córce króla Jerzego IV, jedynaczce i następczyni tronu. X. Leopold, zanim jeszcze został xięciem angielskim, był szwagrem w. x. Konstantego. Wprawdzie siostra jego niedługo żyła z mężem, ale to pokrewieństwo dało pochop Leopoldowi do szukania schronienia w Moskwie przed Napoleonem I, a następnie do udziału w wojnach przeciw Francyi. Leopold znajdował się w 1814 r. ze sprzymierzonymi w Paryżu, a w 1815 r. na kongresie wiedeńskim. Znał więc osobiście wszystkich podówczas żyjących mężów stanu Europy. Zostawszy xięciem angielskim, z nowego na nich zapatrywał się stanowiska.

Miał on sąd znakomity i wytrawny, usposobienie szlachetne, stanowisko wysokie i po śmierci żony zupełnie niezależne, mógł o każdym panującym i ich doradcach mieć zdanie uzasadnione. X. Adama Czartoryskiego znał z Petersburga za panowania Alexandra I, znał go z wojny w latach 1813—1814 i z kongresu wiedeńskiego. Gdy więc byłem mu przedstawiony, wielką mi od razu uprzej-

mość okazał, mówiąc z uwielbieniem o x. Adamie i wspominając z współczuciem o Polakach, których za granicą poznał i o Polkach, których wdzięki wychwalał.

Zdarzyło się, że x. Leopold nie spotkał w Ems nikogo, z kimby bliższe miał stosunki. Mnie przeto na codziennych przechadzkach zaszczycał rozmową zajmującą i pouczającą. Przedmiotem tych rozmów były świeże w pamięci jego wypadki napoleońskiej epoki i następne urządzenie Europy. Bywała wzmianka o różnych wstrząśnieniach i rewolucyach, czy to dokonanych, czy grożących na wielu punktach. Najmniej mogło być mowy o Grecyi, chociaż losy jej właśnie po ośmioletniem powstaniu ważyły się wśród europejskiej dyplomacyi; była to dla x. Leopolda sprawa osobista, gdyż Grecy wzywali go na tron swój, od czego się wymówił. O ile wiem, odmówił dla tego, że londyńska konferencya zakreśliła królestwu greckiemu granice, w których x. Leopold przeczuwał, że Grecya niezależności swej nie utrzyma, tem bardziej, że zostawały pod tureckiem berłem jeszcze prowincye i wyspy samymi Grekami zaludnione, bez których to królestwo ani swej niepodległości ani spokoju z Turkami utrzymaćby nie mogło. Musiałaby więc Grecya na obcej polegać opiece. Nie wiem, czyby x. Leopold był właściwym królem dla Grecyi, ale to pewna, że mądrym się okazał, nie chcąc królować w tak okrojonem państwie; później zaś jako król belgijski dał poznać światu całą swą wartość.

Najwięcej w rozmowach x. Leopolda zajmowały mnie kreślone przez niego obrazy ludzi będących na najpierwszych stanowiskach w Europie. Był to dla mnie dalszy kurs polityki, rozpoczętej przez nasz sąd sejmowy, a kurs praktyczny, bo objaśniający stosunki międzynarodowe. X. Leopold był usposobienia «liberalnego». W Anglii trzymał z whigami, x. Metternicha nie lubił, widział w nim głównego doradcę wszystkich antyliberalnych i nieludzkich postanowień.

Francya po reakcyi legitymizmu, która ją w 1821 r. doprowadziła do wmieszania się w sprawy Hiszpanii, uległa czas jakiś przewadze żywiołów parlamentarnych pod panem Martignac, ale w 1828 r. znowu w niej zapanował prąd reakcyjny. Karol X przerażony udzielonem przez siebie chwilowo przyzwoleniem na liberalny kierunek rządu, nie widział dla zagrożonego tronu innego ratunku, jak powołać do steru ludzi, w których rycerska tradycya miłości dla Burbonów przeważała nawet nad miłością dla Boga, bo życzliwość, jaką głosili dla duchowieństwa, tchnęła galikanizmem i świadczyła, że jej źródłem nie była wiara, ani synowska względem Kościoła wierność, ale nędzna rachuba polityczna.

U steru władzy był wówczas x. Polignac. Wierzył on w swoje zasady, co samo przez się było siłą, ale do najwyższego stopnia posuwał zarzuconą całemu stronnictwu wadę, upierania się przy starodawnych tradycyach, bez najmniejszego zrozumienia czasów i dążności nowych pokoleń. Mawiano o tem stronnictwie, które zwano ultra rojalistycznem, że tak, jak niczego z przeszłości nie zapomniało, tak się też niczego nie nauczyło, coby obecnym wymaganiom odpowiedzieć mogło. Nie trudno było przewidywać, że w takich rękach władza idzie ku przepaści.

Parę tygodni zaledwie przepędziłem w Ems, kiedy doszła tam najmniej dla mnie pożądana wiadomość, że mój w. xiążę, towarzysząc żonie, przybędzie niebawem do Ems. Wnet się też zjawił. Przyjechali z nim jenerał Nesselrode i pułkownik Turno. Stracone były odtąd dla mnie pouczające ranne przechadzki z x. Leopoldem, który odtąd szwagrowi swemu towarzyszył. Po raz pierwszy ujrzałem tu w. xięcia w ubraniu cywilnem, co go niemało odmieniło i czego wcale nie lubił, jak dał tego świeży dowód w Dreźnie.

Król saski, chcąc go uraczyć, wyprawił dla niego wielkie konne polowanie na grubego zwierza. Łatwo

sobie wystawić, jakie było ogólne zadziwienie, kiedy wśród myśliwych, którym król przewodniczył, zjawił się w. x. Konstanty w haftowanym mundurze, jeneralskich szlifach, z wielką wstęgą i w stosowanym kapeluszu z piórem. Twierdzili potem miejscowi, że przerażone na ten widok dziki i jelenie tak uciekały, że ich psiarnia dopędzić nie mogła, że wskutek tego polowanie się nie udało.

O podróży w. xięcia przez Niemcy, Turno i Nesselrode rozmaite opowiadali anegdoty; przebijała się z nich dobrze znana, dzika, niepohamowana gwałtowność, której nawet między obcymi nie powstrzymywał. Najczęstszym powodem gniewu jego byli pocztmistrze, pocztylioni i ich ospała niemiecka jazda. Na jednego pocztyliona, siedzącego przed nim na koźle kolaski, w której on zwykł był siedzieć wysoko, prawie stojący, tak się uniósł, że się zerwał z siedzenia i byłby go pięścią uderzył, gdyby go jenerał Nesselrode nie objął rękoma i nie przywiódł do opamiętania. W Ems nie doszło do żadnego podobnego wybuchu. W. xiążę nie pił wód, nie odbywał kuracyi, jednakże co rano zjawiał się jakby na zwykłą sobie paradę i przechadzał się razem z innymi. Najczęściej towarzyszył mu x. Leopold. Moimi towarzyszami przechadzki stali się Nesselrode i Turno. Obydwaj chętnie opowiadali dawne i bliższe wypadki, których byli świadkami, żyjąc wśród ludzi mających wpływ i znaczenie. Czasami wszyscy do orszaku w. xięcia należący tworzyli na «promenadzie» jedno grono i prowadzili wspólną rozmowę. Zdarzało się, że w takiej właśnie chwili przynoszono w. xięciu dzienniki. Rzucał się na nie chciwie. Dość było śledzić wyraz jego twarzy, by odgadnąć, czy w gazecie znalazł coś o sobie lub o Polsce. Pewnego razu widoczne okazał wzruszenie, a że nie tłomaczył powodu, stojący przy mnie x. Leopold rzekł do mnie: «Mam ten sam dziennik w kieszeni, możemy zajrzeć do niego.» Ale staliśmy przed w. xięciem; musiałem udawać obojętność, tem bardziej żem się domyślał, skąd mógł po-

chodzić artykuł, co tak w. xięcia wzruszył. Skończywszy kuracyę, przedstawiłem w. xięciu przez Turnę, że mi doktor każe jeszcze jechać na południe do morskich kąpieli. Przedłużył mi w. xiążę urlop na dwa miesiące, z jednem tylko zastrzeżeniem, że nie wstąpię do Paryża, którego powietrze w oczach jego było do najwyższego stopnia politycznie niezdrowe.》

Z Ems Zamoyski udał się do Akwizgranu, gdzie rodzice jego kończyli kuracyę. Pisze stamtąd do panny d'Arnaud:

«21 września 1829 r.

...Wiesz, że biedny Jan wbrew własnej woli dostał się do służby dyplomatycznej i że z poselstwem moskiewskiem bawi w Neapolu, dokąd, chcąc się z nim widzieć, muszę pojechać. Byłbym tysiąc razy wołał widzieć go w Paryżu lub w Londynie. Ale, czy uwierzysz, że do Paryża ten człowiek jechać mi zakazuje! Jakże go nienawidzę; on mnie skazał na nędzne życie, jakie teraz prowadzę, odejmując jedyne widoki życia czynnego, jakie mi się trafiały. Dzisiaj zamiast złego, które przed sobą widzę, miałbym, przy świeżości pierwszych złudzeń, dwie kampanie za sobą... Czyż nie byłbym się stał innym człowiekiem? Wszystkiego powodem kaprys tego bydlęcia.

Wystaw sobie, że jakiś p. Zabłocki, ożeniony w Bruxelli, własnemi końmi w siedmnaście dni dojeżdża z Warszawy do Bruxelli. Zdaje się to do nieuwierzenia, ale zaręczano mi, że tak jest w istocie. Poczty w Niemczech są nieznośne, wolne i drogie, francuskie drogie, ale prędsze; ja z Ems przyjechałem dyliżansem.»

《Spędziwszy z rodzicami kilka dni w Akwizgranie, towarzyszyłem im do Bruxelli, gdzie znowu kilka dni z nimi zabawiłem w październiku.

Belgia, od 1815 r. przyłączona do Holandyi, a raczej poddana Holendrom, doznawała ucisku podobnego temu jaki Moskwa na Polsce wywierała. To podobieństwo wzbudziło we mnie niespodziewane wrażenie. Król holenderski słynął między panującymi owego czasu, jako król liberalny. I był nim może dla Holendrów, ale rządy jego względem Belgów nie były liberalne, były nawet nieludzkie. Nienawidził ich odrębnej narodowości i bezwzględnie nią poniewierał. Dość powiedzieć, że w armii, liczącej trzydzieści tysięcy żołnierza, tak utrudniał Belgom awans, że ich tylko ośmiu było w niej oficerami. Królestwo tak zwane Niderlandów posiadało wprawdzie swe izby prawodawcze i zasiadali w nich wybrani z Belgii posłowie i parowie, ale przemawiać nie mogli, bo mówić wolno tylko było po holendersku, a Belgowie prócz francuskiego języka nie znali innego, ani znać pragnęli. Królestwo to miało zastrzeżoną sobie przez konstytucyę wolność druku i wyznać trzeba, że ją rząd szanował; być może, że liberalizmem swoim czuł się król do tego zniewolonym, ale dzięki tej wolności druku rozpowszechniane wiadomości o ciągłych nadużyciach rządu ogólne potęgowały oburzenie.

Łatwo sobie wystawić, z jakiem zadziwieniem, patrząc na ten ucisk, poznałem, że u nas, chociaż nadużycia były wielkie, jednak prawa same w sobie względem narodowości były wiele lepsze. W Belgii nie tylko narodowość żadnego nie miała uznania, ale i wiara również była prześladowana. Belgia słynęła z przywiązania do wiary katolickiej. Duchowieństwo i cała ludność świeże i świetne dały tego dowody pod strasznym rządem Republiki francuskiej i pod Napoleonem I. To właśnie wzmagało drażliwość króla holenderskiego; on w wierze katolickiej upatrywał poparcie dla narodowości Belgów przeciwko protestanckiej Holandyi.

Kongres wiedeński oderwał Belgię od Francyi i przyłączył ją do Holandyi, odpłacając się za znaczne fundusze,

któremi Holandya sprzymierzonych zasilała w czasie wojny z Napoleonem. Król Wilhelm osobną umową zawartą z Francyą i Moskwą w Paryżu, zobowiązał się za oddaną sobie Belgię wypłacać Moskwie rocznie pięć milionów funtów szterlingów, a że czuł, jak niepewnym Belgia jest dla Holandyi nabytkiem, zastrzegł sobie osobnym artykułem, że ową daninę płacić przestanie, jeśli, broń Boże, Belgia kiedykolwiek od Holandyi odpadnie.

I cóż sobie na zabezpieczenie Belgii przedsięwziął? czy pomyślał jakby nowych poddanych ująć, jakby z nowym losem ich pogodzić, jak najżywotniejsze ich interesa ubezpieczyć, jak uczucia zaspokoić i rozbroić drażliwość? Bynajmniej. Słynący z liberalizmu, zaprawiony na wzorach Republiki francuskiej, król Niderlandów inną sobie obrał taktykę. Całe usiłowanie zwrócił na zdeptanie wszystkiego, co Belgom drogiem było i drogiem być musiało. Podziwiać trzeba, do jakiego obłąkania przemoc dojść może, gdy sobie zaufa. Skąd królowi temu ufność, że wytępi wiarę i narodowość czterech milionów Belgów, że językiem holenderskim pokona język francuski, na całym świecie używany, i to w kraju do Francyi przyległym? Nie minęła go też zasłużona kara. Kto raz wejdzie na taką drogę, nie łatwo się na niej zatrzyma, w zbrodniczem przedsięwzięciu każdy krok z konieczności wywołuje nowe zbrodnie. Każdy ucisk, choćby zrazu mało znaczący, zmusza do ucisków coraz sroższych, aż w ludności całej do takiej miary dojdzie nienawiść bezprawia, taka się rozbudzi miłość do tego wszystkiego, co stanowi godność i siłę człowieka, że lada sposobność wywołuje wybuchy przeciwko niecnemu nadużyciu siły.

Rodzice moi mieli kilku znajomych w Belgii, których i ja poznałem, ale nie potrzeba mi było słyszeć ich rozmów i użaleń, ażeby się przekonać, co się w tym kraju dzieje i co się tam gotuje. Dość było przez kilka dni czytać bruxelskie dzienniki, w oberży, u wspólnego stołu, słuchać ogólnej rozmowy i przypatrywać się wyrazom twarzy.

Jak już powiedziałem, do najwyższego stopnia zajmował mię widok kraju, cierpiącego jak nasz, a nawet gorzej od naszego, ucisk i zniewagę. Prawda, że u nas sprawy polityczne i wszystko co ich dotyczyło, zależało od samowoli w. xięcia i cesarza. Ale sprawiedliwość wymierzały sądy prawem ustanowione; zasada nienaruszalności sędziów wszelkiego stopnia była szanowana. W Belgii przeciwnie, po piętnastu latach istnienia tego królestwa, całe sądownictwo krajowe było jeszcze tymczasowe, pod pozorem, że miała nastąpić rewizya kodeksu karnego, Wszyscy przeto sędziowie sprawiali swój urząd na mocy tymczasowej nominacyi ministra sprawiedliwości, którą tenże mógł każdej chwili cofnąć, i ówczesny minister z tej dowolności korzystał, a tem samem pozbawiał sądy niezależności, to jest pierwszej rękojmi sumiennego sprawowania urzędu. Było to przedmiotem powszechnego oburzenia, bo ministeryalne decyzye nieustannie albo kasowały sędziów, albo ich z miejsca na miejsce przerzucały.

Następca tronu, x. Oranii, miał w Bruxelli swój osobny pałac i zwykł był znaczną część roku w nim przebywać. Znaliśmy go, gdyż kilkakrotnie przyjeżdżał do Warszawy na spotkanie to Alexandra, to Mikołaja, z których siostrą był ożeniony. Alexander za ostatniej swej bytności w Warszawie w 1825 r. mianował go dowódcą honorowym pierwszego pułku ułanów polskich; stąd bliższy mój z nim stosunek. Gdy bywał u moich rodziców, witał mnie jako podkomendnego ze szczególną uprzejmością. Stawiłem się przeto u niego w Bruxelli. Był ujmujący, ale mu przypisywano niecną rozpustę. W Belgii był dość popularny.

W dni kilka po nas w. x. Konstanty zjechał także do Bruxelli z całym taborem. Znowu dni kilka musiałem przy nim dworować. Stan Belgii mocno go zajął; każdego badał, co rano po wszystkich częściach miasta incognito z jednym towarzyszem się przechadzał. Nic z tego, co mogło świadczyć o stanie umysłów,

nie uchodziło jego uwagi. Ciągle powtarzał: «Ciężkie tu powietrze, pachnie rewolucyą.» Nie inne było moje wrażenie, nie przeczuwałem jednak blizkiego już wybuchu.

Cokolwiekbądź, im silniej mnie uderzały krzywdy Belgów i ich sprawiedliwe żale, tem silniej się utwierdzałem w zdaniu, że Polska, pomimo krzywd tylu i mimo równie sprawiedliwych żalów, pod wielu względami, a nadewszystko pod względem praw, jakie jej Europa przyznała, nie była tyle pokrzywdzona, co Belgia. Belgii żadne zastrzeżenia prawne nie broniły przeciwko twardej dowolności sąsiedniego narodu, z którym jej losy były związane. A przecież Belgia od wieków własne miała prawa, samoistność, ustawy municypalne, światłe i niepodległe duchowieństwo; dziś dla Holendrów była prostem, za pieniądze kupionem powiększeniem ludności i skarbu, które czem prędzej na holenderską ludność i na holenderskie dukaty przemienić należało.

To porównanie między Polską a Belgią sprawiło, że się stałem wyrozumialszym na losy własnego kraju i na własną dolę. Przestałem mniemać, że ze wszystkich narodów Polska jest najnieszczęśliwszą, że politycznie niżej upaść nie może, że dla niej każda zmiana pożądana.

Gdy wkrótce potem całe Włochy przejechałem, gdy wstępując do Turynu, słyszałem o rządach Piemontu i o xięciu Modeńskim, o austryackiem panowaniu w Lombardyi i wogóle o austryackim wpływie na wszystkie włoskie xięstwa, gdym słyszał narzekania na niedołężną administracyę posiadłości kościelnych, gdym patrzał na podły rząd Neapolu i Sycylii, a w końcu na ponurą żałobę Wenecyi, za każdym krokiem rosło we mnie zdziwienie, że tyle ludów tak niegodziwe, twarde znosiło rządy i pokrzepiałem się myślą, że u nas jeszcze nie tak źle, jak gdzieindziej. Co dnia czułem silniejsze postanowienie, nie godzić się z losem naszego kraju, ale cierpliwie znosić te warunki i w nich, a przedewszystkiem w nas

samych wytrwałą pracą szukać środków podźwignienia się.

W Bruxelli rozstałem się z rodzicami, którzy na zimę pojechali do Paryża. Nie wolno mi było im towarzyszyć, dojechałem tylko do Compiègne, o dziesięć mil od Paryża, gdzie miałem u hrabiego Béranger spotkać się z dawną naszą przyjaciółką panną d'Arnaud. Stary hrabia Béranger, choć zapamiętały legitymista, nie szczędził Karolowi X cierpkich uwag i nagany. Ubolewał nad rządem, zapowiadał blizki wybuch i mówił o niecierpliwości wszystkich stronnictw. Na ręce panny d'Arnaud wysyłaliśmy korespondencye z kraju przeznaczone do dzienników. Rad też byłem porozumieć się z nią co do dalszego sposobu prowadzenia tych korespondencyi.»

Ślad jednej z nich, dosyć szczególny, pozostał.

W czasie pobytu w. x. Konstantego za granicą rozeszła się w Warszawie pogłoska, że to oddalenie jest wygnaniem; w najbliższem zaś otoczeniu w. xięcia mówiono, że się odgraża, iż rzuci naczelne dowództwo i Warszawę opuści. Zamoyski przypuszczał, że radość, jaką wiadomość ta w Warszawie wywoła, nie ujdzie wiedzy w. xięcia i przy przekornej jego naturze może wpłynąć na zmianę jego postanowienia. W tej obawie pisał do «Journal des Débats» korespondencyę jakoby z Warszawy, iż pogłoska o banicyi jest fałszywą. Korespondencya ta, która się ukazała 18 października 1829 r., wykazuje korzyść dla Królestwa z posiadania brata cesarskiego i jak szkodliwem byłoby dla Polski, gdyby rządy Królestwa przeszły w ręce zwyczajnych urzędników.

Zabawiwszy kilka dni w Compiègne, wyruszył Zamoyski przez Metz, Genewę, Mont Cenis, w dalszą podróż do Włoch. Z Genui 10 października 1829 r. pisze do x. Adama Czartoryskiego: «W Metz widziałem młodego Szopowicza, który skończył tam z odznaczeniem dwuletni kurs w szkole aplikacyjnej. Dużo pracował,

będzie z niego dobry nabytek dla kraju, jeżeli potrafimy takiego, jak on, należycie ocenić.»

Tego samego dnia pisze do panny d'Arnaud:

«10 października 1829 r.

...W Metz przepędziłem dwa dni jak można najprzyjemniej. Jenerał Villate przyjął mnie doskonale, co mi o tyle bardziej trafiło do serca, że mówił, iż obowiązkiem jest uczynić dla Polaka, co tylko się da... Widziałem się z jenerałem Pelletier, który niegdyś w naszem wojsku służył... W Genewie odnalazłem niejedno miłe wspomnienie i doznałem wzruszeń silniejszych jeszcze, niż się spodziewałem. Jedno przykre uczucie mieszało się do tego. Niegdyś odczułem tam szczęście pierwszej młodości i pierwszej wolności; odtąd ani takiej wesołości, ani tego szczęścia nie odnalazłem. Żal za niemi przykrość mi sprawia. A przytem, już dziewięć lat, jak Genewę opuściłem, najpiękniejszych lat życia! Ileż to rzeczy, roiłem sobie, że przez ten czas zrobić potrafię. Czas minął. Cóż zrobiłem? do czego doszedłem?... Gdybym był odbył ze dwie kampanie, nie zadawałbym sobie może tego pytania... Widziałem w Genewie Augusta, który się na dobre wziął do pracy, pozbył się zniechęcenia, nabrał otuchy. Jest tam bardzo kochany tak dla gorliwości w pracy, jak dla nieocenionego charakteru ...Odkąd w Metz widziałem w szkole aplikacyjnej Polaka nie będącego francuskim poddanym, ciągle mi chodzi po głowie, że bracia moi i inni Polacy powinniby korzystać z tej szczodrobliwości Francuzów, którzy, o ile mi się zdaje, życzliwsi są nam Polakom, niż innym. Wszakże nie mam jedynie na myśli szkoły aplikacyjnej w Metz. Bardziej i nadewszystko nęci mnie szkoła sztabu głównego w Paryżu. Przyszlij mi, proszę, dokładny program nauk tam udzielanych i wywiedz się, czyby Polaka przyjęto. Polak, którego w Metz widziałem, ręczył mi, że się dostał do szkoły dzięki pomocy znajomego jenerała, i że gdyby się był o to udał do wyższych władz, nie zostałby przyjęty. Wstawił

się za nim jenerał Pelletier, przyjaciel ministra wojny; wszystko zależy na tem, żeby wiedzieć, jaką drogą trafić.

Nie mam czasu napisać o wielu rzeczach, które widzenie się z Tobą na myśl mi przywiodło. To spotkanie sprawiło mi radość niezmierną. Taką mi było ulgą zrzucić na chwilę maskę, pod którą żyć jestem skazany, opowiedzieć Ci o tem wszystkiem, czego dotąd z ust moich nikt się nie dowiedział, dać Ci poznać udręczenie, jakiego doznaję, którego dotąd nic nie uśmierza... przyjaźń, jaką mi okazałaś, jest mi drogą, a jakże mi przykro było sprawdzić, że i Twoje życie zaprawione tem wszystkiem, co je czyni ciężarem...»

«Z Compiègne puściłem się nakoniec w drogę do Włoch. Zmuszony bocznemi drogami kilka głównych traktów przecinać, odbyłem podróż niezmiernie uciążliwą lichemi pojazdami, a często i drogami bardzo złemi. Ale spieszyłem, ile można było, i dniem i nocą. Celem podróży mojej nie były już morskie kąpiele, ale dojechanie do Neapolu, gdzie mój brat Jan się znajdował, a skąd niebawem miał odpłynąć na Wschód.

Jan był najbliższym towarzyszem mojej młodości, ale chociaż pod temi samemi wychowani wpływami, choć potem przez całe życie ścisłą związani przyjaźnią, odmienne wytknęliśmy sobie w życiu drogi. Miał on dwie wybitne cechy charakteru: czystość serca i natchnień, jakiej w tym stopniu w nikim spotkać mi się nie zdarzyło, a przytem niepohamowaną wyobraźnię. Nie był też i nie mógł być, jak to mówią, człowiekiem praktycznym. Wszystko, co w świecie żyjącym napotykał, zrażało go nikczemnością i niegodziwością, nie tylko dla tego, że częstokroć takiem istotnie było, ale też dla tego, że on, przy wzniosłych uczuciach, na wszystko patrzał przez powiększające szkła drażliwej wyobraźni.

Przy takiem usposobieniu miłość ojczyzny obudzała w nim szczególną drażliwość na wszystko, co kraj nasz

stawiało w zależności od wroga. Od początku panowania Moskwy nad Warszawą, podczas gdy niejeden miał jeszcze nadzieję, że Alexander szczerym się okaże w wykonaniu przyjętych względem Polski zobowiązań, Jan, który zaledwie wówczas z lat dziecinnych wychodził, niezmierną ku wszystkiemu, co moskiewskie, okazywał nieufność i odrazę; a nie dziw, że w miarę jak nadużycia w. xięcia i Nowosilcowa wzmagały się w Warszawie, to i ta odraza jego z każdym powiększała się rokiem. Podziwiać należy, że z uczucia powinności potrafił ją pokonać i rozpoczął życie od służby publicznej, podobnie jak to uczynili wszyscy bracia za wspólnem postanowieniem. Że zaś odbył kurs prawa na uniwersytecie berlińskim, wszedł do biura ministeryum sprawiedliwości. Ale wytrwać nie zdołał, po krótkim czasie tak obrzydził sobie służbę rządową, że wziąwszy urlop, wyjechał za granicę.

Po paroletnim pobycie w Paryżu poznał tam pana Capo d'Istria w chwili, kiedy ten, opuściwszy służbę rosyjską, do której x. Adam zaciągnął go przed laty, wybierał się do Aten, wezwany przez zgromadzenie narodowe greckie na naczelnika rządu tymczasowego. Prawość charakteru, powszechnie przyznawana panu Capo d'Istria, obok przyjaźni, jaką miał dla niego x. Adam, a z drugiej strony, roztropność Greków okazana w powołaniu go do rządów kraju, obudziły w Janie chęć zaciągnienia się do służby greckiej i przypatrzenia się z blizka usiłowaniom narodu zdobywającego sobie niepodległość.

Jan, jako siostrzeniec x. Adama, znalazł uprzejmą zachętę u greckiego patryoty, ale ten były minister rosyjski wiedział, że poddanemu cara nie wolno było do służby obcej się zaciągać bez upoważnienia. Wskazując potrzebę starania się o nie, zdawał się nie wątpić, iż na podaną prośbę niebawem przyjdzie pozwolenie. A jednak znając cesarza Mikołaja, nie mógł się łudzić taką nadzieją. Jakoż wkrótce potem w. x. Konstanty wezwał do siebie naszego ojca i pytał, skąd synowi jego, bawią-

cemu w Paryżu, ochota do służby w przesiąkłej rewolucyjnym duchem Grecyi? Ojciec nieprzygotowany na to pytanie, odpowiedział, że pierwszy raz o tem słyszy i że o prośbie podanej przez syna do cesarza nic nie wiedział. A zarazem dla uśmierzenia gniewu w. xięcia, który każde powstanie nienawidził, a na Greków, jakoby buntowników wygadywał, ojciec mój odpowiedział, że prawdopodobnie syn zapragnął podróży na wschód południowy. Na to w. xiążę: «Jeżeli tak, to można go przywiązać do cesarskiego poselstwa przy dworze sułtana.» Poselstwo to wprawdzie w Turcyi nie przebywało, bo z Turkami była wojna, ale w całym składzie swoim istniało i przebywało na różnych punktach, jako tworzące z posłami Francyi i Anglii konferencyę do spraw greckich.

Z w. xięciem nie było żartów. Zapewnił go ojciec, że dla syna będzie to zaszczyt wejść do służby dyplomatycznej przy ambasadzie rosyjskiej. W. xiążę wziął na siebie wyrobienie mu tej «łaski», a mnie tego samego dnia kazał ojciec pisać do Jana, że dla uniknienia gniewu w. xięcia musi przyjąć narzucony urząd, jak tylko go dojdzie przez ambasadę rosyjską nominacya. Łatwo pojąć, jakie bolesne było rozczarowanie Jana, tem dotkliwsze, że nie wątpił, że to Capo d'Istria ściągnął na niego tę klęskę, nie pozwalając po prostu towarzyszyć sobie jako podróżnemu, bez wyraźnego zaciągnięcia się do służby greckiej, a przedewszystkiem bez prośby o pozwolenie, o którem pewnie sam najlepiej wiedział, że Polakowi danem nie będzie.

Rad nie rad musiał Jan pojechać do Włoch i zameldować się hrabiemu Ribeaupierre, posłowi rosyjskiemu przy dworze tureckim, przebywającemu wówczas we Florencyi. Ribeaupierre znał w Wiedniu naszych rodziców i zachował dla nich wdzięczne wspomnienie. Jan, zachęcony uprzejmem przyjęciem, zaledwie wszedł w ten stosunek, wyznał z nieporównaną naiwnością, że mimo własnej woli dostał się do służby, w której tłumić musi

wszystko, co ma w sercu. Niewiadomo, coby takie zwierzenie było na niego ściągnęło, gdyby Ribeaupierre, rodem Szwajcar, acz w służbie moskiewskiej, nie był pozostał wierny pojęciom własnego kraju. Zapewne w zwierzeniu tak mało rozważnem rozpoznał szlachetną boleść, która je wywołała.

Zaledwie brat mój począł rozmyślać nad nieroztropnością, której się dopuścił, kiedy, nie wiedząc co go czekać mogło, rzucił się w przeciwną ostateczność; niewstrzemięźliwość pierwszej rozmowy umyślił wynagrodzić zakutem od tej chwili milczeniem tak, że kiedym sam do brata dojechał i zapytał pana Ribeaupierre, co o nim myśli, odpowiedział mi uprzejmie, ale zaraz o tem milczeniu nadmienił, mówiąc: «Słyszymy od niego jedno słowo na dzień dobry, jedno na dobranoc, poza tem nic.»

Listy, które Jan do mnie pisywał, takim były napiętnowane smutkiem, że się zacząłem o niego niepokoić. Spieszyłem więc w nadziei, że go zdołam pokrzepić. Chciałem bez zatrzymania się jechać aż do Neapolu, ale podówczas podróż to była niemała, wiele dni i nocy trwająca. We wszystkich dyliżansach i rozmaitego rodzaju karetach moje długie nogi prawdziwe cierpiały męki; prócz tego gwałtowne zapalenie oczu zmusiło mnie zatrzymać się dziesięć dni w Turynie, gdzie w ciemnym pokoju na kuracyi przesiedzieć musiałem. To przykre opóźnienie starałem się zużytkować dla nauczenia się po włosku. Przychodził więc do mnie codziennie nauczyciel języka włoskiego i uczył mnie, jak ślepego. Zaczął od posiłkowych słów być i mieć, twierdząc, że bylebym się tych nauczył doskonale, to resztę ze słownika i używania nabędę, że wszystko zrozumiem i jako tako rozmówić się potrafię. W istocie na tem się skończyła moja nauka. a doszedłem powoli nawet do pisania od biedy po włosku,

W Turynie wstąpiłem do hrabiego Senfft-Pilsach, posła austryackiego. Sardynia była w dobie reakcyi, po okresie rewolucyjnym z 1821 r. Wpływ Austryi był

wszechmocny, a niestety znajdował poparcie w duchowieństwie, szczególniej Jezuitach, których wszyscy we Włoszech tak zwani patryoci byli zaciętymi wrogami.

Smutne to a nieuniknione następstwo rządów obrażających narodowe uczucie i liczących do zbrodni wszelki objaw tego uczucia swobodny, że pobudzają zwykle — nie przyznam nigdy, żeby koniecznie — do spisków i konspiracyi. W mojem przekonaniu spiski i konspiracye są zawsze stanem chorobliwym, w którym najmniejszą stosunkowo szkodą są ciągłe ofiary, zwykle dostarczane przez część najzacniejszą, choć nie najrozważniejszą narodu. Wielu mniema i twierdzi, że męczeństwo odświeża i uświęca niejako uczucia narodowe, że mścicieli przysposabia i mnoży. Ale do męczeństwa spiski niepotrzebne. Świetniej nierównie, a święcie i zbawiennie, służą krajowej sprawie wszelkie czyny zacne a jawne.

Gdzież męczeństwo przyniosło największe owoce? Czy nie w sprawach wiary? A czyż spiskowali kiedy dla wiary chrześcijanie? Przecież świat zdobyli i coraz nowe zdobywają kraje! Ukrywają się niekiedy przed przemocą, nie spiskują nigdy. A największą ich siłą, że jako wierni synowie Kościoła pod sztandarem krzyża występują, a jak wojsko w szyku bojowym, naczelników swych znają. Przeciwnie, spiskowi ślepo wykonywują rozkazy tajne, bezimienne i nigdy wiedzieć nie mogą, czy to są rozkazy władzy, której posłuszeństwo ślubowali, czy sidła zastawione przez wroga, którego chcą pokonać. Nie najmniejszą też bywa klęską ze spisku wynikającą, że w kraju spiskującym, choćby nawet ludność cała wpadła w błąd spiskowania, duchowieństwo, o ile duchem chrześcijańskim przejęte, spiski zawsze potępiać musi. Tak się stało we Włoszech. Stąd rozdział między najlepszymi, gdyż nie zaprzeczam, że i spiski w szeregach swoich liczą wielu najlepszych, o ile w nich przeważa duch rzetelnej ofiary.

Daje się słyszeć zarzut, słuszny zapewne, że duchowieństwo we Włoszech grzeszyło bezwzględnem hołdowa-

niem władzy, byle znaleźć u niej potrzebną dla siebie opiekę. A jednak i to tajemnych spisków nie usprawiedliwia, bo i najgorszy ucisk władzy i przesadna uległość duchowieństwa nie odbierają podwładnym możności jawnego wyznawania uczuć, choćby władzy najbardziej przeciwnych. Prawda, że to wyznanie, jeżeli indywidualne, wywołuje bezwzględne karanie; nie tak przecież, kiedy wyznawców jest wielu, zwłaszcza kiedy naród cały żal swój i swoją nadzieję głośno a spokojnie wyznaje. Sama jawność tego wyznania, byle mu nie towarzyszyły spiski, odbiera poniekąd władzy i moc i śmiałość karania. Gdzie zaś rząd się ośmiela, bierną ale jawnie wyznawaną nienawiść karać i prześladować, spiski nie łagodzą tej srogości; owszem podwójną wywołują, bo dodają śmiałości rządowi, rzucając cień podejrzenia na sprawę i na tych, co jej bronią. W jawnem wyznaniu każdy z siebie dobrowolną niesie ofiarę. W spisku każdy się spodziewa, że uniknie ciosu, że cios w kogo innego ugodzi. Jeżeli więc idzie o męczeństwo, mające odkupić ojczyznę, pytam, które ma prawo do wyższego uznania, czy dobrowolnie przyjęte, czy napotkane mimo woli? czy jawnem wywołane wyznaniem, czy skrytą podziemną robotą? Czy walką codzienną, nieustającą, która jest zbudowaniem, nauką, przykładem, czy też ukrywaniem się wszystkich, a poświęceniem jednego na wykonanie zbrodni, która ostatecznie jest zawsze jedynym jawnym czynem spiskujących.

W sprawie narodowej, spiski, choćby ogarniały naród cały, nie zastąpią potrzebnych zawsze i jawnych dowodów uczucia narodowego, bez których synowie jednego narodu nie wiedzieliby, o ile jedni na drugich liczyć mogą. Powstanie, w danej i dobrze upatrzonej porze, oto nieunikniony koniec dzieła wyswobodzenia ojczyzny; stąd ogólne przypuszczenie, że potrzebna do tego wczesna organizacya tajna. Przyznaję, że przed wybuchem, w ostatniej chwili, trzeba naznaczyć naczelnika, tak jak w regularnem wojsku, w chwili wydania wojny, naznacza

się wodza i sztab główny; nie idzie jednak zatem, by wcześnie potrzeba było werbować do tajemnych stowarzyszeń ludzi, których spiskowanie zaprawia, nie do śmiałego z wrogiem spotkania, ale do skrytych zamachów; nie do ćwiczenia się w cnotliwem wyznawaniu swej zgrozy i nadziei, ale do spełnienia na ślepo zbrodni, pod zasłoną udanej uległości.»

Z Genui Zamoyski pisze do x. Adama Czartoryskiego:

«10 listopada 1829 r.

...Nie będę Wujowi opowiadał o wszystkiem, com widział i robił podczas tej trzymiesięcznej podróży; chwilami byłem bardzo zadowolony. To tylko było mi przykre, że wszędzie byłem sam, i że dla braku czasu musiałem się spieszyć i pomijać mnóstwo rzeczy, które poznać pragnąłem. Mimo to, wszystkiemu czemu mogłem, pilnie się przypatrywałem. Zdaje mi się, że ta podróż dwie korzyści mi przyniosła: widnokrąg mój umysłowy musiał się rozszerzyć, przez widok tylu rzeczy dla mnie nowych, przez poznanie ludzi mniej lub więcej znakomitych, przez zajmujące rozmowy, przez przykłady godne naśladowania pod względem przemysłu, prawodawstwa, administracyi, wychowania. Przytem, zdaje mi się, że skorzystałem z czegoś, z czego mniej korzyści się spodziewałem, a to z widoku rzeczy ujemnych: wad, niedostatków, czy to w prawach i formach rządu, czy to w ludziach i narodach.

Porównywując położenie innych narodów z naszem, zrozumiałem, że powinniśmy być cierpliwi, ufni, mężni, pracowici, nie roszcząc sobie prawa do prędkich z naszej pracy korzyści, nie dając się zastraszyć przeszkodami. Kilkakrotnie, gdy spostrzegłem rażące niedoskonałości obok instytucyi bardzo zadawalniających, uderzało mnie podobieństwo z tem, co się u nas dzieje, a zrozumiałem tem samem, że powinniśmy się uzbroić w cierpliwość, czekać lepszych czasów. Skądinąd widziałem wielkie ko-

rzyści przywiązane do niektórych instytucyi, mimo że bardzo w sobie wadliwych. Słowem, zdaje mi się, że się utwierdziłem w przekonaniu o potrzebie na teraz cierpliwego poddania się okolicznościom, które może jest jedynym możliwym dla nas sposobem do polepszenia z czasem naszego położenia, wprawdzie wolno, ale niechybnie. Lepiej zrozumiałem, że przez pracę i wytrwałość można wśród najtrudniejszych nawet okoliczności ulepszyć niektóre szczegóły, ulżyć niektórym niedolom, zmniejszyć niektóre braki. Wielką nieraz dla mnie korzyścią w tej podróży było moje z wujem pokrewieństwo; jemu zawdzięczam niejedno miłe przyjęcie i radość, jaką mi sprawiało przekonanie się, jak wuj jest wszędzie poważany. W Genewie, gdzie dziesięć dni przepędziłem, miłość moja dla Genewczyków podwoiła się, gdym widział, jaką oni o wuju i cioci pamięć zachowali, i coś więcej, niż pamięć...»

« Przejechałem przez całe Włochy, od Turynu aż do Neapolu, prawie bez zatrzymania się. W Rzymie tylko, spotkawszy Artura Potockiego, wpadłem z nim na godzinę do św. Piotra. Niedaremny był mój pospiech, bo dojechawszy do Neapolu o godzinie ósmej wieczorem, dowiedziałem się od mego brata, że tejże nocy z posłem, fregatą, odpływa do Grecyi. Pospieszyłem do pana Ribeaupierre i za jego pozwoleniem wsiadłem z nimi na okręt i odpłynąłem, nie ważąc, gdzie mnie na ląd wysadzą, a miałem już tylko pięć dni urlopu. Krótka chwila z bratem przepędzona w Neapolu dała mi poznać bolesny nastrój jego duszy. Naczelnika miał nadspodziewanie pobłażliwego, ale służba, do której był przykuty, niemniej była mu nad wszelki wyraz wstrętną.

Nie zawiodła mnie nadzieja, że mu się wywdzięczę z korzyści, jakie mi nieraz przyniosły za młodu jego surowe sądy i napomnienia, godząc go w tej chwili z koniecznością, i przekonywując go, że i z tego poło-

żenia może wyciągnąć niejedną korzyść dla kraju, któremu służyć było namiętnem jego pragnieniem. Czy wystkie uwagi moje do jego trafiły przekonania, nie wiem. Pamiętam tę tylko część rozmów naszych, w których on mnie palącem słowem ostrzegał i błagał, ażebym zaprzestał używania bez wyraźnej potrzeby, w pismach czy mowie, obcych języków. Pamiętam, rzekł do mnie, gdy mówiłem po francusku: «Zaprzestań obcej mowy, bo to niegodziwość.» Nadmieniam o tem, bo jestem przekonany, że mój brat Jan przeważnie się przyczynił do pokonania zdrożnego i w złe skutki płodnego nałogu używania mowy obcej ze szkodą własnej, we wszystkich stosunkach, począwszy od spraw publicznych, aż do najpoufalszych zwierzeń rodzinnego koła.

My zawsze skłonni jesteśmy wpadać w przesadę i to nas gubi. Tak jak od wieków języki łaciński i grecki służyły do nauk, tak w nowożytnych społeczeństwach francuski język zapanował w powszechnej oświacie, ale u nas wprowadzony do codziennego użycia wyrugował rodzinną mowę. Zrazu zdarzało się to tylko w domach zamożnych i wyznać trzeba, że z mową zachodu zawitała do kraju i zachodnia w obyczajach ogłada, ale z ogładą przyszło niestety i zepsucie. Z czasem język francuski tak się rozpowszechnił, że w najskromniejszych dworkach pod słomianą strzechą słychać było francuską mowę, cechującą, jak mniemano, tak zwane dobre wychowanie; że zaś niejednemu się zdaje, iż do rozmowy i korespondencyi język francuski lepiej się nadaje od każdego innego, każdy więc w Polsce, choć niepoprawnie, listy po francusku bazgrał.

I w naszej tak było rodzinie, takiem to było nawyknieniem, że kiedy brat mój począł przeciwko temu występować, zaledwie można było przypuszczać, by zamierzonego celu kiedykolwiek dopiął, długo też walczyć musiał i, jak każdy reformator, znieść niejeden zarzut przesady, drobiazgowości, nim mu się udało, sumienia

wstrząsnąć i niejednego przekonać, że daremnie się sili na patryotyzm, że nie miłuje ojczyzny, kto mowy ojczystej nie strzeże, tak jak nie miłuje Boga, kto słowem bożem nie żyje.

W naszej rodzinie Jan zupełne otrzymał zwycięstwo, a jednak minęło lat kilka, zanim zdołał u wszystkich zadawniony nałóg pokonać. Ale był nieubłagany, mówił i pisał o tem przy każdej sposobności, dowodził, błagał, łajał, groził zerwaniem stosunków, a że zawsze na miłość ojczyzny zaklinał, więc rozbrajał i przekonywał. Niestety, przyszły mu niebawem w pomoc ojczyste klęski i wygnanie wielu. Niektórzy w istocie dopiero na wygnaniu nauczyli się mówić i pisać językiem, którego dźwięk stał się dla zbolałych serc tak upragnionym.

Zaledwie fregata rosyjska «Xiężna Łowicka», na której płynęliśmy, opuściła piękną zatokę neapolitańską, kiedy powstał wiatr przeciwny i dopiero w dni kilka pozwolił nam dopłynąć do cieśniny Messyńskiej. Szczęściem, ani brat mój ani ja nie cierpieliśmy na morzu. Rozmowy nasze przeto toczyły się bez przerwy, a uważałem z radością, że doprowadzały mego brata do coraz większego spokoju i wypogodzenia, tak dalece, że kiedy przyszło nam mijać Messynę, więcej miałem odwagi wyznać mu, że dnia tego właśnie kończy mi się przedłużenie urlopu, że płynąc dalej naraziłbym się na długą zwłokę i wylądować mógłbym chyba w Atenach, że nie wiem wreszcie, jakbym mógł powrócić, bo nie było wówczas na morzu Środziemnem żadnej regularnej żeglugi. Dość, że musieliśmy się rozstać. I brat mój uznał, że powinienem w Messynie wylądować, ale poseł, znudzony długą żeglugą, zmęczony morską chorobą, nie chciał tracić kilku godzin na wstąpienie do portu Messyny, dał więc rozkaz spuszczenia łodzi i wysadzenia mnie na najbliższem wybrzeżu Sycylii. Nieświadomy podróży morskich nie spostrzegłem zrazu, jak nieregularnem i przeciwnem prawu było takie wylądowanie. Do za-

dnego portu nie wpuszczonoby łodzi jawnie spuszczonej z okrętu bez złożenia urzędowych świadectw. Anim się domyślił, że kiedy posłowi powiedziano, że łodzi do portu nie wpuszczą, kazał, gwałcąc wszelkie istniejące międzynarodowe prawa, wysadzić mnie na brzeg sycylijski, pod samem miastem w biały dzień.

Dostałem się z moskiewskiej łodzi na brzeg piaszczysty Sycylii ze służącym. Majtkowie wynieśli mój pakunek i odpłynęli. Kilku wieśniaków podjęło się nieść moje rzeczy do Messyny przez bramę, której straż patrzała na moje wylądowanie. Zapytany o paszport, kazałem się zaprowadzić do konsula rosyjskiego. Gdym mu się przedstawił, przerażony zapytał, gdzie i jak mnie z okrętu odstawiono i począł mówić, że to rzecz niesłychana, żem się naraził na dziesięć lat więzienia. Jednak po przeczytaniu listu posła, zaprowadził mnie do jakiegoś innego urzędnika i rzecz załatwił. Tak więc, wielkiemu panu na pięknej fregacie i mnie pod jego zasłoną uszło to, coby każdemu innemu za zbrodnię poczytano.

Znalazłszy się tak niespodziewanie w Sycylii, postanowiłem skorzystać ze sposobności, ażeby tę wyspę nieco poznać i objechać jeśli nie dokoła, to przynajmniej przez Syrakuzę i Girgenti do Palermo, skądbym okrętem wrócił do Neapolu. Ostrzegano mnie, że pora roku na to nie pozwala, dla ciężkich i nieustannych deszczów. Nie dałem się tem zatrzymać. Podróż musiałem odbywać konno, bo kołowej drogi nie było. Służącego zostawiłem w Messynie, i sam na koniu z dwunastoletnim pieszym przewodnikiem puściłem się w podróż. Pierwszy dzień był pogodny, ale że się nie dość wcześnie wybrałem, skoro słońce zaszło, mój towarzysz zaczął przekładać, że do zamierzonego etapu dociągnąć niepodobna, bo po nocach zbójcy napadają. Choć niebardzo wierzyłem, zanocowałem w pierwszej, jaka się nadarzyła, wsi. A że mi zaręczano, że z rana, choćby przededniem, bezpiecznie

można puszczać się w drogę, postanowiłem wynagrodzić sobie skrócenie pierwszego marszu o tyle dłuższym następnego dnia. Jakoż nazajutrz jeszcze było zupełnie ciemno, kiedym się puścił w drogę. Ponieważ miał być marsz długi, przewidując, że to może będzie nad siły mego malca, postanowiłem sam pieszo marsz rozpocząć, a przewodnikowi na ten czas konia odstąpić. To mi na dobre wyszło, bo gdy na niebie jaśnieć poczynało, z za płota w polu powstało ze snu kilku leżących tam ludzi. Przemówili do chłopca, którego postać mogli na jaśniejącej zorzy rozpoznać, a, widząc miejscowego, nie dochodzili, kto za nim szedł pieszo. Mały począł śpiewać i dopiero po chwili rzekł do mnie, że to byli zbójcy...

Przed południem dojechałem do Taurominia. Z zachwytem oglądałem starożytny teatr grecki, któremu za dekoracyę służy potężna, pysznie z amfiteatru przedstawiająca się Etna. Na noc dojechałem do Katany, przechodząc przez kilka zastygłych od lat wielu, ogromnych strumieni lawy. Przecina je ścieżka ręką ludzką wykuta i wysypana. Strumienie te mają szerokość wielkiej rzeki. Dochodzą one do morza, które się pięknie odbija i pieni na czarnej lawie. Blizkość wulkanu objawia się nietylko temi rzekami, które z późniejszych wybuchów powstały; cała powierzchnia tej części wyspy jest pokryta skorupą lawy. Ale ta powierzchnia wiekami kruszona przemieniła się w najżyźniejszą rolę, miejscami zaledwie na kilka cali głęboką, niemniej wystarczającą do uprawy nie tylko zboża, ale i drzew owocowych. Zieloność na tej czarnej ziemi śliczna, wegetacya ustaje tylko w czasie największych upałów.

W Katanie przebyłem dzień jeden na zwiedzaniu licznych zabytków starożytnych. Nazajutrz ruszyłem w drogę do Syrakuzy, ale już w słotę nieustanną. Co godzinę trzeba było brodzić przez potoki, z wysokich gór spadające do morza. Im dalej szedłem, tem one były szersze i głębsze. Mój przewodnik wskakiwał za mną

na konia i takeśmy się przeprawiali. W jednem miejscu ścieżka tak blizko szła morza, że rzeka, którąśmy mieli przebyć, stanowiła jakoby zatokę morską, a gdym konia do niej wprowadził, nie tylko, że mu dna pod nogami zabrakło, ale z głową się zanurzył. Dźwignął się przecież dzielnie i przepłynął na drugi brzeg. Chłopak trzymał się konia za ogon.

Wyznaję, żem sam sobie zadawał pytanie, co Syrakuza może takiego posiadać, coby warte było takich trudów. Daleko jeszcze było do Syrakuzy, kiedy nas noc zaskoczyła. Kraj dokoła jak pustynia, goła skała przecięta potokami. Szczęściem dla mnie, pokazało się, że nie ja sam w tę porę roku puściłem się w podróż. Doszliśmy do wielkiego namiotu, pod którym obozowało kilkadziesiąt koni i mułów z przewodnikami. Jeden z podróżnych sprzedał mi koguta. Chciałem go użyć na rosół. Znalazł się ochotnik do pomocy. Pożyczył garnka, ogień zapalił, koguta oskubał i ugotował. O jednej rzeczy tylko zapomniał, żeby go wypaproszyć. Łatwo sobie wystawić, jaki był rosół, ani go do ust nie można było wziąć. Musiałem poprzestać na chlebie od towarzyszów kupionym. Szczęściem byli oni zaopatrzeni w paliwo, palił się więc całą noc ogień, przy którym mój pakunek suszyłem, jak mogłem.

Następnego dnia w Syrakuzie obchodziłem przez dwa dni ciekawe zabytki dawnej Grecyi. Poznałem i kilku mieszkańców, do których miałem listy. Ogólne tam było gorzkie narzekanie na przyłączenie Sycylii do Neapolu. Sycylijczycy twierdzili o sobie, że są innym o wiele wyższym narodem. Konsul moskiewski w Messynie już mi mówił o takiem całej Sycylii usposobieniu i wnioskował z niego, że mieszkańcy powinni wezwać opieki Moskwy.

Ze wstydem muszę wyznać, że tyle zakosztowawszy tej podróży, straciłem ochotę posuwania się dalej. Postanowiłem niepysznie wrócić do Messyny tą samą drogą,

bo między morzem a Etną innej nie było, a na Etnę w tej porze roku dostać się niepodobna. W powrocie z Syrakuzy do Katany te same napotkałem trudy, co poprzednio, z tą tylko różnicą, że brodów przez rzeki szukałem nieco dalej od morza. Z Messyny do Neapolu musiałem osobny nająć dla siebie żaglowy statek.

Zwiedziłem Charybdę i Scyllę, Wezuwiusz, Pompeję, Herkulanum, muzea Neapolu, poznałem nieco towarzystwa, ale z tego mało mi zostało wspomnienia. Jeden tylko stary jenerał Pepe, który przeważną rolę grał w rewolucyi 1821 r., ujął mnie, zainteresował i do rzewnego pobudził współczucia, gdy zwierzał się mnie, młodemu Polakowi, z doznanych cierpień za sprawę narodu, a zwierzał się bez nadziei, bo w własnym narodzie nie widział cnót, któremi na lepszą przyszłość dałoby się zapracować.

Nieraz w późniejszem życiu, w najboleśniejszych przejściach naszej narodowej sprawy, wspomnienie jenerała Pepe uzbrajało mnie w cierpliwość, wytrwałość i powstrzymywało od narzekania. Jego boleść nad stanem ukochanej przez niego ojczyzny o tyle była cięższą do zniesienia, że zwątpił o możności dźwignienia jej z upadku i upodlenia. Polak, wśród klęsk najokropniejszych, podobnego zwątpienia nie zna. Nie doznałem nigdy obawy, aby nam wytrwania zabrakło, by naród nasz przez wszystkie czasy i próby nie pozostał wierny samemu sobie. Miałem zawsze wiarę w naszą zacność i niepokonaną ofiarność dla odzyskania niepodległości. W tem jednem na wszystko znajdowałem pociechę. Czemuż nie mogłem ufać podobnie, że się u nas okaże potrzebna rozwaga i polityczna mądrość i że one wyrobią u nas potrzebne do podźwignienia się cnoty?»

W czasie podróży Zamoyskiego na południe rozeszła się wieść o śmierci Nowosilcowa. Zamoyski pod wrażeniem tej pogłoski, która się później okazała fałszywą [1]), napi-

[1]) Nowosilcow umarł w 1838 r.

sał w styczniu 1830 r. dla paryskich dzienników artykuł następujący:

«Śmierć uwolniła nas od człowieka, który, wraz z kierownictwem wychowania w zabranych prowincyach, łączył stanowisko carskiego komisarza przy rządzie warszawskim; był to, inaczej mówiąc, dozorca naszego rządu. Hrabia Nowosilcow, jak to wynika z niejasnych stanowisk i nieokreślonych obowiązków, wymyślał rozmaite niebezpieczeństwa, któreby usprawiedliwiły jego obecność przy rządzie. Jako naczelnik szkół na Litwie i na Wołyniu, miał szerokie pole do upatrywania w Polakach, wszelakiego stanu i wieku, ducha buntowniczego i do katowania tych, których o ducha takiego posądzał, nie oszczędzając nawet dzieci.

Nie mamy na myśli mszczenia się na jego pamięci zarzutami, na które nie mógłby już odpowiedzieć. Nie chodzi nam o przeszłość, ale chodzi o przyszłość. Chodzi o to, czy cesarz zamianuje innego komisarza, bo w takim razie przyszłoby nam opłakiwać zmarłego. Są stanowiska, które z konieczności prowadzą do niecnych postępków. Prawdę powiedziawszy, władza szkodzenia nam, jaką Nowosilcow ze stanowiska swego posiadał, pod koniec osłabła ale było to skutkiem pogardy, jaką ściągnął na siebie prywatnem życiem. Stracił on wiarogodność nawet w oczach cara, a to paraliżowało go na stanowisku, na którem z urzędu był naszym oskarżycielem.

Przed piętnastu laty zreorganizowanie kraju na obecnych warunkach mogło budzić wątpliwość o naszem usposobieniu dla nowego porządku rzeczy i tłomaczyć potrzebę takiego urzędnika. Czyż teraz po piętnastu latach, po tylu dowodach przywiązania naszego do zasad, na których obecny stan rzeczy się opiera, i wierności wobec rządu, czyż potrzeba jeszcze takiego urzędu i takiego urzędnika?

Jeżeli są istotne powody do podejrzywania nas, kogoż o to winić, jeżeli nie urzędnika, którvby stracił swoje znaczenie i racyę bytu z chwilą, gdyby przyszło

do porozumienia między wspaniałomyślnym monarchą a wdzięcznym narodem! Ufajmy, że cesarz nie takie wywiózł wrażenie z pobytu w naszej stolicy. Taka podejrzliwość niezgodnąby była z jego szlachetnością. Zdaje się przeciwnie, że cesarz hamował własne oburzenie na Nowosilcowa, ze względu na w. xięcia, którego Nowosilcow to podżegał, to był narzędziem. Xiążę ten, po ojcu swoim, cesarzu Pawle, odziedziczył tylko nieszczęsny niepokój ducha.

Ufajmy, że blizki przyjazd cesarza na otwarcie sejmu, od zbyt dawna odraczanego, będzie poprzedzony wiadomością o zniesieniu szkodliwego a niepotrzebnego rozporządzenia, którego nieszczęsne skutki długo pozostaną w pamięci naszej.

Ze śmiercią Nowosilcowa opróżnia się i drugie jego stanowisko. Cesarz na jego miejsce zamianować musi nowego inspektora szkół na Litwie i na Wołyniu. Od tego wyboru zależeć będzie przyszłość prowincyi, obecnie tak nieszczęśliwych. Wybór ten budzi tutaj najwyższe zajęcie zarówno jak najboleśniejszy żal z opóźniającego się przyłączenia tych prowincyi do Królestwa Polskiego. Sami Rosyanie, pierwotnie przeciwni temu przyłączeniu, zaczynają uznawać, że ono jest środkiem niezbędnym, a niechybnym, do braterskiego porozumienia między Rosyą a Polską.»

W Neapolu Zamoyski otrzymał przedłużenie urlopu na trzy miesiące. Z początkiem stycznia dojechał do Rzymu i tam zastawszy listy z Warszawy, na jeden z nich młodszemu bratu odpisuje:

«..... Dziękuję Wam za radość, jaką mi Wasze listy sprawiły, i za ufność i przyjaźń, jaką mi okazujecie; prawdziwe szczęście mi to sprawia. Czuję, jak wielkie to na mnie wkłada obowiązki, ale się ich nie obawiam, bo Was kocham z duszy. Nie ja, mój drogi, wezmę Ci za złe potrzebę kochania, którą tak silnie czujesz. Szukałem i ja od pierwszej młodości przyjaciela. Dotąd go nie

znalazłem i nie śmiem ręczyć, byś miał być ode mnie szczęśliwszym, kiedy mnie za przyjaciela obierasz, bo nie wiem, czy potrafię Twoje żądania i nadzieje zaspokoić. W czem Cię jednak nie zawiodę, to w szczerem, zupełnem, przyjacielskiem przywiązaniu i chęci poświęcenia Ci wszystkiego, czem Ci służyć mogę.

Piszesz, żeś namiętny okropnie. Jeżeli się nie mylę, to tym drugim wyrazem piętnujesz pierwszy, i tak być powinno, bo namiętność jest przesadą, a tem szkodliwszą, kiedy się odnosi do uczuć dobrych i szlachetnych, bo bardziej jeszcze zaślepia i łudzi. Nie bądź namiętnym nawet w tem, co dobre i szlachetne, strzeż się samego wyznania, że nim jesteś. Człowiek namiętny nigdy za siebie ręczyć nie może. Namiętność przeciwna jest cnocie. Zło i dobro równie dostępne duszy ludzkiej, ale pod wpływem namiętności stać się może, że zło weźmie górę nad dobrem. Wpadam w metafizykę, a to nie mój fach, po prostu powiedziawszy nie daj się unosić wyobraźnią, trzymaj się «poczciwej chwały, poczciwej cnoty». Na zmartwienie i odosobnienie bądź wytrzymały. Za to jedno, że pod przewodnictwem Stanisława Rzewuskiego pracujesz, już Cię podwójnie kocham. Korzystaj z niego, bo ja Ci tak nie pomogę, jak on potrafi; i za to Cię kocham, że tak ze starszymi jak z równymi dobrze Ci idzie. A widzisz! Oni się podobno niewiele odmienili, więc poprzednio czyja była wina?

Mnie uznano za chorego, przeto wśród zimy kazano mi jechać mil trzysta. Nowa metoda leczenia. W istocie powietrze tu bardzo mi posłużyło. Jednak w Rzymie znacznie zimniej, niż w Neapolu. Góry tak są śniegiem zawalone, że trudno będzie przejechać. Posyłam świadectwo doktora, żeby mnie tłomaczyło, jeżeli się opóźnię...»

«Na początku lutego 1830 r. zjechałem do Rzymu, gdzie cały przepędziłem miesiąc. Zwiedzałem z wielkiem upodobaniem starożytności, galerye, muzea, kościoły. Ale

zwiedzałem z uczuciem, któremu dziś niemało się dziwię. Była to w istocie chwila w życiu mojem największego odrętwienia duszy, a najżywszego zajęcia się tem wszystkiem, co do tego świata należy. Dość powiedzieć, że przez miesiąc pobytu w Rzymie nie tylko na myśl mi nie przyszło, by się postarać o widzenie ojca świętego i o błogosławieństwo jego, ale nawet nie zapytałem, który papież panuje. Tak byłem zajęty sprawami i boleściami własnego kraju, iż żadne inne zajęcie do duszy mojej przystępu nie miało. O wspólności sprawy krajowej ze sprawą Kościoła, o nierozdzielności tego, co ziemskie, z tem, co boskie, zapomniałem wówczas zupełnie. Sądząc po niektórych pozorach, wystawiałem sobie, że wiara katolicka politycznie mniej od protestanckiej usposabia ludy do rozwijania swobód i pomyślności.

W Rzymie żyłem głównie między rodakami, których tam było niemało. Byli mianowicie dwaj bracia, Alfred i Artur Potoccy z żonami. Obaj służyli za X. Warszawskiego; znałem ich od dziecka, że jednak żadnych nie zajęli krajowych urzędów, stosunek mój z nimi, mimo to że znacznie ode mnie byli starsi, był swobodny jakby z równymi. Artur szczególnie był dla mnie przyjacielski. Kochał się w sztukach pięknych, woził mnie po galeryach i artystach. Zamieszkiwał on od 1815 r. Kraków i poblizkie Krzeszowice; z rodu, majątku, stosunków, serdecznego polskiego usposobienia, a przytem dowcipu i szczodrobliwości, nie miał sobie równego w Rzeczypospolitej krakowskiej. Wypytywałem go szczegółowo o sprawy wolnego miasta. Traktat wiedeński tę jedną piędź ziemi obdarzył niepodległością, wprawdzie pod wysokim protektoratem trzech wrogów Polski. Ale Kraków, prócz rządu własnego, prócz senatu i prawodawczej izby, posiadał akademię Jagiellońską, do której trzy sąsiednie dwory zobowiązały się zostawić wolny przystęp swoim poddanym. Był więc Kraków polem, na którem obywatelską cnotą wielkie można było zdobywać korzyści dla

całej Polski. Wymawiałem Potockiemu, że nie został nowożytnym Peryklesem Rzeczypospolitej krakowskiej, skoro takie miał zamiłowanie do sztuk pięknych i tak hojną pomoc niósł artystom. Artur tłomaczył się brakiem zdrowia, jakoż następnego roku w czasie powstania mimo wszelkich usiłowań nie mógł w niem wziąć czynnego udziału i wnet życie zakończył. Bądź co bądź, brak zdrowia nie był jedynym powodem. Razu jednego, na moje zarzuty odpowiedział Potocki z niecierpliwością, że któregoś roku, gdy się ważyły nieobojętne dla wolnego miasta sprawy, chcąc wpłynąć na obrady i postanowienia, sprosił głównych obywateli Krakowa na śniadanie, mówił do nich żarliwie, ale bez skutku, usłuchać nie chcieli. «I cóżem miał z nimi począć? Spróbowałem, znudzili mnie, więc dałem pokój.»

Ileż to u nas magnatów ogranicza się na podobnem wysilaniu dla sprawy kraju, raczą przemówić, zdanie swoje wyłożyć ludziom, z którymi poza sprawami publicznemi nie mają stosunków. Zaproszą na ucztę lub polowanie, a gdy ich za swojem zdaniem nie pociągną, zrażeni mniemają, że dopełnili obowiązku, zaspokoili sumienie, mogą już na tem poprzestać i zajmować się własnemi sprawami, nie zaś potrzebą publiczną. Wyższe stanowiska, większe mienie, szczęśliwsze warunki bytu, jak mogą stać się środkami i narzędziem do służenia krajowi, tak w początku mogą być przeszkodą, bo budzą podejrzenie, że ci, co te warunki posiadają, chcą się narzucić, nie zdobywszy sobie prawa do tego osobistą zasługą. Słusznie mówił mi w dwa lata później x. Orleanu, młody następca tronu francuskiego: «Trzeba zdobyć sobie przebaczenie, że się jest xięciem.» Ci, co o tem zapominają, nie znają serca ludzkiego i samochcąc pozbawiają się korzyści, jakieby dla sprawy i dla samych siebie zdobyć mogli, gdyby spokojnie wytrwali w wypełnianiu tego, co się ojczyźnie należy, i za co niezawodnie w danym razie przyjdzie i uznanie.

Poznałem w Rzymie xiężnę stolnikową, z Jabłonowskich Czartoryską, wdowę, matkę pięciu córek: pani Janowej Potockiej, xiężny Eustachowej Sanguszkowej, xiężny Henrykowej Lubomirskiej, jenerałowej Stanisławowej Rzyszczewskiej i pani Alfredowej Potockiej, właśnie przebywającej wówczas w Rzymie wraz z mężem. Siostra x. stolnika, Konstancya, Andrzejowa Zamoyska była moją babką, stąd powinowactwo moje z xiężną stolnikową i obowiązek złożenia jej uszanowania w klasztorze, w którym sobie obrała ostatnią w życiu rezydencyę. Była to wielka pani XVIII wieku. Nie wiem, czy kiedy przemówiła przy mnie po polsku; w rozmowie nie wychodziła poza wspomnienia rodzinne, niezmiernie była żywa, uprzejma, ale próżna i płocha, chociaż zamieszkanie w klasztorze świadczyło, że na starość chciała być pobożną.

Przebywał także w Rzymie wówczas wielki pan polski z XVIII wieku, x. Stanisław Poniatowski, bratanek króla[1]). Do ostatniego rozbioru Polski, który go w całej sile wieku zastał, i przez peryod napoleoński żył on za granicą, dla siebie, nie biorąc żadnego w sprawach ojczystych udziału. Brakło mu więc tego, coby mnie przedewszystkiem ująć mogło dla człowieka tak ściśle z przeszłością Polski związanego. — Tyle jednak musiałem mu przyznać, że godność osobistą względem Rosyi zachował. Kiedy król Stanisław przyjmował w Petersburgu niewolniczą gościnę, Katarzyna napróżno starała się ściągnąć x. Stanisława do Petersburga; nie tylko się wymówił od wszelkiego z dworem moskiewskim stosunku, ale sprzedał wielkie po ojcu majątki i za granicę się wyniósł. Najprzód został poddanym Austryi, następnie papieża. Starożytnościami i pięknemi sztukami pocieszał się po stracie ojczyzny. W Rzymie miał piękny pałac, dużo pięknych obrazów i słynny zbiór numizmatów.

---

[1]) X. Stanisław Poniatowski był synem Kazimierza, najstarszego brata króla Stanisława Augusta.

Rozmowa x. Poniatowskiego o panowaniu Stanisława Augusta o tyle bardziej była zajmująca, że należał on do ostatnich przedstawicieli stronnictwa, które o swoich zapatrywaniach i zasadach mało na piśmie zostawiło śladów. Nie było już nikogo z tego stronnictwa, coby tak uporczywie, jak on, bronił tych zapatrywań. Stronnictwo to, jak wiadomo, usprawiedliwiało się niemocą Polski, przemocą Moskwy, stąd oskarżanie o szaleństwo tych, którzy jeszcze wierzyli, że reformą krajowej ustawy ojczyznę można dźwignąć i do nowej siły podnieść. Nie przekonał mnie, ale wyznam, że mnie mocno zajęły z ust żyjących słyszane wywody o względach, jakiemi naówczas powodowali się pewni ludzie, może nawet szczerych przekonań, chociaż im historya nie przyznaje czystych pobudek. Opowiadał mnóstwo anegdot. Dziwnie, nawet zabawnie, brzmiała w uszach moich nazwa «smarkacza», jaką w rozmowie ze mną przezywał zmarłego przed ośmiu laty, w dziewięćdziesiątym roku życia, ciotecznego brata swego ojca, a mego dziada, x. jenerała Czartoryskiego. W rozmowie jego odczuć się dawała żywość zaciętej przed pięćdziesięciu laty walki zdań, jaką z tym krewnym a przeciwnikiem toczył. Niepodobna było nie uznać pewnej słuszności w zarzutach, jakie czynił stronnictwu, które za panowania Stanisława Augusta przemogło, zemstę Katarzyny wywołało, a w przymierzu z Prusami spodziewało się znaleźć ubezpieczenie. Stronnictwo to w oczach strony przeciwnej odpowiedzialne było za klęski, sprowadzone przeniewierstwem Prus. Nietrudna była odpowiedź, której jednak sędziwy i poważny starzec ode mnie nie usłyszał.

Główny zarzut przeciwko drodze niby pośredniej, niby roztropnej, jaką doradzali król i powiernicy jego, był ten, że nie dawała ona, rzecby prawie można, pola do rozwoju cnót obywatelskich. Zepsucie wprowadziło Polaków na tę drogę, zepsucie, w samymże narodzie wylęgłe, jak i z zewnątrz przez obcych wnoszone, które tylko do spodlenia

i ostatecznego upadku doprowadzić mogło. Nie byłoż przeto zacniej i mądrzej choćby rozpaczliwej chwycić się drogi, choćby się narazić na nieunikniony zawód, na ostateczny rozbiór, byle w ostatniem tchnieniu życia swego naród okazał zwrot ku samowiedzy i poprawie politycznej, byle świetnem udowodnieniem mądrości i cnoty zdobył przed światem i potomnością wyrok sumienia ludzkości, piętnujący dzieło rozbioru, jako największą zbrodnię.

Odpowiedź ta dziwne otrzymuje stwierdzenie. Mimo nieobliczonych klęsk, mimo wymazania imienia Polski z rzędu istniejących państw, naród polski zawsze żyje, zawsze do walki gotów, i nie tylko że nie jest zapomniany, ale sobie zdobył o wiele wyższe ogólne uznanie. Zacność i mądrość Polaków, okazane przez konstytucyę Trzeciego Maja, rozbudziły w narodzie jakby nowe życie, a nieprzerwany odtąd szereg ofiar świadczy o jego niespożytej żywotności, o jego wytrwałości, o rosnącem w nim uzdolnieniu do niepodległości i samorządu. I tak naród zmusza samychże wrogów do uznania, że ostatecznie zgnębić się nie da, że w danym czasie do pełności politycznego życia powróci niechybnie.

Warto też zastanowić się nad różnicą między środkami, do jakich się uciekano za Stanisława Augusta dla przedłużenia jakokolwiek bytu Polski pod opieką Moskwy, a temi, których się chwytano dla jej wskrzeszenia po dokonanym rozbiorze. Wówczas przekupstwo, sprzedajność, wewnętrzne rozterki, sąsiedzkie najazdy, prowadziły do coraz gorszego spodlenia narodu i ubezwładnienia korony, do coraz wszechwładniejszych rządów napół dzikiego posła moskiewskiego. Przeciwnie, męstwo, obywatelska mądrość i cnota narodu przed samym rozbiorem, niemniej zaprawdę od następnych wojen i powstań, wróciły mu cześć i sprawiły, że ktokolwiek następnie myślał o przywróceniu Polski do życia, nie szukał już drogi zepsucia i spodlenia. Ktokolwiek chce ją dziś ratować z pod drapieżnej wszechwładzy moskiewskiej, nie o co

innego, jak o sprawiedliwość, domaga się dla niej. Kto sądzi, że podobne jest i pożądane zbratanie Polski z Moskwą, ten dzisiaj nie pojmuje stosunku inaczej, jak opartego na uznaniu przedewszystkiem, że rozbiór był zbrodnią, i na uszanowaniu zobopólnych praw i obowiązków, czego wymaga i sprawiedliwość i dobrze zrozumiany interes obu narodów.

Do najdroższych wspomnień mego pobytu w Rzymie liczę pierwsze moje spotkanie z Mickiewiczem. Znałem go, jak każdy Polak, z Dziadów i Sonetów; Wallenroda umiałem prawie całkowicie na pamięć, tak mi do duszy trafił. Znałem Mickiewicza i z niedawnej przedmowy do drugiego wydania dzieł jego, która mi niemiłe zostawiła wrażenie, gdyż przebijało się w niej gorzkie rozdrażnienie przeciwko Warszawie i wszystkim, co w niej słynęli literacką powagą; wynikało ono może w części z porównania warszawskich krytyk z zachwytem, jaki mu na wygnaniu okazywali Moskale. Rozdrażnienie to przecie, gdym go osobiście poznał, w poważniejszem świetle mi się przedstawiło. Zrozumiałem, że poeta pisał nie tylko pod wpływem obrażonej miłości własnej, ale i pod wpływem surowego sądu na warszawską politykę. Ganił zapędzanie się opozycyi warszawskiej na drodze niedowarzonego parlamentaryzmu. Ubolewał nad walką prowadzącą przy tak nierównych siłach do nieuniknionej klęski. Zadziwiał mnie tak surowym sądem; zdania podobne słyszałem w Warszawie prawie od jednego tylko ojca mojego. Zadziwiła mnie i do zastanowienia pobudziła tak niespodziewana dla mnie wytrawność polityczna w wieszczu, któregom całą duszą uwielbiał. Wytrawność ta pochodziła z głębokiej, sumiennej, rzetelnej miłości ojczyzny, która to miłość odkrywała mu prawdę i dawała wszechstronne jasnowidzenie. Niejednokrotnie też w życiu, w najgoretszych chwilach, wspomnienie o Mickiewiczu i tak trzeźwym sądzie jego ośmielało mnie, wbrew powszechnym prądom, do postanowień rozważnych, dodawało pewności i równowagi.

Zawdzięczam spotkaniu z Mickiewiczem inną jeszcze korzyść, może najważniejszą. Poznać osobiście autora Konrada Wallenroda i Ody do młodości, zbliżyć się do niego, zajrzeć do jego duszy, napotkać w nim polityczną miarę i rozwagę, było już dla mnie wielką nauką i pociechą. Cenniejszą jeszcze dla mnie stał się nauką widok jego wiary i pobożności, kiedym sam wówczas był na nie obojętny. Pozostało mi stąd głębokie i niezatarte wrażenie. Miotanemu namiętnościami młodego wieku, obowiązki chrześcijanina ciężarem mi się wydawały, ciężarem tym większym, żem wiary nie był stracił i że świętość tych obowiązków uznawałem. Co większa, pozostawałem wtedy i przez kilka lat jeszcze potem w mniemaniu bardzo, niestety, powszechnem między katolikami, że Kościół, potępiając wszelki bunt przeciwko istniejącym władzom, utwierdza jarzmo, jakiem nas Polaków obca przemoc tłoczy, że Kościół zabrania wszelkich usiłowań do wybicia się z pod tego jarzma, -że w żadnym razie nie pozwala podwładnym zrzucać z siebie władzy, choćby popełniającej najsroższe nadużycia.

Każdy wiedzieć może i powinien, że nie taką jest nauka Kościoła i że nigdy taką nie była. Ja przecież tego nie wiedziałem. Prawda, że Kościół w istniejącej władzy, choćby występnej, widzi dopuszczenie boże, że przeto jednostkom lub garstkom ludzi nie przyznaje prawa porywania się samowolnie przeciw istniejącemu porządkowi. Prawda, że chrześcijanie pierwszych wieków, czy to z powodu że byli w małej liczbie, czy to dla okazania w jaśniejszem świetle górującej ponad wszystko miłości chrześcijańskiej, czy też dla świadczenia o prawdzie męczeństwem, znosili cierpliwie prześladowanie lub ratowali się ucieczką. Niemniej przecież, niezliczone orzeczenia Kościoła głoszą przez wszystkie wieki, że niesprawiedliwej władzy nie tylko wolno, ale i należy się oprzeć, po pierwsze, kiedy ta władza gwałci prawa boskie lub kościelne, po drugie, kiedy poczucie krzywd i chęć zapobieżenia im są

tak ogólne, że w głosie ludu istotnie objawia się głos boży, a nareszcie, jeżeli pora do powstania jest właściwa, to jest kiedy są środki po temu, ażeby, władzę nieprawą obaliwszy, nową postanowić.

Dziś dla mnie nauka Kościoła jest jasną, ale wówczas, kiedym liczył lat dwadzieścia sześć, była mi ona nie dającą się rozwiązać zagadką. Brakło mi światła, brakło mi przedewszystkiem woli, żeby to światło pozyskać. Widok Mickiewicza, jego wiara, przywiązanie do Kościoła, umocnienie przez wiarę w samejże miłości ojczyzny, wszystko to obudziło we mnie jakby pierwszy domysł, że nie tak trudno, jak mi się to zdawało, pogodzić najgorętsze uczucia Polaka z równie gorącem zamiłowaniem i wiernem przestrzeganiem nauki Kościoła. Utkwiło w sercu mojem zdrowe ziarno, ale pobyt mój w Rzymie zanadto skrócić musiałem, ażeby to ziarno na razie wzrość i dojrzeć mogło.

Zbliżał się koniec mego przedłużonego urlopu. Rad nie rad, musiałem wśród zimy przedsięwziąć długą i mozolną podróż weturynem ku północy. Czas miałem tak krótki, żem zaledwie przebiegł główne ciekawości w przejeździe przez Peruggię, Siennę, Florencyę, Bolonię i Padwę, gdzie miło mi było widzieć po dziś dzień przechowane wspomnienia po Janie Zamoyskim.

Wenecya wzbudziła we mnie głębokie i bolesne współczucie. Zdawało mi się, że widzę w niej jakby siostrę naszej niegdyś rzeczypospolitej: jak ona między narodami świetna, rycerskiemi czyny wsławiona, jak ona pod koniec zapadła w uśpienie i zamordowana. Z podwójną też uwagą i rzewnem wzruszeniem oglądałem wszystko, co z jej przeszłości w dniach kilku obejrzeć się dało. Trudno mi było od niej się oderwać; łagodne powietrze, nieporównana cichość tego miasta, przeciętego samemi wodnemi ulicami, dziwny mu urok nadają. Po tych kanałach przesuwają się gondole w głuchem milczeniu, przerywanem tylko przeciągłym i ponurym głosem

gondolierów, przestrzegających się wzajemnie na skrętach ulic. Gondole są czarne, bo tak niegdyś postanowiła rzeczpospolita, ażeby zbytek powstrzymać! Żal mi było pięknej pogody i nie chciało mi się dalszej drogi za Alpy, gdzie mnie zima czekała. Ruszyłem przecież, bo naglił koniec urlopu.

Z Wenecyi popłynąłem do Tryestu. Z Tryestu do Wiednia jechałem lichym, brudnym austryackim «eilwagenem». W Wiedniu nie miałem zamiaru się zatrzymywać; tylko w przejeździe chciałem odwiedzić wuja, x. Konstantego Czartoryskiego. Inaczej się stało. Zastałem w Wiedniu zawiadomienie, że mi w. xiążę pozwala jeszcze sześć tygodni, to jest do pierwszych dni kwietnia, bawić za granicą. Żałowałem bardzo, że mnie ta wiadomość nie doszła we Włoszech, nadewszystko też w Rzymie, ale nie czas już było o tem myśleć.

Pobyt w Wiedniu starałem się choć w inny sposób zużytkować. U wuja i w kilku polskich domach znalazłem miłe przyjęcie. Zwiedzałem zakłady i szkoły wojskowe. Poselstwo rosyjskie chętnie mi ku temu dawało pomoc, nie tylko jako adjutantowi carewicza, ale i z powodu bardzo życzliwej dla mnie pani posłowej, rodem Polki, niegdyś zawołanej piękności, pospolitego wychowania, w gruncie dobrej kobiety, ale bardzo płochej [1]). Bawiłem się w tym świecie wiedeńskim, gdzie wszyscy uprzejmie wspominali moich rodziców.

X. Metternichowi ciekawie się przypatrywałem, choć za powszechnem idąc uczuciem, zbliżałem się z niechęcią do niego. Nie przewidywałem, że przyjdzie czas, kiedy, lepiej się rozpatrzywszy i dokładniej poznawszy rolę jego w nowożytnej historyi, porównywując go z innymi mężami stanu Europy, wyżej go nad innych postawię. Nie przewidywałem, że, zwłaszcza jako Polak i w stosunku do sprawy polskiej, zmuszony będę uznać, że

---

[1]) pani Tatiszczew.

x. Metternich i równie okrzyczany dyplomata x. de Talleyrand, bez porównania godniej i rozumniej w sprawach Europy występowali, niż wszyscy inni różnych narodów pełnomocnicy na kongresie wiedeńskim. Prawda, że jeden i drugi zdania niejednokrotnie zmieniali według okoliczności; że z trudnościąby się można powołać na którąkolwiek przez nich głoszoną zasadę, żeby jej w danym razie czynem nie zaprzeczyli, wychodząc z zasad wręcz przeciwnych. Niemniej przecież, wobec tak powszechnego ulegania li tylko przemocy, bez względu na prawa międzynarodowe, zostały po nich słowa i pisma, które na ich zaszczyt w obronie sprawiedliwości przytoczyć się dają, a przez to stawiają ich wyżej od innych współczesnych dyplomatów.

Ale ze wszystkich ludzi otoczonych historycznym rozgłosem, których w Wiedniu napotkałem, najwięcej mnie zaciekawił i pewne nawet współczucie we mnie obudził — arcyxiążę Karol. Dzieła jego wojskowe dobrze znałem z uważnego czytania, podziwiałem czyny wojenne, którym uznania odmówić nie można, mimo to, że przez Napoleona był zwyciężony. Odpowiedzialność za niepowodzenie spada w części nie na arcyxięcia, ale na sławną z klęsk austryackich Radę dworu, która pozbawiała wodzów naczelnych potrzebnej im swobody. Nadewszystko ceniłem w arcyxięciu Karolu okazywaną przez niego w najrozmaitszych okolicznościach szlachetność. Przymiot ten, zwłaszcza między Niemcami, rzadki, okazywał arcyxiążę i w stosunkach z Polakami, których zawsze chętnie miewał przy swoim sztabie. Dla tego też choć mi nie przyszło na myśl przedstawiać się u dworu, postarałem się o przyjęcie u tego jednego arcyxięcia. Nie domyślałem się, że zwrócę tem uwagę dworu, o czem się później dopiero dowiedziałem. Z rozmowy z arcyxięciem Karolem już nic nie pamiętam, prócz tego, że był ostrożny w słowach, że chwalił Polaków, służących w armii austryackiej, a mianowicie pułkownika Gorzkowskiego, później jenerała dywizyi jazdy.

W Wiedniu osiadły od lat wielu wuj mój, xiążę Konstanty Czartoryski, w mieście zajmował pałac najęty, pod miastem miał willę zwaną «Weinhaus». Wuj kochał się w pięknych obrazach i podczas kilkoletniego pobytu we Włoszech nabył ich kilkanaście bardzo cennych. Tak jak xiążę Stanisław Poniatowski, usunął się on od lat wielu od wszelkiej krajowej służby, a najprzód od moskiewskiej, do której wraz z bratem Adamem wstąpić był zmuszony, na żądanie carowej Katarzyny. Zaraz po wstąpieniu na tron Alexandra opuścił dwór i służbę, ale wspomnienia petersburskie były mu długo przedmiotem zabawnych opowiadań, mianowicie z czasów Pawła. Pamiętam, jak opowiadał o jednej z niezliczonych tegoż niedorzeczności: Car zwykł był z okna pałacu patrzeć na przechodzących, a jak tylko u którego coś dopatrzył, co mu nie było do smaku, wołał adjutanta, kazał biedz za wskazaną osobą i oświadczyć jej od cara, «że jest taka... lub owaka...», a przymiotników nie dobierał. Zdarzało się, że tak wybraną ofiarą była osoba wyższego stanu lub wyższego stopnia w wojsku. Łatwo pojąć, od jakiej przedmowy adjutant stopnia niższego rozpoczynać musiał dopełnienie danego sobie zlecenia; niemniej łatwo wyobrazić sobie, jakie uczucia wzbudzały te carskie powitania w tych, co byli ich przedmiotem. X. Konstanty Czartoryski po wyprawie na Moskwę, w której wziął udział, zaliczony został w 1815 r. do wojska polskiego w stopniu jenerała i mianowany adjutantem cesarza Alexandra, ale służby już żadnej nie pełnił; resztę życia przepędził we Włoszech, a koniec w Wiedniu. »

Z Wiednia jeszcze, przed końcem urlopu, Zamoyski pisał do xięcia Adama Czartoryskiego:

«22 marca 1830 r.

...Mówią, że nasz sejm zbierze się w maju, że Lubecki przedstawi budżet konstytucyjny. Jeżeli to prawda, trzeba mu będzie pomnik postawić; od podróży po Wło-

szech już tylko o pomnikach marzę... Co do mego zdrowia, gdy powrócę, śmiać się będą z mojej choroby; trochę wypoczynku, zapomnienia, rozrywki, dziwnie mi posłużyły. We Florencyi kilka dni w najprzyjemniejszy sposób przebyłem; szczególniej ranki, przepędzane u Ciampi, dały mi sposobność niejedno widzieć i niejedną pożyteczną rzecz zrobić. Byli tam też xiążę Ogiński i xiążę Stanisław (Jabłonowski?). Jakie różne charaktery!..

Czy Wuj wraca do Rady? Mnie się zdaje, Wuju kochany, że u nas nic dobrego bez tego się nie zrobi. Wyznaję, że trzeba taką mieć wiarę w to, co Wuj postanawia, jaką mam, żeby nie żałować każdej chwili opóźnienia...«

XII

WARSZAWA PRZED POWSTANIEM

«Urlop mój zbliżał się ku końcowi. Z liczby dni potrzebnych na powrót do Warszawy odliczyłem tylko dzień jeden na zwiedzenie pola bitwy pod Austerlitz i dwa dni na pobyt w Krakowie.

Kiedym się stawił przed w. xięciem, przyjął mnie bardzo uprzejmie ze zwykłą, kiedy był dobrze usposobiony, wesołością. We mnie, natomiast, zbliżenie do niego zawsze budziło jakąś odrazę i skłonność do przekory, o ile to było możliwe. Wypytywał mnie o moją podróż, o różne wojska, które widzieć miałem sposobność; chciał się dowiedzieć, któremu bym przyznał wyższość. Wiedziałem, że w jego oczach ta wyższość polegała na postawie i musztrze, więc przyszła mi psotna myśl powiedzieć, że, co do marsowej postawy, najpiękniejsze jest wojsko papieskie. Była to po części prawda, bo istotnie inne regularne wojska, a najbardziej pruskie, uderzały mnie po największej części zbytnią młodością żołnierza; w wojsku państwa kościelnego przeciwnie, napotkałem wielu wiarusów dojrzałego wieku, wąsali z napoleońskich czasów, ozdobionych szewronami, świadczącemi o dwudziestu latach służby, a często i legią honorową. Ale w. xięciu, który nie pytał o tłomaczenie, zdanie moje zapewne wydało się tylko żartem, którego nie chciał

zachęcać. Nie przypuszczam, aby w nim upatrzył przycinek, jednak rozmowę przerwał i długo potem żadnej ze mną nie wszczynał. Niebawem przecież znowu zdarzyło mi się zetrzeć z nim w zdaniach najniespodziewaniej w świecie.

Umarł po wielkich cierpieniach i ciężkich operacyach jenerał dywizyi Albrecht, dowódca konsystującej w Warszawie dywizyi jazdy, złożonej z trzech pułków rosyjskiej gwardyi i jednego strzelców konnych polskiej gwardyi. Był to za młodu oficer świetny, pięknej urody, między Moskalami zawołany rycerz z popisów tak w boju, jak w buduarach. W. xiążę go lubił i więcej jemu niż innym przebaczał przekroczenia w szczegółach służby. Miał zapewne na względzie jego rany i stan zdrowia. W dzień jego pogrzebu byłem przy w. xięciu na służbie. W. xiążę odprowadził zwłoki na cmentarz, poczem, wsiadłszy do kolaski, rzekł do mnie urywanemi, jak zwykł, słowami: «Waleczny żołnierz... dobry człowiek... byłby zasłużył na lepszą śmierć!...» Gdy przerwał i dłużej się nad tem zastanawiał, a ja, chcąc potakującem słowem współczucie okazać, dodałem: «Tak, śmierć od kuli armatniej...», w. xiążę w tejże samej chwili dokończył: «Spokojną śmierć w łóżku.» Zdawało się, jak gdybyśmy czołem w czoło wpadli jeden na drugiego. Nastąpiło długie milczenie.

Właśnie kiedym wrócił z podróży, Warszawa gotowała się na sejm, czwarty od założenia Królestwa, pierwszy za panowania Mikołaja. Powszechne było pytanie, jak się sejm odbędzie, jakie stanowisko zająć mają izby wobec tylu i tak krzyczących zgwałceń konstytucyi, a najprzód, czy poddać się wprowadzonemu samowolnie artykułowi dodatkowemu. Nie brakło w składzie rządu i sejmu ludzi wybitnego znaczenia, jeden wszakże w tę porę zaważył wpływem swoim nad innymi: był nim mój ojciec. O niego oparła się pierwsza, przygotowawcza czynność sejmowa, tak zwane rugi, czyli rozbieranie przez senat, którego mój ojciec był prezesem, prawomocności

wyboru posłów i deputowanych[1]), tak ziemskich jak miejskich. W naradach o tem senatu zaszły wątpliwości, które wpływ prezesa potrafił tak rozwiązać, jak tego pragnął rząd, a bardziej jeszcze w. xiążę, zawsze gwałtownemi uprzedzeniami powodowany. Był to ze strony senatorskiej izby dowód wielkiej dla mego ojca powolności, bo jednocześnie ulica poczynała już głośno i groźnie okazywać także swoje uprzedzenia.

Było przytem, głównie między posłami z kaliskiego województwa, rozdrażnienie wielkie z powodu niesłychanego nadużycia, popełnionego względem ich kolegi, posła Wincentego Niemojowskiego, który od wielu lat we własnem mieszkaniu na wsi, pod strażą nieodstępnego oficera żandarmów, był więziony za to, że na poprzednim sejmie wytykaniem niepodległem, a chociażby i nieumiarkowanem, uchybień rządu ściągnął na siebie gniew w. xięcia. Rozdrażnienie to tem silniej się objawiało, że w tymże czasie Francya rozbujałą wolnością druku niebezpiecznym była przykładem, zwłaszcza dla mniej swobodnych i mniej bezpiecznie postawionych ludów. W takich okolicznościach zdawało się rzeczą niepodobną, żeby sejm odbył się bez otwartych między rządem a sejmem czyli, właściwiej mówiąc, między carem a Polską zatargów, bo chociaż byli tacy, co dowodzili, że izby nie powinny przekraczać granic, jakie w ówczesnem położeniu Polski nakazywała roztropność, że gdzie tak nierówne stron przeciwnych siły, lepiej znieść wszystko, a przynajmniej poprzestać na spokojnem i poważnem upomnieniu rządu, to jednak niecierpliwość i zgrozę większości sejmowej tłomaczy wyliczenie krzywd narodowych, jakie skreślił w manifeście swoim sejm następny, w 1831 r. przez dyktatora zwołany.

Mój ojciec należał do tych, co nie wierzyli, by w danym razie można było z dobrym skutkiem powoły-

---

[1]) Posłowie wybierani przez sejmiki szlacheckie i deputowani od gmin i mieszczan.

wać się na prawa konstytucyjne Królestwa. Często upominał bliższych, by się literą prawa nie uwodzili, póki wbrew prawu działa dzika przemoc. Ostrzegał, zaklinał, by przez dłuższe trwanie dać tym prawom czas do nabycia większej wagi, a tak doczekać się okoliczności, któreby wreszcie pozwoliły wyciągnąć z nich dla kraju jakiś pożytek. Nie chciał przez upominanie się i daremne drażnienie władzy nowych wywoływać gwałtów. Zawiązany zeszłego roku osobisty stosunek z Mikołajem utwierdzał go w przekonaniu, że jawnie przy władzy stojąc, zdobywał możność poufnego wytknięcia carowi nadużyć tejże władzy. Chciał utrzymać ten stosunek podczas nadchodzącego sejmu, i rada jego przemogła.

Jak długo prawa konstytucyjne Królestwa, chociaż gwałcone, nie były jeszcze zaprzeczone, a przynajmniej wymazane z ustaw pisanych, nie należałoż ich bronić? — Należało niezaprzeczenie, ale należało środkami mogącemi te prawa ratować, nie zaś takiemi, coby przemocy posłużyć mogły do wydarcia i tego, co jeszcze nam zostawiono, a zarazem do twierdzenia, żeśmy je pierwsi zdeptali. Prawo ratować, trwałość i świętość jego zabezpieczać, może najsłabszy wobec najpotężniejszego, słowami: «Non licet». Spór otwarty wytaczać, na ostrzu miecza losy kraju stawiać, i to kraju nie władnącego siłą, któraby mu zapewniła zwycięstwo, może ten tylko, kogo upaja ślepa miłość ojczyzny, nie może, nie powinien roztropny. Do roztropnych zaś, nieźle to sobie przypomnieć, liczą się nie sami mężowie stanu, nie sami doświadczeni, wytrawni, wypróbowani; liczy się i liczyć powinien każdy, co się w tym względzie obeznał z nauką chrześcijańską, z przepisem, jaki nam Kościół stawia, że kiedy bezprawia otwarcie odeprzeć niepodobna, to trzeba je znosić, ale znosić z niewzruszoną ufnością w Boga, wyglądając sprawiedliwości, którą On prędzej czy później wymierzy, jak to sam obiecał.

Piszę z pamięci, nie zaglądam do ówczesnych ani późniejszych opisów sejmu 1830 roku, w których szcze-

gółowo wyczytać można spory ówczesne, między władzą a publicznością. Jedną sprawę pamiętam, której przeprowadzenie wbrew powszechnemu pragnieniu przypisywano wpływowi mego ojca, nie bez żalu do niego. Było to unieważnienie wyboru Walentego Zwierkowskiego, z przedmieścia Pragi. Drugim deputowanym z Pragi był, jak wiadomo, przez wszystkie sejmy Królestwa Kongresowego w. xiążę Konstanty. Był nim, bo naznaczonego sobie miejsca w senacie nigdy zająć nie chciał, twierdząc, że nie należy do arystokracyi, a nie bacząc na to, że odmówienie przyznanego mu prawa do senatorskiego krzesła pozbawiało go prawa przyjęcia wyboru na deputowanego do drugiej izby. Dla czego w. xiążę postanowił wyrugować z izby tego kolegę swego, o to mniejsza. Mniejsza dziś o to, czy wybór na Pradze odbył się lub nie odbył według prawnych formalności. Stanęła rzecz na tem, że rząd, czyniąc zadość żądaniom w. xięcia, postanowił Zwierkowskiego z izby wykluczyć, a prezes senatu uznał, jako wzgląd w owej chwili przeważny, potrzebę uniknienia, a przynajmniej opóźnienia otwartego z rządem zatargu, czuł bowiem, jak czuli wszyscy, że grozi on zerwaniem.»

O sejmie odbywającym się w tak ciężkich okolicznościach przechowały się trzy notatki Władysława Zamoyskiego, przesłane za granicę dla dzienników. Przed rozpoczęciem sejmu Zamoyski pisał:

«Cesarz przyjechał do Warszawy 20 maja na otwarcie izb, nie zwoływanych od lat pięciu. Tak długie odraczanie sejmu poza terminem konstytucyjnym pochodzić musiało czy to ze wstrętu do parlamentaryzmu, czy z obojętności dla spraw Królestwa Polskiego. To też zwołanie sejmu stanowi tem donioślejszy dowód uznania przez monarchę ustaw Królestwa, a na tem uznaniu jedynie pokładać można wszelkie nadzieje. Nieobojętną też rzeczą wiedzieć, jakie stanowisko w. xiążę chce zająć

wobec sejmu. Prawem urodzenia ma on krzesło w senacie, ale z właściwym mu wstrętem do instytucyi reprezentacyjnych nigdy krzesła w senacie zająć nie chciał. Woli izbę niższą, której główną zaletą w jego oczach, że królowi przysługuje prawo rozwiązania jej, kiedy mu się podoba.

W. xiążę postarał się znowu, ażeby go wybrano deputowanym z przedmieścia Pragi. Mając zrazu jedynie na myśli wyszydzenie polskiego mandatu i kolegów posłów, teraz głośno oświadcza, że zasiądzie na ławie opozycyi. Czyżby to znaczyło, że nadeszła nareszcie chwila, w której upadną nieustanne oskarżenia narodu o brak wierności, i czy to w istocie w walce z ministrami deputowany z Pragi ma zamiar posługiwać się bronią konstytucyjną?

Sejm zwołany po pięciu latach, i to na cztery tygodnie tylko, mało wpłynąć może na losy kraju. Ale tyle z niego korzyści, że króla sprowadza do naszej stolicy, że on po raz pierwszy świadkiem będzie naszych posiedzeń. że usłyszy zażalenia wyrażone przez dwie poważne izby.

Wszyscy się pytają, czego się spodziewać można z obecności króla. Czyżby tak jak za pierwszej bytności, w czasie koronacyi, świadczył same tylko osobiste łaski, i czyżby jednocześnie pozwalał na wyuzdane okrucieństwa i bezprawia? Stan rzeczy tutaj chaotyczny, nie do opisania. Nigdy nie było więcej intryg, więcej rozporządzeń między sobą sprzecznych; gniew i niepokój, jakich obecność cesarza jest powodem dla w. xiecia, objawiają się tego roku nieco inaczej, niż w czasie koronacyi. Mniej wybuchów gwałtownych, natomiast jakieś głuche, niezrozumiałe konszachty na porządku dziennym. Ludzie, których poprzednio przed królem oskarżano, dzisiaj są przedmiotem istnych pieszczot. Sejm, poprzednio dziesiątkowany przez unieważnianie wyborów, i to na podstawie fałszywych świadectw, obecnie doznaje od depu-

towanego z Pragi oznak serdecznej życzliwości. W. xiążę oświadcza, że jest Polakiem, pochlebnemi słowami stara się zaufanie wzbudzić, a skądinąd jednocześnie zdaje się, że wszystkie władze swoje natęża przeciwko naszym instytucyom i obyczajom równie mu nienawistnym.»

Sejm został otwarty 28 maja 1830 r.

«W mowie cesarskiej», pisze Zamoyski w następnej notatce, «przy otwarciu izb, znakomite były ustępy, zadawalniające Polaków, a nieobojętne dla Europy. Mamy nadzieję, że skoro król podnosi naszą wierność ku niemu jako groźbę dla Europy, uczyni, co należy, ażeby na tę wierność zasłużyć.

X. Adam Czartoryski imieniem deputacyi senatu, której przewodniczył, krótko przemówił w izbie sejmowej, zapraszając posłów na posiedzenie królewskie. Mowa ta jest znakomita i tem, co wypowiada, i tem, czego Polacy się w niej domyślają. Zrozumieją oni, co mowca miał na myśli, mówiąc o okolicznościach, ciężących na naszych losach, o obowiązkach poselskich wśród tychże okoliczności, o roztropności potrzebnej przedstawicielom narodu. Xiążę nalegał na potrzebę okazania spokoju i stanowczości, wskazał, że jedynie sprawami pierwszorzędnej wagi trzeba się zajmować, pomijając drobniejsze, byle tylko nie narażać obecnie posiadanych rękojmi bytu. Mówił, że trzeba nowemu monarsze dać czas potrzebny do ocenienia instytucyi, dla których z carskich tradycyi i przywyknień musi być niechętnie usposobiony.

Mowa ta przy uroku otaczającym mowcę, którego nieskazitelne życie było bez przerwy ojczyźnie oddane, największe sprawiła wrażenie, a była ona wzorem wymowy i ostrzeżeniem dla narodu. Rada w niej zawarta, by cierpliwie znosić uciemiężenie, opierała się na silnej wierze w lepszą przyszłość, jaka się z okoliczności wywiąże. Nadzieje te, jasne dla słuchaczy Polaków, wtajemniczonych w ich znaczenie i umiejących się porozumiewać w tej sprawie, były tak oględnie wyrażone, że

ciemiężyciele nie byli w stanie zrozumieć znaczenia tych słów.

W chwili wstąpienia na tron cesarza Mikołaja w 1825 r., senat Królestwa objawił zamiar uwiecznienia wdzięczności Polaków dla Alexandra, odnowiciela ich ojczyzny. Obie izby jednomyślnie uchwaliły sześć milionów dla wzniesienia filantropijnych zakładów ku uczczeniu pamięci tego, który, jedyny z panujących w Europie odczuł niegodziwość podziału Polski i jego skutki starał się złagodzić. On to troskliwość swoją rozciągając do braci naszych pod innemi zaborami, otrzymał dla nich, jak dla własnych poddanych Polaków, zabezpieczenie narodowości i instytucyi narodowych; śmierć jedynie przeszkodziła mu dzieło swoje uwieńczyć połączeniem wszystkich polskich prowincyi.

Cesarz Mikołaj, zdaje się, był głęboko wzruszony wdzięcznością, jaką tu widzi dla swego poprzednika. Oby i on chciał zasłużyć na podobną wdzięczność, oby mógł przeniknąć nasz narodowy charakter, ducha naszych ustaw, zrozumieć wspaniałe zadanie, jakie mu w Polsce przypada. Samowładca Północy mógłby bezpiecznie w tej mniejszej części swoich posiadłości rządzić konstytucyjnie. Pan naszych losów mógłby bezpiecznie zezwalać na tę otwartą szermierkę między izbami i ministrami, czerpiąc w niej światło, jakiegoby gdzieindziej znaleźć nie mógł dla dobra swoich poddanych.»

Nareszcie, w trzeciej notatce z 28 czerwca 1830 r., już po ukończeniu obrad sejmowych, Zamoyski pisał: «Poszczególne prace takiego sejmu, który po pięcioletniej przerwie zbiera się na cztery tygodnie, a o budżecie jeszcze nie może rozprawiać, nie mogą mieć dla zagranicy poważniejszego znaczenia. Na duch jedynie, jaki się w nim objawił, warto uwagę zwrócić. Mimo groźnych okoliczności, wobec monarchy przywykłego do despotyzmu, sejm ten odznaczył się duchem niepodległości, dając zarazem niezaprzeczone dowody roztropności i umiar-

kowania. Wyrażano na posiedzeniach wdzięczność dla Alexandra, wierność dla obecnie panującego króla, ale skądinąd niezachwiane przywiązanie do ustawy konstytucyjnej, tudzież oburzenie na ministrów i tych, co ją gwałcą. Żaden sejm dotychczas nie miał tak wiele i takich przekroczeń prawa do wytknięcia.

Oburzenie, jakiem się izba poselska uniosła, dało pochop naszym przeciwnikom do najzłośliwszych komentarzy. Cesarz jednak nie zapomniał, z jakim zapałem ta sama izba uchwaliła okazanie narodowej wdzięczności i czci Alexandrowi. Poznał z gorliwości, z jaką izba praw swoich broni, ten sam zapał, jaki towarzyszył głosowaniu przy okrzykach: Niech żyje król! Niech żyje konstytucya! Zrozumiał, że mając tak rzadko sposobność korzystania z jego obecności, zmuszeni jesteśmy obznajmiać go czy to z opieszałością, czy z nadużyciami popełnianemi w jego imieniu. Zrozumiał, że uciekając się do niego po sprawiedliwość, zacieśniamy węzły, które nas z nim, jako z panującym łączą.

Rada Stanu, spodziewając się zapewne, że sejmów już nie będzie, ukuła na prędce wniosek o rozwodach[1]), ale widząc, że to nie wystarcza, namówiono króla, żeby sam o tej sprawie pomówił z kilku członkami.

Niemałe było chwilowo oburzenie samowładcy Wszechrosyi, kiedy prawo przez niego zalecone odrzucono znaczną większością głosów. Prawdę powiedziawszy, nie tyle izba była za to odpowiedzialną, co ministrowie złem przedstawieniem rzeczy.

Nieprzyjaciele nasi z niesłychaną zaciętością wyzyskiwali to wydarzenie, ażeby z niego wyprowadzić obrazę majestatu i powód do rozwiązania sejmu... Deputowany

---

[1]) Kodeks Napoleona wprowadził do Królestwa śluby i rozwody cywilne. Rada Stanu, podczas sejmu 1830 r., z woli Mikołaja postawiła wniosek o poddanie na nowo spraw małżeńskich wyłącznie pod władzę duchowieństwa. Wniosek upadł w izbie dziewięćdziesięciu trzema głosami przeciw dwudziestu dwom.

z Pragi, który od niejakiego czasu zdawał się skazany na milczenie, nabrał nowej otuchy i już się znowu do walki gotował. Jednakowoż król wnet pomiarkował, że obrady sejmowe nic nie miały wspólnego z obrazą majestatu.

Stolica chwilowo zaniepokojona złowrogiemi pogłoskami, z radością się przekonała, że gniew króla nie do izb, ale do ministrów się stosował.

Oni to majestatowi królewskiemu ubliżyli, pokazując, że im dano zaufanie, na które nie zasługiwali. Chodzi pogłoska, że ministrowie doradzali królowi, żeby ukazem przeprowadził to, czego izba prawnie nie uskuteczniła Król miał się na to oburzyć i mowę już przygotowaną na zamknięcie izb, pod pierwszem wrażeniem napisaną, poprawił tak, że w istocie nie świadczyła już o gniewie, ale tchnęła zupełnym spokojem.

Podczas gdy sprawy te toczyły się na zamku, w sejmie na ostatniem posiedzeniu z zupełną swobodą obradowano nad adresem i rozbierano petycye. Prawo podawania petycyi panującemu służy u nas jedynie posłom, nie zaś, jak pod innemi rządami konstytucyjnemi, wszystkim obywatelom. Jest to główne zadanie posłów u nas. Wobec tego, że pozostawał już tylko jeden dzień obrad, dopuszczono jedynie petycye, odnoszące się do spraw najżywotniejszych.

Pierwsza przybrała formę protestu przeciw artykułowi dodatkowemu konstytucyi, zakazującemu publiczności przysłuchiwania się obradom sejmowym, a dziennikom drukowania ich. Protest ten podpisało stu członków na stu dwudziestu. Nastąpiły liczne zażalenia przeciw nieustającemu gwałceniu ustaw konstytucyjnych i nadużyciom popełnianym przez rząd. Niewątpliwie, że w naszem położeniu roztropność nakazuje cierpliwość, ale izba, któraby przemilczała takie przekroczenia praw, ściągnęłaby na naród hańbę.

Długo obradowano, czy nie trzeba wytoczyć oskarżenia przeciw ministrowi finansów, x. Lubeckiemu.

Izba ostatecznie zawyrokowała, że choć są słuszne powody do oskarżenia, to jednak, ze względu na liczne usługi oddane krajowi przez tego ministra, należy odroczyć do następnego sejmu rozstrzygnięcie pytania, jak tłomaczyć postępowanie ministra, tak surowo przez wielu sądzone.

Jedną z najważniejszych atrybucyi izb jest prawo przedstawiania królowi uwag nad sprawozdaniem Rady Stanu o czynnościach rządu. Gdy, w dniu zamknięcia sejmu, deputacye obu izb wręczyły królowi wraz z adresem powyższe uwagi, petycye, zażalenia, król odpowiedział, że je weźmie pod rozwagę i że rad będzie zadość uczynić życzeniom izb, o ile to możliwem będzie. To zaręczenie jest o tyle cenniejsze, że na niem, jak i na obietnicy zawartej na końcu mowy tronowej, ograniczają się korzyści, wynikające dla nas z pobytu króla w kraju naszym.

Cały tok obrad sejmowych dostatecznie pokazał potrzebę zmiany ministeryum i reorganizacyi Rady Stanu. Czy cesarz chciałby, żebyśmy cierpliwie czekali, aż śmierć uwolni nas potrosze od tych ministrów, wprawdzie zestarzałych w służbie publicznej, ale nie posiadających zaufania ani panującego, ani narodu? Czy chciałby skądinąd, żeby minister oświecenia był ślepem narzędziem carskiego komisarza? A wszakże wszystkim wiadomo, że komisarz ten jedną ma tylko rzecz na myśli, zdemoralizować całe pokolenie i tak rozpustą je zatruć, ażeby zmarniało przed dojściem do pełnoletności...

Nadzieje nasze odnoszą się jedynie do króla, wierzymy jego dobrym chęciom. On jednak tak daleko od nas przebywa, że sam przez się nie może sądzić o tem, czego tu potrzeba, a z bólem serca widzimy, że nie zasięga zdania ludzi, którzyby go powiadomić mogli o prawdziwym stanie rzeczy. Oby przynajmniej nie dawał posłuchania tym, co jedynie szkodzić nam pragną. Adresy izb i uwagi nad sprawozdaniem Rady Stanu najlepiej go oświecić mogą.»

Przesyłając powyższą notatkę w liście do panny d'Arnaud, Zamoyski pisał:

«Tak byłem zajęty, tak mało miałem czasu, że pisma moje za długie, niedość treściwe. Skracaj, obcinaj, a potem chciej to wszystko posłać do Londynu do «Timesa» i do «Globe» na ręce sir James Macdonalda.

Muszę ci powiedzieć, że przeszłego roku gdy w. xiążę bawił w Ems, pan Laharpe przybył w odwiedziny do niego, jako do swego dawnego ucznia. Tenże żalił mu się na zmartwienie, jakie mu sprawiają co chwila paryskie dzienniki. Laharpe przyrzekł zabezpieczyć go na przyszłość od tego zmartwienia. Nie wiem, jakich środków użył, by cel ten osiągnąć. Z początku myślałem, że to próżna przechwałka, ale zaczynam myśleć, że na wiatr nie mówił, bo od tej pory prawie ani słowo w dziennikach się nie ukazało.

Jeżeli mimo wszystkiego, co się u was dzieje, masz dosyć wolnej myśli, to proszę Cię, staraj się tę tajemnicę zbadać i dowiedzieć się, jakiego specyfiku Laharpe użył przeciwko wolności druku. Chciałbym, żebyś mi przywróciła ochotę do pracy, przekonywując mnie, że to się może na coś przydać! Już i tak tyle mam trudności do zwalczenia, by Ci cokolwiek przesłać, że przykro myśleć, że chociaż nawet pismo jakie Cię dojdzie, to na nic się nie przyda. Jeżelibyś uważała, że coś w formie lub wyrażeniach jest nieodpowiednie, to liczę, że mnie ostrzeżesz, bym wiedział, jak w obecnym stanie rzeczy pisać, żeby ściągnąć uwagę czytelnika!

Nie opisałem Ci jeszcze wrażeń, jakich doznało otoczenie Mikołaja za bytności jego w Warszawie, a które zdają się być ogólne między Moskalami. Przeszłego roku, gdy cesarz przyjechał na koronacyę, zdawało się, że są zdziwieni aż do oburzenia naszą cierpliwością względem nadużyć w. xięcia. Okazywali istotny wstręt do gwałtów, jakich się dopuszczał pod okiem cesarza i wbrew jego woli, a widząc nieśmiałość cara wobec brata, poczęli na

nas powstawać i twierdzić, że zasługuje na swoje losy naród, w którego łonie w przeciągu piętnastu lat nie znalazł się nikt zdolny poświęcić siebie jednego dla ocalenia wszystkich.

Ci ludzie, wychowani pod despotyzmem, nie znają miary w posłuszeństwie, a gdy je wypowiadają, to już nie inaczej, jak przez morderstwo. Nie rozumieją, że mord zawsze wychodzi na korzyść despotyzmu; nie przypuszczają, by naród cały był w stanie roztropnością się kierować. Przez cały czas swego u nas pobytu podsuwali nam prawie myśl zbrodni, której potem nie omieszkaliby wyzyskać okrutnie na krzywdę naszego narodu.

Tego roku, w czasie sejmu, zadziwienie ich inny miało powód. Widząc, że ludzie, których poprzednio oskarżali o nikczemną cierpliwość, korzystają z drogi legalnej, jaką im otworzono, stają z odwagą i samodzielnością w obronie praw swoich, zarzucali nam, że mamy zapalone głowy, że nie umiemy zastosować się do położenia. Swoją drogą jednak podziwiali głośno ten naród spokojny w niedoli, przejęty uszanowaniem dla majestatu królewskiego, a zarazem niezachwiany w spełnianiu obywatelskich obowiązków. Ufajmy, że król, poznawszy korzyści, jakie dla niego samego wynikają z instytucyi przez jego poprzednika zaprowadzonych, rozszerzy je na wszystkich Polaków pod jego panowaniem zostających i tym sposobem wdzięczność ich na zawsze sobie pozyska...

Rad byłbym bardzo, gdyby Ci się udało z uwag powyższych zrobić jaki użytek.»

O jednej wszakże sprawie Zamoyski pisze do panny d'Arnaud, zastrzegając wyraźnie, że nie trzeba o niej w dziennikach wspominać, a mianowicie o duchu jakobińskim, jaki się w kraju wytwarza. «Sprawia on, że wnet trzeba będzie poczytać za nieszczęście, że się przyszło na świat z tem, co z przywyknienia nazywamy jeszcze pięknem nazwiskiem; tyle to budzi nienawiści,

szczególniej, jeżeli jest przytem majątek, dający niezależność i od panującego i od innych. Twoja to Francya jest źródłem, u którego czerpiemy te piękne pojęcia. Ale Francya od 1789 do 1815, a nie dzisiejsza. Odgraniczenie, w jakiem tu jesteśmy trzymani, sprawia, że wasze postępy nas dochodzą, kiedy wy już za czemś nowem gonicie. To, co u was stanowi centrum lewicy lub prawicy, to dla nas jeszcze rzecz nieznana. My obecnie mamy prawie jedynie skrajną lewicę, a potrosze przez reakcyę wytwarza się skrajna prawica, czego dotychczas nie bywało.

Polakom przedewszystkiem chodzić powinno nie tyle o wolność, co o niepodległość. To też wszystko, co nas rozdwaja, wszystko, co powoduje między nami nienawiść, jest istnem nieszczęściem i przeszkadza nam w osiągnięciu jedynego celu, do jakiegobyśmy dążyć powinni: jedności! Ale nie chcemy być z a c o f a n i i dla tego nędznie i późno drugich naśladujemy.

I tak, z wielu miar powtarzamy u siebie w tym wieku to, co się u was działo w wieku przeszłym. Wszystko to pochodzi stąd, że niema u nas sposobu oświecania i kierowania opinii publicznej. Sprzeczne zdania nie mogą się ścierać, niewiadomo, na czem się opierają, stąd każdy o swojem myśli, że ono jedynie jest sprawiedliwe, każdy swoje despotycznie narzuca, od dobrej sławy odsądzając tych, którzy go nie dzielą. Nie wiem, czy zmiarkujesz, że to wszystko martwi, ale rozżalenia we mnie nie wywołuje. Nigdy tego silniej nie doznałem, jak czytając artykuł biograficzny o moim ojcu, przez Ciebie przysłany. Ci ludzie, powiedziałem sobie, są godni pożałowania; przy dobrych może zamiarach wiele szkody krajowi wyrządzą.

Że my, w kraju przy tylu zaporach tak dalecy jesteśmy od waszych postępów, to się rozumie, ale martwi mnie, że nasi rodacy w Paryżu, skoro was naśladują, nie starają się naśladować tego, co naśladowania warte. Czy oni

nie dają się uwodzić przez takich, co, rozważni, gdy chodzi o Francyę, chętnie wzniecają pożary u sąsiadów. Nie umiem sobie inaczej tłomaczyć tej Historyi legionów polskich [1]), tak źle napisanej, a poprawianej przez Francuzów w duchu ani polskim, ani obecnym francuskim, ale takim, jaki był w 1793 r. Jak sobie inaczej tłomaczyć pochwały niezliczonych dzienników dla młodego szaleńca, który jedynie pod wpływem oburzenia zabrał się do pisania historyi, a może i dla tego, że ci, którzy mogli lepiej od niego napisać, zbyt byli leniwi. A wszakże i on przy mądrych i życzliwych radach byłby może lepiej napisał, ale któżby teraz, po takich pochwałach, ośmielał się rad mu udzielać?...

Wyżej wspomniany artykuł biograficzny o ordynacie Zamoyskim, zawierający wiele dotkliwych przeciw niemu zarzutów, ukazał się w jednym z licznie w owym czasie wydawanych w Paryżu słowników biograficznych. Dla sprostowania błędnych, a ubliżających ojcu sądów Władysław Zamoyski skreślił naprędce życiorys ojca i przesłał go na ręce panny d'Arnaud dla umieszczenia w pismach zagranicznych. W kilka dni po wyjeździe cara z Warszawy, pisał o tem do niej:

«4 lipca 1830 r.

...Ledwo tu wróciłem, rozpoczął się sejm, który nam dużo roboty przysporzył, a mnie z łaski bożej pozwolił wziąć się znowu do pracy przy wuju. Przytem służba wojskowa i u dworu do reszty mnie z nóg ścięły. Przez miesiąc dosyć chory się czułem i dotychczas bardzo jestem znękany. Na szkalowania w artykule biograficznym o moim ojcu przygotowałem odpowiedź miesiąc przeszło temu. Ale nadszedł sejm.

Powody, które memu ojcu tylu nieprzyjaciół namnożyły, nie tylko że nie ustały, ale się wzmogły jeszcze,

[1]) Histoire des Légions Polonaises en Italie sous le commandement du général Dombrowski, par Léonard Chodźko. Paris. I. Barbezet. 1829.

To mi utrudniło zadanie do tego stopnia, że chciałem czekać, ale mało na tem zyskałem. Za to wstręt mój do biograficznych słowników ludzi współczesnych jeszcze się podwoił. Są to tkaniny kłamstw na korzyść jednych z krzywdą drugich, a zwykle najbardziej szkalowani są ci, którzy się nie dobijają o tego rodzaju uznanie. Wobec wydawcy największa wina, że się mu nie nadskakuje, że się własnego panegiryku nie pisze i za umieszczenie go w słowniku nie płaci. Umarli są w tym względzie szczęśliwsi od żyjących. Historya sądzi umarłych mniej więcej sprawiedliwie, wymienia tylko najlepszych i najgorszych, reszta idzie w zapomnienie, a jeżeli ich kto wspomina, to przynajmniej nie szkaluje. Przeciwnie, na współczesnych zrzuca się odpowiedzialność za to wszystko, co uczynili, i za to, czego nie uczynili. Zdawałoby się, że więcej jest do zarzucenia tym, co czynią mało, jak tym, co nic nie czynią. Najlepsze ich zamiary, jeżeli odrazu nie przynoszą korzyści, stają się powodem do nowych oskarżeń. A jednak, czyż ten, co nawet na zamiary się nie zdobył, co ręki do żadnej pracy nie przyłożył, więcej jest wart od tamtych i czy ma prawo ich potępiać?

Co zaś do naszych młodych rodaków, którzy się we Francyi schronić musieli, bo zbyt głośno w kraju gadali, czy oni mają prawo zarzucać brak cywilnej odwagi obywatelom, którzy w służbie publicznej posiwieli? Kocham ojca, mam cześć najgłębszą dla jego charakteru, ale nie idzie za tem, żebym mu przypisywał znaczenie historyczne. On właśnie należy do tych, którym biografie współczesne najwięcej szkodzą... Wiem, że moje pismo o nim za długie, ale na obelgi trzeba było odpowiedzieć i wykazać szlachetność jego życia, chociaż niema w niem nic, coby zasługiwało na zapisanie w historyi. A wszakże, czy wychowanie, jakie dał dzieciom swoim, dowodzi, że dla ojczyzny jest obojętnym?

Prosiłbym Cię bardzo o przysłanie pewną okazyą wszystkich dzienników, w których jest jaka o nas

wzmianka, zła czy dobra. Ja mój list posyłam okazyą do Poznania, gdzie go dopiero na pocztę oddadzą. Odeszlij mi także mój rękopism o ojcu, bo nie mam kopii. Proszę o surową krytykę, szczególniej, czy znajdujesz, że myśli są słuszne; zaznacz, co nie dość jasne lub niezgrabne; powiedz mi, jakie wrażenie sprawić może to pismo, nie tylko na Tobie i na ludziach rozsądnych, ale i na naszych rodakach...

Z istnem zmartwieniem dowiaduję się, że nasi panowie wzajemnie się szarpią w dziennikach. My tu mniej teraz mamy dzienników, niż kiedykolwiek, więc tylko z pogłosek wiem o tem. Czy prawda, że w «Globe» bardzo przykra o tych rozterkach była wzmianka?

Martwią mnie te któtnie, ale nie dziwią, gdy pomnę na zarozumiałość tych panów, którzy siebie uważają za jedynych patryotów i Katonów, bo mają odwagę zdaleka lżyć rząd, z pod którego uciekli i szkalować tych, co na miejscu walczą, jak mogą. Te spory są jakby ponowieniem rozbioru kraju naszego nieszczęśliwego, a przez cudzoziemców, powierzchownie o rzeczy sądzących, mogą być uważane za jedną z przyczyn jego upadku. Ale niesprawiedliwieby było po tych panach sądzić o całym naszym narodzie, tak jak mylnem jest sądzić o Anglii po Anglikach, którzy się po Europie wałęsają.»

Współcześnie pisał do matki:

«Matko droga, kochana, to źle, że tak boleśnie odczuwasz niesprawiedliwe sądy, ojca naszego dotyczące. Żałuję, że nie mogę Matce posłać, com o ojcu napisał, ale zdaje mi się, że dla nas kwestya nie na tym gruncie stoi. W obecnem naszem położeniu służyć krajowi możemy tylko, kryjąc się ze wszystkiem, co zacne; z tego wynikają fałszywe pozory, a czasem i wstrętne. To naraża na niesprawiedliwe sądy, szczególniej wśród publiczności tak lekkomyślnej. Jabym memu ojcu jedną tylko rzecz brał za złe, że nadto cierpi z powodu niesprawiedliwych sądów. Zdaje mi się, że mógłby znaleźć zaspo-

kojenie w świadectwie własnego sumienia i szlachetności swojego postępowania. Ojciec nasz mało się publiczności tłomaczył, cóż dziwnego, że ta go nie rozumie?

Powinien być przekonany, że te niesprawiedliwe sądy upadną, gdy mu czas pozwoli zadanie swoje spełnić do końca. Zapewne zdawałoby się, że mamy prawo wymagać, by, sądząc ojca naszego, brano w rachubę całą jego przeszłość, by go pytano o przyczyny, które powodują jego obecne postępowanie, by ci, co go sądzą, poprzednio się przekonali, do jakiego stopnia jest bezinteresownym.

Czas sprostuje niesprawiedliwe sądy, to też, jakakolwiek chwilowo opinia rozchodzi się o człowieku publicznym, prawda zawsze, prędzej czy później, na jaw wyjdzie. Trzeba te fałszywe sądy uważać za szkodę wyrządzoną krajowi, ale osobiście nie więcej się na nie oburzać, jak na morską nawałnicę.

Jedno jak drugie ani jest wyrozumowane, ani powstrzymać się daje. Na opinię publiczną wpływają pozory, zbieg okoliczności, osobiste niechęci jednostek i to poniekąd stanowi jej wymówkę. Ależ to są właśnie trudności, z któremi mężowie stanu liczyć się muszą. To też jakkolwiek opinia publiczna może być niesprawiedliwa, nie warta tego, by rodziła gniew lub zbyteczną gorycz. Jakimże sposobem publiczność mogłaby sprawiedliwie sądzić? Trudno zaś wymagać, by się od sądzenia powstrzymywała i opierać umiała nienawistnym pozorom, których u nas uniknąć niepodobna, a które wyzyskują fałszerze opinii publicznej.

Trzeba też wziąć w rachubę zazdrość wynikającą z wyjątkowego a tak uprzywilejowanego stanowiska ojca i charakter jego, który sprawia, że nawet w prywatnem życiu dla pewnej szorstkości trudno poznać w nim tego ojca tak roztropnego, tak mądrego, który jedynie dobro swoich ma na celu.

Narody nieszczęśliwe, z porządku rzeczy, wymagają od tych, co na świeczniku stoją, większych ofiar, więk-

szych wysiłków, i tych zewnętrznych objawów, które zwykle czynom towarzyszą. A te objawy tyle mają uroku, że ogół zwykle więcej przywiązuje znaczenia do nich, niż do samych czynów...

Wuj nie mógł na ojca wpływać, ani też iść za nim, bez wyrzeczenia się własnych zapatrywań. Co zaś do opinii publicznej względem ojca, starał się na nią wpłynąć, ile tylko mógł. Obojętność zaś wuja, która Matkę tyle martwi, pochodzi poprostu stąd, że wuj o opinii publicznej ma swoją opinię, doświadczeniem nabytą. Wie on dobrze, czem jest publiczna niełaska, dosyć ją długo znosił spokojnie, z przekonaniem, że to rzecz czasu.

Jedni schlebiają opinii publicznej, drudzy przez dumę, dla mężów stanu zabójczą, bezmyślnie nią pogardzają, obrażają ją, z umysłu wbrew niej idą, a pobudziwszy ją przeciwko sobie, ulegają zniechęceniu i goryczy wobec jej objawów. Trzeba zwalczać tę zbytnią dumę, tę niesprawiedliwą pogardliwość i tę nieszczęsną gorycz. Prawdziwa, szlachetna, dobrze zrozumiana duma powinna wznieść się ponad te kwasy. Świadectwo własnego sumienia, wierne trzymanie się drogi prawej wystarczają, ażeby ufać, że się prawda wyświeci. W ten sposób wuj niegdyś znosił niełaskę publicznej opinii i nie zawiódł się, ale pragnienie utrzymania tej łaski jest dla niego rzeczą podrzędną. Może być, że ją straci znowu na jakiś czas i potem znowu odzyska, świetniejszą, niż kiedykolwiek. Takiego spokoju pragnąłbym dla ojca. Zresztą ta opinia publiczna nie jest tak bardzo przeciw niemu zaciętą, jakby się zdawało. Ci nawet, co w postępowaniu jego upatrują błędy polityczne, nie zaprzeczają mu czystości charakteru. List Matki tak mnie boli; obym Ją mógł uspokoić! Spokój potrzebny nam jest wobec świata, potrzebny wobec ojca, ażeby go ustrzedz od fatalnego rozgoryczenia. Daremnieby Matka droga starała się wpływać na opinię, mówiąc o ojcu z innymi. Dziś chwila nie po temu; dziś nad nim

trzeba czuwać, jego na duchu podtrzymywać... Jadę do niego...»

Między młodymi zapaleńcami polskimi, którzy za granicą wówczas przebywali, odznaczał się ruchliwością literacką Leonard Chodźko, od 1826 r. w Paryżu osiadły. «Cieszę się, żeś Chodźkę poznała i że Cię prace jego zajmują,» pisze Zamoyski do panny d'Arnaud. «Pewien jestem, że mogłabyś dobry wpływ na niego wywierać. Chciałbym wiedzieć, co on teraz robi i co pisze. Czy to przypadkiem nie jego pióra owe artykuły biograficzne? Wierzaj mi, że chociażby tak było, nie będę do niego czuł urazy. Tylu innych w ten sam błąd wpada, i to rzecz naturalna. Mój ojciec nigdy się nie tłomaczy z tego, co robi; zdaje mu się, że wszyscy powinni ślepo wierzyć prawości jego charakteru.

Napisz mi, proszę, co myślisz o Chodźce i o innych Polakach, których znasz lub poznasz w Paryżu. Powiedz mi, co u was mówią o nas wogóle, ale powiedz szczerze, bez ogródek. Prawdopodobnie same rzeczy przykre, ale właśnie dla tego radbym o nich wiedzieć. Nie chodzi mi o komplementa, a nadewszystko o wystawianie naszej odwagi, — rozpacz porywa na myśl, że jedynie odwagę nam przypisują. Bez przechwałki, zdaje mi się, że nietrudnoby mi było zbić niektóre błędne wasze sądy o nas...

Ja obecnie jak najwięcej czasu poświęcam bratu memu Janowi, który dopiero co przyjechał ze Wschodu za dwumiesięcznym urlopem. Po trzyletniej niebytności w kraju, zdumiony jest postępami, jakie dokoła spostrzega. Więcej go to uderza, niż nas, którzy zbytnio odczuwamy, co nam jeszcze ciąży. Budzi się w nim ochota pracowania tutaj, na miejscu... Co do mnie, przez miesiąc cały dwóch myśli zebrać nie mogłem. Chory byłem, na ciele i na duszy. Teraz mi lepiej, prawie dobrze, z wyjątkiem tego, co dręczy w głębi duszy; ale przynajmniej pracować już mogę... Jeżeli mój w. xiążę przedsięweźmie tej jesieni

jaką podróż, to znowu będę miał trochę wytchnienia, którego mi strasznie potrzeba.»

W razie wyjazdu w. xięcia Zamoyski miał zamiar odwiedzić siostrę swoją, panią Działyńską, mieszkającą w Wielkopolsce. Spełnieniu tych zamiarów stanęła na przeszkodzie wiadomość o rewolucyi wybuchłej w Paryżu

Pisał o tem do panny d'Arnaud:

«28 sierpnia 1830 r.

Z łaski Karola X i jego tak zwanych «ordonnances», przepadła moja podróż do Poznania, bo i w. xiążę swojej podróży się wyrzekł. Najprzód był przerażony i zniechęcony, jak to bywa na wiadomość o porażce swoich, klęsce bez odwetu. Ale wnet podniosła go na duchu myśl o waszej republice i równości. «Kiedy tak», mówił, «trzeba tylko podtrzymywać tego ducha we Francyi, trzeba podniecać wszystkie stronnictwa, a kiedy dojdą do ostateczności, wtedy rzucimy się na nich!» Można więc przewidywać, że wasze warchoły znajdą u zagranicy zachętę do wybryków.

I tak to podobne położenia sprowadzają podobne niegodziwości. Zachciało wam się elekcyi, jak niegdyś u nas, starajcież się, aby wam nie przyszło tego pożałować. Prawdziwie, powiedzieć można, że ludzkości całej zależy na tem, ażeby Francya była roztropna, mądra, umiarkowana w zwycięstwie. Inaczej, my pierwsi poczujemy skutki waszych szaleństw. Przypatrzcie się trochę, co się w Anglii dzieje, zastanówcie się nad rewolucyą w Stanach Zjednoczonych, z jaką rozwagą odbywają się wszelkie tam zmiany, z jakiem umiarkowaniem te kraje zabezpieczają się od reakcyi... Nie wątpisz, że nas żywo obchodzi wszystko, co się dzieje w Twojej drogiej Francyi, ale dla nas będzie ono drogiem o tyle tylko, o ile będzie mądrem i mądrością swoją stanie się przykładem dla drugich, a nie argumentem na szkodę wolności...»

« Nie zdaje się, żeby rewolucya, która wybuchła z końcem lipca 1830 r. w Paryżu, obudziła czujność cara

na własne jego rządy, ani żeby mu przypomniała ostrzeżenia, jakie słyszał od ojca mego w czasie niedawno co ukończonego sejmu w Warszawie. Mój ojciec był pod świeżem wrażeniem przepędzonej w Paryżu zimy. Widząc i tam rosnące przeciw rządowi rozdrażnienie, widząc zaślepienie rządu wobec grożącego zewsząd wybuchu, a króla i ministrów szukających ratunku w środkach niekonstytucyjnych, przeczuwał nową rewolucyę we Francyi, im więcej zaś ją przeczuwał, tem silniej upominał władze rosyjskie, ażeby w Polsce niej dawały powodu do podobnego wybuchu. Ostrzegał cara, że rozjątrzenie, spowodowane nadużyciami w. xięcia i, narzuconego Radzie, Nowosilcowa, rośnie w całym narodzie; surowiej jeszcze przemawiał do urzędników, cara otaczających, mianowicie do jenerała Benkendorfa, pierwszego adjutanta i naczelnika policyi w cesarstwie, oraz do hrabiego Nesselrode, ministra spraw zagranicznych. Mówił im: «Na interes tronu zaklinam, mówię jako do najbliższych i wiernych doradców cesarza; kraj ten staje się wulkanem, trzeba złemu zapobiedz, to złe nie cierpi zwłoki, jeszcze trochę, a będzie za późno...» Na co z niemiecką flegmą razu jednego odrzekł pan Nesselrode: «Czy nie widzisz, hrabio, że już jest za późno?» Wyznanie godne zapamiętania, pokazujące, że w otoczeniu cara panowała największa obojętność na wszystko, co cierpiała Polska; że Moskale mieli przekonanie, iż gdyby Polacy zerwali się do broni, daliby Moskwie pożądaną sposobność do wydarcia im do reszty odrębnego istnienia, odrębnych ustaw i wojska, sposobność do ostatecznego wcielenia ich do «imperium».

Podobne wyznanie czynił wkrótce potem niejeden z pierwszych dygnitarzy cesarstwa. Słyszałem je z ust w. xięcia Konstantego w samą noc 29 listopada, a memu bratu Andrzejowi xiążę Metternich w 1831 r. powtórzył słowa p. Tatiszczewa, posła rosyjskiego w Wiedniu: «Ktokolwiek dobrze życzy naszemu cesarzowi, cieszyć się powinien z polskiego powstania; położy ono wreszcie

koniec tej anomalii, wylęgłej w niedowarzonej głowie Alexandra.»

To pewna, że mimo ostrzeżeń Mikołaj nie tylko nic nie uczynił by złagodzić rozjątrzenie Polaków, ale tworzył plany w celu stłumienia francuskiej rewolucyi, licząc na polskie wojsko w nowym pochodzie do Paryża.

Podobnie łudził się w. x. Konstanty; nie gotował się wszakże do prowadzenia polskiego wojska na wojnę do Francyi. Jak się wymówił od udziału wojska naszego w wojnie tureckiej, tak i wówczas zapowiadał, że on się do wojny użyć nie da. Kiedy cesarz objawił zamiar użycia wojska Królestwa jako przedniej straży armii rosyjskiej w wojnie przeciwko rewolucyi lipcowej, w. xiążę oświadczył z wściekłością, że nigdy się na to nie zgodzi. «Jabym tam nie poszedł», powiedział, «a wojsko ani może ani powinno iść beze mnie.» I cesarz ustąpił. W ciągu trzech miesięcy trwała żywa wymiana listów w tej sprawie pomiędzy braćmi.

Raz, gdy jako służbowy siedziałem przy w. xięciu u nielicznego jak zwykle stołu, począł wychwalać nasze wojsko, dodał, że jest tak wyćwiczone i tak we wszystko opatrzone, czego do wojny potrzeba, że mogłoby z dnia na dzień do boju wyruszyć. Potem się zająknął i rzekł: «Jednego temu wojsku brakuje... wodza..., bo co do mnie, nie jestem stworzony do wojny. Padam do nóg; to nie moja rzecz[1]).» Xiężna Łowicka przerwała, mówiąc do mnie: «W. xiążę żartuje.» A on na to: «Wcale nie żartuję, nie jestem stworzony do wojny.»

Ale tak on, jak Mikołaj, żadnego nie doznawali niepokoju, co do usposobienia wojska i narodu. W parę miesięcy później wybuchła rewolucya w Belgii, a we

---

[1]) «...car pour moi, je ne suis pas fait pour la guerre. Votre serviteur, ce n'est pas mon affaire.»

[2]) «Je ne plaisante pas du tout. Je ne suis pas fait pour la guerre.»

wszystkich stolicach Europy, niemal i w samejże Moskwie, zachodziły mniejsze lub większe zaburzenia. Zdarzyło się znowu razu jednego, że w dzień służbowy siedziałem w kolasce przy w. xięciu, a on począł czynić uwagi nad ogólnym stanem Europy i znajdował, że jedyny wyjątek stanowi Polska, pod jego rządami zostająca. «Ileż to», mówił, «było narzekania na mnie i na rządy moje... a przecież wśród powszechnego wstrząśnienia jeden tylko kraj, ten, którym ja rządzę, jest zupełnie spokojny.» Następnie zwracał uwagę na bezpieczeństwo osobiste, którego sam używał, mówił, że mu żadna eskorta nigdy nie towarzyszy, że w mieszkaniu jego w Belwederze, od miasta oddalonem, nie stoi nawet honorowa warta, że tylko przy kracie od dziedzińca zaciągano po dwóch inwalidów, uzbrojonych w pałasze. Rozwodził się nad poczciwością polskiego ludu, nad jego powolnością i mówił, że to potulny naród, «une nation moutonne».

Przy takiem rozpływaniu się w. xięcia nad zaletami polskiego narodu, zwykłem korzystać ze sposobności, nie żeby kadzić w. xięciu, ani rządy jego wychwalać, ale żeby nadmienić, ile naród polski winien wdzięczności zmarłemu Alexandrowi za przyznaną sobie samoistność, za konstytucyę, własne prawa i t. d.»

We współczesnym liście do panny d'Arnaud Zamoyski pisał:

«Odkąd obaliliście znowu cały porządek rzeczy u siebie, odkąd na wasze zaproszenie wszystkie państwa Europy wtórować wam poczęły, tyleście tu strachu napędzili, że objawia się tu wzruszająca dobrotliwość. Ktoś tu mówił, że z waszej łaski wszyscy panujący i xiążęta Europy wzajemnie się pouczają. Nasz zasługuje na pierwszą nagrodę; zachowuje się doskonale; świadczy o sobie, że ma rozum, takt, przenikliwość. Gdybyśmy go zbyt dobrze nie znali, moglibyśmy myśleć, że ma najszlachetniejsze zamiary i charakter najspokojniejszy. Sądzisz może,

że skoro u nas szyb nie tłuką i domów nie podpalają, to wśród ogólnych zaburzeń panuje tu spokój doskonały. Daleko do tego: mody dosyć prędko do nas się dostają, ale co dziwna, to że teraz sama policya zdawała się obawiać, że wam nie dotrzymamy kroku. Mnóstwo podburzających plakatów i bezimiennych listów nastraszyło nas. Skądinąd podejrzenie padło na jakich trzydziestu młodych ludzi o spisek na życie w. xięcia i zamiar wypędzenia Moskali z Królestwa. Chciano ich aresztować, ale w. xiążę oświadczył, że raczej miasto opuści, niż zezwoli na aresztowanie choćby tylko jednej osoby. Chciał się okazać wielkodusznym. Naczelnik tych spiskowców, dawny urzędnik, wydalony za pijaństwo, wezwany został do w. xięcia wraz ze swoimi wspólnikami, głównie studentami. Naczelnika obsypano łaskami, a uczniów odesłano do rodziców.

Ktokolwiek zna tutejsze stosunki od piętnastu lat, nie wątpi, że ten «naczelnik» jest rosyjskim ajentem, który same tylko dzieci za sobą pociągnął. W. xiążę jest tu jedyną ofiarą fałszywych donosów policyi, rozumie jednak, że nie powinien wywoływać swoją gwałtownością nowych żalów. A że ciągle go dochodziły bezimienne listy z donosami, powtarza, że chcą go pchać do jakichś niewłaściwych kroków. Bał się, żeby jaka iskierka pożaru nie wznieciła. Chce też pokazać przed Europą, jak mądrze krajem rządzi mimo wszystkiego, co mu dzienniki zarzucają. Bodajbyśmy kiedyś nie opłacili drogo obecnego usposobienia w. xięcia, który zrobiwszy przez piętnaście lat wszystko, ażeby kraj rozjątrzyć, nic teraz nie robi, ażeby skutkom tego rozjątrzenia zapobiedz.

Cóż mówisz o tych Polakach, zawsze oskarżanych o lekkomyślne i gwałtowne dobijanie się wolności, a którzy jedni prawie w Europie nie puszczają się na rozruchy? A któż ma więcej powodów do zgrzytania na swoje jarzmo? Czy szczęście nas uśpiło? Czy zapominamy, że polityka, której nie można usprawiedliwić, ani się na nią

zgodzić, niepodległość nam wydarła? Że to ona dalej nieustannie gwałci prawa, które nam sami zwycięzcy przyznali? Bynajmniej! Nasze milczenie jest wymowne! Polacy, których dwa ostatnie pokolenia ginęły w obronie swych praw, dzisiaj, dzieleni między pięć rozmaitych rządów, rozrzuceni na ogromnych obszarach, przy stosunkach utrudnionych surowym dozorem, wszyscy gnębieni, wszyscy nieszczęśliwi, prawie wszyscy rozjątrzeni a jednak cierpliwi, pracują jawnie w jedynym celu zachowania swej narodowości. Jakież to cudowne hasło tak jednomyślnie sprowadza wszystkie dążenia do jednego celu, w Warszawie, Poznaniu, Lwowie, Wilnie i nad brzegami Dniepru? Jaka potęga wstrzymuje tyle rąk gotowych do walki dla odzyskania ojczyzny? Czyż nie jedna wspólna myśl ogarnia te dwadzieścia milionów ludzi? Niechaj tylko chwila nadejdzie sposobna, a oni pokażą, czy są zdolni dla ojczyzny poświęcić życie. Ale póki ta chwila nie nadeszła, musimy się ograniczać na utrzymywaniu i rozwijaniu tych resztek życia narodowego, jakie się nam zostały z łaski Alexandra, a które nam zabezpieczają piękną jeszcze przyszłość. Nieszczęścia poprawiły i codzień poprawiają nas z naszych przywar. Postępy we wszystkich kierunkach są tak istotne, że niektórzy chcieliby, aby ten stan przejściowy trwał aż do dnia, kiedy... kiedy będziemy lepiej przygotowani.

Nie mówisz mi o tem, co się dzieje, ale przypuszczam, że doskonale byśmy się porozumieli. Obawiam się tylko, żeby po objawach na korzyść narodową gwałtownicy wasi znowu wstecz sprawy nie pchnęli. Prawdę powiedziawszy, już się to stało. A Bruxella i Antwerpia! za jaki piękny temat służyć teraz będą nieprzyjaciołom wolności. Chociaż w rzeczy samej niczego to nie dowodzi. Widziałem Belgię, ten kraj taki pomyślny i bogaty; zdawało się, że pod względem dobrobytu niczego mu nie braknie... Ale nie ja za złe im wezmę, że poświęcają wszystko inne, byle niepodległość zdobyć.

Pytasz się o mnie. Pracą się zagłuszam, z pokoju nie wychodzę. Wróciłem do nauk wojskowych. I w Rosyi i tu czynią wielkie przygotowania wojenne, ale nie wiem, czy sami wiedzą, przeciw komu. Dla Polaków strasznemby było, gdyby to na Francyę, a to nie jest niepodobieństwem. Pierwszy to raz zdarza mi się, że jestem obojętny na myśl wojny... Jakaż to klęska być pod obcem panowaniem...

Mój brat Jan wyjechał do Petersburga, skąd ma się udać do ambasady w Londynie. Nieraz pewnie z Londynu do Paryża się przejedzie; zazdroszczę mu, ale on tak za krajem stęskniony, że tylko z obowiązku za granicę wyjeżdża. Pisuj do mnie chociażby pocztą do Poznania, byleby stamtąd listy okazyą mi przysyłano, o co już łatwiej. Kiedyż otrzymam próbki marsylskie i artykuły z dzienników mód o nich?»

«Próbki marsylskie», o których Zamoyski niejednokrotnie w listach do panny d'Arnaud wspomina, nazywając je czasem «próbkami południowego zboża», oznaczać miały egzemplarze dzieła x. Adama Czartoryskiego: «Essai sur la diplomatie», drukującego się podówczas w Marsylii, a które autor wydawał pod pseudonimem «Toulouzan».

«Tymczasem niezliczone oznaki ostrzegały niezaślepionych, że jak w innych stolicach, jak na całym niemal świecie, tak i w Polsce zbliża się wybuch. Opowiadano, że raz Seydel, znany kupiec warszawski, oświadczył w rozmowie z wiceprezydentem miasta Lubowidzkim, który z polecenia w. xięcia do niego przyszedł, że «i na Warszawę przyjdzie kolej rewolucyi gminu», którą wywołać muszą uciążliwe nadużycia komisyi kwaterniczej i «kabaki» Newachowicza. Gdy go Lubowidzki zaklinał, by tego nie gadał, Seydel powtórzył to samo, dodając, że «życzy sobie, aby to doszło do w. xięcia».

Już i dzień naznaczono, w którym miał wybuch nastąpić, dzień 15 października, w rocznicę śmierci Ko-

ściuszki. Za przykładem Francyi i Niemiec, zarówno ci, co pragnęli wybuchu, jak i ci, co tylko przypuszczali, że do niego przyjdzie, roznosili po całym kraju ostrzeżenia, aby w razie potrzeby natychmiast wszyscy się przyczynili do tworzenia miejscowych oddziałów straży bezpieczeństwa. I ja, choć ze wszech miar ubolewałem nad samem podobieństwem niewczesnego wybuchu, ośmieliłem się posłać ostrzeżenie rządcom dóbr mego ojca, ażeby w miarę możności i w danym razie nie ociągali się z podjęciem kroków koniecznych do zabezpieczenia okolicy przeciwko skutkom chwilowego, jaki mógł nastąpić, bezrządu.

O spiskowaniu w samej Warszawie wiedziałem niejedno, po części przez samych spiskowców, którzy zwierzeniami chcieli mnie wciągnąć, a przynajmniej wybadać; najwięcej zaś wiedziałem przez Stanisława Rzewuskiego, niepospolitego człowieka, który mnie przyjaźnią swoją zaszczycał. Parę lat młodszy ode mnie, przed rokiem zaledwie po ukończeniu szkoły aplikacyjnej mianowany podporucznikiem artyleryi, wychowany był za granicą; mając lat dziewiętnaście, zdobył już stopień doktora filozofii w Sorbonie, a w parę lat później został doktorem prawa. Jeden z nielicznych uczni i wielbicieli księdza Lamennais, z czasu, kiedy ten umysł potężny był jeszcze bez skazy, Rzewuski głęboko się przejął poglądami politycznemi mistrza, naówczas wiernego Kościołowi katolickiemu.

Ten sposób zapatrywania się na sprawy polityczne po raz pierwszy spotkałem w człowieku żyjącym. Byłem już czytał, a więcej jeszcze słyszał o hrabiu de Maistre, o panu de Bonald i podobnych im, alem się niewiele był jeszcze nad ich zasadami zastanawiał. Zdawało mi się jednak, że w ich nauce i twierdzeniach jest brak miary, że jest przesada, a od wszelkiej przesady bronił mnie wrodzony instynkt. Rzewuski po raz pierwszy dał mi zrozumieć i ocenić zastosowanie odwiecznych zasad do nowych zapatrywań i potrzeb rodzaju ludzkiego.

Cechą i potęgą Rzewuskiego była właśnie we wszystkiem miara. Był on jak okręt, o masztach tak w porównaniu ze szczupłą podstawą wyniosłych, że gdy się na nich rozwiną potężne żagle, zaledwie wierzyć można, by się w równowadze zdołał utrzymać. Takie okręty jednak najszybszy bieg miewają. A co je ubezpiecza? Ster i balast odpowiedni wysokości masztów. Rzewuski, przy takiej równowadze umysłowej i duchowej, miał niezmierny, jak na swój wiek, zapas wiadomości. Władał niemi, jak okrętem włada doświadczony sternik. Mówiono o nim, że jego wiedza wystarczyłaby na czterech uczonych. W naukach ścisłych, matematyce, rozwiązywał najtrudniejsze zadania mechaniki i astronomii; klasyków greckich i łacińskich znał doskonale; podobnie znał filozofią i ojców Kościoła. Znajomość historyi i prawa służyła mu do zrozumienia, co powinno życiem politycznem kierować. To też Rzewuski bywał zapraszany na współpracownika przez wszystkich, że tak powiem, uczonych w Warszawie. Armiński, dyrektor obserwatoryum, Chiarini, profesor języka hebrajskiego na uniwersytecie warszawskim, Lelewel i inni zarówno żądali od niego rady i pomocy. Zadawali mu wypracowania, a on je wykonywał na zamówienie.

Najbardziej jednak współpracownictwa jego żądali ci, co marzyli o podźwignieniu kraju przez powstanie, ci co chcieli się do niego przysposobić, co szukali jakby siły żywotne narodu rozbudzić i rozwinąć. Rzewuski widywał ich, o ile wiem, głównie w redakcyi niedawno utworzonego dziennika «Kuryer Polski». Do redakcyi należeli wszyscy niemal patryoci, posiadający jakieś znaczenie literackie. Na czele ich stali Lelewel, M. Mochnacki, J. B. Ostrowski, uchodzący wówczas za patryotę i uczonego człowieka. Przygotowywało się tam jakby odrodzenie politycznego u nas piśmiennictwa. Z tego, co mi Rzewuski mówił, miałem wrażenie, że w tem gronie zapanowały pojęcia i zasady skrajne, rewo-

lucyjne czyli, jak je wówczas nazywano, jakobińskie, te właśnie, przeciwko którym występowali we Francyi mistrze, pod którymi Rzewuski się kształcił. Mawiał on też czasami: «Ci ludzie sami nie wiedzą, jaką idą drogą. Wobec nieprzyjaciela wszyscy łączą się niby w nienawiści ku niemu, ale jak przyjdzie do działania, wówczas różność zdań i dążności się uwydatni, wówczas wykaże się demokratyczna zawiść i nieufność ku ludziom, jakąkolwiek wyższość posiadającym, czy z urzędu, czy z stanowiska, czy nawet z zasługi..»

Tak ostrzegał Rzewuski. Twierdził, że o blizkim wybuchu wątpić już nie można, że więc wcześnie do niego przygotować się należy, przedewszystkiem wyrobić sobie pojęcia o warunkach potrzebnych, jeżeli nie do zbawienia sprawy narodowej, to przynajmniej do pokierowania nią, o ile podobna, roztropnie.

Rzewuski nalegał, żebyśmy, nie tracąc dnia jednego, skupiali się wkoło xięcia Adama, by sobie wyrobić wspólne wytrawne zapatrywanie wobec zadania, które nas czeka. Dla ludzi roztropnych xiążę Adam był oczywiście wskazanym naczelnikiem narodowej sprawy. Zalecały go do niej poprzednio sprawowane najwyższe urzędy, doświadczenie, zasługi, a ostatecznie wpływ, jaki wywarł na szczęśliwe przeprowadzenie sądu sejmowego. Nikt mu nie wyrównywał w zdolności do kierownictwa politycznego. Rzewuski słusznie mawiał, że gdzie Opatrzność narodowi takiego męża daje, tam społeczeństwo samo na siebie pisze wyrok, jeżeli męża tego w stanowczej chwili nie otoczy zaufaniem, nie poprze wszystkiemi siłami. Rzewuski chciał utworzyć koło xięcia grono ludzi jednego ducha, którzyby się naciskom jakobinizmu oprzeć mogli.

Mnie się zdawało, że Rzewuski przesadza, mówiąc o jakobińskich skłonnościach naszych patryotów, dowodziłem, że ciężko zawinia, kto pierwszy upatrując takie sprzeczne dążenia, daje im nazwy i tem samem przy

czynia się do rozdwojenia w społeczeństwie. Na przekonanie mnie, że się mylę, zaprosił mnie Rzewuski na rozmowę z jednym z celujących między jakobinami, a gdy ten zapowiedział niewątpliwy w krótkim czasie wybuch, zapytałem, komu spiskowi oddadzą kierunek sprawy, i powiedziałem, że, o ile miarkuję, żaden z ludzi, którzy sobie w kraju znaczenie wyrobili, czy zasługą, czy stanowiskiem, nie ma zaufania wśród spiskowców. Na to odpowiedział mi J. B. Ostrowski: «Prawda, że naród nasz jest za głupi, aby mógł się obejść bez magnatów; prawda, że Polacy bez nich nie zerwą się do ruchu, to też z nimi trzeba rozpocząć koniecznie, ale niebawem przyjdzie te gadziny wygubić, bo są szkodliwe.»

Bawili wówczas w Warszawie moi trzej starsi bracia. Miałem i kilku przyjaciół, młodych jeszcze ale wytrawnych, opowiadałem im zdanie Rzewuskiego, silnie je popierając, alem żadnego nie przekonał: nie chcieli wybuchowi wierzyć i nie wątpili, że, gdyby nawet istotnie czyniono jakie przygotowania, władza krajowa do wybuchu nie dopuści. Jedną tylko mieli radę: ostrzedz rząd, ażeby od zaburzeń kraj zabezpieczył. Wskutek tych i tym podobnych rozmów i narad, napisano dwa listy bezimienne o zamiarze uderzenia na Bank i zrabowania kasy. List jeden podrzucony został w ratuszu, drugi tak, aby wpadł w oko w. xięciu. Zamiarem tego ostrzeżenia było, ażeby władza policyjna, okazując baczność, zmusiła spiskowych, jeżeli nie do zaniechania zamiarów, to przynajmniej do odroczenia ich do odpowiedniejszej chwili. Wkrótce też dało się słyszeć, że wszystko do wiosny odłożone. Zdawało się to tak niewątpliwem, że brat mój Jan, sądząc, że nic przed wiosną nie zajdzie, wyjechał do Petersburga, gdzie miał rozkaz czas jakiś przebyć w biurze ministeryum spraw zagranicznych.

Tymczasem policya coraz natrafiała na jakieś ślady sprzysiężenia. Znosiła je do w. xięcia zwyczajna polska policya, znosił je i Rożniecki z doniesień policyi tajnej

Pan Nowosilcow rozpaczał nad zaślepieniem w. xięcia, niechcącego tym donosom wierzyć, i wraz z Rożnieckim i Lubowidzkim nastawali 28 listopada na niego, aby przedsięwziął potrzebne kroki przeciwko wybuchowi powstania. Gdy w. xiążę upornie się temu przeciwił, Nowosilcow oznajmił mu, że pozostać nie chce w Warszawie, i w rzeczy samej tegoż dnia wyjechał do Wilna. Moskiewska policya wraz z w. xięciem zaprzeczała wszystkiemu. Pułkownik Sass, Kurlandczyk, do sztabu a bardziej jeszcze do tajnej policyi w. xięcia należący, lichy człowiek, ale nie złośliwy, sam, dnia jednego w Belwederze wszedłszy ze mną w rozmowę, narzekał na donosy Rożnieckiego, dowodząc, że on te mniemane spiski sam tworzy, by u w. xięcia wyzyskiwać coraz więcej ufności i pieniędzy. Rozwodził się nad niepodobieństwem wybuchu. Nie przypuszczał, aby Polacy, tak ojczyznę miłujący, mogli ją sami zabijać, kiedyby im wystarczyło tylko trwać, żeby się wszystkiego doczekać. W mniemaniu, że Polacy tylko ze zgodą Rosyi mogą odzyskać zabrane prowincye, mówił w. xięciu: «Oni wszyscy chcą niepodległości i dla tego właśnie terazby powstania nie chcieli; waryatami nie są.»

Bolesne to dla mnie były słowa, bo mi pokazywały, że sługa wroga naszego zdrowiej oceniał nasze potrzeby i środki do zbawienia naszej ojczyzny, niż wielu pomiędzy nami. Nieszczęsny niebawem padł ofiarą swojej wiary w patryotyzm i roztropność Polaków. W noc 29 listopada, trwając w swojem przekonaniu i chcąc z powstańcami rozmawiać, aby ich uspokoić, życiem to przypłacił. W. xiążę, jak powiedziałem, niczemu wierzyć nie chciał; zaślepiała go miłość własna; nadewszystko co do swojej osoby czuł się bezpiecznym i był przekonany, że między Polakami niktby się zamachu na jego życie niedopuścił. Z różnymi wszczynał rozmowy o pogłoskach zapowiadających powstanie. W dzień wybuchu z rana, kiedy Mostowski, minister spraw wewnętrznych i policyi,

był u niego, wezwany z powodu niemiłej w. xięciu nominacyi Dmochowskiego, po załatwieniu sprawy, wielki xiążę nadmienił, że krążą pogłoski o mającem wybuchnąć powstaniu. Mostowski sam, nie wierzący w powstanie, bo go nie pragnął, odrzekł: «Powstania nie będzie i być nie może, chyba żeby wzięło początek z wojska, a tam policya moja nie sięga.» Wtedy w. xiążę zaręczał, jak zawsze, że jest pewny wojska, że duch w armii jest doskonały. «Wojsko wszystko mi zawdzięcza,» mówił, «to mi zawdzięcza nawet, że teraz nie jest zmuszone wystąpić przeciwko Francyi.» Inny raz badał jen. Stanisława Potockiego, a ten mu odpowiedział: «Gdyby było powstanie istotne, tożbym do niego należał.»

Zwycięstwa mieszczan nad wojskiem regularnem w Paryżu i Bruxelli były mu częstym przedmiotem namysłu. Razu jednego na placu Saskim podczas parady, spostrzegłszy Chłopickiego, badał go i pytał, jak sobie wojsko przeciw wzburzonej stolicy najlepiej radzić może. Chłopicki odrzekł: «Garnizon za miasto wyprowadzić, przeciąć wszystkie gościńce, nie dopuścić dowozu żywności, nie pozwolić na żadną komunikacyę z miasta na zewnątrz.» W ten sposób mniemał Chłopicki, iż można zmusić stolicę do kapitulacyi. Środek ten przypadał w. xięciu przynajmniej o tyle, że go nie zmuszał do użycia broni, do czego miał wstręt największy.

Częste przechadzki po ogrodzie Saskim, gdym przed paradą czekał na w. xięcia, dały mi nieraz sposobność rozmawiania z jen. Chłopickim. Znałem go od lat wielu; ciekawie go wypytywałem o wojenną przeszłość, ale od lat kilku mniej go widywałem. Odbywał podróż za granicą z Wąsowiczami. Niedawno wrócił z Włoch. Przedmiotem naszych rozmów teraz były naturalnie zaburzenia, co dnia nowe, we wszystkich niemal krajach Europy. Wiedziałem, że Chłopicki nie miał współczucia dla tych zaburzeń ludowych. Najmniej go jednak okazywał na przypuszczenie powstania w Polsce, a mianowicie w War-

szawie. Ja jednak do tego przypuszczenia ciągle z nim wracałem. Opowiadałem coraz częściej i szerzej o przewidywaniach takiego powstania. Jednego dnia wypowiedziałem i przed nim zdanie, że choć wszystko czynić trzeba, ażeby zapobiedz szalonemu przedsięwzięciu, to jednak równocześnie należy obmyślać, coby w razie wybuchu uczciwym ludziom czynić wypadało. Przekładałem mianowicie, że w takim razie ludzie otoczeni powszechnem zaufaniem nie powinni uchylać się od steru, nie powinni oddzielać się od narodu, ale przeciwnie, choćby z największem narażeniem, powinni stanąć przy swoich i w najgorszej doli służyć im radą, jeżeli nie ramieniem. Dowodziłem, że tacy mężowie powinni wcześnie upatrywać sobie pomocników i na wszelki przypadek wcześnie ich kształcić i zaufanie ich pozyskać. Chłopicki przerwał mi, nazywając powstanie niewczesnem i zaczął z pogardą mówić o naszym narodzie i o całej jego sprawie. Mówił z gniewem, zapalczywie, że każdy z osobna i wszyscy razem powinni wszelki ruch podobny tłumić i w każdym razie z nim się nie łączyć.

Prosto z parady dnia tego poszedłem do xięcia Adama, powtórzyłem tę rozmowę i powiedziałem: «To ten Chłopicki w razie powstania przez ślepą ufność, jaką naród w nim pokłada, stanie się narodową klęską.» Na to xiążę: «To go dziś dopiero poznałeś?» W istocie Chłopicki był dzielnym żołnierzem, ale niczem więcej. Ani to był człowiek polityczny, ani też posiadał jakiekolwiek zdolności poza czysto wojskowemi. Żołnierz z niego był dobry, ale się na przewodnika losów narodu nie nadawał.

Kiedy następnie znowu różni wpadali do mnie, zapowiadając, że wybuch niezawodny i blizki, zapytywałem zawsze, na kogo liczą, i kto od pierwszej chwili powstaniem kierować będzie, ażeby ono mogło, choćby tylko chwilowo się utrzymać. Odpowiadano mi zawsze, że liczą na Czartoryskiego i na Chłopickiego.

Do xięcia Adama iść nie potrzebowałem, by się o jego usposobieniu przekonać. Znałem jego ofiarność bez granic, ale wiedziałem, że on tylko biernie przysłuchuje się wszystkiemu, i że nic wyraźnego nie przedsiębrał w przewidywaniu grożących wypadków. Co zaś do Chłopickiego, przypuszczałem, że albo wobec mnie był nieszczerym i że mi się zwierzyć nie chciał, albo też, że od ostatniej mojej z nim rozmowy przed kilkoma tygodniami, zdanie zmienił i dał się nakłonić do objęcia kierunku nad gotującym się wybuchem. Poszedłem więc do niego. Zaledwiem dotknął przedmiotu, który wówczas wszystkich zajmował i trwożył, skoro spostrzegł, że sądzę, iż zmienił zdanie, i że wmawiam w niego, iż powinien odpowiedzieć powszechnemu zaufaniu, zerwał się jak oparzony, złajał, zarzucił, że niedorzeczności mówię. Nie chciał słuchać ani pozwolił cokolwiek więcej o tem mówić.

Tak więc wiedziałem dokładnie, co warte były nadzieje pokładane na Chłopickim i Czartoryskim, wiedziałem, jak spiskowcy sami siebie łudzą, licząc na kierownictwo, dla braku którego sprawa narodowa, przy tylu innych do tego jeszcze powodach, na nieuniknioną klęskę była skazana.»

XIII

NOC LISTOPADOWA

«Już było pod koniec listopada, kiedy po raz ostatni przypadła na mnie służba przy w. xięciu. Poranek był jesienny, dżdżysty, zimny. Mniemano, że w. xiążę na paradę nie pojedzie. Przeciwnie się stało. Siadając do otwartej kolaski, odezwał się: Co za czas, co za brzydki czas! Myśleliście, że się uwolnię od parady? Ale dzisiaj kolej na moich kochanych saperów, nie mogę im nie dopisać.»

Następna kolej służby saperów w garnizonie przypadła 29 listopada i to właśnie stało się powodem, że spiskowcy w ten dzień postanowili rozpocząć powstanie. W batalionie saperów i pułku 4 liniowym myśl powstania najszerzej się rozpowszechniła. Kto wie, czy nie dla tego, że w. xiążę do nich właśnie największe miał upodobanie, ku nim spiskowi głównie skierowali propagandę, u nich szczególniej starali się obudzić chęć do odznaczenia się w sprawie narodowej i drażnili ich wmawianiem, że się uwieść dali pieszczotom w. xięcia.

Rano 29 listopada, znowu i już po raz ostatni przyniesiono mi zapowiedź wybuchu, mającego tegoż wieczora nastąpić. Powodem ostatecznym do tego stało się aresztowanie kilkudziesięciu osób, w największej części studentów, i pogłoska, że katusze wymogły na nich

wydanie mnóstwa nazwisk, tak że do tysiąca osób ma być aresztowanych.

Gdy 29 rano Mostowski zapytał w. xięcia, czy należy aresztowanych poddać sądowi czy też wypuścić, w. xiążę odpowiedział: «Ależ nic nie nagli, im tam bardzo dobrze, niczego im nie braknie!» Mostowski: «Widać, że Wasza Xiążęca Mość nigdy nie byłeś wystawiony na podobną próbę i nie wiesz, jak męczące jest towarzystwo, w którem jedynemi towarzyszkami są trwoga i nuda.» W. xiążę: «Ba, zaczynasz pan filozofować. Zresztą niech ich sądzą, i owszem; wolę, aby się to już raz skończyło. Kuruta napisze, aby sąd nad nimi przyspieszono.»

W. xiążę nakazał te aresztowania na donosy policyi, nie pozwalające mu już wątpić o spisku. Wspólnicy aresztowanych, przewidując, że podobny los ich czeka, przyszli do wniosku, że dłużej powstania zwlekać nie można. Wobec tego, który mnie przyszedł ostrzedz, nie taiłem się z przekonaniem, że ten pospiech straszną sprowadzi klęskę.

Rzecz dziwna, a malująca stan powszechny Warszawy, to ogólne wzajemne a jakby mimowolne wszystkich porozumienie; o nieuniknionym blizkim wybuchu wszyscy mówili, zdawało się, że wszyscy wszystkim do tyla wierzą, że żaden Polak nie wystrzegał się Polaka. Różne przecież były zdania, wielu bardzo powstanie odradzało. Ja sam nieraz i tegoż jeszcze rana ze zgrozą, z rozpaczą odpychałem zwierzenia, chcąc pokazać, jak przez wzgląd na ojczyznę, na jej losy i najdroższe nadzieje, wybuch potępiałem, niemniej przeto zwierzenia wciąż się ponawiały. Przekładałem, że jako adjutant więcej niż ktokolwiek skazany jestem na bierność we wszelkich podobnych zamiarach i przedsięwzięciach. Mawiałem: «Niechaj nikt na mnie nie liczy, do powstania ja ze wszystkich przystąpię ostatni, chociaż nie przeczę, że przystąpiwszy, gotów będę na równi z innymi poświęcić sprawie, nawet bez nadziei, i życie i wszystko.»

Daremne były prośby i ostrzegania; w samej żarliwości, z jaką mówiłem, widziano duszę moją na wskroś, i nikt nie wątpił, że się nie wymówię od służenia sprawie narodowej, skoro mi daną będzie sposobność do tego.

Nieraz, widząc rosnącą, a może niestety dziedziczną u nas, demokratyczną zawiść do «arystokratów», do ludzi na wyższych stanowiskach i do uprzywilejowanych jakoby rodów, dziwiłem się ślepej ufności, jaką pokładano, w mojej dyskrecyi i mojem przywiązaniu do sprawy krajowej. Przypuszczałem, że to pewnie niektóre rody u nas używają jeszcze przywileju, przyznawanego im przez ogół. Takim przywilejem była osobista ufność, którą mi ogólnie okazywano, na którą żadnym poprzednim czynem nie zasłużyłem i mimo to, żem przeczył gorącym nadziejom i odmawiał wspólności w zapowiedzianych zamiarach. Nie pierwszy to w owej chwili dany mi był dowód takiej ufności. Podczas ostatniej bytności cesarza Mikołaja w Warszawie knuły się spiski na jego osobę. Raz stanęło na tem, żeby po przeglądzie saperów, gdy cesarz każe dla rozdania nagród, jakto bywało, sformować kwadrat i wejdzie do środka, tam go porwać i zgładzić. Innego razu obmyślano napaść na niego na balu u mego ojca. W tym planie przeznaczony byłem niepytany, nieostrzeżony, do znacznego udziału. Postanowiono mnie z balu wywołać nieznacznie, zakląć, abym niezwłocznie zamienił ubranie balowe na służbowe, wsiadł na konia, objechał wszystkie koszary polskie i rozkazał, jakoby z polecenia w. xięcia, wszystkim pułkom natychmiast pod bronią stanąć i pałac nasz otoczyć. Dzięki Bogu nie spotkała mnie ta próba, nie mam więc potrzeby i nigdy nie chciałem w głębi duszy rozstrzygać, cobym był począł wobec takiego zaklęcia.

Jedno wiem, że i przyjąć i odmówić było bardzo trudno; trudno zawsze się wymówić przed zaklęciem na miłość ojczyzny, trudno się narażać na oburzenie swoich,

trudno skądinąd iść wbrew własnemu i tak silnemu przekonaniu, że na takiej drodze ojczyzna tylko klęski może się doczekać, najtrudniej wyznam otwarcie, pominąć dobrowolnie i pod przysięgą przyjęty obowiązek żołnierza; co większa, obowiązek, od którego wolno mi się było usunąć, a z którego się nie uwolniłem: obowiązek adjutanta przy naczelnym wodzu. Dzięki Bogu, powtarzam, przemogła wówczas rada roztropniejszych. Jam się o całej rzeczy dopiero później dowiedział.

Dnia 29 listopada po ostrzeżeniu, jakie mnie z rana doszło, że wybuch niezawodnie pod wieczór nastąpi i że polski garnizon udział w nim weźmie, umyśliłem miasto objechać nieco. Jakoż, wsiadłszy na koń, krążyłem przez dwie godziny w okolicy głównych koszar, a nie dostrzegając tam żadnego niezwykłego ruchu, wstąpiłem około czwartej po południu do koszar Mirowskich, gdzie stał pułk strzelców konnych gwardyi. Zaliczałem się do niego jako adjutant i wielu oficerów w nim znałem, bom służbę moją wojskową z nimi lub przed nimi w tym pułku rozpoczął.

Wstąpiłem do izby oficerów, mających dnia tego służbę w szwadronach, poszedłem i do przyległej izby, w której przebywał sztabsoficer służbowy. Między młodszymi zastałem tego właśnie, którego najlepiej znałem, porucznika Skarszewskiego. Dowodził on pierwszym plutonem pierwszego szwadronu. Lubiłem go za szczególną dla mnie uprzejmość; spotykaliśmy się w tych samych towarzystwach, stąd nawet pewna zażyłość powstała między nami, ale najbardziej wiązała nas wspólna przyjaźń z dawnym moim dowódcą szwadronu, potem podpułkownikiem w tym samym pułku, Krzyżanowskim, który, zesłany na Sybir, został przytomny w pamięci wszystkich, jako rycerz i męczennik; szczególniej pamiętał o nim jego własny pułk strzelców konnych gwardyi. Z tego prawdopodobnie powodu w. xiążę pułk ten miał w podejrzeniu i często mu swój zły humor okazywał,

mimo że obecnego jego dowódcy, jenerała Kurnatowskiego, ani w. xiążę ani nikt inny nie posądzał pewnie o skryte przeciwko rządowi zamiary. Kurnatowski był człowiekiem w gruncie prawym, lecz wobec władzy miał taką dworacką powolność, że stał się niepopularnym, ale za to ufność i życzliwość w. xięcia sobie zjednał.

Przekonawszy się, że w koszarach nic nie zapowiadało nadzwyczajnych wypadków, począłem sam nadmieniać o ponawiającej się coraz zapowiedzi jakiegoś wybuchu. Na to wszyscy mnie jednogłośnie zapewniali, że to bajki, «boćby nas nikt nie wyprzedził, gdyby się coś dało zrobić». Toż samo powtórzył mi na stronie Skarszewski, kiedym mu się zwierzył, dla czego do ich koszar wstąpiłem.

W istocie, w kilka godzin później, w chwili wybuchu, któremu przewodziły pułk 4 liniowy i sapery, strzelcy konni gwardyi, o niczem nie wiedząc, na rozkaz służbowego przy w. xięciu adjutanta, kapitana Trembickiego, wsiedli na koń i pomaszerowali w zwykłym porządku pod Belweder.

Jak pułkom od w. xięcia pieszczonym najpierw się spiskowi zwierzyli, by sobie ich poparcie zapewnić, tak prześladowanemu od w. xięcia nie zwierzono się wcale licząc, że korpus oficerów, do którego Krzyżanowski niegdyś należał, bądź co bądź, do powstania się przyłączy[1]).

Wróciłem do domu nieco uspokojony. Rodzice nasi byli na wsi. Do obiadu zasiedli ze mną tylko dwaj bracia moi: Andrzej, który należał do ministerstwa spraw wewnętrznych, i Zdzisław, który przed dwoma miesiącami ukończywszy szkołę aplikacyjną, został oficerem w pułku saperów.

---

[1]) Oprócz szkoły podchorążych pieszych, szkoły bombardyerów, batalionu saperów, kilku kompanii grenadyerów liniowych i 4 pułku piechoty liniowej, reszta garnizonu nie należała do powstania w chwili wybuchu i nie wiedziała o niem.

Ale ledwo się ściemniło, dał się słyszeć na ulicy ruch niezwyczajny, jak nagły wiatr przed burzą; — wkrótce zjawiła się na placu przed Bankiem i kratą naszego podwórza szkoła podchorążych konnych pod dowództwem podpułkownika Czarnomskiego i jakby mocny szwadron jazdy stanęła przed pałacem Bankowym. Dowódca szkoły miał od pewnego czasu, tak jak inni dowódcy pułków lub odrębnych oddziałów, rozkaz wyznaczający mu, jakie ma zająć stanowisko w razie alarmu, czy jakiego zaburzenia. Czarnomski miał polecenie zasłaniać Bank.

Zamknięto bramę żelaznej kraty przed naszym pałacem. Obszerny dziedziniec napełnił się mieszkańcami pałacu, których było parę set; wszyscy byli strwożeni i śledzili przez kratę ruch uliczny. Ulicą przebiegało wielu cywilnych mniej więcej uzbrojonych, a niebawem poczęły się schodzić na plac różne oddziały piechoty liniowej.

Brat mój Zdzisław zapytał mnie, co ma robić. Odpowiedziałem bez wahania: «Dziel losy oddziału, do którego należysz, jakiekolwiekby były. Idź do swego batalionu i nie pytając, co robi, stań przed plutonem na właściwem miejscu. Na własną rękę nic nie poczynaj. Dla pospiechu weź konia ze stajni.»

Nie wiem, jak się to stało, zapewne dla odprowadzenia konia, pojechał za Zdzisławem kozak czarnomorski, który mnie, jako adjutantowi, dany był na ordynansa. Ten towarzysz o mało nie ściągnął na nas nieszczęścia. Wiedzieliśmy już, że arsenał zajęła piechota nasza powstająca, przyszło więc Zdzisławowi okrążać wzdłuż okopów, by się dostać do koszar, gdzie stał jego batalion saperów[1]. W drodze natrafił na maszerującą szkołę bombardyerów. Prowadził ją kapitan Nieszokoć, który poznawszy Zdzisława, zaczął go namawiać, by się dalej nie puszczał

[1] Batalion ten od pierwszej chwili do powstania się przyłączył.

i przy nim pozostał. Zdzisław tłomaczył się, że powinnością jego stanąć przy swoim batalionie i po chwili wypuścił konia i umknął. Strzelono za nim z pistoletu, sądząc po towarzyszącym mu kozaku, że do wybuchu przystąpić nie myśli. Zdzisław dotarł szczęśliwie do swego batalionu, o czem doniósł mi parę godzin później ów kozak, któremu się udało wrócić i konia odprowadzić.

Ja tymczasem, wyszedłszy na plac Bankowy, spotkałem jenerała Stasia Potockiego, dowodzącego w Warszawie całą polską piechotą. Ten opowiedział mi, że podsunąwszy się dopiero co pod arsenał, gdy chciał przemówić do stojącego tam oddziału pułku 4 liniowego, został nagle porwany przez ten oddział, który nalegał nań, żeby stanął na jego czele, tak że ledwie go sztab zdołał uratować! W zgiełku utracił płaszcz i kapelusz; to też miał na sobie płaszcz pożyczony, a na głowie furażerkę tylko. Stał na placu, który mu był rozkazem wskazany, i na dalsze rozkazy czekał, gorzko nad wybuchem ubolewając.

Gdym wracał do domu, wołano mnie po nazwisku i pytano: «Jakie hasło?» Nie zatrzymując się i unikając rozmowy, dałem kilkakrotnie odpowiedź: «Hasło, panowie, zawsze i wszędzie: ojczyzna; ale dziś nie czas je głosić.» Schroniłem się napowrót za kratę pałacu, a chodząc po dziedzińcu z Andrzejem, dzieliłem się z nim najsmutniejszemi przeczuciami. W pierwszej chwili nie przypuszczałem, by się ruch mógł przedłużyć; przekonany owszem byłem, że wnet stłumiony zostanie, że się rzecz zakończy potężnem śledztwem, w którem każdy z osobna z każdego kroku swego będzie się musiał tłomaczyć. Póki mogłem, trwałem w postanowieniu nie mieszania się do niczego. Ale coraz bardziej zatrważające wieści dochodziły głucho. Widać było, że to ruch wielki, że cały garnizon staje pod bronią. Uznałem, chcąc nie chcąc, że dłużej biernym pozostać nie mogę, że winienem koniecznie stawić się przy w. xięciu.

Kazałem sobie konia podać, ale kiedym wsiadał, zastąpili mi drogę do bramy wszyscy na dziedzińcu stojący mieszkańcy pałacu, mężczyźni i kobiety, błagając, abym jako jedyny między nimi wojskowy dla ich bezpieczeństwa pozostał; mając tak kilkuset świadków okazanej chęci wyjechania na koniu za bramę, dałem się wstrzymać, rad, że jeszcze czas jakiś bierność zachować mogę.

Tak upłynęło parę godzin, kiedy naraz dano mi znać, że za bramą stoi kapitan Bezobrazow, jeden z adjutantów w. xięcia. Podszedłem pod bramę, gdzie Bezobrazow zawołał do mnie: «Jakim sposobem jeszcze tu jesteś? w. xiążę był napadnięty w Belwederze. Ocalał, ale Gendre zamordowany. W. xiążę stoi w alejach Ujazdowskich... Ja sam ledwo z życiem uszedłem. O kilka kroków stąd chciano mnie zatrzymać. Spiąłem konia. Strzelano do mnie... Mój kozak pozostał w tyle, nie wiem czy wzięty, czy zabity...» Odrzekłem mu: «Nic nie wiedziałem o tem wszystkiem. Chciałem jechać, ale ten tłum domowników, który tu widzisz, drogę mi zastąpił. Chodziły pogłoski, że Bankowi rabunek zagraża, stąd obawa i o dom mego ojca. Domownicy zatrzymali mnie, myśląc, że w razie napadu obronić ich potrafię. Ale wobec tego, co mi mówisz, jadę natychmiast do w. xięcia.» Bezobrazow odjechał i wyznać winienem, żem podziwiał jego zimną krew w takiem przejeżdżaniu się po wzburzonych ulicach[1]).

---

[1]) Bezobrazow był zemną w dobrych stosunkach i nieraz z różnych spraw osobistych mi się zwierzał; a sprawy miał liczne, bo sobie pozwalał na wszystko, co mógł zdobyć piękną urodą i zalotnością bez granic. Był w Warszawie od ludności znany, niemal lubiony. Krótko przed wybuchem powstania mówił mi, że się ono gotuje i ubolewał nad tem, twierdząc, że ono klęskę tylko na Polskę sprowadzić może. Mawiał: «Mają zacząć od wymordowania nas w naszych mieszkaniach. Możemy się spodziewać tego każdej chwili.» Nie przypuszczał jednak, by Polska z korzyścią na Moskwę porwać się mogła, chociażby nawet w pierwszej chwili klęskę jej zadać potrafiła. (W. Z.)

Dłużej zwlekać już niepodobna było. Wsiadłszy na koń, podjechałem do jenerała Stasia Potockiego, oznajmiłem mu, że jadę do w. xięcia i pytałem, czy chce co przeze mnie raportować. Nalegał, bym jechał bez zwłoki. Na placu Saskim spotkałem pułkownika Turnę, Siemiątkowskiego, Daszewskiego. Gdym dojechał do alei Ujazdowskich między kościołem św. Alexandra a Belwederem, znalazłem w. xięcia otoczonego licznym sztabem. Na polu, przy alei, stał pułk kirasyerów gwardyi moskiewskiej, za nim ułani i huzarzy tejże gwardyi i strzelcy konni gwardyi polskiej, wszyscy razem stanowiący dywizyę gwardyi i kilka kompanii piechoty polskiej. Czoło tej kolumny oniemal dotykało w. xięcia.

Gdym zsiadł z konia i zbliżył się, w. xiążę przywitał mnie z widocznem zadowoleniem z mego przybycia i rzekł: «Wiesz, napadnięto na mnie, Gendre zamordowany...» i zaraz potem: «Co się w mieście dzieje?» Uderzyło mnie, że mi żadnej nie dał nagany, że się tak późno stawiam. Przemówiwszy słów kilka, w których przebijało oburzenie i zadziwienie, kazał mi wrócić do miasta po wiadomości, narzekając, że nikt mu prawdziwych dać nie może.

Pojechałem, a powróciwszy wkrótce, oznajmiłem, że arsenał wzięty oraz więzienie Karmelickie; potwierdziłem także to, czemu dotąd w. xiążę wierzyć nie chciał, że pułk 4 liniowy i batalion saperów ze wszystkimi oficerami swymi są na czele powstania. Zadziwienie w. xięcia przemieniło się w trwogę. Właśnie te dwa oddziały wojska lubił z całej armii najwięcej; ich postawa na paradzie, według jego zdania, była celująca, ich duch najlepszy. Przeciwnie, strzelcy konni gwardyi byli zawsze przedmiotem jego podejrzeń z powodu zimnego i oględnego zachowania się oficerów, a w tej chwili oni jedni z całego wojska polskiego stanowili jego eskortę. Nie mogło mu się to w głowie pomieścić.

W. xiążę wnet znowu do miasta mnie posłał. Wkrótce dwóch jego adjutantów rosyjskich raniono; że zaś z polskich adjutantów pułkownik Turno zajął stanowisko na placu Saskim z plutonem strzelców konnych gwardyi, a kapitan Trembicki nie mógł bezpiecznie pokazywać się w mieście, gdzie mało miał przyjaciół, ja jeden przeto mogłem trochę bezpieczniej docierać do miasta.

Około jedenastej wieczór dostałem się na plac Bankowy. Znalazłem tam wciąż jeszcze stojącego jenerała Stasia Potockiego na czele kilku kompanii piechoty, we dwie linie naprzeciw siebie ustawionej, które w pierwszej chwili niepewności sądziły, że najlepiej wypełnią narodowy obowiązek, trzymając się tego właśnie jenerała. Ledwie z życiem uszedłszy z pod arsenału do piechoty stojącej pod Bankiem, Potocki i tej już teraz pewien nie był.

‹Powiedz w. xięciu›, rzekł, ‹żeby nie liczył na naszą piechotę do tłumienia powstania. Swoi do swoich strzelać nie będą. Ale w. xiążę ma dosyć jazdy, może bez strzału, prostem pędzeniem szwadronami kłusem raz po raz po ulicach, ludność rozproszyć, choć ta już arsenał zdobyła. Jedyny to dla niego ratunek, ale niech czasu nie traci, od trzech godzin powinien to był zrobić; nie przestaję domagać się tego. Wojska w powstaniu pewno nie wiele...»

Gdym zwrócił konia ku Belwederowi przez Żabią, Królewską i Mazowiecką, dręczyła mnie bolesna z samym sobą sprzeczność. Ja tedy, przez obowiązek żołnierski, przez tak zwany punkt honoru, miałem nakłaniać w. xięcia do użycia siły przeciw powstaniu! Prawda, że same nieszczęścia z niego przewidując, musiałem pragnąć, aby było szybko stłumione, ale cała dusza moja podzielała pragnienia, jeżeli nie nadzieje powstańców. Potępiając powstanie, ganiłem tylko sposób i porę niewczesną, bo przecież to, do czego powstanie zmierzało, było marze-

niem, celem mego życia, najdroższem oczekiwaniem, wypadkiem, do którego gotowałem wszystkie siły moje, któremu poświęcałem każdą pracę, każdą myśl i dla którego byłem gotów do wszelkiej ofiary. I ta to właśnie głęboka, całego mnie przenikająca miłość ojczyzny dawała mi siłę, by dla niej śmiało, bez wahania, pełnić chwilowy, jakkolwiek udręczający obowiązek.

A jednak widoczną było rzeczą, że porwanie się przeciw istniejącej władzy, zwłaszcza porwanie się żołnierzy przeciw władzy wojskowej, jeśli nie otrzyma zupełnego zwycięstwa, musi podać zawistnemu wrogowi pożądaną sposobność wydarcia nam do reszty swobód, które przysięgą zobowiązał się szanować. Zdawało mi się, że garstka zrywających się w tej chwili do tej bezmyślnej a zgubnej walki nie może być liczna, że to dzieło niedowarzonej młodzieży nie mogło pociągnąć do siebie ani starszyzny, ani ogółu ludności. To też chciałem stanąć przy części narodu, przeważnej liczbą, a bardziej jeszcze rozwagą i doświadczeniem, nie zaś przy porywczej choć ofiarnej młodzieży. Mniemałem, że jako żołnierz powinienem należeć do tej części wojska polskiego, która od starszych przyjmie hasło i kierunek, a nie do tych, co na własną rękę i własny domysł przeciw starszym wystąpią, żeby o losach kraju stanowić. Sądząc po rozmowie mojej tegoż dnia z oficerami strzelców konnych gwardyi, nie wątpiłem, że tym sposobem należeć będę do przeważnej części wojska naszego i sądziłem, że o ile ta część liczniejszą będzie, tem mniej na losach ojczyzny zaciąży wina kilkudziesięciu.

To wszystko dziś obliczam, ale w owej chwili nie było czasu na tak długie wywody. Szedłem za wewnętrznem natchnieniem, którem rządziła gorąca miłość ojczyzny i chęć poświęcenia wszystkiego dla niej.

Był lekki przymrozek, księżyc jasny. Gdym dojechał do alei Ujazdowskich, zastałem w. xięcia zawsze na tem samem miejscu, pieszo. Opowiedziałem mu wprost,

co mi polecił jenerał Potocki, a gdym kończył, mówiąc: «Jenerał Potocki myśli, że W. K. Mość może jeszcze miasto opanować, używając do tego kawaleryi i nią ulice zmiatając», w. xiążę przerwał mi[1]: «Kawaleryi? Nie mam jej», a widząc, że spojrzałem w prawo na tuż stojących kirasyerów: «To są Rosyanie, a żaden Rosyanin, o ile do tego we własnej obronie nie będzie zmuszony, nie wystrzeli, nie użyje pałasza w całej tej sprawie. Zbrodnia po waszej stronie, ja do niej ręki przyłożyć nie chcę; przyszli mnie zamordować w moim domu, zarąbali mego pierwszego adjutanta. To wojsko tu stoi, by mnie zasłonić od nowego napadu, lecz jeżeli się kto zbliży, no, to stąd ustąpimy. Żaden Rosyanin nie wmiesza się w tę sprawę. Polacy ją zaczęli, niech się sami między sobą rozprawią. Teraz się pokaże, czy zasłużyli na tyle dobrodziejstw». Wspomniał wtedy o cesarzu Alexandrze i o wszystkiem, co on dla kraju zrobił; opowiadał, jak widział od dawna, że się gotuje rewolucya, jak postanowił, w każdym razie unikać zbrojnego starcia i stosowne rozkazy dał wszystkim dowódcom oddziałów rosyjskich.

Wiedzieliśmy w istocie, że go do tych postanowień doprowadziło doświadczenie walk w Paryżu i Bruxelli, zakończonych porażką wojsk regularnych. Długo tak jeszcze mówił, wciąż powtarzając[2]: «Ja się do niczego nie

---

[1]) «De la cavalerie? je n'en ai point» — «Ceux-ci sont des Russes et pas un Russe, à moins qu'il n'y soit forcé, pour sa propre défense, ne fera un coup de fusil, ne donnera un coup de sabre dans toute cette affaire. Le crime est de Votre côté, je n'y veux point donner la main. On est venu m'assassiner dans ma maison, on a massacré mon premier aide-de-camp. Ces troupes sont ici pour me préserver d'une nouvelle attaque; mais si on approche, eh bien, elles se retireront. Pas un Russe ne se mêlera de cette affaire. Les Polonais l'ont commencée, c'est une affaire polonaise; qu'ils s'arrangent entre eux. On verra maintenant s'ils ont mérité tant de bienfaits.»

[2]) «Moi, je ne me mêle de rien. Que les Polonais s'arrangent; c'est leur affaire.»

mieszam, niech sobie Polacy sami radzą, to ich rzecz»; aż i mnie z kolei rodzaj przerażenia ogarnął.

Dotąd zdawało mi się, że możliwem było ruch stłumić. Od tej chwili zacząłem przeczuwać, choć jeszcze nie jasno, co się stać miało i nie mogłem bez zgrozy myśleć o tej przyszłości. Ale w. xiążę, widząc, że wciąż jeszcze czekam, dodał: «Oto są strzelcy konni — to są Polacy, bierz ich, prowadź do Stasia, niech z nimi robi, co zechce albo...» nie skończył i po chwili zawołał: «Kurnatowski, Krasiński! weźcie strzelców, wejdźcie do miasta, obaczcie, co tam zrobić można;» a obróciwszy się do mnie: «Idź z nimi, możesz ich poprowadzić.»

Pułk strzelców ruszył ku miastu. Szli na czele jenerał Krasiński, dowódca gwardyi, i jenerał Kurnatowski, dowódca tego pułku, ja przy nich. Zaledwo doszliśmy do św. Alexandra z zamiarem wnijścia na Nowy Świat, kiedy dano znać, że Mazowiecką ulicą ku św. Alexandrowi maszeruje baterya bombardyerów pod kapitanem Nieszokociem. Było mniemanie, że i ta baterya, tak jak strzelcy konni, nie wiedząc o spisku, udaje się pod rozkazy w. xięcia.

Ja jeden wiedziałem, że przed paru godzinami z tej bateryi strzelano do mego brata, ale nie mogłem wiedzieć, czy się tam co nie zmieniło, czy i oni nie zwątpili o powodzeniu. Wydać ich nie mogłem. Czoło naszej kolumny zwróciło się ku nim w ulicę Mazowiecką. Zdala spostrzegłszy, że mają lonty zapalone, przypuszczałem, że niebawem mogą nas przywitać kartaczami. Milczałem upornie, ale nie małej doznałem ulgi, widząc coraz bliżej schodzące się ku sobie dwie kolumny bez strzału.

Gdy się oba czoła oddziałów zetknęły, widoczne było zobopólne zadziwienie. Strzelcy, a zwłaszcza dowódcy ich, dziwić się musieli niezwykłemu w takiej potrzebie wystąpieniu artyleryi w furażerkach i widocznemu wśród niej rozluźnieniu ścisłego porządku, którym się

wojsko nasze odznaczało. Artylerzyści nawzajem, z zachowanego między strzelcami porządku i ubrania zwykłego przy wystąpieniu, co więcej, z obecności na ich czele dowódców, znanych z uległości dla w. xięcia, wnet spostrzegli zapewne, że wpadli między nie należących do spisku, że dostali się jakby w niewolę. Jakoż Krasiński rozkazał bateryi, której nie towarzyszyła żadna eskorta, pomaszerować w tył, i w. xięciu przez adjutanta jako należącą do wiernych ją zameldował; strzelców zaś konnych skierował napowrót na Nowy Świat.

Krótkie chwile upłynione od czasu rozmowy mojej z w. xięciem wywarły we mnie zmianę stanowczą. Uczułem, że o słowach w. xięcia: «Niech Polacy sami sobie radzą, to ich rzecz,» nasza starszyzna, nasz rząd wiedzieć powinni. W tym celu, wyprzedzając strzelców konnych na ulicy Nowy Świat, pospieszyłem do xięcia Adama, mieszkającego u matki żony, xiężnej Alexandrowej Sapieżyny, na Nowym Świecie, w domu nabytym później przez mego brata Andrzeja i skonfiskowanym przez Moskali w r. 1863. Była godzina dwunasta. Na ulicy było pusto. W domu wszyscy czuwali oczywiście, ale z okien żadnego światła widać nie było.

Zdawszy sprawę xięciu Adamowi z wszystkiego, o czem wiedziałem, a nadewszystko ze słów w. xięcia, rzekłem: «Słowa te, jeśli do kogo się stosują, to do Rady Admistracyjnej. Chociaż Wuj dawno nie bywasz na niej, zawsze jesteś jej członkiem, proszę więc o rozkaz, żebym poszedł do prezesa, wojewody Walentego Sobolewskiego, i w imieniu Wuja zażądał niezwłocznego zwołania Rady.» Tych słów wyrzeczonych z pełni głęboko wzruszonego serca, z uczuciem potrzeby nie tracenia i chwili, by zapobiedz strasznym klęskom i korzystać z danej przez w. xięcia swobody działania, xiążę Adam wysłuchał ze zwykłą dla mnie dobrocią i kazał pójść do pana Sobolewskiego, który mieszkał w przyległym domu. Powtórzyłem panu Sobolewskiemu słowa w. xięcia i pole-

cenie xięcia Adama. Przyzwolił od razu, ale dodał: «Czy będzie można zwołać wszystkich członków? Ulice podobno poprzegradzane, niepewne.» Odpowiedziałem: «Niektórych mogę sam zawiadomić. Sekretarz Rady Tymowski mieszka tuż naprzeciwko, od niego zacznę. Potem mam nadzieję dotrzeć do Skarbu, bo tam niedawno zostawiłem na placu Bankowym jenerała Potockiego na czele piechoty, więc dam znać xięciu Lubeckiemu; do innych członków poszlę.» — «Poszlę i ja od siebie,» rzekł Sobolewski. Dodałem: «Najtrudniej będzie dostać się do Spraw Wewnętrznych, do pana Mostowskiego, bo tam podobno powstanie.»

W chwilę potem, naprzeciwko św. Krzyża, spojrzałem w okna Tymowskiego. Noc była tak jasna, żem go zoczył na trzeciem piętrze w białej szlafmycy, wyglądającego nieśmiało przez okno. Powodem do ciekawości było mu zapewne, że właśnie nadeszli z Nowego Świata strzelcy konni i stanęli szwadronami na placu. Nie wstępując do domu, rzekłem do Tymowskiego: «Sobolewski prosi Cię do siebie natychmiast, pospieszaj. Czekam tu na Ciebie.» Wnet zeszedł. Znów mu pokrótce rzecz opowiedziałem, dodając: «Na Boga! roześlij po wszystkich członków Rady! Skoro Polacy sami sobie radzić mają, toć rzeczą Rady wskazać kierunek. Trzeba jeszcze przededniem proklamacyę ogłosić, inaczej, niebawem Polacy zabijać się będą wzajemnie, a to dla braku słowa, któreby ich pojednać mogło. Przygotuj to słowo, jadę po Lubeckiego.»

Jakoż podążyłem przez plac Saski. Tu przy głównym odwachu zwykł był stajnie zajmować pluton jazdy służbowej. Zastałem pluton na koniach. Był on tego wieczora złożony ze strzelców konnych gwardyi, a na jego czele stał pułkownik Turno, który z rozkazu w. xięcia miał mu donosić stamtąd, co się w mieście dzieje. Turno ostrzegł mnie, żo Wierzbowa ulica niepewna i wszedł w nią razem ze mną na czele swego plutonu; jechałem

przy nim; poprzedzały nas dwie wedety konne. Na rogu Trębackiej spostrzegliśmy pluton grenadyerów, który nam się wydał podejrzanym. Z szeregu grenadyerów wyszedł podoficer; zapytany o hasło, zażądał przemówienia do dowódcy. Skoro Turno pozwolił mu przystąpić, podszedł do niego z bronią na tuj, spuścił broń i strzelił, szczęściem wprost nad głową dzielnej siwej klaczy, która rzuceniem głowy uratowała jeźdźca.

Przeciwko piechocie dla jazdy nie było rady; napowrót na plac Saski pierzchnęła. Gdy strzelano do Turny, wymijałem go właśnie, pragnąc dalej jechać, ale oglądałem się na niego. W tem spostrzegłem tuż przy sobie grenadyera, który w oka mgnieniu broń spuścił i strzelił do mnie. Zdążyłem się uchylić i ostrogami konia spiąłem. Wtedy cały pluton grenadyerów dał do mnie ognia z Trembackiej ulicy. Zdziwienie moje, że mnie żadna kula nie trafiła, wprowadziło mnie na domysł, że strzelano ślepemi ładunkami. Ale w kilka godzin potem tąż samą wracając drogą, mogłem się przekonać, że w murze stajen pałacu Brühlowskiego został doskonały ślad kuli do mnie wymierzonej, a nieco dalej na tymże murze ślad strzałów całego plutonu. Powodem tych strzałów, które mi się barbarzyńskiemi wydawały, boć na oślep trafiać mogły choćby w najlepszych i najpotrzebniejszych, były nasze kitki adjutanckie, jak o tem później się dowiedziałem. Zrzucenie kitek miało być znamieniem, że się przystępuje do powstania, nasze zaś kitki cechowały nas nadto jako adjutantów rozkazy wiozących, których oczywiście szczególniej na cel brano.

Dojechawszy szczęśliwie do pałacu Błękitnego, zostawiłem konia i przez plac Bankowy, wciąż jeszcze tą samą piechotą zajęty, poszedłem do xięcia Lubeckiego. Mnóstwo ludzi zastałem u niego. Xiążę Lubecki miał znaczne u ludzi wzięcie. Chociaż mu wyrzucano niektóre rozporządzenia skarbowe i z powodu długoletniej służby w Moskwie posądzano go o brak polskości, wszyscy mu

przyznawali znakomity rozum, bystrość i śmiałość. Byli może i tacy, których w ówczesnej drażliwej okoliczności pociągała do niego właśnie owa przeszłość jego, dająca niejako rękojmię, że innych losów dla Polski szukać nie będzie, jak w połączeniu z Moskwą. Ale wśród licznego zgromadzenia osób, żądających jego rady, xiążę Lubecki obecnym nie był. Dotknął go tegoż wieczora cios rodzinny, stracił syna, to też dla wszystkich dotąd był nieprzystępny. Zjawienie się u niego moje, jako adjutanta w. xięcia, stało się powodem, że ośmielono się mu oznajmić, iż widzenia się z nim domagam. Przyszedł. Miał twarz wielce zmienioną, ale wzruszenie pokonał i pytał, co mam do powiedzenia. Powtórzyłem słowa w. xięcia, powiedziałem o bytności u xięcia Adama i o poleceniu prezesa Rady Administracyjnej. Słuchał z pilną uwagą, oświadczył, że natychmiast do prezesa się uda, żądał, bym się na Radzie stawił. Potem dopiero zmiarkował, że to x. Adam posłał mnie do prezesa Sobolewskiego, nie zaś w. xiążę, jak mu się to zrazu wydało. Nie zmienił wszakże postanowienia i zwołanie Rady pochwalił. Można się jednak domyślać, że chwilowe przypuszczenie, iż to sam w. xiążę podał panu Sobolewskiemu myśl zwołania Rady, o tyle go prędzej do tego kroku skłoniło.

Wkrótce potem x. Lubecki w licznem otoczeniu przyjaciół i zwolenników ruszył do mieszkania prezesa Rady, piechotą. Pojazdy nie śmiały się na ulicach pokazywać. Wiadomo już było, że jen. Hauke, minister wojny, i jenerał Lewicki, komendat placu rosyjskiego garnizonu, we własnych jadąc kolaskach, polegli od strzałów.

Wpadłem do pałacu Błękitnego po konia, uprosiłem kilku znajomych, żeby próbowali dotrzeć do innych członków Rady, a sam pospieszyłem na Nowy Świat do pana Sobolewskiego. Gdym przybył, godzina była druga. Posiedzenie Rady już było rozpoczęte. Skoro dano znać,

żem przybył, zostałem wprowadzony. Członkowie żądali, bym przed zgromadzoną Radą powtórzył, co już niektórzy pojedyńczo ode mnie słyszeli, chcąc na zeznaniu mojem oprzeć swe dalsze postanowienia.

Opowiedziawszy rzecz, dodałem: « Zresztą nie potrzebujecie panowie poprzestawać na mojem zeznaniu· Droga do w. xięcia otwarta. Raczcie z grona swego wysłać deputacyę, a w. xiążę prawdopodobnie powtórzy jej to samo, co mnie oświadczył, jako stanowczo powziętą wolę.» Gdy Rada na to przystała, gdy do deputacyi wybrano x. Adama i x. Lubeckiego, prosiłem, aby mi pozwolono o kilka minut deputacyę wyprzedzić dla uprzedzenia o niej w. xięcia. Było to moją powinnością, skoro bez upoważnienia słów jego użyłem, ale prosiłem deputatów z naciskiem, aby przybyli nie później, jak kilka minut po mnie. Wiedziałem, że zapowiedź przybycia deputacyi poruszy w. xięcia, a czułem, że długiego czasu do namysłu zostawiać mu nie należy.

Zastałem go zawsze na tem samem miejscu, choć już ze cztery godziny upłynęły. Zacząłem od wyznania mu, żem słowa jego: « Niech Polacy sami sobie radzą », zaniósł do prezesa Rady, że jako Polak nie mogłem tego zaniechać, potrzeba nagła i sama rozpacz z tego, co się działo w Warszawie, zdały mi się dostatecznem usprawiedliwieniem, że Rada Administracyjna się zebrała i że wysłani od niej członkowie tuż za mną zdążają. Tak jak przewidywałem, wiadomość o deputacyi mocno go poruszyła; odwołanie się do niego Rady narzucało mu odpowiedzialność, od której tchórzliwa natura jego zawsze się uchylała... Rzekł też zaraz: [1]) « Deputacya? Czegoż oni chcą ode mnie? » « Przychodzą po rozkazy! » W. xiążę: « Nic nie mam do rozkazania, do niczego upoważniać nie mogę... Niech mi dadzą spokój... »

---

[1]) «Une députation? Qu'est ce qu'ils me veulent? — Ils viennent demander vos ordres, Monseigneur. — Je n'ai rien à ordonner, rien à autoriser... Qu'ils me laissent tranquille! »

Zaledwo jeszcze kilka słów wyrzekł, kiedy zajechał pojazd, z którego wysiedli x. Adam i x. Lubecki. Gdy się zbliżyli do w. xięcia, usunąłem się, naturalnie usunęli się i inni. Niedługo trwała rozmowa. Widząc deputatów wracających do pojazdu, pytałem ich, co zaszło. X. Lubecki odpowiedział: « Kilkakrotnie powtórzył w. xiążę, że się do niczego mieszać nie chce, chociażeśmy mu przedstawiali, że on jeden siłą rozporządza; że zaś my żadnej siły nie posiadamy, zmuszeni będziemy wejść w układy z powstańczym ruchem.»

Po odjeździe deputatów w. xiążę kazał mi rozpowiadać, co przez te kilka godzin w mieście widziałem. Słuchał szczegółów z największem zajęciem, a potem rzekł: « Ty jeden mi wiadomości przynosisz; czy mógłbyś jeszcze pojechać do miasta?»

«Pojechać zawsze mogę, ale czy stamtąd tu będę mógł wrócić, za to nie ręczę» i dodałem: « Nie wiem, czy to też dogadza Waszej Cesarskiej Wysokości, żebym się wdawał z powstańcami. Prawda, że strzelają do mnie, póki nie widzą, kto jestem, ale skoro poznają, ufają mi zupełnie, wiedząc, że jestem tak dobrym Polakiem, jak oni.» Wielki xiążę na to: « Jedź, ale staraj się wrócić.»

Łatwo się domyślić, że pospieszyłem znów do Sobolewskiego. Przybywszy, dowiedziałem się, że Rada pisze odezwę, która ma być drukowana w Banku. Znowu więc pojechałem na plac Bankowy i chciałem na chwilę wstąpić do pałacu Błękitnego, aby się dowiedzieć, co się tam dzieje. Przez myśl mi nie przeszło zapytać, jaka będzie odezwa. Zdawało mi się, że treść nie może być wątpliwa, że jedno tylko zadanie mieć mogła: okazać, iż między Polakami zupełna jedność panuje. Dowiedziałem się tylko, że Rada Administracyjna, opierając się na biernem zachowaniu w. xięcia, postanowiła na własną odpowiedzialność przemówić do wzburzonej stolicy, a celem zyskania ufności, ogłosić, że do grona swego powołuje obywateli, zaszczyconych powszechnym szacunkiem.

W istocie do Rady wezwani już zostali, oprócz x. Adama, Niemcewicz, Chłopicki, Pac, Kochanowski.

Do pałacu Błękitnego zdążyłem szczęśliwie, ale tu bolesna mnie spotkała wiadomość. Jenerał Staś Potocki padł śmiertelnie ranny na Senatorskiej ulicy, o kilkadziesiąt kroków od naszego pałacu, gdzie go też złożono. Podszedł on był ku zbliżającemu się oddziałowi piechoty, należącej do spisku. Jak jenerałów Trembickiego i Blumera, jak pułkownika Siemiątkowskiego, tak i Potockiego gorąco prosili spiskowi, aby stanął na ich czele. Ale tak jak tamci, tak i Potocki nie dał się nakłonić i tak samo, jak oni, przypłacił życiem. To też przez krótkie, pozostałe mu chwile z gorzką boleścią narzekał na zapamiętałość, która przyprawiła go po tylu bojach z nieprzyjacielem o śmierć od «kuli polskiej». Rozdzierający był widok tego męża, tyle zasłużonego i cenionego, gdy opłakiwał nie to, że życie traci, ale że polska wydziera mu je ręka.

Widok tylu już i takich ofiar utwierdzał mnie w pragnieniu jak najspieszniejszego dostania i rozniesienia odezwy Rady Administracyjnej, a raczej już nowego rządu. Nowym do tego bodźcem stała mi się wiadomość, że na Krakowskiem Przedmieściu przeciw strzelcom konnym koncentruje się polska piechota. Pewien, że odezwa zdoła zapobiedz krwawemu starciu, wsiadłem na koń i zajechałem przed drukarnię. Krótko poczekawszy, otrzymałem bodaj czy nie pierwsze egzemplarze druków. Przyniesiono mi dwa ich pęki: w jednym była odezwa[1]), w drugim postanowienie, zawierające imiona osób, po-

---

[1]) Polacy!

Równie smutne, iak niespodziewane wypadki wczorayszego wieczora i nocy, spowodowały Rząd do przybrania do grona swego obywateli z zasług swych znanych, i do odezwania się do Was.

Nayiaśniejszy Wielki Xiąże Cesarzewicz, woyskom rossyiskim wszelkiego działania wzbronił, gdyż rozdwoione umysły Polaków, Polacy sami skoiarzyć powinni.

Czy Polak, w krwi bratniej ma broczyć dłoń swoię?

wołanych do Rady[2]). Był już dzień biały. Na placu tłum ludzi mnie otoczył, a każdy się domagał egzemplarza odezwy. Ale jakież było moje zdziwienie, jaki bolesny zawód, kiedy posłyszałem pierwsze jej słowa w głos czytane przez tych, co pierwsi z rąk moich ją dostali: «Smutne a niespodziewane wypadki tej nocy...» Każdy

---

Chcieliżbyście dadź światu widok naywiększego dla kraiu nieszczęścia, domowey niezgody?

Własnym umiarkowaniem, iedynie ocalić się możecie od pogrążenia się w przepaść, nad którą stoicie. Wróćcie zatem do porządku i spokoyności, a wszelkie uniesienia niech przeminą z nocą, która ie pokrywała.

Pamiętaycie na przyszłość drogiey, a tylu nieszczęściami skołataney Oyczyzny, oddalcie wszystko coby mogło narazić nawet samo Jey istnienie.

Do nas będzie należało dopełnić powinności naszey, w zapewnieniu bezpieczeństwa ogólnego, w poszanowaniu praw i konstytucyinych swobód kraiowych.

W Warszawie, dnia 30 Listopada 1830 r.

(podpisano) Minister Stanu prezyduiący w Radzie Administracyiney Królestwa Walenty Sobolewski, Xiąże Adam Czartoryski, Xiąże Xawery Lubecki, Xiąże Michał Radziwiłł, Michał Kochanowski Ludwik Hrabia Pac, Julian Ursyn Niemcewicz.

(Według druku oryginalnego.)

[2]) W Imieniu Nayjaśniejszego
Mikołaja I
Cesarza Rossyi Króla Polskiego
Rada Administracyina.

Zważywszy nagłość obecnych okoliczności postanowiła wezwać, iakoż niniejszym wzywa do zasiadania w Gronie swoim i wspólnego z nią działania: Xięcia Adama Czartoryskiego Senatora Woiewodę Xięcia Michała Radziwiłła Senatora Woiewodę, Michała Kochanowskiego Senatora Kasztelana, Ludwika Hrabię Paca Senatora Kasztelana, Juljana Ursyna Niemcewicza Sekretarza Senatu, Jenerała Józefa Chłopickiego.

Minister Przychodów i Skarbu (podpisano) X. Lubecki.

Minister Stanu Prezydujący (podpisano) Sobolewski.
Za Sekretarza Stanu Radca Stanu Nadzwyczayny (podpisano) J. Tymowski,

(Według oryginalnego druku.)

z czytających inne oczywiście miał o tych wypadkach wrażenie, ani mu były niespodziewane, ani ich za smutne nie uznawał. Przeciwnie każdy, nie pytając, jakie będą następstwa, nie smutnie, ale radośnie witał chwilę, w której choćby na godzinę mógł zrzucić z siebie obce jarzmo. Chwila też to była jednomyślnie, choć i bezmyślnie wyglądana. Kłamał więc sumieniu narodowemu, kto ją niespodzianą nazywał.

Rzuciwszy okiem po odezwie i przekonawszy się o zupełnej jej niestosowności, cały pęk z gniewem o ziemię cisnąłem i już tylko postanowieniem Rady usiłowałem umysły pojednać. Nazwiska członków do Rady powołanych: Czartoryskiego, Niemcewicza, Radziwiłła, Chłopickiego cudowne wrażenie sprawiły, witane były radosnym okrzykiem, były w tej chwili zbawieniem dla sprawy. Obok nich mało ważyły słowa odezwy, tchnące zamętem pojęć wobec olbrzymiego już w skutkach wypadku. Ufano, że tacy ludzie odpowiedzą potrzebie i powszechnemu oczekiwaniu. Pomijano już nawet tytuł aktu, napisanego «W Imieniu Najjaśniejszego Mikołaja I», nie wiele zważano na tych, którzy nie tak łatwo dając się zadowolnić, anomalię tę podnosili; zdawano się myśleć: «Cierpliwości!» a samo przez się ten tytuł się usunie.

Zdawszy sobie sprawę z doniosłości, jaką miał akt ten, podpisany przez tak popularne nazwiska, począłem ulice objeżdżać i rozdawać egzemplarze onego, kierując się ku Krakowskiemu Przedmieściu, gdzie przed kościołem św. Krzyża kilka kompanii grenadyerów i pół bateryi gwardyi zaatakowały strzelców konnych, zmuszonych we własnej obronie przelewać krew rodaków i walczyć przeciwko sprawie, dla której ich własne serca biły.

Nigdzie wrażenie mego talizmanu nie okazało się skuteczniejszem. Wjechałem w zgiełk największy, w sam środek tłumu powstańców. W mgnieniu oka biała kitka moja, mundur mój adjutancki, sprawiły, że mnie ze wszech stron otoczono. Jedni wołali: «Pal do niego!» i wraz

kilka strzałów pistoletowych szczęśliwie mnie chybiło; inni, lepiej mnie znający, stawali w mojej obronie. Ja z konia macham tylko moim drukiem, wołając: «Panowie! zgoda! mamy Rząd nowy!» Te słowa, widok druku, budzą ciekawość, a zarazem odwracają odemnie pozór, żem jest wrogiem powstania. W miarę czytania pisma, radosne okrzyki i wiwaty rozlegają się zamiast pistoletowych strzałów.

Walka jednak trwa dalej. Zaledwie kilka kroków ujechałem, nowe osobistości przyskakują do mnie, znowu je drukiem uspakajam i to samo raz po raz bez końca się powtarza. Nareszcie już cały ten tłum mnie zoczył, każdy już tylko chce wiedzieć, co druk zawiera. Bitwa ustaje. O to mi głównie chodziło. Jeden już tylko egzemplarz aktu mi zostawał, któremu zawdzięczałem własne życie, a może i życie bardzo wielu innych; to też nie dawałem tego egzemplarza do czytania inaczej, jak pod warunkiem, że mi zaraz zwrócony będzie, bo talizman był mi jeszcze potrzebny. Uprosiłem tłum, żeby zaprzestano bić się ze strzelcami, zostawiając im czas do namysłu i oświadczyłem, że sam za pomocą tego aktu do porozumienia z braćmi ich doprowadzę. Puszczono mnie jakby parlamentarza.

Strzelcy konni stali o jakie dwieście kroków. Zastałem wszystkich z zasępionem, zbolałem obliczem. Zapytany od starszych, co za druk w ręku niosę, dałem go do przeczytania, a dodawszy objaśnienie o objawionej mi woli w. xięcia, rzekłem: «Sądzę, że wypada nam ustąpić stąd i wrócić do w. xięcia po dalsze rozkazy.» Stało się, jak radziłem. Pułk ustąpił, a tłum go już nie ścigał więcej.

Tak walkę zatrzymawszy, nic już nagłego nie mając w mieście do czynienia, ja też powracać musiałem na miejsce, jakie mi wskazywał surowy żołnierski obowiązek. Straszny smutek mnie gnębił. Przyszłość ukazywała mi się ciemna i groźna. Z konieczności przykuty do w. xięcia, przewidywałem, że wypadki postawić mnie mogą w poło-

żeniu nader przykrem i trudnem. Sam jeden jechałem stępa przez cały Nowy Świat, a chociaż ta przestrzeń stanowiła rodzaj neutralnego obszaru między dwoma stronnictwami, kilkakrotnie jeszcze uciekać się musiałem do mego talizmanu, kiedy mijałem uzbrojonych mieszczan, którzy z poblizkich domów zewsząd wychodzili.

Zastałem w. xięcia ciągle jeszcze na tem samem miejscu, teraz na koniu. Był milczący i zafrasowany. Skoro zaczął mnie wypytywać o nowiny z miasta, podałem mu ostatni mój egzemplarz postanowienia Rady. Prawdopodobnie ten właśnie egzemplarz posłał tegoż wieczora cesarzowi przez kuryera wyprawionego do Petersburga z pierwszemi wiadomościami o powstaniu. Skutki powstrzymanej przezemnie walki i cofnięcia się strzelców konnych dały się w tej chwili odczuć około w. xięcia. Sądził, że teraz lada chwila może być napadnięty przez powstańców, dał przeto rozkaz pułkom kawaleryi moskiewskiej ustąpić z miasta przez poblizkie Mokotowskie rogatki, a strzelcom konnym oświadczy kazał, że liczy na ich wierność w razie potrzeby. Zapewniłem go, że niema niebezpieczeństwa w obecnej chwili, mimo to postanowił opuścić miasto.

XIV

MIĘDZY MOKOTOWEM A WARSZAWĄ.

Nastała dziwna cisza. Na dziedzińcu Belwederu ładowano powozy do podróży. W. xiążę przechadzał się i rozmawiał to z jednym, to z drugim. Wstąpiwszy jeszcze na chwilę do Belwederu po raz ostatni, powrócił wkrótce i szedł do domu akcyzy przy rogatkach Mokotowskich. Otaczających strach ogarnął; bierność i milczenie opanowały wszystkich. Domyślam się, że panujący i xiążęta, którzy się bezwzględnem posługują samowładztwem, zawsze takiego osamotnienia doznawać muszą w podobnych wypadkach wśród służby nawykłej do równie bezwzględnego posłuszeństwa. Próbowałem niektórych wyciągnąć na słowa i przekonywałem się, że każdy jest bez myśli, a raczej, iż ma jedną myśl tylko, że to sam w. xiążę wszystkiemu winien. Każdy go potępiał, nikomu na myśl nie przyszło wystąpić z radą.

Mnie trawił niepokój. Nastręczała mi się rada jedna. Chciałem ją podać, szukałem, z kimby pomówić, kogo się poradzić, jak rzucić myśl, któraby w. xięcia z zaklętej wyrwała bierności. Ale nie widziałem nikogo, z kimby mówić warto. W tem zjawił się p. Schmidt, konsul pruski, rodzaj faworyta w. xięcia, dość bystry, dowcipny, a mniej od innych w. xięciu uległy, chociaż dworak zrę-

czny. P. Schmidt umiał się naginać do poglądów w. xięcia, a zarazem tak umiejętnie przedstawiać swoje polityczne zasady, że ujął go sobie zupełnie, a nawet nabył niejakiego wpływu.

Moje stosunki z p. Schmidtem były nieosobliwe. Jakoś nigdy z wizytą do niego się nie wybrałem, to też nie doczekałem się zaproszenia na obiady, na które z kolei zapraszał cały sztab w. xięcia. Mając wstręt do dworactwa, zachowywałem się względem niego chłodno i z pewną nieufnością. Zdarzało się jednak, że wdawałem się z nim w rozmowy o sprawach politycznych, wypowiadając to mianowicie, czego chciałem, aby w. xiążę dowiedział się o mnie, a uczuć moich patryotycznych bynajmniej nie ukrywając. Nie pamiętam, w jakich słowach zaczęła się wtedy nasza rozmowa, ale niebawem głośno zacząłem ubolewać nad biernością w. xięcia, który poprzedniem postępowaniem doprowadziwszy do wybuchu, teraz bezczynnością swoją nadaje mu wagę i rozmiar, jakiego nikt przewidywać nie mógł. Mówiłem: «Stłumienie rozruchu w pierwszej chwili było niewątpliwie w mocy w. xięcia. On jeden rozporządzał siłą do tego potrzebną, on jeden mógł tę siłę sparaliżować i dokonać tego. Radzie Administracyjnej, przychodzącej do niego po rozkazy, oświadczył, że to rzecz polska, że się do niej mieszać nie będzie, że Polacy sami sobie radzić muszą.... cóż więc dziwnego, że bunt garstki młodzieży urasta do rozmiarów narodowego powstania!» — «Zapewne, odrzekł p. Schmidt, ale cóż z tego?» — «Cóż z tego? Oto, że ruchu tego, który wczoraj stłumić było łatwo, dziś niepodobna już pokonać siłą. Dziś użycie siły rozszerzyłoby tylko rozmiary powstania, uzupełniłoby zerwanie. Cóż tedy począć? Mniemam, że jedno tylko pozostaje do zrobienia. Stoją jeszcze u steru ludzie doświadczeni, wytrawni, z którymi cesarz i w. xiążę mogliby dojść do porozumienia. Ale jeżeli ci ludzie niezwłocznie nie dokonają czynu, któryby ich od razu, stanowczo, zalecił całemu narodowi, to za kilka

godzin zastąpią ich inni, a z tymi już żadne umowy nie będą podobne. Jakiżby to był czyn? Muszą wyrzec jedno słowo, słowo, które cały naród zaspokoi, a nie doprowadzi do zerwania z Rosyą, bo go sam cesarz Alexander używał [1]). Muszą ogłosić dziś jeszcze niepodległość Polski! Ale trzeba, żeby w. xiążę sam ich do tego zachęcił, ośmielił. Bez tej zachęty nie wiem, czy się odważą, a wtedy chwilowy ich urok po kilku godzinach się zużyje.»

Do takiego w istocie przyszedłem przekonania, widząc ogólny stan miasta, mając na wielu miejscach długie z powstańcami rozmowy. Wszędzie widać było wielką niepewność przyszłości, wahanie się w wyborze środków działania, lecz obok tego tak wybitny wstręt do dotychczasowych rządów w. xięcia, że niepodobieństwem już było myśleć o przywróceniu ich, tem bardziej, że narażałoby to kraj, a zwłaszcza wojsko, na jego zemstę. Tylko słowo niepodległość, wyrzeczone przez rząd nowy, mogło uspokoić wzburzenie powszechne. Słowo to ulubione przez ogół, uświęcone przez akta urzędowe, przywracało narodowi prawo do umawiania się o warunki przyszłego bytu i dawało się pogodzić z wielu ustępstwami z jednej i z drugiej strony. Nie wyrażało ono przed czasem detronizacyi Mikołaja, a mimo to, na wypadek zwycięstwa, zastrzegało wszystkie jej korzyści; nie było osobistą obrazą dla cara, a mogło go skłaniać do pewnej oględności, bo mu zostawiało coś do stracenia. Słowo niepodległość, umiejętnie wypowiedziane w owej chwili, było tą rzeczą uroczą, której na razie potrzeba było i która wszystkie stronnictwa na jakiś czas przynajmniej zadowolnićby mogła.

---

[1]) Cesarz Aleksander powiedział na sejmie z 1818 r.: «Wasza niepodległość jest odtąd zabezpieczona przez traktaty europejskie.» Przy zamknięciu tegoż sejmu: «Pamiętajcie, że taż sama ojczyzna, wyniesiona do godności wolnego i niepodległego państwa, ma na was zwrócone baczne oko» itd. Przy otwarciu sejmu z 1820 r.: «Pokażcie waszej Ojczyźnie, że ukrzepieni w waszych uczuciach, w waszych zasadach i doświadczeniu, umiecie zachować pod opieką praw spokojną niepodległość, wolność nieskażoną....»

Wiedziałem, że Warszawa, jak każda stolica, zawierała żywioły zagorzałego Jakobinizmu, mało jeszcze wówczas rozwinięte, ale oddawna stanowiące mojem zdaniem ciężką przeszkodę do naszego odrodzenia. Czułem, że dla oparcia się naciskowi tych żywiołów ludzie rozsądni i umiarkowani muszą przyjść niezwłocznie do pewnych ostatecznych postanowień. Wierzyłem w owej chwili, że dałoby się jeszcze zapobiedz zupełnemu zerwaniu z Moskwą, a przynajmniej chciałem, o ile można, ścieśnić granice tego zerwania, aż nadto przeczuwając następstwa nieszczęśliwie otwartej walki. Pod bezpośrednim i naglącym wpływem chwili nie umiałem w jasny kształt ująć własnej swojej myśli, ale mniemam, że mnie instynkt nie mylił, kiedy pragnąłem, aby w. xiążę, nie mogąc wyraźnie upoważnić do ogłoszenia niepodległości, dał członkom Rady Administracyjnej rodzaj ogólnej aprobaty dla wszystkich środków, jakie przedsięwezmą w celu zapobieżenia krwawemu starciu. Z nowymi członkami Rządu mógł w. xiążę wejść w układy bez ubliżenia sobie. Wybór powołanych osób nie był takim, żeby go mógł obrażać lub niepokoić, a jedyny dotychczasowy akt Rady, który powoływał tych członków, jako wydany w imieniu cesarza i króla, nie mógł być poczytanym przez w. xięcia za karygodny; dawał się usprawiedliwić naciskiem okoliczności: był to, rzec można, krok mistrzowski. Temu Rządowi mógł w. xiążę posłać choć jedno słowo na znak zaufania, mógł, gdyby władcy zdolni byli zrozumieć to, co się sprzeciwia ich pysze. Ale nie trzeba było tracić ani chwili. Ustępstwa, jakie w. xiążę później poczynił deputacyi 2 grudnia, byłyby prawdopodobnie wystarczyły 30 Listopada do zatrzymania ruchu, w przypuszczeniu, że zostaną przez króla potwierdzone, a może i Mikołaj zatwierdziłby zobowiązania przez w. xięcia przyjęte.

W odpowiedzi na moje wywody p. Schmidt zrobił uwagę, że taki krok sprzeciwiałby się zasadom i usposo-

bieniu w. xięcia. Odrzekłem, że w istocie w. xiążę ma do wyboru, albo odstąpić od zasady swej nieomylności i przywrócić spokój a może i pomyślność krajowi, albo upierając się przy swoich zasadach, stać się raz jeszcze powodem mordów i zguby milionów ludzi. To też w imię ludzkości zaklinałem konsula, aby użył swego wpływu i odwrócił, jeśli podobna, nieobliczone klęski od nieszczęsnego kraju.

Gdy tak rozmawiałem z p. Schmidtem, nadjechał z Błękitnego pałacu masztalerz, któremu kazałem był szukać siebie w pobliżu Belwederu. Ojciec mój spodziewany był w mieście tego dnia właśnie z Podzamcza na jakieś zebranie senatu. Chciałem uprzedzić go o zaszłych tej nocy wypadkach i zapobiedz temu, żeby o niczem nie wiedząc, a z tej strony do miasta przybywając, nie wpadł mimowoli w ręce w. xięcia. Wstąpiłem więc do przyległej kawiarni i tam napisałem do ojca.

List mój tchnął potępieniem wybuchu. Donosiłem że wraz z innymi trwam przy obowiązku żołnierskim, że w. xiążę postanowił się usunąć bez walki, ale że bezczynność w. xięcia stała się powodem, iż Rada Administracyjna przemieniła się w rodzaj rządu tymczasowego. O ile wiem, list ten był przez mego ojca pokazywany potem w Petersburgu.

Ledwo zdążyłem list skończyć i wręczyć go masztalerzowi z poleceniem, aby się starał nie rozminąć z moim ojcem w drodze, gdy konsul pruski przyszedł mi powiedzieć, iż w. xiążę wie o całej rozmowie naszej i chce te same rzeczy z ust moich posłyszeć. Zapytałem, czy istotnie w. xięciu wszystko powtórzył. Zapewnił, że wszystko, a mianowicie że wymówił słowo «niepodległość Polski» i zachęcił mnie do mówienia bez ogródki, z uwzględnieniem, ma się rozumieć, znanych drażliwości w. xięcia i położenia obecnego. Nigdy mnie dotąd w. xiążę nie przypuścił do rozmowy ze sobą o ważniejszym przedmiocie; nie mogłem liczyć na to, by jaką przyznał wagę zdaniu

mojemu. Nie czułem się dostatecznie przygotowanym do tego, by dowieść mu słuszności zdania tak dla niego trudnego do przyjęcia, alem się długo nie namyślał. Jednocześnie usłyszałem odgłos powtarzającego się zewsząd mego nazwiska, dowód niewątpliwy, że mnie w. xiążę wzywa.

Wszedłem do wskazanego mi domu straży celnej przy rogatce Mokotowskiej. Był on z dwóch izb złożony; w jednej z nich zastałem w. xięcia samego. Zapytał mnie: «Coś powiedział Schmidtowi?» Odrzekłem: «Jeżeli słowa moje powtórzył, nie wątpię, że powtórzył dokładnie. Wyraziłem myśl, którąby się w. xięciu niepodobać mogła». — «Mniejsza o to, chcę słyszeć od ciebie samego.» — «Powiedziałem konsulowi pruskiemu, że Rada Administracyjna zmuszona jest liczyć się z ruchem, nie utrzyma się do wieczora, jeśli nie ogłosi niepodległości Polski.» — «Co? i ty także śmiesz mnie znieważać!»

Nie wiem, czy wyrzekł to posądzając mnie o to istotnie, czy udawał tylko, ale mnie oburzył ten zarzut jego. Nie pochlebiałem mu w Belwederze, nie znieważałbym go w nieszczęściu. Przecież tej samej nocy narażałem się na prawdziwe niebezpieczeństwa, chcąc dopełnić względem niego ścisłego a coraz więcej uciążliwego obowiązku. Nie mogąc powstrzymać mego oburzenia, żywo odparłem: «Ja! znieważać W. C. M. tu! Otóż zawsze to samo! W. C. M. zawsze posądza ludzi uczciwych, a pokłada zaufanie w tych, co nie zasługują na nie!»

Słowa moje nie płynęły z wyrachowania, były istotnym wyrazem tego, co czułem, ale bez wątpienia ośmieliła mnie do nich znajomość słabej strony charakteru w. xięcia; wiedziałem, że jego nerwy miękły i duma ustępowała wobec wielkiego objawu siły lub oburzenia. Tak się i w tym razie stało. Rzekł do mnie, jakby usprawiedliwiając się: «Bo mi też mówisz rzeczy takie nadzwyczajne.» — «W. C. M. znałeś moją myśl, a kazałeś mi ją powtórzyć.» — «Mów dalej słucham.» — «Po co? Cóż warte

moje uwagi, skorom podejrzany.» — «No, to cię przepraszam, ale się wytłómacz», i twarz jego przybrała wyraz najłagodniejszy.

Na takie nalegania nie wahałem się całej myśli mojej wytłómaczyć, powtarzając oględnie to wszystko, co konsulowi byłem powiedział. Biłem w to najbardziej, że dla uspokojenia wzburzonej stolicy na pewien czas wystarczyłoby jedno słowo, to słowo, którego w mowach tronowych używał cesarz Aleksander, słowo, któremu dopiero następne wypadki nadałyby właściwe znaczenie, ale które na razie odpowiedziałoby potrzebie, bo każdyby je według swoich życzeń i nadziei tłómaczył. Wreszcie dodałem: «Znasz W. C. M. ludzi, Rząd dzisiejszy składających, wiesz, że nie ośmielą się wyrzec takiego słowa, jeżeli W. C. M. sam ich nie ośmielisz, jeżeli im nie dasz poznać, że im ufasz i że rozumiesz powody, które ich do takiego kroku zmuszają.» Na co w. xiążę odparł: «Żądasz odemnie rzeczy niepodobnej.» I znowu chciał poprzestać na zapytaniu, czy mogę pojechać do miasta.» Zawsze mogę, odrzekłem, ale po co mam jechać? a raczej z czem? Daj mi W. C. M. jedno słowo do Rządu. Powiedz, że ich rozumiesz, że im ufasz, że przed cesarzem sam ich tłómaczyć będziesz.» — «Nie mogę, ale jedź i, jeżeli możesz, wracaj». — «Ależ, zaklinam, błagam o jedno słowo, którebym od W. C. M. zaniósł Rządowi.» — «Żądasz niepodobieństwa. Jedź i przynieś wiadomości». — «Czy mi wolno przynajmniej zdać sprawę Rządowi z niniejszej rozmowy?» — «Rób i mów co chcesz, byle nie w mojem imieniu.»

Odetchnąłem. Wsiadłem na koń i prosto od rogatki jechałem Aleją do Marszałkowskiej ulicy. Ale już ulicą wjeżdżać do miasta było niepodobieństwem. Wjechałem przeto w ogrody do pierwszych zabudowań przyległe a opłotkami zamknięte. Tak między ogrodami a domami dotarłem do ulicy poprzecznej. Furtka była otwarta z ogrodu na ulicę, musiałem zsiąść z konia. Zaledwiem konia za sobą wyprowadził i znowu wsiadł na niego, patrzę, a tu

na lewo, o jakie dwieście kroków, ciągnie ku mnie oddział uzbrojonych mieszkańców. Jadę prosto ku nim, a uprzedzając zapytania lub zarzuty, sam im wyrzucam, że tak późno, tak opieszale, ciągną na miejsce zebrania. — «A gdzie zebranie?» pytają mnie. «Jakto? nie wiecie? Na placu Saskim» odpowiedziałem, bo i oni tam dążyli, i mnie tamtędy prowadziła droga.

Musieli nie wiedzieć, jak i ja w owej chwili nie wiedziałem, jakie znaczenie wśród spiskowych miały kitki, zwłaszcza adjutanckie. Dość, żem sobie zdobył eskortę, a kogośmy tylko spotkali, ten się do naszej gromady przyłączał. Ale zachodziło pytanie, co będzie ze mną, jeżeli, doszedłszy do Placu Saskiego, nie zastaniemy tam nikogo, albo co gorsza, zastaniemy spiskowych. To też przy bramie Ogrodu Saskiego, naprzeciw luterskiego kościoła, rzekłem do moich towarzyszów: «Idźcie teraz panowie na Plac Saski, ja przez ogród spieszę do Rządu Narodowego».

Pędem konia, przez ogród, Żelazną Bramę i Żabią ulicę spieszyłem w samej rzeczy do Skarbowego pałacu, gdzie Rząd był się przeniósł, chcąc Bank i siebie zasłaniać tą samą strażą. Po drodze zatrzymywano mnie parę razy, widoczne było podejrzywanie, ale na słowo: «Jadę do Rządu Narodowego» wszyscy mnie przepuszczali. Wielką dla mnie było wygodą, że i pałac Błękitny zasłaniała ta sama straż, co Rząd i Bank, bo, będąc sam jeden, nie miałbym konia komu powierzyć, a tak oddawałem go u naszej bramy, a pieszo naprzeciw szedłem do Rządu. Tak było przez trzy następne dni, które przepędzałem w Warszawie, nocą tylko z różnemi fortelami odjeżdżając do w. xięcia i znów do miasta wracając przededniem.

Było około jedenastej z rana. Ruch na ulicach panował nadzwyczajny. Mieszkańcy zbroili się, organizowali naprędce, tak dla odparcia możliwego ze strony w. xięcia napadu, jako też dla zabezpieczenia wewnętrznego porządku. Jenerał Chłopicki, używający największego

uroku wojskowego z pomiędzy mężów do Rady powołanych, nie był jeszcze wyszedł z ukrycia. Jenerał Pac zastępował go tymczasowo w dowództwie siły zbrojnej, przebiegał ulice na koniu, razem z p. Piotrem Łubieńskim, mianowanym dowódcą straży bezpieczeństwa i uzbrojonych mieszczan. Przemowy jego ograniczały się na zalecaniu jedności, umiarkowania i zaufania do nowego Rządu.

Rząd organizował się także; tysiące najpilniejszych spraw go pochłaniały. Wszakże gdy oznajmiłem, że przybywam od w. xięcia, natychmiast zebrała się Rada do wysłuchania mnie. Zdałem dosłowną sprawę z tego, co zaszło między w. xięciem a mną. Nastąpiła chwila rozmowy między członkami Rady, poczem x. Lubecki zabrał głos w imieniu wszystkich. Powiedział mi, że Rada nie podziela zdania wyrażonego przezemnie w. xięciu, jakoby ogłoszenie niepodległości Polski było konieczne; przeciwnie poleca mi zapewnić w. xięcia, iż członkowie jej w niezachwianej wierności dla króla wytrwać zamierzają, i że bez względu na ustępstwa, do jakich okolicznościami będą zmuszeni, nie przekroczą granicy, jaką jest utrzymanie cesarza i króla na czele aktów rządowych, kazał mi na dowód okazać druki do tej chwili drukowane. «Jednakże, dodał, to coś Pan powiedział w. xięciu, może nam posłużyć. Skoro w. xiążę przypuszcza, że moglibyśmy zajść tak daleko, to może nam będzie wdzięczny, gdy się zatrzymamy w ściślejszych granicach; może go to skłoni do zaniechania kroków nieprzyjacielskich i do wejścia w porozumienie z Rządem w celu przywrócenia porządku i zadośćuczynienia słusznym zażaleniom narodu.»

Mówiąc to, xiążę Lubecki właściwie wyrażał własne swoje nadzieje i postanowienia, nie zaś zdanie całego ogółu członków, których znaczna liczba odstąpiła wkrótce od wytkniętej przez niego drogi, ale na razie żaden z obecnych nie zaprzeczył jego słowom wypowiedzianym w imieniu wszystkich i to z poleceniem powtórzenia ich

w. xięciu. Utwierdziło mnie to jeszcze w przekonaniu, że w. xiążę mógł z łatwością zatrzymać tę rewolucyę na pierwszym kroku. Kilka ustępstw, przyznanych w tej chwili i przedstawionych krajowi przez ludzi otoczonych powszechnem zaufaniem, byłoby zadowoliło większość narodu, a gdyby nawet kilku zapaleńców żądało więcej, ludzie rozsądni, których liczba stosunkowo przeważna była, niezawodnie stanęliby po stronie mężów składających rząd ówczesny. Ale najmniejsze opóźnienie prowadziło do ostatecznego zerwania.

Chciałem natychmiast wracać do w. xięcia. Gdym wyszedł z Rady, przyległe pokoje pełne były ludzi; mimo to panowała chwilowa cisza. Weszła xiężna Lubecka, prosząc na śniadanie wiele osób i mnie także. Tu moja kitka na kapeluszu stała się przedmiotem rozmaitych uwag. Wtenczas dopiero dowiedziałem się, na jakie mnie narażała niebezpieczeństwo. Nalegano, bym ją zrzucił, odpowiedziałem że nie mogę, bo należę jeszcze do w. xięcia. Kilka pań obecnych wiązało kokardy z białéj wstążki do rozdania jako godło wojska polskiego. Xiężna Lubecka przyniosła jedną większego rozmiaru i nie pytając zaciągnęła ją pod galon mego kapelusza. Była tam i bez tego biała polska kokarda, którą jak wiadomo, całe wojsko nasze nosiło, ale ten dodatkowy fontaź miał na celu jakośkolwiek zrównoważyć niemiłe wrażenie, sprawiane moją kitką. Xiążę Lubecki, wiedząc, że mam wracać do w. xięcia, z wielką uprzejmością wziął mnie na stronę i powtarzał dobitnie, że ma postanowienie zachowania się wiernie względem cara jako króla polskiego i sprzeciwiania się wszelkim ustępstwom, któreby tę zasadę pominąć chciały.

Nie piszę historyi, opowiadam wypadki, w których miałem osobisty udział. Nie pamiętam nic więcej ważnego, czegobym w dniu tym był świadkiem, bo jenerał Sierawski, mianowany komendantem placu, widząc, że wychodzę z pałacu z kitką na kapeluszu, rzekł do mnie: «Ta kitka nabawi cię nieszczęścia,» a gdym przekładał, że zdjąć jej

nie mogę, powiedział: «A więc naznaczam ci areszt do wieczora w pałacu rządowym.» Wchodząc w moje położenie, jenerał Sierawski obiecał sam nocą ułatwić mi dostanie się do w. xięcia. Jakoż, około dziewiątej wieczorem, pod eskortą zaufanego oficera i kilku ludzi doprowadzony zostałem do rogatek Mokotowskich.

Rogatki były w ręku przedniej straży w. xięcia. On sam z całym sztabem i wojskiem ustąpił za okopy miasta i zajął w Wierzbnie pod Królikarnią dom ogrodnika w majętności jenerała Korsakowa, niby admirała, od wielu lat przykomenderowanego do w. xięcia. Charakterystycznym był wybór tego domku o dwóch izbach i kuchni, kiedy dokoła stało kilkanaście dostatnich wiejskich mieszkań, w tej porze roku nie zamieszkałych. Ale w. xiążę, gdy nie mógł stanąć na pierwszem miejscu, wolał zejść do najniższego, niż przestawać z ludźmi, których z pogardą zwał «panami» jakby najdoskonalszy demokrata. U własnego też adjutanta, rodowitego Moskala, nie przyjął ofiarowanej sobie gościny, a kazał otworzyć tę chałupę, w której go zastałem. Zajmował tam izdebkę o jednem oknie razem z xiężną Łowicką. Szeroka sofa, nakształt tureckiego dywanu, stół i kilka stołków stanowiły całe umeblowanie.

Wszyscy spali, wszakże w pogotowiu do wskoczenia na koń na każde zawołanie; powozy stały zaprzężone, wojsko obozowało dokoła, wzmocnione o dwa pułki piechoty rosyjskiej i część grenadyerów gwardyi polskiej, które po całodziennym marszu w około okopów nadeszły pod wieczór z koszar położonych na drugim końcu miasta.

Skoro się zameldowałem, zbudzono w. xięcia, który spał w ubraniu na sofie, równie jak i xiężna. Po chwili kazał mnie wprowadzić i zaraz pytał: «Co nowego?» O nowiny najbardziej mu chodziło. Z przyciskiem zapewnić go mogłem, że w mieście cicho, pomimo zapału, bo zgoda powszechna i ufność do starszyzny; że rząd usiłuje zaspakajać żądania ludności, ale że pragnie wytrwać

w wierności względem monarchy. Nie taiłem wprawdzie, że nie wierzę, aby to trwać mogło, ale to, co mu oświadczyłem w imieniu Rządu, najlepsze na nim zrobiło wrażenie. Zdawał się być ze mnie zadowolonym. Xiążę Lubecki doskonale przewidział pomyślny skutek przypuszczeń, jakie czyniłem z rana przed w. xięciem, bo chociaż z jednej strony mogło się zdawać, że przedstawiałem mu z przesadą konieczne następstwa powstania, to skądinąd wszystko, co mówiłem o usposobieniu członków Rządu, błagającego go o oznakę zaufania do nich, sprawdzało się teraz w sposób uderzający.

Przywiezione przezemnie dzienniki z dnia bieżącego i nowopowstały dziennik « Patryota » twierdziły, że napad na Belweder miał na celu tylko przytrzymanie osoby w. xięcia, bez zamiaru targnięcia się na jego życie. Te jednogłośne zaręczania widocznie go ujęły. Dowiedział się też z żywą radością, że Rosyanie pozostali w Warszawie nie doznali złego obejścia się, że przeciwnie, zajęto się ich bezpieczeństwem, mieszcząc znaczniejszych pod strażą w zamku królewskim.[1]

Rozmowa trwała do północy. Obecna jej xiężna Łowicka mało się odzywała. Oboje byli dla mnie bardzo uprzejmi. Rozpytawszy o najdrobniejsze szczegóły, w. xiążę zapowiedział mi, że nazajutrz znowu pośle mnie do miasta. Odrzekłem: « To chyba przededniem, bo za dnia trudnoby mi już było wjechać do miasta z kitką na kapeluszu. Zdejmować zaś jej nie mogę, byłoby to przyznanie fałszywej cechy. » Dobyłem z kieszeni ów fontaź biały, w który mnie xiężna Lubecka zaopatrzyła i rzekłem: « W mieście już tylko pod tym znakiem można się po-

---

[1]) Zdawało się Rosyanom, znajdującym się w Warszawie, że na nich niechybnie powetowana zostanie rzeź Pragi przez Suworowa sprawiona w 1794 r. Wielką była przeto ich wdzięczność za doznane względy. Przedniejsi z pomiędzy nich wyrazili ją w listach do wicekanclerza hr. Nesselrodego i do adjutanta cesarskiego jenerała Benkendorfa. (W. Z.)

kazywać. Zdjąłem go dopiero, gdym się zbliżał do obozu W. C. M.» W. xiążę: «A więc dobrze, przededniem każę cię przywołać. Gdzie przenocujesz?» — «Poradzę sobie, a ludziom W. C. M. powiem, gdzie mnie szukać.»

W przyległej izbie trudno przejść było. Na ziemi pokotem leżeli jenerałowie, adjutanci, sekretarze. W rogu izby stała kolebka, w niej leżał Rożniecki z głową opartą na jednej krawędzi a nogami zwieszonemi po za drugą krawędź. Dziwnie było widzieć tego przewrotnego cynika, spoczywającego na posłaniu przeznaczonem dla niewiniątek. Jenerał Gerstenzweig jeden czuwał w tej izbie i zdaje się czekał na mnie. Był to dowódca artyleryi rosyjskiej w Królestwie, z pochodzenia Polak; nazywał się właściwie Jęczmienowski, ale tak jak nazwisko swoje przetłómaczył na niemieckie, tak ducha swego przeistoczył na moskiewski. Znany był z nienawiści do Polaków. Tegoż dnia rano znajdował się na przeglądzie pieszej bateryi gwardyi rosyjskiej w Górze Kalwaryi o pięć mil od Warszawy. Baterya była pod bronią, w paradzie, kiedy rozeszła się pogłoska o wybuchu warszawskim. Gerstenzweig rozkazał bateryi natychmiast, bez wstępowania do koszar, maszerować pod Warszawę. Takiż rozkaz posłał do Skierniewic, gdzie stała artylerya konna. Teraz rozpytywał mnie skwapliwie o stan miasta i mówił, że to powtórzenie 14 grudnia, kiedy przy wstąpieniu na tron Mikołaja podobny bunt w Petersburgu wybuchnął. Ale dodawał: «Damy z tem sobie radę. Mam dwadzieścia armat, — zmieciemy ulice, w kilka godzin opanujemy miasto.»

Pozwoliłem sobie zwrócić uwagę jego na niestosowność tego środka. Nie taiłem, że chwila minęła, w której w. xiążę mógł siłą utrzymać stolicę i wojsko; że o tej porze cała już ludność pod bronią, barykady wzniesione; że, chociażby z powodu szerokości ulic udało się wojsku rosyjskiemu wtargnąć do środka miasta, utrzymaćby się tam nie zdołało; że nakoniec rzeź taka miałaby następstwa,

jakich on, jako dobry sługa cara, unikać powinien, bo niewątpliwie pierwszy wystrzał armatni będzie hasłem do zaciętej wojny, której ofiarą stanie się rosyjski korpus w. xięcia, a może i jego osoba. Nastawałem tem bardziej, że pewność siebie, z jaką Gerstenzweig zapowiadał swoje projekta, budziła we mnie obawę, że je przeprowadzić zdoła, mimo że w. xiążę okazywał przeciwne usposobienie. Mówiłem: «Nie doszło jeszcze do zupełnego zerwania. Porozumienie jeszcze możliwe, jeżeli w. xiążę ku temu coś przedsięweźmie. Nie otwierajcie bezdennej przepaści!»

Wyszedłem z domu, chcąc sobie upatrzyć nocleg. Przed drzwiami stała kareta xiężnej Łowickiej, zaprzężona na przypadek potrzeby. Za przyzwoleniem stangreta zrobiłem z niej sobie kwaterę na godzin parę, ale wprzód jeszcze napotkawszy konsula pruskiego, powtórzyłem mu rozmowę z jenerałem Gerstenzweigiem i zakląłem go, żeby użył swego wpływu przeciwko wszelkim wojennym krokom.

Przez te dni kilka, a raczej przez wszystkie te noce, gdyż dnie przepędzałem w mieście, pan Schmidt nie przestawał być niejako pośrednikiem między mną a w. xięciem. Wszystko przed nim mówiłem bez ogródki; on pierwszy ostrzegał w. xięcia o tem, co mnie, jako adjutantowi i to tak młodemu, trudniej było powiedzieć. W imię ludzkości odwoływałem się do jego pomocy. Mówiłem mu, do czego pragnąłbym w. xięcia doprowadzić, by go się starał w tym kierunku usposobić. Muszę przyznać, że mnie istotnie zobowiązał. Popierał mnie rozumnie, gorliwie, z pewnem nawet współczuciem. Doskonale wszystko rozumiał, pracowicie w. xięciu stan rzeczy tłómaczył i przekładał konieczności nieodłączne od podobnych przesileń. Spałem w karecie parę godzin. O czwartej rano pan Schmidt otworzył portyerę, mówiąc: «W. xiążę czeka na pana. Przekonasz się, że jest dobrze usposobiony.» W samej rzeczy zastałem w. xięcia i xiężnę Łowicką w łagodniej-

szym nastroju, jakby się zdawało, skłonniejszych do układów. Zdaje mi się, że całą noc czuwali.

W. xiążę mówił ze mną długo, był o wiele spokojniejszy, zaczynał oryentować się, rozwodził się nad przeszłością, tłómaczył postępowanie swoje, oskarżał to jednych, to drugich o wywołanie powstania. Raz przypisywał wzburzenie umysłów środkom fiskalnym xięcia Lubeckiego, drugi raz oskarżał ducha szkół publicznych i odpowiedzialność zrzucał na xięcia Adama Czartoryskiego; także utyskiwał na przesadę, z jaką, zdaniem jego, chciano używać nadanych przez konstytucyę swobód. Sam nie zdawał się poczuwać ani do odpowiedzialności, ani do żadnego obowiązku wobec grożących wypadków. Nie należało do mnie i zbytecznem byłoby odpowiadać na te jego zarzuty; a gdy mi już tego za wiele było, poprzestałem na zwróceniu jego uwagi, że to nie była pora do rekryminacyi. Powiedziałem jednak, że według mnie główna przyczyna powstania była nie w nadwerężeniach konstytucyi Królestwa, ale w głośno wyrażonem przez cara Mikołaja postanowieniu zniweczenia wszelkich nadziei, by kiedykolwiek prowincye dawnej Polski do Królestwa przyłączone zostały, kiedy jego poprzednik Alexander do ostatka dni swoich utrzymywał w Polsce nadzieje tego połączenia.

Przekonany byłem i jestem dotychczas, że to było prawdziwem źródłem rozjątrzenia, poniekąd rozmyślnego, które wywołało wybuch. Zapewne, że dla porwania tłumów, a zwłaszcza dla zachwiania wojska, wyzyskiwano żale i urazy bliższe, ale myliłby się, ktoby sądził, że którykolwiek z twórców ruchu tą mianowicie kierował się pobudką. Gdyby chodziło jedynie o konstytucyę Królestwa, każdyby zrozumiał, że częściowe gwałcenie jej nie obalało samychże jej podstaw, że przeciwnie czas dodawał jej mocy, wtedy nawet kiedy dobroczynne jej skutki chwilowo zawieszone były, że nic przeto nie nagliło do upominania się o te prawa. Aby w tak trudnych i niekorzystnych warunkach dopro-

wadzić do wybuchu, rozdrażnienie musiało wynikać z krzywdy głębszej, zadawanej temu, co dla całego narodu najdroższe, a zadawanej w sposób budzący obawę, że wszelkie opóźnienie głośnego protestu prowadzi do wzmagania się złego.

Zresztą śmiało twierdzić można, że dla większości Polaków swobody polityczne mają teraz drugorzędne znaczenie; inna rzecz, bardziej żywotna i bliższa sercu, całkowicie ich pochłania: narodowość; ona jest celem, stałym celem wszystkich wysiłków, i sama konstytucya Królestwa tyle tylko miała znaczenia w oczach Polaków, o ile stała na straży narodowości i broniła jej od wpływów moskiewskich. To też kiedy prawa tej narodowości, zastrzeżone traktatem wiedeńskim Polakom trzech zaborów, nagle zaprzeczone zostały ośmiu milionom, kiedy car Mikołaj oświadczył zabranym prowincyom, że mają zapomnieć o swojem pochodzeniu, zmienić język i wyrzec się wszelkiej nadziei polepszenia losu, stale obiecywanego im przez cara Alexandra, wówczas przez całą Polskę, od krańca do krańca, rozległ się jakby głuchy szmer; wszyscy uczuli, że to zamach na sameż podwaliny gmachu narodowego, że zaś czas i cierpliwość mogą się tylko przyczynić do stopniowej zagłady wszystkiego, co nam najdroższe. Tego dnia wojna była wypowiedziana we wszystkich sercach; od tego dnia, ludzie, raczej zrozpaczeni, niż roztropni, raczej roznamiętnieni, niż światli, zaczęli głosić, że nadszedł czas, kiedy, nie mierząc sił, nie obliczając widoków powodzenia, pozostało nam tylko albo zuchwale szukać zwycięstwa, albo zginąć w chwalebnej walce, a tak zapisać w dziejach niezatartemi głoskami istnienie narodowości, o którą na mocy takich czynów potomkowie zawsze dopominać się będą mieli prawo.

Tak jedynie wytłómaczyć można wybuch powstania, jakkolwiek było ono szalone i niebezpieczne. Nie chodziło o rozszerzenie wolności i przywilejów Królestwa; chodziło o to głównie, by się niemi podzielić z braćmi

naszymi za Bugiem i Niemnem. Chętnieby był każdy poświęcił nawet jakąś część tych wolności, byleby ich część stała się wspólną wszystkim Polakom poddanym carowi. Układ na takiej podstawie był jedynym sposobem ukończenia tej nieszczęsnej walki i jedyną rękojmią szczerego i zupełnego wykonania wzajemnych zobowiązań między monarchą a narodem.

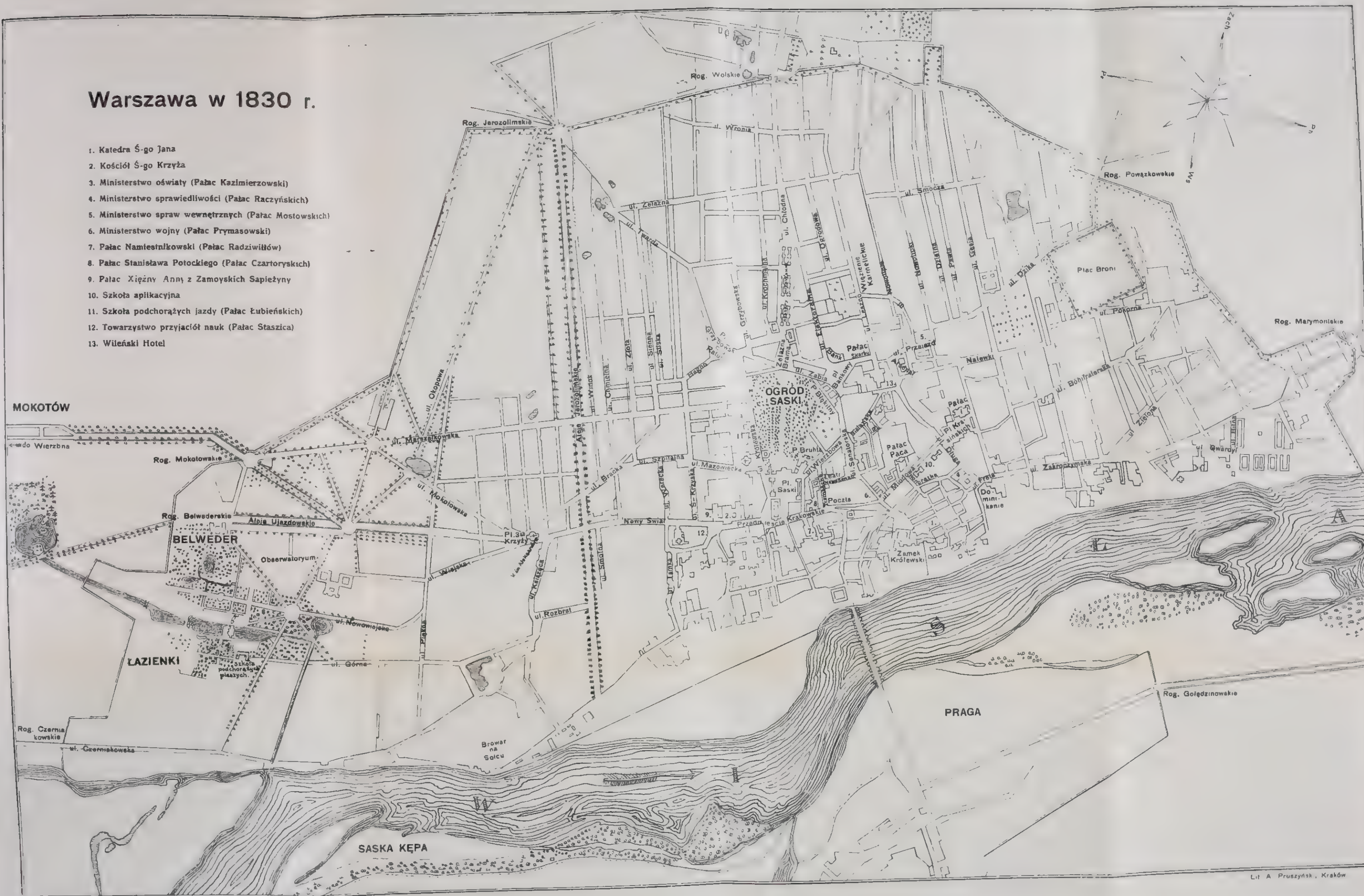
W. xiążę Konstanty zrazu się opierał wspaniałomyślnym zamiarom cesarza Alexandra względem Polski, jak mi o tem sam w tej rozmowie powiedział. Ale projekt połączenia z Królestwem prowincyi polskich, który zdawał się już bliskim wykonania, gdy Alexandra śmierć zaskoczyła, stał się nagle ulubionym pomysłem w. xięcia. Kiedy Mikołaj ogłosił zamiary przeciwne, przedstawiał mu i głośno mówił w Warszawie, że, o ile zwalczał w zasadzie zamiary Alexandra, jako zbyt korzystne dla Polaków a niezgodne z interesami Moskwy, o tyle, gdy raz zasada przyjętą została i w czyn wprowadzoną, sądził, że nie należało i nie można było nie pozostać jej wiernym i nie przyjąć jej następstw, z których najprostszem i najkonieczniejszem było według niego połączenie prowincyi z Królestwem.

Czy pochodziło to z przekonania, czy z ducha sprzeczności, który go cechował? Nie wiem, wolno jednak przypuszczać, że wzrost materyalnej pomyślności Królestwa pod administracyą narodową i niepodległą mógł wpływać na te poglądy. Wolno przypuścić, że w. xiążę, zrzekłszy się panowania nad Moskwą, chciał zrobić ze swojej rezydencyi w Warszawie stolicę nie czterech, ale dwunastu milionów Polaków, i poddać pod rzekomo konstytucyjną administracyą Królestwa wszystkie polskie posiadłości cara, chociaż skądinąd pierwszym tego skutkiem byłoby pozbawienie go władzy administracyjnej, jaką w prowincyach posiadał.

Innym też zupełnie stał się od śmierci Alexandra w postępowaniu względem spraw krajowych i wiado-

mych mu uczuć samychże Polaków. Dotąd najczęściej te uczucia w żarty obracał, a dla ustaw, których mu nadaremnie przypominano osnowę, okazywał pogardę tylko. Od lat kilku atoli, a jeszcze bardziej od sejmu 1830 inaczej się odzywał. Zamiast ustawicznego dowcipkowania z podobnie brzmiących wyrazów: konstytucya i konfuzya, wyrażał zdania oparte na dobrze pojętym interesie Polaków. Chciał pokazać, że się na zasadach konstytucyjnych rozumie lepiej od cara i wszystkich Moskali. Nieustannie powtarzał, że cierpliwe umiarkowanie najskuteczniej sprowadzi polepszenie losów Polski, że Polacy powinni pozyskać zaufanie cesarza, dowieść przywiązania swego do istniejącego porządku rzeczy. Mawiał, że niema lepszego Polaka nad niego, że prawdziwymi nieprzyjaciółmi kraju są te niepowściągliwe gaduły, między którymi wymieniał posłów kaliskich, dodając, że lepiejby było dla nich urodzić się za czasów imperatorowej Katarzyny, kiedy takiego właśnie rodzaju ludzi rząd rosyjski poszukiwał i hojnie opłacał.

Po długiej rozmowie w. xiążę wpadł w zadumanie. W chwilach, w których nie był pod wrażeniem grożącego mu niebezpieczeństwa, zdawało się w nim przeważać uczucie zdziwienia. Nie mógł, a raczej nie chciał wierzyć, że rozjątrzenie doszło do ostateczności. Rzekłby kto, że wcale nie wiedział o niem, że nie zdawał sobie sprawy z krzywd, jakie krajowi wyrządzał, z ucisków i gwałtów codziennych. A jednak, wyznać trzeba, że zdziwienie jego można było do pewnego stopnia zrozumieć. Podczas gdy dawniej słyszeliśmy nieraz z jego ust, że nie dba o to, by go kochano, że pragnie tylko trwogę wzbudzać, to ostatniemi czasy zmieniła się mowa jego: mówił o poczciwem mieście swojem i poczciwych mieszkańcach Warszawy, o «uległym jak baranek» narodzie, którego nie mógł się dość nachwalić. Z upodobaniem zwracał uwagę na nieprzerwany spokój, jakiego Polska od lat piętnastu używała, podczas gdy ani jedna stolica



Warszawa w 1830 r.
1. Katedra Ś-go Jana
2. Kościół Ś-go Krzyża
3. Ministerstwo oświaty (Pałac Kazimierzowski)
4. Ministerstwo sprawiedliwości (Pałac Raczyńskich)
5. Ministerstwo spraw wewnętrznych (Pałac Mostowskich)
6. Ministerstwo wojny (Pałac Prymasowski)
7. Pałac Namiestnikowski (Pałac Radziwiłłów)
8. Pałac Stanisława Potockiego (Pałac Czartoryskich)
9. Pałac Xiężny Anny z Zamoyskich Sapieżyny
10. Szkoła aplikacyjna
11. Szkoła podchorążych jazdy (Pałac Łubieńskich)
12. Towarzystwo przyjaciół nauk (Pałac Staszica)
13. Wileński Hotel
MOKOTÓW
do Wierzbna
Rog. Mokotowskie
Rog. Belwederskie
BELWEDER
Aleje Ujazdowskie
Obserwatoryum
ŁAZIENKI
Szkoła podchorążych piechoty
ul. Górne
Rog. Czerniakowskie
ul. Czerniakowska
Browar na Solcu
SASKA KĘPA
PRAGA
Rog. Golędzinowskie
Rog. Jerozolimskie
Rog. Wolskie
ul. Wronia
ul. Żelazna
ul. Twarda
ul. Chłodna
ul. Smocza
Rog. Powązkowskie
Plac Broni
ul. Pokorna
Rog. Marymonckie
ul. Bonifraterska
ul. Zakroczymska
ul. Marszałkowska
ul. Mokotowska
ul. Wiejska
ul. Nowowiejska
ul. Rozbrat
Pl. 3ch Krzyży
Nowy Świat
ul. Bracka
ul. Szpitalna
ul. Mazowiecka
ul. Krucza
ul. Chmielna
ul. Złota
ul. Sienna
OGRÓD SASKI
Pl. Saski
Poczta
Krakowskie Przedmieście
Pałac Paca
Pałac Krasińskich
Pl. Krasińskich
Nalewki
Dominikanie
Zamek Królewski
Lit. A. Pruszyński, Kraków

w Europie, zwłaszcza w ostatnich czasach, nie pozostała wolną od rozruchów. «Warszawa jedna», powiadał, «przedstawia obraz nieprzerwanej spokojności, odpowiedni rozwojowi jej dobrego bytu.» Dumnym był z tego i lubił przytaczać ten fakt wyjątkowy pośród zarazy rewolucyjnej mniej więcej powszechnej. Nic go tak boleśnie nie raniło, jak kiedy dzienniki zagraniczne głosiły, że go Polacy nienawidzą. Chciał koniecznie pokazać światu, że ta nienawiść istnieje chyba tylko w kilku przewróconych głowach. Do tego stopnia zaślepiał się pod tym względem, że nie chciał wierzyć zwyczajnym agentom swoim, kiedy mu donosili o oznakach blizkiego wybuchu. Gdy zrana 29 listopada doniesiono mu, że wybuch ma tegoż wieczora nastąpić, on, który przedtem przez podejrzliwą niespokojność częstokroć zmuszał policyę do kłamania spisków, w tym razie zniecierpliwiony zawołał: «Jeżeli tak, to niechże raz wybuchnie ta rewolucya.»

Wreszcie zapytałem, co mi w. xiążę poruczy zakomunikować. To, co mi polecił, da się streścić w tych słowach: «Powiedz, iż, dowiedziawszy się, że imię i powaga cesarza nie przestają być szanowane w stolicy, pospieszam zawiadomić Rząd, że od tej chwili przestaję być na stopie nieprzyjacielskiej względem Warszawy i że wzywam go do podobnego zachowania się względem mnie. Powiedz, dodał, że od tej chwili jestem przyjacielem» i nastawał na słowo «przyjaciel». Obecna x. Łowicka, również kładąc nacisk na to słowo, polecała mi, bym nie zapomniał powtórzyć je w Warszawie. Oboje wyliczali straszne następstwa zerwania. Xiężna kilkakrotnie sama do mnie przemawiała, mężowi niemal przerywając. Powtarzała, bym jako Polak, miłujący Ojczyznę, usiłował wpłynąć na przewodniczących w Warszawie, aby nie ściągali na kraj klęsk nieobliczonych.

Probowałem, czy się nie uda uzyskać od w. xięcia jakich wskazówek co do dalszych jego postanowień, czas bowiem naglił; aż nadto widocznem było, że ruch rewo-

lucyjny wzrastać będzie z gwałtowną szybkością, że wypadki uprzedzić należy. Nic więcej nie uzyskawszy, odjechałem, uprzedzając w. xięcia, że podług wszelkiego podobieństwa dopiero w nocy, jak dnia poprzedniego, będę mógł z miasta powrócić. W środę dnia 1 grudnia rano wyjechałem szczęśliwie do miasta przededniem niepostrzeżony. Ulice zdawały się spokojne, dowiedziałem się atoli, że noc była burzliwa, że zrabowano kilka sklepów z żywnością i zburzono kilka domów, zamieszkanych przez znienawidzonych urzędników. Jednakże straż bezpieczeństwa, która się zaczynała organizować, wsparta przez młodzież z obu szkół podchorążych i uniwersytetu położyła koniec nieporządkom. Baczność powszechna zwróciła się przedewszystkiem ku utrzymaniu porządku wewnętrznego.

Wszyscy tego rana mieli kokardy, ale te kokardy były trojakiego rodzaju. Większość miała białą starodawną; inni nosili trójkolorową, która świadczyła, że niepodległość i narodowość nie dla wszystkich jedynym były celem, oznaczała, że niektórzy dążyli do zmian społecznych i naśladowania Francyi; inni wreszcie, mniemając poprostu, iż wypadało przyjąć kokardę odmienną od tej, jaką nosiliśmy dotychczas, do białej kokardy dodali obwódkę czerwoną. Ale wkrótce uczucie większości przemogło i we dwa dni potem nie widać już było innej, jak narodową białą.[1])

Przed Żelazną Bramą spotkałem szkołę podchorążych; powitali mnie wesołym okrzykiem; mnie serce ścisnęły ponure przeczucia.

---

[1]) Później, kiedy w grożącym i zelżywym manifeście feldmarszałek Dybicz ogłosił, że car ułaskawi tych Polaków, którzy się stawią przed armią cesarską z chorągwią i kokardą białą, oburzenie powszechne spowodowało zmianę narodowej kokardy przez dodanie do kokardy białej obwódki czerwonej. Biały z czerwonym były zawsze kolorami narodowemi.

Gdym przyjechał, dopiero co się byli rozeszli członkowie Rządu, znużeni 30-togodzinnem nieprzerwanem posiedzeniem. Kilka godzin czekać musiałem, zanim się ponownie zebrali. Tymczasem na ulicach wzmagał się ruch; z każdą godziną powstanie nabierało mocy. Powszechnie dziwiono się łatwości, z jaką się dokonało i wnoszono stąd, że się z równą łatwością ustali do czasu przynajmniej.

Wzrastała śmiałość tych, którzy skrycie wybuch przygotowali i poczynały już objawiać się ich roszczenia. Dzienniki pełne były artykułów do tego zastosowanych. Zaczęły wychodzić nowe pisma, wszystkie gwałtownością napiętnowane. Klub patryotyczny, choć jeszcze nie zorganizowany, odbywał już posiedzenia; mówcy o wszystkich dnia godzinach zajmowali sale na ratuszu. Publiczność słuchała, oczekiwała z niepokojem, lecz już można było widzieć, że czekała tylko na przywódców i na rozkazy, ażeby złożyć dowody poświęcenia bez granic dla sprawy narodowej.

W Polsce, odkąd rozszarpana, wywołać powstanie jest rzeczą łatwiejszą, niż gdziekolwiek. Jedno wspólne dążenie, bo zrodzone z jednego wspólnego żalu, napełnia wszystkie serca. Dość jest dać hasło, ażeby cały naród powstał i odrazu wiedział, dla czego. Wtedy już chodzi tylko o wybór środków, cel mają wszyscy jednaki.

Nareszcie wyszedł z ukrycia jenerał Chłopicki. Widziałem go wchodzącego do pałacu Skarbu; gorąco był przez tłum witany, ale na twarzy jego widać było niesmak i niepokój. Rząd mianował go tymczasowym naczelnikiem siły zbrojnej. Chłopicki głosił z przyciskiem, że przyjmuje dowództwo dla tego tylko, że postanowienie wydane zostało przez Radę ministrów w imieniu cesarza i króla. Natychmiast wysłał rozkazy do pułków rozłożonych w blizkości stolicy, wzywając je, podobnież w imieniu króla, aby przybyły do Warszawy, a na dowódców wkładając odpowiedzialność za nieporządki zajść mogące

Chłopic

w mieście, jeżeli bez odwłoki swych pułków nie przyprowadzą.

Rząd zdawał się dotychczas myśleć jedynie o utrzymaniu wewnętrznego porządku; formował straż bezpieczeństwa, źle widzianych urzędników, naznaczonych piętnem potępienia, a zwłaszcza urzędników municypalnych, zastępował innymi; kilku tak złożonych z urzędu i kilku szpiegów policyjnych uwięził nawet, nie tyle dla ukarania ich, jak dla zasłonienia od zaciekłości pospólstwa. Wśród tych czynności Rządu, napróżno dotąd sprawcy wybuchu oczekiwali ogłoszenia wielkich celów, do których wywołane przez nich wypadki doprowadzić miały. To też przez cały ranek przychodziły do Rządu różne deputacye: od miasta, od wojska, od klubu, od szkół. Rząd dawał posłuchanie wszystkim deputacyom, a nawet niektórym pojedynczym osobom wybranym z publiczności, zaniepokojonej o przyszłość. Dawni członkowie Rady Administracyjnej zawiele wzbudzali nieufności, by zaufanie do nowowezwanych mogło już nieufność tę zrównoważyć. Rząd przeto tak złożony nie miał siły dosyć, by mógł odmawiać odpowiedzi na stawiane mu pytania i musiał bądź co bądź z niewyczerpaną cierpliwością na wszystko odpowiadać.

Między samymi członkami Rządu nie było jednomyślności. Jedni pragnęli ruchowi dopomódz, inni, na ich czele xiążę Lubecki, usiłowali nie dopuścić do ostatecznego zerwania z Moskwą. Stąd rosła coraz bardziej powszechna podejrzliwość. Na czele zbrojnego, wzburzonego mowami tłumu stawali na schodach pałacu rządowego zapaleńcy. W samejże sali posiedzeń kilku uniosło się aż do pogróżek sztyletami i pistoletami. Powielekroć, przedarłszy się przez wartę, tłum wpadał aż na górę, gdzie go zaledwie powstrzymać zdołało kilku ludzi posiadających powszechne zaufanie.

Kilkakrotnie przemawiał do tłumu Niemcewicz, bądź na schodach, bądź z ganku, to dowcipem, to grozą uśmie-

rzając zapaleńców. Powiadał, że wiek, który mu odejmuje możność służenia czynnie krajowi, nadaje mu prawo mówienia współrodakom prawdy, chociaż bardzo surowej. Jenerał Sierawski, który był także popularny, powstrzymał jeden napad na schodach, oświadczając, że, kto zechce pójść dalej, chyba po jego piersi przejdzie. Jenerał Chłopicki postawą i znaną tęgością charakteru hamował zapalczywszych. Obecność jego po wiele razy przyczyniła się do przywrócenia porządku w sali rządowej.

Ale ze wszystkich kolegów xiążę Lubecki najdzielniej opierał się burzy, pomimo że największą obudzał drażliwość z powodu rozporządzeń antykonstytucyjnych, na które sobie niegdyś pozwalał, albo które podpisem swoim zatwierdzał. Niektórzy wprawdzie cenili i z wdzięcznością wspominali, że w Radzie Administracyjnej stawił nieraz czoło Nowosilcowowi, że się nawet nakazom w. xięcia śmiał opierać. Teraz okazywał niewyczerpaną cierpliwość i przytomność umysłu w odpowiadaniu i przekonywaniu publiczności. Brał na stronę po kolei najgorętszych z każdej grupy; sam podnosił najdrażliwsze kwestye z przeszłości; przyznawał otwarcie, że były wielkie błędy i obejścia prawa tak ze strony Rządu, jak i jego własnej, ale zarazem tłómaczył, uniewinniał pobudki, przytaczał fakta, cyfry, rezultaty, któremi w podziw wprawiał; wreszcie używając na przemian otwartości lub półzwierzeń, wymowy lub poufałości, ujmował jednych, drugim plątał szyki.

Ale tłómaczenia te, odnoszące się do przyszłości, nie wystarczały już teraz. Koiły chwilowo, godziły z osobami, znajdującemi się jeszcze u steru, wszakże nie zaspakajały co do przyszłości, a ogół chciał wiedzieć wyraźnie, jakie są dążności i postanowienia Rządu na przyszłość. W tym kierunku niepokój wszelką przechodził miarę. Pamiętano odezwę zaczynającą się od słów: «Smutne a niespodziewane wypadki tej nocy...» Imię cesarza i króla, zatrzymane dotąd na czele postanowień Rządu, coraz bardziej raziło·

Pod naciskiem opinii publicznej tegoż dnia kształt Rządu został zmieniony. Zamiast Rady Administracyjnej, przemawiającej w imieniu króla, ustanowiono poprostu Rząd (bez żadnej osobnej nazwy), któremu Rada Administracyjna dobrowolnie ustępowała władzy ze względu na nagłość i ważność wypadków. Rząd ten pozostawał zatem w związku z Radą poprzednio istniejącą, a chociaż w aktach jego o imieniu króla wzmianki już nie było, przecież samo istnienie władzy królewskiej w zasadzie nie zostało zaprzeczone. Wybieg ten był pomysłem xięcia Lubeckiego, który usiłował nie dopuścić do przekroczenia pewnych granic, a granice te rozszerzać, w miarę jak wymagały tego okoliczności. Pomysł byłby niewątpliwie zręczny, gdyby się był udał.

Jednocześnie ze zmianą formy zaszła częściowa zmiana osób w Rządzie. Xiążę Lubecki przedstawiał, że niepopodobna żądać od ministrów, którzy cesarzowi na wierność przysięgali, udziału w postanowieniach, uważanych teraz za konieczne, a sprzeciwiających się tej przysiędze. Mówił: «Niech się Rząd składa z ludzi, którzy takiej, jak my ministrowie, przysięgi nie wykonali, a jeżeli trzeba, żebyśmy bądź co bądź zostali na czele naszych departamentów, niech nam rozkaże, ale pod gwałtem, pod karą śmierci.» Z dawnych ministrów on jeden pozostał. Prezesem Rządu mianowano xięcia Adama Czartoryskiego, a na miejsce kilku usuniętych członków powołano kasztelana Leona Dembowskiego i trzech z izby poselskiej, tych mianowicie, którzy podczas wyborów do komisyi za ostatniego sejmu najwięcej otrzymali głosów. Byli to: marszałek izby Władysław Ostrowski, profesor Lelewel i Gustaw Małachowski.

Sądzę jednak, że i w tej jeszcze chwili, nawet ci, co parli do otwartego zerwania z Moskwą, nie tyle ufali, że to do pożądanego doprowadzi skutku, ile się obawiali zemsty cara. Szczególniej wojsko czuło się zagrożone, wiedząc, ile zawiniło w oczach panującego. Powrót

w. xięcia do Warszawy byłby dla wszystkich zapowiedzią nieubłaganej reakcyi.

Właściwie w. xiążę nie był jeszcze opuścił miasta. Napad zaś z jego strony zdawał się lada chwila zagrażać. Zdarzały się jeszcze pojedyncze z obu stron strzały; brano sobie jeńców nawzajem. W. xiążę zajmował jeszcze dwie rogatki miejskie. Wiadomo było, że ma przy sobie dwadzieścia cztery działa samej rosyjskiej artyleryi, kiedy miasto miało dział dziesięć tylko. Dla zabezpieczenia stolicy potrzeba było koniecznie oddalić w. xięcia i jego rosyjskie wojsko, a bardziej należało jeszcze położyć koniec pozornemu rozdwojeniu garnizonu polskiego, którego połowa w obozie w. xięcia się znajdowała. W mieście było tylko sześć batalionów piechoty i baterya konna gwardyi, ale tegoż wieczora spodziewano się przybycia wezwanych przez jenerała Chłopickiego pułków, mianowicie: 8. pułku piechoty liniowej, którym dowodził pułkownik Skrzynecki, i 1. pułku strzelców pieszych pod dowództwem jenerała Szembeka, jako też 2. bateryi konnej, ciągnącej ze Siedlec. Licząc na te posiłki, odgrażano się nawet na w. xięcia, gdyby się ociągał z odprawieniem pozostałych przy nim pułków polskich. Miano wprawdzie mocną urazę do pułku strzelców konnych za jego postępowanie 29 listopada, ale winę składano na dowódców; nikt nie wątpił o przywiązaniu pułku do sprawy narodowej.

Na wszystkie obawy i pogróżki Rząd odpowiedział ogłoszeniem słów pokoju, które od w. xięcia zrana przyniosłem, a z których przed Rządem zdałem sprawę. Te słowa do najwyższego stopnia zadziwiły wszystkich.

Większość domyślała się w nich podstępu, ale wszyscy zgodzili się na to, że trzeba z tych oświadczeń skorzystać, choćby dla tego, żeby zyskać na czasie. Mnie na razie Rząd nie umiał dać innej odpowiedzi, jak tę, że stosownie do oświadczeń w. xięcia, wydane zostały rozkazy zaprzestania wszelkich kroków nieprzyjacielskich. Że zaś o dalszych zamiarach w. xięcia nic nie umiałem

powiedzieć, a pamiętne było przyjęcie, jakiego doznała deputacya w nocy 29 listopada; wezwano mnie przeto, abym spiesznie dowiedział się, w jaki sposób Rząd może skorzystać z przychylnego usposobienia w. xięcia i przyjść do porozumienia z nim.

Już też wszystkim zaczynały być wiadome moje nocne do w. xięcia wycieczki. Znający mnie bliżej domyślali się ich celu, ale u niektórych obudzały one podejrzenia nietylko względem mnie samego, ale i względem Rządu. Była nawet mowa o schwytaniu mnie na gorącym uczynku. Jen. Sierawski, lękając się, by mnie gwałt jaki nie spotkał na ulicy, powtórnie skazał mnie na areszt do wieczora w pałacu Skarbowym, w którym Rząd zasiadał. Dopiero gdy noc nadeszła, polecił mi niby objechać forpoczty z dwoma uczniami szkoły aplikacyjnej, przypuszczonymi do tajemnicy. Tak udało mi się z miasta wyjechać. Ale w miarę jak się organizowała straż bezpieczeństwa, wymykanie się w ten sposób stawało się coraz trudniejsze. Tego wieczora ulice roiły się od patroli mieszczańskich, przy każdym domu stał szyldwach; wszyscy czuwali, aby zapobiedz nieporządkom podobnym do tych, jakie poprzedniej nocy zaszły.

Przybywszy do w. xięcia około 9 wieczorem, zdałem mu sprawę z odpowiedzi Rządu i usposobienia stolicy. Jak zawsze, długo mnie wypytywał, nie powziął jednak żadnej decyzyi, mimo usilnych próśb moich, żeby coś postanowił. Widziałem tylko, że mniej się wzbrania od wejścia w układy z rządem. Miałem następnie długą naradę z p. Schmidtem. Zdawał się nie mniej odemnie pragnąć, by w. xiążę zdobył się na stosowne postanowienie. Nazajutrz przededniem, po krótkiej rozmowie, odebrałem znowu od w. xięcia rozkaz jechania do miasta, ale z tem tylko poleceniem, żebym świeżych dostarczył wiadomości.

Tymczasem członkowie Rządu, widząc, że mnie każdy powrót do miasta naraża na niebezpieczeństwo, nie

ukrywając już dłużej, że to oni mnie do w. xięcia posyłają, zawiadomili forpoczty, że przededniem znowu przybędę. Ale żem nie był o tem uprzedzony, użyłem zwykłych przebiegów, by się do miasta dostać, i raz jeszcze, gdym się przemykał o świcie, dano do mnie kilka strzałów karabinowych, które mnie szczęściem chybiły.

Zadziwił mnie spokój, jaki tego rana panował na ulicach; targ ranny rozpoczynał się jakby wśród najbardziej pokojowych czasów. Dzień za to nastąpił burzliwy. Rząd ciągle napastowany i podejrzywany przez tłumy, musiał przystać na obecność podczas posiedzeń trzech członków Klubu patryotycznego, wskutek czego Gustaw Małachowski podał się do dymisyi. W pałacu rządowym spotkałem Skrzyneckiego, późniejszego naczelnego wodza, który wyprzedził pułk swój idący z Pułtuska.

Skrzynecki cieszył się zawsze uznaniem w. xięcia, chociaż nie można powiedzieć, by mu w. xiążę okazywał był przyjaźń lub nawet życzliwość, co w części tłómaczyły ultra monarchiczne poglądy Skrzyneckiego na sprawy Francyi z jednej strony, z drugiej jego gorący patryotyzm polski.

Tak Skrzynecki, jak i inni z okolicznych garnizonów przybywający różnego stopnia oficerowie[1]), widząc, że ja pozostaję jeszcze przy w. xięciu, zwierzali mi się z trudnego położenia swego, wkładali na mnie obowiązek tłómaczenia ich przed w. xięciem: «W obec rządu warszawskiego i jego rozkazów, powołujących nas do utrzymania porządku w stolicy, niepodobna żadnemu dowódcy biernym pozostać. Powiedz to w. xięciu, mówił Skrzynecki. Niech wie, że konieczności ulegamy. Gdybyśmy się opierali, gdyby nawet jeszcze kilku z nas życiem ten bezwzględny opór przypłaciło, skutek byłby gorszy tylko,

---

[1]) Byli to: Xawery Bronikowski, major Machnicki i Maurycy Mochnacki.

całe wojsko popadłoby w rozprzężenie.» W. xiążę, któremu to wszystko powtórzyłem, pochwalił Skrzyneckiego i pozwolił mu to w swojem imieniu powiedzieć.

O każdem podobnem zwierzeniu zawiadamiałem w. xięcia, dając mu poznać tem samem, że zarówno i mojem i Rady Administracyjnej stanowiskiem rządzi konieczność a nie to, cośmy już przed wybuchem za ścisłą powinność uważali. Pamiętam, z jaką przyjemnością spostrzegałem, że każda chwila, każde słowo widocznie prowadziło do nacechowania mojego osobistego położenia i do wyzwolenia mnie od więzów dotychczasowej służby. W. xiążę nie przeczył konieczności, nie okazywał zgrozy z powodu ulegania jej, chwalił przecież gorąco wierność dwóch pułków gwardyi polskiej, strzelców i grenadyerów, i powtarzał, że warte są, aby je w złote ramy oprawić.

Oba pułki gwardyi polskiej, które się znajdowały przy w. xięciu, zaprawdę nie mniej od innych pułków armii liczyły oficerów przejętych najgorętszym patryotyzmem. Pomiędzy strzelcami konnymi gwardyi, wielu w pierwszych latach po roku 1815 należało do towarzystw tajnych; za to nawet cały pułk doznawał stałej niełaski w. xięcia. Lecz piętnaście lat ciągłego w stolicy pobytu dało oficerom tego pułku lepszą od innych sposobność sądzenia o położeniu naszem i pojmowania doniosłości wypadków, których byli świadkami; być może i to, że mieli w żywej pamięci srogość wywartą na kilku z pomiędzy siebie. Dosyć, że byli oni, jak wszyscy niemal, co mieli udział w poprzednich knowaniach, obcymi a nawet przeciwnymi przygotowaniom obecnego wybuchu; widzieli w nim przedsięwzięcie szalone i dla kraju zgubne. Chociaż już 30 listopada od rana wiedzieli, że cała załoga przystąpiła do powstania, w przekonaniu, że ruch natychmiast uśmierzony będzie, przewidując nieuniknioną po tym wypadku reakcyę, ufali, że ścisłem dopełnieniem żołnierskiej powinności o tyle przynajmniej na przyszłych losach narodu zaważą, że nie będzie można o całem

wojsku, a przeto o samymże narodzie twierdzić, że wszelkie stracił prawo do względów zwycięzcy. Pochlebiali sobie, że ich postępowanie dostarczy cesarzowi sposobności, gdyby jej pragnął, do wspaniałomyślnego przebaczenia wszystkim, że go skłoni do rozpatrzenia i naprawienia niezaprzeczonych krzywd. Godną zastanowienia rzeczą, że, wskutek niesprawiedliwości i gwałtów tak strasznych, każdy nawet z pośród najgorętszych przeciwników powstania miał nadzieję, iż monarcha będzie musiał, choćby we własnym interesie zbadać powody rozjątrzenia. Samo uwielbienie okazywane dla strzelców przez w. xięcia nie byłoż jasnym dowodem, jak go dziwiło ich postępowanie i jak czuł, że nie miał prawa na nie liczyć.

Około południa Rząd postanowił na przyjacielskie z dnia poprzedniego oświadczenie w. xięcia odpowiedzieć wysłaniem do niego deputacyi, w celu wyjaśnienia, na jakich warunkach możnaby w stanie pokoju doczekać się odpowiedzi cesarza na żale i skargi, jakieby mu naród przedstawił. Rząd nie taił sobie, że próba układów z w. xięciem jest krokiem niepopularnym, który może wywołać wzburzenie wśród ludności. To też zamiar ten nie miał być wprzód ogłoszony, aż w. xiążę ze swej strony się zgodzi na przyjęcie deputacyi. Polecono mi udać się do w. xięcia i zaproponować mu otwarcie konferencyi. Było to w samo południe. Jawnie zostałem odprowadzony do rogatek, jakby parlamentarz. Już też o jazdach moich wszystkim było wiadomo, a chociaż z pewną nieufnością na nie patrzano, to nie bez zaciekawienia oczekiwano, co z tego wyniknie; zresztą nieufność odnosiła się raczej już do Rządu, nie do mnie. W. xiążę, który dotychczas nie chciał słyszeć o deputacyi, zgodził się nareszcie na przyjęcie jej. Wkrótce też powróciłem z oświadczeniem, że w. xiążę gotów jest przyjąć wysłane do niego na konferencyę osoby.

Do deputacyi wybrani zostali: x. Adam Czartoryski, x. Lubecki, Władysław Ostrowski i profesor Lelewel.

Przygotowania do wyjazdu robiły się tajemnie. Dopiero około 4 po południu zajechała przed pałac Skarbu kareta, do której wsiedli czterej komisarze. Od kilku dni żadnego powozu nie było widać na ulicach, tłum więc zgromadzony na placu Bankowym na widok karety i eskorty, która jej towarzyszyć miała, poruszył się mocno. Domyślano się, że chodzi o porozumienie się Rządu z w. xięciem. Zaledwie kilka kroków ujechali komisarze, kiedy tłum na Żabiej ulicy zastąpił im drogę. Jedni opierali się odjazdowi, drudzy odgrażali się deputacyi, gdyby zawiodła zaufanie narodu, niektórzy nawet przykładali sztylety do piersi komisarzy. Członkowie deputacyi, stojąc na stopniach pojazdu, musieli przemawiać do ludu. Głównie obecność Lelewela zdołała uspokoić umysły; prześladowania, jakie od w. xięcia ponosił, i skromne stanowisko, jakie dotychczas zajmował, zdawały się być w oczach tłumu niejaką rękojmią. Nareszcie eskorta, złożona z kilku oficerów i ochotników, otworzyła drogę.

Wyprzedziłem powóz, żeby oznajmić w. xięciu, że deputacya przybywa. Zastałem go przy obiedzie w jedynym pokoju, który z xiężną Łowicką zajmował. P. Schmidt był trzecim u stołu. Moje nagłe wejście widocznie w. xięcia zmieszało. Zerwał się i kazał wynieść stół, mówiąc: «Nie trzeba, żeby ci panowie czekali.» Miałem czas tylko wymienić nazwiska komisarzy i dodać z wyrazem żywego niepokoju, iż życie lub śmierć ich za powrotem do miasta zależy od jego rozmowy z nimi i od większej lub mniejszej jego powolności dla ich żądań. Myśl śmierci, choćby nie jego dotyczącej, zawsze w. xięcia przerażała. Kładłem więc nacisk na to, że tejże nocy rzeź może nastąpić, jeżeli w. xiążę dalej wymawiać się będzie od ustępstw, jakich okoliczności domagały się bezwarunkowo. Błagałem go raz jeszcze, żeby członków obecnego rządu nie miał za rewolucyonistów, żeby był przekonany, iż tego tylko żądać będą, co konieczne dla powstrzymania rozjątrzonej ludności. Pod wpływem tych

słów, zdaje się, zaczynał pojmować z jednej strony szczerość usiłowań najszanowniejszych w narodzie mężów, z drugiej zaś potęgę żywiołów rewolucyjnych, które poza nienawiścią do obcej władzy miały może inne jeszcze widoki. Zdawał się widzieć nareszcie, że, aby te żywioły nie wzięły przewagi, nie trzeba utrudniać zadania ludziom, których czysty ożywiał patryotyzm. W liczbie komisarzy znajdował się wprawdzie profesor Lelewel, a ten był prezesem Klubu patryotycznego, ale Klub nie miał jeszcze oznaczonej barwy, przeto i w Lelewelu w. xiążę mógł widzieć nie tyle naczelnika sekty nowatorów, jak gorącego praw narodowych obrońcę.

Była godzina piąta popołudniu, kiedy komisarze weszli do w. xięcia. Konferencya przeciągnęła się do siódmej. X. Łowicka była jej obecna.

Ja większą część tego czasu przepędziłem na dłuższej rozmowie z p. Schmidtem. Opanowało mnie bolesne przeczucie losów, jakie się dla kraju gotowały. Przewidywałem, że cokolwiekby z tych rokowań wynikło, nie zdoła to już zadośćuczynić potrzebom obecnej chwili. Nie spodziewałem się po w. xięciu, a tem mniej po cesarzu Mikołaju, ustępstw odpowiednich do wymagań powstania. Skądinąd czułem, że wymagania te wnet przekroczą wszelką miarę i to wobec monarchy niezdolnego zrozumieć źródła i powody tego ostatecznego rozjątrzenia, że nastąpi zerwanie, a za niem pójdą klęski okropne, bo gdy raz przyjdzie do boju, cesarz odrzuci wszelkie warunki, w każdem zażaleniu w imię narodu podniesionem będzie widział osobistą obrazę, a zemstę jego i rozjątrzoną pychę zaledwo krwi potoki i zniszczenie narodu zaspokoić zdołają. Naród przedstawiał mi się jakby fatalnie w przepaść porwany, byt jego polityczny zagrożony, a stąd konieczność połączenia wszystkich sił, wszystkich stronnictw, dla odparcia najazdu, który się stawał nieuchronnym. Nierówność sił z naszej strony była oczywista, nie mogło też być wątpliwości co

do ostatecznego wyniku walki zbrojnej, ale tem mocniej czułem, że przyjdzie nam wszystko narazić, wszystko poświęcić, jeżeli nie dla odwrócenia klęsk, to przynajmniej dla tej chwały, jaką w samymże upadku zdobyć sobie zdołamy, dla złożenia świadectwa niezatartych praw naszych.

Nie pocieszające były odpowiedzi p. Schmidta: podzielał on najzupełniej moje przeczucia. Jednak i Schmidtowi i mnie zdawało się, że byłby może jeszcze sposób wyjścia z tego strasznego położenia, gdyby król pruski chciał pośredniczyć między zięciem swoim a nami. To też nagliłem p. Schmidta, żeby do Berlina pisał, dwór swój nakłaniając, by nie zaniedbał niczego, coby z jego strony przyczynić się mogło do odwrócenia nieobliczonych nieszczęść. Zdaniem mojem do Prus odezwać się należało nie w imię sprawiedliwości, nie w imię praw naszych, lecz jedynie w imię ludzkości starać się trafić do serca króla. Król pruski jako najbliższy świadek, a z nim inne dwory europejskie, powinny widzieć, że grozi wojna zawzięta a daremna, że grożą straszliwe klęski, że, nie mówiąc już o prześladowaniu gnębiącem naród cały, lać się będzie krew setek tysięcy ludzi, i dla czego?... Trochę sprawiedliwości z jednej strony, umiarkowania z obu stron, a możnaby jeszcze złemu zapobiedz. Polacy, mówiłem, zgodziliby się na to, coby rozstrzygnął rozjemca. Strona prawna, forma, jakiejby się użyło, to były rzeczy na razie drugorzędne. Głos rozjemcy, lepiej jeszcze kilku rozjemców, mógł był poważnie zaważyć, pokój przywrócić, Polakom wskazać, czego żądać mogli, skłonić ich do ograniczenia w pierwszym zapale stawionych żądań, a i cesarz czyżby się nie dał przez sprzymierzeńców swoich, a zwłaszcza może przez teścia nakłonić do ustępstw, na któreby mu się wobec zbuntowanych poddanych duma zgodzić nie pozwoliła.

O skutku konferencyi dowiedziałem się pobieżnie od samychże komisarzy, zanim wsiedli do pojazdu. Zgo-

dzono się na cztery przedwstępne bardzo niejasno określone punkta:

1. Zawieszenie kroków nieprzyjacielskich. W. xiążę z wojskiem rosyjskiem zostanie panem południowej części Warszawy, mało zamieszkanej, w której były koszary kawaleryi rosyjskiej, Belweder, a wszystkie oddziały polskie przy nim jeszcze będące odprawi natychmiast.

2. Przedstawione będą cesarzowi potrzebne zmiany w konstytucyi i w przyszłych stosunkach między Polską a Rosyą. Na przyszłość, bez przyzwolenia izb, wojsko rosyjskie nigdy w Polsce stać nie będzie.

3. W sprawie prowincyi za Bugiem i Niemnem nastąpią rokowania; życzeniem Polaków byłoby wcielenie ich do Królestwa; w każdym razie otrzymają one przynajmniej instytucye narodowe, zawarowane im przez traktat wiedeński.

4. W. xiążę obiecuje wstawić się do cesarza, ażeby otrzymać, obok amnestyi ogólnej, zatwierdzenie tych przedwstępnych umów, a następnie postanowień z ich duchem zgodnych.

Taki był w głównych zarysach wynik konferencyi. Punkta te zostały spisane w dwóch egzemplarzach ołówkiem. Komisarze zastrzegli potwierdzenie tej umowy przez Rząd, a, żegnając się z w. xięciem, uczynili mu nadzieję, że ratyfikacyę umowy za kilka godzin odbierze. W. xiążę był z nimi uprzedzająco grzeczny, chwilami nawet wesoły. Pewności zażegnania burzy nie było, ale zajaśniał promyk nadziei. »

Wśród tych groźnych wypadków Władysław Zamoyski spieszy listownie uspokoić o ile podobna matkę, korzystając z pierwszej sposobnej chwili. Tegoż właśnie dnia 2 grudnia rozpoczyna list swój do niej do Puław, w Warszawie, jeszcze przed wyjazdem deputacyi do w. xięcia.

«2 grudnia 1830, pierwsza po południu.

Wiesz już, Matko droga, o wybuchu powstania. W. xiążę z wojskiem rosyjskiem i częścią polskiego usunął się za miasto. Dużo już złego zaszło. Obecnie świta jakiś promyk nadziei. W. xiążę zgadza się na przyjęcie deputacyi od Rządu Tymczasowego, a nawet ją zaprasza. Ta rozmowa będzie rozstrzygającą.

My wszyscy cali i zdrowi. Dom nie ucierpiał, — mieści teraz główną kwaterę i biura jen. Chłopickiego, który objął naczelne dowództwo.

Wuj, Lubecki, Lelewel i W. Ostrowski udają się do w. xięcia. Mam ich tam wyprzedzić. Ja pełnię dalej służbę adjutancką przy w. xięciu. Obie strony posługują się mną dla porozumienia się pomiędzy sobą i dotychczas obie raczą być ze mnie zadowolone. Odwagi, Matko droga, nadeszła dla nas chwila stanowcza. Mało nadziei jednak i wbrew nadziei trzeba swoje robić. Wszyscy są narażeni na niebezpieczeństwa, to prawda, lecz, Matko droga, ufajmy, że ci wszyscy, co Matkę najbliżej obchodzą, zdobędą sobie dobrą sławę szlachetnem postępowaniem. W tej chwili wzgląd na osobiste klęski znika wobec tego, co grozi ojczyznie. Ku niej trzeba zwrócić wszystkie myśli i zachody... A jednak o Matce kochanej nie zapominamy. Obyśmy okazali się godnymi takiej Matki! — Chwilka swobody pozwala mi pisać. Skończę po posłuchaniu deputacyi.»

«Z Królikarni, siódma wieczór.

Deputacya bardzo dobrze przyjętą została. Zawieszenie broni ma być zawarte. W. xiążę chce pośredniczyć w celu uzyskania od cesarza przebaczenia przeszłości... Pod tym warunkiem wróci do miasta, jeżeli miasto się zgodzi. Ale to jeszcze pytanie; może jednak nastąpi teraz kilka dni spokoju. Po trzech bezsennych nocach zanosi się na jedną cichą, przynajmniej w tej myśli się do niej zabieram.

Konstanty tu przyjechał; zabierze ten list. Nasz ojciec w obecnych okolicznościach powinien zostawać na

wsi, zamknąć się w zakresie prostych obywatelskich obowiązków. Powinien czekać rozkazów Rządu Tymczasowego, wykonywać je szczerze i wykonania onych wkoło siebie wymagać, tak jak każdy człowiek prywatny, tylko z większą hojnością, o ile chodzić będzie o ofiary i datki z jego strony. My tu w jego domu i imieniu wielką świadczymy gościnność. Bądź Matko dobrej o nas myśli.»

Pani Zamoyska odpisała:

«Niech Bóg czuwa nad Tobą, niech Ci błogosławi i Tobą kieruje. Niechaj Duch Jego Święty da Wam rozeznanie prawdziwe między tem, co złe, a co dobre; co trzeba czynić, a czego unikać... Ściskam Cię i kocham z całej duszy.»

Jednocześnie pisze Zamoyski notatkę, prawdopodobnie do brata Konstantego, mającą służyć do rozmowy z ojcem. Jakkolwiek sam poczytywał powstanie w tej chwili i w tych warunkach za klęskę dla kraju, niemniej przed ojcem starał się je przedstawić w jak najłagodniejszem świetle, widocznie chcąc ustrzedz ojca od zbyt ostrego postawienia się w sprzeczności z ruchem, cały już naród ogarniającym. Początek notatki czy sprawozdania z bieżących wypadków pisany był zapewne 1 lub 2 grudnia rano.

«Rada Administracyjna wykonywa dotąd wszystkie czynności w imieniu cesarza i króla; postanowiła o tyle tylko urzędować, o ile imię cesarza będzie uszanowane. Pod tym względem wszyscy członkowie są jednomyślni. Jen. Chłopicki, który będąc powołany do Rady, długo się ociągał, zjawił się, skoro się dowiedział, że wszystkie akta rządowe pisane są w imieniu cesarza. Oświadczył, że posłuszny jest wezwaniu, które go dochodzi w imieniu cesarza. Odmówił nominacyi na wodza naczelnego, czy to wojska, czy gwardyi narodowej, i tylko jako członek Rady przyjął na siebie obowiązek czuwania nad bezpieczeństwem publicznem i dowodzenia siłą zbrojną. Jak się zdaje, piechota najpierwsza wróci

w karby porządku i posłuszeństwa. Dowódca głównie stara się nie dopuścić do starcia z oddziałami wojska, które się do powstania nie przyłączyły.

Organizują straż bezpieczeństwa, mającą uregulować uzbrojenie ludności, zawsze w celu przeszkodzenia nadużyciom; broń chcą rozdać li tylko właścicielom, ludziom interesowanym w utrzymaniu porządku, a rozbrajać potrochu motłoch. Rząd, dowiedziawszy się o zaaresztowaniu kilku oficerów i jenerałów rosyjskich, natychmiast polecił jen. Chłopickiemu, żeby ich uwolnił i bezpieczeństwo im zapewnił.»

Dalsza część ołówkiem pisana prawdopodobnie z Królikarni tak, jak i dopisek poprzedniego listu:

« Rząd, party ruchem powstańczym, wydaje rozporządzenia, które mają na celu uspokoić umysły i, o ile podobna, zadośćuczynić ludziom, domagającym się bardziej stanowczych kroków: 1. Ustanowienie Rządu Tymczasowego. W skład jego wchodzą: Lubecki, Czartoryski, Michał Radziwiłł. Rząd Tymczasowy działać będzie w imię władzy, udzielonej mu przez Radę Administracyjną; tym sposobem ominie się imię cesarza. 2. Rozkaz dzienny do wojska. Chłopicki mi powiedział, że sprowadza do Warszawy tylko dwa pułki: Skrzyneckiego i Szembeka. Jedynym jego celem utrzymanie porządku; jest przekonany, że go przywróci, o ile jaki szaleniec głowy mu nie roztrzaska. Zbierają zbrojnych włóczęgów, dla których niema miejsca w Straży bezpieczeństwa, by użyć ich do sypania szańców wokoło miasta.

Nadchodzą deputacye posłów wojskowych, którym odpowiada Chłopicki i studentów, którym odpowiada Lubecki.»

«Od chwili, gdy nastały bezpośrednie stosunki między w. xięciem a rządem warszawskim, zdawało się, że się moja rola pośrednika skończyła; nie sądziłem jednak, że nastąpiła już dla mnie chwila opuszczenia w. xięcia;

przewidywałem przeciwnie, że, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, prędko do Warszawy nie wrócę. Sądziłem, że moje osobiste względem niego obowiązki skończą się dopiero z dniem, kiedy wszyscy Polacy jednozgodnie przeciwko jego władzy powstaną, a jego osobie żadne blizkie niebezpieczeństwo nie będzie groziło. Oddawna z boleścią przewidywałem drażliwe położenie, w jakiem znajdować się będę jako adjutant przy naczelniku wojskowym, któremu przyjdzie wypowiedzieć posłuszeństwo, i z góry przekonany byłem, że ze względu na stanowisko moje przy w. xięciu będę zmuszony być ostatnim z pomiędzy Polaków, którzy do powstania przystąpią. Swoją drogą czułem, że względem ojczyzny prędko potrafię okupić to mimowolne opóźnienie, bo w samej nadziei, że jej kiedyś służyć będę z zupełnem poświęceniem, najwyższe dla siebie upatrywałem szczęście.

Ponieważ nie żądano jeszcze wtedy od ludzi, żeby głośno z postępowania swego się tłomaczyli, nikomu nic o zamiarach swoich nie mówiłem i dałem każdemu myśleć, co kto chciał. Nie przypuszczałem jednak, abym był przedmiotem istotnej podejrzliwości. Rodzina moja znana była z poświęcenia dla sprawy ojczystej. Zachowanie się moje w przeciągu ośmioletniej służby wojskowej mogło się tylko przyczynić do wyrobienia powszechnego przekonania o mojem wielkiem przywiązaniu dla kraju. Dotychczasowe stosunki moje z w. xięciem żadnych podejrzeń na mnie nie ściągnęły. To też w pierwszej chwili wybuchu, skoro tylko w mieście między powstańcami się pokazałem, wszyscy przekonani byli o moim współudziale; kto tylko mnie poznał, myślał, że już do nich należę. Tylko poczucie zupełnej jednomyślności, panującej między mną a wszystkimi Polakami, mogło mi dać odwagę stykania się z nimi, mimo trwającej służby mojej przy w. xięciu. To jedno mogło mnie uchronić, nawet we własnych oczach, od pozorów, na które zgodzićbym się nie mógł.

Jeżeli moje położenie było wyjątkowo trudne, inni wojskowi znajdowali się w nie o wiele łatwiejszem. Jen. Szembek, dowódca 1 pułku strzelców pieszych, rozłożony na lewym brzegu Wisły w sąsiedztwie stolicy, otrzymał jednocześnie dwa rozkazy: jeden od jen. Chłopickiego, aby się stawił z pułkiem w Warszawie, drugi od w. xięcia, aby pułk do niego doprowadził, zanim go duch powstania opanuje. Szembek, pułk swój wyprzedzając, udał się do w. xięcia, do Wierzbna. Nie byłem przytem, ale opowiadano mi, że Szembek dał poznać w. xięciu, że nie jest pewnym swojego pułku; nastręczał nawet myśl, aby w. xiążę kazał mu zastąpić drogę i sprowadzić go do siebie. Wszakże odjeżdżając zrobił nadzieję, że pułk przyprowadzi. Widocznie pasował się sam ze sobą, a postanowić o sobie nie umiał. Postanowiono za niego. Doszła do Warszawy wiadomość, że pułk Szembeka jest w marszu i że będzie przechodził koło obozu w. xięcia. Wyjechało na spotkanie pułku kilku ochotników, a między nimi pułkownik Kicki[1]), wielki faworyt mieszczan i młodzieży.

W tej wycieczce Kicki o mało nie wpadł w ręce przedniej straży w. xięcia. Ale skoro udało mu się zetknąć z pułkiem, z łatwością pociągnął go do miasta. Szembek w owej chwili był u w. xięcia. Powróciwszy, pospieszył za pułkiem do Warszawy i tam od ludności z okrzykiem był witany. Nazajutrz byłem świadkiem czynionych mu owacyi.

Wśród pułków polskich, pozostających w obozie w. xięcia, panował smutek głęboki. Do nich także chodzili posłańcy z Warszawy, wzywając do połączenia się z powstańcami. O ile mnie pytano, radziłem każdemu, ile możności, czekać naturalnego a koniecznie bliskiego już rozwiązania wypadków.

---

[1]) Ludwik Kicki, podpułkownik 1 pułku strzel. k., adj. w. x. Konstantego 1815—1820.

Każdemu mówiłem: «Nie zrywajmy się pojedyńczo. Okoliczności dojrzewają. W. xiążę skłania się do ustępstw; nie pozbawiajmy się samochcąc korzyści, jaką dla nas i dla kraju będzie przychylenie się w. xięcia, zdobycie na nim uznania konieczności, któreby było uznaniem i prawnego dla nas stanowiska.»

Dowiaduję się, że Moskale, dla zdobycia żywności, rabują okolicę i mszczą się na mieszkańcach, że w obozie bieda, że większość oficerów bez płaszczów, że żaden ni rzeczy ni bielizny nie ma, a mróz w dzień i w nocy. W. xiążę w ciągu dnia widział się z kilku naszymi jenerałami. Jen. Krasiński, oburzony rabunkiem własnego domu i wsi, robił podobno gwałtowne wymówki, które w. xiążę znosił spokojnie.

Na takich rozmowach zeszła większa część nocy, po odjeździe deputacyi.

W. xiążę położył się z przekonaniem, że komisarze tejże nocy wrócą z ratyfikacyą umowy. Ale i dzień zajaśniał, a komisarze nie przybywali.

W piątek 3 grudnia wcześnie z rana w. xiążę zawołał mnie do siebie.

«Cóż? niema odpowiedzi z Warszawy?» zapytał.

«Zły to znak» odpowiedziałem. «Wczoraj już trudno było się tu dostać z powodu tłumu, który im drogę zagradzał, mając wszelkie negocyacye w podejrzeniu. Lękam się nawet o życie tych, którzy, pragnąc zapobiedz zerwaniu, mimo to nie wahali się podjąć rokowań.»

«Jedź, zobacz, co się tam dzieje.»

W drodze dowiedziałem się, że pułki nasze, przy w. xięciu będące, wysłały do niego tegoż rana o świcie oficerów z oznajmieniem, że, skoro osobie jego niebezpieczeństwo już nie zagraża, nie godzi im się dłużej opóźniać połączenia się z braćmi, których uczucia narodowe w zupełności podzielają; że, dopełniwszy wszystkiego, czego się od nich w. xiążę mógł spodziewać, sądzą, iż sam nawet zechce się przed frontem ukazać po raz ostatni.

Nic lepiej nie maluje zmiany, w ciągu tych kilku dni dokonanej w umysłach, jak dobra wiara, z jaką pułki gwardyi żądały od samego w. xięcia, ażeby je odprawił. Chociaż z początku opierały się one powstaniu, kiedy się stało ogólnem, nie wahały się oświadczyć stanowczo, że nie mogą się nie złączyć z ruchem narodowym. Związek z Moskwą zawsze się im wydawać musiał do tyla przemijającym, że za najmniejszem wstrząśnieniem o rozwiązanie onego godziło się prosić tego, którego zadaniem było związek ten utrzymać. Mniemały te pułki, że przez upłynione cztery dni wszystkiego dopełniły, co im nakazywał wojskowy obowiązek.

Zaiste, do dziwnego skutku doprowadziła bierność w. xięcia. On, tak srogi, do tak ślepego nawykły ze strony podwładnych posłuszeństwa, doczekał się, że bez gwałtu, jakby rzeczy naturalnej, słuchał takich żądań, i nie tylko ich nie karcił, ale na nie przyzwalał. W odpowiedzi wyprawił do polskich oddziałów jen. Gerstenzweiga, tego samego, który marzył o pokonaniu stolicy kartaczami, z oznajmieniem, że, kiedy nie chcą dłużej przy nim pozostać, mogą sobie odejść.

Spotkawszy Gerstenzweiga, wracającego do w. xięcia i dowiedziawszy się o szczegółach jego wyprawy do strzelców, zboczyłem do nich i byłem jeszcze między nimi, gdy nadjechał posłaniec z potwierdzeniem, że w. xiążę pozwala im postanowić o sobie, jak zechcą, ale że nie ma zamiaru pożegnać ich osobiście, jak go o to w dobrej wierze upraszali. Wszyscy natychmiast chcieli ruszyć do miasta. Nie taka była moja rada. Na prośbę moją oficerowie zjechali się przed front. Zakląłem ich, żeby się nie spieszyli, powiedziałem im o rozpoczętych między w. xięciem a Rządem układach, których głównym przedmiotem było odejście polskich pułków do Warszawy. Przedstawiałem, o ile lepiej będzie dla nich samych, o ile łatwiej usprawiedliwią przed współobywatelami swoje późne połączenie się z nimi, jeżeli do końca wytrwają

w wojskowym obowiązku. Mówiłem: «Jeżeli okażecie się do końca wiernymi w przestrzeganiu wojskowego honoru, zmusicie wszystkich do uszanowania w was tego uczucia. Jeżeli, przeciwnie, zejdziecie z tej drogi, każdy będzie miał prawo pytać was o powód opóźnienia i całego postępowania waszego od nocy 29 listopada. Ruszam do miasta», dodałem, «najdalej za parę godzin przywiozę wiadomość o ostateczym wyniku układów. Dostaniecie regularną odprawę od samegoż w. xięcia. Korzyść stąd będzie nieobliczona i dla was i dla całego wojska i kraju. Czekajcie aż powrócę! dajcie mi słowo, że poczekacie!» Wszyscy przyrzekli, a także zgodzili się na to, żeby powstrzymać inne oddziały, podobnież zabierające się do wymarszu.

O tyle spieszniej podążyłem do miasta. Nie strzegły tego dnia wstępu żadne forpoczty: wjechałem wprost ulicą Marszałkowską. Zaledwie kilka osób na niej spotkałem, ale znowu strzał skądsiś wypadł, zapewne z powodu mojej kitki, i znowu szczęściem chybił.

Za przybyciem dowiedziałem się o wypadkach zaszłych tej nocy. Negocyacye z w. xięciem wywołały wśród ludności wielkie niezadowolenie. Komisarze po powrocie od w. xięcia zastali miasto w takim stanie wzburzenia i nieufności, że Rząd uznał za potrzebne natychmiast ogłosić drukiem warunki przedwstępnie z w. xięciem umówione. Ale już nie czas było na układy. Nastąpił groźny rozruch. Rewolucyoniści, nawet najoględniejsi, zdziwieni tak łatwem powodzeniem, urośli do takiej zarozumiałości, że nic już ich powściągnąć nie mogło. Rząd widział się zmuszonym do zaniechania wszelkiej myśli zbliżenia z w. xięciem.

W pałacu skarbowym i na placu zgiełk był wielki. Lud niemal szturmem wdzierał się do pałacu, gdzie Rząd nieustannie obradował. Warta przy bramie z największą trudnością broniła wejścia, wpuszczając tylko osoby znane lub po kilku deputowanych od tłumu za przyzwoleniem Rządu.

Zastałem salę Rady opanowaną przez mnóstwo ludzi do Rządu nie należących. Członkowie i ministrowie rozmawiali niemal z każdym, uśmierzając, jak mogli, ogólny i rosnący niepokój. X. Lubecki odrazu odprowadził mnie na bok wraz z x. Adamem. Zapytałem w imieniu w. xięcia, czemu dotąd nie przysłali mu ratyfikacyi wczorajszej umowy. Odpowiedzieli: «Bo wzburzenie ludu, całą noc trwające a bardzo groźne, nie pozwoliło Rządowi jej ratyfikować,» i dodali: «Dobrze, żeś przyjechał, piszą się właśnie depesze od Rządu do w. xięcia. Zawieziesz mu je.»

Wręczając mi po chwili przepisaną na czysto depeszę, odczytali mi jej minuty. Zawierała ona krótkie wyłuszczenie powodów, dla których niepodobna Rządowi dalej prowadzić rokowań poprzedniego dnia rozpoczętych, oraz ostrzeżenie, że roznamiętniona ludność dłużej się powstrzymać nie da, jeżeliby w. xiążę miał pozostawać w sąsiedztwie stolicy i zwlekał z odprawieniem wojsk polskich, które przy nim były, że zatem nie pozostanie w. xięciu do zabezpieczenia życia, jak zdać się na łaskę narodu, albo uchodzić niezwłocznie.

Wzburzenie panujące w sali i nagłość wypadków nie pozwoliły nawet zebrać całej Rady w celu oficyalnego doręczenia mi pisma. Poprzestałem na otrzymaniu go z rąk x. Adama, który pełnił obowiązki prezesa, i x. Lubeckiego, który był jakby duszą Rządu, a przynajmniej potrafił zachować inicyatywę niemal wszystkich dotychczasowych postanowień.

Pospieszyłem z powrotem do w. xięcia, tem bardziej, że widziałem, jak po wszystkich ulicach gromadzi się lud zbrojny w celu, jak głośno mówiono, wyzwolenia zatrzymanych przemocą przez w. xięcia pułków naszych. Wiedziano, że pułki te same pragnęły połączyć się z powstaniem, a przybycie do stolicy pułku Szembeka nastroiło do reszty i ośmieliło ludność miejską. Na placu spotkałem jen. Chłopickiego i Szembeka na koniu

partych przez liczny tłum, za którym ciągnęło wojsko ku obozowi w. xięcia. Na zapytanie moje Chłopicki odpowiedział: «Chcą, żebym ich prowadził na w. xięcia, chcą wyzwolić pułki nasze przy nim zostające.» «A więc towarzyszę», odrzekłem, «bo i ja do w. xięcia jadę z depeszą od Rządu.»

Chłopicki dał mi poznać, że nie dopuści do tego, aby go zmuszono do starcia się z wojskiem w. xięcia, a usłyszawszy ode mnie, że w. xiążę wszystkim Polakom przy nim będącym pozwolił już odejść do Warszawy i że tylko na moją prośbę czekali, aby doszła do skutku umowa, która ich wyzwoli w sposób regularny, rzekł: «A więc i ja się zatrzymam pod św. Alexandrem. Spiesz do w. xięcia, skoro masz nadzieję, że skłonisz go do uwolnienia naszych. Powiedz mu, na zachętę, że do dwunastej zatrzymam ruch miasta ku niemu. Za więcej nie ręczę. Co się stanie potem, tego nikt nie obliczy.»

Zaledwie minąłem rogatki Mokotowskie, spostrzegłem strzelców konnych gwardyi formujących się na gościńcu, by iść do Warszawy. Znowu ich zakląłem, żeby mi dali choć pół godziny i nie odchodzili bez wyraźnego urzędowego uwolnienia. Czułem, że, chociaż umowa między Rządem a w. xięciem zerwana, wprost od samego w. xięcia otrzymam uwolnienie i nie wahałem się oświadczyć, że, gdyby w. xiążę odmówił pułkom polskim świadectwa, jakiego sprawiedliwie oczekują, ja sam względem niego od tej chwili będę się czuł zwolniony od obowiązków dalszych. Zgodzili się czekać jeszcze pół godziny. Termin był krótki, bo nawet przy największym pospiechu sama jazda do w. xięcia i napowrót wymagała połowy tego czasu. Pędem konia podążyłem do Wierzbna.

Gdym wręczył depeszę, w. xiążę nasamprzód zajrzał do podpisu. Jakież było jego zdziwienie a moje zmieszanie, gdy się okazało, że podpisu nie było!... Zakląłem się na honor, że otrzymałem to pismo z rąk x. Adama i x. Lubeckiego i że jedynie pospiech, z jakim mnie wy-

prawiali, mógł być przyczyną tego zapomnienia[1]). «Zresztą», dodałem, «to daje miarę zgiełku panującego w mieście i samymże pałacu rządowym.» — W. xiążę przyjął to zapewnienie, tylko x. Łowicka, zawsze obecna naszym rozmowom, wymawiała mi surowo moje roztargnienie. Zachowała ona do tej pory ton wyniosły, jaki przybierała w Belwederze, ilekroć przy lada błahej okoliczności pozbywała się zwykłej słodkawej mowy.

Tymczasem w. xiążę czytał uważnie depeszę, poczem zastanowił się chwilę. Widocznie górował w nim wzgląd na niebezpieczeństwo, które mu groziło. Mówił jednakowoż spokojnie. Pytał o szczegóły, pytał, czy sądzę, że w samej rzeczy grozi mu napad ze strony miasta. Nie ukrywałem, że ludność zbrojna zmierza ku tej stronie i nastawałem na potrzebę uwolnienia pułków polskich, bo to jedno pochód powstańców powstrzymać mogło. «Ależ te pułki już odeszły[2])», powiedział. Odrzekłem, że czekają jeszcze, pomimo zaniesionej im odpowiedzi jego; że im sam najmocniej to pochwaliłem, bo nie mogą i nie powinny odejść, jakby ukradkiem, bez rozkazu; że zapewniłem ich, iż w. xiążę nie może ich ani zatrzymać, ani odmówić im pożegnania, jako żołnierzom, którzy dopełnili swej powinności. — «Czegoż oni żądają ode mnie?» rzekł. Jakiż rozkaz dać im mogę, kiedy mi odmawiają posłuszeństwa[3])?» — Powtórzyłem, że choć już byli w marszu, nadzieja, jaką im dałem, wystarczyła do zatrzymania ich. Przypomniałem, jakie pochwały sam dawał im dni

---

[1]) Dowiedziałem się później od x. Lubeckiego, że wcale nie przez zapomnienie, ale z umysłu wręczono mi tę depeszę niepodpisaną i niezapieczętowaną, w rodzaju noty dyplomatycznej, lecz nie urzędowego listu. Posyłając w. xięciu takie ostrzeżenie, x. Adam i x. Lubecki wyświadczali mu przysługę, ostatnią, jaka była w ich mocy, choć nie taili sobie, że krok ten obie strony mogą im poczytywać za zbrodnię.

[2]) «Mais ces régiments sont partis.»

[3]) «Eh bien, que me veulent-ils? Quels ordres puis-je leur donner, puisque ils refusent de m' obéir?»

poprzednich, mówiąc kilkakrotnie, że «takie wojsko w złote ramy oprawić»; zapytałem, czy teraz już nie uznaje szlachetnego postępowania żołnierzy, których wczoraj jeszcze zacnymi nazywał. Dodałem, że byłoby to niegodnem jego, i wreszcie powiedziałem, co byłem przed chwilą oświadczył oficerom strzelców, że, gdyby w. xiążę trwał przy odmowie, ja sam będę się czuł zwolniony od obowiązków moich względem niego.

W. xiążę był zachwiany, tylko x. Łowicka stawiła opór moim naleganiom. Mówiła: «Honor w. xięcia zabrania mu tego, co mu pan doradzasz.» Tem bardziej nalegałem, mówiąc, że żołnierskie serce xięcia rozumie, o co mi chodzi, że zresztą samo życie jego jest teraz zagrożone, jeżeli stosownym krokiem nie powstrzyma, a przynajmniej nie opóźni pochodu powstańców. Błagałem więc, aby słuchał mojej rady. Zapewniałem go, że w tej chwili troszczę się nie mniej o jego bezpieczeństwo, jak o odwrócenie od ojczyzny mojej grożących jej nieszczęść. Krok, którego się domagałem był w moich oczach ostatnim środkiem, jaki w. xięciu pozostawał dla osiągnięcia jednego i drugiego celu.

W. xiążę rzekł nakoniec: «A jeżeli przyzwolę na wasze żądania, co mi przyrzekacie w zamian? Jakąż mi rękojmię daje Rząd, że przy ustąpieniu z kraju nie będę niepokojony?» — «Żadnej rękojmi», odpowiedziałem, «Rząd dać nie może. Przyrzec może zaledwie Waszej Cesarzewiczowskiej Mości kilka godzin zwłoki. Osoby, Rząd składające, dostatecznie dowiodły szczerej chęci powstrzymania rozwoju wypadków. Ale teraz już zapóźno. Pozostaje tylko odwołać się do szlachetności narodu. Najlepszem do tego przygotowaniem będzie wspaniałomyślne odprawienie wojska, które W. C. Mości do dnia tego wierne było.» — «Więc dobrze», odrzekł, «idź, powiedz, że im pozwalam wrócić do Warszawy.»

Radość moja nie miała granic. Podziękowałem żywo. A więc przemogłem nareszcie miękkość i bezczynność

w. xięcia, na którą od czterech dni otaczający go doradcy głośno narzekali.

Już miałem odjechać, najwyższą popełniając nieroztropność. Nawykły, jako adjutant, do roznoszenia wojsku ustnych naczelnika rozkazów, zapomniałem, że w tej chwili inny rodzaj obowiązku spadał na mnie; nie przyszło mi na myśl, że w tak ważnej sprawie gołe słowo w. xięcia nie mogło wystarczyć, że mogłoby uledz zaprzeczeniu, a w razie, gdyby mu w. xiążę zaprzeczył, przeciwne świadectwo z mojej strony, jako adjutanta, mającego odtąd opuścić swego naczelnika i inne przyjąć obowiązki, nie miałoby żadnej wagi. Wobec gniewu, jaki wśród Rosyan wywołało to ustępstwo w. xięcia, można przypuszczać, że on sam nie potrafiłby oprzeć się zaprzeczeniu tego, co jabym przez całe życie zmuszony był twierdzić, u nikogo może wiary nie pozyskując, bo też rzecz zdawała się zbyt niepodobną do prawdy. Lecz teraz myślałem tylko o tem, że czas nagli, że minuty liczyć trzeba. Pułki pragnące iść do Warszawy dały mi tylko pół godziny zwłoki. Czas ten upływał. Do nich więc spieszyć chciałem, aby jak najprędzej przed frontem ogłosić, że sam w. xiążę uznał nareszcie nieprzepartą potęgę okoliczności, która ich zmusza do odejścia. Ale w tej chwili jakaś nadprzyrodzona siła zaopiekowała się mną i uchroniła mnie od niebezpieczeństwa.

X. Łowicka wśród potoku gwałtownych wyrzutów rzekła do mnie: «Odpowiesz pan przed Bogiem i cesarzem, żeś do tego ustępstwa nakłonił w. xięcia. Pamiętaj przynajmniej, że on użył wyrazu «pozwalam», to jest, że im wolną zostawia wolę, ale ich nie upoważnia, a tem mniej rozkazuje.»

Te wyrazy w w. xięciu wzbudziły obawę, że istotnie słowa jego mogłyby być tłomaczone inaczej, niż on je sam pojmował. Stąd myśl spisania aktu, który dostarczał powstaniu najsilniejszej podpory, nie tylko dla tego, że pod chorągiew jego postawił całe wojsko i wszystkich

Polaków, ale i dla tego, że nadał postępowaniu armii polskiej charakter do pewnego stopnia regularny. Sam cesarz Mikołaj zdawał się to uznawać, kiedy napowrót zostawszy panem Polski i szczątków jej armii, mimo całego gniewu i całej zemsty nie kazał ścigać żadnego z wojskowych, mogących się powołać na pismo, którem wódz naczelny tak im postąpić pozwolił, jak postąpili. Z całej armii polskiej ci tylko do winnych zostali policzeni, którzy do powstania przystąpili przed tem przyzwoleniem.

Słysząc nacisk przez xiężnę położony na użyte przez niego wyrażenie, w. xiążę rzekł do mnie: « Poczekaj, napiszę », — i siadł pisać. Xiężna tymczasem nie przestawała narzekać na mnie. Gdym próbował ją uspokoić, przekonać, w. xiążę zniecierpliwiony kazał nam milczeć, mówiąc, że mu przeszkadzamy pisać. Szczęśliwy byłem, że mnie tem uwolnił od dalszego odpowiadania biednej xiężnie; ale ona się do mnie zbliżyła, by choć cichym głosem dalej mówić. Zmuszony do tłomaczenia się, zwracałem z naciskiem jej uwagę na niebezpieczeństwo, któremu w. xiążę dał wzrosnąć dokoła siebie. Te i nie wiem jeszcze jakie przytoczone przeze mnie argumenty przekonały ją wreszcie, a przynajmniej zjednały mi jej przebaczenie. Wyciągnęła do mnie wkońcu rękę i uścisnęła moją z wdzięcznością.

Nieuszanowanie zobowiązań wobec narodu, nieustanne gwałcenie praw i nadużycia na każdym kroku musiały doprowadzić do powstania i usprawiedliwiały je. Zrozumieli to wówczas nie tylko najzapaleńsi, ale najwytrawniejsi między Polakami; zrozumiał to nawet ten, który swojem postępowaniem przyczynił się do wybuchu powstania, ten, przeci wktóremu ono głównie wymierzone było, który nienawidził wszystko, co tchnęło rewolucyą, nie rozumiał wolności, nie znosił nawet odwoływania się do jakiegobądź prawa. Sam z własnego popędu cześć oddał prawości wojska, które mu dalszą służbę wypowia-

dało i sam je do opuszczenia siebie upoważnił. Pismo w. xięcia, bez niczyjej porady, bez świadków prócz mnie i xiężnej, po francusku jego własną ręką spisane[1]), ukazało się tegoż dnia w dziennikach warszawskich, w polskiem tłomaczeniu:

Pozwalam wojskom polskim, które wiernie aż do ostatniej chwili przy mnie pozostały, połączyć się ze swoimi w Warszawie. Oddalam się od stolicy z wojskiem cesarskiem i spodziewam się po prawości polskiej, że wojsko to nie będzie niepokojone w pochodzie do granic cesarstwa.

Wszystkie zakłady, własności i osoby poruczam podobnież opiece narodu polskiego i oddaję je pod straż najświętszej wiary.

Konstanty

Warszawa, 3 grudnia, 1830 r.»

Gdy mi w. xiążę przeczytał i wręczył to pismo, nie mogłem powstrzymać objawów radości i wdzięczności. Składając mu gorące podziękowanie, powiedziałem, że wśród bolesnych przeczuć względem przyszłości mego kraju, pismo to wydaje mi się ostatnim środkiem pojednania i rękojmią, że w. xiążę nie przestanie być naszym pośrednikiem wobec cesarza.

Już tedy znowu miałem spieszyć do pułków naszych, czekających mnie przy rogatkach, kiedym uczuł, że więzy, które mnie dotąd trzymały przy w. xięciu, nakoniec także zerwane zostały. On sam to przyznał, pisząc, że nadeszła «ostatnia chwila». Wiedział

---

[1]) «Je permets aux troupes polonaises qui sont restées fidèles jusqu'au dernier moment auprès de moi, de rejoindre les leurs à Varsovie. Je me mets en marche avec les troupes impériales pour m'éloigner de la capitale, et j'espère de la loyauté polonaise qu'elles ne seront pas inquiétées dans leur mouvement pour rejoindre l'Empire.

Je recommande de même tous les établissements, les propriétés et les individus à la protection de la nation polonaise, et les mets sous la sauvegarde de la foi la plus sacrée.

Constantin

Varsovie, le 3 Décembre, 1830.»

już o oświadczeniu, jakie uczyniłem przed pułkiem strzelców. Wprawdzie nie obowiązywało mnie ono teraz, i gdyby w. xiążę tego żądał, mogłem przy nim jeszcze pozostać, ale wszystko mi mówiło, że już innych obowiązków względem niego nie mam, prócz obowiązków przyzwoitości. Ośmieliłem się przeto powiedzieć: «Niech mi wolno będzie poprosić jeszcze o osobny rozkaz dla siebie[1].» «Nie mam ci nic więcej do rozkazania[2]», odrzekł mi spokojnie i dodał: «Masz obowiązki[3].» Nakoniec podał mi rękę, mówiąc: «Adieu» i odwrócił się dla ukrycia łzy... Byłem także głęboko wzruszony. Ucałowałem mu rękę. Dotąd znałem tylko wstręt do jego osoby; od tej chwili zdało mi się, że zaciągnąłem względem niego dług wiecznej wdzięczności. «Masz obowiązki», wyrazy te w. xięcia zaledwie wytłomaczyć się dają i, gdyby nie nastąpiło po nich wymówione ze wzruszeniem słowo życzliwego pożegnania, możnaby mniemać, że zawierały w sobie wymówkę. Nie próbując tłomaczyć, tyle tylko powiedzieć mogę, że je istotnie w. xiążę wymówił, i że, o ile dręczyła mnie wprzódy niepewność, co do sposobu, w jaki się z nim rozstanę, o tyle teraz czułem się szczęśliwy z świadectwa, jakie mi to pożegnanie z ust jego dawało, iż zadość uczyniłem do «ostatniej chwili» wszystkiemu, co mi pod względem niego nakazywać mogły najściślejsze względy delikatności. Kilku słowami pożegnawszy xiężnę, wyszedłem.

Dobiegała godzina południowa. Zanim wsiadłem na koń, pokazałem i przeczytałem pismo w. xięcia kilku spotkanym po drodze oficerom polskim, wzywając ich, by się za mną do miasta udali, co też wszyscy prawie uczynili natychmiast. Tylko pułkownik Turno powiedział mi, że, jako najdawniejszy adjutant w. xięcia, poczytuje

---

[1]) «Monseigneur, dans la position que Vous avez bien voulu me faire auprès de Vous, permettez que je Vous demande encore un ordre en particulier pour moi.»

[2]) «Je n'ai plus d'ordres à Vous donner.»

[3]) «Vous avez des devoirs.»

sobie za powinność odprowadzić go do granicy Królestwa. Pochwaliłem mu ten zamiar i radziłem jedynie, by się wytłomaczył listem jenerałowi Chłopickiemu[1]).

Żegnając się z adjutantami rosyjskimi, byłymi kolegami moimi, powiedziałem: «Żegnam was panowie! Do widzenia, może, niestety! na polu bitwy!»

Kiedym przybył do rogatek Mokotowskich, naszych obu pułków już nie zastałem. Straciwszy cierpliwość, nie czekały na mnie; tłum z miasta przybyły pociągnął je za sobą. Puściłem się całym pędem konia na czoło kolumny, zanim jeszcze doszła do miasta. Odczytałem po francusku i dosłownie na polskie przetłomaczyłem pismo w. xięcia. Okrzyki radości ze wszech stron się ozwały, poczem już szliśmy na spotkanie oddziałów. Nie zabrakło naturalnie głosów, odzywających się z tem, że im «pozwolenie» w. xięcia potrzebne nie było. Muzyka grenadyerów gwardyi zagrała pieśń narodową Dąbrowskiego, której za rządów w. xięcia nie słyszano publicznie.

Dotarłem do jenerałów Chłopickiego i Szembeka, którzy wiernie wyczekiwali mnie na placu Trzech Krzyży. Jednocześnie oddziały garnizonu warszawskiego wyszły na spotkanie wchodzących do miasta pułków. Sformowały się dwie linie, jedna naprzeciw drugiej, po obu stronach alei Ujazdowskich. Broń ustawiono w kozły, jedni rzucali się w objęcia drugich. Wszyscy płakali, jak pojednani przyjaciele. W tej chwili ci, którzy z obozu w. xięcia przybyli, zaczęli zrzucać z siebie ozdoby wojskowe, przez Moskali zaprowadzone, szczególnie kitki

[1]) W. xiążę a szczególniej x. Łowicka jakoby żałowali później, że ja nie postąpiłem sobie tak, jak p. Turno. Gdy xiężna raz o tem nadmieniła Turnie, ten jej odpowiedział, że w. xiążę, stawiając mnie w bezpośredniem zetknięciu z rządem warszawskim, tem samem przyspieszył chwilę, w której musiałem go opuścić i zapewnił, że, gdyby zamiast mnie w. xiążę jego był użył do tych rokowań, wtenczas prawdopodobnie on byłby został w Warszawie, a ja niezawodnie na jego miejscu odprowadziłbym w. xięcia do granicy. (W. Z.)

i rozmaite pióra; ziemia była niemi usłana. Ja tak byłem wzruszony, żem zapomniał o własnej kitce, która przez upłynione dni na tyle strzałów mnie naraziła. Ktoś z tłumu, wołając mnie po nazwisku, przypomniał mi, że mam ją jeszcze na kapeluszu. Rzuciłem ją na ziemię i pomyślałem: «Stało się! Już jej napowrót nie włożę!» Podobnegoż uczucia ulgi doznałem przed chwilą, rozstając się z w. xięciem. «Przynajmniej», powiedziałem sobie, «będę mógł odtąd żyć w zgodzie z prawdą.» Chociaż śmiało twierdzić mogę, że kłamstwo w ustach moich nigdy nie postało, nieraz jednak byłem zmuszony głąb myśli mojej pokrywać milczeniem. To też za szczęście liczyłem sobie, że odtąd z niczem kryć się nie będę potrzebował.

Nie taję, że doznawałem także uczucia niezmiernej radości na myśl, że przyczyniłem się do przywrócenia zgody między Polakami. Tak byłem uszczęśliwiony z oddania tej usługi krajowi, że zdawało mi się, iż w życiu całem piękniejszej chwili doznać już nie mogę, a pomnąc, z jaką boleścią przez kilka dni poprzednich narażałem się na śmierć z ręki rodaków, mówiłem sobie: «Teraz nie obawiam się już żadnego rodzaju śmierci. Niech biją we mnie kule... nie będą to już kule polskie! Teraz umrę bez żalu!»

Po trudach dni ostatnich i wskutek doznanych tylko co wzruszeń upadałem ze znużenia. Mimo to wyrwałem się z pośród radością uniesionego tłumu i pospieszyłem do Rządu, by przedstawić pismo w. xięcia. Przyjęte zostało jako zwycięstwo.

Z czasem, kiedy bieg wypadków doprowadził do ostatecznego zerwania między monarchą i narodem, znaczenie tego pisma zatraciło się w pamięci. A jednak zawierało ono w sobie, obok wielu korzyści moralnych a nawet materyalnych, świadectwo niczem nie zatarte, które dla wojska i narodu obojętne być nie mogło.

Wątpię, aby w dziejach ludzkości zaszło kiedy wydarzenie, żeby bunt wojska został zakończony przyzwole-

niem wodza, nie wydartem przez żaden gwałt, lecz wydanem dobrowolnie, własnoręcznie spisanem i to w wyrazach przyznających wojsku wypowiadającemu posłuszeństwo i narodowi rycerską szlachetność, która, pomimo nacisku okoliczności, przetrwała do «ostatniej chwili».

Ile razy przypomnę sobie, jak osobliwy a niespodziewany koniec wzięła nasza służba wojskowa pod w. xięciem i jak wielki udział osobisty miałem w tych wypadkach, tylekroć te wspomnienia obudzają we mnie najżywszą wdzięczność dla Opatrzności bożej.

Niemniej winszować sobie mogę, że, nie przewidując ani marząc nawet, aby takie właśnie nastąpiło zakończenie, jakie z okoliczności się wywiązało, miałem zawsze przeczucie podobnego końca i każdy krok mój, każde słowo, dążyło do tego celu od pierwszej chwili wybuchu.

Miło mi przypuszczać, że pomyślny koniec był w pewnej mierze prostem następstwem sumiennego wytrwania przy żołnierskiej powinności.

Wybuch 29 listopada wyniknął niewątpliwie z ciężkich krzywd narodowych, ale bunt wojskowy był dziełem niedowarzonej mniejszości w wojsku. Stąd ociąganie się wielu, a zaprawdę nie najgorszych w przystąpieniu do wybuchu. Chociaż nie było prawie Polaka, którybv wewnątrz duszy nie obliczał zadawanych co dnia ojczyźnie gwałtów i obelg, chociaż każdy czuł, że nastąpić musi chwila obrachunku i w tej to właśnie pewności znajdował cierpliwość do wyczekiwania, jednak, gdy wybiła godzina wybuchu, nie każdy był pewny, że wybiła w porę, nie każdy mógł od razu rozsądzić, czy sprawa, dla której wszystko łożyć był gotów, nakazuje bezzwłoczne i bezwzględne przystąpienie, czy też nakłada powinność o wiele trudniejszą, dalej jeszcze pod obcem cierpieć jarzmem. Przy takiej niepewności, przy niewiadomości o rozmiarach spisku, należało koniecznie powstrzymać się od porywczych kroków, należało trwać na stanowisku, jakkolwiek przykrem, ale dobrowolnie przyjętem i przysięgą stwier-

dzonem. Każdy bowiem oficer przysięgał dobrowolnie. Każdy mógł nie przysięgać, bo mógł podać się do dymisyi, skoro był posunięty na stopień oficerski. Ale myśmy przysięgali, bośmy czuli wszyscy, że, mając narodowe wojsko, należało w niem służyć i dosługiwać się stopni wyższych. Miałaż ta przysięga wiązać nas dopóty tylko, aż pierwszy lepszy nie krzyknie: Do broni! Oczywistą jest rzeczą, że przysięga bezwzględnie, bezwarunkowo wiązać nie może. Wystarcza, by władza, biorąca swój początek w zbrodni, chwiać się poczęła, żeby natychmiast odżyła pamięć, skąd ona pochodzi.»

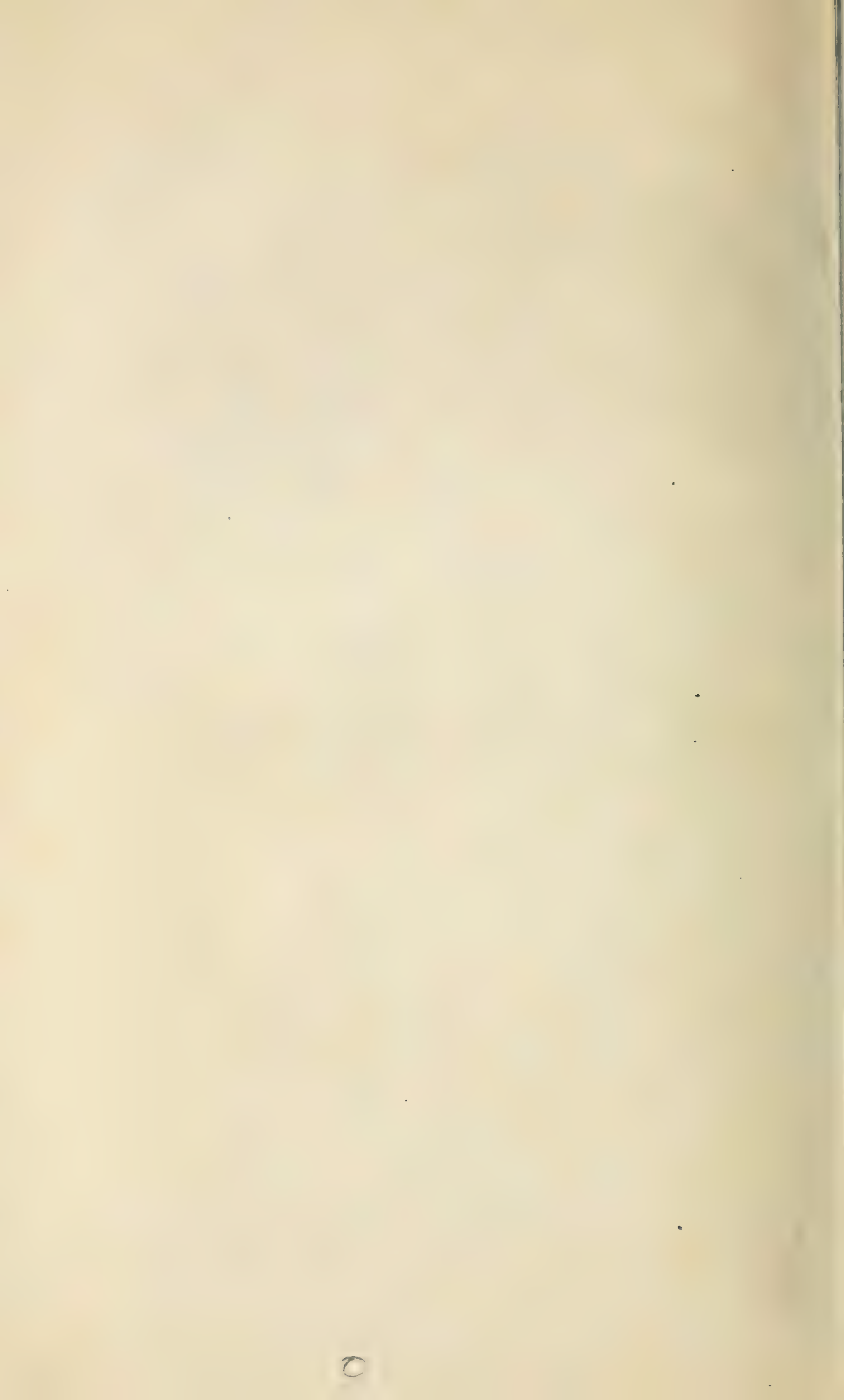
KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

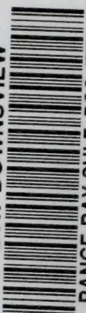
SKOROWIDZ

SPIS RZECZY

ERRATA

str.	*wiersz*	*zamiast:*	*czytaj:*
27	3 od d.	stolnik w. k.	stolnik w. l.
97	12 od d.	Lecretelle	Lacretelle
149	5 od g.	Rhuilière	Rulhière
221	11 od d.	La Harpe	Laharpe
381	8 od d.	komendat	komendant




UTL AT DOWNSVIEW
D RANGE BAY SHLF POS ITEM C
39 11 13 11 12 014 1